

PRZEGLĄD POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK ÓSMY. — TOM XXIX.

STYCZEŃ, LUTY, MARZEC.

1891.



KRAKÓW.
DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI,
pod zarządkiem Jana Gadowskiego.
1891.

Errata.

Str. 162, w. 9 z góry,	zamiast	„Mallinekrodt“,	czytaj	„Mallinekrodt“.
Str. 162, w. 9 z góry,	„	„Schoblemer“,	„	„Schorlemer“.
Str. 267, w. 4 z dołu,	„	„mowy“,	„	„mocy“.
Str. 335, w. 5 z dołu,	„	„słupki“,	„	„słupiki“.
Str. 339, w. 20 z góry,	„	„siostrzeńcowi“,	„	„bratankowi“.
Str. 353, w. 16 z dołu,	„	„potomości“,	„	„potomość“.

WOLNA WOLA.

W wielkim kalejdoskopie natury, co nas otacza, zjawiska przesuwają się w nieprzerwanym szeregu przyczynowości: jedno wywołuje drugie, a wywołane zostało przez poprzednie; fala pcha falę; każda umysłowi pytającemu o przyczynę, wskazuje na falę poprzednią. Wszędzie tylko ogniwa przyczynowości, tylko czynniki przekazujące dalej ruch, który im udzielono, — nigdzie niema początku, nigdzie przyczyny w pełnem słowa znaczeniu.

Otóż, pośród tej rzeki płynącej, staje człowiek, z silnem przekonaniem, że on sam jest przyczyną czegoś, że jego czyny i ich następstwa tak dalece od niego biorą początek, iż w jego mocy jest odmienić ich bieg.

Jeżeli zmierzmy człowieka łokciem, dziwnem doprawdy wyda się nam to roszczenie tak małej istoty, żeby wyjątek stanowiła w niezmiernym świecie. Ale jeżeli wglądnijemy głębiej, aż do tej wewnętrznej otchłani człowieka, która się świadomością nazywa, spostrzeżemy tam inną rzekę zjawisk, podług innych praw krążących. A gdy się przypatrzymy myślnym kreacyom, które co chwila z tej otchłani jak nowe gwiazdy na świat tryskają, i samej naturze nowy narzucają porządek, okrywając ją dziełami kultury, przemysłu i sztuki, — wówczas zauważymy, że w tem wnętrzu człowieczem spotkaliśmy się z drugim, duchowym światem, niemniej ogromnym jak materyalny — i wówczas

roszczenie ducha ludzkiego do odrębnych praw i do pewnej samodzielności w swych czynach wyda nam się mniej dziwnem, nie zasługującym na potępienie zgóry, bez zbadania sprawy.

Dziś spopularyzowany materyalizm rozszerzył opinię, że sprawa wolnej woli nieodzwrotnie przegrana. W historii jednak myśli ludzkiej ta sprawa inaczej nam się przedstawia. Spór o wolną wolę toczy się od wieków. Zaprzeczyli jej w starożytności Stoicy, w czasach nowożytnych Spinoza i inni panteiści, którzy za nim poszli. Wszelako najwięksi filozofowie, prawie wszyscy, ją zatwierdzali. Sokrates środek ciężkości filozofii przechylił na stronę etyki i cnoty, a cnotę oparł na wolności i odpowiedzialności osobistej. Platon jeszcze dalej w tym kierunku postąpił, odróżniając wolę od rozumu i uczucia, i w niej samej wolność osadzając. Arystoteles tę samą wolność określił, udowodnił, i związek jej z odpowiedzialnością moralną wykazał. Epikurejczycy nie tylko bronili wolnej woli przeciwko Stoikom, ale rozprzestrzenili jej pierwiastek aż do atomów, składających wszechświat. Św. Tomasz przyjmuje i uzupełnia doktrynę Arystotelesa. Kartezjusz aż nazbyt szerokie wrota otwiera wolności, uważając nawet bezwzględne prawdy za wytwór wolnej woli Boga. Leibnitz również usiłuje tę wolność uzasadnić i wytłómaczyć. Kant dobitnie ją określa jako zdolność czynienia absolutnego początku, i broni jej zwycięsko przeciw Humemu. Swoją drogą, gdy przychodzi do wytłómaczenia funkeyi tejże wolnej woli, ci sami filozofowie wpadają często w jakiś mechanizm motywów i pobudek, w którym istotnie wolność szwankuje; ale to tylko dowodzi, że jakaś trudność tkwi w wytłómaczeniu tej osobliwej działalności psychiczej; nie obala zaś znaczącego faktu, że ci wszyscy wielcy myśliciele czuli się spowodowani do zatwierdzania, mimo wszystko, istnienia wolności.

A podczas kiedy filozofowie rozprawiali, ogół ludzkości trwał niezachwianie w przekonaniu, że wolną wolę posiada. Bo też nie jestto kwestya czysto spekulatywna, którąby ludzkość mogła zostawić filozofom, jak tyle innych zagadnień myśli, — ale kwestya praktyczna i żywotna, bo ściśle z postępowaniem człowieka i z całą sferą moralności związana. Dotychczas deter-

minizm, zaprzeczający wolnej woli, bronił się od zarzutu, że znosi moralną odpowiedzialność; dziś siłą rzeczy przychodzi do otwartego przyznania tej konsekwencji. Objawia się to przyznanie, już nie tylko w filozoficzno-etycznych spekulacjach, ale i w sądownictwie przysięgłych — przedstawiającem sumienie społeczeństwa — i w literaturze powieściowej, — uchodzącej za wyraz jego uczuć i wyobrażeń.

I dlatego ta kwestya jest teraz szczególnie aktualną — i dlatego też o niej to psychologiczne studyum podejmujemy¹.

I.

Ażeby odrazu postawić tę kwestyę na właściwym jej piedestale, zaczniemy od rzutu oka na jej doniosłość etyczną. Tu przyznać musimy zupełną rację tym najnowszym i najśmielszym przedstawicielom nowożytnej myśli, którzy z zaprzeczenia wolnej woli wnoszą, że moralna odpowiedzialność nie istnieje.

W rzeczy samej te dwa pojęcia warunkują się wzajemnie.

Co to jest odpowiedzialność? — Póki mamy przed oczyma ów łańcuch przyczyn, determinujących się nawzajem z nieodmienną koniecznością, o którym wspomnieliśmy na początku, póty o żadnej odpowiedzialności mowy być nie może. Istoty te działają, ale racya, czemu tak a nie inaczej działają, jest poza niemi: bądź w otoczeniu, które je pobudza, bądź w przyczynach, które wytworzyły im taki a nie inny organizm; a te znów przyczyny od dalszych przyczyn pochodzą; każda wskazuje w poprzedniej powód swego bytu i działania. I tak, nigdzie nie znajdując początku czynu, nigdzie ucześcić nie możemy tego,

¹ Pominiemy z umysłu aparat erudycyjny, bo ten tylko utrudnić i powikłać może kwestyę, i tak niełatwą. Wśród lasu systemów i zdań najrozmaitszych wskażemy tylko ogólne kierunki. Kogoby historyczne fazy tej kwestyi interesowały, ten znajdzie krytyczne o nich studyum w świeżej pracy A. Ackermann'a: *La notion de la liberté chez les grands philosophes*. Położenie zaś tej kwestyi wobec współczesnej filozofii dobrze zarysował Tonsgrève: *Essai sur le libre arbitre*. Première partie I. III, ch. 7, 8.

co odpowiedzialnością nazywamy, t. j. tej godności przyczyny początkującej swój czyn.

Czy może świadomość, może rozumienie pobudek własnych czynów stanowi już odpowiedzialność? — żadną miarą. Istota, którą sobie wystawimy świadomą dlaczego działa, a przytem zdeterminowaną nieuchronnie do działania — istota taka będzie świadkiem swych czynów, sprawcą odpowiedzialnym w żaden sposób nie będzie. W potoku przyczynowości kosmicznej, ona będzie falą, jak każda inna, z tą różnicą, że jakimś światłem zabłyśnie, ale nigdy ani w górę ani nadół nie pójdzie, jak tylko o ile ją druga fala poruszy.

Wtedy dopiero znajdziemy to, co odpowiedzialnością nazywamy, kiedy spotkamy przyczynę, która nie jest już tylko dalszym ciągiem przyczynowości powszechnej, ale sama coś zaczyna. Taka przyczyna może doznawać różnych wpływów od otoczenia, od poprzedników, ale te wpływy nie mogą jej zniewalać, nie mogą bezwarunkowo determinować jej czynu — jeżeli ona ma być odpowiedzialną; musi ona mieć jakąś siłę sobie właściwą, która, przy danych podniętach i pociągach, sama się ostatecznie determinuje, mogąc w tych samych warunkach zdeterminować się inaczej. A to jest właśnie, co wolną wolą nazywamy. Taka wolna wola nie może już całej racji swego działania poprzednim warunkom przypisać; ona sama jest przyczyną w wyższym znaczeniu, początkiem, panią swego czynu — i dlatego jest odpowiedzialną — i od niej zaczyna się nowy, moralny świat.

Ale wolność woli — mówią mi — jest złudzeniem psychologicznem! Nie o to pytam narazie, stwierdzam tylko, że ród ludzki, poczuwając się słusznie czy niesłusznie do wolnej woli, z niej wysnuł ideę odpowiedzialności — i jedna bez drugiej być nie może. A nie tylko sama ta idea odpowiedzialności, ale cały szereg idei pokrewnych z tego korzenia wyrósł. Z poczucia wolności woli pochodzi ta osobliwa własność czynów wolnej woli przypisywanych, że w nich fakt odróżniamy od prawa, czyli normy, według której czyn być powinien. We wszystkich innych zjawiskach natury prawo jest tylko uogólnie-

niem faktów — i prawa według faktów oceniamy; rozdwojenie między faktem a prawem nie da się pomyśleć, a p o w i n n o ś ć niema tam sensu. Tu wyjątkowo, podług prawa oceniamy fakta, i uznajemy je za złe lub dobre, nie tą fizyczną dobrocią lub złością, która przyjemne lub przykre zmysłom sprawia wrażenie, ale jakąś inną, zależącą na zgodności lub niezgodności czynu z jego normą.

I ztąd dalej, w tych wyłącznie faktach, upatrujemy jakiś charakter odrębny, wzniósły, głęboki, który moralnością nazywamy — zależący właśnie na tem, że w tych czynach sami jesteśmy początkami odpowiedzialnymi; i dlatego właśnie ich dobroć i złość, zgodność z normą i niezgodność, jest naszą własną dobrocią i złością.

I ztąd jeszcze, w stosunkach między ludźmi, wytworzył się ten sąd o czynach, który nazywamy moralną pochwałą lub nagana, — sąd, który bezsprzecznie suponuje, że działacz dobrowolnie zasłużył lub zawinił. O czem tak dalece wszyscy jesteśmy przeświadczeni, że jeżeli nas przypadkiem za coś pochwałą, cośmy nie dobrowolnie uczynili, wstydzimy się i czujemy niesłuszność tej pochwały; a jeżeli taki czyn zgania, odczuwamy w tem niesprawiedliwość.

Ztąd także, w dokonanem uspołecznieniu ludzi, powstają prawa — niby zewnętrzne odbicia i przedłużenia wewnętrznego prawa sumienia — stanowione zawsze w przeświadczeniu, że czyny ludzkie mogą i powinny do prawa się stosować. Ztąd też pojęcie kary, jako wymiaru sprawiedliwości za dobrowolne prawa naruszenie; i ztąd troska prawodawcy, i sędziego, ażeby rozemnać, o ile oko ludzkie przeniknąć może, azali przestępca z wolnej woli prawo pogwałcił.

W szeregu tych pojęć etycznych — który długo jeszcze mógłbym roztaczać — wszystko, jak każdy widzi, zbudowało się i wszystko stoi na pojęciu wolnej woli w jednostce. Jeżeli ta podstawa jest illuzją, to — trzeba to sobie odważnie powiedzieć — cały ten gmach jest złudzeniem i pomyłką.

Rozumie się, że rozsądniejsi determiniści, zwłaszcza z obozu angielskiego pozytywizmu, mniej dbają o konsekwencję systemu,

niż o życiowe zasady, i nie chcą się rozstać z moralnym porządkiem. Z zapalem dowodzą oni, że i w ich poglądzie utrzymuje się niezawisłe od wolnej woli różnica dobra i zła: jedno jest tem, co z pominięciem osobistej przyjemności ogółowi korzyść przynosi, drugie, co ogółowi szkodzi; pochwały i nagany, kary i nagrody — przyczynowością fizyologiczną według jednych, logiczną według drugich — wpływają na pomnożenie dobra, a ukrócenie zła; prawa w każdej hipotezie czynami ludzkimi jakoś kierują; głos sumienia przed czynem, uczucie przyjemne lub przykre, jakiego po czynie dobrym lub złym doznajemy, tłómaczą się nawykami (wyżłobieniami w systemie nerwowym), bądź odziedziczonemi, bądź osobiście nabytymi, a pochodzącemi pierwotnie z doświadczenia, że co ogółowi jest dobre lub złe, to normalnie sprowadza przyjemność lub przykrość jednostce.

Ale do czegoż, pytam, te wszystkie tłómaczenia prowadzą?— Jaka jest ich wartość realna, później zobaczymy; lecz jakkolwiekby ona była, co właściwie z tych wywodów wynika?—W najlepszym razie tłómaczą one umiejętnie genezę tej wielkiej iluzyi o sferze moralnej, atoli charakteru iluzyi jej nie odejmują. Jest sobie, bez wolnej woli, różnica zła i dobra, jest człowiek dobry lub zły — ale to dobro i zło nie różni się wcale od dobra i zła fizycznego (jak żyzny rok lub zaraza, co korzyść lub szkodę społeczeństwu przynosi); człowiek nie w innem znaczeniu jest dobry, jak dobra maszyna lub dobra roślina. A to jakieś dobro *sui generis*, wyższego rzędu, które poczytywaliśmy za właściwość czynów i istot odpowiedzialnych, do czego przywiązywaliśmy jakąś wartość bezwzględną, to niczem innem nie jest, tylko złudzeniem. Są prawa niby to moralne, lecz one nie różnią się istotnie od praw fizycznych — co wielu etyków i psychologów tej szkoły w oczy nam wypowiada. Więc niema też w gruncie różnicy między faktem a normą, czynem a prawem. Można wprawdzie wyobrazić sobie te prawa, jako typy abstrakcyjne, oderwane od szczegółów, i przez to tłómaczyć niezgodność, zachodzącą między prawem a pewną liczbą faktów; ale wtedy żadną miarą twierdzić nie można, że czyny powinny się sto-

sować do prawa moralnego, skoro właściwie prawo ma być rezultancją z czynów — w etyce zarówno jak we fizyce.

Wogóle, powiedzieć, że jakiś czyn powinien być inny niż jest — to niema sensu w teorii, wykluczającej wolną wolę, a więc suponującej, że czyn nie może być inny jak jest. I bardzo słusznie najlogiczniejszy z deterministów, Spinoza, gniewa się na wyrzut sumienia i żal za przeszłe czyny, jako na uczucie całkiem niedorzeczne. „Żal ten — mówi on — nie jest cnotą, lub innemi słowy nie jest podług rozumu; przeciwnie, kto żałuje tego co zrobił, ten jest podwójnie nieszczęśliwy i bezsilny..., bo dusza oddana temu uczuciu, ulega pragnieniu zdrożnemu (żeby to, co się stało, nie było się stało), a nadto smutkowi się poddaje“¹.

Więc, jeżeli niema wolnej woli — to schylmy głowę w fali przyczynowości kosmicznej, która przez nas przechodzi — i uspokójmy się: co jest napisano w mechanicznem zrównaniu świata, to robić i tem być musimy. Kiedy sumienie będzie od nas żądało trudnej ofiary, odpowiedzmy mu: znam cię, głosie! jesteś echem doświadczeń jakichś prapraojców; ja dziś własnym rozumem lepiej osądzę, co mi pożyteczne. — Kiedy sumienie będzie nam wyrzucało zły postępek, powiedzmy mu: daj mi pokój! ja wiem, że inaczej zrobić nie mogłem. — Kiedy nas piękno moralne, siła woli nad materyalnymi popędami będą zachwycaly, powiedzmy sobie: to złudzenie! innych praw, innych sił prócz fizycznych niema. Jeżeli illuzją jest wolna wola, to illuzją jest odpowiedzialność — i cała moralność jest illuzją.

II.

Ale czy wolna wola jest illuzją?

Powody odrzucenia wolnej woli bywają dwojakie: u jednych jest nic więcej, tylko materyalizm, identyfikowanie całego porządku duchowego z fizycznym — zkad powstaje w kwestyi woli determinizm fizyczny; u drugich jest poddanie bez-

¹ *Ethic.* IV, p. 54.

względne woli pod przewagę motywów, co nazwać możemy determinizmem logicznym.

Co do pierwszych, rzecz jasna, że wolnej woli przypuścić nie mogą. Człowiek w systemie materialistycznym tem tylko się różni od lokomotywy, że jest bardziej skomplikowanym ustrojem; jego postępowanie jest tylko wypadkiem mechanicznych ruchów atomów, składających jego organizm. Jak więc niedorzecznością byłoby winić lokomotywę za to, że przejechała człowieka, zupełnie tak samo niedorzeczne jest czynić człowieka odpowiedzialnym za to, że bliźniego zabił. To wszystko bardzo logicznie wypływa z ich ogólnego założenia. Ale na czem stoi to założenie?

W niemałym byłiby ambarasie, gdybyśmy ich zapytali — jak ich niegdyś Pasteur zagadnął¹ — gdzie jest choć jeden fakt naukowo stwierdzony, któryby zaprzeczał istnieniu duchowego pierwiastka? Oni sami dziś mówią, że nauka do tych granic nie sięga. Cóż tedy jest racją i podstawą ich stanowiska? Najszczerzi zpomiedzy nich, jak Huxley i Dubois-Reymond, mówią, że taki pogląd jednolity jest sobie — uproszczeniem (!). — Doskonała rzecz, uproszczenie; ależ dla Boga, w kwestyi tak niezmiernej doniosłości, kiedy się staje naprzeciw powszechnemu przekonaniu, trzeba mieć mocniejszy argument, jak wzgląd na uproszczenie! Jak często wrzekome uproszczenie jest dowolnym i chybionym wymysłem? Po odkryciu prawa grawitacyi przez Newtona taki zapal opanował świat uczony, że poczęto wszystkie zjawiska na świecie tem jednym prawem grawitacyi tłómaczyć. Później się tego wstydzono. A przecież czemuż jest różność pomiędzy prawami przyrody, w porównaniu do odległości tychże od zjawisk ducha? Od czasów Epikura aż do dziś materyalizm wciąż obiecuje naukowe uzasadnienie, — ale jeszcze go szuka. A wyniki, do jakich prowadzi, czy są naukowe?

Sprowadzając wszystko do funkcyj organicznych, mówiąc co chwila, że świadomość niczem innem nie jest, tylko odwrotną stroną tychże samych funkcyj, które zewnątrz przedstawiają nam

¹ W swej mowie powitalnej przy przyjęciu do Akademii.

się, jako ruch materji, — psychologowie materyaliści tracą coraz więcej z oczu znaczenie świadomości, i wkońcu przychodzą do twierdzenia, że świadomość żadnej właściwie nie gra roli w działaniu człowieka: jestto tylko połysek, do elektrycznego podobny, wywoływany niekiedy przez przebieg nerwowego prądu po nerwach mózgowych; ale czy ten połysek ma miejsce, czy nie, to rzecz podrzędna: zarówno wstrząśnienie od zewnętrznej podniety udziela się mózgowi i wznieca innerwację, która znów od mózgu płynie do muszkułów i nimi porusza. Świadomość — powiada dobitnie Aleksander Bain — tyle właśnie ma wpływu na ruchy muszkułów, co światło latarni na bieg maszyny parowej.

Przyznać trzeba znowu, że ten wniosek jest ze wszech miar konsekwentny z założeniem materyalizmu, — ale też wykazuje najlepiej, jaki w temże samem założeniu mieści się absurd. Jakto? świadomość wcale nie wpływa na postępowanie ludzi! Więc mam wierzyć, że ów bankier, który po ruinie majątku życie sobie odebrał — byłby tak samo i bez wiedzy o swoim bankructwie, o tej samej godzinie wziął za rewolwer i do siebie wystrzelił! Mam wierzyć, że w r. 1870 Niemcy i Francuzi byłiby zarówno, i bez rozkazu monarchów i bez myśli o ojczyźnie, automatycznie maszerowali przeciwko sobie i tysiącami się zabijali! Mamże wierzyć, że choćbym nie miał świadomości tych myśli, które chcę wypowiedzieć, tak samobym siedział w tej chwili przy stole i te same znaki bezwiednie na papierze kreślił!... A to jest przecież, co twierdzą z Bain'em najkonsekwentniejsi psychologowie tej szkoły. I na to samo wszyscy materyaliści logicznie pisać się winni: albowiem w jakikolwiek sposób wyobrażają sobie mechanizm świadomości, zawsze pojąć ją muszą, jako zjawisko materyalne — poza materyą niema nic, według nich; — więc zawsze drugą stroną albo gruntem tego procederu, który podmiotowi przedstawia się, jako świadomość, będą atomy i ruchy atomiczne, prawom powszechnej mechaniki podległe; a więc też przejście od jednego stanu psychicznego do drugiego, od myśli do chcenia i czynu, odbywać się będzie w gruncie rzeczy przez czynniki mechaniczne i mocą praw mechaniki; uświadomienie zaś tego

procederu będzie zawsze tylko zjawiskiem pochodnem, skutkiem a nie przyczyną, latarnią przy maszynie.

Otóż ten wynik zabija, jak każdy widzi, hipotezę determinizmu fizycznego. Świadomość nie tylko postępowaniem człowieka rzeczywiście kieruje, — czemu zaprzeczyć byłoby niedorzecznością; — ale jeszcze przez organizm człowieka opanowuje świat zewnętrzny, i dziś wszystkie niemal twory i siły, jakie są na planecie, napiętnowała swym wpływem i wprzegła do swej usługi. Dosyć oczy otworzyć, aby to widzieć.

Zrobiliśmy pierwszy krok ku wolnej woli; zostaje nam jeszcze drugi, może trudniejszy, do zrobienia. W polu świadomości naszej znajdujemy i poznanie czyli wiedzę i chcenie: — chcenie wywołuje czyn, jak świadczy świadomość, ale na chcenie wpływa wiedza, a na wiedzę przedmiot. Wola, z powodu swego związku z rozumem, nie może chcieć, a tem mniej wybierać na ślepo, bez motywów czyli powodów, podanych przez rozum; jeżeli zaś jest kilka powodów przeciwnych, to jeden z nich musi być, albo przynajmniej musi się przedstawiać w danej chwili podmiotowi, jako lepszy albo mocniejszy — i wola za nim koniecznie pójdzie. Ażeby wybrała inaczej, musiałaby mieć jeszcze jakiś powód do przeniesienia powodów słabszych nad mocniejsze, lub równych nad równe; a wtedy znowu szłaby za większą siłą powodów. Bez tego wybór byłby wcale nieumotywowany, co jest niemożliwem. Więc ostatecznie wolę determinują poznane powody; a że poznanie nie jest wolnem, lecz warunkom przedmiotu podległem, więc wcale miejsca dla wolności niema.

Taki jest zarzut determinizmu logicznego, w którym — jak powiedzieliśmy — wielu filozofów mniej albo więcej się wikła. Nie da się zaprzeczyć, że tu jest pewna dla myśli zagadka. Zagadkę tę jednak, jak sądzimy, sami myśliciele wprowadzają, chcąc cały wybór woli wytłómaczyć rozumowo, i szukając tego tłómaczenia w rozumowych powodach. Jeżeli się wszystko w ten sposób tłómaczy, to tem samem sprowadza się wszystko do powodów i do rozumu, a dla inicjatywy woli żadnego się nie zostawiło miejsca. Postępując inaczej, i nie suponując więcej

wplywu motywów, niż wskazuje wewnętrzne doświadczenie, wypłyniemy, jak sądzę, bez trudności z tej Charybdy i trafimy do jaśniejszego pojęcia wolności woli.

To pewna najprzód, że jeżeli żaden przedmiot nie przedstawia się w wiedzy, to wola nie może chcieć ani wybierać — *nilhil volitum, nisi cognitum*; o tyle więc wola jest od rozumu zależną. Ale jeżeli rozum przedstawia — jak to zwykle czyni — różne rzeczy do zrobienia lub niezrobienia, czemużby wola nie mogła się sama dalej determinować? Potrzeba powodów — mówią. Ale czemuż są te powody? Często niczem innem, tylko jakością samego przedmiotu (wartość monety, smaczność jabłka); innymi razy, okolicznością, z danym przedmiotem jakbądź związaną (jak np. że ta moneta potrzebna mi jest do zapłacenia długu). W każdym razie przedmiot do pożądanego albo czyn do zrobienia, wraz z towarzyszącymi motywami, stanowi jedną całość poznaną, pociągającą wolę. Obok tego jednak przedstawia się możliwość, a często i motyw powstrzymania się od czynu. Wreszcie kilka przedmiotów ze swymi motywami stawić się może w świadomości równocześnie, i w takich warunkach, że tylko jeden z nich obrany być może. Otwiera się tedy dla działalności woli kilka dróg razem; każdą z nich wola racjonalnie obrać może, bo każda oświecona jest przez rozum i każda może mieć coś dla woli powabnego. Więc którąkolwiek wola wybierze, zawsze mogła obrać drugą, bo i w drugiej warunki wyboru były.

Powody są zawsze nierówne, mówią; — dajmy na to, że muszą być nierówne, — pytam jeszcze: czemu wola nie może iść w stronę motywu słabszego? Jeżeli się zgóry suponuje, że wola niema żadnej inicjatywy, i tyle tylko się porusza, ile jest popychana siłą motywów, to rzecz jasna, że byłaby w takim wyborze jakaś niemożliwość mechaniczna. Ale ta supozycja jest *petitio principii*, bierze za asumpt to właśnie, co jest zagadnieniem. Z punktu materyalizmu ta supozycja byłaby jeszcze zrozumiałą, ale materyalistów jużśmy minęli; z innego zaś stanowiska, kiedy się nie neguje zgóry wszelkiego pierwiastku psychicznego, czemużby się miało odmawiać woli tej odrobinie samodzielności wobec motywów, żeby niekoniecznie tyle tylko

chciała, ile ją motywa ciągną? Żadnej doprawdy podstawy do tego niema ¹.

Byłaby to — mówią jeszcze — działalność bezprzykładna, wyłamująca się z powszechnego prawa przyczynowości. — Że działalność taka wyróżniałaby się od praw, panujących w świecie materialnym, tośmy sami na początku powiedzieli; ale pokazaliśmy następnie, że niema żadnego na to dowodu, aby tę działalność pod te same prawa należało podciągnąć, a jest wiele — jak widzieliśmy — powodów do przypuszczenia, że ta działalność, i cały świat moralny, który się od niej poczyną, posiadają jakąś przyczynowość odrębną i wyższego rzędu, nie wykluczającą wcale idei przyczyny, tylko przydającą jej pewną inicjatywę, której nie znają przyczyny materialne.

Ale sprowadzili nas przeciwnicy na pole oderwanych spekulacyj; wróćmy do bezpośredniej obserwacji, zagadnijmy wewnętrzne doświadczenie, a przekonamy się, że takowe jeszcze mniej, niż metafizyka, za wymaganiami deterministów świadczy.

Że motywa przy wyborze muszą być zawsze nierówne, to jest asumpt apryoryczny, z teorii wzięty; doświadczenie zaś wewnętrzne wcale nam nie pokazuje, żeby w motywach, o ile się

¹ Reid i inni nowożytni spirytualiści wystawiali sobie wolność woli, jako zupełną obojętność i równowagę, na którą żadna siła nie działa, a tylko samorzutne jakieś *clinamen* woli na jedną lub na drugą stronę przechyla; co nazwali *libertas indifferentiae*. Przeciwno takiemu pojęciu rzeczy gwałtownie powstają dzisiejsi psychologowie, twierdząc, że taka wolność, niczem nieumotywowana, jest zgola niezrozumiałą i oddaje cały świat na łup nieobliczalnego kaprysu.

W rzeczy samej, według tego, cośmy powiedzieli, wola nie jest wcale obojętną, ale podlega naciskowi motywów, doznaje pociągu zmysłów, bywa ciągniętą w jedną stronę daleko silniej, niż w drugą; na tem tylko jej wolność zależy, że żadne motywa nie przeciągają jej koniecznie i bezwarunkowo, i w jej mocy jest czy jednym, czy drugim motywom uleść. Ztąd częściej idzie ona za silniejszymi motywami, i ztąd — jak później wytłómaczymy — w wielkich liczbach wypadków występuje pewna prawidłowość, dająca się obliczyć.

Zauważyć trzeba, że scholastycy, którzy wprowadzili wyraz techniczny *libertas indifferentiae*, nie rozumieli wcale przez to obojętności woli w znaczeniu Reid'a, ale tylko to, że pod wpływem motywów ona sama się ostatecznie determinuje: *cis electiva mediorum*.

świadomości przedstawiają, była zawsze nierówność. Mając wybrać między dwoma dukatami, niekoniecznie szukam lupy albo wagi, żeby odkryć coś lepszego w jednym, — ani robię, jak ów osioł Burydana, który (dla zasady determinizmu) zdechł z głodu między dwiema równymi wiązkami siana — ale poprostu jeden z dwóch dukatów biorę. I tak samo w mnóstwie potocznych zajęć codziennego życia postępuję.

Że znów w razie nierówności motywów, idę niechybnie za mocniejszym, czyli za tem, co się w danej chwili umysłowi przedstawia jako lepsze, — to także postulat z teorii wzięty, a doświadczenie wewnętrzne nie o tem nie wie. Przeciwnie, komuż nie wyrzuca sumienie, że nieraz w życiu zrobił to, co miał za gorsze? A nietylko po czynie, lecz i przed czynem i wśród samego czynu, rozum niekiedy potępia i za gorsze uznaje to, co wola obiera. Słowo starego poety było i jest zawsze wyrazem psychicznego zjawiska:

Video meliora, proboque,
Deteriora sequor.

Odpowiadają niektórzy psychologowie i etycy, że sąd rozumu, przeciw któremu występuje wola, jest tylko zdaniem ogólnem, co do pojedynczego zaś czynu, który ma się zrobić, rozum w ostatniej chwili przychodzi zawsze do zdania praktycznego: „to mam teraz zrobić“ (*judicium practicum*), od którego wola nigdy nie zbacza. — Nam się zdaje, że i w tem wymaganiu jest więcej teorii niż obserwacji. Wydaje nam się przeciwnie z wewnętrznego doświadczenia widocznem, że rozum nie tylko ogółową modłę postępowania dyktuje, ale stosuje takową do pojedynczego czynu; a kiedy wola co innego obiera, to rozum i przed czynem i wśród samego czynu wybór jej za gorszy uznaje i gani. Jeżeli zaś niekiedy rozum przychodzi do uznania w praktyce za lepsze tego, co w zasadzie miał za gorsze, to czyni to pod naciskiem woli: bo wola, jak niżej zobaczymy, już wśród rozbioru motywów, zwykle ku pewnej stronie się przechyla, i na całe namyślanie się rozumu znaczny wpływ wywiera. Ostatecznie, czy ów końcowy sąd: „to mam zrobić“,

ma zawsze miejsce, czy nie zawsze — nie jest on wcale zdaniem rozumu, determinującym wybór woli — ale przeciwnie jest wyrazem ukończonego wyboru woli, sformułowanem rozumowo¹.

Jedno jeszcze zarzucić mogą determiniści; mianowicie, że kiedy wola obiera to, co rozum uznaje za gorsze, to ulega naciskowi niższych instynktów i namiętności, a te wszelką wolność wykluczają. — Otóż najprzód, nie każde zboczenie woli od wskazówek rozumu da się przypisać popędom zmysłowym: człowiek, który się namyśla, czy skłamać czy prawdę powiedzieć, może chwilowo nie być wcale pod wpływem zmysłowości, a jednak może obrać to, co rozum za gorsze uznaje. To samo powiedzieć można o mnóstwie innych zboczeń. Ale to pominąwszy, co sądzić wogóle o wpływie namiętności i zmysłowych popędów na wolną wolę?

Prawda, że silna namiętność umniejsza zwykle wolność woli; zdarza się nawet, że zupełnie ją znosi w pewnych chwilach. Zkądinąd przekonany jestem, że takie chwile nadzwyczaj są rzadkie, i że tylko wtedy zupełnie ustaje wolność woli i odpowiedzialność, kiedy gaśnie samowiedza. Ale to do obecnej rzeczy nie należy. Kiedy kwestya jest: czy wolna wola wogóle istnieje, nie trzeba brać do badania wypadków skrajnych — gdzie namiętność do paroksyzmu dochodzi, a woli najtrudniej swój charakter objawić; ale trzeba mieć przed oczyma wypadki potoczne i normalne, gdzie instynkty i namiętności odzywają się, lecz nie zasłaniają całkiem innych sił, w człowieku istniejących. W tych wypadkach (które każdy w sobie samym lepiej, niż w opisach

¹ Z tego wszystkiego taki morał dla deterministów wypływa, że właśnie ich poglądy i wywody są metafizyką: — złą metafizyką, bo pojęcie determinowanej przyczynowości ze świata zewnętrznego, bez dowodu, do wewnętrznego przenoszą, albo znów zasadę racji dostatecznej nieodpowiednio do wyboru woli stosują — ale zawsze metafizyką: bo to są same rezonowania, osnute na idei przyczynowości, na domniemanej tożsamości bytu ducha i materii. Gdy tymczasem obserwacja bezpośrednia, t. j. wewnętrzna, jedynie na korzyść wolności woli przemawia. I ztąd to pochodzi, że ogół ludzkości wierzy w wolną wolę, a zaprzeczenie jej zjawia się tylko u ludzi spekulacyi oddanych.

powieściowych obserwować może) wola odczuwa niewątpliwie pociągi zmysłów i wstrząśnienia namiętności, — ale nie czuje się fatalnie zmuszoną; gdy chce wbrew tym pociągom działać, doznaje jakiejś trudności, potrzebuje większego wysiłku, jakby ciężar jakiś dźwignąć miała, — ale nie czuje się zupełnie bezsilną.

Ciągle przecież widzimy naokoło siebie, że wola niższym instynktom się opiera. Są wcale nie wyjątkowi ludzie, którzy stale nad namiętnościami panują. Ci, którzy nie są w ich skórze, wystawiają sobie, że oni z natury są takimi. Ale, żeby ich z błędu wyprowadzić, są inni, którzy w pewnej chwili życia przestali namiętnościom ulegać, nie wskutek zmiany w ich organizmie, ale wskutek zmiany czysto moralnej w woli. Wreszcie, kto wątpi jeszcze, niech sam na sobie eksperymentuje. Co czyni fizyk, który słyszy o czyjemś doświadczeniu, a nie dowierza mu? — sam doświadcza. I my tak czynimy co do wolności woli¹.

(Dok. nast.).

Ks. Maryan Morawski.

¹ Dotąd usunęliśmy ogólne zarzuty i uprzedzenia, przez deterministów nagromadzone, które zagrażały poniekąd drogę do wolnej woli. Zostaje nam jeszcze do widzenia, jakie są pozytywne dowody wolności woli. Wkońcu zbadaamy kilka szczególnych zarzutów, wywołanych przez nowożytne odkrycia, jak: stałość ilości siły w świecie — zjawiska hipnotyzmu — wyniki statystyki kryminalnej.



PRZYCZYNEK

DO HISTORII KOŚCIOŁA PANNY MARYI

W KRAKOWIE.

Wydawca: S. p. ks. Zdzisław Bartkiewicz.

Nieodżałowanej pamięci towarzysz naszej pracy redakcyjnej, ks. Zdzisław Bartkiewicz T. J. rozpoczął przed rokiem obszerne i źródłowe studia nad historią kościoła Panny Maryi. Walcząc już z objawami ostatniej choroby, spędzał całe dnie w archiwum Maryackim, odczytywał stare foliały i pergaminy, zbierał moc zapisków; — i spodziewaliśmy się wkrótce ujrzeć monografię Maryackiej świątyni, skreśloną z właściwą ks. Zdzisławowi jednością, a pełną oryginalnych poglądów, z którymi się już nieraz w rozmowach z nami dzielił. Gdy śmierć przerwała tę pracę, mieliśmy nadzieję, że w jego papierach znajdziemy znaczną część opracowaną i materyał, pozwalający jakotako uzupełnić resztę. Tymczasem faktycznie znalazły się tylko dwa fragmenta, które obecnie w *Przeglądzie* ogłaszamy, a oprócz tego urywki i zapiski, z których jedynie autor mógłby był całość złożyć.

Redakcja.

I.

Pierwsze początki Maryackiego kościoła.

Początek kościoła N. Panny Maryi sięga pierwszej połowy XIII w. Odwieczna tradycja, zapiski historyczne, jakie się przechowały z owych czasów, a wreszcie napis, umieszczony na

wewnętrznej ścianie prezbiterium, przysądżają Iwonowi, biskupowi krakowskiemu fundatorstwo tej świątyni w r. 1226. Oto co mówi napis:

D. O. M.
 BEATISSIMAE VIRGINI MARIAE
 IN COELUM ASSUMPTAE
 SACRAS HAS AEDES
 IVO ODOVOSIUS EP. CR. EREXIT A. D. 1226.

Ale czy rok tu wyrażony jest datą rozpoczęcia budowy, czy może jej ukończenia i konsekracyi, z tych kilku słów dojść niepodobna. Oryginalny akt erekcyi, przez Iwona wystawiony, zaginął. Błąka się wprawdzie po bibliotekach, archiwach i książkach odpis tego aktu; ale temu zarzucił słusznie dr. Piekosiński, że jest niewątpliwym fałzyfikatem. A choćby zresztą był nawet wierzytelnym odpisem oryginału, słowo *ereximus*, w nim użyte, niewiele nas pouczyć może w tej mierze.

Więcej może nas objaśnić powód, który skłonił Iwona do wzniesienia świątyni N. Panny Maryi w Krakowie. Biskup Iwo w czasie pobytu swego w Rzymie w r. 1218, uderzony świętością życia, pracami apostołskimi, a nadewszystko cudami św. Dominika, zapragnął mieć synów jego u siebie. Spełnienie jego pragnienia i prośby ułatwiło wstąpienie do zakonu dominikańskiego czterech osób z jego dworu, mianowicie dwóch jego synowców Jacka i Czesława Odrowążów, a dalej Hermanna Niemca i Henryka, Morawianinem zwanego. Jak długo pozostawali oni w nowicyacie, oznaczyć się nie da; dominikańscy pisarze powiadają: *per exiguum tempus*, poczem wyruszyli z powrotem do ojczyzny, tak że stanęli w Krakowie najpóźniej w r. 1220. Do tej konkluzyi dochodzi p. Œwikliński w wydany przez się żywocie św. Jacka w „Pomnikach dziejowych polskich“, zestawivszy Rocznik Krasivskich i Katalog biskupów krakowskich z pizaczami dominikańskimi. Na to zgadzają się i Bollandyści w żywocie św. Jacka; owszem, przypuszczają, że ta data może być nawet wcześniejszą t. j. że przybyli oni do Krakowa w r. 1219.

Przez cztery lata — jak twierdzi tradycja dominikańska —

zatrzymał ich Iwo na dworze swoim. Przyczynę tego odgadnąć nie trudno: nie miał ich jeszcze gdzie umieścić. Przez ten czas budował nowy kościół farny w miejsce dotychczasowego, który przeznaczył dla zakonu kaznodziejskiego. Nie umieścił ich zaraz przy tym kościele; inaczejby nabożeństwa i obchody parafialne turbowały porządek pacierzy i ćwiczeń zakonnych, a powtórę łatwoby ich w takim razie pociągano do zajęć i obowiązków parafialnych, czego nie życzył sobie Iwo stanowczo. W dyplomie erekcyjnym klasztoru św. Trójcy powiada wyraźnie: „Chcę, aby kościół, poddany ich zwierzchnictwu, wolny był od wszelkiej troski parafialnej, chybaby się tymże braciom spodobało niekiedy nawiedzać chorych z pobudek miłosierdzia, któremu się oddają“¹.

Kiedy nastąpiło przeniesienie parafii, niewiadomo. Pisarze dominikańscy, a obok nich Długosz, podają, że oddanie klasztoru i kościoła św. Trójcy OO. Dominikanom odbyło się w r. 1223 w uroczystość Zwiastowania N. P. Maryi, co łatwo może być prawdą, zwłaszcza w przypuszczeniu, że przybyli do Krakowa w r. 1219. Krótko więc przedtem musiało się odbyć przeniesienie parafii do kościoła N. Panny Maryi, skoro na dyplomie, wydanym przez Leszka Białego w r. 1224, a przysądzającym przysiołek w Pelczyskach Iwonowi, biskupowi krakowskiemu, figuruje jakiś *Stephanus parrochianus sancte Marie de cracovia*².

Na Długoszu trudno się nam tu oprzeć, bo niedokładnie całą tę rzecz przedstawia. Położywszy bowiem błędnie pod rokiem 1223 przybycie św. Jacka do Krakowa, dodaje: „Wtedy Iwo, biskup krakowski, wystawił w rynku miasta Krakowa nowy kościół na cześć Najświętszej Maryi Bogarodziicy i do niego przeniósł parafię, która wprzód należała do kościoła św. Trójcy“³. W *Liber Beneficiorum*, gdzie się szeroko rozwiódł nad sprowadzeniem OO. Dominikanów do Polski, pominąwszy rok podróży Iwona do Rzymu, wysyła ich wspólnie z Iwonem do Polski; tam bawią przez czas jakiś na Iwona dworze t. j. od uroczysto-

¹ Kodeks Ryszczewskiego i Muczkowskiego.

² „Kodeks dypl. katedry krak.“ cz. I, str. 21.

³ Jana Długosza „Dziejów Polski ksiąg dwanaście“, tom II, str. 202.

ści Wszystkich Świętych do święta Zwiastowania N. Panny r. 1223, w którym to dniu sprowadza ich do opróżnionego przez parafię kościoła św. Trójcy. Wkońcu jednak dodaje, iż napotkał w starych pismach, że Iwo ufundował i założył klasztor św. Trójcy dla zakonu kaznodziejskiego w Krakowie 30 września r. 1227 w dzień św. Wacława¹, ale różnicy tych dat nie tłumaczy. Wyrećca go w tem ks. biskup Łętowski w krótkiej a węzłowatej odpowiedzi. „Akt oddania kościoła św. Trójcy — powiada — jest dopiero z r. 1227, o czem wie Długosz i położył go na str. 374; ale to nie bruździło, gdyż mogli mieć go pierwiej“².

Na to się jednak niemal wszyscy zgadzają, że kiedy Iwo przeniósł parafię do kościoła N. P. Maryi, ten był już wybudowany. *Ad tunc extructam*, powiada Kromer, — *ob id tunc extructam* Starowolski, — „który samże wybudował“, pisze Marcin Bielski i t. d. Być może, co zresztą jest i prawdopodobniejszem, że kościół ten nie był wówczas zupełnie wykończony, ale już o tyle gotów, że nabożeństwo mogło się w nim odprawiać. Ztąd i tradycyjna data erekcyi kościoła czyli dyplomu, wydanego przez Iwona w r. 1226, byłaby datą zupełnego ukończenia, a może i konsekracyi kościoła; ale to „nie bruździ“, gdyż parafia mogła go mieć pierwiej i z niego korzystać.

W jakim stylu, jakich rozmiarów, a wreszcie z jakiego materiału był ten kościół Iwonowy, z drzewa li, czy z kamienia, o tem niemasz nigdzie najmniejszej wzmianki. Moznaby przypuszczać, że nie był on w stylu gotyckim, ale raczej romańskim, bo ten w owych czasach był tu powszechniejszy; atoli napewno tego twierdzić nie można, skoro kościół w Końskich, który uchodzi za wiele wcześniejszy, a przynajmniej czasów Iwona i jego fundacyi sięga, jest w stylu ostrołukowym. W tymże stylu również ma być kościół w Luborzycy, przez Iwona wzniesiony. Być także może, że Panna Marya była w stylu przejściowym z romańskiego do ostrołukowego, jakim miał być pierwotnie ko-

¹ J. Długosz, *Liber Beneficiorum*, t. III, str. 448—450.

² „Katalog biskupów, prałatów i kanoników krakowskich“, przez ks. Ludwika Łętowskiego, t. I, str. 127.

ściół w Mogile, równocześnie prawie przez Iwona dla Cystersów fundowany.

Przeciąg lat czterech, który służył do budowy, a lat sześciu do zupełnego jej wykończenia, nasuwa wątpliwości co do rozmiarów i materiału użytego. Gdyby wymiary ówczesnego Maryackiego kościoła były te same, co dzisiaj, a przytem materiał ten sam, niepodobną zdaje się rzeczą, żeby budowa tak krótko trwała. Na dzisiejsze stosunki byłoby to za prędko; a w owych dawnych czasach — pominąwszy brak dzisiejszych ułatwień mechanicznych i środków komunikacyjnych — nie żyło się tak gorączkowo, jak dziś, nie sadzono się na pośpiech, ale na monumentalność; chciano zostawić potomkom pamiątkę po sobie trwałą, na przeżycie wieków obrachowaną. Na wymurowanie wielkiego kościoła potrzeba im było lat najmniej kilkunastu, zwykle kilkadziesiąt. Starowolski wprawdzie twierdzi, że wszystkie świątynie Iwonowej fundacji były z cegieł, *ex lateribus coctis*, ale to się nie ostoi, bo pewną jest rzeczą, że kościoły, przez niego postawione w Daleszycach i Biskupicach, były drewniane. Podobnie z drzewa wystawił Iwo kościół św. Pawła w Sandomierzu, do którego przeniósł farę od św. Jakóba i osadził przy nim Dominikanów w r. 1226. A ówczesny Sandomierz, jako stolica księstwa, był równie wielkiem miastem.

Te wszystkie względy prawdopodobnem czynią przypuszczenie, że Iwonowy kościół N. Panny Maryi był drewniany. Rozstrzygającą tu rolę grały pobudki, które kierowały Iwonem przy założeniu tej świątyni. Czy chodziło mu o to, by wystawić w głównem mieście na ziemi polskiej jak najgodniejszy przybytek dla Królowej nieba? czy ten kościół miał być niejako koroną wszystkich jego dzieł? — czy też szło mu poprostu o jak najprędsze opróżnienie kościoła św. Trójcy, żeby przy nim osadzić Dominikanów i dać im sposobność żyć i pracować wedle reguły i ducha ich św. patryarchy? Gdybyśmy o tem wiedzieli, to moglibyśmy śmielej wnioskować o rozmiarach i rodzaju świątyni, którą wystawił; ale niestety, za mało znamy szczegółów z życia Iwona, żeby móc coś stanowczego o tem powiedzieć.

W trzy lata po wzniesieniu kościoła N. Panny Maryi zmarł

Iwo w podróży z Rzymu do Modeny, zasłużywszy się dobrze Bogu, ojczyźnie i ludowi. Budowa kościoła N. Panny Maryi odpłaciła mu się dziwnie wdzięczną pamięcią. Imię Iwona tak przyłgnęło do tej świątyni, że pomimo zmian, jakie przechodziła, wieki nie zatraciły tradycyi jego fundatorstwa, i do dziś dnia ogół mniema, że to arcydzieło architektury średniowiecznej, które podziwiamy, jest dziełem Iwonowem, jeżeli nie w całości, to przynajmniej w części. I gdyby badać, odkąd ta tradycja się datuje, cofnąćby się nam potrzeba przynajmniej do początków XVI w. Pierwszym urzędowym dokumentem, który stwierdza tę tradycję, jest list prymasa, Andrzeja Krzyckiego, i Jana Latańskiego, biskupa krakowskiego, ogłaszający akt erekcyi, rzekomo przez Iwona wystawiony. W aktach wizyty kardynała Radziwiłła, odbytej w kościele N. Panny Maryi r. 1559, wzniesienie świątyni przyznane jest Iwonowi i zacytowany również akt erekcyi w całej rozciągłości. Piszący kronikę swoich czasów ks. Zellner w końcu XVI w. powiada: „Anno 1218 kościół Panny Maryi w rynku postawiono z wieżami“. Z aktów zaś miejskich z r. 1706 dowiadujemy się, że: „Burmistrz na radzie gminnej wniósł, co następuje: „Archiprezbiter z ambony ogłosić kazał, że d. 7 lipca odprawiać się będzie nabożeństwo *gratiarum actionis* za to, że od r. 1226 aż do tego czasu przez 500 lat od *actu consecrationis* tenże dom boży nienaruszenie trwa i zostaje“... Urząd więc za przypożyczoną rzecz poczyta wezwać PP. mieszczan, aby się w kościele *in corona numerosa* stawili, a PP. cechowi tak zrana, jako i po południu z świecami stanęli“¹. Wreszcie w r. 1803 ks. Karol Lochman, archiprezbiter, w urzędowym opisie kościoła, opatrzonym jego własnoręcznym podpisem i pieczęcią, powiada: „Świątynia ta, wzniesiona przez Iwona, biskupa krakowskiego, pod wezwaniem Najśw. Maryi Panny Wniebowziętej, wystawiona jest z muru trwałego“...

A jak w aktach urzędowych, tak tem bardziej wśród ogółu utrzymywało się to podanie aż do naszych czasów. Rzecz dzi-

¹ „Starożytnicze wiadomości o Krakowie“, zebrał Ambr. Grabowski. Kraków 1852, str. 36—37.

wna, że nawet w ostatnich dziesiątkach lat piszący o tym kościele, którzy wiedzieli napewno, że Maryacka świątynia jest dziełem innych rąk i późniejszych od Iwona czasów, mimo to, jakby z obawy, żeby nie odrzec jej z legendowego uroku, omijali tę kwestyę, rozpisując się raczej o wdziękach struktury, czystości jej stylu lub o licznych dziełach sztuki i pamiątkach w niej zawartych. Ale zobaczmy już sami dzieje świątyni Iwonowej, a przekonamy się, co jest prawdą w tej mierze.

Piętnaście lat minęło od zupełnego ukończenia kościoła Panny Maryi. Przez ten czas niemałe zmiany zaszły w Krakowie. Po Leszku, zabitym w Gąsawie r. 1227, pozostał małoletni syn jego Bolesław, niezdolny jeszcze do rządów. O opiekę nad małoletnim poczęli się dobijać Konrad Mazowiecki i Henryk, książę wrocławski, którego wezwała na pomoc Grzymisława, matka sieroty, i małopolscy panowie. Lat kilka trwały te zapasy, z różnem szczęściem dla obu stron prowadzone; aż wreszcie w 1234 r. zwycięski Henryk zagarnął ziemię krakowską. Tymczasem nadszedł r. 1240, który krwawo zapisał się w dziejach polskiej ziemi. Już przed dwadziestu zgórą laty obilo się o uszy Europy straszne *atta* i w ślad za niem ukazały się hordy azyatyckie pod wodzą Temudszyna. Ale wtedy tylko Polowcy i Ruś południowa doznała ich srogości. Teraz następca Temudszyna, Batu-chan, ruszył na podbicie Zachodu z ogromnemi hordami; przeszedł zwycięsko, mordując i paląc, przez księstwa wschodnie, spustoszył Ruś i zwrócił się na Polskę. Lublin, Zawichost, a wreszcie Sandomierz legły w gruzach, a ludność częścią wymordowaną została, częścią schroniła się w bory. Pod Sandomierzem rozdzieliły się hordy: połowa ruszyła na Kujawy, druga na Kraków. Pogrom rycerstwa polskiego pod Turskiem i Chmielnikiem otworzył im drogę do stolicy. — Oto jak opisuje Długosz los Krakowa: „Tatarzy, po zadanej Polakom pod Chmielnikiem klęsce, podstąpili pod Kraków, w sam dzień Popielcowy, a zastawszy go od mieszkańców opuszczonym (wszyscy bowiem do miejsc skrytych pouciekali; wywarli swoją srogość na kościoły, domy

i wszystkie miejskie budynki; samo wreszcie miasto w dzień Wielkiejnocy z dymem puścili. Ale chociaż kościół św. Jędrzeja, podówczas za murami miasta stojący, do którego liczny zgarnął się był gmin ubogich i chorych wraz z ich dziećmi i całą chudobą, Tatarzy zdobyć usiłowali, w mniemaniu, że tam całego miasta złożone były dostatki i majątki, Polacy jednak, broniący tego kościoła z wielką mocą i walecznością, zmusili ich odstąpić od oblężenia“. Jeszcze krócej los kościołów krakowskich wyraża Rocznik krakowski: *Tarthari Cracoviam intrantes ecclesias succendunt.*

Świadectwo tak jasne, że nie potrzebuje tłómaczenia. W opuszczonym przez ludność grodzie ofiarą dzikości tatarskiej ulegają w pierwszej linii kościoły, dalej domy i wszystkie inne budowle w mieście. Wpada dzieć do nich, porywa resztki, których unieść nie zdołali mieszkańcy; czego zabrać nie może, pustoszy, druzgoce, a wreszcie oddaje wszystko na pastwę płomieni. Zgliszcze i gruz, „szczęty“ — jak mówi Długosz na innem miejscu — oto co pozostało z licznych świątyń i budynków stołecznego grodu. Żaden kościół nie ocalał wśród miasta; jedynie stojący poza jego murami kościół św. Andrzeja oparł się przemocy tatarskiej. Oto więc los, jaki spotkał Iwonową świątynię.

„Gniew boży tymczasem — jak powiada Długosz — nie ustawał nad Krakowem i ciężyla nad nim ręka surowej karni“. Tatarzy, obiegłszy Szląsk i Morawę, rozgospodarowali się na Węgrzech. W tydzień potem jakiś odłam hordy przez ziemię spiską wpada „szybkim pędem“ do Polski, uderza na Kraków, niczego się nie spodziewający, a sprawiwszy w nim rzeź straszną i złupiwszy „szczęty“ miasta, powraca przez ziemię oświęcimską do Węgier. Tak więc Kraków w krótkim przeciągu czasu podwakroć uległ zniszczeniu. Co ocalało w pierwszym pogromie, to zniweczył drugi napad; dopełniła ruin powtórna pożoga, bo Tatarzyn czego nie uniósł łupem a mieczem nie zniszczył — niweczył pożarem.

Powoli, ostrożnie napływała ludność do stolicy, ale o prędkim jej odbudowaniu nie mogło być mowy. Ziemia krakowska, spustoszona przez hordy barbarzyńców, przez lat siedm ulegała

jeszcze ciągłym najazdom Konrada. Dopiero z jego śmiercią pokój i dobrobyt począł zakwitać w Krakowie pod rządami Bolesława Wstydlwego. W tym to czasie napotykamy słabą wzmiankę o kościele Maryackim. Oto na dyplomie biskupa Prandoty z dnia 25 marca 1248 r., pozwalającym na zmianę dziesięcin dziekanowi sandomierskiemu z rektorem domu szpitalników w Zagościu, znajduje się jako świadek *dominus Petrus capellanus s. Marie in Cracovia et canonicus maioris ecclesiae in predicta civitate*¹.

Jako kanonik krakowski, Piotr był z pewnością zwierzchnikiem w parafii N. P. Maryi; — ale czemu nosi on tylko skromną nazwę *capellanus*? Być może, że na miejscu kościoła, przez Iwona wystawionego, stała tymczasowo kapliczka tylko; ztąd i Piotr nie bierze tytułu *rector* lub *praepositus ecclesiae*, bo kościoła nie było wcale.

Tymczasem Bolesław Wstydlwy, „chcąc — jak mówi Długosz — stołeczne swoje miasto pomyślniejszym obdarzyć wzrostem, którego pod rządem Polaków i prawem polskim osiągnąć nie mogło, nadał je prawem szwedzkim czyli teutońskim“. Była to przynęta dla cudzoziemców, a zwłaszcza pogranicznych Niemców, którzy w takich warunkach radzi się osiedlali.

Napływ obcego żywiołu powstrzymało chwilowo powtórne najście Tatarów do Polski w 1259 r. pod wodzą Nogaja i Telebugi. I znowu, jak ongi w r. 1241, „jakby kto po Polsce rozpalonem przeciągnął żelazem“, zaczerzniała w miejscu miasteczek i wiosek pustynia, ciągnąca się od Sandomierza aż poza Kraków; jasyru uprawdzono moc niezliczoną. Słowem, „była to — jak powiada Długosz — większa daleko na Polskę i Polaków klęska, sroższe mordy i grabieże od owych, które przed ośmnastu blisko laty poniosła szlachta krakowska i sandomierska“².

Raz jeszcze w tym samym wieku zagnali się Tatarzy pod Kraków w r. 1287, ale tą razą, widząc go do obrony gotowym, odstąpili od murów. Był to ostatni zapęd, który ich uniósł tak daleko w głąb kraju. Odtąd nieraz, a zwłaszcza w późniejszych

¹ „Kodeks dypl. Małop.“, t. I, str. 36.

² Długosz, „Dzieje Polski“, tom II, str. 362.

czasach, odgrażali się chanowie i murzowie tatarscy, że w Wiśle pod Krakowem konie swoje poić będą, — ale były to czeze pogrozki, które nie doczekały się już nigdy ziszczenia.

Tucza tatarska przewaliła się przez Polskę równie prędko, jak na nią spadła, a po niejakiem czasie z gór, lasów i pieczar Ojcowskich poczęły ciągnąć procesye mieszkańców Krakowa z rodzinami i dobytkiem, jaki w szybkiej ucieczce zdołali unieść ze sobą. I poczęło się mozolne odbudowanie miasta; ale już wedle planu wójta, który zaraz po zaprowadzeniu prawa magdeburskiego po raz pierwszy utworzył rynek środkowy i wytyczył ulice i domów skład i porządek oznaczył. Pomagali w tem mieszkańcom Krakowa koloniści, poczynający napływać do Małopolski, a zwłaszcza do Krakowa, który, obdarzony licznymi przywilejami, a uwolniony od wielu ciężarów przez Bolesława Wstydliwego, obiecywał stać się ważnem miastem handlowem. W takich warunkach, po niedługim czasie ślady napadów tatarskich znikły, a miasto zakwitło dobrobytem i zamożnością tak dalece, że za czasów Kazimierza Wielkiego potrzeba było aż prawami i karami powściągać zbytek mieszczan krakowskich.

Tymczasem niejednemu z mieszczan — a byli to ludzie onej gorącej średniowiecznej wiary — przychodziło na myśl, że kiedy oni sami mają domy obszerne i zamożne, to nie przystoi, by Pan Bóg, dawca tego wszystkiego, mieszkał pośród nich w największem ubóstwie. W istocie, w rogu rynku, okolonym porządnymi domami mieszczan, miał Pan Bóg swój przybytek — a była nim kapliczka uboga, wzniesiona czasowo, nie mogąca zadośćuczynić potrzebom licznej parafii. Myśl, potem słowa rzucone przez niejednego, popchnęły niezadługo mieszczan do czynu. Zbiera się rada miejska i postanawia wznieść swoim kosztem kościół N. Panny Maryi. Sprężystą dłoń ujmuje magistrat ster dzieła, i rozpoczyna się fabryka w ostatnich dziesiątkach lat XIII wieku.

W którym roku padło postanowienie i kiedy rozpoczęto powtórna budowę kościoła Panny Maryi, powiedzieć nie możemy, z pierwszych bowiem stu lat istnienia tegoż kościoła nie posiadamy żadnych prawie zapisek. Być może, że znajdzie

się jeszcze kiedyś historia kościoła z owych czasów, bo że takowa istniała, nie masz wątpliwości, skoro w rubryce rozchodów na rok 1394 zanotowany jest wydatek: *pro pergameno ad istoriam beate Marie*¹.

W początkach XIV wieku spotykamy pierwsze wyraźne wzmianki o budowie tej starej świątyni. I tak: w r. 1303 Sulisława, obywatelka miasta Krakowa, czyniąc testament, między innymi oświadcza, że *usum unius lanci panis concedit ad opus beate Virginis Marie*, i to na tak długo, jak długo trwać będą roboty koło wspomnianego kościoła². W roku znowu 1316 przed sądem ławniczym w Krakowie jawi się mieszczanin Tymon, i zapisuje testamentem jedną czwartą część swego kramu na własność żonie Gertrudzie, drugą zaś czwartą daje jej w dożywocie, z tem jednak zastrzeżeniem, że po jej śmierci, część ta ma być sprzedana, a pieniądze mają być dane *ad fabricam ecclesie beate Virginis* i do innych miejsc świętych³. We dwa lata później, a więc w r. 1318 Marussa, wdowa po Wilhelmie, zeznaje przed sądem, że mąż jej wedle ostatniej swej woli rozporządził, by co rok daną była grzywna groszowa do kościoła Panny Maryi na światło⁴. W kilka tygodni też sama *domina Marussa*, za poradą rajców, sprzedaje jedną grzywnę czynszową, umieszczoną na kramie Lexandra za ośm marek groszowych, i pieniądze te daje i ofiaruje *ad fabricam ecclesie sancte Marie Virginis*⁵.

Z tych, choć nielicznych świadectw widać, że budowa kościoła trwała w zaczątkach XIV wieku. Z końcem jednakże drugiego dziesiątka kościół był już w tem stadium, że można było przystąpić do jego konsekracyi, która się odbyła w r. 1319 albo w jednym z dwu lat następnych, a dokonana została zapewne przez miejscowego biskupa Nankiera. Domysł ten opieramy na liście patriarchy aleksandryjskiego Egidyusza i trzyna-

¹ „Najstarsze księgi i rachunki miasta Krakowa“, część II, str. 306 ad 44.

² „Kodeks dyplom. m. Krakowa“, część III, str. 493.

³ „Najstarsze księgi i rachunki miasta Krakowa“, część I, str. 38, zapiska 358.

⁴ Tamże, str. 49, zapiska 477.

⁵ Tamże, str. 49, zapiska 487.

stu innych biskupów, którzy dnia 1 października 1321 r. w Awinionie nadają odpust 40-dniowy wszystkim wiernym, którzyby po dopełnieniu zwykłych warunków spowiedzi i komunii św. odwiedzili kościół N. Panny Maryi w Krakowie w oznaczone uroczystości i święta. Między tymi dniami, na samym końcu, dołączony jest dzień poświęcenia kościoła, z oktawą po nim następującą. *Nec non in commemoratione omnium sanctorum, in dedicatione ipsius ecclesie et per predictarum festivitatum octavas*¹. Dokument ten potwierdzony jest przez Nankiera, biskupa krakowskiego, i jego opatrzony pieczęcią. *Dedicatio ecclesiae* może mieć dwa znaczenia: albo oznacza pierwsze poświęcenie kościoła, albo też rocznicę tejże uroczystości. W jakim znaczeniu tutaj użyto słowa *dedicatio*, nietrudno dociec. Poświęcenie kościoła jest aktem najważniejszym w jego dziejach; od tej chwili staje się on domem bożym i miejscem modlitwy. Ztąd akt ten odbywa się z wszelką okazałością, a im dawniejsze czasy, tem świetniej go obchodzono. Jeźliby więc mieszczanie krakowscy prosili o nadanie odpustu w dzień poświęcenia kościoła Panny Maryi, które się dopiero dokonać miało, biskupi oni wydaliby z pewnością osobny akt, nadający odpusty na dzień tak uroczysty, a przynajmniej położyliby ten dzień na samym początku wymienionych świąt, jako dzień największej doniosłości i znaczenia dla kościoła Panny Maryi i miasta Krakowa. Przytem, jakkolwiek kościół podówczas nie był tak hojny jak dzisiaj w udzielaniu odpustów, to w dzień jednak poświęcenia kościoła biskupi oni, nadający w Awinionie, a więc widocznie w imieniu papieża, odpusty, nie byliby poprzestali na 40 dniach, ale naznaczyliby kilka lat albo przynajmniej kilka kwadragen. Tymczasem, skoro w liście biskupów umieszczono dzień *dedicationis* na samym końcu świąt, corocznie się powtarzających, z jednakim odpustem, to rzecz jasna, że mowa tam jest nie o pierwszym poświęceniu czyli konsekracyi, ale o rocznicy czyli t. zw. aniwersarzu dedykacyi.

Takiż sam odpust nadają w r. 1325: Jakób, biskup motoński,

¹ „Kodeks dyplom. miasta Krakowa“, część III, str. 494.

i Szczepan, biskup weryjski, na prośbę *Iohannis Sueri*¹; a w rok później dwaj poprzedni, wraz z Aniołem, biskupem sulcytańskim i papieskim penitencjarzem, na prośbę *nicolai Rutheni*². Oba te dokumenty wydane są w Rzymie, a potwierdzone przez Jana Grota, biskupa naonczas krakowskiego. A nie tylko obcy, ale i swoi biskupi darzą kościół Panny Maryi odpustami. I tak w 1327 r. Janisław arcybiskup gnieźnieński, Jan biskup krakowski i Maciej kujawski, nadają odpust 40-dniowy za nawiedzenie w sobotę kościoła Panny Maryi³. Z tego widać, że kościół stał i służył już nabożeństwu wiernych.

Z drugiej strony z nadań tychże samych odpustów pokazuje się, że mimo odbywanego już w kościele nabożeństwa praca budowlana trwała dalej. Przytoczony co dopiero dokument polskich biskupów obdarza odpustami nie tylko za odwiedzanie kościoła w sobotę, ale także za przyłożenie się do fabryki: *iis etiam, qui ad fabricam eiusdem ecclesie manus porrexerint adiutrices*. Ta sama prawie formułka powtarza się przy wielu odpustach, w tym czasie nadawanych: z tą klauzulą r. 1326 udzielają odpustu trzej biskupi na prośbę Mikołaja Rusina; tak samo r. 1338 Andrzej, biskup koroński i pięciu innych na prośbę *Detherici de Senele*, który z Rzymu miał zawieść relikwie dla kościoła P. Maryi w Krakowie⁴.

Ale jeszcze wyraźniej przemawiają za trwaniem robót prywatne zapisy, które się w ciągu tych lat ustawicznie powtarzają. Tak np. między innemi: r. 1321 Alussa, wdowa po Otonie, mieszczaninie krakowskim, wybierając się w pielgrzymkę do Rzymu, czyni testament przed sądem i 20 grzywien denarowych przeznacza dla kościoła N. Panny Maryi *pro fabrica*⁵. W r. 1325 rajcy miasta Krakowa sprzedają przy ulicy św. Floryana połowę domu i pole do niego należące, jako rzecz, zapisaną testamentem *ad opus ecclesie sancte Marie*⁶. W rok potem wdowa po Janie Gel-

¹ „Kodeks dypl. miasta Krakowa“, część III, str. 496.

² Tamże, str. 496, 497.

³ Tamże, str. 498.

⁴ Tamże, str. 501—2.

⁵ „Najstarsze księgi i rach. m. Krakowa“, część I, str. 61, zapiska 616.

⁶ Tamże, str. 77, zapiska 750.

horze, wybierając się na jakąś pobożną pielgrzymkę, zapisuje pół swego kramu *beate Marie ad opus ecclesie*. Kram ten najpierw ma być wydzierżawianym jej krewnym, jeżeli się jacy znajdą, gdyby zaś roboty w kościele Panny Maryi dla braku funduszków wolnym zaczęły postępować krokiem (*si opus claudicaret*), wówczas, za zgodą pp. rajców, kram ma być sprzedany, a otrzymane pieniądze pójść mają *ad fabricam supradicte ecclesie*, jako na dzieło pobożności i miłosierdzia ¹.

W r. 1345 dowiadujemy się znowu, że Henryk Schere, *pe-titor ecclesie sancte Marie*, odstępuje na własność Kunczmanowi, rzemieślnikowi krakowskiemu, *unum bancum panis*, który niegdyś przez wdowę, Gertrudę Cruceburc, zapisany był w połowie na budowę kościoła P. Maryi. Kunczman należytość złożył w gotówce ². 1358 roku 15 czerwca w dzień św. Wita bogaty rajca miasta, p. Pasco, zapisuje przy śmierci sklep swój sukienny Andrzejowi i jego siostrze z tem zastrzeżeniem, że w razie śmierci obojga, sklep ma przejść na własność kościoła Panny Maryi *pro fabrica* ³.

Następnie roboty przy kościele musiały ustać, a przynajmniej wolniej postępowały, gdyż przez jakie 30 lat ślad zapisów na fabrykę ginie. Dopiero w ostatnim dziesiątku tego stulecia napotyamy znowu poszlaki dalszego prowadzenia robót. W regestrach rozchodów miasta Krakowa za rok 1392 czytamy wydatek na belki i cegły do posadzki kościoła P. Maryi ⁴; w rok potem znajdujemy zakupno 4 centnarów ołowiu dla tegoż kościoła ⁵. W r. 1394 zawartą została ugoda między pp. rajcami i kamieniarzami, pracującymi koło drugiej części sklepienia kościoła P. Maryi, mocą której każdy z kamieniarzy za swą robotę otrzymać miał co tydzień 20 groszy monety, będącej w obiegu w Król. Polskiem ⁶. W czterech latach następujących, t. j. aż do r. 1398

¹ „Najstarsze księgi i rach. m. Krakowa“, część I, str. 127, zapiska 1196.

² Tamże, str. 172, zapiska 1548.

³ Tamże, str. 196, zapiska 1693.

⁴ Tamże, część II, 4. Regestra precept. et distribut., str. 302 ad 41.

⁵ Tamże, str. 306 ad 32 b.

⁶ Tamże, część II, 3. Acta consularia, str. 109.

ciągle miasto łoży na budowę, bielenie i malowanie sklepienia¹; przyczem wiele jest ciekawych szczegółów. I tak malarz Mikołaj obowiązuje się w połowie W. Postu 1397 malować trzy krzyże sklepienia u P. Maryi i ukończyć całą robotę aż do św. Jana Chrz. — za każdy krzyż ma otrzymać 20 grzywien kwartnikowych; jeźliby robót tych nie wykończył w oznaczonym terminie, musi zwrócić wszystkie koszta pp. rajcom; gdyby zaś nie miał z czego, w takim razie odsiedzieć ma w wieży tak długo, póki wszystkiego nie wypłaci².

Wreszcie w samym końcu tego wieku spotykamy się z śladami budowy wieży. W r. 1400 występuje znaczny wydatek na ten cel, bo aż 175 marek 20 gr.³, a w roku następnym dodatek do tegoż: 1 mr. 27 gr.⁴...

Te wszystkie zapisy, jak i powyżej wspomniane okoliczności określają dosyć wyraźnie epokę, w której się dzwigała wspinała gotycka świątynia. Powstaje jeszcze pytanie: według jakiego planu i które mianowicie części w tej pierwszej połowie XIV w. budowano? Jednolitość i doskonałość układu pozwala wnosić, że plan był od początku ten sam, który dzisiaj podziwiamy (z wyjątkiem oczywiście kaplic). Ale przy wykonaniu, z braku zapewne środków na tak wielkie przedsięwzięcie, wybudowano na razie tylko nawę główną z dwiema bocznymi i z wieżami, choć nie tej może wysokości, jaką dziś mają; prezbiterium zostawiono na później. Wobec świadectwa Długosza i innych dokumentów, które fundatorstwo prezbiterium przyznają Mikołajowi Wierzyńskowi, a powstanie reszty kościoła hojności mieszczan krakowskich — niepodobna inaczej tej rzeczy wytłómaczyć. Kościół bowiem stał już w r. 1320 i odprawiało się w nim nabożeństwo parafialne — jak to widać z listów biskupów, nadających odpusty za nawiedzenie kościoła lub obecność i współudział w różnych nabożeństwach, jakie się już w kościele

¹ „Najstarsze księgi i rach. m. Krakowa“, część II, 4. Regestra, str. 310 ad 41, — str. 314 ad 41. — str. 317 ad 51, — str. 162, — str. 319, niżej: ad 21.

² Tamże, str. 159.

³ Tamże, str. 325. 29.

⁴ Tamże, str. 328. 40.

N. P. Maryi odprawiały. Z drugiej znów strony jednocześnie z nawą kościelną nie mógł budować Wierzynek prezbiterium. Był on bowiem nie urodzonym, ale wmieszkałym obywatelem Krakowa. Przybył najwcześniej w r. 1310, a pojawia się po raz pierwszy jako rajca r. 1319. A chociaż przyznamy, że przyjeżdżając do kraju, posiadał znaczny majątek, to jednak nie mógł z pewnością odrazu tak szafować setkami tysięcy, jak to bywało później. Do tej ogromnej fortuny, o jakiej nam mówi historia, przyszedł on z czasem, prowadząc handel, żupnikując w Wieliczce; wkońcu i podskarbiostwo królewskie nie musiało być bez intraty.

.
.
.

(Dok. nast.).



ZAKŁAD ŻYRARDOWSKI¹.

Przy stacyi Ruda Guzowska na warszawsko-wiedeńskiej kolei, o godzinę drogi od Warszawy, wznosi się jeden z najznakomitszych zakładów przemysłowych, jaki powstał na naszej ziemi. Jeżeli zawsze, to zwłaszcza dzisiaj, kiedy kwestya socyalna jest na pierwszym planie spraw europejskich, warto się bliżej zapoznać z jego wzorowem urządzeniem.

Jak wiadomo, Żyrardów został założony przez Filipa de Girard, inżyniera francuskiego, który pierwszy wynalazł sposób mechanicznego przędzenia lnu i wyrobu różnych tkanin lnianych. Spółka komandytowa Lubowidzkiego, Łubińskich i Steinkellera pomimo wielkich stosunkowo nakładów nie mogła wyjść na swoje; w r. 1847 zmuszoną została do odstąpienia zakładu Bankowi Polskiemu. Po dziesięcioletnich próbach pokazało się, że administracya rządowa nie jest w stanie prowadzić przedsiębiorstwa, i Bank Polski sprzedał fabrykę pp. Hille i Ditrych.

Od r. 1857, pod kierunkiem światłych i zapobiegliwych przedsiębiorców, zakład żyrardowski ogromne zrobił postępy. Ilość wrzecion wzrosła do poważnej liczby 43.000; na 2270 warsztatach tkackich wyrabiają się najróżnorodniejsze tkaniny, białe i kolorowe; 360 warsztatów różnych systemów zajmuje się tka-

¹ Wyjątek z obszerniejszego studyum „o udziale kobiet w wielkim przemyśle i humanitarnych instytucjach fabrycznych w Królestwie Polskim“.

niem trykotaży; kotły parowe o sile 2200 koni wprawiają w ruch tysiące najrozmaitszego systemu maszyn. Liczba robotników, którzy obsługują te maszyny, wynosi 8400, a roczna ich płaca przeszło 1,300.000 rubli. Zakład przerabia rocznie 3 miliony kilogramów lnu, nie licząc w to wełny i bawełny. Wyroby żyrardowskie trwałością i pięknnością barw, estetycznym kształtem wzorów i doskonałością wykonania, zajmują pierwszorzędne stanowisko na rynkach europejskich; 260.000 sztuk przeróżnych płócien, 280.000 trykotaży rozchodzi się rocznie po Europie i Azji.

Tak się przedstawia w ogólnych zarysach zewnętrzna działalność zakładu żyrardowskiego: przysparza krajowi bogactwa, daje ubogiej ludności możność zarobkowania, a tym sposobem odwołuje ją od szukania pracy poza morzem. Ten pierwszy wynik jest już nader ważnym i nie tylko zasługuje na zupełne uznanie, ale wskazuje nam zarazem drogę, jaką mamy postępować, ażeby uchronić lud nasz od rozpraszenia się po kuli ziemskiej.

Lecz wpływ działalności zakładu żyrardowskiego sięga jeszcze głębiej. Właściciele zakładu rozumieją dobrze, iż aby mu zapewnić byt trwały i stan kwitnący, pamiętać należy nie tylko o dobrobycie pracowników, lecz niemniej o podniesieniu i utrzymaniu ich stanu moralnego na odpowiednim poziomie; w tym celu zaprowadzili różne przepisy i instytucje, do tego zmierzające, które tu treściwie przebiegniemy.

Dla robotników posiada Żyrardów 128 domów murowanych fabrycznych z 1080 mieszkańcami, z ogródkami przy domach, i takowe wynajmuje po bardzo umiarkowanej cenie. Oprócz tego istnieje ogród wspólny, park, którego utrzymanie wraz z kasynem 4633 rs. kosztuje. Dla chorych są szpitale o 40 łóżkach; dwóch lekarzy miejscowych odwiedza chorych w pomieszkaniach, w doraźnych zaś wypadkach udzielają porady w ambulatoriach. Apteka zakładowa wydaje rocznie 29.000 bezpłatnych lekarstw dla robotników, nie licząc tych, co się w szpitalach rozchodzą. Osobna lekarka utrzymywana jest przez zarząd; dostaje mieszkanie w fabryce, ale jej usługi opłacają potrzebujące. Wogóle opieka nad zdrowiem robotników kosztuje p. Di-

trycha 10.000 rs. rocznie. Szczepienie ospy jest w fabryce ży-rardowskiej przymusowe. Zarząd dostarcza krowianki, felerzerzy szczepią ją bezpłatnie; rodzice, którzy się usuwają od tego obowiązku, skazywani są na karę pieniężną w ilości rubla od dziecka. Chorym i rodzinom chorych robotników udziela się w ciągu choroby zapomogi pieniężne; matkom karmiącym lub nie mogącym domu porzucić z powodu drobnych dzieci lub choroby własnej, fabryka dostarcza zarobku domowego, mianowicie: wiązanie frendzli, kutasików, zszywanie lub naprawy nadpsutych wyrobów i t. p.

Funduszem Gustawa Ditrycha nazywa się kapitał, przez niego ofiarowany, w ilości 40.000 rubli; jestto żelazny fundusz, z którego procenta idą na wsparcie dla kobiet, potrzebujących doraźnej pomocy w słabościach kobiecych. Otóż od kiedy ten kapitał istnieje, robotnica, znajdującą się w tem położeniu, otrzymuje po 3 rs. w płótnie i po 3 rs. gotówką. Oprócz tej fundacyi zakład wydziela rocznie 17.000 rs. na zapomogi dla chorych i na pogrzeby zmarłych robotników. Na sam zaś cementarz fabryczny i utrzymanie katolickiej przy fabryce kaplicy idzie rocznie 860 rs. Obecnie z powodu wzrostu ludności katolickiej w fabryce p. Ditrych nowy osobny kościół na 2000 osób buduje.

W fabryce istnieje sklep spożywczy dla robotników; tym sposobem mogą nabywać różnych artykułów żywności po cenach umiarkowanych.

Zakład urządził łaźnie i wanny kąpielowe, które przyczyniają się do utrzymania dobrego stanu zdrowia robotników: co jednak ważniejsze jest nad to, to urządzenie pralni.

Dwadzieścia kobiet jednocześnie może pracować swoją bielizną: każda na ten cel ma oddzielny przedział. W wielkiej pralni ogromne lawabo podzielone jest na 20 części; dla każdego przedziału osobne idą krany wody gorącej i zimnej, tak iż jedna praczka nie przeszkadza drugiej. Zapomocą t. zw. centryfugi wyciska się wilgoć z wypranej bielizny; wreszcie dla ostatecznego dosuszenia, każda praczka dostaje rodzaj wysuwanej szuflady wąskiej a długiej z długimi, na różnym stopniu wysokości umieszczonymi prętami do rozwieszania bielizny. Dwadzieścia

sztuk upranych może praczka wysuszyć w takiej każdej szufladzie. Szuflada z zawieszoną bielizną wsuwa się w gorący przyrząd i po półgodzinnym czasie wysusza się zupełnie. Pozostaje jeszcze maglowanie, które się uskutecznia w doskonale urządzonej maglarni, tak że zwykle żmudna i nudna operacya prania tutaj trzy tylko godziny zabiera wraz z umaglowaniem. Za prawo uprania, ususzenia i umaglowania 20 sztuk bielizny płaci się 6 groszy tylko; prasowanie załatwia się w domu.

Dla ludności fabrycznej tak udoskonalona pralnia jest dobrodziejstwem niezmiernem: oszczędza czas, ów główny kapitał robotnika, dla którego każda godzina ma w płacy swą wartość. Ileż to czasu marnowano dawniej na pranie, suszenie, rozwieszanie po płotach i strychach, ile bywało zwad o zaginioną lub zamieszaną bieliznę. Pralnia żyrdowska nie razi oka akcesoryami, nieodłącznemi od podobnej operacyi: rury, ścieki i pochyła taflowa, kamienna czy asfaltowa posadzka odprowadza natychmiast brudne wody i wszystkie nieczystości, a dobra wentylacya usuwa wyziewy szkodliwe. Naczynia drewniane, stoły do bielizny lśnią białością; słowem, na każdym kroku widać owoce wysoko cywilizacyjnej, dobroczynnej zabiegliwości. Obecny młody reprezentant domu Ditrychów zamierza nadto obdarzyć zakład samopiorącemi maszynami, aby tym sposobem zapobiedz niszczeniu włókna przez zwyczajne tarcie.

Dla zabezpieczenia od ognia zaprowadzono straż ochotniczą. Straż zorganizowana jest z ludności fabrycznej i przedstawia ogromną siłę ratunkową; urządzenie jej jest kosztowne, wynosi bowiem rocznie 7.340 rs. Strażaków jest 220, starszych zaś, kierowników 40; sikawek jest 18, jedna parowa z gazowymi przyrządami i podwójnym amerykańskim ekstynktorem. Cała sieć wodnych rur podziemnych i inne udoskonalenia, jakich nie posiada Warszawa, znajdują się w Żyrardowie.

Uroczystości doroczne bardzo solennie w Żyrardowie się obchodzą nabożeństwem, koncertami, teatrami amatorskimi, balami dla urzędników, dla robotników i ich dziatwy. W końcu roku szkolnego odbywają się „popisy“, rozdawanie nagród, a przytem zabawy dla dzieci z ochrony i ze szkoły. Wszystkie wię-

ksze zebrania odbywają się w umyślnie na ten cel zbudowanem kasynie, którego utrzymanie rocznie 4633 rs. kosztuje, nie licząc w to orkiestry, składającej się z 25 grających, którzy pobierają rocznej pensyi 3212 rubli. W lecie co niedzielę gra muzyka, a często nawet odbywają się zabawy z tańcami.

Niema w Żyrardowie restauracyi, albowiem robotnicy żonaci jej nie potrzebują, a beżżenni stołują się po kwaterach; niema również dotąd wspólnej czytelnii, ale już jest w projekcie. Dotąd robotnicy sami wypisują sobie pisma ludowe i czytają je chętnie.

Zarząd zakładu troskliwie stara się o to, ażeby przeszkodzić wszelkiej niemoralności; w tym celu istnieje rozporządzenie ściśle przestrzegane, które nie dozwala majstrom przyjmowania dziewcząt do roboty. Prawo najmu zastrzegł sobie sam dyrektor, a środek ten jest nader ważny, jak wiedzą ci wszyscy, którzy są wtajemniczeni w wewnętrzne sprawy podobnych fabryk.

Dozorczyń osobnych nad robotnicami wszakże niema obecnie w fabryce, co jedynie byłoby bardzo pożądanem. Przed dwoma laty była tego rodzaju próba, ale się nie udała, bodaj czy nie z powodu t. zw. latającej brygady, złożonej z dziewcząt i chłopaków od lat 12 do 15. Przy znanych jednak właściciela gorliwych intencjach i pocziwej dążności należy mieć nadzieję, że i ta rzecz da się wprowadzić.

W Żyrardowie zaprowadzony jest zwyczaj, który błogie wydaje owoce, przyczyniając się mianowicie do właściwego wykształcenia naszych wieśniaczek. W długie zimowe wieczory schodzą się kobiety fabryczne do sal obszernych ochrony od 7 do 9 godz. i tam pracują dla siebie. Jedne szyją bieliznę, inne robią suknie, inne znowu znaczą, tkają na drutach lub szydełkiem pod okiem i kierunkiem przełożonej i sześciu panien starszych, które — mówiąc nawiasem — w ciągu roku przygotowują w szwalni ubrańka na gwiazdkę dla dzieci. Zwyczajnie zbiera się około 300 robotnic. Jestto doskonały sposób do umoralnienia i wykształcenia kobiety fabrycznej.

Ludność robocza Żyrardowa składa się w większej części z kobiet; dziewcząt od 12 do 15 lat jest 127, chłopaków 117; pra-

cują oni po pół dnia w fabryce — i ci stanowią t. zw. latającą brygadę. Robotnice, pracujące przy okrągłych maszynach, zarabiają po 75 kop. dziennie. Szycie rękawiczek jest łatwe, a zarobek dobry, zwyczajnie od 2½ do 3 i 4½ rubla tygodniowo. Przy rękawicznictwie pracuje w Żyrardowie około 70 kobiet.

W przędzalni lnu nitka przeprowadza się przez gorącą wodę, aby rozmiękła i łatwiej i cieniej się przędła w maszynach — i to jest właśnie, jakkolwiek drobny, lecz słynny wynalazek Filipa Girard'a, który zastosował w maszynach zwyczajne poślizganie, używane przy zwykłym ręcznym przędzeniu.

W osnowach kobiety wyparły już prawie mężczyźni. Wogóle całe przygotowanie do przędzalnictwa w Żyrardowie załatwiają kobiety, i tak: ciągnięcie, skręcanie, cienkie przędzenie i motanie. W tkactwie symłowanie wykonywują same kobiety, snucie i tkanie na warsztatach mechanicznych wspólnie załatwiają kobiety i mężczyźni, a cena roboty jest jednakową. Czyszczenie sztuk przeważnie należy do kobiet pod dozorem i kierunkiem specjalistów.

Płaca dzienna kobieca, zaczynając od wieku lat 15, w przędzalniach wynosi od 22 do 58 kop.; mężczyźni zarabiają średnio od 52 do 70 kop. W tkalniach kobiety biorą 18 do 60 kop., mężczyźni 66 kop. W rękawicznictwie i pończosznictwie płaca kobieca wynosi od 32 do 50 kop., męska średnia do 63 kop. W zakładzie żyrardowskim pracują robotnicy tylko we dnie, mianowicie od 6 zrana do 7 wieczór z przerwą na śniadanie 3 kwadransy, a na obiad półtorej godziny. W sobotę praca trwa do 4 popołudniu; małoletni zaś od 6 do 8 godzin tylko pracują dziennie. Płaca małoletnich wynosi od 11 do 29 kop., średni zarobek dzienny 20 kop.

Szkoły fabryczne żyrardowskie składają się z 12 oddziałów pod kierunkiem 7 nauczycieli i 5 nauczycielek. Szkoły pomieszczone są w dwóch gmachach, z których nowszy odpowiada wszelkim wymaganiom higieny. Nauki prowadzone są wzorowo i nader praktycznie; nie sadzą się tam nauczyciele na obciążaniu niepotrzebnem młodocianych umysłów wrzekomo mądrymi rzeczami, jak się to dzieje u nas zwyczajnie w naszych postę-

powych szkołach, lecz starają się przedewszystkiem, aby dzieci nabyły potrzebnych wiadomości do życia praktycznego; estetyczne wykształcenie nie jest jednak wykluczone, jak każdy łatwo się przekona, przeglądając piękne rysunki uczniów i uczennic.

Wieczorami w tychże gmachach szkolnych urządzone są w zimie kursa tak dla dorosłych, jak i dla małoletnich robotników; lekcye trwają dla tych ostatnich od 4 do 7 godz.; na te kursa uczęszcza 60 dziewczynek, 80 chłopców, a podzieleni są na 6 osobnych oddziałów.

Jeżeli wszystko, co jest w Żyrardowie, godne jest uznania i naśladowania, jeżeli właściciele zakładu dobroczynnymi urządzeniami wystawili sobie chlubne świadectwo — to założenie ochron dla dzieci jest uwieńczeniem błogiej ich działalności, godnem rzeczywistego podziwu i szczerzej wdzięczności nie tylko ze strony tej garstki ludu, która bezpośrednio z nich korzysta, lecz i całego ogółu.

Pomnikowy gmach ochron skończony został w r. 1878.

Naprost głównego wejścia niszę półokrągłą zdobi piękny biust marmurowy ś. p. Karola Ditrycha, fundatora ochron, wśród gaju roślin egzotycznych. Wdzięczni urzędnicy Żyrardowa swoim kosztem sprawili to popiersie w r. 1888. Z tego przedsionka wchodzi się do ogromnej sali, o przepysznej kolumnadzie. Sala oświetloną jest z góry i zaopatrzona doskonale urządzonymi przyrządami do odświeżania powietrza. Jakie muszą być rozmiary tej sali, można sobie wyobrazić, wiedząc, iż w niektóre dni uroczyste zbiera się na niej około tysiąca dzieci: biegają, tańczą dokola drzewek obwieszonych przysmakami, wśród stołów podarkami usłanych; a dzieci nie są same: jest tam także obecny cały personel nauczycielski, oraz rodziny tej dziatwy! Ta sala służy dziatwie do codziennych ćwiczeń gimnastycznych. Dzieci podzielone są na gromadki, złożone z 50, najwięcej 100 dziewczynek lub chłopiąt: zmieniają się co godzina. A jak się te ćwiczenia odbywają! Jedna z ochraniarek na pianinie lub organiku gra stosowne melodye, starsza bona zapomocą gestów wydaje komendy. Działwa wzrokiem tylko śledząc ruchy prze-

wodniczącej, idzie za nimi, regularnie, jednomyślnie, jak wojsko dobrze uorganizowane.

Ewolucye są rozmaitego rodzaju: jedne odbywają się w milczeniu i bez gestykulacyi, inne w milczeniu z gestykulacją, inne jeszcze ze śpiewem. Wszystko odbywa się żwawo i wesoło, z pożytkiem dla ciała, bo te ćwiczenia rozwijają organizm dziecięcy, z pożytkiem również moralnym, bo dzieci przyzwyczajają się do skromnej, przyzwoitej zabawy.

Dziatewa przychodzi w lecie o 9 rano do ochron, pozostaje tam do 12 godz., po obiedzie o 2 wraca i zostaje do 7 godz.; w zimie nie odchodzą dzieci na obiad. Dzieci biednych rodziców dostają bezpłatne obiady na miejscu; reszta płaci po 1 kopiejce za obiad, i dostaje trzy razy na tydzień rosół i sztukę mięsa, a trzy razy obiady postne. Po obiedzie, dwuletnie dzieci do snu są układane, od godziny 2 do 4, na małych sienniczkach i poduszeczkach z siana, czysto po szafach przechowywanych; dzieci, które usnąć nie chcą, dostają do rąk skubanę, która je usypia. Na godzinę również do snu poobiedniego układane są dzieci od 5 do 7 lat mające.

Ochroniarki mieszkają w zakładzie i otrzymują 28 rs. miesięcznej pensyi, bony zaś połowę tego. Dziesięć jest klas freblowskich, t. j. sal ogromnych, jasnych, wesołych, gdzie na ni-ziutkich ławeczkach, przy długich, niskich stołach zasiada po kilkadziesiąt dzieci. Trzeba widzieć i podziwiać grzeczność tego małego świata, oraz kierunek zacnych właścicieli Żyrardowa, którzy umieją otoczyć się wykonawcami tak doskonałymi, w celach wzniosłych umoralnienia dziatewy. Panie ochroniarki odpowiadają tutaj wzorowo swemu zadaniu, i dlatego dzieci, pochodzące z najniższych klas społeczeństwa, zatem najmniej oświeconych, wychowują się tu na idealny typ ucywilizowanego człowieka.

Z serdeczną radością, nie ułęknione, nie rozzuchwalone, z naiwną dziecięcą swobodą, podnoszą się wszystkich dziecięcych głosików na powitanie gościa w ochronie; ze wszystkich ust rozbrzmiewają słowa: „Witamy pana! — witamy panią!“ — okrążają gościa, z uszanowaniem słuchają słów jego, zadają czasem pytania, a wszystko tak skromnie, pocziwie, wesoło, aż się du-

sza raduje. Na ulicy gromadki dzieci, uczęszczających do ochron, z uszanowaniem odkrywają przed starszymi swe główki, wdrażając się już od młodości do poszanowania wieku i zasługi.

Młodociany ten światek bawi się, ale i pracuje zarazem; od drugiego roku życia swego ćwiczy się w odpowiednich swojej sile zajęciach. Te dzieci, co zaledwo igłę w rękę utrzymać mogą, robią t. zw. korale, t. j. na słomkach i nitkach nawlekają kolorowe papierki, dalej prują odcinki grubych wełnianych trykotaży, z których odskubane drobne kawałki nitek idą napowrót do tkania maszynowego. Starsze dzieci uskuteczniają skubanę deseniową, t. j. płatki białego płótna układają w najróżnorodniejsze kratki i paseczki według wzorków, przez co gust i oko kształcą i tym sposobem rozpoczynają swoje wykształcenie na przyszłych fabrykantów tkanin. Inne dzieci przeplatają różnokolorowe papierki, przez co oswajają oko z mieszaniną i łączeniem różnych barw; robótki te bywają zużytkowane do różnych podstawek i pudełek. Wyszywanie igielką kolorowemi nitkami po nakłótych deseniach, które przedstawiają najrozmaitsze kształty roślin, zwierząt i różnych przedmiotów, używane jest do przystrajania koszyków, pantofelków i t. p. drobnych gracików. Wykładanie deseni kolorowymi kamyczkami zaznajamia dzieci z mozaiką artystyczną, tak wysoko rozwiniętą we Włoszech, a u nas prawie całkiem nie znaną. Rysunek stopniowany na kratkach, roboty szydelkowe oraz na drutach, są ostatnim kresem praktycznej nauki w ochronkach; do czego ona doprowadza, można wnosić z tego, że 7-letnia dziewczynka całę pończochy z deseniami bardzo trudnymi wyrabia.

Zakład nie zaniedbuje szczeplić w sercach dziatwy uczuć religijnych i moralnych; w tym celu ochroniarki obznajamiają dzieci z historią świętą, uczą je modlitw chóralnych, układają dla nich odpowiednie monologi i dyalogi.

Utrzymanie ochrony żyrardowskiej kosztuje każdego roku rzeszło 13.000 rs. Ochrona posiada oprócz przełożonej 18 ochroniarek, 22 pomocnie i sług drugie tyle do sprzątania klas, pościólek i do posług w kuchni i szwalniach. Ochroniarki posiadają znajomość metod wychowawczych, przedewszystkiem freblowskiej.

Zapas potrzebnych książek, przewodników, wzorów jest obfity. Należy jeszcze dodać, że jakkolwiek podstawa nauczania jest obca, zastosowanie jej odpowiada miejscowej potrzebie, i dlatego piosnki są swojskie, bajeczki brane z Jachowicza.

Z dziesięciu oddziałów ochrony, trzy tylko są czysto niemieckie, bo zbyt szczupły kontyngens niemiecki więcej dzieci ochronie żyrardowskiej dostarczyć nie może.

Nakoniec zarząd fabryczny dopomaga gromadzeniu się oszczędności robotników, zapewniając 6^o/_o od wkładek; nadto dla zachęty rodzina Ditrychów w r. 1886 ofiarowała 30.000 rs. do rozdziału pomiędzy zasłużonych robotników i robotnice, nie do rąk, lecz na książeczkę oszczędności. Oprócz tego rozdaje się rocznie procent od 50.000 rs., podarowanych przez Karola Ditrycha, między sześćdziesięciu z kolei zasłużonych robotników i robotnice.

Na tem kończymy treściwe sprawozdanie o Zakładzie żyrardowskim. — Jakkolwiek zapiski, pośpiesznie czerpane na miejscu, nie przedstawiają całej działalności zakładu żyrardowskiego, rzucają jednak nieco światła na dobroczynny i rozumny wpływ pracodawców. W Żyrardowie niema socyalistów i nikt tam nie myśli o wyjeździe do Brazylii. Oby Pan Bóg wzbudził u nas takich pracodawców, a wówczas nie będzie w kraju naszym ani kwestyi socyalnej ani emigracyjnej.

Paulina Korwin Piotrowska.

W ĆWIERĆ WIEKU PO UWŁASZCZENIU CHŁOPÓW

W KRÓLESTWIE POLSKIEM.

III.

Ukaz, dany dnia 3 (15) marca 1859 r. w Petersburgu, omawia kwestyę urządzenia gminy:

1) Gmina wiejska odtąd ma się składać najmniej z 50 domów mieszkalnych;

2) obręb gminy proponują naczelnicy powiatów za porozumieniem się z władzą sądową w powiecie, a komisya rządowa spraw wewnętrznych i duchownych, na przedstawienie rządu gubernialnego, stanowczo je oznacza;

3) przy oznaczeniu obrębu każdej z gmin należy mieć wzgląd na dobro służby, na miejscowe potrzeby i życzenia właścicieli ziemskich;

4) w każdej gminie winien być osobny wójt; urząd wójta gminy przywiązany jest do dominium, to jest do tytułu dziedzictwa, i jest bezpłatny; wszakże do sprawowania jego potrzeba posiadać odpowiednie kwalifikacye, prawem przepisane;

5) w artykule tym znajdujemy objaśnienie powyższego paragrafu;

6) wójt ma urzędować co najmniej lat trzy;

7) gdyby żadna osobistość z danej miejscowości nie kwa-

likowała się na wójta, wtedy zostaje wyznaczony wójt z ramienia rządu na koszt odpowiedniej gminy;

8) wójt, będący właścicielem ziemskim, obowiązki tego urzędu sprawować może stosownie do swego uzdolnienia, albo sam osobiście, albo przez podanego przez siebie kandydata, jeżeli go zatwierdzi komisya rządowa spraw wewnętrznych i duchownych. Zasada ta stosuje się do tych właścicieli, którzy, posiadając w różnych miejscowościach dobra, stanowiące oddzielne gminy, będą ich wójtami z prawa;

9) artykuł ten omawia odpowiedzialność wójta za zastępcę;

10) wójtom gminnym dodane będą rady gminne, złożone z mieszkańców, wybranych przez ogół gminy; obowiązkiem ich będzie nieść wójtowi pomoc i radę przy obmyślaniu środków na zaspokojenie potrzeb gminy. Skład takowych rad zatwierdzać będą naczelnicy powiatów;

11) sołtysów, ustanowionych przy urzędach wójtów, wybierać będą dla każdej wsi z pomiędzy siebie osiedleni jej mieszkańcy. Zatwierdzać ich będą naczelnicy powiatów;

12) Wszelkie dotychczasowe przepisy o zarządzie gmin, nie zmienione niniejszym ukazem, pozostają w swojej mocy.

W rozporządzeniu powyższem widzimy, że gmina była w ścisłej łączności z dominium, czyli zostawała pod wyłącznym zarządem większych właścicieli, przynajmniej o tyle, o ile oni nią zajmować się chcieli. Po ukazie z 1864 r. wszystko to upadło. Nie pan odtąd miał stać na czele gminy, ale ten, kogo owa gmina sobie obierze; położono nawet pewien nacisk, aby o ile możliwości sami chłopci zajmowali się gminą i byli kierownikami wszystkich jej interesów.

Z nadaniem chłopu gruntu, zrobiono go w całym tego słowa znaczeniu obywatelem, a w gminie zastosowano samorząd. Komitet urządzający postawił warunek, aby zebrania gminne odbywały się przynajmniej cztery razy do roku, i warunek ten potwierdził cesarz ukazem. Terminy tych zebrań oznaczono na połowę marca, czerwca, września i grudnia.

Urządzający komitet z dziwną drobiazgowością zajmuje się zorganizowaniem nowej gminy. Jenerał Konstandy podaje myśl

podziału gmin większych na drobniejsze tak, aby gmina, jako okręg administracyjny, nie obejmowała więcej nad 6000 mieszkańców. Chociaż ukaz z 1859 r. nie nakazywał nowych podziałów, komitet uznaje myśl generała Konstandego za godną poparcia i zajmuje się wydaniem odnośnych rozporządzeń. (Posiedzenie VII, t. I.) Myśli też o szczegółowej oznace wójtów, jako urzędników; następnie ławnicy i sołtysi również zwracają jego uwagę; całą komisję włościańską i wszystkich nowych urzędników ubiera w łańcuchy, na wzór istniejących w Rosyi „pośredników sądowych“, a w Królestwie nowych, po organizacyi wprowadzonych sędziów pokoju. Komisarze i komisya otrzymują łańcuchy i medale złocone, z napisem rosyjskim i polskim: „Komisya do spraw włościańskich“, wójtowie z napisem: „Wójt gminy — 19 luty (2 marca) 1864 roku“, a na odwrotnej stronie medalu podobizna cesarza. Ławnicy otrzymują także medale z łańcuchami; sołtys już nie otrzymał łańcucha, ale na piersi duży owalny kawał blachy mosiężnej, z napisami rosyjskim i polskim.

Wszystkie te oznaki dla wójtów i sołtysów nabywały się za pieniądze, wyznaczone na cele ogólnej użyteczności w Królestwie Polskiem: oznaki zaś dla komisarzy za sumy, zostające do dyspozycyi komitetu urządzającego. Tych ostatnich obstalowano 150 sztuk u fabrykanta Heninngera po 18 rs. 80 kop.; konkurujący Fraget nie utrzymał się, ponieważ podał cenę po 22 rs. 50 kop. Suma, wydana na te oznaki, wyniosła tylko 1820 rs.

Oprócz tego ustanowiony został budżet dla gmin. Rozdzielono gminy na pięć kategorii, według następującego szematu:

I.	kategoria:	gminy	liczące	więcej	niz	300	domów	—	takich	gmin	było	310
II.	"	"	"	"	od	200	do	300	"	—	"	268
III.	"	"	"	"	100	"	200	"	—	"	"	915
IV.	"	"	"	"	75	"	100	"	—	"	"	580
V.	"	"	"	"	"	75	"	"	—	"	"	1010
Razem												3083

Stosownie do tego podziału ustanowiono i pensye dla wójtów, ławników i pisarzy.

Pensya wójta wynosiła w gminie:

I. kateg.	180 rs.	—	we wszystkich gminach tej kateg.	55.800 rs.
II.	"	150 "	" " " "	40.200 "
III.	"	120 "	" " " "	109.800 "
IV.	"	80 "	" " " "	46.400 "
V.	"	50 "	" " " "	50.700 "

Razem wójtowie mieli pobierać . . . 302.900 rs.

Dwom ławnikom w każdej gminie po 19 rs. 50 kop.,

rocznie 120.237 rs.

Na wydatki gminne 81.240 "

Pisarzom pół pensyi wójtów 152.000 "

Razem przeto ustanowiono budżet dla gmin . . . 656.377 rs.¹

W budżecie tym zaszła bardzo ważna omyłka, a mianowicie wyznaczenie pisarzom pół pensyi wójta. Tym sposobem pisarz w gminie V. kategorii pobierał rocznie rs. 25. Było to uposażenie, na które nikt z ludzi piśmiennych nie mógł się zgodzić, zwłaszcza że wówczas przy gminach istniały sądy. Wprawdzie ławnik brał mniej jeszcze, ale ławnicy rekrutowali się z mąjniejszych włościan - gospodarzy, którym niewiele na pensyi zależało.

Zmienił też urządzający komitet dawne pieczęcie, które nośiły napis tylko w polskim języku. Od r. 1864 zaczynają dokumenta gminne w Królestwie Polskiem być zaopatrywane w pieczęć z podwójnym napisem: polskim i rosyjskim. Ponieważ napis ten na dawnej pieczęci pomieścić się nie może, zwiększają pieczęć z III. na II. kategorię.

Wolno przeto i gmina w Królestwie Polskiem przetwarza się do niepoznania. W miejsce dawnych inteligentnych wójtów staje cały zastęp ludzi bez wykształcenia, często nie umiejących ani pisać ani czytać. Nie są to już zwierzchnicy gminy, przedstawiciele samorządu, ale popychadła w rękę naczelników powiatu, kłaniający się im do kolan. Wytwarza się biurokracya

¹ Budżet ten okazał się niezmiernie niskim i dzisiaj już o wiele prześcignął ustanowioną sumę.

z pisarzami na czele, którzy, wzięwszy wójtów w kuratelę, urządzają cały szereg matactw i wyzyskują nowego obywatela, ilekroć sposobność odpowiednia się nadarzy. Kto inteligentniejszy, kto ma cośkolwiek ambicyi, usuwa się po roku 1864 od tej tak ważnej godności, aby uniknąć o ile możności stykania się z komisarzem i naczelnikiem powiatu. Wskutek tego w Królestwie gmina coraz więcej przechodzi pod zarząd chłopów, nie mających pojęcia ani o ekonomii, ani o administracyi miejscowej¹.

Jestto wprawdzie faza przejściowa, ale doprawdy trwa ona w Królestwie już za długo. Przez 25 lat poziom umysłowy naszych wójtów nie podniósł się wcale, bo i jakże się mógł podnieść? Szkoły nie wychowały wcale nowego pokolenia, bo szkoły elementarne nie tylko, że są po rosyjsku prowadzone, ale w dodatku źle i niedołężnie obsługiwane.

Mamy więc gminę, mamy samorząd, a właściwie rządzi tu naczelnik powiatu, trzyma wójta za kark, назнача pisarzy, wpływa na wybory sędziów gminnych i wraz z naczelnikiem żandarmów rozstrzyga o sądach i ich zwierzchnikach (instytucya istniejąca od roku 1875), dyrektor zaś okręgowy czuwa nad szkołami. I tak cały samorząd, wysmienienie wyglądający na papierze i mogący dać najpomysłniejsze rezultaty, ginie spaczony w objęciach wykonawców *diejatelej*.

Smutne są doprawdy nasze stosunki. Najpodlejszych ludzi z cesarstwa wysyłają do Królestwa na urzędników, każdy z nich

¹ Niezupełnie w tym szczególe podzielamy pogląd szan. autora. Nam się zdaje, że nadużycia, o których mówi, raczej wyjątkowo miały miejsce głównie w pierwszych chwilach uwłaszczenia. Wogóle zaś wójt liczył się z obywatelem, považał go — gdzie ten na to zasługiwał, a nie uchylał się od gminy — i to mimo zazdrości kastowych, mimo podżegań biurokracyi i zupełnego odwrócenia społecznych stosunków. Owszem, ludność wiejska wśród tych trudnych warunków okazała się tak stateczną i daleką od rewolucyjno-demokratycznego kierunku, który później w rządzie przeważał, a gmina, ukazem 1864 r. stworzona, okazała się tak silną, że musiano później przyłożyć rękę do jej dezorganizacyi. Przyszła plaga owych pisarzy gminnych, których Sienkiewicz w *Zolżikiewiczu* szcharakteryzował. Po jakimś czasie rząd spostrzegł snadź, że za wiele złego robią. Dzisiejsi pisarze są jeszcze więcej rządowi, ale mniej przewrotni i społeczeństwu nie tyle szkodliwi, co dawni.

przyjeżdża, z powziętym zgóry zamiarem gnębienia ludności tu-tejszej, niby w myśli dążeń najjaśniejszego Pana. Ale ta gorliwość tych *diejatelej* wyrządza niedźwiedzią przysługę i cesarzowi i narodowi rosyjskiemu. Wstręt do wszystkiego co rosyjskie potężnieje z każdym dniem nie tylko w warstwach bardziej oświeconych, ale nawet i w warstwach średnich i chłopskich.

Jestem moralnie przekonany, że uwłaszczeni wieśniacy chętnieby wyciągnęli jeszcze ręce po nowy ukaz, podobny do ukazu z 1864 r., ale zaręczam, że pomimo tych darowizn, sprawa rosyjska w ich umyśle i sercu nie postąpiła ani kroku naprzód — obojętność albo niechęć zawsze jednakowa, chociaż nakładem *Warszawskiego Dziennika* wydaje się od czasu do czasu tysiące broszurek po polsku drukowanych, upewniających lud nasz o dobrodziejstwach, jakie im świadczy rząd rosyjski.

IV.

Ukaz z 1864 r. nie spadł na obywateli Królestwa Polskiego zniemacka. Już wyżej omawiane ukazy zaznaczały pewną reformę i zwrot w interesach włościańskich. Więcej jeszcze dla tej sprawy przyniósł rok 1859 i 1861. Już w 1859 r. rozsyłane były postanowienia i manifesta po całej Rosyi, obejmując nawet zachodnie gubernie. Poruczono tymi manifestami szlachcie, pod przewodnictwem marszałka, ułożenie prawych warunków, na podstawie których możnaby było rozwiązać tak ważną kwestyę. Po zebraniu tych najróżnorodniejszych opinij urządzający komitet do spraw włościańskich, obradujący w Petersburgu pod zwierzchnictwem księcia Konstantego Mikołajewicza, musiał najróżnorodniejsze głosy i warunki pod jeden podciągnąć mianownik. Komitet ten obradował przez dwa lata; w rezultacie tych obrad został wydany ukaz dnia 6 (18) marca 1861 r. W ukazie tym prawodawca odczuwa z całą sumiennością dolę ludu wiejskiego i usprawiedliwia się, dlaczego się nią zajmuje:

„Głęboko rozważając położenie klas i stanów, w skład państwa wchodzących, przekonaliśmy się, że prawodawstwo krajowe, dokładnie urządzając wyższe i średnie stany, oznaczając ich obo-

wiązki, prawa i przywileje, nie dosięgło równej dokładności względem poddanych włościan, tak nazwanych dlatego, że częścią na zasadzie dawnych praw, częścią na zasadzie zwyczajów, dziedzicznie poddani zostali pod władzę obywateli, na których zarazem leży obowiązek troszczyć się o ich pomyślność. Prawa obywateli były dotąd rozległe i nie określone ściśle przez prawodawstwo, miejsce którego zastępowały podania, zwyczaje i dobra wola obywatela. W lepszych czasach wynikły z tego dobra patriarchalne, stosunki szczerej, prawdziwej opieki i dobroczynności obywatela i chętnego posłuszeństwa włościan; ale przy zmniejszeniu się prostoty obyczajów, przy pomnożeniu się różnorodności stosunków, przy zmniejszeniu się bezpośrednich ojcowskich stosunków obywateli z włościanami, przy dostawaniu się z czasem praw obywateli w ręce ludzi, szukających tylko własnych korzyści, dobre stosunki słabły i otwierała się tylko droga do samowolności, uciążliwej dla włościan i nie sprzyjającej ich pomyślnemu rozwojowi, czemu odpowiadała po stronie włościan konieczność polepszenia ich bytu“.

Ustęp ten aż nadto świadczy o tem, że prawodawstwo wzięło głęboko do serca sprawę włościańską, że bądźco bądź w krótkim czasie powinno nastąpić jej rozwiązanie. Każdy, cokolwiek głębiej myślący człowiek, mógł się następstw tego ukazu domyśleć, a przezorny miał nawet czas uregulować tę sprawę na zasadzie ukazu o oczynszowaniu. Ale myśmy wówczas tak głęboko myślać nie sięgali. Ukaz z 1861 r. mówił wyłącznie jakby o cesarstwie, a o Królestwie nie wspominał; sądzono przeto, że jeszcze czas jakiś sprawa się odwlece, chociaż najwyraźniej w dalszych ustępach postanowienia powiedziano: „Wezwawszy Boga na pomoc, postanowiliśmy wprowadzić tę sprawę w wykonanie. Na zasadzie wspomnianych nowych przepisów, poddani w swoim czasie otrzymają zupełne prawa swobodnych obywateli wiejskich“.

Wobec tej zapowiedzi należało się stanowczych reform spodziewać; a chociaż w każdym razie ukaz z 1864 r. byłby zniósł czynsze, to jeszcze pozostałaby sprawa między dworem a chatą rozstrzygnięta w ten sposób, że serwitut byłby załatwionym.

Tymczasem nie tak się stało. Obradujące Towarzystwo rolnicze nad sprawą oczynszowania zostało rozwiązane, dziwny niepokój jakiś owładnął społeczeństwem. Rok 1861 rozpoczyna się burzliwie, demonstracyami na ulicy, aresztowaniami, strzelaniem do tłumów...

W miesiąc po pamiętnym pogrzebie „pięciu ofiar“ tych rozruchów, Wielopolski przemawia w dawnym pałacu kazimierzowskim do przedstawionych mu urzędników:

„Witam was panowie, witam was współpracowników, nie urzędników Okręgu Naukowego Warszawskiego, lecz przywróconej Komisji Wyznań i Oświecenia. Zmiana ta nazwy głębszą zmianę rzeczy oznacza. Przez nią monarcha sprawę dla narodu najważniejszą, sprawę wiary jego i oświaty znowu, jak dawniej, na łono kraju zwraca. Obecnie zejście się nasze, jako kolegów, jest pierwszym ziszczeniem reform, łaskawie nam zapewnionych, a ta u nas i przez nas panowie, dokonać się mająca zmiana, jest podstawą innych ulepszeń“.

Rzeczywiście były to dosyć ważne chwile dla Rosyi, a może i Polski. Pracowano w Petersburgu gorliwie około wyświeetlenia ciemnych stron całej sprawy, a ukaz z 1861 roku postawił najwyraźniej siedm artykułów, orzekających w cesarstwie nową reformę włościańską. Artykuły te są:

1) Ustanowić w każdej gubernii gubernialną do interesów włościańskich władzę, której poleca się zajmowanie się sprawami włościan, mieszkających w majątkach obywatelskich;

2) dla rozstrząśnięcia na miejscu nieporozumień i sporów, mogących wyniknąć przy wykonaniu nowych postanowień, naznaczyć w powiatach pośredników polubownych i wzywać ich na powiatowe polubowne zjazdy;

3) następnie utworzyć w majątkach obywatelskich zarządy gromadzkie: w znacznych wsiach zarządy włości, a mniejsze gminy wiejskie łączyć pod jeden zarząd włości;

4) ułożyć, sprawdzić i zatwierdzić dla każdej gminy wiejskiej albo majątku ustawę nadawczą, w której będą oznaczone na zasadzie miejscowego postanowienia: ilość ziemi, oddawanej włościanom na stałe użytkowanie, i wymiar obowiązków, nale-

żących się obywatelowi, tak za ziemię, jak za inne od niego dogodności;

5) ustawy te nadawcze wprowadzić w wykonanie w miarę zatwierdzenia ich dla każdego majątku, i ostatecznie we wszystkich majątkach wprowadzić w wykonanie w ciągu dwóch lat od dnia wydania obecnego manifestu;

6) do upływu tego terminu włościanie i ludzie dworscy mają pozostawać w dalszem posłuszeństwie względem obywatela i bezsprzecznie wypełniać dawne obowiązki;

7) obywatele mają zachować nadzór nad porządkiem w majątkach swoich z prawem sądu i wyrokowania aż do utworzenia włości i otwarcia sądów włościańskich.

Reforma ta, zapowiedziana w Rosyi, mogła naprowadzić więcej wnioskujących w dążności rządowe na drogę rzeczywistości, ale w społeczeństwie naszym przebrzmiała zupełnie niespostrzeżenie. Dzienniki ówczesne nie przewidywały nawet tak rychłych zmian: cytowały one bez objaśnień, bez komentarzy ukazy i na tem kończyły całą sprawę. Tymczasem rosyjskie społeczeństwo, jak widać z jego dziejów, ma to do siebie, że swój ustrój, swoje prawa i język lubi narzucać podbitym narodom. Gdzie tylko stopa rosyjska stanęła, tam za nią podąża i rodzima jej cywilizacya. Wszystkie ludy wschodnie, podbite przez Rosyę, przyjęły już jej obyczaje. Część jeszcze dzikich, nowo podbitych bronią się jej, ale albo zniszczają w tej walce, albo wyzują się swych dawnych obyczajów. Z Polską idzie wiele trudniej, niż z plemionami wschodnimi. Trafiła tu bowiem Rosya na cywilizację starą, zażyłą, wyrobioną na pierwiastkach zachodnio-chrześcijańskich, wręcz przeciwnych bizantyjskiemu typowi. Nielatwo też wyprzeć polski język, zwyczaje i obyczaje; najtrudniej narzucić wiarę i obrządku wschodniego Kościoła. Ale Rosya umie zdobywać teren powoli, krok za krokiem. Tak też się stało z unitami, i tak się dziś dzieje z stopniowym zamykaniem kościołów łacińskich, znoszeniem parafii i t. d.

Kto wnikał w te fakta historyczne, ten mógł łatwo przyjść do wniosku, że jak inne urządzenia właściwe Rosyi posuwają się ku zachodniej granicy, tak i oczynszowanie rosyjskie bezwa-

runkowo rozszerzy się na Królestwo. Nie dostrzeżliśmy jednak tego, podobnie jak wielu innych kwestyj nie przewidujemy — i to był nasz błąd kardynalny. Z pewną obojętnością patrzeliśmy się również na nasze rodzime instytucje, które przecież nie szły za postępem czasu. Do tych instytucyj niezawodnie wydada nam zaliczyć i sądownictwo polskie. Żaden z prawników, żaden z adwokatów, nikt z ludzi, stojących na czele kraju, nie pomyślał o tem, aby zreformować pod pewnym względem samą procedurę sądową, która z dniem każdym stawiała się coraz niemożliwszą. Procesować się, znaczyło to samo, co starcowi 90-letniemu siać nasionka drzew owocowych i oczekiwać z nich owoców. I rychlejby owe drzewa dojrzały, niż proces się kończył¹.

Na tę kwestyę zwrócił uwagę urządzający komitet, a właściwie jeden z jego członków, słynny Murawiew, który już dnia 18 (30) kwietnia 1864 r. pisał do Milutina, żądając rozszerzenia władzy sądów gminnych. Przy gminie istniały sądy, ale wójtowie nie mieli prawa w kwestyach pieniężnych sądzić spraw, które przenosiłyby 30 rs. Murawiew, wnikając w zły ustrój sądów i przewlekającą się procedurę prawną, zaznacza, że sprawy chłopskie w sądach Królestwa Polskiego wiodą się przez 10 do 30 lat, a nawet niektóre po 70 lat spoczywają na półkach sądowych. Wobec tego prosi, aby rozszerzyć w tym względzie władzę wójtów, żeby na zawsze położyć granicę między oddaną rządowi ludnością wiejską, a szkodliwą szlachecką i polską biurokracją.

Wobec tego projektu komitet rozesłał zapytania do przedstawicieli innych komisyj, aby na zasadzie ogólnych wniosków wydać postanowienie. I tak przyszło do tego, że gmina zjednoczyła w sobie cały ustrój, niezbędny każdemu społeczeństwu; w swoich ciasnych granicach nietylko stała się okręgiem administracyjnym, ale rozstrzygała nawet spory pomiędzy jej mieszkańcami. Urzęda i godności gminne z rąk szlachty przeszły w ręce chłopów, i w ciągu paru lat ustrój społeczny Królestwa

¹ Zarzut może się stosować jedynie do sądów kryminalnych i to do najniższych instancyj t. zw. „sądów podsędkowskich“; ale sądy apelacyjne, senat i całe sądownictwo cywilne było ponad wszelką pochwałę.

(Przyp. Red.).

Polskiego zmienił się zupełnie. Jakkolwiek ukaz z 1864 r. miał na celu urządzenie gminy demokratyczne, t. j. dające równy przystęp wszystkim stanom, gmina stała się wskutek towarzyszących okoliczności — wyłącznie plebejuszowską. Panowie bowiem usunęli się zupełnie, aby uniknąć niemiłej styczności z władzą, źle wogóle dla Polaków usposobionej. Było to wszakże z ich strony wielkim błędem, bo to usunięcie się nie było koniecznem, a pociągnęło za sobą zgubne skutki. Dziś gmina znowu nie jest demokratyczną, ale przeszła tylko z rąk jednego stanu w ręce drugiego.

(Dok. nast.).

C. Z.



JUAN MIZERYA.

(Z HISZPAŃSKIEGO).

CZĘŚĆ DRUGA.

We wrześniu 1868 r. wybuchła rewolucya

Wpływ tego przewrotu dotarł wszędzie: do wyższych i do niższych, do wielkich i małych, podobnie jak ciepły i jasny promień słoneczny spływa na wyżyny Himalajów i na wzgórek Cerro del Fruto, na wodospad Niagary i na studnię w Alcobilla, na pałac przy placu de Oriente i na dom Corral de los Chicharos.

Narodzinom rewolucyi towarzyszył ludowy hymn Riega, w którym najwybitniej odzwierciedliły się wszystkie zasady i dążności federalnych republikanów.

Rewolucya z 1868 r. — jak wszystkie wogóle rewolucye — podobną była do naczynia, pełnego wody, na dnie którego osadziły się męty. Jeżeli ktoś tem naczyniem poruszy, wówczas męty zaczynają się wznosić, odbierają wodzie jej przezroczystość, wypływają na jej powierzchnię, i zdaje się zrazu, że zamąciły ją już na zawsze. Wkrótce jednak płyn wraca do równowagi, a męty własnym ciężarem opadają na dno naczynia, z kądem nigdy nie powinny były się podnosić.

Podczas rewolucyi również wychodzą na wierzch lichy, nieznane, często nawet występne indywidua; kręcą się one, wi-chrzą, wznoszą do góry... dążąc do zajęcia wybitnych stano-wisk, jak długo rozstrój ogólny sprzyja ambitnym ich zachcian-
kom, nie zawsze zgodnym z miarą ich wykształcenia i zdolności. Skoro jednak spokój i porządek zostanie przywróconym, wów-
czas te męty społeczne, które się chwilowo na wierzch wydobyły, wracają na dawne miejsce, żadnego nawet wspomnienia nie zo-
stawiając po sobie.

Jednym z przedstawicieli tych społecznych szumowin był bez wątpienia Lopijillo, którego spotykamy między pierwszymi członkami rewolucyjnego stowarzyszenia, jako prezesa klubu re-
wolucyjnego z szumnym tytułem „przybranego syna“ miasta X**. Marzenie o tej godności nie dawało mu spać przez kilka mie-
sięcy; to też doszedłszy do władzy, zaczął ją zaraz dobitnie manifestować: rozkazał nauczycielom szkółek ludowych zamienić pieśń do Matki Boskiej, którą dzieci rozpoczynały naukę, na hymn Riega; zabronił odmawiać Anioł Pański na odgłos dzwo-
nów; zniósł też chrześcijański zwyczaj dzwonienia za umarłych, aby to smutne *memento* nie zakłócało spokoju żyjących, teraz zwłaszcza, kiedy znakomity postęp, jakiego człowiek dokonywał właśnie na ziemi, zapewniał mu zwycięstwo nad śmiercią. Pola Alcolei, a wkrótce wybrzeża Renu miały świadczyć o tym po-
stępie.

Dzięki reformom tak skutecznym i zbawiennym, uciśniona ojczyzna odetchnęła swobodniej. Lew kastylski, który się wcielił w Lopijilla, potrząsnął grzywiastą głową i na zasłużony udał się spoczynek.

Tymczasem nieszczęśliwy Juan Mizerya złorzeczył w celi więziennej złowrogiemu losowi. Oskarżony przez Lopijilla o za-mordowanie Marcina Costilla, został uwięzionym, sprawę zaś jego ścisłemu poddano śledztwu. Niestety, jedynymi świadkami krwa-
wego dramatu byli Lopijillo i Salamanka, a ci twierdzili jedno-
zgodnie, że Juan zdradziecko zamordował ojca Maryanilli, cho-
ciaż ten, bezbronny i niezdolny do walki, błagał go w Imię Boga o życie. Napróżno nieszczęśliwy młodzian protestował przeciw

temu oszczerstwu; fakta zdawały się zgadzać ze słowami świadków, i niewinnie spotwarzonego czekała kara śmierci. Nadomiar złego wybuchła rewolucya, w ciągu której Lopijillo stał się osobą polityczną, tak że teraz zgubę Juana można było uważać za pewną.

Lecz ojciec ojczyzny nie poprzestał na jednej ofercie: miłość własna zbyt potężnym była w jego duszy czynnikiem, aby pogarda, doznana od Maryanilli, nie zaszczerpiła w brudnem jego sercu zawziętej nienawiści. Biedna dziewczyna, podobnie jak Juan, miała paść ofiarą republikańskiego despotyzmu.

Położenie tej opuszczonej sieroty było prawdziwie pożałowania godnem. Widok zmarłego ojca i splamionego jego krwią Juana wywarł na niej wrażenie tak okropne, że biedne dziewczę padło bez zmysłów na ziemię, wyrzucając ustami całe potoki krwi. Przeniesiono ją do szpitala, gdzie przez trzy miesiące walczyła ze śmiercią. Silny organizm ostatecznie odniósł zwycięstwo, ale równocześnie wywiązała się groźna choroba sercowa, która, jak miecz Damoklesa, wciąż nagłym groziła jej zgonem. Gdy wreszcie powstała z łoża, uczuła się dziwnie osłabioną; twarz jej śmiertelną pokryła się bladością, oczy sinemi okrażyły się obwódkami, a serce biło tętnem przyspieszonym i silnem. Przy najmniejszym wysiłku lub wzruszeniu wszystka krew udarzała jej do serca, tak, iż wedle zdania lekarzy, każde silniejsze wrażenie lub wybuch gniewu mógł biedne dziewczę o śmierć przyprowadzić. Maryanilla nie łudziła się ani na chwilę co do stanu swego zdrowia; myśl o śmierci ustawicznie zajmowała jej umysł, a niezamącony spokój, właściwy tym, co stojąc już nad grobem, wyrzekają się wszelkich żądz ziemskich, zastąpił dawną porywczosć jej charakteru. Znana powszechnie jest rzeczą, że wśród cierpień i przeciwności dusza rozwija w sobie siłę i wytrwałość, i że wielkie nieszczęścia wytepiają niekiedy w sercu złe namiętności, tak jak ręka ogrodnika wyplenia chwasty szkodliwe. To też Maryanilla, ciągle zajęta myślą o swojej chorobie, ciągle gotowa na głos Pański, jak podróżny, oczekujący znaku odjazdu — wykonywała rzeczywiście tę piękną radę Tomasza à Kempis: „Staraj się zawsze tak myśleć i czynić, jakbyś miał umrzeć nazajutrz“.

Wśród tych smutnych stosunków doszło do uszu dziewczęcia, że Lopijillo śledzi wszystkie jej kroki i jakieś niegodziwe knuje zamiary. Strapiona udała się do O. Antoniego, miejscowego proboszcza, prosząc o radę. Szlachetny kapłan pragnąc oswobodzić sierotę od prześladowań wroga, polecił jej schronić się w klasztorze D* i pielegnować tam pewną sparaliżowaną zakonnicę, którą miał o tem uprzedzić.

Lopijillo dowiedziawszy się o całym planie, zawrzał gniewem, i z arogancją, jaką daje pewność zwycięstwa, zawołał:

— Klasztor upadnie, zakonnice zginą, a Maryanilla moja być musi!

Gdy nieszczęśliwa sierota opuściła szpital z sercem złamanem moralnie i fizycznie, skierowała pierwsze swe kroki w stronę ulubionej kaplicy, gdzie za dziesięć realów, stanowiących resztę zapracowanego grosza, chciała zamówić Mszę św. za duszę ojca. Doszedłszy jednak na miejsce, doznała bolesnego zdumienia: — drzwi świątyni były zamknięte. Rewolucya wrześniowa tyle obaliwszy kościołów, nie mogła oszczędzić nawet tego ubożuchnego przybytku.

Maryanilla uknęła przed zamkniętymi drzwiami i zaczęła się modlić tak gorąco, jakby miała przed sobą ukochany obraz Zbawiciela. Ach, nie jest zdolną tyrania wykorzystać świętej katolickiej wiary! Czemże jest zniszczenie kościoła lub zamknięcie jego podwojów w oczach chrześcijańskiej duszy, która ponad wszystko, co ziemskie, ulatuje w nieskończoność i wznosi się ku Tobie, Boże! — aż do tronu Twej chwały!...

* *

Więzienie w X** mieściło się w dawnym klasztorze, pozbawionym już wszelkich cech religijnego budynku. Był to ogromny gmach, wychodzący frontem na rozległy plac miejski; silne kraty strzegły jego okien, ciągnących się regularnym szeregiem, a ponad główną bramą, przy której dzień i noc stała warta żołnierzy, czytałeś napis: „Przestrzegaj prawa, a noga twoja nigdy się nie potknie“. Wewnątrz dziedzińce rozległe, cele więzienne wąskie i ciasne: w nich pędzą smutny żywot nieszczęśliwi no-

wieczusze występku, co po raz pierwszy na złą zboczyli drogę, pomieszani razem z wytrawnymi weteranami zbrodni, którzy więzienia hiszpańskie zamieniają w prawdziwą szkołę zepsucia. Smutną tę, ale rzeczywistą prawdę wyrażają słowa, skreślone ręką jakiegoś nieznanego więźnia na ścianie celi:

*En la puerta del presidio
Hay escrito con carbon:
Aquí el bueno se hace malo,
Y el malo se hace peor¹.*

W tych celach więziennych oczekiwało ostatniego wyroku kilku złoczyńców. Niedługa czekała ich już droga; z ciemnych kazamat miano ich wyprowadzić do gmachu sądowego, a ztamtąd na rusztowanie. Wśród nich znajdował się Juan Mizerya.

W tym czasie, który opisujemy, podwórza i cele więzienne przebiegała dzień po dniu we wszystkich niemal godzinach dziwna jakaś postać księdza czy mnicha, który dzielił z więźniami ich pokarm i mieszkanie, nie dzieląc jednak niedoli. Był to starzec wysoki, przytem szczupły i chudy, z głową zupełnie łysą, na której tylko dokoła tonsury jaśniał rąbek białych jak śnieg włosów. Miał on na sobie habit jakiś stary, ale tak ciasny i krótki, buty zaś tak ogromne, że jedno i drugie nie do niego zdawało się należeć. Nowsi więźniowie nazywali go księdzem proboszczem, dawniejsi *Pae Paco* lub częściej jeszcze *Pae Paquito*.

Pae Paquito należał do znakomitej andaluzyjskiej rodziny, i w ośmnastym roku życia, nie doznawszy jeszcze żadnych zawodów, którymi świat zwykle takie powołania tłómaczy, opuścił dom rodzicielski i wstąpił do zakonu Kapucynów. Kasacya klasztorów zmusiła go opuścić to święte schronienie; ale zamiast wrócić do gniazda swych przodków i cieszyć się dostatkiem i rodzinną miłością, on wolał iść dalej drogą ofiary i wyrzeczenia. W tym celu wyprosił sobie posadę kapelana w więzieniach rządowych. Odtąd wiódł życie prawdziwie apostołskie wśród

¹ Na drzwi tego więzienia
Ten się napis nadaje:
Tu złym staje się dobry,
A zły gorszym się staje.

zgrai wyrzutków społeczeństwa, których szczególnie jakoś ukochał. Całem jego staraniem było odszukać obraz Boga na ich duszach skalanych, obraz, który jakkolwiek przyémiony, mógł jednak odzyskać jeszcze pierwotną swą piękność, jeźliby iskra miłości, płonąca w sercu szlachetnego zakonnika, zdołała przeniknąć te dusze zaskorupiałe w występku.

Poświęciwszy tej trudnej pracy całe lat trzydzieści, O. Paquito doczekał się w r. 1866 otwarcia klasztoru Kapucynów w X**; przywdział więc niezwłocznie dawny wyszarzały habit, który chował na swój pogrzeb, i opuścił dotychczasowe siedlisko, chcąc jak najprędzej przyłączyć się do zakonnego zgromadzenia. Przekładał on zakonne posłuszeństwo, które Chrystusowi ślubował, nad życie niezależne, miłosiernym poświęcone uczynom.

Przełożeni zakonni pozostawili go jednak na dawnym stanowisku, przeznaczając mu, jako pole do pracy, więzienie w X**. Podówczas w Hiszpanii pamięć o zakonnikach przechowywała się jedynie w bezbożnych piosnkach i potwarzach, rozsiewanych przez nieprzyjaciół wiary. Nie też dziwnego, że pojawienie się mnicha w murach więzienia, mnicha poważnego i wychudzonego jak Kartuz z Zurbaranu, wywołało wśród tego zgromadzenia złoczyńców śmiechy i szyderstwa, a nawet przekleństwa, zwłaszcza, gdy mnich ten począł nauczać zbłąkanych, obiecując za jedną łzę żalu wiekuiste z Chrystusem królestwo.

Ale świątobliwy kapucyn nie dał za wygrane, i w ciągu trzech następnych dni nie przestawał nauczać. Ta jego wytrwałość rozdrażniła do reszty więźniów — to też wkrótce wybuchła burza, wywołana przez jednego ze złoczyńców imieniem Tanga. Pewnego dnia główka kapusty ugodziła misyonarza w głowę; niedługo potem jakiś chłopak zuchwały oblał wodą jego ubranie. Oburzony tem Alkad, kazał zawiesić misyę i zażądał ukarania winowajców; ale kapucyn wstawił się za nimi, prosząc o przebaczenie, i nie chciał opuścić więzienia, nie pożegnawszy nieszczęśliwych jego mieszkańców. Wszedł tedy na dziedziniec, gdzie dotąd zwykle nauczał, i wśród zgromadzonych dookoła więźniów ukląkł pokornie, prosząc ich o przebaczenie za te napomnienia, jakie im dawać musiał: potem zaczął kolejno całować

ich stopy. Więźniowie spojrzeli po sobie zdumieni; szyderstwa stanęły im w gardle jak płaz jadowity, co się zatrzymuje w głębi swej nory. Tylko Tango rzucił złośliwe spojrzenie na misyonarza, i gdy sędziwa głowa kapłana do jego zabłoconych nóg się pochyliła, podniósł nagle prawą nogę i uderzył nią w twarz kapucyna. Ten oniemiał na chwilę — z bólu zapewne — wnet jednak, ujawszy w dłonie tę bezbożną nogę, która mu cios tak dotkliwy zadała, wyrzekł łagodnie:

— Czekaj, człowiecze, jeszcze nie ucałowałem ci lewej...

Następnie wrócił na środek dziedzińca z twarzą zranioną, z krwią spływającą po śnieżnej brodzie, i pobłogosławiwszy więźniów krzyżem, co wisiał na jego piersiach, dodał, że jedno tylko uczucie zmusza go do opuszczenia więzienia, t. j. uczucie boleści i smutku, iż nie znalazł w tych murach ani jednej duszy kochającej Boga.

Wówczas głos jakiś ozwał się ponuro:

— Owszem, księżo, jest jedna taka dusza; jeżeli pies duszę mieć może!...

I zbrodniarz stary, z pochmurną twarzą, wystąpił z grona towarzyszy, szedł potrząsając kajdanami, i upadł na kolana wpośrodku dziedzińca, i w piersi bić się zaczął, płacząc i rycząc, jakby ryczały tygrysy na puszczy, gdyby żałować mogły przelanej krwi.

Kapucyn uściśkał więźnia; a więzień zaczął go błagać w imieniu Boga, żeby pozostał... a potem wystąpili inni więźniowie, pękły twarde serca, otwarły się usta, otwarły się słuszy lez... i skończyło się na tem, że wszyscy, z wyjątkiem Tanga, wypowiadali się przed zakonnikiem. Nieszczęsnego Tanga po kilku dniach znaleziono nieżywego w celi; spróchniała ściana spadła na niego i zabiła na miejscu¹.

Ten straszny sąd czy dopust Opatrzności obudził w więźniach trwogę jakąś religijną i głęboką cześć dla zakonnika. Z czasem ta cześć przerodziła się w miłość — i odtąd zaczęto go nazywać w więzieniu pieszczotliwie Pae Paco lub Paquito. A kiedy następnie rewolucya z r. 1868 wygnała go powtórnie

¹ Historyczne.

z klasztoru, wówczas Alkad i wszyscy więźniowie prosili go jak najgoręcej, aby przyjął w murach więziennych bezpieczny dla siebie przytułek. Ojciec Paquito schował znowu swój stary habit, ogolił długą, srebrzystą brodę, aby w pożyczonej sutannie i trzewikach wrócić „do okrągłego domu“, jak nazywano więzienie, i w tem siedlisku nędzy i występku znaleźć schronienie dla siebie.

Ponieważ postacie, które tu szkicujemy, nie są wytworem naszej wyobraźni, ale wierną kopią z życia, przeto dla uzupełnienia typu tego zakonnika, przytoczymy jeszcze mały, lecz charakterystyczny szczegół.

Ten człowiek, który przekładał wyszarzały habit nad wysokie w ojczyźnie stanowisko, który nigdy nie innego nie jadł, jak prostą strawę klasztorną albo więzienną, który szatę zakonną, chowaną na swój pogrzeb, oddał pewnej zimy zziębniętemu więźniowi, który sypiał na wiązce słomy, mając zamiast poduszki starą księgę rachunkową ofiar i jałmużn swego klasztoru — ten, mówię, człowiek, kładąc głowę na owej księdze, mieszczącej żywą epopeję dawnej miłości i wiary, szeptał z odcieniem świętej jakiejś dumy:

— Śpię na milionach!

Z tego, cośmy dotąd powiedzieli, czytelnik domysli się z łatwością, że pierwszym, kto odwiedził Juana w jego więzieniu, był ojciec Paquito. Więzień przyjął go z tem uprzedzeniem, jakim ówczesni rewolucyoniści umieli natchnąć lud względem duchowieństwa, rozumiejąc dobrze, że ten węzeł między Bogiem a ludem stanowi dla ich przewrotnych zamiarów nieprzełamaną zaporę. Wkrótce jednak niechęć Juana stopniała pod ciepłym promieniem łagodności i dobroci zakonnika; a niedługo potem znękany młodzieniec powziął głęboką wdzięczność dla tego starca za to bezinteresowne współczucie, jakie mu okazał, dzieląc z niešťeśliwym więźniem, oskarżonym o morderstwo, czarne godziny niedoli. Zakonnik, wytrawny znawca sumienia złoczyńców, wcale nie mówił z Juanem o zbrodni, którą mu zarzucano, wiedząc dobrze, że więzień nie łatwo wyzna spowiednikowi występpek, którego przed sędzią się zapiera. Doświadczenie go nauczyło, że zbrodniarz, póki nie usłyszcy wyroku, odbierającego mu osta-

tnią nadzieję, kłamie zarówno przed trybunałem boskim jak ludzkim, myśląc, że jedno kłamstwo podtrzyma drugie.

Ojciec Paquito poprzestał więc zrazu na ogólnem poznaniu Juana; zbadał jak mógł wszystkie drażliwe struny tej dziwnej duszy, odkładając na później zachęty do spowiedzi i do wyznania zarzucanej mu zbrodni w trybunale sakramentalnym.

— Nie jestto dusza stracona — pomyślał uradowany, gdy dostrzegł ślad dobra i piękna, przebijający się we wszystkich słowach Juana. — Jestto grunt żyzny, lecz zarośnięty chwastami; raz oczyszczony, obfite będzie wydawać owoce.

Wkrótce bezgraniczna ufność zapanowała między młodzieńcem i starcem; kapucyn zaczął wyklądać więźniowi naukę chrześcijańską, o której ten biedny nie miał dotąd wyraźnego pojęcia. Spostrzegłszy niebawem moralną wyższość Juana, przechodzącą znacznie zwyczajny poziom podobnych mu ludzi, zaniechał w rozmowie z nim nieokrzesanych wyrażań, jakich używał, mówiąc z innymi więźniami, i począł przemawiać do niego właściwym sobie, wzniosłym i szlachetnym językiem. Doświadczenie nauczyło kapłana, że szlachetność serca przyczynia się u wielu nieoświeconych ludzi do pewnego rozwoju umysłowego, i że głębsze a wymowne przemawianie do uczucia, silniej wpływa na ludzi niższych warstw, niż popularne dowody, skierowane do rozumu.

* *

— Ojcie! — mówił Juan Mizerya tego dnia, w którym wydano nań wyrok śmierci — Ojcie, nie mogę się dziś od łez powstrzymać.

— To płacz, mój drogi, płacz! Oby Bóg policzył łzy twoje i wynagrodził je chwałą.

— Ach! trudno oczekiwać chwały od tego, który nie daje nawet, co powinien.

— Nie mów tak, Juanie, bo jeżeli niewdzięczność względem ludzi jest złą, to względem Boga jest ona bluźnierstwem. Bóg nie winien człowiekowi. Życie, które mu dał...

— Życie!... Wszak ja Go o życie nie prosiłem i wolałbym

tego życia nie znać. Będąc dzieckiem, nie miałem matki; gdy wyrósł na młodzieńca, nazwano mię Mizerya... A teraz cóż mam?... oto cztery ściany więzienia, a potem szubienica... A wkońcu... wkońcu nikt nawet nie powie: „przebacz mu, Boże!“ — bo któż się zlituje nad mordercą!

I pierś Juana podniosła się bolesnem łkaniem... Zakrywszy twarz drżącemi rękoma, nieszczęsny młodzian z dziwnem jakimś uczuciem żalu i gniewu, przygnębienia i bezsilnej rozpacz, wyrzucił z piersi straszną, długo tłumioną skargę:

— Księżę... niema sprawiedliwości!... Niech mi powiedzą, gdzie jest ten Bóg, niech mi powiedzą!...

— Milcz, Juanie... milcz! Czy proch może się buntować przeciw Temu, który go stworzył? Gdzie jest Bóg, mówisz? Patrz, On jest w tych łzach, co płyną teraz z twych oczu; On w tobie jest i przy tobie; On opatrnościowym zbiegiem rzeczy przywiódł mię tutaj do ciebie, abym przyniósł światło dla twego umysłu i spokój dla twojej duszy.

— Ach ojcze, wiem: ty jesteś bardzo dobrym dla mnie — ty się litujesz nad biednym skazańcem.

— Nie, mój synu, nie ja jestem dobrym... dobreimi są zasady, które pełnię... dobrym jest Bóg, który mi powiedział: „Idź w mojem imieniu szukać serc zbolących i lecz je balsamem wiary; idź szukać ludzi zbłąkanych i prowadź ich na drogę do nieba; drogą tą jest przebaczenie, którego w mojem imieniu możesz im udzielać“...

I mówił mu długo światobliwy kapłan o dobroci i wielkości tego Boga, o którym młodzian tak mało jeszcze wiedział, a któremu już bluźnić zaczynał. Tłumaczył mu, jak w świetle gwiazd, w życiu i piękności całej przyrody wypisane jest wielkie Imię Jego. Mówił dalej, że męstwo, miłosierdzie, wszelka cnota — do której ukryty pociąg odczuwał w duszy Juana — są odbłaskiem boskiego oblicza w człowieku, i odbijają się na niem tak, jak twarz ludzka odbija się w zwierciadle. Opowiadał, jak ten Bóg wszystko, co jest, z niczego stworzył, i wszystko w mocy swej zatrzymywał.

— I od tego Boga najwyższego, wszechmocnego — spytał

nagle — od tego Boga ty, nędzny człowiecze, żądasz rachunku z Jego postępowania! A wiesz ty, co to człowiek?

Juan Mizerya zadrżał cały i spuścił głowę.

Wiedział on, że człowiek jest nędną lepianką; lecz zakonnik mówił mu dalej, i coraz wymowniej, i coraz wzniosłej o iskrze nieśmiertelnej, która mieszka wśród tej lepianki: jak bożym technieniem stworzoną została — jak na tej ziemi walczyć musi z przygniatającem ją brzemieniem materii; ale jest wolną, jest panią swego losu, drogą w oczach Boga, nieśmiertelną.

— Dusza! — przerwał nieśmiało Mizerya — ja słyszałem, że niema duszy; cyrulik z Cerro Fuerte mawiał zawsze, że wielu chorym otwierał żyły, a nigdy nie widział w nich duszy.

— Ten człowiek mówił od rzeczy, — odparł kapucyn — nikt także nie widział słowa, a przecież każdy je słyszy i rozumie. I duszy nie można widzieć, ale ją czujesz w sobie, i ona w tobie czuje i myśli.

I mówił dalej o przyczynach niedowiarstwa, o niewiedomości, co duszę pozbawia światła, o zmysłowości, która równa człowieka z bydłem, o pysze, która go czyni podobnym czartu i najbardziej go zaślepia i nieszczęśliwym czyni. Wspomniał o surowej sprawiedliwości bożej, która karze te występki, ale najdłużej i najrzewniej mówił o dobroci boskiej, która szuka tej duszy, jak zbłąkanej owieczki, i każdej chwili gotowa ją przyjąć, grzechy odpuścić, i śliczne niebo, które dla niej przystroić, jej otworzyć...

— Dobry Bóg! — odezwał się mimowolnie Juan Mizerya.

— Tak, synu! dobry Bóg — powtórzył rozrzuwiony kapucyn.

A młodzian patrzył w milczeniu... oniemiał ze wzruszenia, jak człowiek, co przywykły do głębokiej ciemności, ujrzy nagle światło i poczyną rozpoznawać nieznane sobie przedmioty. Po chwili rzekł:

— Powiedz mi, ojcze, jak może Bóg tak wielki i tak potężny troszczyć się ciągle o człowieka, który jest przecie tak nędzny i tak mały.

— To właśnie, mój synu, świadczy o nieskończonej dobroci naszego Pana. Ufaj Bogu, Juanie, ufaj Mu; On cię jeden pocieszyć może.

Tu światobliwy starzec ścisnął wzruszony rękę biednego więźnia i powtórzył raz jeszcze:

— Ufaj Bogu!

A ten silny i twardy młodzian oparł głowę na piersiach zakonnika i zaczął płakać jak dziecko.

* * *

Tymczasem Lopijillo kręcił się ciągle w kółku indywidualnej polityki. W wysokiej polityce — jak trafnie ktoś zauważył — niema ludzi, są tylko idee, niema uczuć, tylko interesa. Przeciwnie mała polityka myśli jedynie o sobie; jest ona matką tych przedmiejskich Herostratów, co dbają przedewszystkiem o własne wyniesienie, tych ludzi pospolitych i godnych pogardy, których jedynym godłem cele osobiste.

Potworne złudzenia i pojęcia przesadne, jakie sobie tworzą ci pigmeowie polityczni, można chyba przyrównać do majacej rozgorączkowanej wyobraźni. Lopijillo, doskonały typ takiego polityka, nie omieszkiał także budować zamków na lodzie; przede wszystkim wzdychał on do tego, aby go wybrano deputowanym i widział już w duszy własny swój portret, oświecony sztucznym ogniami popularności i aureolą sławy. Podzielił już Hiszpani w swojej wyobraźni na mnóstwo małych federalnych republi i zrobił się w jednej z nich naczelnikiem.

— Kto wie? — powtarzał sobie z śmieszną i zuchwałą za rozumiałością — kto wie?

Raz nawet wśród tych śmiałych marzeń — skutkiem zapewne jakiegoś zboczenia wyobraźni — ujrzał się nagle przeniesionym do stolicy Hiszpanii, i to już nie jako naczelnik Kadyks albo Sewilli, ale jako prezydent federalnej rzeczypospolitej hiszpańskiej.

Lopijillo zamknął oczy i obie ręce wyciągnął, jak gdyb chciał uchwycić to czarujące widziadło; szum jakiś czuł dookoła w dali gdzieś widział ognistemi zgłoskami wypisane imiona Napoleonów... Głupi szaleniec pochylił głowę, jakby uczuł i niej ciężar korony, a z ust wyszło znowu pełne nadziei słów

— Kto wie?

Ale minęły marzenia. Lopijillo, otworzywszy oczy, ujrzał tylko najpospolitszą rzecz w świecie, odmalowaną na szyldzie swego ojca, a do uszu jego doleciał odgłos uderzeń młotka z warsztatu senia Lopija. I ten obywatel, ojciec ludu, republikanin-demokrata *sans culotte*, przeklął w duchu trzewiki, które mu dostarczały środków do utrzymania i — o postępie! — zawstydził się ojca.

Wychodząc na ulicę, rzucił długie, pogardliwe spojrzenie na biednego Lopija, który pochylony na stolku, zarabiał na chleb dla niewdzięcznego syna, i czując, że jego geniuszowi nie wypada się troszczyć o taką drobnostkę, skierował swe kroki do republikańskiego klubu, aby tam głosić wielkie idee i zaszczerpieć w nierozsądnych i łatwowiernych słuchaczach dziką nienawiść ku bogatym, pogardę dla religii, niepohamowaną chciwość i ambicję.

Ale pewnego dnia senio Lopijo nie powstał z łóżka; nazajutrz lekarz wezwany oświadczył mu bez ogródki, że czas już załatwić wszystkie ziemskie sprawy, gdyż wybiła dla niego ostatnia godzina. Lopijo na łożu śmiertelnem ujrzał nagle cały gmach swych złudzeń, zburzony doszczętnie; on, który o niczem dotąd nie marzył, jak tylko o tem, aby ujrzeć kiedyś syna na wysokiem i niezawisłem stanowisku społecznem, nagle przed spełnieniem tych nadziei ujrzał się nad grobem i miał lada chwila iść przed sąd tego Boga, o którym w życiu zapomniał. Senio Lopijo nie był jednak bezbożnikiem; wprawdzie, zachwiany przewrotnemi teoryjami Lopijilla, w którym upatrywał wyrocznię, udawał religijną obojętność; znalazłszy się jednak na progu wieczności, zwrócił oczy ku Bogu i prosił syna o spowiednika.

Lopijillo z oburzeniem spojrzał na ojca; w samolubnem jego sercu prośba umierającego spotkała się z kwestyą osobistą. Co ludzie powiedzą? — pomyślał sobie. — On, wolnomyślny filozof, co rozpoczynał w klubie swe mowy od słów: „Obywatele! pozdrawiam was nie w imieniu Boga, który nie istnieje, ale w imieniu natury“, — on ma ojcu sprowadzać księdza?! A ten ojciec jego ma się gotować na śmierć, jak każdy prostak katolicki

z kapłanem u wezgłowia i krucyfiksem w rękę?!... Nie! — żadną miarą nie!

To też spoglądając gniewnie na senia Lopija, odparł szorstko i dumnie:

— Co?... mamy się dziś tak zbłaźnić?... Zdaje mi się, ojcze, że starałem się dosyć oświecić cię; jużby czas był wyleczyć się z tych przesądów...

— Chłopcze! — zawołał przerażony Lopijo — pomyśl, że ja umieram.

— Nie mówmy o tem — odrzekł wyrodny syn; — jeżeli się chcesz, ojcze, spowiadać, to każ chyba wybić otwór w ścianie, bo dopóki ja żyję, żaden ksiądz nie przestąpi naszego progu.

I Lopijillo, schwyciwszy swój zatłuszczony kapelusz, uciekł śpiesznie do klubu, zostawiając nieszczęśliwego ojca na pastwę wyrzutów sumienia, gubiąc go może na wieki.

— Synu!... Synu mój!... — wołał biedny starzec, wyciągając za nim ręce. — Nie doprowadzaj do tego, żebym jak pies umierał!...

Ten, którego nazywał synem, usłyszał jeszcze ten krzyk śmiertelnej trwogi i przez chwilę myślał powrócić; ale egoizm tej potwornej duszy silniejszym był niż głos sumienia; więc poszedł dalej, a chcąc jakoś przytłumić natrętne wyrzuty, mruknął półgłosem do siebie:

— Nie jest jeszcze tak źle, będzie miał czas na wszystko.

O jedenastej Lopijillo powrócił z klubu, wszedł do pokoju ojca, w którym głębokie panowały ciemności, i nie słysząc żadnego szmeru, zapytał drżącym nieco głosem:

— Ojcze! czy śpisz?...

Żadnej odpowiedzi. — Lopijillo uczuł, iż język przyschnął mu do podniebienia, chwycił zapalną... w zagłębieniu poduszek ujrzał martwą twarz ojca z otwartymi i zagasłymi oczyma, z włosami śmiertelnie najeżonym, z kroplami potu na licach... Lopijillo skamieniał: parę razy martwo poruszył ustami, mówiąc jakby do jakiejś niewidzialnej osoby:

— Ja tego... nie chciałem!... nie chciałem!...

I nie śmiał spojrzeć w te oczy, które patrzyły na niego nie

widząc, i na tę twarz, co zachowała na sobie wyraz okropnego przerażenia, jak twarz człowieka, wiszącego nad bezdenną przepaścią. Trzęsąc się cały jak w febrze, uciekł do warsztatu, na dolnem piętrze domu; ale zostawiwszy na stole ojca lampkę i zapalki, znalazł się nagle w ciemnościach. W tej chwili oddałby połowę życia, aby się uwolnić od tego mroku, który go przerażał; lecz jak wrócić do pokoju, w którym już śmierć zapanaowała? Gdy patrzył na ściany, ukazywała się mu wszędzie martwa i blada twarz ojca, gdy spojrzał w dół, doznawał zawrotu głowy, gdy rzucił okiem na sufit, wszystko dokoła niego zaczynało wirować. Zamknął więc oczy; ale przerażające widziadło ukazało mu się jeszcze wyraźniej, jeszcze okropniej, niż przedtem. Przez kilka minut pozostał bez ruchu, bez tchu, bojąc się wysunąć rękę, aby nie dotknąć jakiegoś upiora i przyciskając palcami oczy, aby nie widzieć tej okropnej twarzy.

Nagle zapukano do drzwi; Lopijillo zerwał się z miejsca i zachwiał, jakby ugodzony kulą. Potem martwo wpatrzył się we drzwi, nie śmiejąc ich otworzyć; zdawało mu się, że za temi drzwiami stoi śmierć z szatanem, aby zabrać ciało i duszę nieszczęśliwego ojca. Przerażenie zamykało mu usta, chciał krzyczeć i wołać o ratunek, ale nie mógł; dopiero turkot wozu, który w tej chwili rozległ się na ulicy, wrócił mu przytomność; pomału przyszedł do siebie i przypomniał sobie, co miały znaczyć te nocne odwiedziny. Zbliżył się więc do drzwi, otworzył je, i ujrzał przy bladym świetle nocy czarne sylwetki osłów, stojących długim szeregiem a obładowanych worami.

— Czy to ty, Marcinie? — zapytał Lopijillo, drżąc jeszcze ciągle.

— Dobry wieczór, Don José -- odpowiedział z ulicy jakiś głos chrapliwy.

Na dźwięk tego głosu dawna trwoga Lopijilla ustąpiła przerażeniu innego rodzaju.

— Chodź, chodź prędzej! — wyszeptał jak najciszej, otwierając drzwi naoscież. — Tylko człowieku ostrożnie... ostrożnie...

Do warsztatu wszedł mulat olbrzymiego wzrostu i silnej budowy. Człowiek ten, wierząc jeszcze we frazesy rewolucyoni-

stów o węzłach braterskich, jakie miały połączyć wrogie rasy Hiszpanii, gorliwy brał udział we wszystkich republikańskich manifestacjach. Wszedłszy do izby, na rozkaz Lopijillo zapalił lampkę, co się zwieszała z sufitu; za nim wsunął się z worem na plecach właściciel osłów, na którego widok Lopijillo jeszcze bardziej się zmieszał i pośpieszył otworzyć mały lamus, połączony z warsztatem. Były tam okrawki skóry, stare trzewiki, korki, podeszwy i mnóstwo gratów.

— Gdzie złożyć? — zapytał człowiek z worem na plecach.

— Tutaj, tutaj — odparł śpiesznie Lopijillo. — Czy związane?...

Mulat podniósł głowę, podobną do łba brytana, i obracając ją do pytającego, odrzekł lakonicznie:

— A pewnie.

Potem zaczął układać worki, które mu towarzysz kolejno z ulicy przynosił. Lopijillo z lampką w ręku stał na progu pomiędzy warsztatem a lamusem, i gdy pomocnik mulata wyszedł, wskazał go wymownym gestem i zapytał niespokojnie;

— Czy on wie co?

— Nie nie wie.

— A właściciel?

— Miał wrócić łodzią, lecz pozostał w Kadyksie.

— Czy się może domyśla?...

— Niczego się nie domyśla.

Wkrótce praca została ukończoną; ludzie odeszli, a Lopijillo zamknawszy starannie drzwi od lamusa i warsztatu, wyszedł za nimi i po długiej drodze skręcił do nędznej lepianki przy ulicy Ancha, gdzie mieszkał pewien krawiec, współzawodnik Jana z Leidy i sekretarz republikańskiego klubu.

O świetle dopiero Lopijillo wrócił do domu i ośmielony światłem dziennem, które się zwolna ukazywało, wszedł do pokoju ojca. Ale już we drzwiach trwoga opanowała go nanowo. Zatrzymał się... Na stole płonęła jeszcze lampka, na łożu zaś z ustami wykrzywionemi, jakby do przekleństwa, z oczyma otwartemi szeroko, leżał Lopijo.

Lopijillo nie mógł znieść tego straszego obrazu śmierci i zamknawszy oczy, zbliżył się do łóżka, aby zakryć koldrą twarz ojca. Lecz ręce trupa wpiły się do niej, zapewne w ostatniej walce ze śmiercią; Lopijillo, czując ten naturalny opór, jaki mu stawiały zeszywniałe członki zmarłego, cofnął się struchlały, myśląc, iż rozgniewany trup go odpycha, i upadł niemal bez zmysłów w objęcia Salamanki, która w tej właśnie chwili we drzwiach się ukazała.

Ojcowie ojczyzny pośpieszyli odwiedzić Lopijilla, i zebrawszy się w warsztacie, jak senatorowie w kuryi, uradzili, aby wyprawić Lopijowi pogrzeb, godzien stoicznej jego śmierci. Odrzucono wszelkie religijne ceremonie, jako rzecz niegodną ludzi ucywilizowanych; jeden z obecnych skorzystał nawet z tej okazji i piorunującą wygłosił mowę przeciwko klerykałom:

— Nie chcemy słyszeć o księżach i zakrystyanach — wrzeszczał ochrypłym głosem — senio Lopi... to jest chciałem powiedzieć Józef Lopez powinien być pogrzebanym jak republikanin... Federalni nie potrzebują mszy, ani *requiem*. Czy wiecie, obywatele, co śpiewają te kruki na swych pogrzebach?...

I mówca wygłosił zwrotkę ulicznej jakiejs pieśni, przedrzeżniając uroczysty ton modlitwy:

*Cantemos, cantemos,
Que á treinta reales cabemos;
Monacillos á dos reales,
Sacristanes á peseta,
Y el muerto ya lleva papeleta*¹.

Takie było nabożeństwo za duszę nieszczęśliwego Lopija; ciało jego leżało samotne i nikt się przy niem nie pomodlił, nikt nie uрониł łzy serdecznej. Złożono je wreszcie do trumny, pomalowanej na czerwoną republikańską barwę — i orszak wyruszył w pochód. Na czele szedł republikanin, niosąc chorągiew białą, czer-

¹ Śpiewajmy, śpiewajmy,
Bośmy po trzydzieści realów zarobili;
Mnichy po dwa reale,
Zakrystyany po pesecie,
A umarły dostał już kwitek.

woną i zieloną, na której pod jakimś wołnomularskim godłem jaśniały słowa:

*República ó muerte!*¹

Trumnę okryto kawałkiem czerwonego perkalu, a czterech republikanów trzymało czerwone, przywieszone do trumny wstęgi. Wszyscy ci ludzie szli z komiczną powagą, rzucając dumne i groźne spojrzenia na gapiących się przechodniów.

Ztyłu nieco postępowała reszta miejscowych republikanów, z czerwonymi krawatami na szyi — oznaką stronnictwa. Pochód cały zamykało kilku republikanów umiarkowanych, zwanych szyderczo wstydliwymi. Trzymali się oni blisko chodników, z miną nawpół poważną i ironiczną, jakby rozumiejąc całą śmieszność tej wstrętnej farsy, urządzanej przez przywódców niemądrego tłumu.

Ta maskarada śmierci przeszła przez głównejsze ulice miasta i zatrzymała się na cmentarzu. Lopijillo uczestniczył we wszystkich ceremoniach ze stoicznym spokojem Brutusa na pogrzebie Cezara. Przez jedną tylko chwilę stracił przybraną powagę: oto gdy orszak przechodził kolo owego lamusa, w którym zamknięto worki, pewien republikanin rzucił niedbale na ziemię płonącą zapalkę. Lopijillo zaś skoczył ku niej gwałtownie i zdeptał ją nogami.

* *

Oprócz ambicyi, kierującej wszystkimi czynami Lopijilla, dwie jeszcze żądze zajmowały jego umysł — chciwość i zemsta.

Po śmierci ojca znalazł się on nagle bez środków utrzymania: nie złota, pozwalająca mu dotąd wic kłębek życia bez troski, urwała się wraz z upadkiem warsztatu, którym tak gardził. Zaczął więc myśleć o pracy: ale po krótkim namyśle przekonał się, że nie znał właściwie żadnej jej gałęzi. Kiedyś, w dzieciństwie wyrabiał on wprawdzie pułapki na myszy, które potem sprzedawał mieszkankom przedmieść: dziś jednak nie pamiętał

¹ Rzeczpospolita albo śmierć!

już tej sztuki, a zresztą sięgnawszy po radę do księgi dziejów, nie spotkał tam żadnego znakomitego człowieka, któryby godziny odpoczynku zapełniał wyrabianiem pułapek; odrzucił więc tę myśl stanowczo.

Ale potrzeba, która jest szóstym zmysłem człowieka, podnieciła jego geniusz i natchnęła mu myśl zbawienną. Na najbliższem zebraniu wygłosił w klubie mowę o stowarzyszeniach, która liczne zyskała oklaski, kończąc zaś zaproponował w następujący sposób wprowadzenie w czyn swojej idei.

— Dlaczego ludzkość cierpi? — zawołał tubalnym głosem. — Dlatego, że nie słucha rad moich i nie łączy się w stowarzyszenia. Tak jest obywatele! W stowarzyszeniach leży siła: *vis unita fortior!*

Światła publiczność przyklasnęła ochoczo, a jeden z federalnych, rzucając swój kapelusz do stóp trybuny, krzyknął donośnie:

— To mi człowiek!... nietylko mówi po hiszpańsku, ale nawet po francusku i po madrycku! ¹

— Synowie moi, — ciągnął Lopijillo — założmy stowarzyszenie wzajemnej pomocy. Skarbonka, którą z religijnym przechowywać będę szacunkiem, pomieści wkładki wasze; w niej złączą się skarby bogatych i wdowi grosz ubogich. Jeżeli kogoś z federalnych wycieńczy choroba, nie pójdzie on już żebrac o kawałek chleba u wrót tych pysznych bogaczy, którzy wszyscy bez wyjątku gardzą nędzarzami; ten fundusz wspólny zaopatrzy jego potrzeby. Jeżeli federalny opuści tę ziemię i odda swój organizm żywiołom, które go utworzyły, ten fundusz wspólny zabezpieczy utrzymanie opuszczonej wdowy i sierot pozostałych. Obywatele!... Ta idea filantropijna, ta myśl humanitarna jest tylko słabym odcieniem *falansteru*, który za przykładem wielkiego Fourier'a zamierzam tu utworzyć, skoro pochodnia cywilizacji oświeci całkowicie wasze umysły.

¹ W Hiszpanii każda niemal prowincya ma swój odrębny dyalekt. Język kastylski, właściwy język literacki, który powyższy republikanin nazywa madryckim, różni się znacznie od narzecza. używanego w Andaluzyi, w której się odbywa ta powieść.

(Przyp. tłum.).

— Niech żyje obywatel Lopez!... Niech żyje *Falansperro!*... Niech żyje *Furriel!* — wołali federalni z zapalem.

Tak więc przyjęto humanitarną ideę Lopijilla z najgorętszem patryotycznym uczuciem; skarbonka wypełniła się niebawem składkami... a w trzy dni później wnioskodawca pojawił się na zgromadzeniu w nowym, wysokim kapeluszu, w butach lakierowanych i w czarnym szerokim płaszczu, którym udrapował dostojną swą postać; rzekłbyś — rzymski konsul w todze!

Zadowolony z nowej kopalni złota, która odtąd miała pokrywać wszystkie jego potrzeby, wolny od poziomych trosk życia i wszelkich próżny kłopotów, Lopijillo postanowił teraz zająć się nieszczęśliwą Maryanillą i biednym jej Juanem. Zdarza się nieraz, że osoby, trudniące się wysoką polityką, w własnym interesie łączą się ściśle z małymi politykami, i niejednokrotnie intrygi, przez tych ostatnich osnute, a nawet zbrodnie przez nich popełnione, służą tamtym za stopnie do wysokich stanowisk. Lopijillo, zaprzyjaźniony z kilkoma wybitniejszymi figurami politycznymi, zdołał z łatwością na sprawę Juana wpłynąć tak skutecznie, iż wydano na nieszczęśliwego wyrok śmierci. Zaspokoiwszy tedy swą zemstę pewną zgubą jednej ofiary, począł rozmyślać, jakby dostać w swe ręce Maryanillę, którą mury klasztoru w D** zabezpieczały od jego prześladowań.

Dla dopięcia swych zamiarów, wygłosił w klubie sążnista mowę, w której zaznaczył, że postęp ludzkości wymaga dla swego rozwoju obalenia t. zw. miejsc świętych, tych jaskiń fanatyzmu i hipokryzyi; z drugiej zaś strony użył wszelkich wpływów w zgromadzeniu rewolucyjnem, aby jemu właśnie powierzono chlubną misję zaniknięcia i zniesienia klasztoru zakonnic w D**.

Rewolucya wrześnieowa dowiodła niejednokrotnie, że pycha ludzi, nie umiejących wznosić, zasadza się na obalaniu. Razem z klasztorem w D** padły w gruzy i inne domy zakonne, i po tych wspaniałych przybytkach bożych zostały tylko zgłiszcz stopy, a w sercach ludzkich wspomnienia. Na miejscu jednego z tych klasztorów, gdzie zniszczenie najsroźsze wybiło piętno, pewien rewolucjonista, wielkiem cieszący się znaczeniem, wznosił kolumnę z sarkastycznym napisem: *Plaza del Progreso*. Na miejscu drugiego klasztoru, w którym pogwałcono wszystkie ludzkie

prawa, podobny mieścił się napis: *Plaza de la Libertad*. Na miejscu wreszcie trzeciego z tych świętych przybytków, gdzie siła zwyciężyła prawo, a gwałt wziął górę nad porządkiem społecznym, umieszczono te zgodne z prawdą wyrazy: *Plaza de la Revolucion*.

Biedne zakonnice z D**, wygnane z miłego swego schronienia w imię prawa grabieży, przenieść się miały do innego klasztoru tejże reguły. Gdy nadszedł bolesny dzień egzekucyi, albo raczej bolesna noc — w nocy bowiem miał się odbyć wyjazd zakonnic — Lopijillo, wyprosiwszy sobie oddział wojska, wyruszył do klasztoru w towarzystwie kilku członków rewolucyjnego zgromadzenia. Łatwo sobie wystawić jego gniew i wściekłość, skoro po przybyciu na miejsce dowiedział się, że znenawidzonej dziewczyny, której zemstę poprzysiągł, niema w tych murach. Maryanilla wraz z innemi osobami świeckimi opuściła klasztor w wigilię wyjazdu zakonnic... Rewolucyjni zastali tylko ciche siostry klasztorne, które z poddaniem przyjmowały swój los. Ukłękłszy po raz ostatni przed ołtarzem, ogołoconym już z ozdób, obrazów i świateł, podobnym do ciała bez duszy, odmawiały chórem godzinki, których miarowe dźwięki przerywało co chwilę urywane łkanie.

Głuchy turkot nadjeżdżających wozów, następnie uderzenia we drzwi świątyni, oznajmiły wygnankom chwilę odjazdu. Nieliczny orszak mężczyzn i kobiet z ludu czekał na dziedzicu, pragnąc się przypatrzeć nowemu dla siebie widowisku. Za nimi stał zastęp siły zbrojnej, którą Lopijillo ściągnął do klasztoru może dlatego, że wierzył baśniom i że bał się tych śmiesznych i nierozsądnych pogłosek, które rozsiewali o tym domu zakonnym nieprzyjaciele Kościoła. Wedle jednych, klasztor D** miał przechowywać broń, przeznaczoną dla karlistów; wedle drugich, miała się tu ukrywać jakaś znakomita osobistość, spiskując skrycie w tem ustronnem zaciszu; inni nareszcie głosili, że w murach klasztornych kryje się cała masa ludzi uzbrojonych, których zakonnice sprowadziły na swoją obronę.

Z dalekich korytarzy doleciał cichy odgłos kroków, potem jakieś niewyraźne rozmowy i płacze; obecni spojrzeli po sobie z pewnym odcieniem trwogi:

— Już idą... idą!

Wrota klasztorne otwarły się naoścież. Przed oczyma ciekawych stanął bezbronny szereg niewiast, ubranych w szaty zakonne, osłoniętych czarnymi welonami. Wśród nich górowała sędziwa postać ksieni; wyniosła i majestatyczna, z bladym spokojem na twarzy, jedną rękę podniosła ku zakonnym swym siostrom, drugą oparła na hebanowym pastorału.

— Chodźcie, córki, chodźcie! Ci panowie na nas czekają — rzekła powolnie, usiłując głosowi swemu nadać wyraz spokoju.

Po tych słowach, tak wzniosłych i rzewnych wśród podobnych okoliczności, powstrzymywane dotychczas łkania, polykane łzy i tłumione jęki rozległy się nanowo. Zakonnice, jakby pchnięte jakąś nadprzyrodzoną siłą, upadły na kolana, aby po raz ostatni ucałować jeszcze ten próg, którego już nigdy więcej przekroczyć nie miały.

Sama tylko ksieni nie ruszyła się z miejsca; skinieniem ręki kazała zakonnicom powstać i wychodzić. Gdy wszystkie już wyszły i poczęły wsiadać do pojazdów, ona ostatnia opuściła klasztor i z sercem ściśnionem boleścią oddała Lopijillovi klucze. Żadna skarga, żadna bolesna wymówka nie wyszła z jej ust, tylko to jedno święte i wielkie słowo:

— Bądź wola Twoja jako w niebie, tak i na ziemi!

Lopijillo z kilku innymi towarzyszami przypatrywał się łzom tych niewiast „próżnujących, dumnych i samolubnych“, uśmiechając się pogardliwie, lecz zarazem wstydząc się samego siebie: bo jeżeli dla niegodziwego ciemniźcyela niewinność jest niemal zbrodnią, to nie bardziej nie rozjątrza jego gniewu i wściekłości, jak łzy ciche i uległe. Garstka ciekawych, a nawet i niektórzy członkowie rewolucyjnego zgromadzenia, nie taili swego wzruszenia; jeden z federalnych, człowiek ze złotem sercem, choć nieco przewróconą głową, uciekł ztamtąd, zanosząc się jak dziecko od płaczu.

— Ja nie służę takiej sprawie! — zawołał.

Podczas gdy zakonnice wsiadały do pojazdów, Lopijillo wsunął głowę do otwartych drzwi rozległego klasztoru i uśmiechając się do płaskiej a niegodziwej myśli, iż pierwszy sprofa-

nuje ten święty przybytek, wszedł do wnętrza, wlokąc za sobą długą i ciężką szablę, dźwięczącą ponuro na marmurowej posadzce. Krużganek, zupełnie ciemny, rozstaczał się na prawo i ginał w kościele tak, jak w niebie gina myśli duszy szlachetnej. Lopijillo otworzył drzwiczki w bocznej ścianie, przez które jakiś błądy promyk wydobywał się na zewnątrz, i ujrzał galeryę, wiodącą do rozmownicy. Drżący płomyk lampki migotał na ścianach. Przy jego świetle dostrzegł Lopijillo nad drzwiami trupią głowę, wspartą na dwóch piszczelach, pod którymi mieścił się napis:

Lo que eres fuí:

Lo que soy serás¹.

Wyraz zadowolenia, malujący się dotąd na obliczu Lopijilla, ustąpił w tej chwili przed nieopisaną jakąś trwogą; myśli o śmierci napelniać zwykła bezbożnych nieprzewyżczonym strachem. Lopijillo począł się cofać coraz śpieszniej ku wchodowej bramie, rozpędził się, ogromna szabla zaplątała mu się w nogi, i niegodziwiec upadł na ziemię, raniąc czoło o próg tego świętego przybytku, który zamierzał znieważyć.

Tymczasem ostatnie wozy z zakonnicami i z ubogim ich dobytkiem wyjechały już z dziedzińca. Brama klasztorna zamknęła się za niemi, a w murach tych zapanowała bezbożność i wszystko niszcząca tyrania, tryumfując brutalnie nad dziewięcią pokorą i modlitwą... Zewnątrz zaś pozostały lzy ubogich, które Bóg policzy, i żal bolesny, niezdolny oprzeć się bezprawio~~ni~~, i cicha modlitwa, przed którą drży okrutnik, i to, co uciśnionego silniejszym czyni nad ciemnięzyciela, co ponad wszystkim odniesie kiedyś zwycięstwo — katolicka wiara!!

*

*

*

W kilka dni po wywiezieniu zakonnic Lopijillo postanowił wygłosić mowę o zasadzie „równości“ w samym kościele poklasztornym w D**. Kościół ten zamieniono już na klub republi-

¹ Tem czem jesteś, byłem;

Tem czem jestem, bądźiesz.

kański: w miejscu dawnego ołtarza ustawiono stół prezydenta, a na kazalnicy, z której tylekrotnie rozbrzmiewało słowo Ewangelii, stanął Lopijillo.

— Federalni obywatele! — wołał natchniony apostoł rewolucyi — równość musi się stać faktem dokonanym. Jeżeli tyrania podzieliła społeczeństwo na klasy, to idea republikańska podział ten zniesie, zwracając każdemu człowiekowi część, przynależną mu z prawa w bankiecie przyrody.

— Słuchajcie! urządzą nam bankiet! — szepnął z uśmiechem jeden z federalnych do ucha swego sąsiada.

— Zdaje mi się, że długo wypadnie na to czekać — odparł kwaśno zagadnięty.

— Przykład dotykalny i widoczny uwydatni rzeczywistość tej świetnej idei, którą mam zaszczyt wam przedstawić — ciągnął dalej Lopijillo. — Spójrzcie np. na Marcina — (tu mówca wskazał ręką mulata, co stał niedaleko ambony, a niezuwszy na sobie spojrzenia wszystkich, zarumienił się i spuścił głowę). Jestto murzyn z rasy etyopskiej, gdy ja, biały, pochodzę z najczystszej rasy kankaskiej. Spójrzcie na Marcina, on się urodził pod ciężkiem jarzmem niewoli, ja zaś urodziłem się wolny jak ptak, swobodnie ulatujący w przestworza. Spójrzcie na Marcina — on jest nieoświeconym prostakiem, on popędza po ulicach swe osły, które pomagają mu zarabiać na utrzymanie, ja zaś jestem wykształconym, jako człowiek, poświęcający życie badaniom kwestyj społecznych, aby oświecać tłumy i zdzierać z ich oczu oponę nieświadomości, z której wyrodził się obskurantyzm i inkwizycya. Powiedz mi teraz, Marcinie, czy w tem republikańsko-federalnem społeczeństwie ty, murzyn, niewolnik i prostak, nie jesteś równym mnie, białemu, wolnemu i oświeconemu?...

Marcin rozgniewany tem, że niespodzianie stał się przedmiotem ogólnej uwagi, a w dodatku oburzony do żywego porównaniem, tak dla siebie niekorzystnem, krzyknął głośno:

— Nie, panie, nie jesteśmy równi, bo pan jesteś głupcem, a ja nim nie jestem!

Na tę zuchwałą odpowiedź mulata, słowa zamarły na ustach

mówcy; przez chwilę stał oniemiały z wyciągniętą ręką i otwartymi ustami. W klubie powstała straszna wrzawa.

— Precz z tym murzynem!... — wołano zewsząd.

— Precz z tym czarnym!...

— Patrzcie, na co się to bydlę odważa!...

— Zdaje się temu włóczędze, że nam wyrządza łaskę swoją obecnością!...

— Precz z niewolnikiem!...

Napróżno Lopijillo ochłonawszy z przerażenia, starał się ze swej trybuny ułagodzić wzburzoną gawiedź i powstrzymać rozsierdzonego Marcina. Już wielkie pięści mulata wyrządziły niemałe szkody policzkom i nosom republikańskim; wkońcu jednak, nie mogąc sprostać przeważającej liczbie pięści nieprzyjacielskich, opadły bezsilnie, a ich właściciel począł się cofać i dotarłszy szczęśliwie do głównej bramy kościoła, w jednym mgnieniu oka znalazł się na ulicy.

Wówczas ujrzano ze zdumieniem, że Lopijillo zapomniawszy po raz pierwszy o swej godności, którą zwykł był imponować tłumom, zbiegł z kazalnicy i przedzierając się wśród ciżby, wybiegł za Marcinem. Ale mulata nigdzie nie było już widać. Zaniepokojony Lopijillo obiegł napróżno wszystkie miejsca, w których spodziewał się go spotkać; niepokój jego wzrastał z każdą chwilą; zrozumiał on, chociaż może zapóźno, ogrom swej pomyłki. Mulat posiadał tajemnicę spisku, uknutego przez federalnych przeciw prowizorycznemu rządowi, i jego zraniona miłość własna mogła mu natchnąć myśl zdrady. Na samo to przypuszczenie dreszcz trwogi przebiegał po ciele Lopijilla i z brakiem rozwagi, słabym charakterem w chwili niebezpieczeństwa właściwym, chwycił się pierwszej myśli, jaka mu się nasunęła. Podążył śpiesznie do Corral de los Chicharos, chcąc się naradzić z Salamanką.

Uczona lekarka wstała właśnie z łóżka i pośpieszyła na powitanie siostrzeńca, okrywając starym płaszczem skromny swój negliż. Salamanka znacznie się zmieniła od onego dnia fatalnego, w którym znęcona obietnicami Lopijilla, rzuciła potwarcze oskarżenie na młodego Juana. Głęboki smutek i tajemna trwoga,

nieuchronnie towarzysząca zbrodni, ustawicznie trawiły jej duszę. Światło słoneczne, co oświeca, rozgrzewa i rozwesela zarówno złych jak dobrych, rozpraszało nieco ponure jej myśli, lecz gdy nocne zapadły cienie, wówczas dziwny jakiś przestrah opanowywał Salamankę. Nie mogła znieść widoku mieszkania Maryanilli, którego drzwi, ciągle zamknięte jakby podwoje grobu, zdawały się strzedz spokoju i dobrej sławy tych dwojga nieszczęśliwych, co jej zawdzięczali swoją niedolę. Z drugiej strony powszechny podział majątków, tylekrotnie zapowiadany przez Lopijilla, nie przychodził jakoś do skutku, i Salamanka straciła już nadzieję posiadania domu lekarza, don Juana Beniteza, obiecane jej w nagrodę za fałszywe świadectwo przeciwko Juanowi Mizeryi.

Co do Lopijilla, który — jak wszyscy zлочyńcy — wkrótce uczuł wstętu do współniczki swej zbrodni i dawał jej rozmaite obietnice, nie myśląc o ich dotrzymaniu, ten zaczął stopniowo jej unikać z obawy ciągłych wyrzutów, i nawet niejednokrotnie myślał o pozbyciu się tego niewygodnego świadka nikczemnej swej zemsty. I nie dziwnego. Jestto prawda, stwierdzona doświadczeniem, że węzły, które zbrodnia zadzierzga, zbrodnia też najczęściej przecina.

Wielkie więc było zdziwienie Salamanki, gdy ujrzała przed sobą siostrzeńca bladego, drżącego i przybywającego o tak niezwyklej porze.

Narada między ciotką i siostrzeńcem była długą i tajemniczą; jedna z sąsiadek, czuwająca do świtu przy chorem swem dziecku, zauważyła tylko, że krewny Salamanki, znany w mieście pod nazwiskiem senio Dondito, późno już w nocy przywiózł na osłach jakieś wory ze zbożem i zaniósł je przez skryte drzwieczki do piwnicy, pod mieszkaniem uczzonej lekarki.

Nazajutrz rano Salamanka z twarzą, rozjaśnioną radością, wracała z rynku z koszykiem trzcinowym, na dnie którego spoczywało kilka funtów rybek, przeznaczonych na okrutne usmażenie. Wpobliżu Corral de los Chicharos spotkała sąsiadkę, Juanitę Perdigon, która również z koszem na plecach śpieszyła ku domowi.

— Zkąd idziecie? — zapytała Juanita.

— Kupiłam rybek za trzydzieści cuarto i pierników za dwadzieścia — odparła zagadnięta, pokazując zawartość swego koszyka.

— O Jezu! jakaż to ruchliwa gromadka, jak to trzepoce główkami i ogonkami! — odrzekła senia Juanita Perdigon. — Jest tu tyle tego, że byłoby czem nakarmić całą rodzinę.

— Widzisz, sąsiadko, jak to dobrze mieć takiego, jak ja, siostrzeńca.

— A widzę, widzę — odrzekła z kwaśną miną Juanita.

— Ale to nie koniec — mówiła dalej gadatliwa lekarka; — skoro się utworzy rzeczpospolita, to mój siostrzeniec stanie wyżej od króla.

— Wtedy wasz worek napelni się jeszcze lepiej, nieprawda, Salamanko?

— Że mój siostrzeniec stanie wysoko, to już i teraz można przewidzieć — ciągnęła tamta, ożywiając się stopniowo. — Wyobraź sobie, moja córko, że kiedy on przemawia w klubie, to nawet na ulicy zbierają się ludzie, aby go usłyszeć. Słyszałam, że pewnej nocy mówił on prześlicznie. „Obywatele! — zawołał — nasz kraj bardzo zachmurzony, ale niedługo nadejdzie godzina, w której rozlegnie się okrzyk: Rzeczpospolita albo śmierć!“

I Salamanka, zachwycona urokiem tych słów, podniosła rękę z miną nowożytniej Racheli; nieszczęście chciało, że koszyk się jakoś przechylił, a ryby wraz z piernikami posypały się na ulicę. Włot zjawił się jakiś psotnik, o których nigdy nie trudno, porwał kilka rybek i zaczął uciekać, przedrzeżniając rewolucyjną śpiewkę:

Viva la República federá!
Y al ladron, que no la quiera,
Garrote le van á dá¹.

— Złodzieju jakiś, ladaco!... — zawołała Salamanka w bezsilnym gniewie, który nie mógł dosięgnąć żwawo uciekającego chłopaka. — Czekaj, dam ja ci!

¹ Niech żyje Rzeczpospolita federalna!

A łotr, który jej nie zechce,

Porządnie oberwie!

I po tym bezskutecznym proteście poczęła skrzętnie zbierać ocalałe resztki — nadzieję przyszłego obiadu.

Skończywszy tę żmudną pracę, zwróciła się znowu do Juanity, nawiązując przerwana nić rozmowy.

— Powtarzam ci, moja córko, że mój siostrzeniec stanie wysoko. Wtenczas i ja nie odmówię protekcyi moim znajomym i przyjaciom.

— No proszę, — odpowiedziała nie bez ironii Juanita — ktoby się tego spodziewał.

— Czy wiesz, moja kochana, — odparła Salamanka, znajdując pewne zadowolenie w jątrzeniu swej zazdrosnej sąsiadki — czy wiesz o tem, że do mnie będzie należał dom lekarza, don Juana Beniteza, i winnica, którą widać z okien mego mieszkania. Oto jest dokument, nadający mi je na własność.

I Salamanka wydobyła z kieszeni złożony we dwoje arkusz papieru, na którym obiecywano jej rzeczywiście obie te posiadłości w bliskim już dniu likwidacyi socyalnej. Dokument ten ubiegłej nocy ułożył i podpisał Lopijillo.

— Niech cię to nie dziwi, moja kochana — ciągnęła dalej Salamanka, chowając drogi dla siebie papier. — Wszak zawdzięczam to stosunkowi nemu z Lopijillem, którego jestem ciotką.

— Niewielki to honor i dla was i dla niego — odrzekła Perdigon, coraz większą miotana złością.

— Jesteś zazdrosną, jak widzę, i dlatego niesprawiedliwą. Nikt przecież nie może mi zarzucić, żeby moje powodzenie opłacało się utratą mojej dobrej sławy.

— O pewnie! czego kto niema, tego i utracić nie może. Wszyscy was znają tak dobrze, jak kamienie brukowe na ulicy.

— Czekaj, czekaj! niegodziwa, gębo, i tobie jeszcze powiniene się kiedyś noga — odrzekła Salamanka z naciskiem, wchodząc na ganek mieszkania, do którego właśnie były doszły. — Tymczasem wiedz o tem, że zazdrość, to namiętność niedoleżna, i szkodzi tylko tym, którzy jej ulegają.

I stanąwszy we drzwiach mieszkania, zwróciła się raz jeszcze do swej przeciwniczki, nucąc ironicznie:

*Rabia, rabia,
Que tengo una piña,
Que tiene piñones,
Y tú no los comes!...*¹

— Śpiewaj sobie, śpiewaj, — odrzekła szyderczo Juanita Perdigon, cała czerwona od złości — jak nastanie inkwizycya, to cię jeszcze oblepią pierzem².

I zatrzasnęła drzwi za sobą.

Tegoż samego rana Salamanka, postawiwszy w piecu garnek z obiadem, nałożyła kraciastą chustkę, zamknęła na klucz drzwi mieszkania i skierowała swe kroki ku domowi doktora don Juana Beniteza.

Dom ten nie wielki, ale ładnie urządzoney, składał się z dwóch pięter; na dole po obu stronach drzwi mieściły się dwa okna, zasłonięte do połowy zielonemi frankami, falującemi tak wdzięcznie na tle białej ściany, jak wesoły uśmiech na twarzy piętnastoletniego dziewczęcia. Ponad drzwiami wznosił się balkon, wypełniony mnóstwem wazonków z pnącemi się roślinami, które, spadając do połowy ściany i czepiając się balustrady balkonu, oplatały zarazem swymi zwojami ogromną gałąź palmową, poświęconą w kwietnią niedzielę. Wszystko to tworzyło poetyczne niby godło myśli religijnej, jaśniejącej wśród kwiecia. Po obu stronach balkonu błyszczały znowu przeźroczyste szyby okien; na trzeciem piętrze nieco węższem z frontu, trzy okna z gustowną ornamentyką wznosiły się ponad balkonem.

Salamanka parę razy rzuciła okiem na fronton ładnego domu, i weszła do bramy, wyłożonej białemi i niebieskimi taflami. Nim pociągnęła za dzwonek, wyjrzała raz jeszcze przez białe sztachety na dziedziniec, wyłożony kamieniem i ozdobiony

¹ Wściekaj się z gniewu,
Że ja mam sosnę;
Rosną na niej szyszki,
Ale ty ich jeść nie będziesz.

² Jedną z najhaniebniejszych kar, używanych w Hiszpanii, było smarowanie winowajców miodem, oblepianie ich następnie pierzem i oprowadzanie po ulicach.

(Przyp. tłóm.).

na czterech rogach wawrzynowemi drzewami. Na środku z marmurowego basenu tryskała krystaliczna i szemrząca fontanna, oblewając brylantową rosą wazoniki naparstnicy i heliotropu, otaczające ją dokoła.

Po tem przelotnem spojrzeniu, Salamanka, pewna siebie, szarpnęła silnie rączką dzwonka; po chwili zjawiała się wystraszona służąca, zapytując ją, czego potrzebuje.

— Pragnę się rozmówić z panią — odparła lekarka.

Służąca znikła w głębi domu i wróciła po chwili, prosząc Salamankę za sobą.

Przeszedłszy dziedziniec i schody z białego marmuru, rzucając na wszystkie strony badawcze spojrzenia, jakby chciała zbadać topografię domu, Salamanka znalazła się wobec niemłodej kobiety, której ramiona wiek już nieco pochylił.

— Bóg z tobą. senioro — rzekła Salamanka z pewnem zakłopotaniem.

— Bóg z wami, moja kobieto — odpowiedziała żona lekarza.

Obie zamilkły po tem powitaniu; wkrótce jednak pani domu zapytała z pewnym odcieniem zdziwienia:

— Czem mogę służyć?...

— Najprzód zechce mi pani pokazać ten dom, — odrzekła Salamanka, nabierając stopniowo odwagi — ponieważ mnie on przypadł w udziale i chciałabym w nim się rozpatrzyć.

Doktorowa otworzyła szeroko oczy, opuściła ręce, i patrząc na Salamankę z miną arcyzabawną, nie potrafiła się zdobyć na odpowiedź.

— Tak, senioro, — ciągnęła lekarka, odzyskawszy już zupełnie zwykłą swą werwę — dom ten należy do mnie i obejmę go od św. Jana.

Tu zamilkła na chwilę, a widząc, że żona lekarza nie odpowiada jej wcale, dodała:

— Myślę zamieszkać na dolnem piętrze i urządzić się tak, jak mi się spodoba. Jeżeli zaś państwo zechcecie pozostać nadal w zajmowanym przez siebie mieszkaniu, to proszę mię o tem zawczasu uwiadomić, a wówczas przed innymi lokatorami będziecie mieli pierwszeństwo.

— Przyznam się pani, — odrzekła nareszcie żona lekarza — że się na tych rzeczach nie rozumiem i wolę wezwać mojego męża.

I nie czekając na odpowiedź, wyszła bocznymi drzwiami. Po chwili rosły i silny mężczyzna stanął przed Salamanką.

— Pociąg tu pani właściwie przyszedł? — zapytał gniewnym już tonem.

— Bardzo uprzejmie przyjęcie! — zawołała Salamanka. — Wiedz pan jednak, że nie przyszedłem tu prosić o żadną łaskę...

— W takim razie najlepiej pani zrobisz, jeżeli tą samą drogą, którą tu weszłaś, odejdziesz i zostawisz nas w spokoju.

— Jesteś pan grzecznym, ani słowa!... Chyba pan nie wiesz, z kim mówisz?

— Nie wiem, a co więcej, nie chcę o tem wiedzieć.

— Wiedz pan jednak, że jestem ciotką mego siostrzeńca...

— Wierzę mocno.

— I że mój siostrzeniec jest prezesem klubu i przywódcą republikanów.

— To możesz się pani spodziewać, że go wkrótce powieszają.

— Przestań pan odzywać się w taki sposób ubliżający, jeżeli nie chcesz się spotkać z kratą więzienną — zawołała oburzona Salamanka. — O moim siostrzeńcu mówi się z kapeluszem w ręku...

— Nie nadużywaj, kobieto, mojej cierpliwości, bo możesz wylecieć na ulicę nie schodami, ale balkonem.

— Nie potrzebuję wcale ztąd wychodzić, bo jestem tu u siebie — odparła Salamanka, zasiadając na krześle — i jeżeli mnie tutaj choć najmniejsza spotka zniewaga, to się odwołam do mego siostrzeńca.

— A więc ruszaj sobie do niego, bo w przeciwnym razie przywołam policję.

— Schowaj sobie pan dla innych te groźby. Ja się ich nie boję. Już minęły czasy despotyzmu i waszego panowania.

— Kobieto, powtarzam ci, wynoś mi się, bo zaczynam tracić cierpliwość!

— O! wiem ja dobrze, że pan masz do mnie urazę, dlatego

że leczę własnymi środkami, a nie używam twoich pigulek, które już wielu zaprowadziły na tamten świat. Już nawet dzieci śpiwają po mieście:

*Si quieres que el diablo te estripe
Llama á don Juan Benitez*¹.

-- Miecz, czarownico! dość mi już tego!...

I rozgniewany mężczyzna posunął się ku Salamance z nader wymownym gestem... Ta widząc, że sprawa zaczyna być poważną, roztropnie skoczyła ku drzwiom, a ztamtąd w mgnieniu oka znalazła się na ulicy, obsypując po drodze biednego doktora gradem doborowych epitetów.

W gniewie i pośpiechu nie zauważyła nawet, że dokument, ręką Lopijilla spisany, wypadł jej z rąk i został w przedpokoju lekarza.

* *

W parę dni później służąca don Juana Beniteza, zamiatając przedpokój, znalazła pod krzesłem dokument Salamanki. Nie zdołamy opisać zdumienia lekarza na widok tego dziwnego manuskryptu².

Pod drukowanym u góry napisem: — *Federacion Gaditana. — Junta de Liquidacion social* — Lopijillo dodał własnoręcznie:

„Niniejszem zapisujemy w rejestrach zgromadzenia na imię obywatelki Michaliny Gomez Salamanki dom pod nrem 11 przy ulicy C**, odebrany don Juanowi Benitezowi, jakoteż winnicę Peral w dzielnicy Parpalana, odebraną don Manuelowi Ceballos.

„Niniejszy dokument upoważnia obywatelkę Michalinę Gomez do zażądania obu tych posiadłości od Zgromadzenia, zostającego pod mojem kierownictwem, w dniu likwidacyi społecznej.

Józef Lopez, prezydent“.

¹ Jeżeli chcesz, żeby cię dyabli wzięli,
Wezwij don Juana Beniteza.

² Ten dokument jest autentycznym i zmieniliśmy w nim tylko imiona własne. Nie wiemy zresztą, czy podobne odezwy, rozsiewane wówczas pomiędzy ludem, pisano w dobrej wierze, czy też były tylko środkami, którymi tacy patryoci, jak Lopijillo, posługiwali się do omamienia i wyzy-skania łatwowiernych.

U dołu mieściła się pieczęć, nosząca napis w otoku: „Wolność — równość — braterstwo“, w środku zaś: „Likwidacya społeczna“.

Don Juan Benitez widział już w swej wyobraźni Gallów na Kapitolu, t. j. Salamankę w swym domu i przy swem biurku, nad którym wznosił się biust Hannemana, stanowiący najważniejszą ozdobę tego naukowego ustronia. Gniew i strach zawładnęły uczonym lekarzem; nie ufając miejscowemu alkadowi, udał się z niebezpiecznym dokumentem do powiatowego sędziego. Ten, pomimo wrodzonej sobie powagi, uśmieł się serdecznie z odwiedzin Salamanki, i przyglądając się z zajęciem dokumentowi, rzekł:

— Prawdziwie wdzięczny panu jestem za ten ciekawy szczegół. Dokument ten wprowadza nas na trop pewnej zwierzyny, na którą już polujemy oddawna.

Tymczasem Salamanka, straciwszy cenny swój zapis, czemprędzej pobiegła do Lopijilla po drugi podobny egzemplarz, któryby w dniu oznaczonym mógł jej zapewnić posiadanie upragnionego domu. Przybywszy jednak do mieszkania siostrzeńca, dowiedziała się, iż zniknął bez śladu tego dnia jeszcze, w którym po raz ostatni z nią rozmawiał. Przerażona i rozgniewana lekarka pośpieszyła do swej piwnicy i przeglądała owe worki z jęczmieniem, ciągle zagadkowo poruszając głową. Następnie wyszedłszy z tamtąd przysunęła do niskich drzwi, prowadzących z jej pokoju do piwnicy, ogromną czerwoną skrzynię, która je niemal zupełnie zakryła. Przy tej właśnie czynności znalazł ją stary jej krewny, senio Dondito, który nadszedł w tej chwili.

— Przychodzę do was — rzekł stary prosto ze drzwi — po moje pieniądze, za ten jęczmień, com go wam zwoził od Lopijilla; dyabło ciężki był ten jęczmień, o mało mi osły nie padły.

Salamanka z dziwnym strachem odskoczyła od skrzyni. Chciała już coś mówić, szczęściem jednak opanowała swój przestrah i rzekła spokojnie napozór:

— Ależ to niema nic pilnego. Jak tylko siostrzeniec mój spotka was, zaraz zapłaci.

— Ej, ten^o wasz siostrzeniec, to nie wart wiele; nie chcę mieć do czynienia z tym panem. Nie wiem, czy wiecie o tem,

ale tu w mieście jest wielu bardzo uczciwych ludzi, którzy waszego Lopijillo nazywają oszustem i złodziejem.

— Zazdrość, kumie, zazdrość! — zawołała rozjątrzona Salamanka.

— Czy to prawda, czy fałsz, nie wiem: ale mówią także i to, że Lopijillo zabrał z banku pieniądze, aby utworzyć wojsko i ogłosić się niepodległym.

— Uchowaj Boże, wszystko to są kłamstwa!... Wszak ja bym najpierw o tem wiedziała.

— Tak i mnie się zdaje — odparł senio Dondito żartobliwym tonem. — Przecież jesteście ciotką rzeczypospolitej...

— Ja?...

— Alboż nie jesteście ciotką Lopijilla? — a Lopijillo ojcem rzeczypospolitej... Ztąd wynika, że rzeczpospolita ma w was także ciotkę.

Salamanka zamilkła na chwilę, jakby rozkoszując się wysoką godnością, jaką ją zaszczycił Dondito: ten zaś spoważniał i ciągnął dalej:

— Kiedy rzeka płynie, woda unosi ze sobą kamienie; niech mi więc nie mówią o miłości ludu i ojczyzny, bo na tę wędkę nie dam się ulowić. Wasz Lopijillo, jak wszyscy jemu podobni, troszczy się przedewszystkiem o siebie, i własny zysk najbliższym jest jego celem. Dzisiaj jest republikaninem, ponieważ sądzi, że rzeczpospolita może go wynieść wysoko: jutro stanie się karlistą, jeżeli ujrzy, że zdoła tem zdobyć parę setek albo tysięcy. Nie lepiej też myślę o tutejszych federalnych: z początku wiele oni hałasują, a gdy głód zajrzy im w oczy, wówczas pokorni jak jagnięta, idą po jalmużnę do monarchy, jak to wyraża nasza piosnka:

*Allá van los republicanos
Con toda su fantasía,
A recibir la telera
Que les da la monarquía¹.*

¹ Idą więc republikanie
Z całą swą fantazją.
Aby otrzymać zasiłek.
Jaki im da monarchia.

— Wiecie, — ciągnął dalej senio Dondito po chwili milczenia — kiedy byłem młodym, umarł król Ferdynand i moja nieboszczka babka tak po nim płakała, że jej oczy nabrzmiały, jak jabłka.

— Babko, — rzekłem do niej — czego tak płaczecie? Cóż was król może obchodzić?...

— Ach synu, król jest Bogiem na ziemi.

— Babuniu, gdyby była inkwizycya, ucierpielibyście za te słowa — rzekłem, sądząc, że mówię coś bardzo mądrego. Ona mi jednak odpowiedziała:

— Nie! synu, król jest na ziemi tem, czem jest Bóg na niebie; ojcem ubogich i bogatych.

— A jednak, kumie, — zawołała oburzona Salamanka, nie lubiąca widocznie zmarłego króla — a jednak Ferdynand był niegodziwcem.

— To już do nas nie należy, bo go tam boski osądził Maje-stat. Jeżeli jednak on był złym, to naród był dobrym; oplakiwał go bowiem jak ojca i jak syn ukrywał jego występki. Powiedźcie mi teraz, co jest gorszem, czy okrutny ojciec, czy też syn znieważający rodzica?

I zamyślił się stary... Niedługo jednak trwały jego dumania. Drzwi się otwarły gwałtownie i jedna z sąsiadek Salamanki wpadła do izby z dzieckiem na ręku, wołając wystraszonym i urywanym głosem:

— Salamanko, uciekajcie! policya idzie do was!!

* *

Rzeczywiście w tej chwili na dziedziniec wszedł komisarz policyjny, trzymając w ręku urzędową łaskę, ozdobioną kutasem, poprzedzony przez dziatwę z całego przedmieścia i czterech policyantów, otoczony mnóstwem kobiet, śpieszących ze wszystkich stron z ciekawością i trwogą, aby się dowiedzieć, o co chodzi. Obok komisarza postępowała senia Juanita Perdigon, wskazując tryumfalnymi gestami na mieszkanie Salamanki.

— Tam ją znajdziesz, panie Alkademie, — mówiła — to jest jej salon...

Wszyscy mieszkańcy Corral de los Chicharos zbiegli się natychmiast przed drzwi Salamanki, otaczając komisarza szeroko półkolem. Ten jednak, szanując nietykalność mieszkania, zapewnioną przez konstytucję, zatrzymał się na progu i zapytał właścicielkę, która właśnie we drzwiach się ukazała:

— Czy pani jesteś Michalina Gomez?...

— Panie komisarzu, ja jestem uczciwą kobietą! — zawołała Salamanka przerażona i blada.

— Nikt temu nie przeczy — odparł komisarz. — Ja pytam tylko, czy pani się nazywasz Michalina Gomez?

— Tak, panie!... tak!... — zawołały wszystkie sąsiadki, zacieśniając półkole, okrażające komisarza.

— Michalina Gomez Parilla, — dodała Juanita Perdigon — chociaż ją tu na przedmieściu nazywają Salamanką.

Usłyszawszy głos swej przeciwniczki, Salamanka rzuciła na nią pełne nienawiści spojrzenie i gniewnie zawołała:

— Ja jestem uczciwa kobieta, panie Alkademie, chociaż ta plotkarka mogła przez zazdrość nagadać panu o mnie niestworzonych rzeczy.

— Sama jesteś plotkarką, bo teraz jeszcze mię obmawiasz — odparła Juanita Perdigon. — Pan Alkad może poświadczyć, że skoro spotkał mię w bramie i o was zapytał, nie powiedziałam mu ani słowa. Bo gdybym chciała mówić...

— To i cóżbyś powiedziała?

— Coś, co dla ciebie byłoby niezbyt pochlebnem.

-- Mierz plotkarko!

— To nie plotki, ale szczerą prawdą.

— Kłamiesz bezwstydną!

— Przysięgam, że mówię szczerą tylko prawdę.

Komisarz uderzył laską o ziemię i rzekł z urzędowem namaszczeniem:

— Proszę o spokój!

Na chwilę zapanowała cisza — i rozszerzyło się nieco półkole, otaczające urzędnika. Ten zwrócił się do Salamanki.

— Zapytuję panią powtórnie, czy się nazywaśz Michalina Gomez?

— Do usług pana — odrzekła stara — i w całej dzielnicy mogą panu poświadczyć, że jestem uczciwą kobietą, o wiele lepszą niż moja oskarżycielka, która ma do mnie urazę a ze wszystkimi drze koty.

Chór kobiet na dziedzińcu zaszumiał znowu jak fala; każda chciała wtrącić własne swe przekonanie.

— Prawda, prawda, panie Alkademie!

— Zaręczam, że tak!

— Otóż wcale nie tak!

— Dwadzieścia lat mieszkamy razem z nią w Corral de los Chicharos!

— I ona leczy darmo ubogich...

— Nieprawda; mojemu mężowi puszczała krew i kazała sobie dać dwa reale; musiał się zadłużyć.

— E, co tam gadać; wasz mąż jest pijakiem, to się zadłużył; przecie nawet waszą pierzynę oddał w zastaw.

— Fałsz, fałsz niegodziwy!

— Najświętsza prawda, panie Alkademie. Wszak ta kobieta od dwóch miesięcy nie opłaciła mieszkania.

— Jak śmiesz tak mówić! Toś ty mi winna pięć piastrow i nie chcesz mi ich oddać.

— Panie Alkademie, to jest oszczerstwo!

— Panie Alkademie, to prawda!

— Milczeć! do kroćset tysięcy dyabłów! — zawołał na prawdę już rozgniewany komisarz.

Chór ucichł i półkole się ruszyło, popychając komisarza wbrew jego woli na próg mieszkania Salamanki.

— Michalino Gomez, — ozwał się komisarz — z rozkazu władzy mam odbyć rewizję w twojem mieszkaniu.

Salamanka zbladła jak chusta. Pokrywając jednak swój przestרח, zapytała obojętnie:

— Cóż to, czy jestem podejrzaną?

— Tak, łaskawa moja pani, i to w wysokim stopniu.

Nieprzejeđnana Juanita Perdigon nie mogła wytrzymać i wnieuszała się znowu do rozmowy.

— Niech pan Alkad zaglądnie do jej worków z jęczmieniem.

— Kto tu mówił o jęczmieniu? — zapytał komisarz, obraćając się nagle.

— Nie mam żadnego jęczmienia, — zawołała Salamanka — szukaj pan po wszystkich pokojach; przecieć go nie mam w kieszeni.

— W piwnicy, w piwnicy go macie, Salamanko — zawołała znowu gadatliwa przeciwniczka.

— Kłamiesz! — zawołała lekarka.

— Panie Alkadzie, niech poświadczy senio Dondito; on sam jej przywiózł ten jęczmień.

Salamanka obróciła się nieznacznie do senia Dondita, który stał za jej plecami, i szepnęła mu do ucha:

— Miłzcie, na miłość boską, bo mię zgubicie!

Ale senio Dondito wystąpił naprzód i ze zwykłą sobie szczerością rzekł poważnie:

— Aż do wrót piekielnych gotów jestem towarzyszyć mym przyjaciółom, ale nawet dla własnego ojca nie potrafiłbym skłamać.

— Czy prawdę mówi ta kobieta? — zapytał komisarz, wskazując na Juanitę.

— Tak, panie Alkadzie. Do tego domu na trzech moich osłach przywiozłem przedwczoraj dwadzieścia pięć worków...

— Cóż było w tych workach?

— Jęczmień... Pani Salamanka mi powiedziała, że kupiła go od swego siostrzeńca Lopijilla i zasieje go na polu, które jej wydzielił w pobliżu rzeki.

— Zkąd przywieźliście te worki?

— Z warsztatu Lopijilla... chciałem powiedzieć zmarłego senia Lopija.

— A gdzież są one teraz?

Senio Dondito wzruszył ramionami i wskazał na Salamankę. Ta, widząc się zdradzoną, chwyciła się ostatniej deski ocalenia i zawołała gniewnie:

— Na księżycu. A cóż to do was należy?... Czy to się godzi robić mi wstyd, zwoływać wszystkich ludzi z ulicy?... Ja tego nie zniosę — i jeżeli pan Alkad nie ustąpi, to pójde z skargą choćby do Ojca św. w Rzymie!...

— Być może, lecz najprzód pójdziesz pani do więzienia, jeżeli mi natychmiast nie pokażesz tych worków.

— U mnie ich niema. Można się o tem przekonać. Ale to wasz zwyczaj, panowie, prześladować i uciskać biedaków, albo nawet obdzierać ich z mienia.

Komisarz uznał, iż nadeszła chwila upokorzenia Salamanki wyjął więc z kieszeni jakiś papier, mówiąc uroczyście:

— Oto jest rozkaz gubernatora, potwierdzony przez sędziego, abym zrewidował natychmiast to mieszkanie.

— Jeżeli pan chcesz powymieniać tam kurze, to i owszem. Cóż mię to może obchodzić!...

Komisarz dał znak dwom policyantom, którzy usunęli z przede drzwi tłum ciekawych, i wszedł nareszcie do wnętrza domu z resztą swoich podkomendnych, podczas gdy Salamanka krzyczała i wygadywała, co mogła.

— Gdzie jest piwnica? — zapytał komisarz.

Sto rąk wysunęło się z pomiędzy fali głów, tłoczących się we drzwiach, i sto głosów krzyknęło jednocześnie:

— Tam, tam, za skrzynią!

Natychmiast usunięto skrzynię i komisarz wszedł do piwnicy z starym Donditem i dwoma policyantami, prowadzącymi pod boki Salamankę. Komisarz rozwiązał jeden worek, napel-niony jęczmieniem najgorszego gatunku, wsunął do niego obie ręce i obalił go na ziemię.

— A co? widzicie! — zawołała Salamanka. — Dość już będzie tej komedyi, chodźmy lepiej do pokoju.

Ale komisarz, nie zwracając na nią uwagi, rzekł do jednego z policyantów:

— Spróbujno wypróżnić ten worek, Martinezie...

— Co pan robisz! — zawołała zrozpaczona Salamanka. — Chcesz mi zanieczyścić całą piwnicę?...

Po chwili przewrócono worek otworem nadół, i trzecia

część jego zawartości rozsypała się natychmiast po całej piwnicy, reszta zaś pozostała jeszcze w głębi. Gdy jednak workiem silnie wstrząśnięto, wypadła na ziemię jakaś czarna masa. Był to proch ziarnisty.

— A co? — zawołał komisarz z tryumfem. — Czy to także jęczmień?...

— Wilgoć, wilgoć go zepsuła — wybełkotała Salamanka.

— Ha, ha, to dobre! — zaśmiał się komisarz i kazał starą oszustkę niezwłocznie odprowadzić do więzienia.

Senio Dondito osłupiał, przypatrując się całej tej scenie. Wreszcie zwrócił się do komisarza i wyrzekł sentencyjonalnie:

— Jednak powiadam panu, że gdyby dyabeł chciał się na świat narodzić, przybrałby z pewnością postać kobiety!...

(Dok. nast.)..



PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Archeologia chrześcijańska wobec historii Kościoła i dogmatu.

Przez ks. dra Józefa Bilczewskiego. Kraków. Księgarnia G. Gebethnera i Spółki. 1890.

Mało kiedy tyle pięknych dzieł wyszło naraz z druku, co w tych czasach. Na pierwszym miejscu musimy postawić „Historię filozofii greckiej“ O. Pawlickiego (t. I); ale niepoślednie po niej miejsce chciałobyśmy oddać pracy habilitacyjnej młodego uczonego kapłana, ks. Bilczewskiego, której tytuł umieściliśmy powyżej.

Już samo wydanie nadzwyczaj staranne, z bardzo dobrymi ilustracjami, pozbawione prawie zupełnie omyłek druku, chociaż mieści w sobie wiele tekstów łacińskich i greckich, bardzo miło robi wrażenie i świadczy o ojcowskiej troskliwości autora dla swego dzieła i o jego poszanowaniu dla czytelnika. Największą jednak wartość tej książki stanowi to, że autor potrafił szereg najnowszych odkryć archeologicznych złożyć w całość oryginalną i nową nie tylko w naszej ubogiej literaturze naukowej, ale w całej literaturze europejskiej. Ks. Bilczewski miał to wielkie szczęście, że się zetknął bliżej ze światem naukowym romańskim, nim wpływ germański dokonał w jego umyśle sztucznej krystalizacji, która jest plagą naszego naukowego życia. Gruby obłok uczoności niemieckiej zakrył nam dziś bardziej, niż kiedykolwiek, pogodny błękit romańskiego nieba i tem radośniej nam na sercu, gdy płatek tego błękitu nam kto odsłoni. Nie bez powodu Niemcy sami mają przysłowie: *Man sieht den Wald vor lauter Bäumen nicht*, bo ich

tylko umysł ma szczególny dar takiego wnikięcia w szczegóły i takiego wyczerpania, że już potem do ogólnej syntezy dojść trudno. Ks. Bilczewski zna się z nauką niemiecką i jego stopień doktorski jest niemiecki, ale udał się potem do Rzymu i tam wpadł szczęśliwie w ręce jednego z najznakomitszych przedstawicieli nauki romańskiej. Rossi'ego, od którego nadzwyczaj wiele skorzystał. Tego wielkiego uczonego charakteryzuje to szczególnie, że z genialną trafnością, a niewymowną prostotą patrzy i czyta, że każdy monument i dokument przenika do głębi i widzi w nim odrazu wszystko, co tylko da się widzieć lub odgadnąć. A przytem tak dziwna jest miara i prawosć tego umysłu, że odróżnia odrazu wszystkie odcienia prawdopodobieństwa od pewności i we wszystkim, co nam mówi, miarę tych odcieni zachowuje, a już nigdy nie nazwie pewnem tego, co pewnem nie jest. Wpływ takiego umysłu musi być zdrowy i zbawienny, a od uroku jego darmo się bronić. To też czytając książkę ks. Bilczewskiego, widzieliśmy z radością, że i on od uroku tego się nie obronił i gdy z jednej strony wyczerpał całą literaturę, odnoszącą się do jego przedmiotu z niemiecką ścisłością, zachowuje z drugiej strony tę miarę w sądzie, tę prawosć umysłu, która nie pozwala mu naciągać faktów do jakiejś, zgóry ułożonej tezy, mówi to tylko, co wie, a nadewszystko, prowadzony przez swego mistrza, nauczył się dobrze patrzeć i czytać, a ta ostatnia własność, coraz bardziej wydoskonalana, może wyrobić młodego pisarza na niezwykłą naukową siłę.

Ks. Bilczewski podzielił swą książkę na dwie części; w pierwszej pokazuje nam, jak najdawniejsze napisy i pomniki sztuki chrześcijańskiej wpływać mogą na rozświecenie wątpliwości, lub na wydobycie nowych faktów historycznych; w drugiej, jak te same pomniki i napisy mogą nam być świadectwem dogmatów, które pierwsi chrześcijanie wyznawali. W pierwszej części doskonale układa autor tło do swoich wywodów, komentując teksty Aktów apostoelskich i pisarzy pogańskich, z których widać, jak powszechnie w samych początkach chrześcijaństwa byli uważani za sektę żydowską, i temu właśnie egzystencję prawną w państwie Rzymskiem zawdzięczali, a jak później tę samą podstawę prawną zyskali sobie tem, że się wiazali w uznane legalnie bractwa pogrzebowe. A choć przed władzą ukryć się nie mogło, że bractwo było tylko osłoną sekty religijnej, udawała ona nieraz z politycznych względów, że tego nie widzi.

Na tem tle wysnuwa nam autor z napisów katakumbowych rozmaite strony pierwotnego chrześcijańskiego życia. Mówi nam o lie-

rarchii kościelnej, o liturgii, o położeniu niewolników, o przenikaniu powolnem moralnych pojęć chrześcijańskich w społeczeństwo, przesiąknięte pogaństwem; a najciekawszy może rozdział książki jest ten, który nam daje obraz chrześcijańskiego życia wśród rzymskiego patrycyatu. Nazwiska osób i krótkie, a najczęściej niewyraźne o nich wzmianki, w Aktach apostoelskich i listach św. Pawła, u Tacyty i innych historyków pogańskich, w aktach męczeńskich i w *Liber Pontificalis* zestawione z napisami grobów, łączą się w wielką i wspaniałą całość. Widzimy tam, że te osoby, rozrzucone nawet nieraz po szerokim świecie, w Palestynie i Grecyi, połączone są węzłami pokrewieństwa rodzinnego, które rozszerzanie się chrześcijaństwa niezmiernie ułatwiają, a to nowe życie laski, które odmładzało stare rzymskie rody i ścieśniało ich węzły rodzinne nową, wyższą, wspólną miłością, widne dziś jeszcze po tyłu wiekach we wzniosłych napisach ich wspólnych grobów i nanowo te wielkie rody w oczach naszych ożywia. Obszerny i ciekawy rozdział o życiu artystycznym Kościoła — drukowany już w *Przeglądzie Powszechnym* — w którym autor zbiera w jedną całość szczególnie to wszystko, co mu do drugiej dogmatycznej części jego książki posłużyć może, kończy część pierwszą.

Już w tej pierwszej części, ilekroć autor spotyka na swojej drodze nieuzasadnione i mylne twierdzenia hiperkrytyki protestanckiej, nie wymija ich, ale równie spokojnie, jak stanowczo odpiera. Druga część jednak z natury swojej bardziej jest polemiczna i z wielką korzyścią może być czytana przez nas, księży, szczególnie przez tych, którzy czy z ambony, czy w szkołach religię wykladać mają. Że w napisach i na przedstawieniach grobowych najczęściej i najwyraźniej zatwierdzony jest dogmat zmartwychwstania, pozagrobowy czyściec i niebo, i święty stosunek żyjących do dusz zmarłych — to się samo przez się rozumie, ale niemniej i wiara w wiele innych dogmatów wyrażona jest wielokrotnie i tak jasno, że żadnej nie pozostawia wątpliwości. Jest jeden Bóg w trzech Osobach, który świat stworzył, a po upadku pierwszych rodziców odkupił go przez Syna swego wcielonego. Jest Kościół z Głową swoją, Piotrem, który z Chrystusa, jak ze skały, wyprowadza źródło łask i szafuje niemi w siedmiu Sakramentach, prowadząc każdą jednostkę do doskonałości, do życia w Chrystusie. Jest żywot pozagrobowy, czyściec i niebo i zmartwychwstanie. Są Aniołowie i Święci, a między nimi największa: Matka Boża — oto krótkie, a jak widzimy pełne bardzo, katakumbowe *Credo*, które ks. Bilczewski przed nami rozwija. W tej części książki rozdział ostatni o jedno-

ści Kościoła i o papieżu najbardziej nam się podobał. Dokładny opis tronu papieskiego, który tradycya odnosi do Pudensa, i wiadomości o drugim tronie w Rzymie, w pierwszych wiekach ery naszej znanym, są dla nas rzeczą zupełnie nową, a historyczne przedstawienie i wytłómaczenie dwóch świąt katedry św. Piotra, które co roku obchodzimy, bardzo jest ciekawe i doskonale nas uczy, jakiego rodzaju zmiany w tradycyi historycznej Kościoła zaistnieć mogą.

Czyż więc ta książka już nic do życzenia nie pozostawia? Tego ani żądać, ani się spodziewać nie można, ażeby pierwsza praca młodego uczzonego była bez żadnej usterki. Zdarza się u nas niestety zbyt często, że pierwsza praca młodych artystów lub pisarzy bywa najlepsza, bo chwaleni nad miarę, tracą równowagę i ochotę do pracy i rychło spoczywają na laurach. Tej myśli przypuścić nie chcemy i nie możemy, mając przed oczyma książkę ks. Bilczewskiego, bo widzimy w niej tę miłość nauki i ten święty ogień, który raz rozbudzony, prędko nie gaśnie.

Są jednak i usterki. Jako takie, podnieśliśmy najprzód niektóre wyrażenia i zwroty, z duchem języka naszego niezupełnie zgodne, które zapewne skutkiem dłuższego pobytu autora za granicą z pod pióra mu się wymknęły. I tak nie zdaje mi się, aby można powiedzieć poprawnie, że w Rzymie „klasy wyższe były sceptykami“ (str. 2). Również wytknęlibyśmy: „pomnikowe *folia* Rossi'ego“ (str. 32), „świadectwa *monumentalne*“ (str. 35), t. j. wzięte z monumentów, „życzenie... *zanosić*“ (str. 38), „*niepochylna* w dobrych następstwach akcya“ (str. 78), „umorzyć *gorącem*“ (str. 110), „św. Piotr (za swego życia) *ukazywał* się nieraz na cmentarzu Ostryana“ i t. p. Nie wydaje mi się także właściwem napis na kamieniu nazywać *monumentem* (str. 84) lub *manuskryptem* i *rękopisem* (str. 98). Nie zawsze też można zamiast „pobożności“ położyć wyraz *devocya* (str. 303). Gdzieniegdzie budowa zdań jest ciężka i przypominająca niemiecką.

Drugi zarzut nasz jest ten, że są w tej książce niektóre, choć bardzo nieliczne, ustępy, wywołane bardziej zapałem, niż krytycznym sądem młodego autora, które tem więcej rażą, że wogóle ton całej książki jest nadzwyczaj spokojny, pełen miary i rozwagi. I tak czytamy na str. 94: „Wogóle nie wahamy się twierdzić, że niedaleka jest już chwila, kiedy z materiału pomnikowego będzie można zbudować obok gmachu monumentalnej (*sic*) dogmatyki, gmach monumentalnej (*sic*), czyli osnutej na tle pomników liturgii“. Wiemy, jak niezmiernie jest znaczenie pomników dla stwierdzenia tożsamości wiary naszej z wiarą

pierwszych wieków, ale jednak nie zdaje nam się, aby z samych pomników można zbudować całą dogmatykę naszą, i przekonani jesteśmy, że i sam autor naszego jest zdania, gdy mówi na str. 209: „My tedy, idąc skromniejszą, ale za to pewniejszą drogą, nie głosimy, że odnajdziemy w monumentach całą katolicką teologię: nam wystarczy, jeżeli w nich odkryjemy do niektórych przynajmniej artykułów wiary aluzye“. Nierównie jednak bardziej wątpimy, aby same pomniki pozwoliły nam odtworzyć liturgikę, a przynając, że katakumby odsłaniają nam niejeden szczegół co do sposobu odprawiania Mszy św. lub udzielania śś. Sakramentów, godzimy się jednak tylko na dalsze słowa autora, że: „najwięcej światła rzucają katakumby na ceremonie pogrzebowe pierwszych wiernych“, i na końcowe tego rozdziału (str. 98), „że z materyału, zawierającego się w ulicach i kryptach podziemnego Rzymu, możnaby zrobić bogaty i ciekawy traktat o zwyczajach pogrzebowych starego Kościoła“. Za wiele także, zdaje nam się, obiecuje sobie autor, gdy mówi na str. 126: „Zaledwie kilka dotąd przetrząśnięto katakumb, a już napewno twierdzić możemy, że niedaleka jest chwila, kiedy będzie można ogłosić światu rodzaj Almanachu Gothy szlachty rzymskiej, co jeszcze przed Konstantynem przyjęła chrześcijaństwo“.

Ostatni zarzut, jakibyśmy ośmielili się zrobić, jest ten, że całe bogactwo wiadomości autora, może właśnie dlatego, że tak obfite, nie zostało jeszcze dość gruntownie przetrawione w jego umyśle, aby się powiazało w zupełnie jednolite dzieło. Są to piękne części wspaniałej intarsyi, połączone z sobą tak, że tu i owdzie są między niemi luki. W ten błąd młodemu pisarzowi, podejmującemu rzecz oryginalną i nową, było prawie niepodobieństwem nie wpaść, szczególnie, gdy był nagłony do pośpiechu, ale jestto błąd, z którego sama dalsza praca naukowa coraz bardziej leczyć go będzie.

Nakoniec musimy podnieść jedną jeszcze, i to niemałą zaletę tej książki, że pisana jest przystępnie i jasno i że dodaje wszędzie do tekstów łacińskich i greckich tłumaczenie polskie, może więc być czytana nietylko przez ludzi fachowych, ale przez najszerszą publiczność, dla której wieść o tych starych zabytkach naszych praocjów w wierze obojętną być nie może. Przyjemność zaś prawdziwa i niemała korzyść, jakąśmy z czytania tej książki odnieśli, jest nam rękojmią, że rzeczywiście przez najszerszą publiczność czytana będzie.

Ks. Eustachy Skrochowski.

Pamiętnik Towarzystwa literackiego imienia A. Mickiewicza, pod redakcją *Romana Piłata*. Rocznik trzeci. Lwów 1889.

Portret Adama z r. 1830, malowany w Rzymie przez Wojciecha Kornela Stattlera, rozpoczyna trzeci tom „Pamiętnika“. Blizszą genezę tego portretu podał nam p. I. Makarewicz w „Miscellaneach“. Rocznik rozpada się na wzór poprzednich na sześć działów. Najważniejszym jest dział I, „Rozprawy“ — on też zajmuje więcej miejsca, jak każdy inny osobna (120 stron.). Po nim następują „Miscellanea“, w których obok kilku ważniejszych artykułków jest wiele drobnostek małego znaczenia. W „Materiałach“ prócz autografów Grażyny ze zbiorów hr. Konstantego Przeździeckiego podano kilka dokumentów urzędowych uniwersytetu wileńskiego, notaty uniwersyteckie Mickiewicza i kilka mniejszych przyczynków biograficznej wartości. „Recenzje i sprawozdania“ stanowią dział bardzo poważny a opracowany sumiennie, prawie skrupulatnie. „Bibliografia“ podaje nam dokładny obraz płodów literackich, jakie się zjawily w 1888 r., mając za cel wogóle przedstawienie w coraz dokładniejszym świetle tak osoby wielkiego wieszcza, jak jego całej działalności. Dołączono tu uzupełnienie „wizerunków Adama“, dokonane przez p. L. Méyeta. Już w drugim roczniku zamieszczono 197 wizerunków poety: rzeźbionych, malowanych, litografowanych etc. Tutaj dodano ich 150. Jestto dokładny spis rzeźb, odlewów bronzowych, gipsowych, porcelanowych, medalionów, medali, portretów, miniatur, rysunków, fotografij etc. etc. z dołączeniem krótkiego opisu. W „Kronice“ prócz nekrologu Ignacego Domejki pióra p. Z. Hordyńskiego umieszczone jest „Sprawozdanie z czynności Wydziału Towarzystwa lit. im. A. Mickiewicza“. Ze spisu dowiadujemy się, że Towarzystwo liczy już 40 członków czynnych, ale zaledwie 66 wspierających.

Pierwsze miejsce między rozprawami zajmuje artykuł p. Chmielewskiego p. t. „Estetyczno-krytyczne poglądy A. M.“. Jestto część druga pracy tegoż autora, w zeszłorocznym tomie „Pamiętnika“ drukowanej. Usiłuje p. Chm. dać nam dokładny, o ile to być może, obraz zapatrywań poety na kwestye piękna i sztuki w dobie wytwarzania się w nim t. zw. kierunku romantycznego. Opiera się w tej pracy głównie na „Przemowie“ Adama do I tomu poezyi, na niedokończonej rozprawie „o Goethem i Byronie“, wreszcie na artykule „o krytykach i recenzentach warszawskich“, przytem uwzględnia wzmianki okolicznościowe, zawarte w korespondencji poety (p. 4). Stosownie do tego rozprawa ma trzy części. W pierwszej, opracowanej najobszerniej, roz-

trząsa p. Chm. poglądy Mickiewicza, zawarte w „Przemowie“. Przedewszystkiem przypomina tu autor, że należy odróżnić pojęcie romantyzmu w Niemczech, a u nas. Tieck, Novalis, Chamisso, bracia Szlegle etc., to szkoła romantyczna niemiecka $\alpha\alpha\tau' \xi\epsilon\sigma\chi\eta\nu$. U nas przez romantyzm rozumiano całą odradzającą się nowszą literaturę; nie ścieśniano określenia do romantyków niemieckich, a ztąd też uniknęliśmy niejednej krańcowości, w którą tamta szkoła popadła. Ale u kogo, z kąd czerpał Mickiewicz te nowe pomysły i poglądy?... Z sumienną pilnością idąc za mało znacznymi nieraz wzmiankami „Przemowy“, domyśla się lub na pewno wnosi p. Chm., że Eschenburga *Entwurf einer Theorie u. Litteratur der schönen Redekünste*, Bouterweka *Geschichte der Poesie*, Eberharda *Handbuch der Aesthetik*, a po części i Borowskiego „Uwagi“, Brodzińskiego „O klasyczności i romant.“, Groddecka *Initia* — stanowiły źródło lub punkt oparcia nowych zapatrywań, jakie w teoryi, a jeszcze bardziej w praktyce głosił młody wieszcz. Byli to eklektycy umiarkowani, dalecy od wybujałości i wybryków młodej romantycznej szkoły w Niemczech; to też „taki dobór przewodników po krainie piękna sprzyjał oczywiście wielostronności poglądów Mickiewicza i utwierdzał go w niechęci do krańcowych ekscentryczności“ (p. 8).

Żeby uzasadnić swoje twierdzenie, zestawia p. Chm. krytycznie, niby równolegle, odpowiednie miejsca z „Przemowy“ z takimiż miejscami wymienionych autorów. Praca to bardzo sumienna. Poznajemy z niej cały tok myśli i poglądów Adama z tej doby.

Wkońcu ciekawa wzmianka. Oto w „Przemowie“ poeta trzy tylko cytaty przywodzi, a z tych trzech żaden nie odznacza się ścisłą dokładnością. Rys to ważny dla biografii Mickiewicza. On nam wiele tłumaczy faktów, któreby inaczej zostały zagadkami...

W drugiej części swej pracy zastanawia się p. Chm. nad rozprawą Mickiewicza „o Goethem i Byronie“. Widzi on w niej cztery główne myśli: 1) ród ludzki postępuje ciągle naprzód — ma zawsze wyobraźnię i uczucie, a więc i organ poezyi; 2) krytyka poezyi powinna przestać być „szkolną“, a stać się „historyczną“ t. j. nie stawiać wyroku, ale pisać historię sztuki; 3) są dwa rodzaje poezyi t. j. poezya przeszłości, historyczna, podругie poezya czasów obecnych i przyszłych; 4) pierwszą reprezentuje Goethe, drugą Byron. Zaznaczywszy to, wdaje się p. Chm. w analizę krytyczną. Pierwsze dwie myśli [pod 1) i pod 2)] uważa za trafne, a szczególnie druga o zadaniu krytyki jest — jak mówi — „podstawą dzisiejszych poglądów estetycznych“ (p. 30). Co do tego ostatniego punktu, zgadzamy się na fakt, choć nie

w całej jego rozciągłości, ale trafnem nazwać tego zdania nie możemy. Krytyka, która się boi wydać wyrok i ogranicza się na samą historię, a talent pisarza ocenia „według łatwości, jakie znalazł, albo trudności, jakie zwałczył“ (p. 28) — nie może bynajmniej rościć sobie prawa do tego miana i chyba tylko może stanowić dla rzeczywistej krytyki jakiś podkład, na którym swą budowę wzniesć zamierza, jakiś schód, po którym na swe pole ta ostatnia dostać się ma. Krytyka, która nie krytykuje, nie jest krytyką.

W ostatniej części swej pracy rozbiera p. Chm. artykuł Mickiewicza „o krytykach i recenzentach warszawskich“. Uważa go za „dziełny pamflet“. Przechodzi pokrótce główne myśli; wkońcu zpomiedzy szczegółowych uwag Mickiewicza o naszych poetach, uważa jedną o „Odprawie posłów“ Kochanowskiego za surową, drugą o „Kazimierzu W.“ Niemcewicza za zbyt pochlebną, co jest zupełnie prawdziwem. Z rozbioru tego wcale słuszny wyprowadza wniosek: „Rzecz o krytykach i recenzentach warszawskich przez swe trafne myśli ogólne podziałała ożywiająco na naszą krytykę, ale przez swe pamfletowe wycieczki, lubo ośmieszyła klasyków, rozpowszechniła zarazem niesłuszne sądy o całości literatury naszej z początkiem XIX stulecia“ (p. 38).

Przechodzimy do rozprawy prof. St. Tarnowskiego o „Księgach pielgrzymstwa“. Od początku do końca czyta się ją z wielkiem zajęciem; przyczynia się do tego nowość tematu; prozaicznymi bowiem utworami Mickiewicza nie zajmowano się dotąd prawie zupełnie — przyczynia się jeszcze więcej sposób opracowania rzeczy, p. Tarnowskiemu właściwy. Czuć w nim głębokość poglądów i trafny zmysł krytyczny, a przytem ze wszystkich kart rozprawy wieje takie ciepło, co krok przemawia do czytelnika taka miłość wiary i ojczyzny!

W części pierwszej szan. autor maluje nam tło i wyjaśnia sytuację, na której rozwinęły się myśli, wyklula się idea „Książ“. Przebiega wszystkie fazy rozwoju patryotycznych myśli, uczuć i planów w duszy Mickiewicza, począwszy od wileńskiego więzienia; potem uwydatnia wyłączne w dziejach stanowisko naszej emigracyi z r. 1831. Widzimy, jak tam kotłują te rozliczne stronnictwa emigracyjne, jak ścierają się ze sobą, jak się kłócą — a choć wszyscy myślą o walce i powrocie do ojczyzny, to jednak przez swe zachowanie się powiększają tylko wewnętrzne rozdarcie i rozjątrzenie. A tu „nadziei coraz mniej... a kwasy i gorycze coraz większe, a żal za krajem coraz cięższy, a niedostatek dla wielu coraz dotkliwszy, a nieraz i wstyd przed obcymi, jakiś brud, jakaś burda, jakaś potwarz, jakiś skandal,

bo w tem mnóstwie musieli być ludzie bardzo różni!“ (p. 51). Na tem tle zarysowuje się nam postać Mickiewicza z swym mesyanicznym patriotyzmem! Jak bardzo odbijały jego idealne poglądy od tego realizmu emigracyi! On ją tak wzniosłe, tak mesyanicznie pojmował, a rzeczywistość zadawała mu kłam. Bystry jego umysł poznał łatwo, że „tacy apostołowie takiej misyi nie spełnią, i chcąc im otworzyć oczy na to, czem są, do czego powołani, czem być powinni, napisał Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego“ (p. 52).

W drugiej części okazuje p. T., że zamiar Mickiewicza przy pisaniu „Ksiąg“ był czysty i doskonały, bo nic lepszego i świętszego, jak „uczyć naród w naszym położeniu, że powinien żywić w sobie wiarę, nadzieję i miłość — że powinien wierzyć w Boga, a bliżniemu służyć, że powinien być w uczuciach czysty, w mowie rzetelny, w postępkach prosty“ (p. 53). Atoli mimo najlepszego zamiaru pobił Mickiewicz w pojęciach. To co jest upomnieniem, nagana, to co się ściąga do wewnętrznego stanu emigracyi — pojmuje dobrze; ale co mówi o stosunku czy Polski, czy emigracyi do innych narodów Europy, „to jest z małym wyjątkiem mylne, często niesprawiedliwe, niekiedy naciągane“ (p. 54). Co dobrego w nas jest, temu niepotrzeba przeczyć; za to Bogu dziękować i przechowywać, by się nie zepsuło. Ale dalekimi być powinniśmy od tego, aby w Polsce widzieć niewinną ofiarę na odkupienie zbrodni świata, bo taka mrzonka jest przedewszystkiem bluźnierstwem, a następnie nie prowadzi do żadnego odrodzenia i poprawy: a przecież tego najwięcej potrzeba. To też nic dziwnego, że w wykonaniu „Ksiąg“ są przykre. Ton ich ewangeliczny zraża i obraża chrześcijańskie sumienie; jeszcze bardziej razi przedstawianie rzeczy fałszywych w tej wzniosłej szacie Pisma św. — a co dopiero, gdy widzimy „zarozumiałość i niesprawiedliwość, okrucieństwo, brak miłości i przebaczenia“ (p. 63), głoszone słowa, natchnionemi niby przez Ducha św., rzekomo „pełne łaski i prawdy“, jak to sobie poeta przyznaje!

A nie sam krytyczny rozbiór „Ksiąg“, ale i wyśledzenie ich sprężyn, psychiczne rozwiązywanie tej zagadki jest u p. T. nader trafne. „Jest w „Księgach“ — mówi p. T. pod koniec — wysoki chrześcijański i polski ideał, prawdziwy, czysty, taki, jak być powinien, ale jest i zarozumiałość narodowa, jest duży zasób silnej, namiętnej nienawiści i jest gorszy, niebezpieczniejszy od tamtych, pierwiastek dumy osobistej, ukrytej i jemu samemu nieznaney, ale rzeczywistej, widoczny w tem zaufaniu złudnem, w którem myślom swoim przypisuje początek i pochodzenie „z łaski Bożej““.

W trzeciej z rzędu rozprawie zestawia p. R. Pilat głosy publicystyki emigracyjnej o pierwszych wykładach Mickiewicza w Collège de France! Znajdujemy tu zarazem potwierdzenie tego, co prof. Tarnowski w poprzedzającej rozprawie o emigracyi wyrzekł. Przedstawia się ona, jako namiętna, szczególnie w polityce, podejrzliwa, niezgodna, czyhająca na każde słowo wstępującego na katedrę literatury słowiańskiej poety. Może z złością, ale w każdym razie słusznie osądził Adam te rozliczne odcienie i stronnictwa emigracyi z r. 1831, gdy pisał do Odyńca: „Jedni mnie nienawidzą, drudzy krzywo na mnie patrzą, doktrynery mają za waryata, wszyscy głupi solennie, krzykliwi i niedołążni“¹. Smutny to obraz, tem smutniejszy, że przecie to już po ostatnim rozbiórce, co więcej, po nieudaleń powstaniu z r. 1831.

Już pierwsza pogłoska o nominacyi Adama na profesora w Collège wywołała przeciw niemu burzę. Wystąpiła z zarzutami *Nowa Polska*, najradykałniejsze z czasopism emigracyjnych, potępiając zupełnie wybór i podsuwając poecie podle i płaskie machinacye w celu zdobycia sobie tej katedry. E. Januszkiewicz w *Młodej Polsce* odparł tę napaść, kładąc ją na karb nikczemnej zawiści. Po dwóch wstępnych wykładach jak na znak dany wystąpiły znowu przeciw poecie w zwartym szeregu: *Narodowość*, *Demokrata polski*, *Nowa Polska*. Jedyne *Trzeci Maj*, organ stronnictwa księcia Czartoryskiego, umieścił obszerny i pochlebny artykuł, ale o samych prelekcyach nie wspominał nic z dyplomatycznej ostrożności. Największego hałasu narobiły prelekcyja trzecia i piąta. Określenia patriotyizmu, w istocie trochę elastyczne, w niektórych wyrażeniach dwuznaczne, jakie poeta wygłosił w prelekcyi trzeciej, a jeszcze bardziej niezgadzanie się jego na zarzuty, czynione mu listownie, i jawne odpieranie takowych w prelekcyi piątej, rozjątrzyło czerwone partye jeszcze bardziej. Dzienniki uderzyły jakby na alarm, okrzyczyły go zdrajcą ojczyzny, człowiekiem zaprzędanym Moskwie. Świeżo, bo r. 1841 założone *Zjednoczenie*, przyłączyło się także do szeregu przeciwników i „nie szczędziło ciągów poecie“.

Trzeba się było bronić. Obrony podjął się świeżo powstały (w kwietniu 1841) *Dziennik narodowy*. W szeregu artykułów p. t. „Kurs literatury słowiańskiej bronił poety „wymownie i świetnem piórem“. Dokładne streszczenie, podawane przez *Dziennik*, miało usunąć łatwość dotychczasową w przekręcaniu słów prelekcyi, a *Trzeci Maj* poszedł też w tym względzie za przykładem *Dziennika*. Odtąd umilka powoli

¹ Koresp. I, 108.

namiętna szermierka, aby znowu później, gdy nieszczęśliwy poeta popadł w mistycyzm i obłądy towiańszczyzny, wybuchnąć nanowo silnym płomieniem.

„Źródła historyczne Konrada Wallenroda“ przez p. W. A. Bruchnalskiego zajmują czwarte miejsce. Praca ta, jak i inne prace p. Br., odznacza się sumiennością skrupulatną w zestawieniu źródeł historycznych Wallenroda, a celem jej wyjaśnić, „czy ten Wallenrod, jak go Mickiewicz przedstawił, z wszystkimi wadami i cnotami, we wszystkich kolejach życia i przejściach, z całym wreszcie tłem wypadków i zdarzeń, jest tylko owocem twórczej fantazyi i wymysłu poety“ (p. 102), czy raczej opiera się na dziełach historycznych — o ile i na jakich? Pisano o tem już nieraz. Ale praca p. Br. podaje nowe, ważne odkrycie: dowodzi jasno, że w Konradzie Wallenrodzie nie jest wszystko jak w Kotzebue'm, że cały charakter Konrada nie jest wystawiony wedle wizerunku przezeń skreślonego, jak to mniemał dotąd prof. Nehring. Prócz Kotzebue'go znał i znać musiał Mickiewicz J. N. Beckera *Versuch einer Geschichte der Hochmeister in Preussen, seit Winrichs von Kniprode bis auf die Gründung des Erbherzogtums*.

Z szczegółów historycznych o Aldonie, Winrychu, Walterze Stadyonie etc., jak je znalazł w Beckerze, i z wiadomości o Alfie, Dorocie z Montowy, Konradzie Wallenrodzie etc., jak je znalazł w Kotzebue'm, skreślił Mickiewicz syntetycznie swe postacie i charaktery, pomieszał dwie epoki, zlał w jedno dwie różne osobistości, połączył to, co historycznie nigdy połączone nie było. A czy uczynił to świadomie? Według p. Bruchnalskiego — tak (p. 118). Dowody jednak, które przytacza, nie zbijają nam jednej jeszcze trudności. Że Mickiewicz istotnie swego Konrada, swoją Aldonę etc. uważał za historyczne osobistości, w tem utwierdza nas najbardziej jego ostatni przypisek do Konrada Wallenroda. Boć tam wyraźnie mówi: „Nazwaliśmy powieść naszą historyczną, bo charaktery działających osób i wszystkie ważniejsze... zdarzenia skreślone są podług historyi... Lubo w dziejach Wallenroda pozwoliłem sobie domysłów, mam nadzieję usprawiedliwić je podobieństwem do prawdy“... Więc Mickiewicz nie mieszał świadomie dwóch epok z estetycznych jedynie względów, ale zdawało mu się w istocie, że te różne osobistości, a szczególnie ów Walter Stadyon-Wallenrod był jedną i tą samą osobą; on to uważał poprostu za hipotezę historyczną, prawdopodobną. „Przypuszczamy, mówi dalej, że Wallenrod był owym Walterem Stadyonem, skracając tylko o lat kilkanaście czas ubiegły między odjazdem Waltera z Litwy i ukazaniem się Konrada w Maryen-

burgu“. Przypominamy tu — co w pierwszej rozprawie podniósł p. Chmielowski — ową niedokładność, jaka cechowała zawsze Mickiewicza, ilekroć chodziło o cytaty, o zestawienie źródeł.

W tymże roczniku mamy jeszcze jedną rozprawę o Konradzie Wallenrodzie, ostatnią z rzędu, pióra p. W. Spasowicza. Rzecz pisana przystępnie i zajmująco; ale dziwnym trafem, który chyba da się wytłómaczyć niezależnością autorów, odrazu występuje p. Sp. ze zdaniem, które dopiero co zbil p. Bruchnalski. Wallenrod w poemacie jest „niezaprzeczenie Konradem Wall., wielkim mistrzem Krzyżaków“, a Kotzebue „głównem źródłem historycznem“ (p. 120 i 121). W dzieściu ustępach rozwodzi się p. Sp. nad genezą Wallenroda. Bada szczegóły, bada całość i myśl przewodnią poematu, a przy tem wszystkim wyjawia niejedną myśl nową, niejedną szczęśliwy domysł. Oświadcza, że obrona całości poematu, podjęta przez Tretiaka w I. tomie „Pamiętnika“, choć oryginalna, nie wytrzymuje krytyki (p. 145). Alegorycznego pojmowania poematu przyjąć nie chce (p. 145). Przypuszcza wady, wytknięte Wallenrodowi przez krytykę — nie troszczy się jednak o nie wiele — w utworze bowiem samym widzi „bezdenność pomysłu“, a charakter i postać Konrada, podług niego, jest stworzona tak, „jak umiał tworzyć charaktery Szekspir, z jednej sztuki granitu“; więc „nie był przekrajany, sztukowany, ale zupełnie taki, jaki się na samym początku zrodził w głowie Mickiewicza“ (p. 147). A jednak zmiana niezaprzeczona w układzie się znajduje, bo Mickiewicz sam tak twierdzi (Kor. II, 145; IV, 102). Jak ją więc wytłómaczyć? P. Sp. puszcza się na nowe domysły... Konrad ma wiele rysów bohaterów bajronowskich; ale on tylko z twarzy, z powłoki, z koloru do nich podobny: budowa sama jego organizmu jest całkiem różna. Bohaterowie Byrona są nieuleczalnymi pesymistami, wyczutymi z wszelkiego sumienia, — gonią za urojonem szczęściem, wiedząc, że go nigdy nie osiągną. Wallenrod Mickiewicza wyrzeka się szczęścia osobistego, by żyć dla drugich; ale ponieważ nie wyzuwa się z „moralnego instynktu“, jak tamci, więc też wobec zbrodniczych środków, których używa, popada w sprzeczność z samym sobą, rozrywa swą duszę. Ztąd to pochodzi to „moralne pęknięcie serca, to rozdarcie się między zamiarem i sumieniem, skutek którego bohater ten zwiądl i posiwił, zapijał się i przeklinał samo uczucie patriotyzmu“ (p. 151). A tak epos przeobraziło się nie z formy, lecz z treści w straszliwą tragedję. To jest wewnętrzną przyczyną, dla której całość poematu jest wspaniałą, zachwycającą, pełną czaru. — A jakąż jest myśl zasadnicza, przewodnią?

Na to odpowiedział p. Sp. już w ustępie IV (p. 133—4), poddając Mickiewiczowi w Wallenrodzie plan Machiawelski. Podług niego Mickiewicz, cały przejęty podówczas zasadami rewolucjonistów, chciał w tym poemacie okazać, co może zrobić jednostka własnymi siłami względem olbrzyma, gniotącego ją i cały jej naród — jak ma go badać, jak jego własne siły wyzyskać, przeciw niemu podburzyć i tak go obalić.

Hipoteza p. Spasowicza wiele rzuca światła na całość poematu, godzi niejedną sprzeczność, ale przy tem wszyskciem nie jest nam jeszcze dość jasnem, jak owo „moralne pęknięcie serca“ wytłomaczyć może zmianę pierwotnego układu, o której zapewnia sam Mickiewicz?

Z umysłu zatrzymaliśmy się dłużej nad rozbiorem rozpraw i na nie położyliśmy cały nacisk, bo w istocie stanowią one właściwą rdzeń „Pamiętnika“. Przez to jednak nie chcemy ujmować wartości innym jego działom, w których się mieszczą rzeczy równie ważne, zwłaszcza jako materyał i jako wiadomości pomocnicze do dalszych prac i badań. Najważniejszym jest dział „Recenzyj i sprawozdań“, opracowany świetnie. Ośm recenzyj wydań i tłumaczeń, jedna listów a dwadzieścia pięć opracowań i rozpraw z dziedziny Mickiewiczowskiej literatury! W związku z tem stoi niezmiernie obfita bibliografia, zestawiona przez p. M. Stankiewicza nader dokładnie i systematycznie. Dwa te działy tak sumiennie opracowane, są bardzo wielkiej wagi dla krytyków i literatów z powołania. Ztąd należy się od nich Redakcyi uznanie i wdzięczność.

R. K.

Żywot Chrystusa Pana. Przez Wielebnego *Ludwika z Grenady*, dominikanina. Tłumaczenie Stanisława Górskiego. Kraków 1890.

Wielebny Ludwik z Grenady (ur. r. 1504, zm. r. 1588) był jednym z najcelniejszych kaznodziei i najpłodniejszych pisarzy ascetycznych XVI wieku. Zrodzony na tej ziemi, która wydała św. Ignacego i Fr. Suareza, połączył świątobliwość życia i żarliwość apostolską z gruntowną nauką, świetną wymową i znakomitym talentem pisarskim.

Jedno z najlepszych jego pism, *La guida de pecadores*, które miało nawrócić więcej grzeszników, niż obejmuje liter, przełożył już w r. 1587 jezuita Stan. Warszewicki na język polski, p. t. „Przewodnik grzeszników“; obecnie p. Stan. Górski przyswoił naszemu piśmiennictwu inne dziełko tegoż autora, p. t. „Żywot Chrystusa Pana“. Jestto zbiór pobożnych uwag o życiu, męce, zmartwychwstaniu i wniebowstąpieniu

Zbawiciela, przeplatanych rzewnymi modlitwami i pięknymi wyjątkami z pism Ojców Kościoła, mianowicie św. Anzelmą, Bernarda i Bonawentury. Nie są to wprawdzie wykończone medytacje, mogą atoli dostarczyć osnowy do rozmyślań i kazań. Jak wszystko, co wyszło z pod pióra Wiel. Ludwika z Grenady, tak i to dziełko odznacza się jasnym wykładem tajemnic wiary, zastosowaniami pełnymi namaszczenia iżywym, obrazowym stylem. Tłómaczenie, dokonane z przekładu francuskiego, ma dwie cenne zalety: wierność i ścisłość w oddaniu myśli autora, czystość i gładkość pod względem języka. Słowem, dziełko to zasługuje, by je czytali kapłani i polecali do czytania świeckim.

Ks. J. P.

Pamiętka pielgrzymki krakowskiej, odprawionej do Kęt. Kazanie o najwyższym celu nauk i szkodach, jakie wyrządza nauka bezbożna: powiedziane w czasie nabożeństwa w Kętach dnia 22 października 1890, w 500-letnią rocznicę urodzin św. Jana Kantego, przez ks. *Władysława Chotkowskiego*, prof. Uniw. Jagiell. Kraków. W drukarni Uniwersytetu Jagiell. 1890.

Trzeba było słuchać tego kazania! W małym kościółku św. Jana w Kętach siedział na tronie dostojny Kardynał krakowski, tuż obok niego Rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego i wszyscy jego dziekani, a dalej przedstawiciele władz i korporacji, mistrze i uczni prastarej jagiellońskiej szkoły, kilkuset członków krakowskiej pielgrzymki i całe wreszcie masy wiernego ludu, co nie znajdując miejsca w świątyni, stał przez parę godzin na dziedzińcu kościelnym mimo śniegu i deszczu. Ks. Chotkowski ma na ambonie coś przejmującego w spojrzeniu, a w głosie, który nader szeroką przebiega skalę, czuć męską siłę, dobitność i wielką moc przekonania. Mając wobec przedstawicieli polskiej nauki głosić chwałę Świętego, co na profesorskiej katedrze dorobił się niebieskiej korony, najwłaściwszy obrał sobie temat — naukę i jej stosunek do Boga.

„Nauka — mówił on — to wielki dar boży. Zowią ją światłością pojęcia... przewodniczką woli, matką dobrej rady. Jest żywicielką cnoty, mistrzynią życia ludzkiego, krzewi dobre obyczaje, wyplenienia grube nałogi... Przez naukę człowiek policzył gwiazdy, zmierzył obroty ciał niebieskich, morzu kazał sobie służyć i rozhukanym bałwanom dźwigać żelazne okręty. Wichry wziął w swoją służbę, ogień z wodą ożenił, wydobyl parę i każe jej pchać lotem błyskawicy największe ciężary. Ziemię rozkopał i z jej wnętrza dobywa kruszce i skarby na swoją potrzebę. Jest więc panem stworzenia przez naukę...”

Ale nauka do wyższych jeszcze służyć ma celów; najwyższem jej przeznaczeniem — prowadzić ludzi do Boga. Wydaje się może niejednemu, że poszczególne umiejętności nie stoją w związku ze sprawą zbawienia, mimo to jednak pewnem jest, że one wszystkie razem jak promienie jednego słońca z jednego wypływają ogniska, a choć słońca nie widać, to przecież po słonecznym promieniu istnienie słońca się odgaduje. Promień nieraz daleko od słońca się odstrzeli — i nauka o Bogu nie zawsze mówi, ale przecież z Boga jest i chwałę odwieczną pomnaża.

Tu począł wyklądać mowca, jako jest zdaniem Ojców Kościoła, że prawdziwej nauki nie masz bez wiary, a z drugiej znowu strony, kto świeckich nauk nieświadom, ten też i tajemnic wiary zgłębić nie zdoła — bo wiara z nauką razem złączone, wytwarzają dopiero bożą prawdziwie mądrość.

A potem mówił, jako tą mądrością Świętych jaśniał Jan Kanty Waciego, jako jaśnieli i inni w Krakowie w onym szczęśliwym wieku Świętych; więc Szymon z Lipnicy, dr. filozofii a uczeń Kantego, i Izajasz Boner, laurem doktorskim ozdobiony, i Kazimierczyk Stanisław, mistrz szkoły krakowskiej i tylu, tylu innych... co najpiękniejszą ojczyźnie przynosili ozdobę — uczeni a święci!

Po tych uroczych obrazach, roztoczył kaznodzieja obraz ponury; począł mówić o nauce bezbożnej i o szkodach, jakie ludziom przynosi. Taka nauka bezbożna — powiada mędrzec — *jest najgorszą zabawką, którą dał Bóg symom ludzkim, aby się nią bawili*. Ona zaślepia pychą rozum ludzki i obiecuje mu szersze widnokregi, jeżeli w krainę badań pójdzie bez Boga. Ale to oszukaństwo! Rozum taki, samopas puszczony, zgubę rodzajowi ludzkiemu przynosi i świat — wedle słów proroka — *obraca w pustynię*. Dzisiaj zbierają już narody gorzkie ono żniwo, jakie zeszło z posiewu zdrożnych doktryn. Potarganie najświętszych węzłów małżeńskich, rozdeptanie ogniska rodzinnego, umniejszanie się ludności we Francyi, bunt przeciw wszystkiemu co prawe i boże we Włoszech... oto owoce bezbożnej nauki.

Darmo sobie oczy zasłaniać, darmo taić prawdę — idziemy napewne ku wielkim przewrotom społecznym, które może *zatrząsną królestwy i świat obrócić w pustynię*. Warto pomyśleć, co będzie z nami?

Odpowiada na to prorok: *Izraelu, tylko we mnie ratunek twój!*...

Temi słowy przeszedł ks. Chotkowski do zakończenia swej mowy, które z całego kazania było może najświetniejsze. Bystrem okiem dojrzał i uchwycił on to, co w całej tej uroczystości i w całej krakowskiej pielgrzymce najdonioślejsze miało znaczenie. Święto kościelne

i narodowe podniósł on do wysokości protestu naukowego Polski przeciwko bezbożnym uroszczeniom tych, co chcą naukę oderwać od Boga.

„W tem jest — mówił on z pięknym, męskim zapalem — w tem jest wielkie znaczenie tej dzisiejszej pielgrzymki tu do miejsca urodzenia św. Jana Kantego, że po pięciuset latach Rektor Magnificus krakowskiej szkoły, przedstawiciele polskiej nauki, nauczyciele i uczniowie jawnie przed Bogiem i ludźmi tutaj się do tej samej wiary przyznają, którą wyznawał nasz św. Patron i nasi praojcowie.

„Niechaj wnuki i prawnuki nasze opowiadają, jakośmy was tu świadkami mieć chcieli tego wznowionego sojuszu nauki naszej polskiej z Bogiem ojców naszych. Bo jakośmy niegdyś potężni, chrześcijaństwu byli przedmurzem, gdy przemoc szła na Europę, tak dzisiaj chociaż w upadku i poniżeniu, twierdzą niezdobytą nam być trzeba przeciwko bezbożności, która od Wschodu i Zachodu idzie ku nam, abyśmy nie zginęli, gdy sął boży rozegrzmi nad bezbożnymi“.

Takiem było to wielkie i podniosłe kazanie. Odczytując je, doznawaliśmy nanowo tych wrażeń, jakie wszystkich słuchaczy w Kętach przejmowały bez wyjątku. Przyczyniła się do tego niemało piękna językowa szata, którą ks. Chotkowski myśli swe przyobleka. Nie świeci ona jakrawym, migotliwym blaskiem, ale imponuje, jak na kościelnym ornacie, poważna i bogata materya. Tok zdań jakiś miarowy i płynny, język wszędzie szlachetny, nieraz bardzo dosadny, uderza od czasu do czasu niezwykle wyrażeniami, jak np.: „zdrowia nie litować“, „przeciw rozumowi bożemu stawać okoniem“, „zborzysko bazylejskie“, „rozum samopas puszczoney od Boga“, „w rozorane nasze miedze weszli obcy“ i t. d. W tym języku i w tych wyrażeniach czuć i widzieć ponad pokładem nowożytnych pojęć, lekko narzucony pył archaizmu, czasami znowu siłę i wzniosłość w prostocie, — co wszystko razem czyni ten język silnym, poważnym i oryginalnym.

W. S. P.

Jak pisać po polsku czyli Stylistyka języka polskiego. Napisał *Władysław Korotyński*. Warszawa. Wydawnictwo Gebetnera i Wolffa. 1890.

Teorye stylu mają swych nieprzyjaciół. Są mianowicie tacy, co twierdzą, że ze wszystkich stylistyk razem uikt się jeszcze dobrze i ozdobnie pisać nie nauczył, że te długie reguły i drobiazgowo przepisy zacieśniają horyzont, tłumią samodzielność i wiedzą wprost do napuszystej przesady, wytwarzając panegiryzm i retorykę w ujemnem słowa znaczeniu.

Jest w tych twierdzeniach wiele jednostronności. Może być, że pewne talenta głębsze nie potrzebują tego szkolnego obrobienia; nosząc w sobie silniejsze poczucie artystyczne, są one w stanie instyktowo i nieświadomie odczuć główne i zasadnicze formy piękna językowego, obserwacya zaś natury i życia, wraz z czytaniem klasycznych dzieł, doprowadza je do równowagi i wyrabia zupełnie, zwłaszcza jeżeli wychowanie i otoczenie towarzyskie wyrobieniu temu na każdym kroku dopomaga. Inaczej jednak ma się rzecz z ogółem ludzi, nie wyposażonych tak hojnie; ci nim się wznieść potrafią do pewnej doskonałości, muszą przejść pierwszej przez oną Horacyańską próbę kowadła:

Et male tornatos incudi reddere versus.

To też dla ogółu uczących się zawsze potrzebne były stylistyczne podręczniki, i mamy to przekonanie, że wielu piszących ustrzegłoby się fatalnych zboczeń pióra, gdyby do takich podręczników zaglądali byli za młodu. W szczupłej liczbie polskich stylistyk książka p. Korotyńskiego chlubnie zajęła miejsce. Napisana nietyle dla szkoły, jak raczej dla samouków, obejmuje ona 214 stron druku i składa się z dwóch części: pierwsza zawiera stylistykę właściwą, druga poetykę. W rozkładzie i treści nie spotykamy wogóle rzeczy nowych; autor nie tworzy samodzielnej teoryi stylu, ale bierze teorię gotową, utartą — i dlatego może najpraktyczniejszą — a przeprowadza ją w sposób prosty i jasny. Główną wartość tej książki stanowi obfity — bardzo nawet obfity — wybór przykładów, wyjętych z 80-ciu prawie polskich autorów, wśród których figurują nietylko pisarze znani powszechnie, ale także imiona stare i rzadkie, jak: Karnkowski, Ocieski, Fabrycy, Jan z Rytwian i t. d., nie mówiąc już o Kochanowskim, Birkowskim, Reju i Skardze.

Cztery przymioty stylu rozróżnia autor: czystość, ścisłość, płynność i ozdobność. Ostatniemu najwięcej poświęca czasu i miejsca, bo aż 100 stronic. Potem przechodzi różne rodzaje stylów, jako to: historyczny, dydaktyczny, retoryczny... wylicza różne rodzaje pism: powiastki, legendy, pamiątniki, szkice, biografie, podróże, mowy i t. d.; naostatek poucza nieco o wyborze tematu, o zebraniu i ugrupowaniu myśli — i tym rozdziałem kończy stylistykę. — Druga część książki (od str. 190) może być uważaną za mały tylko dodatek. Rzuca tu autor ogólne uwagi o poezyi, o jej naturze i przedmiocie; przechodzi potem do formy i wyklada polską prozodję; wreszcie wylicza główne rodzaje poezyi i określa je w szczególności.

Napisać dobrą i wyczerpującą stylistykę, jestto rzecz nadwyzczaj pracowita i trudna. To też dziełka p. Korotyńskiego, mimo prawdziwych jego zalet, nie możemy uważać za ostatni wyraz wykończenia, — do czego zresztą sam autor nie rości sobie pretensyi — uważamy je raczej za nowy przyczynek do stylistycznego naszego piśmiennictwa, który wraz z innemi dziełami, istniejącemi już na tem polu, stanowić kiedyś będzie dla przyszłego badacza, mimo pewnych swych braków, nader pożyteczny materiał do ułożenia kompletnej stylistyki polskiej.

Jakież są te braki? — Już w samym rozkładzie książki jedna rzecz uderza. Rozkład ten nie jest dość ścisły i wyczerpujący, a przede wszystkim nie jest proporcjonalny. Większą część dziełka zajmuje traktat o ozdobach stylu, mieszczący w sobie same tylko figury czyli ozdoby krasomówcze. Naszem zdaniem dobra stylistyka znacznie większy powinna kłaść nacisk na stronę filozoficzną stylu; trzeba by zatem szerzej obrobić rozdział o ścisłości mowy, a dodać coś o jasności i przejrzystości, jakoteż o innych przymiotach stylu logicznych. Takie przeważne traktowanie samych figur wyrabia bardzo łatwo w początkujących sztuczną wybijalność formy, która zwyczajnie lubi chodzić w parze z ubóstwem myśli, jak to już trafnie zauważył ojciec stylistów Kwintylian¹: *Est in quibusdam turba inanum verborum, qui dum communem loquendi morem reformidant, ducti specie nitoris, circum-eunt omnia copiosa loquacitate, quae dicere volunt.*

Jeszcze ważniejszą byłoby rzeczą, żeby rozdział o „Układzie pisma“ (str. 181) opracowanym był obszerniej. Należałoby większą jego część poświęcić t. zw. „źródłom wymowy“ — *fontes inventionis* — z których młody, niewyroblony jeszcze umysł czerpać może różnorodny materiał do obrabiania swych myśli i rozszerzania tychże. Doświadczenie szkolne poucza, że uczniom najwyższych nawet klas gimnazyalnych nie sprawia takiej trudności w polskich wyrobach piśmiennych, jak ułożenie ogólnego zarysu, zwłaszcza do abstrakcyjnych tematów. Znam np. wypadek, gdzie maturzysta do podobnego zadania dorwał jakiś szkic od znajomego księdza i nie namyślając się wiele, przepisał go bez zmiany w swoim wypracowaniu. Otóż podręcznik stylistyczny powinien i w tym kierunku rozjaśniać umysły uczących się, wskazując im, jak liczne mogą mieć sposoby szerszego i barwnego przedstawienia suchych i jałowych myśli, biorąc na uwagę części składowe rzeczy, oko-

¹ L. VIII. c. 2.

liczności towarzyszące wypadkom, związek ich wzajemny lub przeciwstawienie, analogie z natury i życia, warunki osób, czasów i miejsc, stosunek obustronny przyczyn i skutków i t. p. Tego wszystkiego brakuje w stylistyce, o której mowa.

Inny jeszcze zarzut. W książce p. Korotyńskiego czuć niekiedy pewien pośpiech i pewną dorywczość; najsilniej doznaje się tego wrażenia w definicyach figur, które są nieraz bardzo luźne, niejasne i nieokreślone — czasami nawet wcale ich niema. Książka tego rodzaju, jak stylistyka, i to jeszcze przeznaczona do osobistego kształcenia się, każdą rzecz traktować powinna dokładnie; inaczej wywołuje w głowie zamieszanie i chaos. Kto np. zrozumie, co znaczy u p. Korotyńskiego „Spadek czyli kadencya“? (str. 36). Albo jak słabo i prawie niepochwytnie odgraniczył takie figury, jak „Omówienie“ (str. 37) i „Zawieszenie“ (str. 80). Definicja jego „Ironii“ ostatecznie nie jest błędną, ale w elementarnym podręczniku nie wystarcza. Co jest „Widzenie“, wcale nie mówi, przypuszczając błędnie, że tego z samej nazwy każdy domysleć się musi: to samo powtarza się przy „Nagromadzeniu“ (str. 64), a to „Nagromadzenie“ znowu czemże się różni od „Omówienia“? (str. 88). A co już najdziwniejsza, tych „Omówień“ aż dwa: jedno na 88, drugie na 37 str., a każde niby co innego?! To już stanowczo za wielki pośpiech i za wielką niedokładność. Przyznajemy, że w dziedzinie piękna trudno bić słupy graniczne, i że w stylistyce wolimy obfitość i swobodę, niż skrupulatne z cyrkiem w rękę odgraniczanie prawideł. Ale ostatecznie pewnej dokładności, pewnych określeń i tutaj potrzeba; w przeciwnym razie nie wie się nawet o co chodzi.

Żeby przynajmniej wzory podane z autorów były zawsze wyraźne i dobitne, toby się jeszcze te figury rozumiało na wzorach. Tak jednak nie jest. Przy figurach niewyraźnie określonych spotykamy niewyraźne przykłady, a w dodatku jeszcze tak niepomierne długie, iż czytelnik, nieobeznany z rzeczą, mozolnie musi odbywać studjum, nim się w nich czegoś dopatrzy. W podręczniku stylistycznym, gdzie na wyjaśnienie każdej figury podaje się cały szereg przykładów, pierwszy co najmniej lub drugi z tych przykładów powinien być klasyczny, t. j. krótki, wyraźny i tak namacalny, żeby figura, którą przedstawia, żywo biła w oczy swem światłem. Za wzór prawdziwy pod tym względem służyć może wielka część przykładów, jakich użył do wyjaśnienia figur i tropów p. Próchnicki w nowych wypisach polskich na 5 klasę gimnazjalną. Dodajemy jednak, że powyższy nasz zarzut odnosi się tylko do

znacznie mniejszej części przykładów p. Korotyńskiego; na całą jego książkę rozciągać go żadną miarą nie można.

Kiedy mówimy już o przykładach, nie zawadzi wspomnieć o jednej rzeczy, która jakkolwiek mniejszej wagi, razi jednak w czytaniu. W całym dziełku p. Korotyńskiego czuć ciągle chwałebny zamiar opierania się wyłącznie i jedynie na swojskich wzorach. Wobec tego dziwnie wygląda, że autor, rzucając pełną garścią setki polskich przykładów, pięć czy sześć razy w całej swej książce idzie po jałmużnę do obcych, np. do Liwiusza, do Cyserona... od Lammenaus'go pożycza, nie wiedzieć poco, rewolucyjną i namiętną antytezę, wyjętą z *Livre du peuple*, a od Horacego znów, oklepnaną przez wszystkie stylistyki, alegoryę: *O navis referent...* Dlaczego p. Korotyński nie zaglądnął ani razu do Biblii Wujka? — zasługuje ona ze wszech miar na uwzględnienie, zwłaszcza że niezrównane bogactwo jej pomysłów stylistycznych i jej pięknego języka, w stylistykach naszych nigdy jeszcze, o ile wiemy, nie było spożytkowanem. Zamiast alegorycznego okrętu rzymskiego poety, w którym subtelni komentatorowie widzą takie aluzje, o których ani nie marzył Horacy, czyż nie lepiejby było przytoczyć taką piękną np. i przejrzystą alegoryę psalmisty¹ o Izraelu: „Boże Zastępów, przeniosłeś winnicę z Egiptu, wygnałeś pogany i nasadziłeś ją. Wsadziłeś korzenie jej i napełniła ziemię: okrył cień jej góry a drzewka jej cedry Boże. Rozpuściła latorostki swe aż do morza a gałązki swe aż do rzeki. Przeczżeś rozwałił płot jej i obierają ją wszyscy, którzy mimo idą drogą. Boże Zastępów, wejrzyj z nieba a obacz i nawiedź winnicę“.

A ileż to takich i piękniejszych jeszcze alegoryj u Ezechiela? — ile innych figur, rozrzuconych prawie co wiersz w prorokach, w psalmach, w Jobie, w Apokalypsie?... „Takiej głębokości, jaka jest w poezyi Pisma św., takiej potęgi, takich rozdzierających akcentów niema w żadnej poezyi świata, ani w Dancie ani w Eschylu, ani w Szekspirze“ — jak trafnie napisał prof. Tarnowski². A przytem jakie tam świetne obrazy, jakie opisy?! Dla przykładu dość przypomnieć taki np. opis konia u Joba: „Sława nozdrzy jego — strach. Kopie ziemię kopytem, wyskakuje śmieie, bieży przeciw zbrojnym, gardzi strachem a nie ustępuje mieczowi. Nad nim chrzęścić będzie sajdak, błyskać się będzie drzewce i tarcza. Pałając a rżając żrze zie-

¹ Ps. 79.

² „Jan Kochanowski“, str. 391.

mię, ani uważa, że brzmi głos trąby. Gdy usłyszysz trąbę, mówi: wahi! zdaleka czuje wojnę, napominania hetmanów i krzyk wojska“.

Z nowszych pisarzy — prawdziwie nie rozumiem dlaczego — zupełnie pomija p. Korotyński właśnie tych, którzy we wzorach stylistycznych żadną miarą pominieci być nie mogą. Mam tu na myśli przedewszystkiem Sienkiewicza, jakoteż trzech wielkich kaznodziei naszego wieku, którymi są: Kajsiewicz, Antoniewicz i Prusinowski. Każdy, kto czytał tych autorów z pewną estetyczną refleksją, przyzna nam słuszość, gdy powiemy, że wiele mdłych i rozwodnionych przykładów, które przytacza p. Korotyński, dałoby się zastąpić świetnymi wzorami z tych właśnie pisarzy o barwach żywych a silnych i o potężnym nastroju.

To są główne nasze zarzuty. Napomkniemy jeszcze nieco o niektórych mniejszych usterkach.

Zdaje nam się, że bajek nie można identyfikować z alegoryą, uważaną jako zwrot krasomówczy. Jakkolwiek bowiem bajki przedstawiają nam rzecz pod alegoryczną zasłoną obrazu, to jednak, mając cel dydaktyczny — a nie czysto estetyczny — t. j. nie dążąc do ozdoby i upiększenia stylu, pod kategorię figur nie podpadają.

Niewłaściwem nam się wydaje wyjaśnienie figur na samych tylko wyjątkach z poetów. Spotykamy to dość często w stylistyce p. Korotyńskiego np. przy prozopopei, błaganiu, zamilknięciu, hyperboli i innych. A przecież ozdobna proza nasza mogła na te figury dostarczyć mnóstwa przykładów.

Dlaczego autor na wyjaśnienie jednej reguły stylistycznej podaje wzory, które grzeszą przeciwko drugiej regule, i wskutek tego ostać się nie mogą? Czemu np. przy „naśladowaniu natury“ (str. 33) przytacza dwuwiersz Naruszewicza, napiętnowany śmieszną przesadą:

Darmo wściekła potwarzy z twej kluzy ponurej
Grozisz mi, trzęsąc na łbie brzydkimi jaszczury.

Na str. 163 błędnie określił autor polemikę, a na str. 74 niejasne i po części fałszywe dał pojęcie homilii.

Epifonemat (str. 86) przerodził się u p. Korotyńskiego w coś niezrozumiałego zupełnie. Lepiej było zostać przy pojęciu utartem od wieków, na które pełno mamy przykładów w literaturze.

„Płynność mowy“ (str. 22—28) traktowaną jest bardzo szczerpło, pobieżnie i ogólnikowo. Wątpię, czy ktokolwiek z tych uwag płynności stylu się nauczy.

Chełoby się jeszcze coś powiedzieć o „rodzajach stylu“ i o „peryodach“... ale to są rzeczy więcej sporne i dość różnie pojmowane; nie chcemy przeto narzucać autorowi naszych osobistych zapatrywań.

Zbierając raz jeszcze przytoczone przez nas uwagi, powtarzamy, że przedewszystkiem pragnęlibyśmy w polskiej stylistyce więcej jednolitego systemu i ściślej powiązanej całości, większej dokładności w określeniach, a czasami dosadniejszego wyboru przykładów. Ale darmo — takie książki nie powstają odrazu za uderzeniem czarodziejskiej różeczki: potrzeba na to czasu — i zwyczajnie pracy kilku pisarzy. P. Korotyński zrobił wiele: nagromadziwszy taką poważną liczbę przykładów, nieraz świetnych i nowych, wielce się przysłużył sprawie polskiej stylistyki, a dziełko jego tem życzliwiej powitać należy, że nie jest ono świadectwem osobistych jedynie usiłowań autora, ale zarazem jest jednym z objawów tego żywego ruchu, jaki zapanował w paru ostatnich latach i w Warszawie i w Galicyi około podniesienia ojczystego języka. Książka p. Korotyńskiego: „Jak pisać po polsku“ jest już trzecim tomem warszawskiego wydawnictwa Gebethnera i Wolffa, o którym wspominaliśmy w *Przeglądzie Powsz.* z okazji popularnej gramatyki Bena, ogłoszonej pod tytułem: „Jak mówić po polsku“¹.

Ten sam ruch językowy i u nas w Galicyi żywym bije tętnem, odkąd zwłaszcza zajęło się nim *Muzeum* i sfery nauczycielskie. Wydanie nowych wypisów dla użytku wyższych klas gimnazyalnych, szereg zbawiennych reform, zaprowadzonych w nauczaniu języka polskiego, gorliwe zajęcie się tą sprawą najwybitniejszych mężów nauki i szkoły, — wszystko to silną wzbudza nadzieję, że rozwój ojczystego języka na lepsze wnijdzie tory. Wówczas zapewne rozstrzygnie się też sprawa krótkiej a treściwej i wyczerpującej stylistyki polskiej; ktokolwiek zechce taką stylistykę napisać, temu dziełko p. Korotyńskiego niemałą będzie pomocą.

W. S. P.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Histoire des persécutions. Par *Paul Allard*. Paris. Victor Lecoffre. 1890.

Pomnikowa praca p. Allarda o prześladowaniach chrześcijan w ciągu pierwszych wieków naszej ery została nareszcie ukończoną;

¹ *Przegląd Powsz.* 1890, I. 406.

arosła w pięć tomów, których dwa ostatnie dziś witać nam przychodzi. Ważny to przyczynek do dziejów Kościoła, tak sumiennością opracowania, roztropnością doboru źródeł, jak i niepospolitym talentem autora i trafnością jego poglądów. Nierówny podział przedmiotu narazie nderza. Trzy pierwsze tomy wypełniły się historią prześladowań Kościoła aż do roku 285, zaczęły objęły wypadki i odgłosy przeszło pół-trzecia wieku, podczas gdy dzieje ostatnich lat czterdziestu potrzebowały całych osobnych dwóch tomów, aby w nich pomieścić okres, poczynający się z wstąpieniem na tron Dyoklecjana, a kończący politycznem zwycięstwem chrześcijaństwa wraz z samowładzą Konstantyna Wielkiego. Autor śpieszy nam wytłómaczyć powody owego braku równowagi w układzie dzieła. Najprzód na owe lata (285—324) przypada ostateczny przełom: zda się, iż cezaryzm pogański ostatnich sił dobywa, aby zgnieść podnoszący się Kościół boży; już nie z jednym cesarzem, lecz z czterema naraz przychodzi się ucierać. Opatrznościowe to zrządzenie: w tem właśnie państwowem sił rozbiciu, walka z Kościołem wszelką utraci dyrektywę; niezgodne edykta prześladowcze, wydawane naprzemian przez spychających się wzajemnie z tronu władców, tu się znęcają nad chrześcijanami, tam znów ich oszczędzają, odejmując uciskowi dawne onego uogólnienie.

Historia tymczasem kotłuje warem śpieszących po sobie wypadków, których następstwa Kościół odczuwa. Ztąd współczesne i polityczne odgłosy spłotły się z dziejami ucisku chrześcijan. Dopóki zepełniony do katakumb Kościół pędził w ukryciu nieznany niemal państwu żywot, jak to się działo w pierwszych dwóch wiekach, zewnątrzne odmiany można było przypomnieć pokrótce; w trzecim atoli wieku, a więcej jeszcze w początkach IV, Kościół występuje jawnie naprzód, cesarze liczą się z nową potęgą, naprzemian darząc ją pokojem lub usiłując zgnieść uciskiem, aż nareszcie wkońcu wszystkie inne ustępują czynniki i żywioły, wszystkie nikną kwestye, okrom religijnej. Zdałoby się mogło, iż na scenie świata dwa tylko pierwiastki z sobą walczą, że to pojedynek cezaryzmu i chrystyanizmu, rozstrzygające starcie państwa pogańskiego z Kościołem; zaczęły żaden ruch ni obrót lekceważonym ani pominiętym być nie może, bo każdy o zwycięstwie lub przegranej stanowi. Ztąd rozszerzenie ram opowiadania.

Lecz nie jestto jedyną przyczyną rozwoju ostatnich tomów znakomitego dzieła. Inny się jeszcze znalazł powód — szczupłość źródeł dla pierwszej epoki prześladowań, a ich obfitość dla ostatniej. Zrazu próżno szukać śladów pisanych ksiąg chrześcijańskich. Okrom tak rzadkich wy-

jątków, jak np. „Księga Pasterza“, myśl chrześcijańska głównie ku żywemu słownu i nauczaniu się zwraca. Rzadkie pomniki piśmienne epoki dają nam listy biskupów, jak Klemensa, Ignacego, Polikarpa lub wystosowane do cesarzy apologetyczne rozprawy. Wymowne to uczuciem karty, rzekłbyś świeżą krwią męczenników nasiąknięte. Darmo tu atoli szukać imion lub szczegółów. I u prześladowanych i u prześladowców jednakże panuje milczenie co do nazwisk i bliższych rysów krwawych prób i doświadczeń. Słynna korespondencya Pliniusza młodszego z cesarzem Trajanem nikogo nie wymienia, acz domyslać się pozwala wielkiej liczby męczenników. Kilka słów Tacyta, niejasne zwroty u Swetoniusza i Dyona Kassjusza, nareszcie szyderski żart Lucjana — oto i wszystkie, jakie mamy, dowody, przekonywujące nas, że wielcy pisarze starożytności znali ucisk chrześcijan i o ich cierpieniach zasłyszeli.

Chcąc bliższych zaczerpnąć szczegółów, należy rozpatrywać się w aktach męczeńskich, nie zawsze autentycznych ani dokładnych. Szczęściem za dni naszych, genialny Rossi znalazł metodę sprawdzania wiarygodności każdego szczegółu, rzeczywistości każdego podania zapomocą ścisłej metody i dwóch posiłkujących nauk: archeologii i epigrafiki chrześcijańskiej. Pokazało się, iż w każdej legendzie męczeńskiej, zmacona późniejszymi naleciałościami fala roczników męczeńskich płynie na pokładzie historycznego gruntu, niosąc z sobą odłamy prawdy. Zaczem chodzi tylko o pogodzenie odebranych ztąd danych z świadectwem niemych dotąd głązów. Świetne na tem polu odniesiono tryumfy. Wystarczy przypomnieć, iż niezbyt dokładne wskazówki, które posiadano odnośnie do dziejów chrześcijańskiego domu Flawiuszów, oraz sług ich: Nereusza i Achillesa, sprawdzono dokładnie odkryciem ich grobowców i cmentarzysk. Kamienie potwierdziły rzewne wiadomości o męczeństwie św. Symforyzy; historia św. Cecylii, oraz św. Felicyty i jej synów z rzymskich wyłoniła się podziemi. Nowe zaś zwycięstwo świeżo wykazało skuteczność metody, zastosowanej przez Rossi'ego. Odnalezienie zasypanej dotąd krypty na cmentarzysku Pryscylli wyjaśniło zawile słowa Swetoniusza i D. Kassjusza, udowadniając nie tylko nawrócenie patrycyuszowskiej za Domicyana rodziny, lecz nadto męczeństwo jej głowy, sławnego konsula Acyliusza Glabryona.

Ziemia niewątpliwie wyda nam jeszcze немало zagrzebanych w swem łonie tajemnic. W dzisiejszej atoli chwili, p. Allard przyrównuje wrażenia dziejopisa dalszych wieków chrześcijaństwa do wrażeń podróżnika, który idąc dotąd pustynią, nagle bez przejścia żadnego stanąłby w bramach ludnego i bogatego miasta. Pod koniec bowiem III w. istnieje już osobna

chrześcijańska literatura, posługująca się zarówno mową wschodnich Kościołów i cesarską, panującą łaciną. Jeżeli greckie jej pomniki bardziej mistycznym i kontemplatywnym tchną nastrojem, na Zachodzie przybierają więcej praktyczny kierunek, zwłaszcza w potężnym ręką Tertuliana lub św. Cyprjana. Ci dwaj doktorzy łacińscy taką pełność światła rzucają na swoją epokę, iż możnaby spisać dzieje prześladowania w III w. bez innych zgoda źródeł. Ale i u greckich autorów nie brak odgłosów walki, żeby tylko wspomnieć pisma Orygenesu i przekazane nam szczątki dzieł św. Dyonizego Aleksandryjskiego i Klemensa. Tem zaś wiarogodniejsze są ich świadectwa, iż prawie wszyscy owi dziejopisarze krwawej Kościoła potrzeby, czynny, męczeński w niej udział wzięli i krwią własną zapieczętowali pisane księgi swoje. I same akta męczeńskie z owej późniejszej epoki bywają daleko rzetelniejsze i pewniejsze, bez obcych naleciałości. Ustaliła się była w niektórych, jak np. afrykańskich Kościołach, praktyka czytania w liturgii ustępów martyrologium; ztąd biskupi tem skwapliwiej baczyli na ścisłość roczników męczeńskich i pilnie strzegli nietykalności pierwotnego tekstu. Niebawem do tych źródeł przybyły itynerarya, dla użytku pielgrzymów sporządzane, oraz zbiory epigraticzne, które im miały służyć za nie przewodnią wśród katakumbowych labiryntów. Rzym, dotąd najuboższy w pisane akta, okazał się najbogatszą kopalnią rytych w kamieniu świadectw. Zrazu, zaledwie imię oznaczało miejsce spoczynku męczennika; później napisy jeły się nieco przedłużać i rozszerzać, przeważnie gdy św. Damazy, urodzony w czasie ostatniego prześladowania, zasiadł na stolicy Piotrowej i poświęcił wszelkie usiłowania i talent swój poetycki ku uczczeniu niedawnych męczenników, których groby odszukiwał, upiększał i odpowiednimi a szczegółowymi napisami ozdabiał, zachowując i ocalając w ten sposób mnóstwo wiadomości, przekazanych żywą tradycją i pamięcią. Wystarczy wspomnieć, iż w jednym np. poemacie damazyjskim, wyrytym jak wszystkie inne z szczególną wytwornością dłuta, wielki czciciel męczenników odzywa się, iż przywiedzione szczegóły otrzymał dzieckiem z ust samegoż kata, który przewodniczył traceniu chrześcijan.

Jeden jeszcze rodzaj dokumentów ułatwia odtąd pracę badacza. Są to kalendarze lub katalogi męczenników, biskupów i papieży, które już w drugim sporządzano wieku, a które Tertulian dumnie zowie „fastami“ chrześcijan. Tu i owdzie trafiają się też ułamki synchronicznych prób spisywania zarazem historii powszechnej i kościelnej. Juliusz Afrykański i św. Hipolit dokonali tej próby, po której zaledwie wzmianka i szczupłe urywki zostały.

Co spowodowało zniszczenie tylu wiadomych dokumentów do historii prześladowań i dziejów pierwotnego Kościoła? Z biegiem lat ucisk chrześcijan coraz bardziej przybierał cechy nowoczesnego kulturkampfu. Nie wystarczało Dyoklecyanowi mnożyć ofiary, chciał jeszcze imię ich i pamięć zgładzić i zatrzeć. Rozkazał burzyć kościoły, palić akta męczeńskie i wszelkie niszczyć ślady bohaterskich zapasów i zwycięstw. Niepodobna też zmierzyć liczby ofiar jego prześladowania. O wielu z nich powtórzyć przychodzi wiersz Prudencjusza: *Fama et ipsa extinguitur*, a raczej użyć formułki, wracającej w kalendarzach i marmurze grobowców: *quorum nomina Deus scit*.

I znów najściślej wykonany został w Rzymie edykt Dyoklecjana, podczas gdy na Wschodzie sfolgowano nieco w przystosowaniu całej rozkazów cesarskich surowości. Zagięło mnóstwo dokumentów, które następnie spróbowano znojnie odnajdywać, jak to np. się stało z odlaniami rzymskiego kalendarza, którego *disiecta membra* znaczą się w olbrzymiej kompilacji z V w., znanej pod tytułem hieronimowego martyrologium. W mętnej, a raczej zmaconej fali tego zbiornika różnych wiadomości i podań rozpoznać można poważniejsze przykłady autentycznych źródeł, których nazwanie przychodzi łatwo znawcom epoki i współczesnych pomników. Lecz obok Damazego — a nawet więcej od niego — wspomnieć należy tu imię męża, który się najwięcej pamięci męczenników zasłużył. Był nim biskup z Cezarei, Euzebiusz. Urodzony w 260 r., przeżył młodość całą i część męskiego wieku wśród nadwątlałego dusze chrześcijańskie pokoju, który poprzedził ostatecznie prześladowanie. Stał się w połowie drogi życia, gdy nagle ów niebezpieczny spoczynek przerwany został straszną i nagłą burzą, która, zerwawszy się na Zachodzie, dłużej się na Wschodzie utrwalić miała. Uczestniczył w niej, nie jako widz obojętny, lecz jako świadek głęboko poruszony. Ginęli w walce nie tylko jego współwyznawcy, lecz wraz i towarzysze szkolni i najbliżsi nieraz przyjaciele. W domu Euzebiusza znajdował się właśnie ów Afian, który na wieść o edyktie prześladowczym, wzburzony pobiegł do palacu prokonsula, aby tamże kosztem własnego życia złożyć protestację niewinnych chrześcijan. Stał Euzebiusz na wybrzeżu, gdy morze wyrzuciło zwłoki młodego męczennika: siedział na stopniach amfiteatru, gdy dzikie zwierzęta kładły się u stóp skazanych chrześcijan, których kat dobić musiał; nawiedzał osobiście wyznawców chrześcijańskich, skazanych do kopalni, i opowiada nam, jakie wrażenie nań sprawił ociemniały lektor Jan: znalazł się w więzieniach Cezarei wspólnie z mistrzem swym Pamfiluszem i dopomagał temu

przedziwnemu jeńcowi okutą dłonią przepisywać księgi święte lub układać obronę Orygenesu; patrzył zbliżona na męki tyłu ofiar wybranych i dobrowolnych; pospieszył nawet do Egiptu, gdzie okrucieństwo prześladowców sroższych jeszcze dobierało katuszy — i te to wszystkie wspomnienia i wrażenia ujął w księgach, dostarczających nam najobfitszych wiadomości i szczegółów o Dyoklecyanowym prześladowaniu.

Ale Euzebiusz nie jest jedynym autorem, którego historyczne dzieła noszą koloryt i posiadają znaczenie osobistych pamiętników. Księga Laktancyusza „O śmierci prześladowców“ jeszcze żywszym bije płomieniem, jeszcze jaskrawsze na epokę rzuca światło. Od siódmego zaraz rozdziału księgi, liczącej ich pięćdziesiąt dwa, traktuje historię ucisku za Dyoklecjana. Gwałtowność rzucanych przezeń pocisków podała ścisłość jego historii w wątpliwość; podejrzrywano słuszność zbyt skrajnych sądów i wyroków, — dziś jednak dzieło Laktancyusza, które zapaleń oburzenia zdradza powinowactwo z Tertulianem, coraz zyskuje na powadze dziejowej i nikt już o jego autentyczności nie wątpi. Owszem, wykazano zgodność jego świadectwa z pismami pogańskich autorów. Gdy nam opowiada np. o skapstwie i okrucieństwie Dyoklecjana, o jego nieśmiałości i obawach jutra, nie dodaje żadnego obcego rysu do wizerunku, skreślonego przez Aureliusza Wiktora lub Eutropiusza. Tak samo sądzi innych cesarzy: Galeryusza, Maksymiana, Herkulesa. Makseucjusza, nieraz spotykając się niemal w doborze wyrazów z historyografami pogańskimi, którzy podobnie nie szczędzą uznania zaletom Konstancyusza Chlorusa.

Do historycznych ksiąg Euzebiusza i Laktancyusza dodać jeszcze należy pochwały męczenników, w tych wczesnych głoszone wiekach, przez mężów tej wiary, co Chryzostom lub Bazyli. Pod rąbkiem wymowy kościelnej odnaleźć można mnóstwo ciekawych szczegółów i uderzających rysów, których także sporo złożono w księgach duchownych np. z V w., żeby tylko wspomnieć pisma św. Ambrożego. Nareszcie dopełniają ten zasób źródeł urzędowe sprawozdania ze śledztw, zarządzonych za rozkazem Konstantyna w Afryce, a dotyczących poszczególnych męczeństw z czasu ostatniego prześladowania.

Takie są tedy główne dokumenta, z których czerpał znakomity historyk prześladowań; w przedmowie sam wskazuje, gdzie szukał prawdy, aby męczennikom i wyznawcom pierwszych wieków ściśle dziejowy zbudować pomnik. Racyoniści spróbowali zachwiać wiarę w podstawy Kościoła, podając w wątpliwość wiarogodność podań i źródeł do historii początków chrześcijaństwa; dzisiejsze jednak usiłowania

i prace krytyczne stwierdzają prawdziwość tak ogólnych rysów, jak i poszczególnych wiadomości i zapisków, dotyczących historii pierwszych wieków i męczenników. Skoro już wspomnieliśmy o pięknej przemowie, będącej zarazem i poglądem na całość dzieła, niech nam będzie wolno przytoczyć tu jeszcze wspaniałe domówienie autora.

„Przedewszystkiem pragnąłem zaznaczyć charakter tej walki, pokojowej z jednej strony, krwawej i gwałtownej z drugiej, którą w ciągu trzech wieków stoczyła społeczność zrazu mała, potem liczna i silna, lecz zawsze dobrowolnie rozbrojona — z rzymskim cesarstwem, a raczej z całą pogańską cywilizacją, z jej niesłychanymi materyalnymi i duchownymi zasobami, z jej książętami, filozofami, kapłanami, żołnierzami, sędziami i katami. Chyba nikt nigdy nie zdoła dostatecznie wykazać całej wielkości ostatecznego a niespodzianego obrotu sprawy, która nie tylko ubezpieczyła chrześcijaństwu, wypływającemu wciąż z morza krwi, w jakim je zatopić próbowano, prawo do swobód zewnętrznych, lecz nadto poddała mu i przekazała ostatecznie wszystkie publiczne władze i powołała do steru nowej, odrodzonej oświaty. Darmoby próbowano tak nadzwyczajną zmianę wytłómaczyć twierdzeniem, iż prędzej czy później idea zawsze pokona siłę. Historia zaprzecza temu komunałowi, wskazując, ile to razy ślepe siły wzięły górę nad ideą, lub też idea zwyciężała wtedy dopiero, kiedy urosła w materyalną potęgę i uciekla się do gwałtownych środków. Chrześcijanie tymczasem żadnej innej nie przelali krwi, prócz własnej. Poddali się ustawom, które ich potępiały. Nie liczbą żołnierzy ani powstańców, lecz mnóstwem i stałością męczenników osiągnęli zwycięstwo. To też historyk, znany z bezstronności, Gaston Boissier, słusznie tryumf ten nazywa „największem i najświetniejszym zwycięstwem, jakie sumienie ludzkie odniosło na ziemi“, i pyta, dlaczego dziś próbują zewsząd doniosłość owego przełomu umniejszyć?“

Fakt ten jedyny, zdaniem p. Allarda, zawdzięcza swą oryginalność i rzewny blask mnogości cnót przeróżnych, które niby kwiaty precudne, a liczne, wyrastały przez całe trzy wieki z niwy dusz chrześcijańskich, żelazem prześladowania rozoranej. Widziano wtedy istne cuda męstwa, wytrwałości, poświęcenia bratniego, pokory, czystości i zaparcia. Niemasz w historii drugiego przykładu podobnego rozkwitu moralnego życia.

„Proszę Boga — dodaje kornie znamięnity pisarz — aby coś z owej woni i miązgi w mojej odnalazło się księdze. Oby, wedle słów

Bossuet'a, nędzny ten kanał, któredy wody niebieskie płynęły, zdołał przynajmniej kilka z nich kropel ująć i w sobie zatrzymać!"

M.

Madame de Sainte Beuve et les Ursulines de Paris. Par *H. Leymont*.
Lyon. Vitte et Pérussel. 1890.

Księgarnia Vitte et Pérussel w Lugdunie położyła w ostatnich latach niemałe zasługi na polu wychowania chrześcijańskiego, mnożąc wydawnictwa, dostarczające zdrowych rad, praktycznych wskazówek, niezłomnych zasad i prawideł tym wszystkim, którzy się z powołania, przeznaczenia lub poświęcenia oddają dziełu odrodzenia kraju, gotując mu lepsze, hartowniejsze pokolenia. Z wielotomowej korespondencji hr. de Maistre, wydanej przez wspomnianą firmę, poznaliśmy w znakomitym myślicielu politycznym i niepośledniego pedagoga, który w poufnych listach do rodziny, pełnemi rękoma siał złote ziarna mądrości, i kierował osobiście naukami i krokami syna i córek, zostawiając po sobie spójniczną pedagogiczną niemałej doniosłości i znaczenia. Teraz znów taż sama firma podaje nam żywot świętobliwej wdowy, pani de Sainte Beuve, która bystrem okiem śledząc upadek i rozkład, zagrażający Francji w XVII wieku, pierwsza zabrała się do moralnego odbudowania społeczeństwa zapomocą klasztorów edukacyjnych, które, można powiedzieć, poprzednio nie istniały wcale.

Zakony, wyłącznie oddane bogomyślności, nie kusily się o wywieranie czynnego i bezpośredniego wpływu na ludzi i epokę. Gdzieśniedzie wprawdzie rodzice oddawali dzieci do klasztoru na wychowanie, lecz bywał to tylko pierwszy krok do wiekuistych ślubów. Raz przestąpiwszy klauzurę, dziewczynka nie wracała już do świata, a wykształcenie jej ograniczało się na biegłym odprawianiu godzin chórowych i czytaniu brewiarza. Wogóle wychowanie kobiet zostawało na niskim bardzo stopniu, i niemal z zasady bywało całkiem zaniedbanem. Wtem wiek XVI wniósł w spokojne, średniowieczne dusze rozterkę i niepokój religijnych sporów. Zanim się opamiętano, wystudzające i bezbożne prądy podkopały moralne zasady, oparte na podwalinach wiary, która zaczęła przygasać powszechnie. Nastąpił we Francji rozstrój nieopisany, stwierdzony rozluźnieniem węzłów rodzinnych i społecznych, oraz rozpustą obyczajową, jakiej ślady zachowały nam współczesne świadectwa. Chrzecijańska Francya staczała się ku pochyłości rosnącego zepsucia, domowa wojna i osłabienie rządu ostateczną groziły jej zagładą. Ale Bóg sprawia, iż narody zdolne są podźwignąć się z cho-

roby: *Sanabiles fecit nationes* (Ks. Mądrości I. 14). Zadatkem uzdrowienia bywa wówczas rozmnożenie tej soli ziemi, którą są Święci i wybrani Pańscy. „Daj nam, Boże, Świętych“! — wołał ojciec Lacordaire, zbadawszy przyczyny współczesnego rozkładu. Przed trzema wiekami św. Teresa nie inaczej marzyła o odrodzeniu Francyi: ukochawszy to chrześcijańskie królestwo, powtarzała, iż nie jedno życie, lecz tysiąc gotowaby oddać za odkupienie Francyi. Tymczasem przyśpieszyła dzieło zbawienia, wysyłając za Pireneje gromadkę najświętobliwszych towarzyszek i córek swoich, które pokutą i modlitwą przybliżyły Królestwo Boże do ziemi, tyloma wówczas nawiedzonej klęskami, tyloma zbrodniami skalanej. Wyprośzone łaski jęły opadać rosą ożywczą na tę część winnicy bożej. Jeżeli my, pod koniec XIX wieku, słusznie narzekamy na wyczerpanie soków i osłabienie charakterów, to przeciwnie, zorza XVII stulecia świeci takim nadmiarem żywotności i miazgi, takim zasobem młodości i zdrowia, że chodzi tylko o miarkowanie kipiących zewsząd darów, o zużytkowanie ich roztropne, aby się nie roztrwonily daremnie. Ale obok tej rdzennej różnicy dostrzedz można pewne podobieństwa między dwoma epokami. I wtedy, jak dziś, rozgrywała się stanowcza walka na polu wychowania. Dziś bezbożność, wtedy herezja usiłowała wydrzeć Kościołowi przewagę nad duszami młodzieży, kierownictwo nauk, kształcenie umysłów. Nagle, o tej wybitnej w dziejach porze, Francya zaroila się świętymi i światłymi mężami, mądrymi i mężnemi niewiastami — i cały ten poczet dostojny jął wspólnemi siłami pracować nad podniesieniem kraju, przysposobieniem lepszej przyszłości, poprawą społeczną i własną. Wspaniała jest owa zbiorowa jedność zabiegów, zmierzających do wyższego celu. Na tych samych szlakach krzyżują się wciąż znane z cnoty i zasługi nazwiska. spletają się ręce, myśli, poświęcenia. Obok Świętych, wyniesionych na ołtarze wyrokiem Kościoła, ileż świętobliwych, znakomitych i zasłużonych mężów i niewiast, które całem życiem i sercem służą dobrej sprawie, ojczyźnie i Bogu! Wśród tego pocztu, poznać nam dziś przychodzi panią de Sainte Beuve, Magdalenę Luillier — godną współzawodniczkę pani Acarie, pani de Miramion i panny Legras. Dzieje jej życia w krótkich ujęć się dadzą rysach. Po trzechletniem, szczęśliwem pożyciu, utraciwszy ukochanego małżonka, słynna z urody i rozumu, młoda a bezdzietna wdowa postanowiła nowych nie zawierać ślubów i resztę życia oddać na usługę Kościoła i ubogich. Zrazu polityka ją pochłonęła; w Lidze, upatrując religijną walkę, przystąpiła do stronnictwa, które wywieszało zasadnicze hasła obrony wiary św.

Gdy Henryk IV nawróceniem swem okupił uspokojenie królestwa, zniknęły właśnie stronnice, i nowa era dla Francyi zakwitła. Lecz wielki rozum i piękność dawnej uczestniczki Ligi, tak gwałtowne sprawiły wrażenie na miękkim sercu króla, iż pani Sainte Beuve musiała przed jego natarczywością schronić się do klasztoru, gdzie całe cztery lata zamieszkała, czekając odmiany w usposobieniu królewskim, a może przyćmienia własnych wdzięków. Owe lata miały o jej powołaniu rozstrzygnąć. Wprawdzie nie uczuła pociągu do zupełnego zerwania z rodziną i światem, i nigdy się nie miała za kratami zamknąć. Lecz jednocześnie rozpoznała dwustronne potrzeby, zbadała czego niedostawało klasztorom, jakich zakonów wpływ najbardziej mógł w obecnej chwili stać się pożytecznym. Rozważywszy niedostatki żeńskiego wychowania, Magdalena Luillier postanowiła na tem polu rozwinąć chwalebna czynność.

Jak to już wspomnieliśmy, klasztorów edukacyjnych właściwie do tej pory Francya nie posiadała wcale, a wychowanie, tu i owdzie dawane garstce panienek, przygarniętych za kratą, służyło tylko za wstęp do życia zakonnego, i tak bywało poziome, iż obniżało jeszcze ducha w klasztornych przystaniach, odejmując zaufanie do zakonnych mistrzyń i kierowniczek. Wtem Magdalena Luillier pierwsza nową zagaiła erę, snąc w chwili odpowiedniej, bo skoro tylko sprowadzeniem Urszulanek do Paryża dała pochop do zmiany żeńskiego wychowania, dwadzieścia pięć z kolei nowych zgromadzeń zakonnych powstało na ziemi francuskiej, przeważnie nauczaniu poświęconych, żeby ostatecznie wykwitnąć w sławnym zakładzie wychowawczym Saint-Cyr, przez panią Maintenon u stóp tronu wielkiego monarchy ufundowanym, który miał w rozmowach swej założycielki trwalszą od własnego istnienia zostawić pamiątkę i pomnik, z którym się pedagogia wszystkich wieków liczyć będzie musiała.

Ale Saint-Cyr, zamykający poczet zakładów wychowawczych z XVII w., przejął spuściznę Świętych, opierając się na podwalinach reguły św. Augustyna, zmodyfikowanej wymaganiami powołania nauczycielskiego i wieku przez córki św. Anieli Merici. Otrzymujemy tu rys ich założenia we Włoszech, korne początki, świetny rozwój pod kierunkiem i wpływem św. Karola Boromeusza. Dwoje Świętych pochyla się nad kolebką nowej instytucji, co najlepszego z własnej duszy zostawiając w ustawach nowo powstającej rodziny zakonnej. Św. Karol rozumiał, iż świat zepsuty, tylko katechizmową nauką da się dźwignąć i wyleczyć. W jego myśli katechizacya miała być pier-

wszem i głównem zadaniem stowarzyszonych córek Anieli Merici, która za patronkę obrała była legendową postać św. Urszuli i nieprzeliczony poczet otaczających ją męczenniczek. Nie pierwszy to przykład opieki, przyznawanej św. Urszuli nad chrześcijańską nauką. Wszakże sławna paryska szkoła Sorbony pod jej zostaje wezwaniem. I dzisiejszy rozkład społeczny przypisać należy powszechnemu odbieżeniu od prawd katechizmowych. Zaczem należałoby szukać lekarstwa tam, gdzie go znalazł wiek XVII, u samego źródła najpierwszych zasad wiary, w najprostszej nauce, która buduje podwaliny chrześcijańskiego i wiecznego żywota. Św. Karol odrodzenie dziatwy i młodzieży rozpoczął od katechizacyj, powierzonych kapłanom i zakonnikom, poświęcającym się wychowaniu. Myśl jego dojrzała i rozwinęła się na gruncie francuskim, gdy pani Sainte Beuve sprowadziła do Paryża Urszulanki. Nadzwyczajny popęd, nadany katechizmowej nauce, w znacznej części do nich odnieść wypada: one to nadały pierwszej komunii dziatwy chrześcijańskiej cechę uroczystości, towarzyszącą podziśdzień we Francyi temu wielkiemu aktowi: z ich domów rozszedł się po parafiach obyczaj katechizacyi dzieci, stanowiący dotąd najsilniejszy, bodaj ostatni wal obronny przeciw naciskowi bezbożności. Zasluga to niemala, promieniąca osobnym blaskiem wśród wielu innych, i uwydatniająca całkiem nowe pojęcie wychowania klasztornego, nie zmierzającego już do sposobienia samych tylko zakonnic, lecz szukającego środków ku zgotowaniu dla świeckiej społeczności dobrych żon i matek, zbrojeniem ich na życie wśród ludzi i dla ludzi. Rdzeuna ztąd w łonie zgromadzenia musiała nastąpić przemiana, poddając surowości zakonne wymaganiom rodzinnego niejako życia. Dziewczynki odnaleść miały pod dachem św. Urszuli nietylko macierzyńską troskliwość i pieczę, lecz i czułość serca rodzicielskiego, i nawiązkę rodzinnej miłości, bez krzywdy dla przyrodzonych węzłów, których uszanowanie bywało pierwszym hasłem wychowania Urszulanek. Wbrew bezwzględności państwowej, która w szkole nowoczesnej nie uznaje ani woli ani słusznych praw rodzicielskich, Urszulanki stosowały nawet programat i poziom nauk do wymagań rodziców, czasu i położenia, rozszerzając zakres wykształcenia niewieściego w miarę, jak większej od kobiet żądano kultury. Pani Sainte Beuve w tym względzie mogła im korzystnych udzielać wskazówek, posiadała bowiem w najwyższym stopniu zmysł i zamilowanie piękna i umysłowych zabaw, spędziwszy młodość na świetnym i wykwiutnym dworze Wależuszów, których epoka tyle po sobie zostawiła pomników wytwornej cywilizacyi.

Nowy zakład wychowawczy, z Włoch przeszczepiony na ziemię francuską, snąć w sam raz odpowiadał potrzebom chwili, bo w przeciągu jednego stulecia, nie przekraczając granic XVII wieku, powstało we Francyi do trzystu dwadzieścia domów żeńskiego wychowania, kierowanych przez Urszulanki. Jeden tylko ich klasztor w Saint Denis. podczas pierwszego trzydziestolecia swego istnienia, liczył do czterech tysięcy uczennic z pierwszych rodzin kraju. Na wzór św. Karola, francuscy założyciele instytutu Anieli Merici, przeczuli znaczenie żywiołu niewieściego w społeczeństwach nowoczesnych. Francya, która pod tym względem uległa wpływom, idącym z Włoch i Hiszpanii, szybko miała na tej drodze wyprzedzić inne narody. Nigdzie działalność kobiet nie zaznaczyła się wyraźniej w obyczajach i duchu narodu. Obcowaniem z niewiastami wyższego pokroju i wykształcenia wiek XVII wyrobił w sobie tę niedorównaną wykwintność, która w oczach innych ludów tak wysoko podniosła sławę kultury francuskiej. W mądrości, doświadczeniemi spotęgowanej, ciż sami założyciele odgadli, iż nie należy zasklepiać się w formach przeszłości, lecz szukać nowych szlaków, do nowych zastosowanych potrzeb. Zrozumieli przedewszystkiem, iż jedynym środkiem budowania teraźniejszości, jest nigdy nie wątpić ani rozpaczać o przyszłości! Należałoby to przypominać pesymistom, którzy ujemne tylko widząc strony współczesnych stosunków, w bezowocnych narzekaniach marnują czas swój i siły. A narzekanie na czasy, w których nam żyć przyszło, nie jestże ukrytą formą skargi na Opatrzność, która nas w tych warunkach i stosunkach umieściła?

Wśród mnóstwa osób i szczegółów, obyczajem monografij francuskich wplecionych w tok opowiadania, trudno naczelną postać niniejszej pracy dokładnie rozeznąć, ale to, co o niej słyszymy, składa się w nadzwyczaj piękny i sympatyczny wizerunek. Przedewszystkiem jest w pani de Sainte Beuve, jak na owe czasy, szerokość poglądów niezwykła, jest i śliczna pogoda ducha, która ją nigdy nie odstępuje. Ta święta radość, zaliczona do darów Ducha św., jest przewodnią cechą działalności pobożnej wdowy: „Wesołego dawcę kocha Pan Bóg“ — mówi Pismo św. — jakoż miłymi musiały być dary i ofiary Magdaleny Luillier, która mężnem sercem niczego Panu nie odmawiała, powtarzając wśród ciągłego jałmużnictwa, iż ani pieniądze ani smutek do niej przyłgnąć nie mogą. Zachowała sobie jedynie pewną swobodę i niezależność, ażeby pogodzić obowiązki rodzinne z przybranemi wobec klasztoru powinnościami. Acz w znacznej części kierowała swą fundacyą i wychowaniem panienek, mieszkała poza kratami, aby zarówno

służyć krewnym i przyjaciółom, zbiegającym się do niej po radę lub pomoc. Miłość Boga nie rozwiązuje przyrodzonych węzłów, nie studzi uczuć, owszem zagrzewa je lepszym i czystszy m płomieniem. Pani Sainte Beuve do końca zachowała ową gorącość serca i zapał, co góry przenosi. Posiadała w najwyższym stopniu dar jedyny i konieczny w zadaniu wychowawczym: oto miłowała i szanowała dziecięctwo, nigdy jej się nie przykrzyła roznowa lub zabawa z dziećmi; głównie zaś starała się wykształcać w nich prawość, prostotę i prawdę, obrzydzenie do fałszu i kłamstwa. „Przedewszystkiem nigdy nie oszukujcie dzieci, nie zbywajcie ich bylejaką odpowiedzią, lecz ściśle tłumaczcie im rzeczy tak, jak są. Jedyny to środek zdobycia i zachowania ich zaufania i szacunku“. Dzieci jednak nie zajmowały jej wyłącznie. Miała serce i dla ich pobożnych kierowniczek, dopomagając im skutecznie w ich szlachetnem zadaniu. Ale nie same Urszulanki były celem jej troskliwości, ofiar i zabiegów. Własną hojnością założyła w Paryżu pierwszy tamże nowicjat Jezuitów, wywdzięczając się synom św. Ignacego za wieloletnie prowadzenie jej duszy ku wyżynom doskonałości. Pod koniec życia coraz większe wyrzeczenie wiodło ją do oddawania wszystkiego, co posiadała, cierpiącym członkom Chrystusowym. Ta wielka pani, przyzwyczajona do dostatku i zbytku, pewnej zimy jadła w kuchni i nie ogrzewała sali, aby tem obfitszy zapas drzewa oddać ubóstwu. Gdy raz żebrak zaszedł jej drogę w chwili, gdy fundusze jej zupełnie były wyczerpnięte, nie mając narazie innej jałmużny, oddała mu srebrną kropielnicę, nad własnem zawieszoną łóżkiem. Zgon jej był też ogólną dla stolicy żalobą; a pamięć wysokich cnót i rzadkiej roztropności uwieczniła się świadectwem współczesnych.

Do życia pani Sainte Beuve i poglądu na stan wychowania żeńskiego w XVII wieku, autorka przydaje ciekawe zestawienie pani de Maintenon z założycielką francuskich domów Urszulanek, wskazując na powinowactwo duchowe. łączące zakład w Saint-Cyr z klasztorami córek św. Anieli. Wychowana przez Urszulanki, pani Maintenon niemal dosłownie przejęła ich regułę dla swego edukacyjnego zakładu, wprowadzając nawet na kierowniczkę zakonnice św. Urszuli. Towarzyszka ostatnich lat Ludwika XIV, małżonka jego starości, pod pozorem udoskonalenia dzieła i ustawodawstwa Świętych, zbyt może własną osobistością zacieżyła nad ustrojem domu Saint-Cyr, który też tchnął jej duchem, żył jej istnieniem, ale całkiem zespolony z jej potężną indywidualnością, nie przetrwał jej zgonu, tracąc pierwszorzędne znaczenie, gdy zabrakło mu znakomitej przewodniczki. Ludzkie dzieła

jakkolwiek dobre, ludzką też mają jedynie trwałość, roboty Świętych Pańskich, tonąc w miłości Boga, który je wzbudza, nabierają ztąd pewnej nieśmiertelności, i nie stoją ludźmi, lecz duchem pierwszych założycieli. Ztąd w życiu pani Sainte Beuve i w zarysie dziejów Urszulanek francuskich odnajdujemy przewodnie cechy i hasła dzisiejszych urzędów ich klasztorów i pensyonatów, gdziekolwiek takowe się znajdują, mianowicie zaś poznajemy rodzinne niejako stosunki, wniesione za kraty, oraz szerokość ducha, obwarowanego katechizmowemi zasadami, a naginającego się do potrzeb i słusznym wymaganiom czasu, do postępów żeńskiego wykształcenia, którego poziom tak znacznie się podniósł, w porównaniu z dawniejszymi wiekami. Podwaliny się nie zmieniły, ale na nich wyższe i wspanialsze budować przychodzi gmachy wiedzy i woli, wiadomości i hartu.

Pięknym wzorem dla wychowawczyń młodych pokoleń pozostanie Magdalena Luillier, a biografia jej obfituje w niezwykle pod tym względem rady i wskazówki. Całe jej życie było urzeczywistnieniem wspomnianego tu słowa Bossueta: *La vie chrétienne est une vie sérieuse*. Powagą życia, zapalem serca, zostawiła ona po sobie ślad promienny, znaczący się złotym szlakiem na tle wieku, przedstawiającego skrajność dobrego i złego w zmiennej tkance dziejowo-społecznej nad inne bujnej epoki.

M.

Les soldats français dans les prisons de l'Allemagne. Par l'abbé Guers. Paris. Bloud et Barral. 1890.

Jakkolwiek udoskonalenia ryszunku wojennego mordczość broni powiększają, nie w bitwach samych uwydatnia się doniosłość plagi, od której w suplikacjach się wypraszamy. Niedawne statystyki wskazały, iż daleko więcej ludzi ginie w czasie kampanii z chorób, aniżeli bezpośrednio od kul nieprzyjacielskich. Ryzy koń Apokalipsy, przebiegając krwawe zagony ludzkich zapasów, nie potrzebuje prochu i amunicji — zieje śmiercią i zniszczeniem wtedy nawet, gdy działa milczą i cichną rotowe ognie. Groza przejmująca wobec rysunków hiszpańskiego mistrza Goya, który w szeregu obrazów spróbował — jak to dziś Wereszczagin usiłuje — wzbudzić wstręt do bratobójczych sporów i przyspieszyć chwilę pacyfikacji świata, ogarnia i czytelnika książki, której tytuł wypisujemy powyżej.

Sposób pisania może nieco przykry nadmiarem patryotycznego oburzenia, kiedy spokojniejsze przedstawienie rzeczy i prostsze wypo-

wiedzenie odebranych wrażeń z pewnością dodałyby świadectwu piszącego wiele powagi i znaczenia; wszakże mimo rażącego niekiedy szumu frazesów, tyle jest prawdy, tyle krwi i łez w tych kartach, że chyba Grottgerowska „Wojna“ równie głęboko serce porusza i napawa usprawiedliwioną obawą powtórzenia się podobnej niedoli. Autor po pierwszych przegranych wojsk francuskich otrzymał nominację na kapelana polowego armii Renu, i z Rzymu (gdzie się wówczas znajdował przy kościele Saint Louis des Français) wprost podążył na plac boju. Po drodze, w Chambéry, danem mu było patrzeć na wyraźny objaw sprawiedliwej kary i palca Bożego. Wobec pałacu, gdzie Napoleon III powiedział Cialdiniemu, aby co włoscy rewolucyoniści chcą zrobić, śpiesznie wykonanem zostało, teraz motłoch, uniesiony ślepym szałem, włókł w błocie popiersie cesarskiej pary.

A tymczasem w Niemczech już rosła fala jeńców francuskich. Ks. Guers najprzód zwiedza baraki nad brzegiem Lechu w Augsburgu, gdzie 15.000 jego ziomków jęczy w najsmutniejszej niewoli. Wczesna zima podwaja biedę nieszczęśliwych, nie zaopatrzonych w ciepłą odzież, nie posiadających nawet kołder. To też mnóstwo ich pada codziennie, i na pobliskim cmentarzu do czterechset mogił się znaczy. Wracając z obozu pod Augsburgiem, kapelan polowy w Monachium wpada na bolesną dla francuskiego serca chwilę. Cały plac zaległy działa na Francyi zdobyte, a noszące jeszcze lilie Ludwika XIV, lub trofea dawnych zwycięstw, lud zaś bawarski wokoło tryumfalne zawodzi śpiewy.

W Ingolstadt więźniom nie lepiej, jak w Augsburgu. Baraki schodzą aż nad brzeg Dunaju, wilgoć dziesiątkuje ich mieszkańców, roboty forteczne przypominają uciemnienie Izraela przez Faraonów. Ks. Leonrod, biskup z Eichstädtu, niebawem wzywa francuskiego kapłana dla poratowania jeńców, tamże odstawionych. Krótko atoli ks. Guers tam bawi, wydalony podejrzliwością władz miejscowych, które w nim szpiega upatrują. Ztamtąd śpieszy do Ulm, o chlubnej dla sere francuskich sławie. Dziś wszakże kapitulacya Mack'a zbladła wobec sedańskiej katastrofy. Dziesięć tysięcy jeńców zalega kazamaty, ośmiuset chorych jęczy w szpitalu; tyfus, dyzenterya, czarna ospa coraz to nowe wyrывa ofiary: żadna przynajmniej nie odchodzi na drogę wieczności niezaopatrzona, a szczególnie pobożni synowie Bretanii i Bearnu najprzykładniej na śmierć się gotują.

W Sztutgardzie głównie wyżsi oficerowie zostali internowani. Tu oko nie zasmucało się widokiem chorych żołnierzy i nędzą ogółu prostych jeńców; lecz za to gorzkich wrażeń nie brakło. W teatrach np.

przedstawiano epizody z bieżącej wojny, gdzie po bitwie z za kulis wypadały roje sióstr miłosierdzia i braci miłosiernych na to, aby obdzierać trupów i dobijać rannych!

Opisując niedolę swych braci, ks. Guers umie być sprawiedliwym. I tak z największem uznaniem wspomina urządzenia szpitalne w Karlsruhe i wogóle położenie jeńców francuskich w badeńskiej stolicy. Na niczem im tam nie zbywało, nawet na tych osładzających życie zbytkach, jakimi bywają w niewoli książki, gazety, tytoń i t. p. Zaczyna wielką księżną, nieodrodną siostrą szlachetnego Fryderyka III, wszelkich dokładała starań, aby umniejszyć niedolę wojenną i nadać szpitalom stolicy wszystkie cechy nowoczesnej cywilizacji i komfortu. Najwięcej pono amputacji dokonano w owej epoce w Karlsruhe. Kapelan zwykle był wzywany, aby namawiać rannych do poddania się koniecznej operacji. Godzili się na nią pod warunkiem, że ksiądz ich w tem przejściu nie odstąpi. Często jednak opierali się stanowczo utracie członka, przekładając śmieć nad amputację.

Okolicznościowo autor niniejszej książki wspomina wzrost żywiołu katolickiego w Niemczech. I tak np. z początkiem bieżącego wieku w Karlsruhe nie znajdowało się więcej nad stu katolików. Kapucyni, opatrnościowo przeznaczeni do strzeżenia wszędzie i zawsze ostatniej gasnącej iskry wiary, długo tu mieli misyjkę i kapliczkę, lecz wkońcu prześladowanie i ich wyparło z tego skromnego posterunku. Wszystko zdawało się być straconem dla sprawy katolickiej. I oto tę właśnie chwilę Bóg przeznaczył, aby odmienić postać rzeczy. Zawiązało się grono odważnych katolików, którzy nabyli kawałek gruntu i założyli nową parafię. Dziś w Karlsruhe jest już do 25.000 katolików, posiadających własne zakłady wychowawcze, pensjonaty, szpitale i prześliczny a bogaty kościół.

Poddanie się Metzu skierowało olbrzymi poczet nowych jeńców wojennych ku fortecy Rastattu, dokąd i ks. Guers pośpieszył. Znalazł tam trzy wielkie lazarety; w pierwszym umieszczono niemieckich rannych i chorych, doliczając do nich i Alzatezyków, w drugim francuskich, których, ile się dało, najrychlej wysyłało ku innym stacyom niewoli. Ta przedwczesna translokacja zbyt często sprowadzała śmierć w podróży, zanim zdążono stanąć u jej kresu. W Bernardskirche skupiono zarażonych tyfusem lub ospą, i tu zaiste na progu wypadało się żegnać z nadzieją, bo nikt prawie żyw ztąd nie wychodził. Ale w tem ognisku cierpienia i zarazy, jakież tryumfy łaski święcić przyszło! Autor wspomina o nich, lecz ich nie opisuje, bo też nieopisane bywają

cuda! Natomiast śliczne spotykamy szczegóły o pobożności Alzateczyków, garnących się ochotnie do Stolu Pańskiego.

I w Rastadt kapelan nie skarży się na stan lazaretów. Nie tak dogodne jak w Karlsruhe, odznaczają się jednak porządkiem i ładem, a prywatne miłosierdzie niesie ciągłą ulgę ofiarom wojny. Księżna Hamilton, hrabina Zeppelin raz po raz odwiedzają rannych, służą im odważnie i czynnie. Straszny jest obraz przybycia pierwszego konwoju z Metz, obejmującego 150 oficerów, 2000 żołnierzy i kilkuset chorych. „Ci ostatni wloką się z trudnością przez duże i nocą zmroczzone dziedzińce lazaretu, wchodzą do sal szpitalnych, otaczają ogniska, niby żywe kościotrupy, drżące, z płonącym i mętłym spojrzeniem, z gorączkowym oddechem. „Od ośmiu dni jesteśmy w drodze, i umieramy z głodu!“ — Jakże tu zaradzić podobnej nędzy? Znajdujący się w szpitalu dawniejsi chorzy okazali prawdziwe bohaterstwo: ustąpili narazie własnych łóżek. Przez całą noc obmywaliśmy, rozbierali i kładli tych nieszczęśliwych: wielu z nich nie miało nawet odwagi ani siły, aby wdziać na siebie kaftanik lub podaną koszulę. Hrabina Zeppelin tejże nocy dokazała prawdziwych cudów poświęcenia; wielu z tych biedaków ocalała od niechybnej śmierci“.

W Rastadt zostało 357 trupów francuskich. Postawiono im grobowiec, na którym widnieje napis:

Jeńcom francuskim zmarłym w Rastadt 1870—71.

Towarzysze niedoli.

Panie, surowe bicz na lud Twój spuściłeś, i napoiłeś go winem żalości.

W Strasburgu ks. Guers ze ściśnionem sercem patrzy na całe pociągi, uwożące bezustannie jeńców ku północy. W Heidelbergu zastaje dwa lazarety, w Moguncyi 27.000 jeńców, w Darmstacie 4000, w Koblencyi 30.000, w Kolonii 20.000. Kapitulacja Metzu wyrzuciła na ziemię niemiecką przeszło 300.000 jeńców. Nie było sposobu zgotować im jakiegokolwiek ludzkiego schronienia. Nieszczęśliwi Francuzi, gnani jak bydło, gorsze od bydła znajdowali przytulki. Obozowisko w Minden, gdzie ich 15.000 spędzono, spotęgowało niedolę niewoli chłodem i nędzą; po kostki, po kolana zapadano w błocie, a żołnierze w znacznej części nawet obuwia nie mieli. W Wesel do 30.000 jeńców w grudniową słotę i mrozy sypiało na gołej ziemi pod osłoną namiotów, zrywanych zimową wichurą. Natomiast w Akwisgranie Francuzom było daleko lepiej, także i w Wiesbaden, gdzie marszałkowa Mac-Mahon znalazła środki, aby nieść ulgę wszystkim biedom niewoli.

Szkoda, że ks. Guers nie dotarł do Poznania, gdzie także znaczny poczet jeńców znalazł się w fortecy, a doznał tak serdecznego przyjęcia ze strony polskich mieszkańców Przemysławowej stolicy. Dawna wytrwała sympatya dla Francyi, tradycya przybycia tu ongi francuskich, zwycięskich po Jenie szeregów, przygarniała teraz rozbitków. Nie było końca posłudze bratniej, jałmużnom i darom; przekupki wybiegały naprzeciw jeńcom, podając im owoce, mięsiwo, co miały najlepsze; zawiązały się komitety, które o wszystkich pamiętając potrzebach, nie przepomniały i najważniejszych. Sprowadzeni Jezuici odprawiali misyę wśród Francuzów, i wielkie odnosili ztąd żniwo. Nie zapomniny nigdy jeneralnej komunii, która w kościele pofranciszkańskim zamknęła szereg tych ćwiczeń pobożnych. Żołnierze różnej broni, w najrozmaitsze mundury przybrani, od kształtnego płaszcza kirasyerów do luźnej westki żuawów, przystępowali kornie, nieśmiało do Stołu Pańskiego; wielu z nich od pierwszej komunii aż dotąd zaniedbywało praktyki chrześcijańskie, znaleźli się i tacy, co nie mieli żadnej znajomości prawd wiary, inni z rzewną radością odczuwali pobożne wzruszenia lat dziecięcych... Między polskimi studentami a jeńcami najlepsze panowało porozumienie. Część ich przybywała na nabożeństwo do studenckiego, pobernardyńskiego kościoła; zastawali zwykle w ławkach drobne, chłopięce ofiary, liściki pełniejsze serca aniżeli ortografii, wyrazy uwielbienia dla Francyi, współczucia dla jej synów. Obywatele wiejscy na wyścigi starali się, żeby dostać do domu jeńców francuskich, nibyto dla wybierania ziemniaków, a właściwie żeby los ich poprawić i pocziwie ugościć. W niejednym dworze wielkopolskim znalazł się oficer francuski, i sami byliśmy świadkami, jak opuszczając ziemię niewoli, aby do ojczyzny wrócić, ze łzami żegnali przelotnych swych przyjaciół i dobroczyńców.

Brak nam tych kartek w smutnej księdze kapelana rozbitków, a potrzeba byłoby spocząć wśród jaśniejszych wspomnień, kiedy tyle bolesnych obrazów wciąż nęka uwagę czytelnika. Najboleśniejszego może wrażenia dostarczają baraki magdeburskie, gdzie znów 30.000 Francuzów zagnano, nie ubezpieczwszy im przyzwoitego schronienia. Deszcz i śnieg wpadał szparami, na wilgotnej ziemi wiązka zgniłej słomy służyła za całe posłanie; zaraza dziesiątkowała nieboraków. Dopiero za wdaniem się cesarzowej Augusty los jeńców poprawił się nieco, zwłaszcza przez przysłanie Sióstr miłosierdzia do dwudziestu pięciu ambulanсів, gdzie grasowała czarna ospa i inne zaraźliwe choroby śmiertelne. Bywało niekiedy po 2000 chorych naraz w lazaretach, naprędce

urządzonych. We wspólnej mogile magdeburgskiego cmentarza spoczęło 1193 trupów francuskich, którym towarzysze broni i niewoli skromny wystawili pomnik.

Obiegając różne stacye francuskiej niedoli, nie pominął ks. Guers i cesarskiego więzienia w Wilhelmshöhe. Pasterskie obowiązki zawiadły go do Kassel, gdzie również nie brakło chorych i rannych Francuzów. Proboszcz miejscowy raz w tygodniu jeździł odprawić mszę niedzielną dostojnemu jeńcowi w Wilhelmshöhe. Okoliczność ta zdumiewała samychże Niemców, którzy nieraz ks. Guers powtarzali: „Cesarz wasz niema własnego jałmużnika, wojsko francuskie nie posiada kapelanów; nasi kapłani muszą śpieszyć do łóża waszych konających. Alboż Francya nie dba wcale o duchowe dobro i potrzeby swych synów?”

W grudniu 1870 r. ks. Guers zwrócił swe kroki ku książęco-heskiej rezydencyi. Wspominał sobie, że przed rokiem widział był cesarza, odbywającego świetny przegląd wojsk w Paryżu, budząc wówczas zapal mieszkańców stolicy pomysłnością swych rządów i panowania. Teraz pruska warta utrudniała przystęp do cesarskiego jeńca. Ks. Guers zastał go w oranżeryi, przy stoliku założonym dziennikami. Podniósł się z trudnością na powitanie swego gościa, dopytywał o położenie jeńców francuskich, o stan lazaretów, o liczbę chorych. Wtem zmienił nagle przedmiot rozmowy, aby badać o tętua opinii publicznej we Włoszech. Ks. Guers w krótkich słowach odmalował wybryki, których był świadkiem, oraz ogólną sympatyę Włoch dla zwycięzców. „Tak to narody jak i pojedyncze osobniki nie umieją dźwigać brzemion wdzięczności. Wierzyłem w dozwonne zobowiązania Włoch dla Francyi i doznałem zawodu: niech mi wolno będzie podziękować księdzu za jego poświęcenie się dla naszych biednych żołnierzy i za odwiedzenie najbiedniejszego z wszystkich...”

Cesarz mało widywał gości w Wilhelmshöhe, choć wszyscy jenerałowie pobitych armij z kolei przybywali złożyć mu swe hołdy. I tak up. Bazaine z żoną zamieszkał u bram monarszego więzienia, często za jego stołem zasiadając, podczas gdy marszałek Mac-Mahon, ranami uwięziony w Wiesbaden, zwolniony został z uciążliwej podróży do Kassel. Cesarzowa Eugenia zaledwie na jedną noc wpadła do Wilhelmshöhe, pod opieką swego ciotecznego brata, Ferdynanda de Lesseps, którego matka była siostrą krabiny Montijo. Stół jeńca cesarskiego był wykwiutny: po obiedzie, zebrania wieczorne przypominały salony w Biarritz lub Saint-Cloud. Ile razy na to czas pozwalał, Napoleon III, mimo ociężałości wieku i zdrowia długie odbywał przechadzki, a nawet

w zimie folgował swej namiętności do łyżwowania, co raz nawet guzem przyplacił, tak dalece, iż przez dni jedenaście nie mógł wyjść z pokoju. Urozmaicano wieczory niewoli grami towarzyskimi, a nawet amatorskimi przedstawieniami, celem rozchmurzenia troski dostojnego jeńca. Swoim zwyczajem, Napoleon III mało bardzo mówił i bardzo powoli pracował, pod koniec atoli swego pobytu w Wilhelmshöhe odzyskał nieco swobody.

Rozeszła się pogłoska, iż p. de Cassagnac urządza środki ucieczki dla cesarskiego więźnia, a bezpodstawność tej plotki nie przeszkodziła podwojeniu wart i straży. Księżę Bismarck wprost z Wersalu kierował losem i potocznymi nawet szczegółami życia ex-cesarza. Mimo kredytu w frankfurckim domu bankowym, Napoleon III z Londynu odbierał potrzebne na życie fundusze, bądź w angielskich banknotach, bądź w złocie francuskim. Traktat, podpisany w Frankfurcie, wrócił mu niebawem wolność — nie wrócił korony.

Zbolały widokiem tylu niedoli, autor całą odpowiedzialność klęski zwała na cesarza. „On to stworzył Włochy, pozwolił zgnieść Austryę pod Sadową, ułatwił wszystkie plany Bismarcka, zatwierdził wszystkie zabory Prus. Zda nam się słyszeć jeszcze wydane w senacie przez ks. Hieronima hasła: „Francya winna być zaciętą przeciwniczką katolickiej Austryi, a natomiast wszystko czynić ku popieraniu wielkości protestanckich Prus“. Ta to polityka drugiego cesarstwa zgotowała zagładę kraju. Z wszystkich ogłoszonych już dokumentów historycznych jeden wychyla się pewnik: Napoleon był głównym czynnikiem jedności Włoch na benefis Piemontu i jedności Niemiec na korzyść Prus“.

Smutne te karty zaiste nie przyczynią się do złagodzenia plemiennych waśni. Jeńcy francuscy przeważnie okrutnej zaznali niedoli, a bezwzględność niemiecka srodze im się uczuć dała w niejednej miejscowości, zamienionej na stacye całych armij, wziętych w niewolę. Ale — jak to wspomnieliśmy wyżej — podobne publikacye i zapiski, okrom dziejowego znaczenia, przynoszą z sobą i tę korzyść, że zohydzeniem wojny może stopniowo sprowadzą w opinii publicznej zwrot pożądany ku ogólnemu rozbrojeniu. Kiedyż sprawdzi się mrzonka belgijskiego malarza, który wśród mnóstwa dziwacznych tworów, przedstawił i pęknięcie ostatniej na ziemi armaty, i zagajenie nowej ery powszechnego pokoju.

Z pism czasowych.

Dom in svet, ilustrovan list zabavi in pouku. V Ljubljani 1890.
Urejuje in izdaje *dr. France Lampe*.

Ljubimo dom, spoznajmo svet! krepčati dom uči nas svet! Kochając dom, poznajmy świat! utrwalić dom uczy nas świat! Oto godło, pod którem to czasopismo w języku słoweńskim wychodzi od lat trzech w Lublanie. Redaktor jego, dr. Franciszek Lampe, energią swą i wytrwałością pokonał liczne przeszkody, utrudniające rozpowszechnienie się czasopisma, i doprowadził do tego, iż *Dom in svet* w trzecim roku swego istnienia liczy już sporo prenumeratorów nie tylko wśród Słoweńców, ale także wśród najbliższych ich sąsiadów, Chorwatów. Przypisać to należy dobremu kierunkowi miesięcznika, który gorliwie a umiejętnie dąży przede wszystkim do tego, aby wśród dorastającej młodzieży, dla której głównie jest przeznaczony, obudzić albo wzmocnić katolickie zasady, oraz zaszcześcić miłość ojczyzny.

Przypatrzymy się artykułom. Niektóre z nich obznajmniają swych czytelników z pewnymi niezdrowymi prądami naszego wieku, dając im zarazem jasne wskazówki, jak się na nie mają zapatrywać. Z artykułów w tym rodzaju wymienić należy życiorys Schopenhauera, skreślony przez samego redaktora, a zawierający trafną charakterystykę osoby i poglądów tego propagatora pesymizmu. Znajdujemy też w zeszytach *Dom in sveta* z roku bieżącego popularną rozprawkę dra Svetiny „O wrażeniach uczuciowych i prawie myślenia“: parę artykułów, dotyczących rozmaitych kwestyj gramatycznych słoweńskiego języka, pouczającą pogadankę o fotografii, od czasu do czasu zaś pojawiają się w nich życiorysy znakomych ludzi, w liczbie których mieści się nader sympatyczna, chociaż dość pobieżnie skreślona biografia naszego Mickiewicza wraz z jego portretem. Z powieści, którym to czasopismo najwięcej poświęca miejsca, zaznaczyć należy ładną powiastkę Pawła Juternika p. t. *Sestra Vincencija*, w której biedna dziewczyna, wygnana z domu przez niegodziwą mачochę, zostaje po różnych przejściach siostrą miłosierdzia, aby wkońcu pielegnować w chorobie i troskliwością otaczać tę właśnie kobietę, która ją wyrzuciła zpod ojcowskiej strzechy. Zajmujące są także powiastki autora, ukrywającego się pod pseudonimem Podgoričana, a szczególnie jego powieść historyczna *Luka Vrbe*, osnuta na wypadkach XVI w. Zbytecznem zresztą byłoby wyliczać wszystkie utwory beletrystyczne, zawarte w tem pożytecznem czaso-

piśmie, to tylko przyznać musimy, iż ogólną ich cechą stanowi treść wysoce moralna, użytkowana w sposób, mogący zainteresować nie tylko młodzież, ale i ludzi dojrzałych. Dział poetycki *Dom in svetu* zasługuje również na uznanie; składa się on z utworów nieraz wcale pięknych pod względem treści i formy. Wreszcie na szczególną uwagę zasługują listy z krajów słowiańskich. Podają one charakterystykę miejscowego piśmiennictwa, kierunki jego i cechy, oraz liczne oceny krytyczne najnowszych utworów w literaturach słoweńskiej, chorwackiej, polskiej i czeskiej. W dziale tych listów spotykamy między innymi list ze Szląska i list z Krakowa; ten ostatni zawiera ogólne sprawozdanie z ruchu dziennikarskiego w Polsce. W ocenach z dzieł polskich wymieniono następujące: „Bibliotekę pisarzy polskich“, t. 6, wydawaną przez Akademię umiejętności w Krakowie; „Polskę w obrazach“, wydawaną przez Kaczurbę; „W północnej Ameryce“, ks. Wł. Zaborzkiego T. J.: „Szkice cywilizacyi Afryki połudn.“, ks. M. Czerwińskiego T. J., redaktora *Missyj katolickich*; Łukaszkiewicza powieść „Szczęście na wsi“, „Na Szląsku polskim“ i t. d. Z pism peryodycznych *Przegląd Powszechny* i *Missye katolickie* cieszą się krótką, lecz bardzo przychylną wzmianką.

Oto jeden z silniejszych objawów literackiego ruchu narodowego wśród południowych naszych pobratymców. Stosunek jego do współczesnej naszej literatury jest życzliwy i przychylny; a głośnie wyznawanie katolickich zasad chlubne daje świadectwo redakcyi i mogłoby nawet posłużyć za wzór niejednemu z polskich wydawnictw.

T. S.

Das Apostolat der christlichen Tochter, St. Angela Blatt. (*L'Apostolat de la jeune fille chretienne*). Mit der Gratis-Beilage **Echo aus Afrika.** (II. Jahrgang).

Nieraz spotkać się można z pytaniem, jakie zaprenumerować niemieckie czasopismo dla dorastających lub dorosłych panienek, z którego i językaby się mogły poduczyć i czas przyjemnie zająć i wzbogacić umysł nowemi a pożytecznemi wiadomościami. Wszystkim tym warunkom odpowiada najzupełniej podane w nagłówku pismo, które, choć liczy dopiero drugi rok istnienia, zdobyło już sobie zasłużoną sławę w nader szerokich kołach młodych i nie tylko zupełnie młodych czytelniczek równie w Niemczech, jak w wielu innych krajach; zdobywa sobie dziś podobno prawo obywatelstwa między katolickimi rodzinami niemieckimi w Ameryce, a sądząc z paru wzmianek i odpowiedzi reda-

kcyi, dotarło w paru egzemplarzach i do Galicyi. Prócz pouczających artykułów, powieści i noweli, pochodzących wyłącznie i ściśle z pod pióra chrześcijańskich pisarzy, obfitej kroniki, udatnych wierszyków — spotykamy tu nader ważny dział: wyliczenie całego szeregu tytułów najnowszych książek, powieści, które dać można bezpiecznie w ręce młodych czytelników. Inny, niemniej ważny, a pokrewny poprzedniemu dział, to odpowiedzi redakcyi, czy i o ile jakaś w szczególności książka nadaje się do głośnego czytania w rodzinnem kole; jako podarek na gwiazdkę, czy na imieniny dla panien, pamiątek i małych dziewczynek. Dodajmy na koniec, że to miesięczne (in 4^o od 12—20 str.) ilustrowane pismo, polecone najgoręcej przez całą katolicką prasę niemiecką, kosztuje rocznie już wespół ze znanem i u nas w niejednym domu *Echo aus Afrika* 90 kr. wraz z przesyłką pocztową¹.

J. B.

Rozmaitości.

Trzymiesięczne lata za Abrahama.

O nauko! nauko! jakież to dziwclagi pokrywają się twojem imieniem! Szczególnie kronikarze i fejletoniści gazetiarscy mają pasyę do czepiania się twego płaszcza — i obrywają z niego strzępy.

W dzienniku konserwatywnym, wychodzącym we Lwowie, zamieszczono artykułik p. t. „Długowieczność“, który tak się zaczyna:

„Z wszelką podstawą prawdopodobieństwa udowodniono już od dawna, że rok za czasów Abrahama obejmował zaledwie 3 miesiące, następnie 8 miesięcy i że dopiero za Józefa wliczono w rok 12 miesięcy. Do dziśdnia jeszcze u niektórych ludów wschodnich rok ma 3 miesiące. 900-letni żywot Matuzalema redukuje się zatem do lat 200; wieku zaś tego dosiegają ludzie i w naszych czasach“...

Gdzież ten zacny kronikarz mógł znaleźć te przedpotopowe poglądy i dowody? Abraham w każdym razie byłby go uważał za zacofońca i byłby się uśmiechnął na wzmiankę o trzymiesięcznych latach. Pochodził on — jak wiadomo — z chaldejskiego miasta Ur, a jakiś

¹ Prenumerować można pod adresem: *Wien, I. Johannesgasse 8*, lub: *Währing (bei Wien), Herrngasse 18*. (Pensyonat MM. Urszulanek).

czas przebywał w Egipcie: otóż tak w jednym, jak i w drugim kraju rok składał się z 12 miesięcy.

W Egipcie od bardzo dawnych czasów rok religijny i cywilny zarazem, składał się z 12 miesięcy, po 30 dni każdy, po upływie których dodawano jeszcze 5 dni. Od bardzo dawnych czasów wiedzano tam również, iż ten rok nie odpowiada rokowi słonecznemu, astronomicznemu i dlatego po latach 1461 przybywał jeden rok nadliczbowy, zwany rokiem Sothisa. Dokładność była zupełna. Otóż choćby Abraham przed przyjściem swoim do Egiptu nie miał żadnych wiadomości astronomicznych i liczył rok po 3 miesiące, zetknawszy się z wysoko rozwiniętą cywilizacją Egipcyan, byłby nabył tej umiejętności i sprostował swe błędne pojęcia. Lecz Abraham nie potrzebował się uczyć astronomii od Egipcyan, pochodził bowiem z Ur chaldejskiego, a Chaldejczycy pod względem astronomii stali wyżej od samych Egipcyan.

Chaldejczycy od czasów, które giną w pomroce, oddawali się astronomii: istnieją tabliczki astronomiczne Sargona starego, które Asyryolodzy odnoszą do XXXVIII w. przed Chr. Grecy od Chaldejczyków uczyli się astronomii; co więcej, główne podstawy tej nauki, podział nieba i czasu, które są dziś w użyciu, zawdzięczamy Chaldejczykom.

Chaldejczycy dzielili rok na 12 miesięcy po 30 i 29 dni; rok ich cywilny był tedy rokiem księżycowym, lecz w rachunkach astronomicznych używali roku słonecznego, który miał $365\frac{1}{4}$ dni. Abraham znał ten rok i używał go, a najlepszym dowodem jest to, iż nazwy miesięcy żydowskich są te same, co i chaldejskich. I tak nazwy żydowskie są: Nizan, Iyar, Sywan, Tammuz, Ab, Elul, Tyszry, Marcheszwan, Kislew, Tebet, Szewat, Adar. Nazwy zaś chaldejskie: Nizanu, Ajru, Siwanu, Douzu, Abu, Ululu, Tasritu, Arach-Samna, Kisilew, Tebetu, Sebatu, Adaru.

Ale o tem wszystkiem kronikarz gazeciarski naturalnie niema obowiązku wiedzieć; — poco mu się wdawać w „chronologię“ biblijną?



SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Hasło rzucone przez kard. Lavigerie. — Związek ludowy dla katolickich Niemiec. — Nowela do reformy szkół ludowych. — Nauka religii w Rzplitej Costa-Ricca. — Zapowiedź akcyi katolickiej we Włoszech. — Stosunki między Rzplitą Ekwadoru a Stolicą św. — Myśl o soborze na Wschodzie. — Głos Rusi katolickiej w sejmie.

HASŁO RZU-
CONE
PRZEZ KARD.
LAVIGERIE.

Dzisiejsza Francya republikańska, podzielona na najrozmaitsze stronnictwa, przedstawia najsmutniejszy obraz wewnętrznego rozstroju i jest przedmiotem złośliwej radości swych wrogów, którzy dla tej właśnie niezgody czują się bezpiecznymi przed możliwą rewindykacyą. Intryga i zdrada stanu, upadek moralności i walka z Kościołem wytwarzają atmosferę tak ciężką i niezdrową, iż nawet wyższe umysły, których i dzisiaj nie brak we Francyi, z sił opadają i nie mają odwagi stanąć oporem wewnętrznemu przewrotowi i nadać inny kierunek sprawom ojczyzny. W ostatnich dopiero tygodniach zaszedł wypadek napozór małego znaczenia, który jednak może się stać hasłem zwrotu ku lepszemu we Francyi.

W pierwszych dniach listopada w Algierze kard. Lavigerie zaprosił wice-admirała Duperré i jego czterdziestu towarzyszy, wyższych wojskowych marynarki francuskiej, na wspólną ucztę, przy której wygłosił toast na cześć reprezentantów Rzplitej. „Tak

ze względu na przeszłość, jak i na przyszłość, która nam grozi — mówił kardynał — jedność jest nam koniecznie potrzebną. A ponieważ Kościół żadnej formie rządu się nie sprzeciwia, którą lud raz obrał, wzywa wszystkich katolików, ażeby się rzekli wszelkich pretensyj i uznali Rzplitą bez żadnych zastrzeżeń“.

Słowa znakomitego kardynała silnem echem odbiły się we Francyi i wywołały ostrą w dziennikach polemikę. Na wieść o tem kard. Lavigerie wstrzymał wyprawę, jaką miał odbyć ze swymi misyonarzami do Sahary, aby na robione mu zarzuty odpowiedzieć w obszernym liście do redaktora dziennika *Croix*. „Monarchia — pisze arcybiskup Algieru — w dzisiejszych okolicznościach we Francyi, po ludzku sądząc, jest niemożliwą. Hr. Chambord w r. 1874, kiedy republika jeszcze nie była ustaloną, nie chciał przyjść do rządów, następny pretendent hr. Paryża wśród ostatnich zająć sam zrezygnował ze swych praw do tronu i przyjął republikę — bonapartyści stali się dziś niemożliwymi. Wobec takich okoliczności patriota francuski nie mając wyboru, powinien przyjąć taką formę rządu, jaka jest obecnie, bez żadnych zastrzeżeń, wspierać ją pracą i wpływem o ile sumienie i godność na to pozwalają — bo tylko w takim rządzie możemy wywalczyć swe prawa, jako katolicy“.

W tym samym duchu odzywa się biskup z Annecy w liście do redaktora monarchicznego dziennika *Anjou*. Zwraca uwagę czytelników, że Francya już od czasów pierwszej republiki przestała być usposobienia monarchicznego w pełnem tego słowa znaczeniu. W dzisiejszym wieku naród i król nie są już nierozdzielni. Rządy Karola X i Ludwika Filipa, przeplatane republiką, najwymowniej świadczą, że nie byli już monarchami w tem samem znaczeniu, co Karol VII, Franciszek I lub Ludwik XIV. Nawet Napoleon III, który się przez długi czas cieszył popularnością i niezwykłą władzą, ani sam nie utworzył monarchii ani ona dla niego utworzoną została. Znikło przywiązanie narodu do dynastji, król stał się do czasu kierownikiem władzy. Czas już pozbyć się uprzedzenia zbyt ogólnego we Francyi, że duchowieństwo powinno być usposobienia monarchicznego, że ci, co stoją po stronie republiki, nie mogą być katolikami, a Kościół

wyczekuje powrotu władzy królewskiej dla odzyskania swego dawnego stanowiska w państwie.

Powyższe tłumaczenia toastu kard. Lavigerie wcale nie uspokoiły umysłów. Dzienniki monarchiczne rozmaitych odcieni razem z antykatolickimi powstają przeciw niemu. Wiele jednak dzienników katolickich podjęło hasło jedności i zgody z zapalem, wtórują im również dzienniki republikańskie umiarkowanego odcienia, jak *Temps*, *Journal des Débats*, *Liberté*; nawet Saint-Germain w *Figaro* zamieszcza świetny artykuł, w którym przykładając myśli pogodzenia się katolików z republikańską formą rządu i zaniechania bezowocnej opozycyi antykonstytucyjnej, powołuje się na postępowanie swego czasu kard. Czackiego. Wiadomo naszym czytelnikom, że ś. p. kardynał jeszcze gdy był nuncyuszem w Paryżu, uważał zwrot ku republice dostojników Kościoła i wogóle katolików za konieczny. Ztąd bywał na zebraniach republikańskich, zawiązywał stosunki z ludźmi takimi, jak Gambetta i Freycinet a tem samem zrywał węzły dawnej przyjaźni z partją legitymistów. Krytykowano wówczas postępowanie nuncjusza — nawet biskupi niechętnem okiem nań patrzyli, co więcej, znaleźli się tacy, którzy nawet u najwyższego kierownika Kościoła starali się go w złem świetle przedstawić, iż nowy prąd liberalny do Kościoła we Francyi wprowadza. Dziwić się więc nie można, że gdy kard. Lavigerie wystąpił z hasłem do zgody, powstały przeciwko niemu nie tylko dzienniki, lecz nawet niektórzy biskupi z zasady rojaliści i zapytali się Ojca św., jakie stanowisko mają zająć wobec oświadczeń kard. Lavigerie. W imieniu Papieża odpowiedział Kardynał-sekretarz Stanu, powołując się na encyklikę Grzegorza XVI „*Sollicitudo*“ z 7 sierpnia 1831 r., wydanej z okazji wojny w Hiszpanii. W niej Stolica św. uznając jakąkolwiek formę rządu, nie chce tem samem potwierdzać zasad, które spowodowały zmianę rządu. Tłumaczy dalej, jak niesłusznie oskarżają katolików o nieprzyjaźń dla rządu dzisiejszego we Francyi dla tej jednej przyczyny, że są katolikami, jakoby było synonimem być katolikiem i być nieprzyjacielem Rzplitej. Jak się zorientują katolicy wobec tego oświadczenia Stolicy św., przesądzać nie możemy, gdyż fakta są

jeszcze zbyt świeże, a umysły rozgorączkowane dziennikarską polemiką. Zdaje się jednak, że się utworzy między nimi znaczne stronnictwo katolicko-republikańskie, a tem samem chociaż pozostaną katolicy-legitymiści, zawsze katolicyzm jako taki stanie ponad politycznemi stronnictwami.

ZWIĄZEK LUDOWY DLA KATOLICKICH NIEMIEC. Jedność działania katolików, projektowana we Francji, coraz to piękniej rozwija się w Niemczech. Z inicjatywy centrum wyszła świeżo z Moguncyi odezwa związku ludowego dla katolickich Niemiec, która już na samym wstępie dobitnie określa powód i cel działania. Socjalna demokracja jawnie dąży do przewrotu państwowego i społecznego i pragnie ateistyczne doktryny nie tylko szerzyć, ale i praktycznie w życie wprowadzić. Czuje, że wśród ludu katolickiego Niemiec znajduje się najpotężniejszy przeciwnik tego rodzaju dążności, dlatego na zebraniu w Halli wypowiedziała otwartą wojnę katolicyzmowi. Należy więc koniecznie wystąpić przeciw zbliżającemu się nieprzyjacielowi bez obawy, z połączonemi i dobrze zorganizowanemi siłami. Celem związku jest zwalczanie błędów i dążności przewrotu na polu socyalnem, i obrona chrześcijańskiego porządku społecznego przez pouczające wykłady i pisma. Każdy pełnoletni katolik Niemiec, który wkłada 1 mrk. rocznie do kasy związku, może być jego członkiem. Obowiązkiem każdego członka będzie czy to na wsi, czy w mieście, w miarę zdolności i osobistego stanowiska w społeczeństwie, w ściślejszem kółku lub na zebraniach publicznych, popierać słowem i pismem cel związku. Członkowie nie mają się ograniczać tylko na zwalczaniu błędnych nauk, lecz także popierać i krzewić zdrowe zasady, szczególnie na polu socyalnem. Żąda mianowicie związek od swoich członków, ażeby wpływali na pracodawców i robotników, pouczając o obowiązkach, jakie między nimi wzajemnie istnieją.

Odezwa ta, podpisana przez wybitnych mężów ze wszystkich sfer i stanów na czele naturalnie przez Windhorsta, bardzo przychylne znalazła przyjęcie w kołach rządowych, a nawet pochwałę w dziennikach protestanckich, które jednak tego nie

mogą darować katolikom, iż sami, bez ich współudziału, tworzą stowarzyszenie antysocyalistyczne. Związek ludowy dla katolickich Niemiec tem bardziej jest dzisiaj na czasie, iż projektowana przez p. Gosslera ustawa szkolna usuwa zupełnie lub bardzo niewyraźnie zaznacza wpływ Kościoła nad ludowem wykształceniem.

NOVELA
DO REFORMY
SZKÓŁ LUDOWYCH.

Według nowego prawa, które prawdopodobnie przejdzie w parlamencie, nauka religii ma być wprowadzie obowiązkową, lecz wykładać ją mają wyłącznie nauczyciele świeccy, których państwo samo mianuje bez współudziału władzy duchownej. Proboszczom miejscowym nadano wprowadzić prawo kontroli nad wykładami, lecz kontrola ta jest bardziej fikcyjną, skoro główny dozór nad szkołą a więc i nad nauką religii spoczywa w ręku inspektorów, przez rząd mianowanych. Do r. 1872 nie było w Prusach szkoły, w którejby nie rządził proboszcz miejscowy. Inspektorowie powiatowi i lokalni mianowani byli przez państwo, ale z pomiędzy proboszczów, a często w porozumieniu się z biskupami. Dziś wedle ustawy p. Gosslera inspektorami powiatowymi mają być ludzie świeccy, kapłani tylko za „zezwołaniem“ ministra. Dawniej używano do nauki religii podręczników, przez miejscowych biskupów ułożonych lub polecanych — plan cały nauki spoczywał w ręku duchowieństwa. Dziś według nowego prawa ma być cały układ nauki religii określony przez państwo, ono każe układać katechizmy lub je wybiera, a zwierzchnicy kościelni mają tylko orzec, czy ten lub ów podręcznik do nauki religii nie zawiera czegoś przeciwnego wierze lub moralności. Dawniej władza duchowna z kilku delegowanymi przez gminę zarządzała majątkiem kościelnym, przeznaczonym na utrzymanie szkół przy parafiach. Dziś, czego nawet Falk nie odważył się uczynić, chce p. Gossler skonfiskować na rzecz skarbu majątek kościelny i darować go gminom, przez co szkoły parafialne i kościelne przeszłyby na gminy.

Jeszcze dotkliwiej prawo to dałoby się odczuć w Księstwie Poznańskim, jak dobitnie wykazał w swej mowie parlamentarnej d. 6 grudnia ks. prałat Stablewski. Na 1,100.000 katolików

i mniej więcej pół miliona protestantów powierzona jest powiatowa inspekcja szkolna 91 osobom. Z tych nawet dziesiąta część nie jest katolikami, około 51 ewangelickimi duchownymi a ani jednego między nimi niema katolickiego kapłana! Język wykładowy nauki religii dla polskich dzieci ma być niemiecki, a więc dla nich niezrozumiały. Skutek takiej nauki będzie najzgubniejszy. Z jednej strony dzieci, nauczone w rodzicielskim domu polskiej modlitwy i pierwszych katechizmowych zasad, niechętnie będą słuchały wykładów nauczyciela, przemawiającego do nich w obcym języku, a z drugiej nauczyciel nie znając dokładnie ani przedmiotu ani duszy dziecka, jak ją znać może kapłan katolicki, nie będzie umiał wpłynąć dobrze na młodzież. Cóż dopiero stanie się z nauką religii, gdy ją wykladać będzie nauczyciel owiany duchem indyferentyzmu? Słusznie więc, kończąc swą mowę ks. prałat Stablewski, zapytuje rząd: „Czy przez to sami nie wzbudzacie największego niezadowolenia, czy sami nie wytwarzacie w taki sposób gruntu, na którym socjalna demokracja się rozwija?”

Jak się zachowa parlament wobec noweli szkolnej, w chwili, gdy piszemy, nie jeszcze stanowczego powiedzieć nie możemy; zachodzi jednak obawa, że tylko mniejszość posłów razem z centrum przeciw niej głosować będzie.

NAUKA RELIGII
W COSTA-RICA. Jakże wybitny kontrast do projektów gosslerowskich ogłasza na drugim końcu świata urzędowa gazeta Rzplitej Costa-Ricca. Przytaczamy dokument, tak jak go umieszcza *Tablet* z d. 22 listopada, aby nic nie ująć z jego doniosłości.

„38. Pałac narodowy San José d. 13 czerwca 1890 r.

„Zważywszy, 1) że większa część ludności Rzplitej pragnie gorąco, aby dzieci otrzymywać mogły religijne wychowanie; 2) że konstytucja zapewnia wolność sumienia a zarazem uznaje fakt, iż większa część mieszkańców w Costa-Ricca wyznaje religię rzymsko-katolicką i apostolską, która dlatego stanowi podpórę państwa; 3) że chociaż nauka religii należy do Kościoła i jest jednym z najgłówniejszych obowiązków duchowieństwa, dotychczas jednak Kościół w Costa-Ricca nie posiadał

ani dostatecznego personelu ani dostatecznych środków, aby mózdz pod względem nauczania religii zadowolnić pragnienie miejscowej ludności; 4) że dla pogodzenia tych zasad z interesami, na których się opiera prawdziwa wolność kraju pod rządem demokratycznym, należy pochwalać i popierać dobrowolną ale nie obowiązkową naukę religii; — dlatego prezydent Rzplitej postanawia: 1) w każdą sobotę od godz. 11 do 2 popołudniu uwalniać dzieci, które się kształcą w elementarnych i średnich szkołach, od obowiązkowej nauki, wymaganej przez prawo, aby w tym czasie mogły uczęszczać na lekcye religii, jeżeli rodzice lub opiekunowie będą tego żądali; 2) prosić biskupa dyecezyi, aby zorganizował te wykłady, i upoważnić go zarazem do wyznaczenia nauczycielom religii odpowiedniej zapłaty, oraz do użycia w tym celu pokoi i sprzętów szkolnych w porozumieniu z miejscowymi wychowawczemi władzami; 3) minister oświaty ma wypłacać biskupowi 1000 pesos (1000 złr.) miesięcznie na wykłady religii odpowiednio zorganizowane; 4) uchwała ta ma wejść w wykonanie od 1 lipca b. r.

„W zastępstwie prezydenta sekretarz ministerium oświaty Volverde; sekretarz ministerium wyznań Gutierrez“.

Odpowiednio do tego dekretu ks. Biskup z Costa-Ricca wydał dwa listy pasterskie do swego duchowieństwa i ludu i wskazał, w jaki sposób należy uorganizować naukę religii podług powyższej uchwały. „Jakże to słusznie — pisze *Gazeta katolicka*, wydawana w Środkowej Ameryce — że dzień, w którym don Józef Joachim Rodriguez objął prezydenturę Rzplitej, stanie się zarazem dniem odrodzenia Costa-Ricca“.

Przed kilku laty masonerya, a z nią idące w parze niedowiarstwo miały w dyecezyi Costa-Ricca szerokie pole do działania, teraz wskutek energicznej działalności ze strony katolików możemy spodziewać się stanowczej pod tym względem zmiany.

Dekret prezydenta małej amerykańskiej republiki Costa-Ricca powinien dodać otuchy tym narodom, które się uginają pod jarzmem rządów masonskich. W każdym razie może zawstydić rząd niemiecki, pocieszyć Francję, a przede wszystkim dzisiejsze Włochy.

ZAPOWIEDZ
AKCYI KATOLI-
CKIEJ WE
WŁOSZECH.

We Włoszech dotychczas, jak wiadomo, katolicy wskutek życzenia Stolicy św. wstrzymywali się od wyboru posłów do parlamentu. To też przy ostatnich wyborach przeszła większość kandydatów rządowych. Długo jednak trwać tak nie będzie. O ile można sądzić z niektórych objawów, na ważne zanosi się we Włoszech w bliskiej przyszłości wypadki, co już ostatnia encyklika Ojca św. — o której wspomnieliśmy w zeszłym miesiącu — i program katolików włoskich zapowiadać zdawały. Przed kilku dniami *Osservatore Romano*, pół-urzędowy dziennik Watykanu, niezwykle w tym względzie ogłasza artykuł, z którego można wnioskować, że dana będzie katolikom sposobność wyjścia z dotychczasowej rezerwy w jakiejś formie niezupełnie jeszcze wyjaśnionej. „Wkrótce przedłożonym nam zostanie — pisze wspomniany dziennik — wspaniały program, którego wykonanie napotka niemałe trudności. Polegać on będzie na zgodnej i skutecznej, a na włoskim i katolickim gruncie opartej działalności naszej wobec masonskiego i rewolucyjnego a więc antykatolickiego i antywłoskiego rządu i parlamentu. Powinniśmy z całym spokojem lecz i z nieminiejszą energią stworzyć sobie własny włoski i katolicki parlament, który w danej chwili będzie mógł podjąć walkę z istniejącym parlamentem masonskim i obcym. Sprawa ta jest łatwiejszą, niż się napozór wydaje, ale wpierv musi dojrzeć plan dokładny, na którym zgodne nasze postępowanie oprzeć się powinno. Co do nas, to z całą otwartością wypowiemy, w jaki sposób według zdania naszego zrealizowanie tego prawdziwie katolickiego i włoskiego ideału najłatwiej i najpewniej da się przeprowadzić. Zapraszamy mimo to całą prasę katolicką, aby wsparła nas praktycznemi radami i swem doświadczeniem, bo tylko wspólnemi siłami zdołamy przeprowadzić plan, który — jak to śmiało wyjawić możemy bez chęci nadania sobie większego znaczenia i bez obawy popelnienia niedyskrecyi — powzięty został w kołach, które pewnie najszerzej kochają kraj włoski i pragną rzeczywistej jego wielkości, jedności i szczęścia i o to się bezustannie starają“.

Powyższy artykuł, w tak poważnym dzienniku ogłoszony,

zdaje się być wstępem do ważnej akcyi, która w swym czasie może niebawem na jaw wystąpi.

STOSUNKI
MIEDZY RZPLITĄ
EKWADORU
A STOLICĄ ŚW. Wobec bezustannej walki, jaką Kościół staczać musi z rządami rozmaitych państw Europy w obronie swych praw, z podwójną radością notujemy każdy objaw wiary i ufności dla Stolicy św.; ale tego aż za morzami szukać musimy. Do takiego rzędu wypadków należy układ między Stolicą św. a rządem Rzplitej Ekwadoru. Jeszcze w r. 1882 zawarty był konkordat z tą Rzplitą, lecz kwestya dóbr biskupich pozostała w zawieszeniu. Dopiero z końcem listopada zeszłego roku i ta delikatna sprawa bardzo przychylnie przez rząd załatwioną została, gdyż przyznał na utrzymanie biskupów zupełnie bezinteresownie 3^o/_o wszystkich dóbr państwowych. Nie od rzeczy będzie powtórzyć to, co hr. Paryża w *Journal des Débats* o tem pisze, tem więcej, że słowa dawnego pretendenta do tronu we Francyi dokładnie malują, jak się zapatruje na rządy republikańskie: „Na drugiej półkuli świata istnieje Rzplita, z którą zgodziliby się najżarliwsi katolicy, ponieważ jestto kraj, w którym rząd jest zupełnie katolickim. W ostatniej swej mowie prezydent Flores, siostrzeniec nieśmiertelnego Garcii Moreno, dziękując wszechmocnemu Bogu, cieszy się z dobrych stosunków, jakie rząd jego utrzymuje z Ojcem św., i dowodów przychylności, jakich niejednokrotnie od dworu rzymskiego doznawał. Kraj nasz — powiedział prezydent — wiele ma powodów do wdzięczności ku Ojcu św. Leonowi XIII dla bezustannej jego łaskawości. Przy końcu mowy wyraża cześć Rzplitej dla najwyższego prawa, reprezentowanego na ziemi przez Namiestnika Chrystusowego. Bardzo znaczącą jest i ta okoliczność — dodaje dziennik paryski — że Rzplita Ekwadoru nie kończy tylko pięknymi słowami dowodów swego przywiązania do Stolicy św., lecz praktycznie je okazuje corocznym datkiem 1 miliona. Pomimo tego taka hojność nie przeszkadza rozkwitowi państwa. Co roku dochody jego wzrastają, drogi i koleje żelazne łączą miasta nadbrzeżne z najodleglejszymi granicami państwa. Co więcej, Ekwadorianie należą do narodów, które najmniej są obciążone poda-

tkami. Wszystkie pośrednie i bezpośrednie podatki nie przechodzą 20 franków na głowę, podczas gdy w państwach sąsiednich dochodzi do 80 franków“.

MYŚL O SOBORZE
NA WSCHODZIE. Z Konstantynopola dochodzą nas wieści, iż tamtejszy patriarcha grecki zamierza zwołać sobór wszystkich Kościołów niekatolickich Wschodu. Pierwszą w tym względzie poufną odezwę wysłał patriarcha grecki do metropolity Romana w Hermansztadzie, który jest głową Rumunów greckiego obżądu na Węgrzech i Siedmiogrodzie.

W odpowiedzi na tę odezwę zaznacza metropolita: „Cerkiew, przeze mnie rządzona, jest całkowicie narodowym stowarzyszeniem o demokratycznej organizacji, i z radością widzimy, że te ogólne zasady przez sobór uznanymi zostaną. O ile Cerkiew rumuńska uznaje, iż patriarcha musi bronić energicznie autonomicznego prawa swojej Cerkwi przeciw tureckiemu rządowi, o tyle też musi przyznać słuszność pretensjom Bułgarów, które zgadzają się najzupełniej z § 34 konstytucyi Cerkwi wschodniej o narodowej niezależności poszczególnych Kościołów. Teraz jednak należy skierować wszystkie usiłowania do tego, aby Cerkwie wschodnie mogły istnieć obok siebie, jako wolne narodowe organizmy, któreby w patriarsze ekumenicznym swą „idealną“ uznawały głowę. Wszelkie pragnienia Greków lub Rosyan co do zdobycia organicznej przewagi nad temi indywidualnymi Cerkwiami sprzeciwiają się obu zasadom apostolskim kanonicznego prawa, i jako takie przez Cerkiew rumuńską uwzględnionemi być nie mogą“.

Ciekawe powyższe uwagi dają nam żywy obraz tego, co należy rozumieć pod „jednością“ rozmaitych Cerkwi wschodnich. „Idealna“ głowa, o której metropolita hermansztadzki wspomina, jest nowością swego rodzaju. A ponieważ „ideał“ stanowi przeciwieństwo tego wszystkiego, co jest „realnem“, więc „realna“ Cerkiew z „idealną“ głową jeszcze gorzej wygląda, niż Daniełowy posąg z metalu o glinianych nogach.

Z tego wszystkiego widać, że Cerkiew wschodnia odczuwa gwałtowną potrzebę jakiegoś zbiorowego kościelnego działania,

więc w braku papieża musi myśleć o soborze. Ale z tem wszystkiem zgóry zapewnić możemy, że żaden sobór prawosławny nie zbierze się dla tej prostej przyczyny, że gdyby tylko te autocefaliczne Kościoły zaczęły do siebie mówić, musiałyby się zaraz wyklinać. O tyle tylko mogą one udawać przed światem i przed sobą jakąś kościelną jedność, o ile kwestyj spornych, dogmatycznych, czy hierarchicznych, ani wogóle żadnej kwestyi nie tykają.

GŁOS RUSI
KATOLICKIEJ
W SEJMIE.

Kończąc niniejsze sprawozdanie z ruchu katolickiego, nie możemy pominąć milczeniem tego, który się u nas objawia i bardziej nas obchodzi. W ostatnich posiedzeniach sejmowych — gdy niektórzy z posłów ruskich zaznaczyli swe stanowisko narodowe z wykluczeniem łączności z Kościołem katolickim — JE. ks. metropolita Sembratowicz we własnem i narodu ruskiego imieniu stanowczo potępił głos ruski, nie od narodu ruskiego pochodzący; wzniosłemi a rzewnemi słowy zaznaczył konieczność jedności z Kościołem rzymsko-katolickim.

Do tego głosu przyłączyli się inni ruscy posłowie, jak pp. Julian Romańczuk, dr. Damian Sawczak, dr. Aleksander Ogonowski, dr. K. Lewicki. Że ks. metropolita i znakomitsi kapłani ruskiej Cerkwi przywiązani są dożgonnie do Kościoła rzymskiego, o tem nikt zgola nie wątpił; ale to stanowi charakterystyczność i doniosłość tego świeżego zajścia, że zdarzyła im się sposobność wypowiedzenia na arenie politycznej, iż nie chcą inaczej budować Rusi, jak tylko na opoce Unii, a zarazem pragną potępienia wobec całego kraju tych Rusinów, którzy oświadczyli, że chcą poza tym fundamentem Chrystusowym budować. To oddzielenie się rodzimej katolickiej polityki ruskiej od polityki bezwyznaniowej wyrodných braci Rusinów jest znacznym krokiem naprzód, prawdziwem zwycięstwem, które najlepsze rokuje nadzieje.

Ks. Marcin Czerwiński.

List z Wiednia.

Przywódca socjalistów chrześcijańskich.

Czyniąc zadość wielce zaszczytnemu wezwaniu do współprawnictwa w *Przeglądzie Powszechnym*, a idąc w tem za wskazówką, żebyśmy pisali o życiu i kwestyach społecznych Wiednia i Austrii, mianowicie także o pracach i dążnościach socjalistów katolickich — nie moglibyśmy pewnie zacząć stosowniej, jak od poświęcenia kilku słów świeżo tu zgasłemu baronowi Karolowi Vogelsangowi, przywódcy socjalizmu chrześcijańskiego w Austrii.

Nie o życiu jego pisać chcemy — bo tego nie pominął swego czasu *Przegląd*, a prasa codzienna podała nam obszernie nekrologi — ale o tem, co najwięcej czytelników *Przeglądu* obchodzić może t. j. o jego doktrynie i działalności socyalnej.

Socyalizm demokratyczny dotychczas prawie jedynie i wyłącznie znany jest jako uchwytna forma ruchu socyalnego, skierowanego przeciw dzisiejszemu społecznemu stanowi rzeczy. Ztąd też dla wstrętu, jaki budzi ten rodzaj socjalizmu nie tylko w klasach posiadających, lecz wogóle we wszystkich spokojnie i trzeźwo myślących i zamiłowanych w ładzie i porządku — wszelki ruch socyalny, wszelki objaw niezadowolenia z dzisiejszego stanu rzeczy, pospolicie podciągany bywa w dobrej, czy w złej wierze, pod ten wspólny mianownik ruchu socyalno-demokratycznego i wraz z nim potępiany. Jestto zbyt ciasne pojmowanie socyalizmu i nawet niebezpieczne, bo socyalizmowi demokratycznemu przeciwstawia tylko negacyę, co najwięcej, jakieś paliatywy bardzo problematycznej wartości, albo jeszcze więcej, problematyczne represalia. Jedne socyalizmowi demokratycznemu mało przeszkadzają, drugie wprost mu dopomagają — jak widzimy w Niemczech.

Ś. p. Vogelsang jako antytezę socyalizmu demokratycznego postawił socyalizm chrześcijański. Postawił? Sam stanowczo wypierał się założycielstwa, utrzymując, że „idee te są ludzkości wrodzone, przez objawienie odrodzone i oczyszczone, w średniowieczu chrześcijańskim były do pewnego stopnia urzeczywistnione, a dziś jeszcze drzemają w duszy ludu; kto je w niej rozbudza, spełnia tylko służbę nocnego stróża, który zapowiada świt i nawołuje śpiących do pracy“. Oto własne słowa jego o wynalazku swym i o swojej roli w ruchu chrześcijańsko-socyalnym.

Początku nadwężenia wpływu chrześcijańskiego i zepsucia ładu społecznego dopatruje się zmarły inicjator socyalizmu chrześcijańskiego

w „renesansie, który z swem panowaniem prawa rzymskiego i z całym swym rzymskim poglądem na sprawy państwa i społeczeństwa jako logiczne następstwo pociągnął za sobą absolutyzm książęcy, ruinę kwitnących miast, sproletaryzowanie mieszczaństwa, wyłonienie się stanu robotniczego, pozbawionego własności, praw i nadziei“. A zupełnie usunięty został wpływ chrześcijaństwa; „wspaniały gmach chrześcijańskiego porządku społecznego, jaki pod kierowniczą ręką Kościoła wyłonił z siebie szlachetne narody Zachodu w obyczajach swych, ustawach, instytucjach i przekonaniach prawnych“, zniszczony został do szczytu.

„Odkąd kapitalizm liberalny — mówi Vogelsang — w osobie króla-mieszczanina, Ludwika Filipa, zasiadł na tronie państwa, wodzącego wówczas rej w całym świecie cywilizowanym — zasady tej błędnej nauki szybko zyskały wpływ dominujący w umiejętności, w praktyce ekonomicznej i w ustawodawstwie państw. Słowo, którem w parlamencie francuskim odezwał się do zgromadzenia minister: *enrichissez-vous!* znalazło wszędzie otwarte serca i gotowe ręce; cały cywilizacyjny rozwój narodów stanął odtąd pod znakiem złotego cielca. Nie mogło się obyć bez tego, że nawet te stany, które w liberalnym kapitalizmie powinny były uznać swego wroga śmiertelnego, poddały się mu i poszły w jego służbę. Co więcej, nawet niektórzy funkcjonariusze kościelni zapomnieli z pamięci, że chrześcijaństwo w wielowiekowej walce duchowej samą wewnętrzną istotą swą przeobraziło było kapitałiczną cywilizację rzymsko-pogańską w chrześcijańsko-germański porządek społeczny wieków średnich z przewodnią jego i kardynalną ideą sprawiedliwości i miłości bliźniego“.

Widzimy z tych słów, gdzie ś. p. Vogelsang dopatrywał się źródeł złego i zarazem jak pojmował duchowe odrodzenie społeczeństwa i reorganizację ustroju społecznego w miejsce socjalno-demokratycznej rewolucji czyli „przespołecznienia“, jak ją Trentowski nazwał. W miejsce teraźniejszego podziału poziomego na klasy żądał on pionowego podziału na stany zawodowe czyli na „korporacje“, w którychby reprezentowane były wszystkie warstwy albo klasy tego samego zawodu np. przedsiębiorcy i robotnicy. Korporacja taka stanowiłaby ciało solidarne; wspólne interesa wszystkich członków znajdowałyby na zewnątrz jeden wspólny wyraz, o sprzecznych zaś interesach w łonie samejże korporacji orzekałaby samodzielnie sama korporacja. W ten sposób ustałyby klasy i walka między nimi. Takiej organizacji społecznej żądał, nie dla rozmiłowania w średniowieczczyźnie, lecz dlatego, że poczytywał ją za ucieleśnienie idei, przyrodzonej ludzkości, idei następnie

przycmionej i praktycznie zatraconej wskutek odbieżenia od objawienia pierwotnego, odzyskanej potem przez dzieło odkupienia w chrześcijaństwie i do pewnego stopnia w średnich wiekach urzeczywistnionej t. j. idei jedności i harmonii, całości przy poszanowaniu indywidualnej samodzielności i godności członków, a więc idei, istotnie, integralnie i nierozzerwalnie należącej do chrześcijaństwa. Warto posłuchać o tem własnych słów Vogelsanga:

„Teorya ta jest naturalna, jest wpojona ludzkości przy stworzeniu; istniała już przed ludzkością, jak idea stworzenia istnieć musiała już przed rzeczywistem stworzeniem. Im dalej ludzkość na drodze grzechu pierworodnego i grzechów osobistych oddalała się od swego ideału, im więcej przyćmiewało się światło pierwotnego objawienia, tem więcej rozpadało się społeczeństwo organiczne; aż nakoniec pozostało się tylko jeszcze państwo mechaniczne, które stłumiło ostatnie ślady życia organiczno-społecznego. Tak było w czasach późniejszej starożytności greckiej i rzymskiej, tak jest i teraz. Zarazem mnożyło się i mnoży skupianie olbrzymiej własności w jednych rękach, wyzyskiwanie i zniewolniczenie pracy duchowej i materyalnej, przeciwieństwo klas, bunt niewolników, rewolucya socyalna. Jedynym sposobem ratunku przeciw tej ostatecznej ewentualności jest odżywienie chrześcijańskiej idei społeczeństwa organicznego i legalna, zwolna wraz z tem odżywieniem postępująca rekonstrukcya jego“.

Rozumie się, że nasz chrześcijański „stróż nocny“, który zapowiadał poranek i nawoływał śpiących do pracy, uważał Kościół i sługi jego za powołanych w pierwszym rzędzie do wprowadzenia socjalizmu chrześcijańskiego w życie. Był przeciwnikiem tego, co sam nazwał „pobożnym opiatem“ t. j. prawienia małuczkin, ubogim, przygnębionym, wyzyskiwanym jedynie o cierpliwości chrześcijańskiej, pocieszania ich jedynie nagrodą w życiu przyszłym. Kościół pojmuje człowieka jako całość, jako składającego się z ciała i z duszy; dlatego nie tylko zbawienie duszy należy do troski Kościoła, lecz i potrzeby ciała równie bogaczy, jak biedaków, „byt ziemski godny człowieka i chrześcijanina, aby jedni nędzą nie byli wprowadzani w moralne niebezpieczeństwa i zgubę, drudzy rozpustą i niesprawiedliwością“. Najwięcej też smutku sprawiali zmarłemu niektórzy teologowie, doktrynerzy, nie pojmujący iak się należy socjalizmu ani demokratycznego ani chrześcijańskiego, albo wykładający teorię o czynszu i lichwie w duchu kapitalistycznym, sprzecznie z nauką św. Tomasza i wogóle Kościoła.

Kościółowi więc należy się w socjalizmie chrześcijańskim, w moralnej i organizacyjnej naprawie społeczeństwa rola przodownicza i władza zakonodawcza co do zasad; pomocnicza akcja wykonawcza w formie ustaw i rozporządzeń specjalnych, zastosowanych do właściwości i okoliczności rozmaitych po różnych krajach, należy do państwa; a do współpracownictwa *per eminentiam* powołana jest szlachta rodowa jako piastun i stróż idei chrześcijańskich i tradycji historycznych w łonie samegoż społeczeństwa. Ale ponieważ „wszystkie stany i wszystkie klasy są zakażone i wszystkie wybawione być muszą, jeżeli odrodzenie ma być całkowite, przeto pobudka dziejowa odzywa się nie tylko do szlachty rodowej, lecz do wszystkich: do t. zw. klas inteligentnych, do fabrykantów, kupców, rzemieślników, a nie na ostatnim miejscu do włościan; bez nikogo obyć się nie można, każdemu naznaczone jest pole pracy przy wielkiem dziele odbudowania, wszyscy razem dopiero stanowić będą zorganizowane społeczeństwo“.

Rzucamy tylko szkic przewodnich myśli zmarłego socjologa z urwanych jego słów; o całości zaś jego systemu żadnej książki ani broszury nie udało nam się znaleźć, mimo niejakich starań, w których nawet redakcja tutejszego *Vaterlandu*, którego ś. p. Vogelsang był dyrektorem, nie potrafiła nam dopomóc. Przedsiębrać coś więcej, wypełniać szczegółami ten szkic byłoby już ryzykowne, skoro — jak się nam bardzo zdaje — w łonie samegoż stronnictwa chrześcijańsko-socjalistycznego idee ś. p. Vogelsanga niejednakowo są pojmowane. Oczywiście nawet w *Vaterlandzie* nie mógł swobodnie ich rozwijać i bronić; albowiem w kilka lat po objęciu kierownictwa dziennika tego począł wydawać pismo osobne, własny miesięcznik p. t.: *Monatsschrift für christliche Socialreform*. Bez trudności i przeszkód w dzienniku nie byłby pewnie szukał zupełnej swobody w miesięczniku, nie byłby rozrywał swoich sił umysłowych, nie byłby czynił nakładu pieniężnego na pismo, które się nie opłacało. Ale i w tym miesięczniku baron Vogelsang czynił przeciw własnym współpracownikom zastrzeżenia co do pojmowania kwestyi socyalnej. Podobnie polemizował przeciw pisarzom katolickim, acz nie należącym wprost do stronnictwa, na punkcie socjalizmu; właśnie ostatni artykuł jego, napisany dla *Vaterlandu*, który — rzecz znów osobliwsza — ukazał się w dzienniku tym dopiero w kilka tygodni po napisaniu, nawet już po pogrzebie autora, — zwraca się przeciw broszurze O. Wiktora Cathreina T. J.: *Der Socialismus*, tak poczytnej, że w kilka tygodni po pierwszym doczekała się drugiego nakładu. Wszystko to zdaje się dowodzić, że nie wszystkie idee ś. p. Vogelsanga trafiły do przekonania

nia jego własnego stronnictwa, a tem mniej kół szerszych, z kądiną duchem pokrewnych.

Najpojętniejszych i nie najmniej gorliwych adeptów zyskał ś. p. Vogelsang w tej sferze społecznej, którą uważał za powołaną *per eminentiam* do współpracownictwa, w sferze szlachty rodowej, mianowicie wysokiej arystokracji: w Liechtensteinach, Belcredich, Knefsteinach, Bloomach i t. d. Byłoby już wielką zasługą Vogelsanga, gdyby nie był zdziałał nic więcej nad to, że głęboko poruszył umysły; ale i praktyczne ujrzał sukcesy. Uchwalone bowiem w latach ostatnich przez parlament austriacki, a dziś w życiu już będące ustawy socyalno-polityczne wyszły w znacznej części z intelektualnej inicjatywy Vogelsanga, a doszły do skutku staraniem owych adeptów. Nie możemy jednak nie nadmienić tu, że dwie pierwsze ustawy w duchu prawdziwie chrześcijańsko-socyalnym, choć do socyalno-politycznych zaliczane nie bywają, mianowicie ustawy przeciw pijaństwu i przeciw lichwie, wydane pierwotnie dla Galicji tylko, później rozszerzone na wszystkie kraje austriackie — doszły do skutku z inicjatywy i staraniem Koła polskiego, szczególnie ś. p. Andrzeja Rydzowskiego, i to w czasie (r. 1877), gdy teorye Vogelsanga znajdowały się jeszcze w pieluchach.

Wiadomo, że pod względem ustaw, dążących do polepszenia doli klas robotniczych, Austria prześcignęła wszystkie inne państwa, jak się to pokazało na konferencji, odbytej z inicjatywy cesarza niemieckiego w Berlinie na początku roku bieżącego. Te ustawy głównie pozostaną jako pomnik ś. p. Karola Vogelsanga; a choć uchwalone też zostały głosami lewicy, jednak samo przygotowanie materyałów do nich, przedsięwzięte przez Vogelsanga na własną rękę, ściagnęło nań większą jeszcze nienawiść pseudo-liberalizmu, niż jego „klerykalizm“ — nienawiść, poza grób sięgającą.

Co jeszcze więcej zadziwić może, to ta szczególna zawziętość prasy żydowskiej i wszystkich potęg semickich przeciwko temu mężowi, który życie poświęcił zwalczaniu wroga, najwięcej im grożącego. Rzecz byłaby nie do wytłómaczenia, gdyby nie coraz widniejszy fakt, że internacyonal rudy, czując wzrastającą potęgę czerwonego, szuka z nim aliansu, transakcyi, popiera go wszędzie w dążnościach moralnych, t. j. w szerzeniu między ludem ateizmu, rozwiązłości, — zapewne w nadziei uzyskania jego pobłażliwości dla swoich kapitałów. Ale miejmy nadzieję, że się przerachuje i że sięgąc wichry, sam zbierze burzę.

Józef Glinkiewicz.

„Towarzystwo opieki zdrowia“

i jego wydawnictwa.

W mroczną chwilę żyć nam przypadło: chore dusze w chorych też mieszcza się ciałach, i nieraz rozstrzygnąć trudno, ażali duszna niemoc wpłynęła na upadek sił fizycznych, czyli też rozstrój ducha wynikł z osłabienia ciała. Cokolwiekbądź, zadzwoniono na alarm i ludzkość, słusznie o swą przyszłość zatrwożona, wszędy podejmuje akcyę ratunkową. U nas niekorzystne oddawna warunki polityczne i ekonomiczne wpłynęły na zastój dobrobytu, a konsekwentnie na obciążenie sił fizycznych i zdrowia publicznego. Statystyki śmiertelności, niedopisywanie poboru wojskowego i różne inne symptomata aż nadto wymownie o tem przekonują. Zaczynamy też obmyślać środki zaradcze. Sejm tegoroczny radził nad pomnożeniem lekarzy okręgowych, i poruszono w nim myśl przywiązania lekarza do każdej gminy w Galicyi. Myśl ta świadczy o poczuciu potrzeby ratunku, ale zbywa jej niezawodnie na praktyczności. Pomijając istniejącą dotychczas nieufność i niechęć naszego ludu do pomocy lekarskiej, którą trudno odrazu tak radykalnym środkiem zwalczać; w każdym razie kiedy główną przyczyną słabości fizycznej i podatności na choroby u naszego ludu jest — jak wszyscy przyznają — niedostatek, dziwnym doprawdy sposobem ratowania jest podawanie środka, którego najpewniejszym skutkiem będzie to, że bardzo znacznie pomnoży wydatki.

Najpraktycznijszem dla zdrowia ogółu nie jest leczenie chorych, ale zapobieganie chorobom przez higienę publiczną. Tej brak czuć się u nas daje jeszcze więcej, niż brak lekarzy i szpitali; a brak ten pochodzi nietyle z ubóstwa ludności, jak z pewnego zaniedbania się i niewiedomości. Otóż temu złemu chciał zaradzić mąż, znany z miłości kraju, nie hałaśliwej i na słowach zależącej, ale czynnej, światłej i bezinteresownej.

Dr. Henryk Jordan, po tylu innych wyrządzonych miastu dobrodziejstwach, założył „Towarzystwo opieki zdrowia“. Cel Towarzystwa jasno zakresłony ma za zadanie: 1) Rozbudzenie poczucia potrzeby szanowania i pielęgnowania zdrowia przez szerzenie wiadomości higienicznych wogóle, a osobiwie między ludem; 2) zaszczepianie zamiłowania do badań stosunków sanitarnych kraju, do pracy nad polepszeniem tychże między tymi, co z urzędu lub zawodu pożytecznie działać mogą na połu poprawy publicznego zdrowia; 3) łączenie osób wszelkich stanów w jedną drużynę pracowników około poprawy zdrowia; 4) badanie i usuwanie wszelkich szkodliwych dla zdrowia czynników w kraju;

5) początkowanie w zakładaniu instytucyj publicznego dobra i nadawanie kierunku dziełom miłosierdzia publicznego. Jak widzimy, program to szeroki. Dwa roczniki *Przewodnika higienicznego* świadczą o pilnem wytrwaniu na straży zdrowia narodowego i publicznej higieny.

Rzadko nam się zdarzyło spotkać pismo, trzymające się ściśle podjętego zadania, i obejmujące skrzętniej wszystkie gałęzie zakresłego sobie przedmiotu. Wystarczy pobieżnie wskazać poruszone tu kwestye o szczepieniu ospy, o wpływie szkoły współczesnej na fizyczny rozwój młodzieży szkolnej, o szkodliwości wilgotnych mieszkań, o budowie szkół, o gimnastyce dziewcząt, o dezynfekcyi, i t. d. Osobne rubryki z dziedziny bądź statystyki, bądź praktyki sanitarnej, bądź różnaitości higienicznych, stanowią w każdym poszycie cenny dodatek. Rozprawy o poszczególnych chorobach i sposobach ich pielęgnowania, niemniej ważne w *Przewodniku higienicznym* zajmują miejsce. Co tu złotych rad, wsnutych w potoczną treść każdego numeru, co mądrych wskazówek, zapobiegających niebezpieczeństwu powszednim, płynącym z wadliwości ubioru, pokarmów, zwyczajów! Życzyć należy, aby tak szacowne pismo znalazło się przy każdym ognisku rodzinnem, w każdej wsi, we wszystkich zakładach publicznych czy prywatnych, otwierając oczy na liczne niedostatki i zaniedbania, które się przyczyniają do upadku zdrowia i umniejszenia kapitału żywotności krajowej.

Zalecając „Towarzystwo opieki zdrowia“ i *Przewodnik higieniczny* czytelnikom *Przeglądu polskiego*, dr. August Kwaśniewski zaiste trafne wypowiedział słowa: „Bez zdrowia niema siły, bez siły niema pracy, bez pracy niema dorobku, bez dorobku niema dostatku, niema zdrowego mieszkania, pożywnego jadła i t. d., a zatem znowu niema zdrowia; i tak wytwarza się błędne koło, przyczyny potęgują skutki i odwrotnie. Społeczeństwo, któreby nie potrafiło rozpoznać źródła złego i temu złemu zawczasu zaradzić, musiałoby wkońcu skarłowacieć, zmarnieć... Dzisiejsze pojęcia o warunkach zdrowia sprowadzają się do mianownika, którym jest czystość: czystość powietrza, czystość wody, czystość pożywienia, czystość mieszkania, czystość odzienia, czystość wreszcie życia“.

Nie zadawalniając się wydawnictwem bezpłatnem, które otrzymują wszyscy członkowie „Towarzystwa opieki zdrowia“, tenże związek, okrom swego organu i czasopisma, wydaje jeszcze odrębne rozprawki, których szerzenie walne oddać może usługi całemu naszemu społeczeństwu. Przypomnijmy jedną z najświeższych: „Wskazówki żywienia i pielęgnowania dzieci w pierwszym roku życia“, przez dra M. Jakubowskiego. Zasluguje ona na jak największe rozpowszechnienie,

a jasnością, przystępnością i praktycznością przechodzi ona wszelkie inne tego rodzaju poradniki i przewodniki. Ażeby zaś ocenić, jak dalece taka książka jest potrzebną, trzeba zobaczyć w statystykach, w jakim stopniu śmiertelność małych dzieci w Galicyi przewyższa śmiertelność tychże we wszystkich innych krajach monarchii. Dalej te same statystyki wykazują, że powiaty najwięcej tą śmiertelnością nawiedzone, nie są wcale najuboższe w kraju; żądał prosty wniosek, że nie nędza, ale ignorancja tych elementarnych przepisów, jakie podaje ta broszura, jest przyczyną śmierci tylu dzieci.

Zauważyć warto, że ta broszura jest bardzo tania: 100 egzemplarzy za 3 zlr. 50 cent. Bardzo tani jest też *Przewodnik higieniczny*, bo dostają go darmo członkowie Towarzystwa, którzy tylko 2 zlr. rocznej wkładki wnoszą. Znać w tem oczywiście hojną rękę inicjatora. Ale to też powinno pobudzić i innych, którym dobro i zdrowie publiczne leży na sercu, do udziału i do szerzenia tych wydawnictw.

Szczęść Boże zacnym inicjatorom opieki nad zdrowiem! Nie przechwalają się oni, jak za granicą, obietnicami bezpośredniego odrodzenia zwątlącej ludzkości, lecz cichą a mądrą pracą usiłują ratować i krzepić to, co się da uratować i dźwignąć z niemocy. Podaniem ręki w rozpoczętem dziele można onego skuteczność zapewnić. Byle ramię przy ramieniu stanęło, a myśli i ręce się zbiegły, wnet wiele da się zrobić i wiele poprawić. Jest nas tak mało, a jeszcze tej garstce dajemy ginąć i marnieć. Wychowujemy liczne a silne pokolenia; to jest dotykalny i dowodny sposób zgotowania lepszej krajowi przyszłości¹.

K. M.

Przyczynek do archeologii białoruskiej.

Pierwotne dzieje słowiańskich ludów, więcej niż dzieje innych narodów europejskich leżą jeszcze dotychczas we mgle przeszłości. Mimo to zabytki starożytności a oraz blade wzmianki kronikarskie przekonywują nas dostatecznie, iż narody szczepu słowiańskiego miały także swą przeszłość historyczną i swój ustrój państwowo-patryarchalny.

Na obszernej równinie, leżącej między rzekami Dźwiną, Dnieprem i Prypecią, porośniętej odwiecznymi lasami oraz przerzniętej licznymi jeziorami i trzęsawiskami — mieszkał w starożytności naród

¹ Dowiadujemy się, że świeżo we Lwowie zawiązało się Towarzystwo ochrony zdrowia; na czele stanęli: dr. Tadeusz Pilat i protomedyk dr. Józef Merunowicz.

słowiański, zwany przez Greków Gerrońskim, a przez późniejszych historyków Krewiczańskim. Należał on do szczepu Słowian wendyjskich, jak o tem świadczy jego język, zbliżający się do mowy Słowian zachodnich.

Topograficzne położenie kraju, przez naród ten zamieszkałego, zabezpieczało go od najazdu dzikich hord barbarzyńskich. Od południa dolina Prypeci, zalana prawie wodą, zagrażała przystęp południowym przybyszom, od wschodu zaś Dniepr z rozległą swą doliną, porośniętą nieprzebytymi lasami, bronił od wschodnich najeźdźców.

Dzięki takim warunkom, Krewiczanie, odosobnieni od reszty świata, mogli w swojej ojczyźnie zachowywać przez długi czas niepodległość i patryarchalne rządy. Dlatego też, gdy wiele podań, zwyczajów i obyczajów znikło i zatarło się u innych słowiańskich plemion, u Krewiczian czyli dzisiejszych Białorusinów dotrwały one niemal do chwili obecnej. Zabytki takie, sięgające odległej starożytności, są bardzo cennymi dla każdego badacza, pomagają bowiem do odgadnięcia w mroku przeszłości dziejowej główniejszych rysów plemienia; zwłaszcza jeżeli sumienny badacz, nie ograniczając się na samych tylko ludowych podaniach, zaglądnie jeszcze do pomników przeszłości, tak ściśle związanych z podaniami, i pocznie rozkopywać i badać te ementarzyska i horodyszczka, tak gęsto rozrzucone po krewiczańskiej ziemi.

Lud gerroński w starożytności wyznawał religię pogańską, wspólną z Litwinami, i od imienia najwyższego ich kapłana, Krewe-Krewejty, nosił miano Krewiczian. Wierzył on w jedną najwyższą istotę, rządzącą niebem i ziemią, nazwaną Perkunem, a oprócz tego miał wiele bóstw podrzędnych, którym cześć oddawano przy t. zw. żalnikach, t. j. odosobnionych kurhanach. W kilku wsiach jak np. w Kukarewie, Korytnicy, Syczu widziałem takie żalniki, a nawet jeden z nich zbadałem. Był to ogromny kopiec w kształcie stożkowatym, ścięty u góry, otoczony dokoła rowem i mający wąskie przejście od strony wschodniej. Na szczycie znajdowało się niewielkie zagłębienie, napełnione popiołem i węglem drzewnym; kopiec usypany był ręką ludzką. Wewnątrz zawierał szczątki kości zwierząt domowych, łuskę rybią, okrucy naczyń glinianych i liczne warstwy popiołu.

Porównyując badanie to z tradycją, która się w ustach ludu przechowywała, można określić stanowczo powstanie takich żalników. Mianowicie na odpowiednim dla żalnika miejscu, w pobliżu osady nad brzegiem rzeki lub strumienia, zakreślano koło i kopano rów, pozostawiając niewielkie przejście do środka. Następnie na przestrzeni, otoczonej rowem, wznoszono stos, składano ofiary i rozniecano ogień. Gdy płomień

buchał i dym wznosił się ku górze, wówczas mówiono, że bogowie przyjmują chętnie ofiarę. Tymczasem lud, zgromadzony dokoła ofiarnika, modlił się i uctował. Następnie gdy ogień zagaśł, znoszono ziemię i zasypywano nią pogorzelisko. W taki to sposób tworzyły się żalniki.

Wiara chrześcijańska zaczęła się dość wcześnie szerzyć w tej krainie. Kroniki mówią, że św. Andrzej apostoł około r. 40 po Chr. miał się udać z Olbii czyli Borystenidu, miasta, położonego nad dolnym Dnieprem, do krainy Gerrów-Krewiczczan, zaszczipiając tam wiarę Chrystusową. W r. 861 św. Metody, Apostoł Słowiańszczyzny, wyprawił swych uczniów z Wielkiej Morawii do krainy Gerrów na opowiadanie słowa bożego; a w r. 959 papież Jan XII za pośrednictwem cesarza Ottona I wysłał swego legata Adalberta, arcybiskupa magdeburskiego, do Rusi krewiczańskiej dla ugruntowania chrystyanizmu. Wiadomości te, czerpane ze starych kronik, potwierdzają dzisiejsze badania.

W okolicy małej wioski Kukarewo, rozrzuconej nad rzeką Klewką, w powiecie ihumeńskim, leży wśród odwiecznych borów kilka cmentarzysk pogańskich, a między niemi jedno chrześcijańskie. To ostatnie mieści się w lesie, a ponad jego grobami rosną kilkusetletnie dęby. Zwiędzając to cmentarzysko, spostrzegłem obok tych wiekowych, liściastych olbrzymów ogromne krzyże, wyciosane z szarego granitu, zagłębione po same ramiona w ziemi i porośnięte grubą warstwą mchu. Po zbadaniu tych starych pomników dostrzegłem wyryte na kamieniu jakieś niekształtne napisy i sądzę, iż były one skreślone w alfabecie biarmskim¹. Na jednym z nich znalazłem cyfrę łacińską CCCLII, która widocznie miała oznaczać datę. Że te pomniki przypisać należy wyłącznie Gerrom-Krewiczczanom, tego dowodzi fakt, że i w dzisiejszych czasach mieszkańcy tamtejsi na grobach swych zmarłych wznoszą niekiedy podobne krzyże z kamienia lub dębu, wprawdzie nie tak wielkie, lecz pod względem kształtu wcale od dawnych się nie różniące.

Tuż obok chrześcijańskiego cmentarza leży ogromne cmentarzysko pogańskie, sięgające odległej starożytności. Grobowcami są niewielkie kopce, starannie pokryte kamieniami. Drugie cmentarzysko, leżące wpo-

¹ Wielka Biarmia było to państwo, leżące niegdyś na wschodzie i dochodzące do gór Uralskich. Miało ono swoje pismo, którego pomniki przechowują się w cesarskiej bibliotece w Petersburgu. O tem, iż posiadało pewien stopień cywilizacji i miało stosunki z innymi narodami, a nawet z zachodnią Europą, świadczy podróż Lodbroka, króla duńskiego, do Biarmii r. 777.

bliżu, składa się ze spłaszczonych kurhanów, otoczonych u podnóża czterema zagłębieniami, odpowiadającymi czterem stronom świata.

Badając kilka cmentarzysk nad Berezyną w pobliżu wsi Murawki i Smolar, doszedłem do wniosku, że Krewiczanie, wbrew zwyczajowi, przez innych Słowian przyjętemu, nie palili swych zmarłych, tylko składali ich zwłoki na niedopalonych stosach i przysypywali ziemią. Kopiąc jeden z kurhanów, po zdjęciu niewielkiej warstwy piasku, natrafiłem na węgiel, co dowodziło, że kościotrup musi być blisko. Zgarnawszy ostrożnie piasek z miejsca, gdzie się węgiel i popiół pokazywały, odgrzebałem kości ludzkie. Szkielet dobrze zachowany, głową zwrócony ku wschodowi, leżał na pokładzie węgla drzewnych, pomiędzy którymi były kawały niedopalonego drzewa. Była to, jak się domyślać można, szeroka deska, na której położony był trup zmarłej kobiety. Na szyi miała sznurek paciorków szklanych połączonych, dwa paciorki z ametystu i trzy duże złote, dęte. Paciorki te pod szyją były przepalone, na wierzchu zaś całe.

Jeżeli to zestawimy z podaniami ludowymi i zapiskami kronik, wówczas można sobie utworzyć obraz obrzędu pogrzebowego u Krewiczian. W miejscu wyznaczonem na wieczny spoczynek zmarłego układano stos, poczem przynoszono nieboszczyka, przybranego w świąteczne szaty, i kładziono na ziemi obok stosu, który zapalano. Gdy płomień buchnął, obecni zaczęli chodzić parami wkoło zmarłego, przychem kobiety szlochały, wyliczając jego zasługi. Trwało to, póki stos się nie spalił i płomień nie zagasł; wówczas kładziono umarłego na żarzących się jeszcze węglach, a każdy z obecnych znosił ziemię i przysypywał nią trupa. Uroczystości tej towarzyszyła uczta; rodzina zmarłego dostarczała jadła, które wszyscy obecni musieli spożywać; przytem nie zapominali o nieboszczyku, stawiając u jego nóg garnek z rozmaitemi potrawami. W taki sposób powstawał kurhan, i im więcej zmarły miał krewnych i przyjaciół, tem większy usypywano mu grobowiec.

Nie poprzestając na tem, każda rodzina w dniu poświęconym umarłym, przynosiła jadło i ustawiała je obok grobu, zapraszając na nie przyjaciół i znajomych. Grób pokrywano chwastem i słomą, które następnie zapalano, i podobnie jak przy pogrzebie znoszono ziemię, sypiąc ją na kurhan. Ceremonia taka powtarzała się corocznie i dzięki jej, kurhan wzrastał do znacznej wysokości. — Za prawdziwością tego twierdzenia przemawia kronika Dubrowskiego, pisana w języku słowiańskim w XIV wieku i zawierająca krótką historję kurhanów. Prze-

chowowali ją u siebie Jezuici mohylewscy; po zabranii zaś Białorusi przez Moskwę, dostała się do zbiorów księcia Czernyszewa.

Ze wszystkich krajów Europy ziemia Gerrów-Krewiczów czyli dzisiejsza Białoruś posiada niezaprzeczenie najwięcej kurhanów. Nie bez znaczenia już starożytni Grecy — jak to wiemy z Herodota — nazwali kraj ten jednym wielkim cmentarzyskiem, a lud, zamieszkujący go, Grobo-kopaczami. Według statystycznego obrachowania, na przestrzeni niezbyt rozległej, leży przeszło 4000 cmentarzysk większych, nie rachując wielu cmentarzysk pomniejszych lub pojedynczych kurhanów. Brzegi wszystkich rzek i jezior pokryte są kurhanami, z czego można się domyślać, że wszystkie miejscowości, przerzniete rzekami, były zaludnione. Najbardziej w te starożytne grobowce obfitują brzegi Berezyny.

Badaczy u nas mało; nie też dziwnego, że pomników archeologii białoruskiej nie wyzyskano dotąd dla nauki, jakby należało. Co gorsza jeszcze — zdarza się nieraz, że na te skromne nawet nasze zabytki przemoc silniejszego kładzie swą rękę zaboreczka, biorąc to na własność, co praca innych mozolnie zebrała.

Przed kilku laty jeden z naszych archeologów rozkopał kilkadziesiąt kurhanów. Poszukiwania te nie były bezowocne, znalazł bowiem wiele cennych szczegółów. Dla pozyskania względów miejscowej władzy, oddawał wszystkie znalezione pamiątki gubernatorowi mińskiemu, który mu obiecywał, iż poszukiwania jego przyczynią się do założenia muzeum archeologicznego w Mińsku, on zaś sam, jako inicjator, zostanie jego dyrektorem. Łudząc się tą nadzieją, nasz archeolog nie tylko dostarczał pamiątek z kurhanów, ale nadto zabierał z kościołów stare książki i rękopisy, wręczając to wszystko gubernatorowi do tworzącego się niby muzeum. Po pewnym czasie p. gubernator, uznawszy, że zbiór archeologiczny urósł już dostatecznie, odesłał go do Towarzystwa Archeologicznego w Moskwie, za co otrzymał podziękowanie i złoty medal uznania za gorliwe prace naukowe w gubernii, zostającej pod jego zarządem.

Tytus Sopodźko.



XVI. WALNY ZJAZD TOWARZYSTWA GÖRRESSOWEGO

w Augsburgu, we wrześniu 1890.

Stara, tylekroć stwierdzona zasada, że prześladowanie zamiast osłabiać, owszem, wzmacnia i ożywia przekonania religijne, zyskała dobitne i wyraźne bardzo potwierdzenie w ostatnich dwudziestu mniej więcej latach naszych czasów. Widownią główną tego faktu były i są Niemcy, a patrząc na zapasy, które się w ich kraju odbywały, i z tą samą, wcale nie słabnącą energią ciągle się toczą, zapasy pomiędzy rządem protestanckim i zazdrosną o wyłączny swój wpływ władzą państwową, a znaczną bardzo katolicką mniejszością w narodzie, — zaprzeczyć się nie da, że ożywienie ruchu katolickiego, na który od dość dawna patrzymy, u nich wzięło swój początek.

Za łagodnych a sprawiedliwych rządów Fryderyka Wilhelma IV. życie katolickie w Niemczech słabszem było tętnem; żeby nie kilka wybitniejszych w wysokiem duchowieństwie katolickiem osobistości, jak kardynał Diepenbrock, arcybiskup Dunin lub Droste-Vischering, niewieleby się o rozwoju katolicyzmu w Niemczech dało powiedzieć. Dopiero od czasów regencyi, wstąpienia na tron Wilhelma I. i w miarę jak osobistość Bismarka na widownię polityczną występować zaczęła, katolicy Niemiec, przezuwając zbliżające się niebezpieczeństwo, poczęli się skupiać i siły swoje liczyć; wkrótce też odznaczyło się w parlamencie

kilku mężów, a mianowicie bracia Reichensperger, którzy stanęli na straży zagrożonej wolności Kościoła, a działaniem swoim dali początek do utworzenia centrum berlińskiego.

Dopiero jednakże od rozpoczęcia kulturkampfu (nawiasem powiedziawszy, jednego z najkardynalniejszych księcia Bismarka błędów politycznych) życie katolickie niemal bez przygotowania nagłym buchnęło płomieniem. Jak to zwykle bywa w takich razach, znalazła sobie Opatrzność swoje narzędzia, i tacy ludzie, jak Mallinekrodt, Windhorst, Frankenstein, Schoblermer-Alst i wielu innych mniej wybitnych, działaniem swoim niespożyte dla Kościoła katolickiego położyli zasługi.

Walka, którą centrum berlińskie od dwudziestu przeszło lat prowadzi, już dzisiaj może rozbudzić podziwienie u każdego myślącego, o najdroższe skarby ludzkości troszczącego się człowieka; w późniejszych czasach będzie ona stanowić jedną z najpiękniejszych kart w historii katolickiego Kościoła.

Dzieło misyonarza i położenie życia za wiarę jest bezsprzecznie szczytem poświęcenia; słusznie też nasz Kościół bohaterom wiary najwyższą wyznaczył nagrodę, stawiając ich w poczcie tych, którzy dogmat o Świętych obcowaniu urzeczywistniają i w życie wprowadzają. Można jednakże w rzędzie zasług chrześcijańskich zaraz na drugim stopniu postawić tych, którzy niczem nie zrażeni, ani obojętnością ani zjadliwą napaścią ani długoletniem niepowodzeniem i przekonaniem, że często owoców swej pracy nie dożyją, mimo to ani na krok od swych przekonań i żądań nie odstępili, a stojąc bez przerwy na wyłomie, w miarę ubytku walczących ściskają tylko swe szeregi, nie cofając się wtył ani na chwilę, owszem, dążąc naprzód z pełną świadomością swego celu. Takim jest działanie centrum berlińskiego. Możemy to jako Polacy tem łatwiej uznać, że jeżeli żąd wobec niegodziwych rządu ruskiego prześladowań naszego narodu padło życzliwe i sprawiedliwe dla nas słowo, to właśnie ze szeregów tej dzielnej drużyny.

Nie ograniczyło się jednakże to działanie na samych parlamentarnych zapasach, ale z tej dziedziny życia publicznego przeniosło się niebawem w samo jądro społeczeństwa; od kierowni-

ków i przewodców przeszedł ten duch i zapal dla dobrej sprawy do prostych szeregowców, do ludzi najrozmaitszych stanów i powołań, nie biorących zresztą w życiu publicznem żadnego udziału. A stało się to zapomocą katolickich stowarzyszeń, które rozrzucone po całym kraju, w rocznych walnych wiecach katolickich mogą policzyć swe siły, zdać sobie sprawę z osiągniętych skutków i obmyślić plan przyszłego działania.

Rzeczą zaś uwagi godną jest, jak w Niemczech urzędowe — że tak się wyrażę — działanie Kościoła idzie ręką w rękę z akcją świeckiej części społeczeństwa, które ze swej strony i w swojej sferze innemi środkami dąży do tego, co *unum est necessarium*. Roczne zjazdy episkopatu niemieckiego w Fuldzie z jednej strony, wiece katolickie z drugiej, dążą stale do wywalczenia dla Kościoła tego stanowiska, jakie mu się należy. Nie jest nam wiadomem, jakiego rodzaju styczność pomiędzy zgromadzeniem najwyższych dostojników Kościoła niemieckiego a świecką jego częścią zachodzi, ale już to, że sprawa tak szczęśliwy obrót bierze, że nigdy o jakimkolwiek starciu między tymi dwoma czynnikami nie słychać — dowodzi, że musi między nimi ustawiczna zachodzić łączność, że kierownicy świeckiego ruchu katolickiego idą zupełnie w tym kierunku, jaki żywiół duchowny w moc swego posłannictwa całemu dziełu nadaje, a zwierzchnicy duchowni bez podejrzliwości patrzą na inicjatywę świeckich synów Kościoła. Zaiste jestto organizacya, której Niemcom z pewnością pozazdrościć można, gdyż nie wszędzie ten sam zachodzi stosunek.

Życie katolickie atoli nie same publiczne i społeczne sprawy obejmuje i obejmować winno; dąży ono owszem do tego, by nie tylko praktyczne i codzienne życie uświęcać, ale i w wyższych umysłowych sferach do jedności zmierzać, błędy prostować, prawdę wyświecać, ażeby i tym przyjęcie takowej ułatwić, których duma, będąca częstokroć następstwem wysokiego umysłowego rozwoju, na odpornem umieszcza stanowisku.

Gdy myślę o tem, jak Kościół katolicki obok małych pragnie dla siebie pozyskać i opieką swoją otoczyć najbujniejsze umysły ludzkiego latorośle, wtedy zawsze staje mi na myśli

niepospolity obraz Ary Scheffera, na którego reprodukeyę od dzieciństwa patrzałem. Wyobraża on Pana Jezusa, jak miłośnię rękę do ludzkości wyciąga i wszyscy do Niego się garną, wielcy i mali, królowie i hetmani, nędzarze i żebracy; tylko jeden się odwraca: ten, którego skronie, jako znak umysłowej potęgi, warzynyowy zdobi wieniec; niema w tej twarzy ani pogardy ani nienawiści — jest tylko wyraz tej złej dumy, która jest *omnis mali initium*.

Otóż dla tych właśnie, którzy najpiękniejszy dar boży, najwyższy wyraz podobieństwa bóstwa gorzej niż zmarnowali, bo ku nieprawym i buntowniczym obrócili celom, wyprowadza Kościół, jako szermierzy, najpotężniejsze swe umysły. To też widzimy, że niemal od pierwszych zawiązków Kościoła przeciwko każdorazowym błędom stawali wielcy apologetycy Kościoła wschodniego i zachodniego, uczeni scholastycy, teologowie z czasów odrodzenia i reformacyi, wreszcie wymowni kaznodzieje XVII. w., tak że nigdy Kościołowi nie zabrakło mężów, którzy potęgę umysłu i nauki jego sprawie poświęćali, by uczonych Kościoła wrogów własną ich bronią zwalczać, ich błyskotliwe wywody jasnością swej nauki zbijać, a o ile się dało łagodnością i miłością, a zarazem wymową i świetnością wywodów pozyskać. Ponieważ zaś czasy nasze mniej są płodne w umysły wysokie i filozoficzne, działanie pojedyncze tych wielkich szermierzy zastąpiono działaniem zbiorowem. W tym celu utworzyły się w rozmaitych krajach stowarzyszenia katolickie z cechą wyłącznie naukową: między niemi góruje w Niemczech t. zw. Towarzystwo Görressowe, noszące swe godło od słynnego uczonego i polityka katolickiego, Józefa Görressa. Nie miejsce tu zastanawiać się nad tyle oklepanem mniemaniem o rzekomej niższości nauki katolickiej, ani nad niespożytemi zasługami, które takowa od tylu wieków prawdziwej oświacie oddała; jestto dzisiaj — jak Niemcy mówią — *ein überwunderner Standpunkt*. Chodzi mi dzisiaj tylko o to, by zdać sprawę z obecnego stanu katolickiej nauki w Niemczech, a do tego daje mi sposobność ostatnie walne zgromadzenie Towarzystwa Görressowego, odbyte w Augsburgu, w którem udało mi się wziąć udział.

Towarzystwo Görressowe zbiera się od kilkunastu lat na walne zjazdy w rozmaitych miastach, czy to sztuką czy tradycjami historycznymi lub naukowymi słynnych. Ma to tę wielką korzyść, że rozmaitym członkom ułatwia kolejno przybycie na zjazdy i że nowość żywiołu i otoczenia, wreszcie sama tradycja miejscowości, daje sposobność do urozmaicenia rozpraw i posiedzeń, i nadaje takowym pewną artystyczną barwę. I tak na przedostatniem zgromadzeniu, w którem udział brałem, usłyszeliśmy ciekawy odczyt o pomnikach sztuki w Eichstätt; teraz znowu jeden z pierwszych tematów miał za treść sztukę w Augsburgu, a był to odczyt wielce zajmujący, gdyż Augsburg, jako jedno z najbogatszych miast wieków średnich i siedziba Fuggerów, słynnych na całą Europę bankierów i kupców, wiele ma rzeczy godnych widzenia. Szczególniej sztuka złotnicza, przez bogate wspierana mieszczaństwo, niemal z włoskimi tegoż kunsztu wzorami z czasów odrodzenia w zawody iść może. Muzeum biskupie zawiera też kilka wysoce cennych tej sztuki okazów, mianowicie: zbroję Karola V. i wyjątkowo piękny ołtarzyk podróżny w formie gabinetu z przeszlicznymi płaskorzeźbami z brązu, odgradzonymi od siebie nadzwyczaj misterną koronką ze złota. Jako dopełnienie tego odczytu, mianego przez wikaryusza katedralnego, dra Endres, służyło zwiedzenie katedry, po której nas sam biskup oprowadzał.

A biskup to paradny, ośmdziesięcioletni staruszek, biały jak gołąb, ale żywy i niepospolicie rzeźki. Od trzydziestu dwóch lat zasiadając na tej samej stolicy biskupiej, cały od obowiązków pasterskich pozostający mu czas poświęcił na ozdobienie i upiększenie swej katedry, zbierając zewsząd co mu się udało; za jego też staraniem posiada katedra cztery pierwszorzędne obrazy Holbeina, dwa Zeitbloma, jeden Wohlgemutha i „Nawiedzenie Matki Boskiej“, jeden z najpiękniejszych może okazów wielkiego mistrza Alberta Dürera. Jako ciekawość zasługują w tej katedrze na uwagę najstarsze może, jakie istnieją, okna kolorowe, bardzo dobrze zachowane, zupełnie odmiennej techniki, wazkie i niezbyt wysokie, tem od późniejszych się różniące, że figury na nich są o wiele większe, a wskutek tego nie przedstawiają tej roz-

maitości kompozycyi, jaką w witrażach XV. i XVI. wieku znajdujemy.

Po odbyciu tej wycieczki na polu artystyczno-historycznem, rozpoczęły się posiedzenia sekcji, na których z rocznego ruchu naukowego zdawano sprawę. Towarzystwo Görressowe dzieli się, jak wiadomo, na trzy sekcye: historyczną, filozoficzną i prawno-państwową. Pierwsze dwie wydają w kwartalnych odstępach swoje roczniki, ostatnia zaś podjęła dzieło wielkiej wagi, zwłaszcza wobec dzisiejszego zamieszania pojęć na polu nauk społecznych i politycznych, a mianowicie wydanie „Słownika państwowości“ (*Staatslexikon*). Na czele redakcyi stoi dr. Bruder, profesor i bibliotekarz uniwersytetu w Innsbrucku. Sprawozdanie z rozpoczętego dzieła nie było korzystne; kierownik takowego uskarżał się bardzo na brak współpracowników i na niesłowność w dostarczaniu przyrzeczonych artykułów. Z tego też powodu dopiero pierwszy tom wydawnictwa w zupełności, z drugiego kilka zeszytów wydanych zostało. W ciągu zawiązanej nad tym przedmiotem dyskusyi, postanowiono — zwłaszcza wobec podobnego ze strony protestanckiej przedsięwzięcia, postępującego znacznie rażniej — wszelkich dolożyć starań, by dzieło, o ile można, jak najprędzej do końca doprowadzić.

Sekcya filozoficzna wykazała dalszy postęp na drodze prawidłowego rozwoju. Pod redakcyą i kierownictwem ks. prof. Schütza z Trewiru wychodzą regularnie roczniki filozoficzne, z których trzeci tom jest na ukończeniu. Posiedzenie tej sekcji było dla nas bardzo zajmującym, zwłaszcza że na niem ks. dr. Stefan Pawlicki czytał rozprawę o „Socyologii Spencera“. Z zadowoleniem mogliśmy się przekonać, z jak wielkiem zajęciem rozprawy tej słuchano, podziwiając nie tylko uczoną i wielce zajmującą treść, ale zarazem zręczność i poprawność wysłowienia w języku niemieckim. Najlepszym zaś dowodem wrażenia, jakie odezyt ten sprawił, jest, że tylko on jeden w sekcji filozoficznej zasłużył sobie na obszerniejsze streszczenie w dziennikach.

Ze wszystkich sekcji, najbogatsze treścią, najbardziej zajmujące rozprawami i osiągniętymi rezultatami, było posiedzenie sekcji historycznej. Jako istniejącej od początku zawiązania się

Towarzystwa, publikacye jej doszły do poważnej liczby 14 obszernych tomów. Prace, w nich zawarte, w całym świecie uczonym, nie wyjmując protestanckiego obozu, zasłużyły sobie na bardzo poczesne miejsce, wielokrotnie w dziełach naukowych są cytowane i niejeden ze znaczniejszych historyków się niemi posługiwał. Zyskały one zaś bardzo na zajęciu i wartości od czasu, jak Towarzystwo, dwa lata temu (o czem w swoim czasie doniosłem), utworzyło z ramienia swego stały instytut historyczny w Rzymie, wysyłając i utrzymując tamże na swój koszt czterech do sześciu młodych historyków, którzy przez ośm miesięcy każdego roku zajmują się głównie w archiwum watykańskiem — nie pomijając jednak i innych zbiorów — samemi źródłowemi badaniami.

Rok 1889/90 szczególnie był płodnym w nowe archiwalne odkrycia, zwłaszcza, że młodzi pracownicy puścili się na pole dotąd mało znane i wyzyskane. Całą pracę rozdzielili między sobą na dwa wielkie działy, z których jeden obejmuje gospodarkę finansową i jałmużniczą papieży awiniońskich, — drugi czasy Sykstusa IV. i V., albowiem w regestrach tych papieży największe — jak wiadomo — znajdują się szczyrbry.

Ale najważniejsze i najciekawsze roboty tyczyły się wspomnianej administracyi finansów z czasów papieży awiniońskich, mianowicie Jana XXII. i Grzegorza XI. Do publikacyi są już przygotowane bogate materyały co do przychodów i rozchodów papieskiego skarbu, a mianowicie co do departamentu jałmużniczego. Odkrycia w tej mierze poczynione, jak z jednej strony dowodzą bogactwa dochodów kuryi papieskiej — gdyż obejmują tylko podatki z dóbr duchownych i świętopietrza z Niemiec płynącego — tak z drugiej strony wykazują ogrom dobroczynności i skutecznej pomocy, jaka na cały świat z centralnego punktu władzy kościelnej niby z rogu obfitości się rozlewała. Gdyby nie zła wiara, na którą rzeczywiście nigdy i nigdzie lekarstwa niema, możnaby być pewnym, że nowe te, a wielce ciekawe odkrycia, raz nazawsze zamkną usta płytkim i nedorzecznym skargom o zbytkach, którym się dwór papieski oddawał, marnując dla osobistych i samolubnych celów dochody, z całego świata chrze-

ścijańskiego płynące. I tak w rubrykach przychodów i rozchodów (*introitus et exitus*), jałmużna (*eleemosina*) stanowi stałe daty rozchodów, jak niemniej tak zwana *panhota* lub *pinhota*¹. Wszystkie te wydatki nie tylko dowodzą ciągłego zajęcia się papieżstwa dziełami miłosierdzia, ale rzucają ciekawe światło na ekonomiczne i społeczne stosunki XIV. wieku. Wydatki na zakony żebracze i wspomaganie ubogich w najrozmaitszych krajach, ponoszone przez papieży, wynosiły rocznie wiele tysięcy złotych florenów; wiele klasztorów oraz kościołów klasztornych fundowali lub odnawiali; pieniądze na pożywienie w dniu świąteczne rozdawano; sukno, białinę, ubrania, obuwie, koldry, zboże, wino, warzywa, mięso i lekarstwa biednym rozsyłano; ubogim pannom lub wdowom sprawiano wyprawy, a niezamożnych duchownych i nawet świeckich kosztem kuryi papieskiej utrzymywano; ubogim kościołom rozdawano kielichy; uczonych zakonników w ich studiach wspomagano.

W tej mierze obrobiono już w zupełności pontyfikaty Jana XXII. i Benedykta XII.; poszukiwania nad pontyfikatami Klemensa VI. i Grzegorza XI. są w toku. Prócz tego bardzo ciekawe poczyniono odkrycia odnośnie do kosztów przywrócenia Stolicy apostolskiej w Rzymie. Zapomocą tychże można dokładnie uprzytomnić sobie ityneraryum papieży pomiędzy Awinionem a Rzymem i mnóstwo innych ciekawych dat z tych tak ważnych wypadków historyi Kościoła poznać. Wogóle dadzą nam te prace dokładny obraz tak co do ilości świętopietrza, do Rzymu napływającego, jak i co do podatków, którymi dobra duchowne na rzecz utrzymania Stolicy apostolskiej były obłożone. W każdym razie stwierdzono niewątpliwie, że tylko duchowni, nie zaś świeccy do regularnych danin byli zobowiązani. Rzecz prosta, że badania uczonych niemieckich ograniczają się głównie na stosunkach Niemców do Stolicy apostolskiej. Jeżeli się jednakże zważy, jak ogromne i naczelne miejsce imperyum rzymsko-nie-

¹ Etymologii i właściwego znaczenia tego słowa dotąd sprawdzić się nie dało; ponieważ atoli zawsze w związku z *eleemosiną* jest wzmiankowane, musi mieć zatem podobne jak i jałmużna znaczenie.

mieckie w historii politycznej między XIII. a XVI. w. zajmowało, to przyznać należy, że poszukiwania te mają ogólną historyczną wartość.

Dla czasów nowszych poszukiwania obejmują głównie raporta nuncyuszów z czasów Sykstusa IV. i V. z najrozmaitszych krajów; jak zaś dokładnie były te poszukiwania prowadzone, dowodzi, że dla uzupełnienia brakujących aktów przewertowano nuncyaturę Szwajcaryi, Hiszpanii, Francyi i Polski. I tak np. w trzydziestym tomie zbiorów *Nunziatura di Pologna* znaleziono raporta nuncyuszów z elektoratu kolońskiego, a w bibliotece Chigi akty do nuncyatury pragskiej. W ten sposób znajomość tak ważnego źródła coraz bardziej się uzupełnia tak dalece, że prace tego instytutu historycznego po kilku latach bardzo ważne dla historii Kościoła i dla historii politycznej owych czasów oddadzą usługi¹.

Prócz tego wspiera Towarzystwo rozmaite naukowe przedsięwzięcia; i tak wychodzi archiwum do prawa kościelnego niemieckiego, wydawane przez słynnego ks. Deniffe O. P. za współdziałaniem Towarzystwa, a wielka historia papieży przez dra Pastora, prof. uniw. w Insbrucku, nakładem Towarzystwa wydana została.

Z publikacyj kwartalnych Towarzystwa, przesyłanych regularnie członkom, na największą uwagę zasługuje interesujący niezmiernie opis podróży misyonarza O. Augusta Dehynse p. t.: „Ze Stanleyem i Eminem paszą przez wschodnią Afrykę“. Są to dzienne notatki misyonarza w ciągu najeżonej niebezpieczeństwami i trudnościami wyprawy, niezmiernie zajmujące, a uderzające swą prostotą i prawdą. Zastanowiliśmy się nieco dłużej nad temi pracami Towarzystwa, uważając, że godne są, by się w naszym kraju z nimi zapoznano. Zresztą to samo wrażenie, jakie przeszłą razą odnieśliśmy, i teraz się powtórzyło: zgodność i szybkość działania, wielka prostota i dobra wola, a przede-

¹ Notatki powyższe, jeszcze nigdzie nie drukowane, zawdzięczam uprzejmości dra Grauert, profesora uniwersytetu monachijskiego, a prezesa sekeyi historycznej Towarzystwa Görressowego.

wszystkiem gorąca wiara, która małymi środkami do zadziwiających dochodzi rezultatów.

Co do obecnego stanu Towarzystwa (rok 1889—90) jest on następujący: 15 członków honorowych, 20 dożywotnich, 1856 członków zwyczajnych i 675 uczestników. Majątek Towarzystwa według ostatniego obrachunku wynosi 53.695 marek. Po ukończeniu rozpraw wspólna uczta zgromadziła kilkudziesięciu biesiadników pod prezydencją ks. biskupa von Dinkel i barona Hertlinga, prezesa Towarzystwa. Ogromna sala słynnego hotelu augsburgskiego *Zu den drei Mohren*, przerobionego z dawnego pałacu Fuggerów, była widownią nadzwyczaj miłego i wesołego zebrania, nie mówiąc już o wieczornych zgromadzeniach w rozmaitych miasta lokalach, przy których członkowie po całodiennej pracy wspólnie się zabawiali i nawzajem zapoznawali. Sprawozdanie to kończę wyrażeniem najlepszych życzeń i nadziei dla dalszego rozwoju Towarzystwa.

Dr. Paweł Popiel.

JUAN MIZERYA.

(Z HISZPAŃSKIEGO).

(Dokończenie).

Salamankę trzymano w ścisłym zamknięciu. Proch, znaleziony w jej mieszkaniu, dowodził wyraźnie, że miała udział w spisku, uknutym przez republikanów, i sędzia, zmuszony walczyć jednocześnie z przebiegłością spiskowców oraz z tajemnem poparciem, jakiego im udzielały niektóre władze cywilne, sądził, że znalazł w Salamance nic, zdolną doprowadzić go do kłębka. Lopijillo, zdradzony przez mulata Marcina, zniknął bez śladu, dziwny zaś dokument, złożony w sądzie przez don Juana Beniteza, świadczył o porozumieniu, istniejącem między zbiegłym awanturnikiem a starą lekarką. Ze swej strony Juanita Perdigon, wiedzioną zazdrością i nienawiścią ku swojej sąsiadce, pośpieszyła oświadczyć, że widziała ten niebezpieczny dokument w ręku Salamanki. Ta ostatnia, ujrzawszy się w więzieniu samotną i opuszczoną, wpadła w najczarniejszą rozpacz: nieświadomość procedury sądowej powiększała w jej umyśle ogrom grożącego niebezpieczeństwa, każąc zarazem upatrywać w Lopijillu jedyną dla siebie nadzieję. Dlatego też uparcie trwała przy swoim, zapewniając, iż jęczmień nabyła od Lopijilla, aby nim zasiać pole, prawnie do niej należące, i twierdząc z pewnością, godną Lavoisier'a przy jego chemicznych wykładach — że wilgoć piwnicy zepsuła niewątpliwie ziarno, nadając mu pozory prochu. Sędzia,

słuchając tak zabawnych dowodzeń, z trudnością zdołał się powstrzymać od śmiechu, Salamanka zaś, chcąc go przekonać, przytaczała wiele dziwnych zjawisk, dostrzeżonych przez siebie w ciągu swego długiego, naukowego zawodu. I tak: nieboszczyk jej mąż miał wyłysieć z tej przyczyny, że sypiał w lecie nad rzeką; co więcej, widywała ona stonogi, które wskutek wilgoci z czarnych stawały się białymi. Dłaczegożby z jęczmieniem coś wręcz przeciwnego stać się nie mogło.

Tymczasem Juan, jedną tylko ścianą przedzielony od Salamanki, odprawiał właśnie przed kapucynem spowiedź z całego życia. Ojciec Paquito nigdy jeszcze nie mówił z nim o zbrodni, którą mu zarzucano, nie chcąc w tem czulem i szlachetnem sercu przykrych obudzać wspomnień; kiedy jednak Juan i w spowiedzi nie oskarżał się wcale z ciężącego na nim morderstwa, wówczas zdziwiony kapłan zwrócił się do niego wprost z zapytaniem:

— Nie sobie więcej nie przypominasz, mój synu?

— Nie, ojcze!

— Pomnij na to, że trybunał sakramentalny zupełnie jest innym, niż świeckie trybunały. W tych ostatnich wyznanie winy pociąga karę za sobą, tutaj zaś po wyznaniu grzechów otrzymuje się przebaczenie.

— Ależ ja wszystko już wyznałem — odrzekł młodzieniec i spojrzał z pewnem zdziwieniem na spowiednika.

— A twoja zbrodnia, mój synu? — zapytał nieśmiało kapucyn po kilku chwilach wahania.

— Ach, Boże! — zawołał Juan z boleścią — więc i ty ojcze sądzisz, żem ja ją popełnił?

I ręce załamał z boleścią; twarz jego oblał rumieniec wstydu, a z oczu spłynęły mu dwie duże łzy.

Kapucyn uściśkał młodzieńca:

— Uspokój się, Juanie — rzekł do niego z czułością — myślałem dotąd, żeś winny, lecz teraz już tak nie myślę — i wzruszony czystością tej pięknej duszy, sam się rozrzewnił, a wyciągnawszy dłonie nad pochylonym Juanem, wymówił sakramentalne słowa rozgrzeszenia.

Młodzieniec opowiedział mu dokładnie okoliczności, które

towarzyszyły śmierci Marcina Costilla, wspominając o niegodziwej potwarzy Lopijilla i Salamanki, których padł ofiarą. Usłyszawszy imię lekarki, kapucyn okazał niemałe zdziwienie, i po krótkiej rozmowie z więźniem, pożegnał go wcześniej niż zwykle.

Niedługo potem zgrzytnęły zardzewiałe rygle i zawiasy w drzwiach, prowadzących do celi uwięzionej znahorki, i przed wystraszoną kobietą stanął z rubaszną miną kapucyn.

— Hej stara, a to co? Jakimże cudem tutaj się dostałaś?

— Nic nie zawiniłam, ojcze wielebny! nic zgola — zawołała pokornie Salamanka — nieszczęście moje zawdzięczam tylko złemu językowi i fałszywemu świadectwu.

— To prawda! — odparł zakonnik.

I nie dając starej przyjść do słowa, palnął jej piorunujące kazanie o okropności fałszywego świadectwa; w strasznych kolorach przedstawił potwarzę, jak siedzi gdzieś na samem dnie piekiel, żując rozpalone główne, zanurzony aż po szyję w kotle wrzącego ołowiu i smoły.

— I te męki, — zakończył ojciec Paquito głosem grzmącym — te męki nie skończą się nigdy, ale trwać będą wiecznie, a to dlatego, córko moja, że *similia similibus curantur*!...

Salamanka, gorliwsza zwolenniczka Broussaïs'go, niż Hanemana, nie zrozumiała tekstu znakomitego homeopaty, odgadła jednak w słowach zakonnika złą dla siebie wróżbę; słuchała go więc ponuro, z zaciśniętymi ustami. Ojciec Paquito zrozumiał, że trafił w jądro rzeczy; zaczął więc wypytывать starą o przyczynę uwięzienia.

— Żle!... źle! — zawołał, kiedy ukończyła malowniczą historję o workach z jęczmieniem.

— Czy wasza Wielbność sądzi, że mię spotka co złego? — zapytała Salamanka, przerażona bardziej wymiarem ludzkiej, niż boskiej sprawiedliwości.

— To dobre!... Alboż nie złapano cię niemal za rękę na gorącym uczynku?... Czy sądzisz, że można bezkarnie zakłócać spokój i porządek publiczny?... Wierżaj mi, Salamanko, przynajmniej... przynajmniej cię powieszają!...

— Ach, Jezu!... nie mów tak, ojcze, na miłość boską!...

— Czy będę mówił, czy nie, to już tak być musi. Powieszają cię, z pewnością powieszają!... I zasługujesz na to zupełnie. Pomyśl, ktoby się odważył na spiskowanie przeciw rządowi, na porozumienie otwarte z takim łotrem, który ci dał proch do przechowania?...

— Ale, ojcze Paquito, na Matkę Najświętszą!... To nie był proch, ale jęczmień, tylko wilgoć go zniszczyła...

— Słuchaj, babo fałszywa! kłamiąc tak bezwstydnie, idziesz za głosem szatana. Ale bądź pewną, że cię nie minie kara tego Boga, którego dłoń sięga wszędzie na ziemi i na niebie. Mówisz o zgniliznie z wilgoci... Zobaczysz, iż sama wkrótce zgnijesz na cmentarzu, niegodziwa oszustko!... Jęczmieniem tym nabiją broń, z której do ciebie wystrzela!...

Salamanka zaczęła wzdychać, a ojciec Paquito przeszedł się kilka razy po celi z rękami na plecach założonemi, poczem zwrócił się ku niej nagle i zapytał:

— Kto jest twym sędzią?

— Don Mateo Vazquez — odparła żałośnie stara.

— No, to nie tak źle...

— Nie tak źle? — podchwyciła Salamanka, nabierając otuchy.

— Masz sędziego najsprawiedliwszego w świecie. Zresztą jestto mój przyjaciel, może... może... kto wie?...

— Ach, mój najdroższy ojcze, powiedz mu na miłość boską, że jestem biedną staruszką bez opieki i wsparcia. Jeżeli mój siostrzeniec...

— Twój siostrzeniec? Śmiesz jeszcze mówić przede mną o tym niegodziwym człowieku, o tym łotrze, który cię zgubił, który cię wsadził pomiędzy rogi byka?... Jeżeli chcesz z nim trzymać, to ja umyвам ręce. On ci stryczek zarzucił na szyję, niechże on ci go zdejmie...

— Ach, Jezu!... Ojcze Paquito, proszę mi o tem nie mówić... Wszak przestano już wieszać od czasu, kiedy Riego...

— No, to cię rozstrzelają, mniejsza o to; myślę, że wszystko jedno zginąć od stryczka, czy od kuli...

Salamanka, przenikniona do głębi niezachwianem przekonaniem, z jakim kapucyn do niej przemawiał, zaczęła gorzko płakać, a ojciec Paquito, zadowolony z wywartego na niej wrażenia, rzekł już nieco łagodniej:

— Pomówię z sędzią i może... może coś przynajmniej uzyskamy. Ale wiedz, Salamanko, że od ciebie to zależy, i pamiętaj, że jedna ręka myje drugą, obie zaś razem myją twarz. Jeżeli nie przestaniesz kłamać i będziesz współniczką Lopijilla w tej sprawie lub jakiegokolwiek innej, przed sądem wytoczonej (to wyrzekł z dobitnym naciskiem), wówczas będziesz nogami wywijająca w powietrzu!

Zmieszana lekarka zwiesiła głowę, bo chociaż nie mogła przypuszczać, aby ojciec Paquito wiedział o zbrodniczem oskarżeniu Juana Mizeryi, to jednak do tego występku zastosowała piorunujące słowa zakonnika. Ten zrozumiał, iż trafił w słabą jej stronę, i ukrywając swe zadowolenie, pożegnał ją zimnym wyrazem:

— Pamiętaj!...

* * *

Był Wielki Piątek.

W czasach, które opisujemy, większa część miast hiszpańskich przybierała w ten dzień cechę uroczystego smutku, który wzniosła i święta ofiara Kalwaryi zdawała się rzucać na świat cały. Milczały więc dzwony kościołów, powozy znikły z ulic, cichnął zgłęb kupiecki i ruch handlowy, a cała ta cisza przyniatająca i te żałobne ubrania przechodniów i coś nieokreślonego a uroczystego, wiszącego jakby w powietrzu, musiało nawet obojętnych i niedowiarków przejąć choć w cząstce tą powszechną boleścią w dzień święty śmierci Chrystusowej.

Salamanka przycisnąwszy czoło do kraty swej celi, patrzyła smutno i martwo na pusty plac, rozciągający się przed frontem gmachu więziennego. Przy głównej bramie wchodowej, po obu stronach wąskich kamiennych schodów, stały dwa stoły, pokryte czerwonymi dywanami; kto tędy przechodził, rzucał na tacę jał-

mużnę, przeznaczoną dla biednych więźniów, którzy wyglądali przez kraty okien. Niektórzy z tych biedaków dziękowali głośno hojnym dobrodziejom, inni bolesnem nawoływaniem starali się obudzić litość tych, co stoły omijali zdaleka.

Pod wieczór, gdy się poczęło zmierzchać, liczny tłum, zwiększający się z każdą chwilą, zaległ cały plac przed więzieniem. Bractwo konającego Chrystusa, obchodząc w W. Piątek w uroczystej procesyi ulice miasta, miało naostatku, wedle dawnego zwyczaju, odwiedzić więźniów w ich smutnem siedlisku.

Najpierw rozległ się dźwięk trąbki, cichy jak westchnienie, żałośny jak rzewna skarga. Niebawem ukazały się w bocznej ulicy dwa długie szeregi Bractwa; każdy z członków trzymał w ręku zapaloną świecę, których płomyki, poruszane wiatrem, świeciły i migotały wśród zapadającej nocy jak fala ruchomych gwiazd. A ponad tymi strumieniami światła i ponad wirem głów ludzkich szedł górą wizerunek Chrystusa rozpiętego na krzyżu. Niosło go dwunastu członków Bractwa; wkoło nich szła liczna gromadka dzieci; wszystkie przebrane za aniołki, trzymały w rękach narzędzia Męki Pańskiej. Cały ten smutny korowód zamykało kilku ludzi, ubranych w grubą żałobę, bijąc ponuro w bębny. Tłum ludu na placu stał w głębokiem milczeniu, przejęty tym rzewnym widokiem; ale po chwili jakiś głos czysty i dźwięczny zaczął śpiewać jedną z tych smutnych, do głębi duszy przenikających melodyj, zwanych w Andaluzyi *sactas* czyli strzały.

Głos ten wychodził z więzienia.

Ach! prawdziwe to strzały miłości i natchnienia, co ranią dusze szlachetne a wierzące. Jakiż to geniusz, Mozartowi nieznanym, zdołał zamknąć w czterech nutach te cudowne uczucia i dźwięki, wyrażające gorycz ostatniego Jezusowego technienia, niebiańską rezygnacyę Maryi, gorące lzy Magdaleny, i męską boleść Jana, aby powoli, stopniowo złączyć to wszystko w jednym jęku: „Ach!“ — jęku rzewnym, przeciągłym, nieutulonym bogobójczej ludzkości, klękającej przed Kalwaryą przez dziewiętnaście wieków.

Więzień śpiewał ciągle dalej — a śpiewał z tym odcieniem

rzewnej melancholii, jaką tylko w niektórych okolicach Andaluzji umieją nadać *sactom*:

*Con ese cuerpo llagado
Lleno de sangre y afrenta,
Pareces clavel morado
Lleno de perlas sangrientas*¹.

Natychmiast tysiączne inne saety rozległy się po wszystkich zakątkach placu, przerywając majestatyczną ciszę potężną falą tonów i miarowymi okrzykami: „Ach!“ A procesya rozwijała się coraz dalej i wkrótce na placu ukazał się obraz św. Jana, ukochanego ucznia Pańskiego. Wówczas zamilkły pieśni, a głos, który pierwszy zaczął śpiewać, ozwał się znowu zza kraty:

*Por allí viene San Juan
Vestido de rojo y verde,
Llorando detrás de Cristo
Las culpas que tú cometes*².

I znowu fala pieśni zaszumiała ponad placem, wznosząc się w niebo, a szeregi bractwa zwolna szły dalej.

Po chwili, jak promień chwały, zajaśniał ołtarzyk Najśw. Panny, w którym wśród aureoli, utworzonej ze światła i złota, wznosił się obraz Matki Bolesnej. Szata Jej lśniła od drogich kamieni, a szeroki płaszcz, złotem haftowany, zwieszał się aż poza piedestał, podtrzymywany przez czworo dzieł, przebranych za aniołków, uderzających jednocześnie w duże, srebrne dzwonki.

A więzień śpiewał:

*Por allí viene María.
María, mi madre del Valle.
En el corazon te tengo
Madre, no me desampares!*...³

¹ To ciało zranione,
Pełne krwi i hańby,
Wygląda jak kwiat pąsowy,
Krwawemi okryty perłami.

² Tędy przechodzi Jan święty,
Ubrany w zieleń i szkarłat,
Oplakujący za Chrystusem
Winy przez ciebie spełnione.

³ Tędy przechodzi Marya,
Marya, Matka del Valle,
Noszę Cię zawsze w sercu.
Matko, nie opuszczaj mię!

Procesya zatrzymała się na środku placu i naprzeciw więzienia stanął obraz Chrystusa; po prawej Jego stronie wznosił się wizerunek Matki Boskiej, po lewej św. Jana. Wszyscy więźniowie przybiegli do krat swych celek, niektórzy nawet wyszli z więzienia, wlokąc za sobą kajdany. Patrzyła na to wszystko Salamanka z kraty swego okna — patrzyła z jakąś boleścią. Snuły się jej przed oczyma obrazy młodości, kiedy to jeszcze była niewinną, kiedy do konającego Chrystusa tak wielkie miała nabożeństwo. A dzisiaj?... dzisiaj ten Chrystus patrzył na nią jakoś smutno, z jakimś cichym wyrzutem...

Wtem więzień znowu zaśpiewał:

*Alza los ojos y mira
Ese Señor soberano,
Que si estás arrepentido,
El remedio está en tu mano*¹.

Nikt nie zdoła opisać tego, co się działo wówczas w sercu Salamanki. Upadła twarzą na ziemię, płacząc łzami szczerzego żalu.

Tymczasem procesya powoli podążyła na ulicę przeciwną tej, z której wyszła; zprzód oczu więźniów zniknął najprzód Chrystus, potem Jan św., a gdy orszak, otaczający ołtarzyk Najśw. Panny, ruszył także w dalszy pochód, wówczas głos jakiś, nie tak doniosły jak poprzedni, ale drżący i wzruszony, zaśpiewał w ostatnim oknie więzienia:

*Madre bendita del Valle
Que por mí lloraste tanto,
Condenado estoy á muerte...
Ampárame con tu manto!*²

¹ Wzniesь oczy w górę i zobacz
Tego najwyższego Pana,
A jeżeli szczerą masz skrucę,
On jest lekarstwem w twojej ręce.

² Matko błogosławiona del Valle,
Coś tyle dla mnie płakała,
Mnie, com już na śmierć skazany,
Płaszczem Twojej okryj opieki!

Ludność, zebrana na placu, odpowiedziała na saetę więźnia rzewnym jękiem współczucia, przytłumiając słowa Salamanki, która, poznawszy głos Juana Mizeryi, wołała zpoza kraty:

— Niewinny!... niewinny!...

I jakby odpowiadając jakiejś skrytej myśli, dodała, złożwszy na krzyż wychudłe swe palce:

— Przysięgam Ci, moja Matko del Valle!... Na ten krzyż Ci przysięgam!...

A gdy na placu pozostał tylko tłum, rozpraszający się powoli, oraz daleki odblask światła i odległe echo srebrnych dzwonek, wówczas Salamanka zawołała znowu, wyciągając ręce poza kratę:

— Przysięgam Ci to, Matko!... przysięgam!...

Następnie poszła w najciemniejszy kąt swej celi i z głową opartą na wychudłych kolanach, siedziała nieruchomo przez długi czas. Wreszcie wszedł ojciec Paquito ze światłem w rękę.

— Co robisz, Salamanko? — zapytał zdziwiony jej widokiem.

— Odmawiam różaniec — odparła.

— Różaniec w rękę, a dyabeł w kieszeni — odrzekł zakonnik.

Salamanka milczała, a ojciec Paquito, umieściwszy światło na framudze okna, zastępującej stolik, i bacznie spojrzawszy na starą, usiadł przy niej, mówiąc:

— Czyś widziała procesję, Salamanko?

— Tak ojeze — odrzekła.

I gorzkie, nieutulone łkania wydarły się z jej piersi.

Zakonnik spojrział na nią z wyrazem współczucia, i nie okazując najmniejszego zdziwienia, rzekł tonem żartobliwym i serdecznym:

— Cóż to jest, Salamanko?... Czyżby na widok obrazu Chrystusa szatan ustąpił z twej duszy?...

Stara płakała w milczeniu. Ojciec Paquito ujął ją za rękę, długą i wyschlą jak ręka trupa.

— Chodźno tu, staruszek!... Jakże ty drżysz okropnie!...

Masz, okryj się trochę... Usiądź tu... No, no, nie obawiaj się, może cię nie powieszają...

I mówiąc to, otulił starannie biedną kobietę własnym swym płaszczem, poczem usadowił ją na nędznym łożku, stanowiącem jedyny sprzęt tej celi.

— Czy wiesz, co powiedział sędzia? — ciągnął dalej łagodnie. — Doskonały człowiek... Wcale dobrze usposobiony...

Salamanka przestała płakać i podniosła głowę.

— Powiedział mi tak: Mój ojcie Paquito, jeżeli Salamanka pragnie się ztąd wymknąć, to od niej to zależy. Powiedz jej, że ją uwolnię bez żadnej kary, skoro tylko cofnie...

I utkwivszy w starej przenikliwie spojrzenie, ojciec Paquito zakończył powoli:

— Potwarz rzuconą na Juana Mizeryę...

— Choćby mię miano powiesić, uczynię to, uczynię z pewnością! — zawołała Salamanka, powstając szybko z miejsca.

Zdziwiony zakonnik cofnął się o parę kroków. Spodziewał się oporu, obłudy i wykrętów, właściwych tak przebiegłej naturze; tymczasem Salamanka wyprzedzała jego życzenia — patrzył więc na nią niedowierzająco. Ona zaś, złożywszy na krzyż wychudłe dłonie, z coraz większym powtarzała zapalem:

— Uczynię to, ojcie Paquito! z pewnością uczynię!... Na ten krzyż przysięgłam N. Pannie del Valle i choćby mię mieli powiesić, z pewnością to uczynię!...

I osłabiona wielkiem wzruszeniem, drżąc zaczęła na całym ciele, zachwiała się na nogach, i gdyby zakonnik nie był jej podał ręki, upadłaby była na ziemię w przystępie jakiegoś gwałtownego ataku. Ojciec Paquito pochylił się nad nią i otulając ją troskliwie, jak matka, swoim płaszczem i jakąś szmatą, znalezioną na łożu, mruknął między zębami:

— Mówią, że dąb nie upadnie od jednego cięcia... Jednak jeżeli Bóg zechce, to i powiew wiatru obalić go zdoła!...

Po chwili ten syn hiszpańskich magnatów usiadł pod oknem na ziemi, aby przez całą noc czuwać nad tą biedną i występłą kobietą.

W dzień Wielkiejnocy Salamanka wypowiadała się przed

ojcem Paquito i z rąk jego w kaplicy więziennej przyjęła Przenajświętszą Eucharystyę. Następnie, po długiej rozmowie ułożono, iż Salamanka po skończonych świątach cofnie przed sędzią potwarcze oskarżenie Juana... Lecz jakież było przerażenie i boleść kapucyna, gdy przyszedłszy w dniu oznaczonym do więzienia Salamanki, dowiedział się, że Alkad zeszłej nocy otrzymał rozkaz uwolnienia jej i wydał ją dwom nieznanym ludziom, którzy po nią przybyli.

Zakonnik, widząc zniweczone wszystkie swe nadzieje, pobiegł natychmiast do Corral de los Chicharos, lecz nie znalazł tam Salamanki; ani w jej mieszkaniu ani gdzieindziej nic o niej nie słyszano.

W kilka lat później, po śmierci wielu osób, grających rolę w tem opowiadaniu, robotnicy czyszcząc kanał miejski, znaleźli zwłoki ludzkie, zawinięte w płachtę. Niepodobieństwem było rozpoznać ofiarę okropnej śmierci; lekarze tylko orzekli, iż to był trup starej kobiety, zmarłej skutkiem uderzeń w głowę. Szczególną uwagę zwracało to, że prawa ręka ścisnęła mocno dwa kawałeczki sukna w kształcie szkaplerza, złączone sznurkiem ze sobą. Z kształtu tych kawałków i z innych jeszcze pomniejszych oznak domyślali się niektórzy, że to był szkaplerz bracki konającego Chrystusa.

* *

Drugi cios, bardziej jeszcze bolesny, dotknął niebawem litościwego zakonnika. Oto, gdy zmartwiony niespodzianem zniknięciem Salamanki, pośpieszył zawiadomić o niem sędziego, dowiedział się, że zacny ten urzędnik otrzymał rozkaz przeniesienia się niezwłocznie do innej okolicy, miejsce zaś jego zajął jeden z ludzi bez litości i sumienia, którzy w wielu miejscowościach przynosili wówczas hańbę hiszpańskiej biurokracyi. Ten człowiek z niezwykłą szybkością przeprowadził sprawę Juana i w parę miesięcy później niewinny więzień miał już napewne zginąć na rusztowaniu.

Wówczas kapucyn ujrzał jasno w tym manewrze rękę Lo-

pijilla, który gdzieś w ukryciu zużytkowywał potężne swe wpływy. Zacny kapłan nie stracił jednak odwagi, i wiedziony gorącym współczuciem dla nieszczęśliwego więźnia, jak również oburzeniem, jakie zawsze budzi w duszach szlachetnych prześladowanie niewinnych, zwrócił się do swej siostry, hrabiny de Bardira, w której ostatnią pokładał nadzieję. Zaczynała ta i litościwa pani, której mąż piastował przez długi czas rozmaite wysokie, dyplomatyczne urzędy, liczyła niemal wszędzie wpływowych przyjaciół, jakich jej zyskiwało szlachetne serce, wysokie wykształcenie, oraz długi szereg znakomitych przodków i ogromne dochody; których część znaczną dzieliła między ubogich.

Hrabina była znacznie młodszą od swego brata i miała dla niego głęboki szacunek, chociaż go raz tylko w życiu widziała, i to wśród ciekawych okoliczności. Było to tak: Cała rodzina postanowiła zebrać się na wspólną ucztę w oznaczonym miejscu i czasie; kapucyn nie chciał brać udziału w tym familijnym zjeździe, jednak na rozkaz przełożonego musiał uleść i udał się do pałacu swych przodków w wytartym swoim habicie. Wszyscy powitali go tam z serdecznością pełną szacunku i zmusili do zajęcia pierwszego miejsca u stołu. Kapucyn usiadł, skosztował parę łyżek zupy — i nagle wstał od stołu i wyszedł z jadalni, nie wyrzekłszy ani słowa. Obecni niemało się tem zdziwili, nie wiedząc, czemu ten odwrót przypisać i sądzili, że zakonnik za chwilę się ukaże; lecz upłynął czas dłuższy, a ojciec Paquito ani myślał o powrocie. Napróżno szukano go w całym domu, wreszcie dowiedziano się u odźwiernego, że ojciec Paquito wyszedł z pałacu i odchodząc, dał mu medalik Najśw. Panny.

Wówczas jeden z siostrzeńców zakonnika udał się na stację dylizansu, który właśnie w tej porze odjeżdżał, i ujrzał wuja, siedzącego na wierzchu powozu wśród pakunków, tłumoków, pudełek i znoszącego wszystkie te niewygody z filozoficzną cierpliwością.

— Wuju Franciszku! dlaczego nie chcesz z nami jeść obiadu? — zapytał z dołu siostrzeniec.

Zakonnik, nie tracąc swego spokoju, odpowiedział mu z góry:

— Jadłem już, mój synu; kazano mi, abym z wami jadł, więc jadłem.

— Ależ wuju Franciszku, wszyscy na ciebie czekamy.

— Cicho chłopcze... W niebie dłużej będziemy razem...

Rzecz dziwna. Nikt z magnatów, zebranych w pałacu, nie obraził się tym oryginalnym postępkom zakonnika, nikt z niego nie szydził; wszyscy zrozumieli ducha, kierującego jego czynami, i należną mu oddali sprawiedliwość. Nie tak łatwą była sprawa z przełożonym klasztoru, który nie mogąc wstrzymać się od śmiechu i uwielbiając w duchu niepospolitego człowieka, rzekł mu jednak surowo:

— Mój bracie Franciszku, bądź świętobliwym, i owszem, ale mi nie bądź dziwakiem...

Hrabina przyjęła brata jak najserdeczniej. Z największem oburzeniem wysłuchiwała jego opowiadania o losach nieszczęśliwego młodzieńca.

— Co za niekzemność! — zawołała gwałtownie, nie dając bratu dokończyć. — Niepodobna pozwolić na to! Nie mam teraz przyjaciół w Madrycie, bo ludzie, rozkazujący tam obecnie, nie należą do mego towarzystwa. Ale to nic nie szkodzi, napiszę... tylko że list na nie się nie zda, nie zwrócą na niego uwagi... Skazać na śmierć niewinnego!... Okropność! Co począć, mój Boże, co tu począć?...

I zacna kobieta, miotana współczuciem, oburzeniem i niepewnością, zamyśliła się głęboko. Kapucyn z trudnością panując nad wzruszeniem, przypatrywał się jej uważnie i poruszał ustami, jak gdyby się modlił.

Nagle hrabina zerwała się z kanapy z wyrazem silnego postanowienia:

— Jutro wyjeżdżam do Madrytu i zdobędę ulaskawienie tego człowieka!

— Pani! — rzekł trwożnie jeden z obecnych gości, przyjaciół domu — taka podróż w obecnych okolicznościach jest dobrowolnem narażeniem się na niebezpieczeństwo...

— Alboż ją po raz pierwszy będę odbywała?...

— Ale dzisiaj, jako żona hrabiego de Bardira, możesz pani doznać zniewag i obelg od tych ludzi.

— Panie! — odparła hrabina, wskazując prześliczny krucyfiks z kości słoniowej, wiszący na ścianie, na tle czarnego aksamitu. — Ten, którego pan tu widzisz, był Bogiem, a jednak dla człowieka pozwolił się ukrzyżować!...

Wówczas kapucyn wyprostował suchą swą postać, wyciągnął do hrabiny obie ręce i zawołał wzruszony:

— Siostro!

Hrabina rzeczywiście wyjechała do Madrytu, lecz upływał dzień za dniem, a od niej żadnych nie było wieści. Nadszedł nareszcie dzień egzekucyi, piękny i pogodny, lecz cichy i smutny, podobny do wyrazu głębokiej troski na młodej i pięknej twarzy. Po ulicach, na których od czasu do czasu dawał się słyszeć głuchy turkot wozów, przesuwali się co chwila ludzie, ubrani w czarne szaty z wyhaftowanymi na nich czerwonymi sercami, stanowiącemi oznakę Braci Miłosierdzia, i wołali ponuro:

— Módlcie się za duszę, która dziś stanie przed sądem bożym!

Kapucyn nie wspomniał Juanowi o oczekiwaniem ułaskawienia, ponieważ jego głęboka rezygnacya nie potrzebowała tej sztucznej pociechy. Ta dusza młodzieńcza, wzmocniona wiarą i rozjaśniona światłem nauki katolickiej, pragnęła spoczynku, śmierci, i nie żałowała życia. Osłabiony fizycznie, ale spokojny moralnie, Juan Mizerya był podobnym do podróżnika, wspinającego się na wysoką górę i czującego, że zmęczenie ogarnia jego członki, ale że zarazem dusza napęla się wzniosłym zapalem i wraz z całą ziemią składa hołdy Stwórcy. Wówczas utrudzenie znika wobec uczucia błogiego i rzewnego, które podnosi serce ku niebu, jego prawdziwej ojczyźnie. Wówczas słabość cielesna ustępuje przed siłą duszy, biorącej udział w tym przedziwnym koncercie, w tej zachwycającej harmonii, w tej niezmiętej orkiestrze, w której gorycz łez i słodycz uśmiechu zlewają się ze sobą, aby wytworzyć tę jedną prześliczną nutę, ten jeden błogosławiony akord: Bóg!...

Chociaż nerwowe dreszcze przebiegały członki Juana, je-

dnak błogi spokój panował w jego umyśle, jaśniał w jego oczach i przebiegał się w jego mowie. Jeżeli ciało ludzkie jest mdłe, to duch chrześcijański zawsze jest silnym; tanto pochodzi ze ziemi, a on z nieba.

— Ojcie — mówił Juan Mizerya do kapucyna, który nie opuszczał go ani na chwilę — teraz, gdy śmierć moja tak blisko, wszystko snem mi się wydaje. Gdy spojrzę poza siebie, zaczynam się trwożyć, gdy patrzę przed siebie, nabieram odwagi. Za mną jest życie, które już zbrzydło, przede mną śmierć, której pragnę szczerze.

— Synu — odrzekł zakonnik — Duch św. mówi, że dzień śmierci jest lepszym od dnia urodzin. Ten rozpoczyna cierpienie, tamten je kończy; dla sprawiedliwego śmierć jest snem, a trumna kolebką.

Juan Mizerya zamilkł na chwilę, przysłuchując się uważnie słowom kapłana, poczem rzekł z głęboką zadumą:

Para ir de este mundo al otro

Atravesamos un mar.

Tal vez por eso á la cuna;

Forma de barco le dan!...¹

I ze skrzyżowanemi rękami, z oczyma szeroko otwartemi, utkwionemi w podłogę, dodał, jakby gdzieś w przestrzeni czytał to, co mówiły jego usta:

— Myślę, że może już kopiać mój grób... Nic mię już teraz nie trwoży, bo tam wszystkiego się spodziewam. Mimowoli jak dźwięki dalekiej muzyki nasuwa mi się wspomnienie tych lat, gdy byłem jeszcze dzieckiem i mieszkalem w domu wuja Parra. Ile trudów! ile cierpień! ile pracy! ile łez! jak mało chwil pociechy! Cóż to było za życie!...

Kiedy nadeszła godzina spoczynku, jakże się z niej cieszyłem!... Teraz już nie będzie dla mnie życia, nie będzie snu, tylko grób leży już przede mną!... Sypiałem zawsze z moją

¹ By przejść z jednego świata na drugi,
Przeplynać trzeba przez morze.
Ztąd też niekiedy kołyskom
Kształt łódki dają.

matką i jeżeli biedaczka płakała, to płakałem i ja, bo mi wtedy było bardzo smutno!... Pewnego dnia schowałem dla niej kawałek chleba, lecz nie chciała go jeść; był on dla niej gorzkim, bo skropiłem go łzami!... Inną razą mawiała do mnie: „Czy cię bito synku?“ — „Tak, tak!“ — „Nie płacz dziecie, bo wuj Parra się obudzi, chodź tu lepiej i pomódl się ze mną“. — I wtedy mówiłem z nią razem:

*Madrecita de mi alma!
A acostarme voy.
Si la muerte me llamare,
Y no pudiera responder,
Desde ahora digo, Jesus, María, José...¹*

Oprócz tej modlitwy nie mi nie zostało po matce!... Teraz będę ją widział zawsze, ach zawsze!...

Pewnej nocy zdało mi się, że matka mię całuje, obudziłem się uradowany, a ponieważ czoło miałem zwilżone, sądziłem że to prawda... Ale to tylko Peneque, pies wuja Parra, polizał mię po twarzy... Poczciwe zwierzę!... co się z niem teraz dzieje, gdy mnie tam już niema!...

Ojcze. — dodał, podnosząc oczy z nieopisaną nieśmiałością smutkiem — ojcze, litujesz się nad wszystkimi, pomyśl i o moim biednym psie.

W tej chwili zawołano kapucyna i posłaniec pocztowy podał mu telegram, wysłany z Madrytu przez hrabinę de Bardira, zawierający te tylko słowa: „Ułaskawienie obiecań — staraj się powstrzymać egzekucję“. Zakonnik, któremu bolesna rezygnacya Juana rozdzierała duszę, wrócił do niego pełen nadziei i po kilku słowach przygotowawczych rzekł:

— Miłosierdzie boże jest nieskończonem; nieraz tonącemu rozbitkowi podaje jeszcze deskę ocalenia, może więc i tobie, chociaż stoisz już nad grębem, ocali Bóg życie.

¹ Mateczko mojej duszy!
Opiekuj się mną,
Gdyby śmierć mię zawołała,
A nie mógłbym odpowiedzieć,
Teraz już mówię: Jezus, Marya, Józef!...

— Życie? — odrzekł więzień.

— Czyż go nie pragniesz?...

— O nie, jeżeli Bóg dłużej mi żyć każe, będzie to zapewne dla mojego dobra, lecz wówczas próba będzie także dłuższą.

— Tak, mój synu, ale większą też będzie nagroda.

— Jużem przygotowany, ojcze, i chciałbym, aby to, co ma nastąpić, co rychlej nastąpiło... Kiedy wybije ostatnia moja godzina, proszę cię, ojcze, powiedz mi o tem.

— Synu — odrzekł kapucyn głosem drżącym ze wzruszenia — dzisiaj jeszcze będziesz się modlił w niebie!

Tymczasem hrabina de Bardira, pełna głębokiego współczucia dla nieszczęśliwego więźnia, starała się o względy tych, którzy niedawno jeszcze mówili do niej stojąco i z odkrytą głową. Gdyby tylko miała do walczenia z demokratyczną pychą rewolucjonistów, łatwiejby jej przyszło dopiąć zamierzonego celu; pozorna nieugiętość tych panów ustępuje szybko przed znacznym kapitałem lub znakomitym tytułem, — ale niestety, miała jeszcze drugiego przeciwnika, który paraliżował wszystkie jej zabiegi, przeciwnika tem groźniejszego, że działał w ukryciu, a działał z tą zawziętością, na jaką zdobyć się może tylko osobista nienawiść i żądza zemsty. Był to Lopijillo. W Madrycie rachowano się z Lopijillem — ale ostatecznie i hrabiny nie chciano zrażać; chwycono się więc drogi nieuczciwej, ale wygodnej: postanowiono zadowolnić Lopijilla, wykonywując wyrok śmierci na Juanie Mizeryi, a zarazem zachować względy, hrabinie przynależne, wysyłając ulaskawienie w parę godzin po egzekucyi. Ale zaczęła ta pani była podług słów Ewangelii czystą jak gołębia, lecz jak wąż przezorną; zawiadomiła więc swego brata o niezbędnej potrzebie odwołania strasznego aktu jak można najdłużej. Zakonnik, uprzedzony telegramem, oczekiwał ze drżeniem trwogi i radości obiecanego ulaskawienia. Lecz niestety, nie nadchodziło ono wcale — i po dwóch godzinach zwłoki, z łaski otrzymanych, nadeszła trzecia, nieubłagana, straszna, powolna...

— Ojcze, — rzekł Juan, kiedy już miał się udać na miejsce stracenia — żał mi tego Lopijilla. Powiedz mu, ojcze, że

ja odpuszczam mu wszystko i że tam w górze będę się modlił za niego.

— Dobrze, mój synu; w taki sposób naśladujesz Zbawiciela, który konając na krzyżu, modlił się za swych morderców.

— Również — dodał Juan Mizerya — będę się modlił za ciebie, ojcze, za Braci Miłosierdzia i za moją Maryanillę...

— Dlaczegoż nie najprzód za Maryanillę, a potem dopiero za nas?...

— Bo wdzięczność przed miłością ma pierwszeństwo... Kto się odwdzięcza, płaci dług zaciągnięty, a kto się modli za tych, których kocha, modli się jakby za siebie samego.

Ponury orszak wyruszył w drogę, poprzedzony przez dwa szeregi żołnierzy, którzy bagnetami torowali drogę wśród tłumu. Szedł Juan Mizerya z rękami skrzyżowanymi na plecach, w czarnym płaszczu i w czarnej, okrągłej czapce, otoczony Braćmi Miłosierdzia; kapucyn zaś, idąc po prawej jego stronie, pokazywał mu wizerunek Ukrzyżowanego. Młodzieniec się modlił.

Zdaleka już od placu stracenia widać było hańbiące, okropne rusztowanie; dreszcz nerwowy przebiegł po członkach Juana; utkwił jednak oczy w szubienicy i wyrzekł bez najmniejszego strachu i trwogi:

— Ojcze... po tem wszystkim nastąpi niebo...

A orszak żałobny posuwał się zwolna po placu; błyszczące bagnety żołnierzy, wystając ponad głowy, zdaleka znały drogę: rzekłbyś, ogromny stalowy wąż, czołgający się wśród tłumu. A w owym tłumie widać było jakieś wzburzenie, coraz głośniej dawały się słyszeć to okrzyki współczucia i smutku, to głuche groźby. Nagle ten różnorodny, niewyraźny szmer zamienił się w głośną, potem w przeraźliwą wrzawę; na samym końcu pochodu ludzie poczęli się tłoczyć, ręce i chustki wznosić do góry, cisnąć się do więźnia...

— Przebaczenie! przebaczenie! — krzyknęło kilka głosów z oddali.

— Przebaczenie! — zawołał kapucyn, podtrzymując więźnia, który się zachwiał.

— Przebaczenie! — powtórzył skazaniec z mimowolną radością.

I padł nawpół zemdlony w objęcia zakonnika, a patrząc na niego mglisto i sennie, rzekł z nieopisanem jakimś uczuciem:

— Ach, ojczyzno!... Dzisiaj jeszcze nie będę się modlił w niebie!...

* * *

Dnia 18 marca wśród potoków krwi wybuchło wreszcie powstanie federalnych republikanów, przygotowywane przez Lopijilla i jego stronników. Był to smutny okres dziejów, świadczący, iż ludzie ambitni pozując na obrońców ludu, własnego tylko szukają wyniesienia i są gotowi lud ten poświęcić dla osobistych interesów, stwierdzając swymi czynami to, co pewien pisarz powiedział, że sztandary stronnictw stają się częstokroć dla ojczyzny całunem.

Było to zrana. Czerwony punkt na wschodzie, jak krwawe jakieś znamię, wskazywał miejsce, gdzie słońce miało zabłysnąć. Słońce jednak, jakby nie chcąc oświecić okropnego widowiska śmierci, nie śpieszyło się wcale z pękami swych promieni. W całym mieście głęboka panowała cisza; nie był to jednak spokój snu, co miłe przynosi złudzenia, ani też samotność, spokojna, choć melancholiczna, co uczonemu pozwala zagłębić się w myślach, a sprawiedliwemu poznać siebie samego. Był to zimny, przerażający spokój śmierci, co upokarza pychę, cnotę pociesza, a dreszczem trwogi przejmuje występki. Zdawało się, że Azrael zatrzepotał skrzydłami nad tem miastem zamarłym i nadał mu straszną nieruchomość grobów i cmentarzy. Drzwi i okna zamknięte szczelnie, jak serce bezbożnego dla skruchy, nadawały ulicom smutny widok długich i szerokich katakumb, ozdobionych grobowcami w prawo i w lewo.

Powoli, stopniowo, w miarę, jak słońce wznosiło się ponad widnokregiem, poczęły się tu i owdzie otwierać małe drzwiczki okiennic, tu i owdzie wyglądnęła twarz blada i wystraszona, kryjąc się zaraz napowrót. Coraz częściej i donośniej rozlegały

się strzały, przerywając ponurą ciszę, a od czasu do czasu ciężkim, powolnym krokiem przesuwali się po ulicach grabarzy, dźwigając na noszach rannych we wczorajszej walce albo poległych, którym w ostatnim pochodzie do grobu nie grały dzwony, tylko głucho echo wystrzałów.

Jeden z tych smutnych orszaków wyszedł z ulicy Cerro-Fuerte, gdzie właśnie wojsko zdobywało barykadę, i skierował się ku więzieniu. Przodem szło dwóch żołnierzy z karabinami o odwiedzionych kurkach, aby można było dać ognia na najmniejszą oznakę alarmu, dalej postępowało czterech ludzi, obarczonych noszami, na których leżał bezwładnie człowiek, okryty płaszczem żołnierskim. Zpod tego płaszcza wydobywały się co chwila straszne jęki i przekleństwa, a po noszach i po ramionach tragarzy spływały smugi krwi. Dwóch żołnierzy z nabitymi karabinami w rękę zamykało pochód.

Szpital więzienny, do którego zanieśiono rannego, mały, brudny i źle przewietrzany przedstawiał wstrętny obraz. Około dwudziestu rannych leżało tam na ziemi, na rozrzuconej słomie, albo i na gołej podłodze. Lekarz, który nic nie miał pod ręką oprócz szarpi, prześcieradła i kłęбка czarnych nici, opatrywał wszystkich chorych, jak mógł i umiał, a ojciec Paquito chodził od jednego do drugiego, spowiadając konających, wskazanych sobie przez lekarza, jakby przed śmiercią nauka bezsilnie uchylała głowę, ustępując miejsca religii, niosącej spokój i pociechę.

Żołnierze złożyli na ziemi nosze i jeden z nich podniósłszy płaszcz, ukazał skrwawionego człowieka, w którego zeszpeconej twarzy malowała się agonia, cierpienie i straszna, bezsilna rozpacz. Jedna ręka rannego ścisnęła konwulsyjnie połę od płaszcza, druga zaś, zgruchotana kulą, leżała nieruchomo. Zpod rozdartej koszuli, przyklepionej do ciała zaskrzepłą już krwią, widać było w boku głęboką ranę, z której sączyła się krew.

Kapucyn wzruszony okropnym stanem tego człowieka, przybiegł ku niemu ze słowami miłości i pociechy. Ale ranny oparł się na łokciu, spojrzał na niego szklannymi oczyma i upadł znowu na nosze, mruczając między zębami jakieś przekleństwo...

Był to Lopijillo.

Kusiciel ludu, głosujący zuchwale za sprawą, której nie rozumiał, stracił odwagę w chwili, w której słowa należało poprzeć czynami. Towarzysze jego widząc, że się waha, stracili w nim zaufanie i popchnęli go na barykadę, gdzie nieszczęśliwy, podejrzany o zdradę przez swoich, ujrzał śmierć przed sobą i za sobą.

Walka była straszną, jak wszystkie wogóle bitwy, w których zwycięstwo stronnictw przeciwstawia się interesom ojczyzny i w których ścierają się ze sobą nie wrogowie, lecz bracia.

Lopijillo, który nigdy męstwem się nie odznaczał, osłupiał, znalazłszy się na szczycie barykady, po chwili jednak ześliznął się nieznacznie do otaczającego ją rowu, zamierzając udać trupa i w taki sposób się ocalić. Niestety, barykada nietrwale i źle zbudowana, runęła, druzgocąc go okropnie; gdy zaś ogłuszony starał się zpod niej wydobyć, jeden z żołnierzy pchnął go w bok bagnetem, drugi zaś zmiażdżył kulą prawą jego rękę.

W końcu szpitalnej izby stało obozowe łóże, zwilżone krwią jakiegoś rannego, który właśnie skonał, a którego zwłoki zabrano już ztąd, aby zrobić miejsce dla Lopijilla. Lekarz spoglądał tylko na niego, kiwnął ręką znacząco i rzekł do zakonnika:

— Śpiesz się, ojcze, bo on już zaraz uda się w drogę.

Na te słowa ranny otworzył oczy, podniósł na chwilę głowę i wyszeptał zdziwiony:

— Gdzie jestem?

A widząc przed sobą zakonnika, który wydał mu się posłańcem śmierci, dodał z odcieniem trwogi, jaką uczuwamy przed czymś nieznanem a bliskiem:

— I dokąd pójdę?...

— Przed oblicze Boga, który cię wzywa, mój synu — odrzekł ojciec Paquito.

Nieopisane przerażenie odmalowało się na twarzy Lopijilla; głowa opadła mu na piersi, zadrżał nerwowo i zgrzytnął zębami. Zakonnik mówił mu o zbawieniu duszy, zachęcając do spowiedzi i do ufności w miłosierdziu Boga — lecz ranny nie odrzekł ani słowa, tylko łkanie wydarło mu się z piersi, tylko łzy gorące popłynęły z oczu.

Trudno było wyczytać na tej twarzy, pokrytej już śmier-

telną bladością, czy łyzy te wywoływało wspomnienie przeszłości, czy myśl o życiu przyszlēm, nadzieja czy trwoga, miłość czy nienawiść. Ranny nie poruszał się wcale na łożu, bo zmiażdżone jego członki wszelką utraciły władzę, nie mówił też nic, bo krwawa piana, z ust spływająca, tamowała mu słowa. Tylko oczy szeroko otwarte poruszały się szybko i gwałtownie, jakby uciekając od dręczących widziadeł.

Okropna rzeczywistość i trwoga wobec nadprzyrodzonego świata przygniatały mu duszę, zabójcze wyziewy krwi tamowały oddech, do uszu dochodziły jęki rannych, obok niego konających i oskarżających go o swą śmierć przedwczesną, wzrok zaś jego zdawał się upatrywać jakieś światło boże, w którym jak w zwierciadle odbijały się wszystkie jego występki. Było to sumienie.

Nagle jakiś czarny przedmiot stanął między jego oczyma a strasznemi widziadłami: Lopijillo ujrzał nad sobą rękę, trzymającą krzyż i udzielającą mu błogosławieństwa, usłyszał głos miękki i łagodny, szepczący mu słowa przebaczenia. Lecz słowa te, zamiast być dla niego zapowiedzią końca ziemskiego wygnania, rozległy się w jego uszach jako zapowiedź przerażającej wieczności.

Dusza bezbożna drży przed wiecznością, truchleje na samo jej wspomnienie, a pragnąc się wyrwać z jej rąk i uciec od bliskiej śmierci, czepia się zwątlonego już ciała i oboje toczą razem tę ostatnią walkę, po której jedno czeka rozkład, drugą sąd niezwłoczny. A tymczasem cierpienia się zwiększają, siły się wyczerpują, trwoga wzrasta z każdą chwilą, nadzieja ucieka, a na jej miejsce zbliża się śmierć, z wyciągniętą swą kosą... Z zaciśniętych ust Lopijilla wydobyło się chrapanie, zgruchotana ręka podniosła się ku niebu, nie wiedzieć czy grożąc, czy żebząc o przebaczenie — i fala krwi oblała wizerunek Chrystusa, miłościwie nad nim się chylący. Kapucyn cofnął się przerażony, — a gdy się znowu pochylił nad tą okropną twarzą, już śmierć wyryła na niej strasznemi swemi zgłoskami napis nieczytelny dla człowieka...

*

*

*

W kilka lat później porządek w Hiszpanii został przywrócony i pozornie przynajmniej zapanował spokój.

W piękną majową niedzielę pułk królewski słuchał mszy św. w kościele zakonnice w D**. Nawę główną zajmowało wojsko, w bocznych mieścili się wierni, w prezbiterium dziesięciu oficerów z jednej i tyluż z drugiej strony tworzyło straż honorową, dwóch zaś kadetów, młodych jeszcze chłopaków, służyło do mszy.

Na niższym chórze kościelnym znajdowały się zakonnice. Lekka zasłona, zwieszając się ponad tym chórem, ukrywała święte dziewice przed ciekawem okiem światowca, tworząc tę niezgłębioną przepaść pomiędzy cnotą a występkiem. Łańcuch to silny, przykuwający lwa a zarazem obraz mądrości katolickiej, — która dla stłumienia najgorętszych namiętności wystarcza.

Chór wyższy zajmowały nowicyuszki zakonne; wśród nich znajdowała się Maryanilla, na której po tylu przebytych cierpieniach zaledwie cień pozostał z dawnej hożej i silnej młodości. Dusza jej, oczyszczona nieszczęściami, w tem zacisznem ustroniu zwracała wzrok ku niebu, jak wygnaniec spoglądający z tęsknotą ku ukochałej ojczyźnie, jeżeli zaś kiedykolwiek spojrzała na ziemię, to tylko dlatego, aby przebaczać i modlić się za tych, którzy jej tak wielką wyrządzili krzywdę.

Teraz klęcząc wśród swych towarzyszek, modliła się gorąco, gdy tymczasem muzyka wojskowa wykonywała jakąś rzewną melodyę, która zdawała się unosić ku niebu wraz z modlitwą biednego dziewczęcia. Nagle muzyka zamilkła, jakby za dotknięciem laski czarodziejskiej, i nastąpiła głęboka cisza. Wierni upadli twarzą na ziemię, wojsko uklękło jak jeden człowiek, chorągiew kornie się pochyliła...

Nie uklękł tylko jeden starzec, ubrany w albę, ornat i stulę...

Tę ciszę tak uroczystą rozwiały nareszcie dźwięki prawdziwie hiszpańskiego marsza, i z tysiąca ust wydobył się jeden okrzyk, na który się składa poczucie wielkości Boga i małości człowieka:

*Adorámoste Señor
Que en el ara de la Cruz
Lavaste nuestros pecados!...¹*

I lud z pokorą pochylił czoło przed tym Bogiem, który się teraz wznosił na ołtarzu, jak przed dziewiętnastu wiekami wznosił się na Kalwaryi.

Powoli wierni zaczęli się podnosić, jak rośliny po przejściu huraganu, który je ugiął do ziemi. Jedna tylko Maryanilla nie ruszyła się z miejsca; towarzyszki dotknęły jej ramienia, lecz nie otrzymały odpowiedzi, wówczas podniosły ją martwą i bezwładną i ujrzały na ziemi strugę krwi. Maryanilla nie żyła.

Bóg upodobał sobie tę szlachetną dziewicę i podnosząc się na krzyżu, otworzył podwoje niebios tej chrześcijance, która umiała cierpieć.

.

Otoczone ogrodami, zasadzonymi na skałach i uwieńczone kościołem, jak one świętym i ubogim, wnoszą się na wysokiej górze pustelnie Kordowy. U stóp tej góry rozciąga się stary gród sultański, pełen wspomnień: Seneki i Lukana, Averroesa i Aviary, Juana de Mena i Gongora, Dyonizego Solisa i Angela Saavedry księcia de Rivas. Jakby naśladując samotników, unikających gwarne i wesołe życia, a szukających spokojnej ciszy, Kordowa, miasto wschodnich kalifów, zdaje się wyłaniać z pomiędzy osłaniających ją ogrodów, aby ucałować szarą, nagą skałę, na której religia wyryła swe godło — wyniosłe, aby je wszyscy dostrzegli, pokorne, aby go wszyscy dosięgnąć mogli.

Wysoko, tak wysoko, że się tam oderwać można od ziemi, a ulecieć gdzieś ku niebiosom, mieszkało grono anachoretów, śpiewając psalmy na tych uroczych wyżynach, gdzie najwyższy

¹ Wielbimy Cię, Panie,
Któryś na ołtarzu krzyża
Obmył grzechy nasze!...

Majestat, obejmujący widnokreśi, dał im zamiast tronu góry, a zamiast dyademu niebios¹.

Tu serce doznaje jakiegoś dziwnego uczucia zazdrości, a myśl zdumiewa się na widok ludzi, wypełniających z takim zaparciem trzy Chrystusowe rady ewangeliczne: ubóstwo, czystość, posłuszeństwo.

Ubóstwo dobrowolne, co umie wesprzeć nędzarzy, posłuszeństwo, co ulega z miłością, i anielska czystość, co cierniową się wieńczy koroną! Chrystus mógł powiedzieć więcej, lecz nie nad to nie powiedział.

Nie znają tam innej nazwy, jak brata, innej mowy, jak modlitwa, innej przyjemności, jak praca.

Gdy postęp ludzkości, stawiając w r. 1836 jeden krok olbrzymi naprzód, porozpędzał zakony, wówczas odeszli i bracia z eremu, a po ich pracy, co skałę zamieniła na ogród, nastąpiło zaniedbanie i smutna ruina. Puste domki upadły, jak ciało bez duszy i długo stopa ludzka nie stanęła na tych górach. Pozostały na nich tylko kwiaty, zdobiąc je swą barwą, i tylko drzewa, ocieniając je swymi konary, i tylko ptaki, ożywiając swą pieśnią te samotne pustkowia.

Mówiono, że na tem miejscu zapanowała cywilizacya...

Lecz niebawem pustelnie otwarły się znowu, anachoreci wrócili do swych gniazd i dzwon kościelny zaczął uderzać, wołając głodnych, by im dać chleba, nieszczęśliwych, aby ich natchnąć spokojem, niedowiarków, by udzielić im wiary.

Dzwonił też codziennie ten dzwon pocieszyciel na zakonne pacierze, wzywając pustelników pod sklepienie świątyni; na dźwięk jego odpowiadały dzwoneczki wszystkich domków pustelniczych, jak odpowiada głos syna na święty i łagodny głos matki. Jeden po drugim w białych habitach śpieszyli do kościoła i padali twarzą przed obliczem Pana, modląc się o spokój dla ziemi,

¹ ... la Majestad suprema
Que abarca los horizontes,
Le dió por trono los montes
Y los cielos por diadema.

o przebaczenie dla grzeszników, o wieczny dla zmarłych spoczynek.

Pewnego poranku jedno miejsce w świątyni pozostało niezajętem i dzwonek jednej pustelni nie odpowiedział na wezwanie kościelnego dzwonu. Wówczas na rozkaz przełożonego jeden z braci pośpieszył do mieszkania nieobecnego towarzysza.

Na desce, służącej za łoże, leżał mnich, ubrany w habit z szarego sukna — godło pokuty; na ustach jego spoczywał krzyż — godło wiary, a ręka skostniałymi palcami obejmowała trupią głowę — godło śmierci.

Zdawał się śpiącym, a był już umarłym. Nad głową jego widać było na białej ścianie węglem i niewprawną ręką wypisane dwa słowa:

JUAN MIZERYA.

Ten też napis wyryto na jego grobie.



W ĆWIERĆ WIEKU PO UWŁASZCZENIU CHŁOPÓW

W KRÓLESTWIE POLSKIM.

(Dokończenie).

V.

Komitet urządzający, podejmując sprawę uwłaszczenia, wytworzył w Królestwie Polskiem 14 komisyj. Pomiedzy te komisye podzielił cały obszar ziemi, pięć dawnych gubernij, z których augustowska dostała się pod opiekę znanego i głośnego dowódcy wileńskiego okręgu wojskowego, Murawiewa. Resztę gubernij podzielono pomiedzy trzy lub cztery komisye, które zajęły się przeprowadzeniem samej sprawy. Komisye te miały działalność swoją ograniczoną i w ważniejszych sprawach powinny były odnosić się do urządzającego komitetu. Podział dawny nie może nam dać pojęcia bez użycia odpowiedniej mapy o obszarze, jaki dostał się w udziale każdej z takich komisyj. Wypada nam tylko przypomnieć, że ówczesne Królestwo było podzielone na pięć gubernij, a powiaty były wiele większe, niemal podwójnie.

Chcąc dać bliższe o składzie, zakresie i działalności tych komisyj pojęcie, podajemy następującą tabelę, którąśmy wiernie ze źródeł urzędowych ułożyli ¹.

¹ W rubryce „Skład komisji“ oznaczamy gwiazdką nazwiska wojskowych, którzy byli tych komisyj członkami.

Komisye	Skład komisyi	Pensya miesięczna komisyi w rublach	Powiaty, należące do komisyi
Warszawska	Przewodniczący Goremikin* Blok*, Burago, Baumgarten*, Biskupski, Jakowlew	1129	Warszawski, Łowicki, część Rawskiego
Włocławska	Pejkier, Dometti*, Munk* Tuchółka	739	Włocławski, Gostyński, część Łęczyckiego
Kaliska	Przew. ks. Meszczerski, Goremikin, von Rozen*, Ryczkow, Saks	1028	Kaliski, Koniński, część Sieradzkiego
Piotrkowska	Przew. Razin, Bogaje- wicz*, Czysztjakow*, ks. Szyryński-Szychmatow	843	Piotrkowski, Wieluński i okrąg wojenny Łódzki, z części pow. Rawskiego, Łęczyckiego i Sieradzkiego
Lubelska	Przewodn. Weniukow, Czuforowski*, Sztokin	622	Lubelski, z Zamojskiego okręgi: Tarnogrodzki i Kraśniński
Siedlecka	Naświetjewicz*, Platonow*, Mazurkiewicz*, Skwarcow*, Bestużew-Rjumin, Dubrawin	1058	Siedlecki, Łukowski, Stanisławowski
Bialska	Przew. Nienarokomow, Szulęgin*, Stokow, Frółowski	803	Bialski, Radzyński
Krasnostaw- ska albo Chełmska	Gorjaninow, Zankowski*, Procenko*, Kowalewski	761	Krasnostawski, Hrubieszowski, reszta pow. Zamojskiego
Radomska	Gromeka, Pietrow, Lubickij*, Zybin, Kostromitinow*	975	Radomski, Opatowski, Sandomierski
Kielecka	Szczerbackij*, Kapustin, Michajłow*, Subotkin*	811	Kielecki, Opoczyński, Stopnicki
Olkuska	Peszczewow, Zybin, Dołgowo-Saburow, Selwan*, Borchman	967	Olkuski, Miechowski
Płocka	Przew. Boj, Berens, Isakow, Nikitin, Popow	942	Płocki, Mławski, Lipnowski
Ostrołęcka	Kiryłow z urzędnikami: Weblem, Nechewem i Sawczenkiem	675	Ostrołęcki, Pułtusi, Przasnyski
Augustowska	Murawiew*, komendant okręgu wojennego wileńskiego		Pięć powiatów dawnej Augustowskiej gubernii

Terytorjum komisji w wiorstach kwadr.	Miejscowości w zakresie komisji					Grunta rozdane włościanom w morgach
	Miasta i miasteczka	Gminy wiejskie	Osady (zagrody)			
			oczynszowane	nieoczynszowane	Razem	
2907	34	294	13.770	11.811	25.581	422.626
6995	33	212	8878	7746	16.624	341.206
7711	38	278	13.205	13.570	26.775	485.862
7155	31	248	14.331	15.573	29.904	472.959
7429	34	154	12.013	15.140	27.153	432.700
8044	około 32	245	8083	11.213	19.296	387.985
6128	23	109	5376	11.614	16.990	326.218
7308	27	213	6242	17.215	23.457	376.270
7536	49	275	11.354	15.120	26.474	485.043
8773	36	280	14.120	20.140	34.260	485.043
5048	29	216	11.417	18.550	29.967	319.303
7786	24	205	4302	7461	11.763	296.525
7625	19	129	6719	6640	13.359	284.633
16.509	44	211	24.844	12.784	37.628	1,118.479

Zesumowawszy czynność wszystkich komisyj, otrzymamy, że chłopom przyznano wówczas 6,144.538 morgów gruntu, rozdzielonych na 329.131 zagród, z których 183.477 aż do ukazu było nieoczynszowanych, a 145.654 oczynszowanych.

Przeciętnie jedna osada czyli zagroda obejmowała 18·6 morgów, a zatem była dosyć znaczna. Największe osady otrzymali mieszkańcy dawnej gubernii augustowskiej; tu bowiem przeciętna osada wynosiła około 30 morgów, czyli było 13.359 osad trzydziestomorgowych. Następnie idą osady w gubernii płockiej. Na powiaty płocki, mławski i lipnowski wypada jedna osada, średnio biorąc po 25·1, zaś w ostrołęckim, pułtuskim i przasnyskim po 21·2. Powiaty gubernii warszawskiej: włocławski, gostyński i część łęczyckiego dają nam osady wielkości po 20·5 morgów; siedlecki, łukowski i stanisławowski po 20·1; bialski i radzyński po 19·1; kaliski, koniński i sieradzki po 18·1; warszawski, łowicki i część rawskiego 16·5; lubelski, zamoński, krasnostawski i hrubieszowski 16·0; piotrkowski i wieluński 15·8; radomski, opatowski i sandomierski 14·8; kielecki, opoczyński i stopnicki 14·1, olkusi i miechowski 10·6 morgów.

Jakkolwiek wykaz ten bierzemy z urzędowego źródła, bo z postanowień urządzającego komitetu (tom I, str. 75), jednakże twierdzić śmiemy, że stanowczo liczby te nie są rzetelne i zupełnie wierne. Ilość morgów bezsprzecznie zawielka, ztąd też i osady za duże w średniej cyfrze. Zajmując się więcej szczegółowem badaniem i zbieraniem materyałów, otrzymaliśmy średnią osadę w gubernii kaliskiej od 8 do 9 morgów, kiedy tu wypada średnio około 18 morgów. Jakimże to sposobem? Niezaprzeczenie brak narazie map szczegółowych naraził na tak grube błędy komitet urządzający. Nie mógł on atoli pomylić się co do ilości osad. Wykazy takie powinny być wierne, gdyż policzenie w danej miejscowości osad należało zapewne do najprostszych czynności. Nie możemy porównawczo z uwzględnieniem szczegółowem wykazać tych różnic poprostu dlatego, że zmienił się zupełnie porządek administracyjnego podziału kraju. Z dawnych pięciu gubernij utworzono dziś dziesięć, a powiaty też zostały przepołowione. Wskutek tego dawny podział do dzisiejszego za-

stosowanym być nie może, a statystyki uogólnionej brak nam zupełnie, bo w Rosyi dotąd nie zajmowano się statystyką. Jedyny człowiek, który trudnił się tą kwestyą poważnie, był b. gubernator radomski, Anuczyn, ale i ten błędy, popełnione przez komitet zarządzający, w części zachował w swojej pracy.

Aby dać o tych błędach jakiegokolwiek pojęcie, nadmieniamy, że w dzisiejszej gubernii siedleckiej, a zatem mniej więcej odpowiadającej dawnym komisjom siedleckiej i bialskiej, chłopci otrzymali 994.308 morgów i 137 prętów ziemi, na których znajdowało się 51.731 osad. Tymczasem komisya siedlecka i bialska podaje ilość przyznanej ziemi chłopom na 714.203 morgów, a na przestrzeni tej 36.286 osad, chociaż okrąg, zajmowany przez te dwie komisye, był o wiele większy.

Takie omyłki odbiły się i w pracy p. Anuczyna, który z wielkim trudem zestawił swój atlas, wykonany w Warszawie, w dużym bardzo formacie. Składa się on z map olbrzymich, na których kolejno oznaczone są grunta, przedstawiające własność chłopów, następnie serwituta, ograniczenie gmin z oznaczeniem, gdzie takowa się znajduje i t. d. Atlas ten, ofiarowany cesarzowi Aleksandrowi II., dziś ma tylko historyczną wartość, cały bowiem podział Królestwa Polskiego na okręgi administracyjne zmienił się zupełnie. Nawet gminy nie pozostały te same, ani ich siedliska. Co się zaś tyczy własności włościańskiej, tak ściśle oznaczonej w atlasie Anuczyna, to i ta już znacznym uległa zmianom bądź to wskutek układów o serwituta, bądź też w drodze zamiany gruntów. Anuczyn zatem źródłem być przestaje. Nie wiem, z kądem też prof. Antoni Okolski przyszedł w swojej pracy do następujących danych, tak dalece różnych od statystyki zarządzającego komitetu.

Oto włościanie do ukazu 1864 r. posiadali:

<i>według p. Okolskiego:</i>		<i>według statystyki zarządzającego komitetu:</i>	
Osad czynszowych	55.729	Osad oczynszowanych . .	183.477
„ czynszowo-pańszczyźnianych	33.154	„ nieoczynszowanych .	145.654
„ pańszczyźnianych . .	144.326		
„ posiadających mniej niż 3 morgi gruntu .	36.920		
„ soltysowo-łanowych .	379		
Ogółem posiadali osad . .	270.508	Ogółem posiadali osad . .	329.131

Różnica przeto między statystyką urządzającego komitetu a sprawozdaniami Okolskiego jest 58.623 osad.

Tak się mniej więcej przedstawia nasza statystyka, odnosząca się do tak ważnej kwestyi. Ostatnie sprawozdania odnajdujemy w wiadomościach centralnego statystycznego petersburskiego komitetu za r. 1886. Wedle tych wiadomości Królestwo Polskie posiada przestrzeni 22,675.388 morgów. Z liczby tej wiadomem jest o 20,601.592 morgach czyli 91% ziemi całego kraju. Z przestrzeni tej 44% należało do szlachty, zaś 41·6% do chłopów, do skarbu 6·3%, do osad zamienionych z miast 2·4%, do cudzoziemców 1·1%, do kupców 0·7%, do miast 0·8%, do różnych instytucyj 0·6%.

Własność chłopska w r. 1886 dobiegła zatem w Królestwie Polskiem do 8,570.133 morgów, które dzieliły się na osady o różnej wielkości. I tak osad, posiadających gruntu do 10 morgów, było 15%, od 10 do 20 m. 39·5%, od 20 do 30 m. 27·3%, od 30 do 40 m. 10·2%, od 40 wyżej 7·2%. Jeżeli wykaz centralnego komitetu jest rzetelny, to wypada nam prawdziwie cieszyć się z tego stanu rzeczy, bo gospodarstw od 10 do 30 morgów jest w Królestwie Polskiem 66·8%. Gospodarstwa te nie są już tak drobne, wystarczające w zupełności na wyżywienie rodziny, złożonej z 8 do 9 osób.

Zaznaczamy również, że własność większa coraz więcej ubytku na rzecz chłopską ponosi. Od wykazów urządzającego komitetu do 1886 r. powiększyli chłopci swoją posiadłość o 2,435.575 morgów. Większą część tej ziemi otrzymali oni drogą wymiany za serwituta, bardzo niewiele nabyli za gotówkę. Dziś jednakże, pominąwszy grunta skarbowe i porównawszy własność chłopską z własnością większą, okaże się, że prawie połowę tego obszaru dzierżą w swoim posiadaniu chłopci. Obszar ten zwiększy się jeszcze teraz niezawodnie, skoro otwarty został Bank włościański.

Królestwo Polskie w ostatnim lat okresie od powstania zmieniło się zupełnie; z szlacheckiego stało się przeważnie chłopskiem. Interesa ludu wystąpiły na plan pierwszy, a interesa większej własności pewnymi przepisami zostały ograniczone i zepchnięte do drugorzędnych kwestyj. Nawet sfery obecnie rzą-

dzące w Rosyi źle patrzą na większych posiadaczy w Polsce; żadnych ulagodnień rolnikom nie czynią tak dalece, że nawet kredyt w kantorze Banku państwa i w jego filiach, rozrzuconych w dziesięciu guberniach, zamknięty dla nich. Nasi więksi posiadacze nie mają prócz prywatnego banku Towarzystwa wzajemnego kredytu żadnej innej instytucyi, któraby z odpowiednim kredytem czasowym przybywała im z pomocą, podczas gdy chłop ma kasę gminną, z której korzystać może, a dziś Bank włościański.

Wobec ogólnego położenia produkcji rolnej w Królestwie Polskiem, wobec ciążących znacznych długów na większej własności ziemskiej, nietrudno przewidzieć, że jeszcze w bieżącym wieku zmniejszy się ona znacznie. Powstanie natomiast drobna własność, niezbyt obiecująca dla państwa. Podniesie ona byt drobnej ludności, ale nie zabezpieczy tego bytu, jeżeli się nie zmieni dziś istniejący system państwowy, a przedewszystkiem jeżeli się on nie zmieni na polu oświaty ludowej. System ten bowiem polega na tem, że szkoła elementarna ma być prowadzona po rosyjsku i opłacana przez gminę. Gmina szkoły rosyjskiej, pomimo łask cesarskich, nie chce, i ztąd wynika, że od czasu zaprowadzenia rosyjskiego języka gmina o otwarciu szkół nowych nie stara się wcale. Jeżeli zaś oświata ogółu nie podnosi się, nie mogą podnosić się i inne gałęzie przemysłu, handlu, a szczególnie rolnictwa, które w obecnych czasach staje się coraz więcej fachem. Wskutek złego obchodzenia się z ziemią wyczerpnie się takowa rychlej, a za upadkiem rolnictwa nastąpi niezawodnie i upadek innych gałęzi przemysłowo-handlowych, dobrobyt jakitaki zacznie słabnąć i kraj cały znajdzie się jakby po wojnie i poźodze w opłakanym stanie, jaki przechodził w latach 1812 i 1831.

Wogóle cały systemat drobnej własności, pod jaki podciągnięci są mniejsi właściciele, pożądanego rezultatu dać nie może, albowiem ta własność jest zamała, aby mogła zabezpieczyć byt i gruntowne prowadzenie interesu rolnikowi wraz z jego rodziną. 15 do 20% osadników żyje na dwóch do dziesięciu morgach. Cóż to są za osady? Jeżeli taki człowiek niema zarobku i musi

gruntu pilnować, to jakie korzyści z tego osiągnąć może?¹ Dlatego nasza drobna własność i wogóle rolnictwo w Królestwie Polskiem potrzebuje prawdziwie ojcowskiego oka, aby się rozwijało porządnie; ale w Rosyi tego oka dla nas brak, zwrócone ono bowiem w innym kierunku i dogląda tego, jakby jak najrychlej wynarodowić Polaków. W takim stanie rzeczy niema co myśleć o wzroście ekonomicznego bytu i nie nie zostaje, tylko czekać bożego zmiłowania.

VI.

Zakończylibyśmy ten artykuł, ale pozostała nam jeszcze jedna kwestya, a mianowicie: omówienie, jak komitet urządzający rozstrzygnął zapytanie: Co zrobić z bezrolnymi chłopami? W tym względzie hojnym okazał się komitet niezmiernie. Po 1863 roku zostało do dyspozycji wiele majątków, zabranych świeckiemu i klasztornemu klerowi. Fortunami temi nie miał prawa rozporządzać urządzający komitet, gdyż je rząd potem zbył lub rozdarował; ale zaokrąglano te fortuny, regulowano granice i ze skrawków wyznaczano nowe osady od 1 do 3 morgów obszaru. W ten sposób uciulała się znaczna bardzo przestrzeń, bo 86.720 morgów, 112 prętów wynosząca. Złożyły się na nią skrawki z następujących fortun:

¹ Nam się zdaje, że póki włościanin ma przeciętnie 5 morgów, to jeszcze wygodnie egzystować może. Kwestya też zarobku w Królestwie nie istnieje i istnieć nie będzie, póki większa własność utrzyma się w obecnej mniej więcej proporcji.

Co się tyczy zachwiania tej ostatniej, oprócz powodów politycznych, które autor poruszył, długiej likwidacji wypadków z r. 1863 i ukazu z r. 1864, trzeba mieć na oku przyczyny czysto ekonomiczne, zwłaszcza powszechne przesilenie rolnicze, które nad Polską silniej zaciążyło, niż nad innymi krajami, z powodu braku środków odpornych. U włościan upadek rolnictwa zkadinał pochodzi, mianowicie z przyczyn moralnych: chłop od wieków *glebae adscriptus*, nagle usamowolniony, nie został otoczony zrazu tą moralną opieką, jakiej takie przejście wymagało, podlegał owszem trującym wpływom; ztąd się w części zdemoralizował, nauczył próżniactwa i t. d. — czego teraz skutki odczuwa.

(Przyp. Red.).

Z folwarków rządowych	12.494	morgów	66	prętów
Z okrawin lasów	14.146	"	135	"
Z kolonij	7.140	"	229	"
Z majątków poklasztornych . . .	9.110	"	73	"
" świeckiego duchow. .	37.163	"	249	"
Osobnym raportem zajęto	132	"	30	"

Razem . . . 86.720 morgów 112 prętów.

Co się tyczy szczegółowego wykazu gruntów, zabranych na ten cel świeckiemu duchowieństwu, to tak się on przedstawia:

W gubernii warszawskiej rozdano takich gruntów 14.129 morgów 171 prętów, a mianowicie: w powiecie warszawskim 1352 m., łowickim 235 m., rawskim 934 m., piotrkowskim 1190 m., gostyńskim 1333 m., łączyckim 1212 m., wieluńskim 1054 m., konińskim 1641 m., włocławskim 1530 m., stanisławowskim 539 m., kaliskim 1568 m., sieradzkim 1536 m.

W gubernii lubelskiej uzbierało się ogółem 3631 m. 153 pr., a mianowicie: w powiecie lubelskim 551 m., łukowskim 766 m., białskim 313 m., radzyńskim 319 m., krasnostawskim 512 m., zamośkim 473 m., siedleckim 356 m., hrubieszowskim 337 m.

W gubernii radomskiej doszła ogólna suma do 12.061 morgów 55 prętów, a zatem nie o wiele mniej od gubernii warszawskiej. Najwięcej gruntów zabrano w powiecie miechowskim, bo 2534 morgów, kieleckim 1732 m., olkuskim 1731 m., stopnickim 1227 m., sandomierskim 1267 m., radomskim 1166 m., opatowskim 974 m., opoczyńskim 1425 m.

W gubernii płockiej zaledwie połowę tego, co w radomskiej, zabrano duchowieństwu na ten sam cel, bo 6017 morgów 87 prętów. Na przestrzeń tę złożył się powiat płocki 1984 morgów, ostrołęcki 49 m., pułtuski 659 m., lipnowski 1095 m., mławski 1290 m., przasnyski 939 m.

W gubernii augustowskiej wzięto tylko 1324 morgów 83 prętów, z liczby tej na powiat augustowski przypadło 227 m., sejneński 90 m., łomżyński 441 m., maryampolski 479 m. i kalwaryjski 85 m.

Co się tyczy gruntów poklasztornych, również włościanom rozdanych, to tak się przedstawia ich wykaz:

W gubernii warszawskiej rozdano chłopom: w powiecie warszawskim: po zakonie Maryanów w Wygłędowie 95 morgów 33 prętów, po Bernardynach w Górze Kalwaryi 83 m., po Karmelitach we wsi Lipie 11 m. 24 pr.; w powiecie łowickim: folwark Niedźwiada i Klewko 542 m. 290 pr., należący do Emerytów w Łowiczu; w powiecie rawskim: w puszczy korabiewskiej 90 m., należące do Maryanów, obok miasta Rawy położony folwark 166 m. 228 pr.; w powiecie piotrkowskim: folwark Wielkie Młyny, należący do Augustyanów, 216 m. 5 pr.; w łączyckim: ziemie franciszkańskie w Łączewnikach 30 m. 40 pr.; w wieluńskim: ziemie bernardyńskie w Przyrowie 177 m. 50 pr.; pod miastem koło tegoż zakonu, łąki we wsi Straszkwie 10 m. 129 pr., oraz w powiecie włocławskim: należące do Reformatów łąki we wsi Dębice 12 m. 213 pr. i grunta we wsi Warząchewce 21 m. 230 pr.

Razem przeto w gubernii warszawskiej rozdano chłopom gruntów poklasztornych 1457 morg. 42 pr.

W gubernii radomskiej rozdano chłopom: pod Chęcinami: folwark Polichno, należący do Franciszkanów, 113 m. 279 pr.; pod Wolbromiem: folwark Wymysłów 101 m. 213 pr. i folwark Dłużec 60 m. 264 pr., własność Kanoników; w Imbranowicach: należące do PP. Norbertanek 50 m.; w powiecie miechowskim: w Księżach Wielkich folwark Pobrzeże 124 m. 161 pr., zostający w posiadaniu Augustyanów; pod Nowem miastem, Korczynem, folwark Franciszkanów Kępa Bolesławska 208 m. 127 pr.; w powiecie sandomierskim: ziemie należące do Reformatów w Rutwianach pod wsią Kłoda 21 m. 68 pr.; pod Sandomierzem: folwark PP. Benedyktynek Kochany 442 m. 224 pr., folwark Dominikanów z Klimontowa, Olbrzowice 188 m. 52 pr., tegoż zakonu pod Sandomierzem Jugoszew z lasem 240 m. 80 pr.; w powiecie opoczyńskim: ziemie PP. Bernardynek z Łysej Góry we wsi św. Katarzyny 49 m. 143 pr., Bernardynów z Wielkiej Woli 79 m. 111 pr., Franciszkanów ze Smardzewie folwark św. Anny 29 m. wraz z leśnym udziałem 142 m. 28 pr.

Razem zatem w dawnej gubernii radomskiej z gruntów poklasztornych rozdano chłopom 1851 morg. 250 pr.

W gubernii lubelskiej rozdano chłopom: Karmelitów z Lublina część folwarku Czechówka Górna 48 m. 296 pr., PP. Wizytek z Lublina Rudę Wizycką 316 m. 105 pr., Bazylianów z Lublina część miejskich gruntów 61 m. 286 pr., Dominikanów z Lublina część ziemi ze wsi Gojdowo 47 m. 199 pr., Misyonarzy z Lublina folwark Zagrody 450 m. 109 pr.; w powiecie łukawskim: grunta należące do klasztoru Maryanów w Gozlinie 87 m. 242 pr., ziemie Karmelitów Hułowskiej Woli 151 m. 224 pr. i lasu 100 m. 160 pr., Dominikanów folwark Zofiborz 168 m. 18 pr.; w powiecie bialskim: grunta należące do Dominikanów z Terespoła 50 m. 258 pr. i Dominikanów z Janowa 140 m. 213 pr.; w powiecie radzyńskim: Paulinów z Włodawy folwark Weryki 199 m. 233 pr. i Augustyanów z Orchówka 139 m. 170 pr.; w powiecie krasnostawskim: grunta Pijarów z Chełmu 134 m. 71 pr., Jurkowszczyznę 12 m. 160 pr., folwark krzywicki 132 m. 80 pr. i część wsi Zawardówka 98 m. 84 pr.; Bazylianom z Chełmu zabrano także sporo, a mianowicie: folwark Stos 379 m. 228 pr., łąki z Parypsy 42 m. 136 pr. i folwark Parypsy 598 m. 107 p.; w zamośkim powiecie również znaczne działki dostały się chłopom: po Bernardynach w Radenczynie 66 m. 75 pr., po Franciszkanach w Puszczy Soleckiej 127 m. 113 pr., po Dominikanach w Krasnobrodzie folwark Podklasztór i Ruskie 324 m. 27 pr. i po Dominikanach w Janowie folw. Kawenczym 371 m. 117 pr.

Razem przeto w gubernii lubelskiej rozdawano ziem poklasztornych 4308 morg. 70 pr.

W gubernii płockiej, w powiecie ostrołęckim, należał do PP. Benedyktynek z Łomży folwark Zgleczewo 169 m. 243 pr.; oprócz tego rozdano chłopom ziemi rządowej obok tegoż folwarku 52 morgów 59 pr.; Reformaci w Zarekach posiadali 14 m. 112 pr.; Benedyktynom z Pułtusza odcięto od folwarku Gromino 71 m. 234 pr., sam folwark sprzedany został osobno na rzecz skarbu; Augustyanom w Ciechanowie zabrano 60 m. 230 pr. resztę zaś w środku miasta sprzedano; Franciszkanom z Do-

brzunia odcięto 83 m. 10 pr., resztę puszczoło w wieczystą dzierżawę.

Razem przeto w plockiej gubernii z ziem poklasztornych rozdano chłopom 451 morg. 288 pr.

W gubernii augustowskiej rozdano chłopom: po Karmelitach w Wąsowy 165 m. 225 pr., po Reformatach w Smolanach osadę nr. 40 we wsi Rajstokienie 36 m. 55 pr., po Maryanach w Mirosławiu cztery osady w Ławkitanach 176 m. 124 pr., po Misyonarzach w Tykocinie folw. Popowiany 427 m. 251 pr., po Franciszkanach w Stawiskach folw. Szczodry Złotystok 98 m. 140 pr., po Maryanach w Maryampolu wieś Jegłówkę 136 morgów 128 prętów.

Razem otrzymali chłopci ziemi poklasztornej w gubernii augustowskiej 1041 morg. 23 pr.

Ogółem zatem rozdano chłopom w Królestwie Polskiem z poklasztornych majątków 9110 morgów 73 prętów.

C. Z.



WOLNA WOLA.

(Dokończenie).

III.

Uporaliliśmy się dotychczas z ogólnemi uprzedzeniami i teoryami, które zagradzały poniekąd przystęp do wolnej woli. To złowrogie fatum, które w starożytności wisiało ponad światem, u nowożytnych materyalistów wcieliło się — jak widzieliśmy — w sam świat i jego prawa, a u psychologów-deterministów we-

Do pierwszego artykułu w n-rze styczniowym:

Str. 3, wiersz przedostatni, w przypisku, zamiast: „Tonsegrive“, czytaj: „Fonsegrive“
Str. 11, wiersz przedostatni, zamiast: „odrobinie“, czytaj: „odrobiny“.
Taż sama strona, do wiersza 21, dodać przypisek następujący:

Z punktu metafizyki zarzucićby można z Leibnitzem, że pewnik racyi dostatecznej wymaga nie tylko racyi, czemu się coś wybrało, ale także racyi, czemu się to wybrało raczej niż co innego. — To błędne zastosowanie owego metafizycznego pewnika doprowadziło Leibniza do tego, że chociaż zasadniczo wolną wolę zatwierdził, w rezultacie zaprzeczył ją zupełnie nie tylko człowiekowi, ale nawet Bogu w stworzeniu świata, i doszedł do bezwzględного logicznego determinizmu.

Istotnie pewnik racyi dostatecznej, o ile jest powszechny i absolutny, tego jedynie wymaga, aby każda rzecz miała swoją rację, dostateczną, t. j. sobie odpowiednią, — co w czynie wolnym — podług naszego tłumaczenia — zupełnie ma miejsce. Racja zaś dostateczna w znaczeniu porównawczem (czemu jedno raczej niż drugie) tylko wtedy ma zastosowanie, kiedy się zestawia kilka możliwych skutków z jedną przyczyną i kiedy zarazem ta przyczyna jest z natury do jednego zdeterminowaną — a więc nie wolną. Wolność zaś na tem właśnie zależy, że działacz ma w sobie symultanną rację dostateczną do rozmaitych skutków.

szło w wewnętrzny mechanizm naszej jaźni; — ale jestto zawsze to samo fatum, równie bezwiedne i nieugięte, odbierające zarówno człowiekowi wszelką inicjatywę. Odżegnaliśmy tę zmołę; — ale zostaje nam jeszcze do zbadania kilka szczegółowych zarzutów, wynikających ze współczesnych odkryć naukowych: z fizyki i fizjologii, powstaje przeciwko wolnej woli teoremat niezmienności ilości siły w świecie; z psychologii, hypnotyzm ze swoim tajemniczym panowaniem nad wolą; z socjologii, statystyka zbrodni i innych czynności ludzkich, wykazująca w nich prawidłowość, podobną do tej, jaką w zjawiskach przyrody znajdujemy.

Ten ostatni zarzut, który może najwięcej zrazu daje do myślenia, omówiliśmy szczegółowo w *Przeglądzie* przed kilkoma laty¹; nie powtórzymy więc tej dyskusyi, ale poprzestaniemy na tem, cośmy wówczas wykazali: że w wielkich liczbach przypadków ilość zboczeń w jedną stronę znosi ilość zboczeń w drugą i przez to rezultat wypada zawsze przybliżenie prawidłowy.

Co się tyczy stałości ilości siły w świecie materialnym, jestto niezawodnie ważna zdobycz nowożytniej nauki. Wypowiedział już to prawo kosmiczne Kartezjusz, dokładniej je sformułował Leibnitz, a wytłómaczył je dopiero w naszym wieku Mayer, odkrywając mechaniczny równoważnik ciepła. Dziś wiemy, dlaczego i w jakim stosunku ruch przenośny przemienia się w ruch międzycząstkowy — ciepło, — i odwrotnie, wiemy, jak ciepło w pewnych warunkach przemienia się w ruch przenośny; tę ostatnią przemianę zużytkowujemy w naszych maszynach parowych; co więcej, nawet w organizmie ludzkim konstatujemy podobny stosunek między ilością wydanej pracy muszkularnej a ilością zużytego przy tej pracy ciepła. Ztąd wogóle wnosimy, że ilość mechanicznej siły w wszechświecie nie zmniejsza się ani powiększa, tylko kołuje w tych przemianach. — Otóż wolna wola zdaje się wprowadzać w świat jakiś pierwiastek siły, nieobjęty w tej stałej sumie sił kosmicznych: jeżeli człowiek coś poczynkuje, to coś siły stwarza, co by bez niego nie było w świecie; to zaś przypuszczenie — twierdzą zapaleńsi obrońcy deter-

¹ *Przegl. Powsz.* 1884, luty. Tom I, str. 161.

minizmu — niszczy stałość biegu świata i uniemożliwia naukę, która właśnie na tej stałości, jak na niewzruszonej opoce, buduje.

Przedewszystkiem zauważyć trzeba, że wola ludzka, choć tak wielkich rzeczy dokazuje i tak znaczny wpływ wywiera na wszystkie trzy królestwa przyrody, jednak czyni to wszystko za pomocą sił już istniejących w przyrodzie, którym różnymi sposobami kierunek nadaje. We fabryce nowożytniej niemal całą pracę wykonywy para — czasem rzeka lub wiatr; — człowiek tylko przyczepia narzędzie do źródła siły i podstawia materyał: i tak, ogromną pracę kieruje za pomocą pracy względnie bardzo małej. Lecz znów i tej pracy muskularów ludzkich nie stwarza wcale wola: jak palenie węgla dostarcza parze tej siły, którą spożytkowuje maszyna, tak zupełnie podobny proces otleniania wytwarza w muskularach zasób siły, której wola używa. Zatem jak maszyna, tak i człowiek karmi się i zasób sił odnawia, czerpiąc z przyrody substancje, w których naładowana jest pewnym sposobem siła, ostatecznie od słońca pochodząca. — A cóż znowu muskulary w ruch wprowadza? co wykonywa w nich tę funkcję odeczepiania nagromadzonej siły i obracania jej do pewnej oznaczonej pracy? Znowu nie wola bezpośrednio, ale nerwy ruchowe, których praca przy tej funkcji jest niezmiernie małą, w porównaniu do pracy muskularów — według niektórych obliczeń: trzydziestomilionową jej częścią. Nerwy te dochodzą do mózgu i tam gdzieś, zapewne w szarej masie, powstaje impuls chęiany, który wprawia w ruch odpowiednie nerwy, a przez nerwy budzi ruch w muskularach.

Mechanizm ludzkiego organizmu jest więc tak zbudowany, że ten pierwszy impuls, w którym bezpośrednio wola działa na materję, a przez który całym organizmem włada, przedstawia się z punktu mechaniki, jako coś zbliżającego się do zera. Czy może być absolutnie zerem? — innemi słowy: czy wola może kierować nerwami, nie zgola siły nie stwarzając — czy też musi wywierać jakąś nieobliczalnie małą ilość siły mechanicznej?

Pierwsza hipoteza, któraby ochroniła stałość ilości siły w świecie z matematyczną ścisłością, znalazła w ostatnich czasach rzeczników w kilku biegłych matematykach. Cournot i Saint-

Venant opierają się na tem, że siła nieskończenie mała może wyprowadzić z równowagi jakkolwiek wielkie siły, a przez to ogromne skutki w świecie sprawić. Wystawmy sobie kulę, postawioną w równowadze na stożku; jeżeli kula i stożek są geometrycznie doskonałe, to wystarcza do strącenia kuli siła równa zeru¹. Zarzucono im, że ten teoremat nie da się do czynów ludzkich zastosować, bo w naturze niema figur geometrycznie doskonałych. Zarzut słuszny; jeżeli mowa o ciałach złożonych, ale między atomami czy niema takich figur i czy się nie wydatkuje równowaga matematycznie niestała — to jeszcze może być kwestya.

Inny znakomity matematyk, Boussinesq, poszedł dalej: odkrył on, że w zrównaniach mechaniki zachodzą t. zw. „rozwiązania szczególne“ (*solutions singulières*), w których punkt materialny, podlegający zupełnie oznaczonym siłom, ma przed sobą nie jedną drogę, ale kilka: t. j. może w danej chwili albo zostać w spoczynku, albo w jednym lub w drugim kierunku się poruszać — zadość czyniąc w zupełności prawom mechaniki. Już sławny Poisson na początku tego wieku spotkał się w swych studiach z takim wypadkiem, ale nie wiedząc, co z nim począć, zostawił go bez dalszego badania. Otóż Boussinesq rozszerzył pole tych wypadków i zastosował je do wolnej woli, przypuszczając, że wola w takich właśnie chwilach indeterminacji mechanicznej, zachodzących między atomami mózgowymi, wkracza ze swym wpływem kierowniczym i drogę atomu determinuje — bez żadnego naruszenia mechaniki kosmicznej².

Rzecz ta wiele narobiła hałasu w świecie uczonym paryskim; Akademia umiejętności z początku na nią się boczyła; lecz ostatecznie nic nie można było zarzucić z punktu matematycznej mechaniki, — i prawdą zostaje, przeciwko zagorzałym deterministom, że prawa mechaniki nie koniecznie i bez wyjątku

¹ Saint-Venant, *Rapport à l'Académie de sciences sur l'accord de la liberté morale avec les lois de la mécanique*.

² *Conciliation du véritable déterminisme scientifique avec l'existence de la vie et de la liberté morale. Mémoires de la société des sciences*, de Lille 1878, tome VI., 4. série.

wymagają w danych warunkach oznaczonego rezultatu, i że związek między poprzednikiem a następnikiem nie jest zawsze matematycznie obliczalny. — Czy atoli na tych „rozwiązaniach szczególnych“ opierać trzeba wpływ woli na organizm — to inna kwestya. Nam się zdaje, iż Boussinesq w tem się najbardziej myli, że uważa swą teorię jako jedyną deskę ratunkową dla wolnej woli — gdy tymczasem jej los jest od tego wszystkiego niezależny.

Dlaczegoż więc koniecznie wpływ mechaniczny woli sprawować do zera? — Tego wymaga — mówią — pewnik stałości ilości siły w świecie. Ale cóż wiemy istotnie o tym nibyto pewniku? Kto wie, na jak szczupłej i niedokładnej podstawie doświadczałnej i na jak przybliżonych obliczeniach opiera się wniosek o stałości ilości siły w wszechświecie, — ten chyba uśmiechnie się na zarzut, jakoby owa nieocenialnie mała ilość siły, jaką wola daje impuls nerwom, sprzeciwiała się doświadczeniu i psuła nam rachunki. Nie mówię, że trzeba teorię o stałej ilości siły odrzucić; ale twierdzę, — co każdy fachowy fizyk przyzna — że tej stałości, jak dalece ją naukowo znamy, nie sprzeciwia się bynajmniej infinitezymalny impuls woli, kierujący nerwami. Podobnie, od kiedy znamy krążenie wody między morzem, obłokami a źródłami, przekonani jesteśmy o stałości ilości wody na planecie, — a temu nic nie wadzą te krople wody, które chemicy w swych pracowniach tworzą z tlenu i wodoru, zkądinądz wziętego.

Ale jakżeż może — zarzucają jeszcze — pierwiastek duchowy wywrzeć skutek fizyczny? Jeżeli w tem jest jakaś trudność, to w każdej hipotezie (wyjawszy materyalistycznej, która ducha znosi) z nią się zgodzić trzeba: bo jakkolwiek pojmiemy ten stosunek pierwiastku duchowego do atomu: czy ów pierwiastek, według Cournot'a, w chwilach równowagi zwraca atom w stronę, w którą chce, czy korzysta z „rozwiązań szczególnych“ Boussinesq'a, aby atomem kierować — i chociażby to działanie równało się mechanicznie zeru — przecież nie robi się to samem myśleniem ani pragnieniem, ale jakimś wpływem fizycznym na materję. Zresztą ten zarzut nie powstaje z nauki

przyrody, ale z metafizyki; a metafizyka — choć długo o tem rozprawiała — nigdy nie odkryła racyi niemożliwości działania ducha na materję. Jak istota ducha jest nam nieznaną, a jednak objawia się nam we wewnętrznej świadomości, tak działanie ducha na materję może nam być mniej albo więcej niezrozumiałem, a jednak faktycznie objawia się nam ciągle w tem, że myśli w duchu poczęte przechodzą w czyny, a czyny na szeroki świat wpływ wywierają.

Drugi nowożytny zarzut przeciwko wolnej woli powstaje z psychologii. Psychologia w najnowszych czasach zwróciła się ze szczególnem zamięłowaniem do obserwacji stanów anormalnych i chorobliwych podmiotu, i stworzyła całą patologię duszy. Już między „chorobami woli“, jakie opisuje Ribot ¹, niejeden szczegół przedstawia się — przynajmniej pod piórem autora materyalisty — jakoby z wolną wolą niezgodny. Ogółem jednak widok dziwnej niemocy tych ludzi, o woli chorej i jakby porażonej, jeszcze wyraźniej budzi w nas poczucie naszej siły i wolności. Wszelako między anormalnemi zjawiskami psychicznemi, jedno głośniejszą odegrało dziś rolę, a to w pierwszej chwili zdawało się świadczyć przeciwko wolności woli. Hypnotyzm jest normalnie snem, do somnambulizmu a nawet do snu zwyczajnego podobnym, tem zaś głównie się odróżniającym, że go druga osoba sztucznie wywołuje, i kieruje w tym stanie władzami psychicznemi uśpionego. Pisząc dawniej o tym przedmiocie ², tłómaczyłem przy porównaniu tego stanu ze snem zwyczajnym i somnambulizmem, jakim sposobem rozkazy hypnotyzera dochodzić mogą do świadomości uśpionego, i jakim sposobem ten ostatni daje się im wodzić, bez udziału własnej woli, — zupełnie tak samo, jak kiedy nam się śni, dajemy się biernie unosić swobodnemu kojarzeniu się wyobrażeń. Póty żadnego jeszcze niema zarzutu przeciw wolnej woli: bo człowiek śpiący

¹ *Les maladies de la volonté*, par Ribot.

² „Co to jest hypnotyzm?“ *Przegl. Powsz.* t. XX., str. 153 i 319. To samo w broszurze.

nie włada sobą i nie jest odpowiedzialny. Ale wpływ hypnotyzera sięga i poza sen, a rozkazy dane w czasie uśpienia, wykonywane bywają najdokładniej, nawet po wielu dniach. Hypnotyk, który we śnie otrzymał rozkaz stawienia się po kilku dniach, przychodzi punktualnie, w oznaczonym czasie; zapytany, dlaczego przyszedł, wyszukuje bylejaki powód; o prawdziwej zaś przyczynie, która go sprowadza, t. j. o narzuconej mu we śnie sugestyi, nic zgola nie wie. — Otóż jest najlepszy dowód, — pisał w pierwszej chwili Ribot w *Revue Philosophique* — że wolność woli jest złudzeniem, z niewiadomości pochodzącym: hypnotyk sądzi, że z własnego popędu działa, a on jest zdeterminowany przez sugestję. W tym samym sensie wyzyskiwali zjawiska hypnotyczne Baunis, Richet i t. p.

Wnet jednak Bernheim w Nancy, doświadczając na ludziach fizycznie i moralnie zdrowych, — a nie na histeryczkach, jak tamci — spostrzegł, że pacjent niekoniecznie poddanej myśli ulega: odzywa się w nim wprawdzie myśl narzucona, ale jeżeli ona sprzeciwia się jego zasadom lub innym ważnym względom, to się człowiek waha i wkońcu rozkazu nie spełnia ¹. To samo spostrzeżenie wielu innych lekarzy zrobiło ². Dalej psychologowie, jak Delboeuf, poczęli z większą ścisłością i umiejętniej in-dagować hypnotyków, i wykazali na podstawie tak własnych spostrzeżeń, jakoteż sprawozdań z obserwacji samych przeciwników, że czynność poddana nie przedstawia się w świadomości hypnotyków identycznie tak samo, jak zwyczajne wolne ich czyny. Wogóle czyn poddany przedstawia im się jako wstrętny; obcy, nawet wtedy, kiedy zupełnie odpowiada ich charakterowi; zapytani o powody, czemu to zrobili, podają także powody mylne, ale między nimi dostrzegają zwykle i prawdziwy;

¹ Dr. Bernheim, *La suggestion dans l'état de veille*.

² Zrobiono przeciwko temu zarzut, że takiego, który się opiera sugestyi, można zawsze, przez częstsze usypianie i silniejsze poddawanie, do spełnienia rozkazów nakłonić. Trudno to na szeroką skalę sprawdzić, ale choćby i tak było. człowiek, który się często poddaje hypnotyzowaniu, stawia się w położeniu tego, który do pewnego stopnia poddaje się dobrowolnie jakiegokolwiek pokusie: taki może wkońcu znaleźć się w moralnej niemożliwości stawienia oporu.

mówią: „coś mię parło“, — „nie mogłem się oprzeć jakiemuś instynktowi“ i t. p.¹. Nareszcie dalsze obserwacye wykazały, że hypnotyk przy wykonaniu suggestyi, chociaż po dłuższym czasie, nie jest najczęściej, a może i nigdy nie jest w zwykłym stanie przytomności, lecz w jakimś śnie lub półśnie hypnotycznym, — a w takim razie nie dziwnego, że ma wolę w części lub zupełnie skrepowaną.

W rezultacie hypnotyzm, wezwany na świadka przeciwko wolnej woli, raczej na jej korzyść świadectwo wydał: człowiek, któremu w stanie sennym jakąś myśl poddano, bierze ją zwykle za swoją i wyobraża sobie, że ją własnowolnie wypełnia; — nie dziwnego: mając w zwykłych czynach świadomość swej wolności, a nie spostrzegając odrazu różnicy między tym czynem a zwykłymi, i temu taki sam charakter przypisuje. Dokładniejsze pytania mogą go przecież do spostrzeżenia tej różnicy doprowadzić. Narzuconą myśl zwykle taki człowiek wykonuje, — w pewnych razach jednak się opiera; w czym, nawet pod zaklęciami hypnotyzera, moc wolnej woli się objawia. Wreszcie, kiedy człowiek spełnia poddawane myśli machinalnie, bez oporu, pokazuje się, że jest w stanie nieprzytomnym — a zatem też bezwolnym i nieodpowiedzialnym.

Więc wkońcu i zarzut hypnotyzmu i wszystkie inne ważniejsze zarzuty, stare i nowe, jakie przeciwko wolnej woli podniesiono, przy bliższem rozpatrzeniu rozwiewają się: — wolna wola okazuje się niewątpliwie możliwą. Jakież mamy jeszcze dowody, że jest rzeczywistością?

IV.

Zkąd pozytywnie wiemy, że wolna wola istnieje?

Wiemy to przedewszystkiem z naszej wewnętrznej świadomości. Ale to wymaga wyjaśnienia.

Stuart Mill zwrócił raz uwagę, że wewnętrzna świadomość

¹ Ob. znakomite studyum J. Delboeuf, *De la prétendue veille somnambulique. Revue Philosophique* 1887, w lutym i marcu.

sposprzedz tylko może czyn, a nie możność czynu, więc świadczycie nie może o wolności woli, która właśnie na możności zależy. — I od tego czasu dowód wolnej woli, na świadomości oparty, uchodzi w oczach wielu za zwalczony i pogrzebany.

Ja jednakowoż trwam w przekonaniu, że pocisk Milla wcale tego dowodu nie zabił, — ale tylko po wierzchu się prześliznął. Prawda, że możliwość sama nie podlega świadomości, ale chwila bezpośrednio poprzedzająca akt woli, nie jest czystą możliwością, lecz stanem psychicznym, w którym obecne są w myśli różne przedmioty do wybrania, tudzież zmysłowe pociągi i powody rozumowe, które za każdym z nich przemawiają. Wola czuje się ciągnioną w prawo i w lewo, ale nie przeciąganą, nie zmuszaną. Jestto stan indeterminacji, nie biernej i negatywnej, ale pozytywnej, której umysł doskonale jest świadomy. Następnie umysł sam własnem chceniem przychyła się na jedną stronę; i znowu jest tego świadomy, że swoim aktem zrywa indeterminację motywów, — czyli że chceniem z indeterminacji poprzedniej przechodzi w stan „decyzji“.

Więc wszystkie warunki wolności woli są istotnie uświadomione: poprzedni stan indeterminacji, — wyjście z niego własnem chceniem — więc początkowanie czynu samodzielne. Że motywa i pociągi nie zdeterminowały, to objętem jest w świadomości pozytywnej indeterminacji pierwszego stanu; — że możliwym był inny wybór, to jako możliwość świadomości wprost nie podlega, ale wynika również z uświadomionej indeterminacji motywów i pociągów, oraz z determinacji wprowadzonej własnem chceniem, — z czego rozum odrazu zdaje sobie sprawę.

Dlatego też, zaraz po czynie, zjawia się wyrzut lub pochwala sumienia, t. j. poczucie własnego początkowania tego czynu, zestawione z normą moralności, — samowiedza umysłu, że on sam zdeterminował ten czyn, mogąc go zdeterminować inaczej, i że racya bytu tego czynu nie da się na inną przyczynę złożyć.

Zarzucają, że taki czyn mógł być zdeterminowany przez motywa, wcale pod świadomość nie podpadające, a więc, że indeterminacja świadomych motywów niczego nie dowodzi. —

W sferze fizyologicznej — odpowiadam — może być jakiś impuls, jakiś proceder, nie dochodzący do świadomości; ale tu mowa o motywach, powodujących psychologicznie; o ile więc jakiś motyw jest nieświadomy, o tyle na wybór nie wpływa. Może człowiek nie rozbierać pobudek swego działania, może nie zwracać na nie uwagi refleksyjnie, — ale musi je czuć, świadomie ich doznawać: inaczej nie może ich wpływowi podlegać. A więc, skoro człowiek czuje się sumą motywów i pociągów nie determinowanym, to świadomość ta obejmuje wszystkie pobudki, na wybór wpływające. Poza tą sferą uświadomioną mogą być tylko wpływy fizyologiczne, a tym przypisać determinowanie czynu, byłoby to wrócić do teorii materialistycznej Aleksandra Bain'a, w której cała sfera świadomości staje się zupełnie zbyteczną.

Ribot jeszcze coś nowego dobywa ze swej fizyologicznej psychologii przeciwko świadectwu naszej wewnętrznej świadomości. Kiedy myślimy o jakimś przyszłym czynie — mówi — już wskutek samego wyobrażenia prąd nerwowy zaczyna obiegać po odpowiednich nerwach, i budzi w odpowiednich muskulkach początkowe ruchy; ta innerwacya odzywa się głucho w naszej świadomości — i to właśnie sobie tłómaczymy jako poczucie możliwości działania. Że taka innerwacya, w pewnych razach przynajmniej, ma miejsce, jestto bardzo możliwem, ale to nie do rzeczy niema: bo — jak widzieliśmy — na zupełnie innych danych świadomości pojęcie wolności się zasadza; owszem, niekiedy na danych wyraźnie przeciwnych hipotezie Ribota. Bierzmy chwilę, kiedy narzuca się umysłowi wyobrażenie jakiegoś czynu, do zmysłowej kategorii należącego: innerwacya wspomniana i początkowe ruchy muskularne mają miejsce; umysł jest tego świadom bardzo wyraźnie; ale równocześnie świadomy być może wielkiego wysiłku woli, opierającej się temu pociągowi. Otóż nie w tem upatruje on swoją wolność, że czuje ów pierwszy pociąg, ale w tem właśnie, że go równoważy siłą woli, i w swej mocy ma zarówno czyn i wstrzymanie się od czynu.

Więc ostatecznie nie ignorancya przyczyn, które nas determinują, wywołuje w nas wyobrażenie wolnej woli, — jak po-

wiedział Spinoza — ale przeciwnie, samowiedza naszej siły determinującej się daje nam to pojęcie i tę pewność.

I ztąd to pochodzi, że przekonanie o wolnej woli jest tak powszechne i tak głębokie, że nikt się z niego istotnie wyzuć nie może. I ten sam filozof, który w teorii zaprzecza wolności woli, w życiu codziennem ciągle tę wolność i w sobie i w drugich uznaje; a kiedy wyrzuty czyni służącemu, który go okradł, albo uczniowi, który się źle uczy, — niemaloby się zgniewał, gdyby mu ci odpowiedzieli, że byli do tego zdeterminowani i uniknąć tego nie mogli... Inaczej żyć niepodobna. Ma tu miejsce to samo, co u sceptyków, którzy przeczą rozumowi zdolności poznania prawdy, a w życiu codziennem ustawicznie prawdę uznają i sobie samym zaprzeczają. Bo też czem jest sceptyk w sferze myślenia, tem determinista w sferze etycznej: jeden i drugi wszystko obala, — a jednemu i drugiemu kłam zadaje ich ludzka natura, z której „ciężko się wyzuć“ — jak wyznał Pirro.

Otóż takie głębokie, powszechne u ludzi, niewyciężone przekonanie nie może pochodzić, jak tylko z bezpośredniej oczywistości; kiedy zaś idzie o fakt wewnętrzny, jak wolność chcenia, oczywistość ta może być tylko daną przez bezpośrednią, wewnętrzną świadomość. I to mię utwierdza w przekonaniu, że dowód wolności woli, ze świadomości wzięty, jest prawdziwy i apodyktyczny.

Drugi dowód wolnej woli opiera się na fakcie istnienia moralności.

Pokazaliśmy na początku, — sądzę, iż dosyć jasno i dobitnie — że odpowiedzialność i cała sfera moralności na wolnej woli się opiera: tak, że jeżeli wola jest złudzeniem, to cała moralność jest złudzeniem. — Otóż moralność nie jest złudzeniem, ale faktem. również do wewnętrznej świadomości należącym: faktem jest odpowiedzialność i obowiązek; faktem, że jest różnica dobra i zła, nie tylko fizyczna, ale etyczna; faktem jest, że istnieje prawo, od którego czyny mogą zboczyć, a do którego powinno się stosować; faktami są wreszcie te wszystkie rozgałę-

zienia etyki w społeczeństwie: ustawy, kary, pochwały, których wewnętrzny związek z wolną wolą wykazaliśmy, a które każdy — nawet determinista w teorii — w praktyce za takie bierze. Więc bezwarunkowo wolna wola istnieje.

Fakta te i prawa etyczne są nam znane inną drogą, niż fizyczne, ale z niemniejszą, owszem z większą pewnością, bo o tych wiemy z empiryi zewnętrznej, o pierwszych z wewnętrznej, która jest tamtej podstawą. Fakta i prawa etyczne są też dla nas nierównie większej wagi, niż fizyczne; to nie potrzebuje dowodu. Więc, gdyby między jednymi a drugimi istniała sprzeczność, to powinniśmy raczej o prawach fizycznych wątpić, a wierzyć w sumienie i obowiązek. Jak w kierunku myślenia i badania świata, pierwszego kroku zrobić nie można, nie zaczawszy od uznania zdolności umysłu do poznania prawdy, — tak samo w postępowaniu moralnem kroku uczynić nie możemy, nie uznawszy wprzód zdolności woli do wolnych czynów, jako warunku moralności.

I dlatego Renouvier, Lequier i cała szkoła neokancistów francuskich, która dziś tylu niepospolitych myślicieli wydaje, stoi na tem stanowisku: przedewszystkiem wierzyć w obowiązek, — nie pewniejszego nie mamy, jak obowiązek i oraz wolną wolę, która obowiązek warunkuje, — potem niech się prawa fizyczne z tem godzą jak mogą, a jeżeli nie mogą, to nie zasługują na wiarę¹. Niektórzy z nich nawet, jak Boutroux, Secrétan² i do pewnego stopnia sam Renouvier, nie mogąc rozwiązać antynomii między determinizmem a wolnością, wszelki determinizm ze świata wyrzucają, przyznając każdemu atomowi brzask samowiedzy i odrobinę wolności; a regularność ruchów ciał i stałość praw przyrody tłómaczą sobie jako approxymacye, w których bardzo małych zboczeń nasze grube środki obserwacyi nie dostrzegają.

Lepsze to zapewne niż brutalny determinizm powszechny.

¹ Renouvier rozwija ciągle ten pogląd w piśmie peryodycznem: *La critique philosophique*. Także w dziele: *Essai de critique générale*, 3 tomy, i t. d.

² *Philosophie de la liberté*.

Ale tych skrajności nie potrzebujemy. Tam, gdzie żadnego śladu samowiedzy ani dowolności nie znajdujemy, t. j. w całej naturze nieżywej i w największej części funkcji żywotnych, przypuszczamy, z ogółem fizyków i fizyologów, ścisły determinizm; tam zaś, gdzie świadomość świadczy nam o wolności czynu, uznajemy tę wolność. I antynomii żadnej niema.

Taki jest drugi dowód wolnej woli. Jest jeszcze trzeci, dany przez św. Tomasza, rozwinięty przez scholastyków. Nie spodziewamy się tak go przedstawić, żeby każdy czytelnik uznał w nim moc dowodzącą; toby suponowało wiele innych danych ze stanowiska scholastyki. Przytaczamy go jednak dlatego, że idzie w głąb rzeczy i wskazuje rację, dlaczego wolna wola do natury człowieka należy.

Punktem wyjścia u św. Tomasza jest rozum, władza poznawania ogólnego. Rozum poznaje nie tylko pojedyncze dobra, jak zmysł, ale dobro w ogólności; pojęcie to bierze wprawdzie z empiryi, ale tem samem, że je uogólnia, obejmuje w jego rozciągłości wszelkie dobro, jakie być może. Władzy poznawczej towarzyszyć i odpowiadać musi z natury rzeczy władza pożądania, jako pierwszej następstwo. Wola więc musi mieć również aspirację do dobra ogólnego, obejmującego w swej rozciągłości wszelkie dobro. Ztąd pochodzi, że podczas gdy żądza zmysłowa, odpowiadająca zmysłowemu poznaniu, nasycy się pojedynczym przedmiotem — wola żadnym w świecie przedmiotem nasycić się nie może; i człowiek, wchodząc w siebie, nigdy nie może powiedzieć, że jest zupełnie szczęśliwym: bo poznanie jego, a w następstwie i aspiracya, prześciga zawsze sumę dobra, jaką w danej chwili mieć może ¹. Ztąd dalej wynika, że żądza zmysłowa, wobec odpowiedniego sobie przedmiotu, pożąda koniecznie, jest poniekąd porwaną: co ma miejsce u zwierzęcia i w niższej części psychicznej człowieka; wola zaś wtedy tylko

¹ Poznanie i aspiracya człowieka nie tylko ilość dobra posiadanego, ale i czas jego trwania prześcigają. Ztąd słusznie wnosila filozofia starożytna, że człowiek szczęśliwym być nie może, jak tylko przy pewności, że to szczęście będzie trwało wiecznie. Ob. Cyserona: *De finibus*, l. II, cap. 27.

byłaby tak porwana, gdyby się jej przedstawił przedmiot, łączący w sobie wszelkie dobro, — a tem samem wypełniający przyrodzoną jej aspiracyę; póki zaś ma przed sobą przedmioty jednostkowe, posiadające dobro, prawdę, byt z ograniczeniem i ułamkowo, póty nie może się czuć do ich pożądania zdeterminowaną; one nie są właściwie odpowiednie do jej rdzennej aspiracyi.

Z drugiej strony te przedmioty mają zawsze coś z tego, do czego wola aspiruje: mają coś dobrego w sobie; więc też mogą być pożądane od woli. Więc ostatecznie wola, wobec jakiegokolwiek przedmiotu na świecie, jest w tem położeniu, że może go pożądać, chcieć, — a może go i niechcieć; znajduje w nim dosyć, aby mózgo pragnąć, a niedosyć, aby być do tego zadowolona. I dlatego jest wolna.

V.

Wolna wola jest tedy rzeczą dowiedzioną; zostaje nam jeszcze rzecz do wyświecenia, którąśmy umyślnie w ciągu dyskusyi pominęli, mianowicie: kiedy, w jakiej chwili rozwoju ludzkiego czynu wolność ma miejsce? — i podobnie: w jakiej porze w rozwoju życia ludzkiego wolna wola gra rolę? — Co do pierwszego zagadnienia, różne są o tem zdania: jedni upatrują tę chwilę wolności po namyśleniu się, czyli po rozbiorze powodów przez rozum; inni przeciwnie twierdzą, i wielki nacisk na to kładą, że wolność wyłącznie w przywożeniu sobie i w ocenianiu motywów ma miejsce. Nie motyw nas skłania, — mówi Renouvier — ale nasz motyw, przez nas obrany i przystrojony. Dolfus nazywa z tego powodu motywa wyboru *auto-motifs*. Inni znowu ograniczają rolę woli do wpływu na samą uwagę, którą wola może w czasie namysłu się zwracać jak chce do tych lub owych powodów, albo odwracać.

Nam się zdaje, że te wszystkie poglądy są jednostronne, zbyt posiekane. Umysł, w czasie całego rozwoju czynu wolnego (a rozwój ten dłużej albo krócej trwać może), czynny jest łącznie rozumem i wolą. Rozum przyświeca najprzód mo-

żliwością różnych wyborów. Wola wtedy (idealnie rzeczy biorąc) powinna by jedynie naglić rozum do badania powodów, za każdą stroną przemawiających — i dopiero po skończeniu tej „konsultacji“ wybór uczynić. W rzeczywistości — jednak wola nie utrzymuje się w tej równowadze niestałej, lecz odrazu skłaniać się zaczyna własnem upodobaniem ku pewnemu przedmiotowi, — czem już na roztrząsanie powodów przez rozum niemały wpływ wywiera, a nadto jeszcze uwagę gdzie chce skupia lub odwraca. Rozum niezupełnie od woli zależy; gdzie widzi rzecz w świetle oczywistości, tam żaden nacisk woli jego sądu nie zmieni; najczęściej jednak oczywistości niema, a wtedy pod wpływem woli wyszukuje ile może racyj i pozorów, żeby uznać za lepsze to, co się woli więcej podoba. O ile zaś to rozumowi się udaje, o tyle wola w swoim upodobaniu się utwierdza. Wreszcie, kiedy wola stanowczo się decyduje, rozum wypowiada zwykle ten wybór sądem praktycznym: to mam zrobić — i następuje czyn.

Jak widać, obie władze oddziałują wciąż na siebie, dążąc do zharmonizowania się; — człowiek chce być ze sobą zgodny w działaniu: — rozum przyciąga wolę do tego co uznaje za lepsze, wola ciągnie rozum do pochwalenia tego co się jej więcej podoba. Wolny wybór woli zaczyna się najczęściej od samego początku rozbioru motywów, a kończy się zwykle zgodną uchwałą woli i rozumu.

Co się tyczy pory wolności w życiu ludzkim, kwestya o tem ztąd powstaje, że Kant przypuszcza jednorazowy tylko użytek wolności: przy uformowaniu charakteru. Człowiek — według niego — raz z absolutną wolnością swój charakter stanowi; wszystkie zaś czyny całego życia wynikają z tego charakteru koniecznie, jak dedukcye z algebraicznej formułki. Ktoby znał czyjś charakter doskonale, ten mógłby przepowiedzieć wszystko, co ten człowiek robi w życiu i jak się zachowa w każdej okoliczności. Jednak te wszystkie czyny są wolne i człowiek za nie odpowiada, bo wszystkie są następstwem pierwszego wolnego założenia. Nie wdamy się w szczegółową krytykę tej teoryi; tem bardziej, że ją Kant jeszcze utrudnia, osadzając tę wolność i ten charakter w niedostępnej sferze noumenów, poza czasem i prze-

strzenię, podczas gdy czyny ludzkie są w sferze zjawiskowej. Zwróćmy tylko na to uwagę, że taki pogląd sprzeciwia się temu świadectwu wewnętrznej świadomości, na którem cała nasza pewność o wolności woli spoczywa. W którymkolwiek czynie naszym, w którejkolwiek porze życia, przy uformowaniu już charakterze, świadomi jesteśmy w chwili wyboru, że nie nas bezwzględnie nie zmusza do jakiegoś określonego działania, ale zawsze samodzielnem chceniem obieramy drogę.

Z drugiej strony jednak zdanie Kanta to ma dobrego, że uwydatnia wpływ wolnej woli na uformowanie charakteru — i odwrotnie wpływ charakteru, na kierunek woli. Charakter — ten rys indywidualny w naturze człowieka wyciśnięty, a objawiający się właściwym jemu sposobem czucia i działania — jest niezawodnie rezultatem wielu czynników: złożyły się nań dziedziczność narodowa i familijna, wychowanie i atmosfera społeczna, fizyczne warunki organizmu i zasady, jakie nam wpojono. Ale wolna wola przy tem ukształtowaniu nie była wcale bierną; ona przyzwyczaiła się ulegać odziedziczonym skłonnościom, albo je zwyciężać, trzymać na wodzy swe popędy, albo im cugle puszczać; ona wpłynęła na uformowanie naszych własnych zasad, w których może tylko mała częśćka z tego, co nam wpojono, pozostała. Ona i w samym organizmie wyłobila sobie pewne drogi i nawyki, nastroiła go podług siebie; — i w ten sposób cały charakter, inaczej mówiąc, cały człowiek co do ciała i co do duszy, doszedłszy do dojrzałego wieku, jest po wielkiej części tem, czem się dobrowolnie zrobił.

Tak urobiony charakter wpływa znowu na całe postępowanie, — nie determinując z koniecznością, ale dając skłonność i oraz łatwość do działania w każdej okoliczności podług typu odpowiedniego charakterowi, a pewną trudność do działania przeciwnego. I ztąd, (według prawidła omówionego przy kwestyi o statystyce) wyjątkowo tylko zdarzają się postęпки z charakterem niezgodne, zgodne zaś występują jako stała i prawidłowa norma.

I to jest właśnie najszczytniejsze, arcyministrzowskie wolnej woli zadanie: wyrobić w człowieku charakter idealny — ozdo-

bić go cnotami, które niczem innem nie są tylko nawyknięciami działania podług moralnego ideału — nastroić i ciało do cnoty, jak instrument muzyczny do grania; — i tak, mocą swej wolności, wyrobić w sobie stałość.

Niech się wznoszą jak posąg, pod własnej woli dłutem ¹.

Ks. Maryan Morawski.

¹ Krasieński.

GENEZA NIHILIZMU W ROSYI.

Co to jest nihilizm? — Czem różny od socjalizmu? — Typ nihilisty według Turgieniewa. — Ogólne przyczyny nihilizmu. — Dlaczego siedzibę swoją obrał właśnie w Rosyi?

Dlaczego i poco dzisiaj rozprawiać i pisać o nihilizmie? U nas go niema, w Rosyi już znaków życia nie daje; kogo dzisiaj ta kwestya obchodzić może? Odpowiadamy: nihilizm rosyjski, choć ma swe bardzo odrębne cechy, jest jednak w każdym razie odłamem tej wielkiej ogólnoeuropejskiej kwestyi socjalizmu, która od sześćdziesięciu prawie lat pokutuje żywo w umysłach, od lat dwudziestu stała się piekącą, zajmuje sobą parlamenta i kongresy, prawodawstwo i policję, pisma publiczne i katedry uniwersyteckie, a świeżo teraz ujęta w ręce przez Cesarza niemieckiego w sojuszu z Ojcem chrześcijaństwa¹, wystą-

¹ Papież Leon XIII. w encyklice swej *Immortale* z dnia 1 listopada 1885 r. wskazując, jaki powinien być chrześcijański ustrój państw i jak błogie zeń spływają skutki na rządów i ludy, piętnuje zasady t. zw. „nowego prawa“ o wszechwładzy ludu i tej „swawoli, która świętością praw bożych pomiata i należne prawowitej władzy wypowiada posłuszeństwo“, a rzecz swoją kończy wzywaniem katolików do współudziału w zarządzaniu gmin i publicznym życiu na to, aby ten dawny porządek chrześcijańsko-społeczny przywrócić.

Cesarz Wilhelm III. przekonawszy się, że państwowe represyjne prawa przeciw socyalistom zwiększają tylko ich liczbę, — w ciągu lat 12 urosła ona z 40.000 na półtora miliona — sprawę socjalizmu odebrał z rąk swego rządu i przejął na siebie, a do pomocy zawezwał nie policję i rządy, ale zaprosił wszystkie zdrowe części społeczeństwa niemieckiego na kongres berliński. Twardy to orzech do zgryzienia.

pila, jako pierwsza i prawie jedyna wielka sprawa, na widownię dziejową. Katolicki kongres w Liège przed paru miesiącami przyklasnął tym połączonym usiłowaniom cesarza niemieckiego i Papieża; konferencyę berlińską uznał, jako „pomyślny dla społecznego spokoju wypadek“, a „rozjemczy sąd Papieża w sprawie uregulowania pracy“, jako najodpowiedniejszy środek do rozwiązania trudności, które zaiste są wielkie. My, Polacy, tak blisko Rosyi, najmniej mamy prawa pozostać obojętnymi widzami wobec tej choroby socyalnej. Nihilizm, wyległy na gruncie rosyjskim, ale rozwijający się także na terenie dawnych ziem polskich, wciągający w swą akcyę także polskie nazwiska, jako nam najbliższy, zasługuje na osobne studyum historyczno-społeczne, i dlatego mówiłem o nim dawniej¹, a piszę teraz obszerniej.

I.

Co to jest nihilizm?

„Zasadniczą podstawą jego — powiada nihilista Stepniak — jest bezwzględny indywidualizm. Negacya to w imieniu indywidualnej wolności wszystkich obowiązków, nałożonych jednostce przez społeczeństwo, rodzinę, religię. Nihilizm jest namiętą i potężną reakcyą nie przeciw politycznemu, ale przeciw moralnemu despotyzmowi, który na prywatnem, wewnętrznem życiu zaciężał“².

Nihilizm według tej definicyi jest więc rokoszem przeciwko społeczeństwu; nie takim, któryby chciał zmienić formę państwa albo tę lub ową instytucyę, ale takim, który chce zburzyć wszystko, osiągnąć aż pierwotnych i najistotniejszych jego podwalin i te na cztery wiatry rozproszyć.

W wielu dążnościach swoich nihilizm zdaje się podobnym do innych ruchów nowożytnych; w gruncie rzeczy jednak w każdej jest oryginalnym. Chce on znieść wszelką różnicę stanów

¹ W dwóch odczytach publicznych dnia 12 i 19 października 1890 r. w sali radnej w Krakowie.

² *Das unterirdische Russland*, str. 2.

społecznych, usiłuje obalić trony, wymordować monarchów; — te same hasła i te same zapędy miała wielka rewolucya francuska. Ale rewolucya miała właściwie tylko dążenia polityczne: ona chciała inaczej rozdzielić władzę, wyrównać prawa; — nihilizm nienawidzi klas społecznych i władzy monarszej dlatego właśnie, że są organami uspołecznienia ludzkiego, dlatego, że na tych instytucjach społeczeństwa urosły i na nich się opierają.

Nihilizm występuje przeciwko wszelkiej własności — to samo czyni pospolity socyalizm; ale socyalizm dąży właściwie tylko do przekształcenia i nowego zorganizowania własności, ku większemu — jak sądzi — szczęściu społeczeństwa; chce on „upaństwowić“ ziemię — fabryki i narzędzia pracy przywłaszczyć pracującym; zapędza się w swym radykalizmie mniej albo więcej daleko — ale nigdy bez granic. Nihilista potępia i nienawidzi własności absolutnie dlatego, że jest siłą społeczną, źródłem bogactwa, bodźcem do organicznej pracy; i dlatego nie myśli przerabiać, przeinaczać, ale poprostu — niszczyć.

Nihilista idzie jeszcze dalej, głębiej; rozumiejąc doskonale, że podwalinami wszelkiego społeczeństwa są: religia, małżeństwo, rodzina, on dąży do zagłady religii — daleko radykalniej, niż socyalista, który o tyle z nią wojuje, o ile mu ona w jego robotach na przeszkodzie staje — on usiłuje zniszczyć rodzinę, tę zarodkową komórkę społeczeństwa — zniszczyć małżeństwo, korzeń rodziny.

Zkąd nazwa tego nihilizmu? Od łacińskiego *nihil* (nic), a wprowadził ją pierwszy sławny powieściopisarz rosyjski, Turgieniew, który w powieści swej *Otcy i djet*i przedstawia nam typ nihilisty w osobie Bazarowa. „Człowiek to w sile wieku, o szerokiem czole, o twarzy ściągłej i kościstej, ożywionej spokojnym uśmiechem, a wyrażającej ufność w siebie i rozsądek... Nie schyla on głowy przed żadnemi powagami, nie przyjmuje żadnej zasady, chociażby ona otoczona była najwyższą czią wszystkich“. Śmiała, zuchwała negacya wszelkich boskich i ludzkich powag na każdym polu, i szyderstwo, oto broń, którą on walczy z cynizmem i zimną rozważą; szorstkość i wyzbycie się wszelkich względów towarzyskiej grzeczności przy pewnej dobrodu-

szności, oto jego cecha zewnętrzna; studia przyrodnicze i sekcye anatomiczne żab i chrząszczów, oto ulubione jego zajęcie. Zresztą nauka, sztuka mają dla niego mniej wartości, jak „wyćięcie raz nazawsze nagniotka“. Miłość, to gra nerwów; uczucie, wychowanie, to wszystko brednie, szkoda czasu o tem mówić, „pójdźmy lepiej chrząszcza oglądać“. — Przeczyć, przeczyć i jeszcze przeczyć wszystkiemu, zburzyć wszystko, oto cel życia nihilisty. — „Ależ przecie trzeba i budować! — To już nie nasza sprawa — odpowiada z zimnym spokojem nihilista. — Najprzód trzeba miejsce uprzątnąć, i to jest naszą robotą; budować na tem pustem miejscu, to rzecz następnych pokoleń“.

Turgieniew pisał swą powieść 1860 r., kiedy gruby materyalizm Zachodu, dzięki kilkuletniej względności cenzury i ultra-liberalnemu kierunkowi szkolnego wychowania, dostał się do głównych ognisk naukowego ruchu w Rosyi i ośwładnął młode zwłaszcza umysły. Grubego materyalistę, chrzcząc go mianem nihilisty, przedstawił nam Turgieniew w pierwszej fazie o wyłącznie destrukcyjnych aspiracyach, które się dopiero budzą w nim i powoli przerabiają go ze zwykłego śmiertelnika na nihilistę. Co taki Bazarow uczyni później, gdy te aspiracye zrealizują się, w jaki sposób zabierze się on do dzieła burzenia i z jakim sukcesem — o tem Turgieniew 1860 r. nie jeszcze powiedzieć nie mógł.

Pierwsza ta faza nihilizmu egoistycznego trwała bardzo krótko. Już 1864 r. widzimy pierwszy wielki proces „przeciw nihilistom“ w Petersburgu, a dwa lata przedtem, pierwsze, znane wszystkim, nihilistyczne stowarzyszenie *Zemlja i Wolja*. Sprzykrzyło się nihilistom pracować tylko nad sobą; za hasłem Bakunina: *idli w narod*, poszli w lud i urządzili formalną propagandę nihilistyczną wzdłuż brzegów Wołgi i Dniepru. Tem samem nihilisci stali się socyalistami najskrajniejszego kierunku, anarchistami, rewolucjonistami czerwonymi; nazwa jednak nihilistów, od Turgieniewa wynaleziona, przyłgnęła do nich i pozostała nadal. Owszem, rząd rosyjski a za nim powoli i opinia kraju podciągnęła pod tę nazwę nie tylko socyalistów wszelkich odcieni, ale wogóle wszystkich malkontentów, nie godzących się z syste-

mem rządowym i urządzeniami państwowo-społecznymi. Dodalo to nihilistom siły i uroku na zewnątrz, ale też pociągnęło ich do odpowiedzialności za wszystkie nieporządki społeczne, które się w obszernej państwie Rosyi od 1862 r. podziśdzien wydarzyły.

W tej więc drugiej fazie nihilizm zlewa się do pewnego stopnia z socjalizmem; pozostaje tylko pewna różnica w wyborze środków, wiodących do celu. Socjalizm, jako taki, obiera drogę propagandy powolnej, pragnie najprzód przygotować umysły, obrobić społeczeństwo, robotnicze zwłaszcza warstwy, i młodzież instytutów wyższych naukowych zapomocą dzienników, broszur, rozpraw i książek, zapomocą zebrań i mów, na tych zebraniach głoszonych, wreszcie zapomocą agitacyj we warsztatach, fabrykach, w szkółkach niedzielnych robotniczych, w klubach, w stowarzyszeniach spożywczych, w czytelniach i bibliotekach ludowych i innych instytucjach, prawnie istniejących, przez osobnych, na to wyznaczonych emisaryuszów. Emisaryusze ci zapisują się do szkół wyższych na kursa, kursa te na lata całe rozkładają, a tymczasem tworzą pocichu i zręcznie związki czyli stowarzyszenia socyalistyczne pod nazwą naukową lub humanitarną; formalną urządzają obławę na kolegów, zwłaszcza świeżo przybyłych, a majątniejszych, aby ich wciągnąć do swego związku, wyzyskać ich talent, a przynajmniej ich kieszeń. Równocześnie drugi dział emisaryuszów socyalistycznych, rekrutujących się z ludzi młodych, gorących entuzjastów, zdolnych do poświęceń, uczy się rzemiosła, wstępuje do warsztatów i fabryk i prywatną rozmową, rozdzielaniem broszur i pism socyalistycznych, *ad hoc* specjalnie napisanych, szerzy doktrynę socyalistyczną między robotnikami i rękodzielnikami, którzy znów, w szkole socyalizmu dobrze wytresowani, zwyczajami i obyczajami do wiejskiego ludu zbliżeni, a zajęciami swemi z nim często mieszczeni, przenoszą powoli i niepostrzeżenie doktrynę socyalistyczną do mas ludu, wyszydzając jego wiarę i pobożność, krytykując ostro rząd, jakikolwiek on jest, i urzędnia państwowe, narzekając w niebogłosy i kląć na niesprawiedliwość i ucisk ludu przez klasy majątne i wpływowe, przez kapitalistów zwłaszcza i wielkich fabrykantów. Tym sposobem powoli, ale

skutecznie, jak wilgoć do gąbki, wsiąka doktryna socjalistyczna we wszystkie warstwy pracujące, uboższe i ubogie.

Otóż dla nihilizmu takie obrabianie społeczeństwa drogą powolnej propagandy wydaje się niepraktyczne, bo nie wiodące do celu. W miarę bowiem jak się uwidocznia i wychodzi na zewnątrz propaganda socjalistyczna — ukryć się przecie zupełnie nie potrafi — występuje przeciw niej akcja sprzymierzona rządów, parlamentów, kościołów, zwłaszcza katolickiego i wszystkich ludzi konserwatywnych, których we wyższych warstwach społeczeństwa i w masach ludu zawsze jeszcze jest bardzo wiele. Nihilizm więc odrzuca powolną propagandę, idzie wprost do czynu; nie doktryneruje, ale działa — i to stanowi jego charakterystykę.

Rozumie się samo przez się, że i nihilizm bez jakiejś propagandy obejść się nie potrafi; ma i on swoje związki i ogniska, ma dzienniki, broszury i tajne drukarnie, ma i rozsyła swoich emisaryuszów, a nadewszystko emisaryuszki — kobieta odgrywa w agitacji nihilistycznej znaczną rolę; ale to wszystko tylko o tyle, o ile potrzeba, aby zgromadzić w jak najkrótszym czasie znaczną liczbę nihilistów i nihilistek praktycznych, którym się nie prawi długo o doktrynie, ale których się prowadzi odrazu do czynu: do werbunku nowych adeptów, do wykradania dokumentów niebezpiecznych dla sekty, do podsadzania min pod pociągi, wiozące cesarza, lub pod jego pałace, a wreszcie do skrytobójstwa niebezpiecznych dla nihilizmu ludzi. „Pójść w lud i działać“, oto aksjomat nihilizmu — obrabiać lud, przygotować umysły, wyczekiwać sposobnej chwili do czynu, oto aksjomat socjalizmu.

Źródło nihilizmu jak i socjalizmu wszelkich odcieni tkwi w zepsutej naturze ludzkiej, która pod jarzmo prawa bożego i ładu społecznego poddać się nie chce. Zewnętrzną zaś podniętą jego była i jest zawsze wadliwość ustroju społecznego, wynikająca ztąd niesprawiedliwość klas uprzywilejowanych względem klas niższych; nierówność majątkowa, nierówność materialnego bytu, a wreszcie anachronizmy i błędy systemów rządowych. Im te różnice majątkowe są bardziej rażące, im bardziej jedna stosunkowo nieliczna część społeczeństwa, bogacąc się

nad miarę, popisuje się zbytkiem, przepychem i wystawnością — a druga część, stanowiąca ogromną większość, ledwo starczy sobie na życie, cierpi często niedostatek i nędzę — im bardziej system jaki rządowy jest samowolny, despotyczny i niesprawiedliwy, poczytuje za zbrodnie i karze to, co w innych państwach publicznem prawem uznane jako dobre i dozwolone — tem gwałtowniej i natarczywiej występuje socjalizm i posuwa się w niektórych razach aż do ostateczności nihilizmu. I właśnie dlatego kwestya socyalna jak czarna nie wlecze się przez dzieje ludzkości całej.

Nie mówiąc już nic o ludach barbarzyńskich, które nie stanowiły nigdy silnie uorganizowanego społeczeństwa, naród rzymski nieraz przebywał kryzę socyalistycznych rozruchów. Secesye ludu, prawa agraryjne, bunty niewolników, rabacye i okrucieństwa gladyatorów pod Spartakiem, oto objawy tych groźnych chorób społecznych. Ledwo przechuzała nad starym światem rzymskim burza najścia dzikich ludów i skryształizowało się chrześcijańskie społeczeństwo, spotykamy się w XIII. w. w Paryżu z formalnymi nihilistami pod nazwą *Fratres et sorores liberi spiritus* (bracia i siostry wolnego ducha), którzy postanowiwszy sobie za cel „powrót ludzkości do pierwotnego stanu“ czyli zupełną niezależność jednostki od jakichbądź obowiązków, obalali państwo, Kościół, społeczeństwo, religię, rząd, władzę rodzicielską, małżeństwo, a ohydne swe schadzki nazwali „rajem“. Odlam ich pod nazwą Adamitów osiedlił się w Czechach, ale wytępiony został do nogi przez Husytów.

W XVI. w. koło 1520 r. t. zw. „Niebiescy prorocy“ głosili wspólność ziemi, majątku i żon i zniesienie wszelkiej władzy. Podobni im byli Münzeryanie w Niemczech, Socynianie w Szwajcaryi i u nas w Polsce, o których mówił współczesny im Skarga: „chore te i naruszone głowy“...

Teroryści z epoki wielkiej rewolucyi francuskiej byli nihilistami w całej pełni. Znaleźli się nawet koło r. 1796 teoretycy nihilizmu: Babeuf i Bonarotti, którzy wychodząc z zasady, że „natura dała każdemu człowiekowi równe prawo do pracy i do używania, obrona zaś tej równości jest celem społeczeństwa“ —

nauczali, że bogactwo jest zbrodnią, ani bogatych ani ubogich być nie powinno, a nauczanie powinno być wspólne. „Nie chcemy — wołali — ani rządu ani państwa, ani własności, ani kościoła, ani wyższych zakładów naukowych, ale za to czytać i pisać muszą umieć wszyscy“.

Nihilizm więc rosyjski miał sporadycznie swoich przesłańców na Zachodzie Europy, a zaprzeczyć się nie da, że wzory swoje czerpał także z rozmaitych szkół socjalistycznych, jak to opowiemy niżej. Dlaczego jednak ten nihilizm rozsiadł się właśnie w rosyjskiem państwie i doszedł do takich rozmiarów, że stał się postrachem społeczeństwa, rządu i samych carów?

II.

Przyczyny tak głęboko nurtującej choroby, jak nihilizm, nie można oczywiście szukać w warunkach powierzehownych, ale trzeba zajrzeć aż do głębi tego narodu, a przedewszystkiem do jego religii.

Otóż dziwna rzecz, jak pod tym względem Rosya rozmaicie się przedstawia różnym obserwatorom, którzy się jej zbliżają czy zdaleka przypatrują. Wielom się zdaje, że to jest kraj najbardziej chrześcijański w świecie: wszędzie cerkwie, ikony, obrzędy religijne łączą się z wszystkimi publicznymi i domowymi sprawami, święta Rosya na wszystkich ustach. Innym znowu, którzy może jeszcze bliżej temu krajowi się przypatrzyli, przedstawia się w nim coś pogańskiego; mówią, że Rosya niezupełnie się do chrystyanizmu nawróciła.

„Rosya — mówi autor najnowszego dzieła o tym kraju — pomimo przyjęcia chrystyanizmu przed tysiącem lat, nie jest chrześcijańską, zachowuje tylko praktyki zewnętrzne, a zasady niektóre tylko, i to co zgrubsza. Książęta moskiewscy przyjęli chrystyanizm z pobudek politycznych, narzucili go z łatwością bez woli ciemnym masom, nie troszcząc się o jego ducha ani o wykorzenienie dawnych pojęć pogańskich. Zmieniły się formy religijnego kultu, ducha pogańskiego pozostało wiele“.

Tak pisze przyjaciel Rosyan, francuski publicysta, Anatol

Leroy Beaulieu, członek akademii, w kilkutomowym dziele *L'empire des Czars et les Russes*; a cały trzeci tom tej poważnej pracy poświęcony jest religii państwa carów¹. Przed nim powiedzieli to samo: de Maistre i baron Haxthausen, obydwaj znakomici myśliciele, obydwaj dla Rosyi życzliwie usposobieni, a wskutek wieloletniego w niej pobytu znający ją dobrze.

Jak wytłómaczyć tę sprzeczność? Nam się ona łatwo tłómaczy tem, że Rosya zaczerpnęła chrystyanizm nie z Rzymu, jak prawie wszystkie inne narody europejskie, ale z Bizancyum, i to wtedy, kiedy już ta gałąź Kościoła, wskutek odcięcia od głównego pnia, usychała. Ztąd kiedy narody zachodnie i Polska wykształciły się na zdrowych żywotnych sokach chrześcijaństwa, Rosya przyjęła od tej suchej gałęzi jakiś chrystyanizm martwy, mający więcej formy, niż ducha. Ztąd u nich obrządek tak ogromne zajmuje miejsce, nauka religii tak mała, ztąd ich duchowieństwo jest w tak wysokim stopniu instytucją państwową, a tak mało jest organem kościelnego życia.

Nie mówię, że w tym ludzie niema istotnej wiary i pobożności, ale ta wiara, przez Cerkiew zaszczerpiona, nie zapuściła takich korzeni, jak w narodach, przez Kościół katolicki wykształconych. W tych ostatnich wiara silnie się broni przeciw podmuchom bezbożności, a tam nawet, gdzie zostaje pokonana, jeszcze po wielu pokoleniach zostawia w duszach pewne zasady moralne, które ona wyrobiła, i w społeczeństwie pewną atmosferę chrześcijańską, w której nawet ludzie wcale niewierzący bezwiednie żyją. Co uczuł Renan, kiedy powiedział: Żyjemy z cienia chrystyanizmu. U ludu rosyjskiego przeciwnie: wiara o tyle tylko się ostaje, o ile nie jest narażoną na żaden ruch myśli, na żaden powiew cywilizacyi. Skoro tylko muzyk zaczyna się oświecać, przechodząc przez szkołę, skoro zaczyna myśleć, już nie znajduje w formalistyce religijnej, której go nauczono, żadnego punktu oparcia, nie znajduje w duchowieństwie żadnej obrony przeciwko duchowi negacyi, który się do jego duszy zakrada —

¹ Obszerną recenzję tego tomu podalem w odcinku *Czasu* 1890 r.; także w osobnej broszurze.

wiara jego i religijność rozwiewa się odrazu, jak bańka mydlana; a ponieważ ta wiara nie wykształciła duszy, jak na Zachodzie, więc nie zostaje po niej ani zasad ani przekonań, zgoła nie — robi się w takiej duszy próżnia moralna, o jakiej my tutaj pojęcia nie mamy. Ta próżnia — to jest właściwy nihilizm, który u jednych pozostaje przez całe życie w stanie utajonym, bo go w sobie zagłuszają służbą cara, ciemieniem podwładnych, życiem hulaszczem. U drugich, którzy dotkliwiej tę próżnię wewnętrzną odczuwają, wyradza się z niej ta straszna nienawiść do społeczeństwa i do jego moralnych podstaw, które im są obce i wstrętne; — a gdy ta nienawiść objawia się czynem, jest już nihilizm jawny.

Z tego punktu widzenia nihilizm rosyjski różni się głęboko od pospolitego socjalizmu. Ten ostatni — jak dobrze powiedziano — jest tylko kwestyą głodu materialnego — nihilizm zaś przedstawia mi się jako symptomat głodu duchowego. I to nam tłumaczy ten szczególny fakt, że podczas gdy socjalizm pospolity szerzy się po wszystkich krajach prawie wyłącznie wśród proletaryatu — nihilizm rosyjski grasuje jedynie wśród warstw jakotako oświeconych, a nie uczepia się ludności pracującej. To właśnie stanowi słabość ruchu nihilistycznego w Rosyi — że niema ludu za sobą; ale to także stanowi jego grozę: że ten lud nie może się ucywilizować bez popadnięcia, niemal koniecznie, w nihilizm.

Do tej rdzennej niemocy chrystyanizmu prawosławnego, jako głównej przyczyny nihilizmu, dodać trzeba brak siły odpornej w organach społeczeństwa rosyjskiego. W pierwszym rzędzie do podtrzymywania życia religijnego i zwalczania fałszywych doktryn powołany jest kler. Na Zachodzie, episkopat, duchowieństwo świeckie i zakony, mimo ułomności ludzkich, spełniały przez wieki to zadanie i dzisiaj jeszcze, pomimo bezwyznaniowości prawodawstwa i rządów, rządy te zwalczając anarchię, przywołują w pomoc powagę biskupów i wpływ kleru. W Rosyi zupełnie inaczej. Tam kler nie jest osobną duchową potęgą, ale prostym organem w państwie, zarówno świeckim i na sile

opartym, jak państwo. Państwo przestroiło kler wyższy i niższy w swoich urzędników, posługuje się Cerkwią do celów politycznych i policyjnych, przez co obniża jej znaczenie i urok, wstrzymuje w niej wszelki rozwój intelektualny. To też główną charakterystyką urzędowej Cerkwi rosyjskiej jest „bezdusznosc i strupieszalosc“. Władca jest tylko czynownikiem cerkiewnym, a św. synod petersburski „pierwszym aktem ingerencji carów do Cerkwi“.

Członków św. synodu, reprezentantów rosyjskiej Cerkwi, dozoruje świecki carski urzędnik, oberprokureorem zwany; władcyków i ich konsystorze dozoruje mianowany przez prokurora świecki sekretarz, szpieg i donosiciel z urzędu; a zwykłego popa dozoruje mianowany z ramienia władcyki, ale też i rządu, protorejery czyli dziekan, dozoruje sprawnik lub wójt gminy i żandarm, tak że cały „biały“ kler rosyjski zostaje pod nadzorem policyjnym państwa. Seminaria i cztery akademie duchowne zostają także pod szczególniejszym nadzorem carskiego rządu, który mianuje dla nich rektorów, profesorów, inspektorów. Młodzież wychodząca z tych „koszar duchownych“, odznaczała się dawniej ciemnotą, a dziś w dodatku „wolnodumstwem“; koryfeusze rosyjskiego nihilizmu z niej się głównie rekrutowali ¹.

Dodajmy jeszcze do tego, że w Rosyi kapłaństwo niema piętna niezmazalnego, jak u katolików; za pozwoleniem św. synodu i potwierdzeniem cara może pop rosyjski uwolnić się od kapłaństwa i wrócić do świeckiego stanu; przekonany o zbrodnię bywa zdegradowany, jak każdy urzędnik. Ztąd to pochodzi brak poszanowania dla rosyjskiego kleru u ludu i rządu, ztąd też „Cerkiew rosyjska przyznaje większy wpływ pierwiastkowi świeckiemu“ ².

Nadomiar złego, ten kler żonaty i dietny, w tem większej jest zależności i tem więcej schylony ku ziemi, że jest w niedostatku. Tylko mała jego część otrzymuje pensję 400 rubli rocznie — wyjątek stanowi kler rosyjski w ziemiach dawnej Polski. Troska o byt materyalny rodziny zaciera poczucie go-

¹ *L'empire des Czars*, III., str. 269.

² Tamże, str. 151.

dnosci kaplańskiej i zmusza go do wstrętnego targu za każdą posługę duchowną, do zdzierstwa i przedajności. To też „popie oczy“, chciwe a nienasycone, przeszły w przysłowie u ludu, a on sam w pogardę u klas inteligentnych, które formalnie stronią od niego. Jakimże cudem ten nieszczęśliwy pop rosyjski — zależny od chłopu, który go opłaca, odepchnięty od inteligencji, która nim pomiata, traktowany jak sługa lub winowajca od swego władcy, który go zamknąć może do monasteru lub wysłać w żołdacy — jakimże cudem może on stawić opór nihilizmowi, który przychodzi z otwartą przyłbicą i burzy wszystko śmieie i zuchwale, który nawet na rusztowaniu odtrąca od siebie usługę popa, bo „regulamin duchowny“ Piotra W. nakłada obowiązki na spowiednika, aby pod karą śmierci zadenuncyował spisek przeciw państwu lub carowi, jeżeli się o nim dowie ze spowiedzi?

A zakony, które na Zachodzie tak walną oddały usługę cywilizacji, nauce, sztuce, a były zawsze i są dzisiaj wałem obronnym przeciw sekciarstwu religijnemu i społecznemu? W Rosyi kler „czarny“ czyli zakonny nie miał nigdy na celu nauki ani apostołowania, ale tylko ascezę, uświątobliwianie siebie i pokutę za drugich¹. Dobrzeby i to było, gdyby było przytem odpowiednie kształcenie duchowne i jakieśkolwiek pojęcie o życiu wewnętrznem. Ale ponieważ ani śladu tego niema, wszystko się kończy na próżnowaniu i innych występkach, które za tem idą. Wstępują do monasteru na wypoczynek starzy wdowcy księży, pensjonowani urzędnicy i żołnierze; wstępują dla karyery młodzi akademicy i zaledwo wdzieją habit, już ich promowują na profesorów, ihumenów lub władyków. Oprócz obsługi koło cerkwi i podtrzymania pobożnych pielgrzymek ludu do miejsc cudownych, do grobów świętych, których „głos ludu kanonizuje“ — kler czarny innej zasługi niema; warstwy inteligentne nie troszczą się o niego albo nim gardzą.

Tak więc upada w Rosyi pierwsza walna tama przeciw wylewowi nihilizmu, jaką jest wpływ Kościoła i duchowieństwa. To też tryumfująco zaznacza stary nihilista Stepniak: „Pier-

¹ Tamże, str. 224.

wszą walkę stoczył nihilizm na polu religijnem. Nie była ona ani długą ani zaciętą; zakończyła się jednym prawie zamachem, bo na całym świecie niema kraju, gdzieby religia w wyższych warstwach tak mało zapuściła korzeni, jak w Rosyi. Poprzednia generacya była jeszcze nieco chrześcijańską z nawyknienia, nieco ateistyczną z kultury. Ale skoro raz zastęp młodych, przyrodzonymi naukami i pozytywną filozofią uzbrojonych pisarzy, pełnych talentu, ognia i żaru prozelityzmu wyruszył do ataku, to chrześcijaństwo zwało się jak stary zgniły barak, który stoi opuszczony, bo już nikt o niego nie dba. Sprawa poszła bardzo gładko, bo już nikt nie bronił ołtarzy i bogów. U nas na szczęście kler nie miał nigdy żadnego duchownego wpływu, bo jest bardzo ciemny, i dlatego jeszcze, że księża żeniąc się, zatopieni są w swe sprawy familijne... Walka była zwycięską, nietrudną i bez wysiłku, ale stanowczą, bezwzględną. Dzisiaj w Rosyi człowiek, mający odrobinę wykształcenia, a nie materyalista, uchodziłby za białego kruka. Zwycięstwo to było niesłychanej wagi¹.

Po duchowieństwie, drugim wałem obronnym społeczeństwa przeciwko rozkładowym dążnościom nihilizmu mogłaby być szlachta. Historia Zachodu nas uczy, jak wielką siłę odporną i zachowawczą mogą znaleźć narody w swojej szlachcie. Ale nie zapominajmy o tem, że szlachta w Rosyi powstała zupełnie inaczej, jak w Europie zachodniej. Rdzeń jej stanowią „bojarzy“, potomkowie dawnych rodzin książęcych, pełniący służbę u dworu carskiego. Za nimi idą wyżsi urzędnicy i wojskowi, pochodzenia nieraz gminnego, ale którym wysoki czyn nadał szlachectwo osobiste lub dziedziczne. Car Piotr nie tylko pozwolił wszystkim szlachcie wstępować do służby rządowej, — ale nadto odebrał prawo głosu w ziemstwach szlacheicowi, któryby nie posiadał „czynu“. Tak więc w Rosyi najwyższa warstwa narodu, szlachta, ma tę samą słabą stronę, co ich kler: — że jest i musi być czynownictwem. Otóż ci czynownicy ubiegając się za awansami i dekoracyami, przenoszą się lub bywają przenoszeni z powia-

¹ *Das unterirdische Russland*, str. 2.

towych miast do gubernialnych i do stolicy, zkał znów, udekorowani wracają na prowincję w charakterze wyższych urzędników. Naturalnym wynikiem tej gorączkowej gonitwy za „czynem i chrestem“ jest brak wyrobienia tej godności osobistej i familijnej, która stworzyła wszędzie siłę socyalną szlachty; — brak przywiązania do miejscowości i własności ziemskiej, która jest zawsze podkładem tej potęgi.

Gonitwa za „czynem i chrestem“ pociąga za sobą inne jeszcze następstwo. Nie każda ambicja może być zaspokojoną. Zawiedziona nadzieja wytwarza malkontentów, którym wszelki zamach na istniejący porządek społeczny wydaje się słusznym, bo jeżeli nie wynagrodzi, to przynajmniej pomści ich rzekomą krzywdę. To nam znów tłumaczy, dlaczego we wszystkich prawie ruchach rewolucyjnych w Rosyi, w nihilistycznym zwłaszcza, napotykamy zwolenników z klasy szlacheckiej.

A jeżeli szlachta rosyjska jest słabą zaporą przeciwko wylewowi nihilizmu, to cóż powiedzieć o t. zw. inteligencji, składającej się z nader licznego zastępu urzędników państwowych, do których zaliczyć należy profesorów wszystkich instytutów naukowych nawet duchownych, i nauczycieli wszelkich szkół — i z równie licznego zastępu ludzi wolnego zajęcia (*profession libre*) jak: inżynierowie, architekci, urzędnicy kolejowi, adwokaci, lekarze i t. d.; wszyscy ci muszą mieć jakiś „czyn“, nawet literaci i redaktorowie gazet muszą się o niego postarać, jeżeli chcą mieć „poszanowanie“ u swych czytelników. Ta warstwa ludzi nie tylko nie jest zaporą przeciwko nihilizmowi, ale jest właściwym jego gniazdem. We wnętrzu wielkiej części tych ludzi jest ów nihilizm w stanie utajonym, o którym mówiliśmy wyżej. Mogą oni przytem służyć państwu, nawet ścigać nihilistów, o ile czują nad sobą potężne ramię caratu; — ale w duszy, w aspiracjach swoich od nihilistów się nie różnią, chyba mniejszą odwagą. I ztąd to nieraz znajdujemy w organach rządu rosyjskiego ten psychologiczny dualizm, który nas w osłupienie wprawia: jako urzędnik,^f taki człowiek ma jedną duszę z autokratycznym państwem, a jako istota myśląca, jest on wolnodumcą — aż do krańców nihilizmu.

A co sądzić o samym caryzmie, który pochłonał poniekąd w sobie siły i duchowieństwa i szlachty i czynownictwa i wszelką siłę, jaka jest w narodzie, — który skupił w sobie nietylko wszelkie prawo państwowe, ale też uczucia patryotyczne i nawet w pewnej mierze uczucia religijne tylu milionów podwładnych?... Czy on skutecznie powstrzyma nihilizm?

Niema kwestyi, że ten caryzm jest ogromną potęgą; on jeden — jak widzimy — żelazną dłonią trzyma w szachu tytaniczne buntury nihilistów — i pod tą dłonią narzędzia tak spróchniałe, jak duchowieństwo i biurokracya rosyjska, pełnią z rygiorem przynajmniej materialną stronę swych zadań.

Z drugiej strony jednak ten sam caryzm, „anachronizm żyjący w Europie“, — jak mówi Leroy Beaulieu — jest główną i nieustającą przyczyną niezadowolenia i buntu, kipiącego w duszach, a rodzącego nihilistów. Ponieważ Cerkiew — jak widzieliśmy — jest organem państwa, a przedstawicielem i uosobieniem państwa jest car, przeto tenże car jest rządcą, faktycznym przedstawicielem rosyjskiej Cerkwi, nie jako jej głowa, ale jako „pierwszy chrześcijanin“, jako „zastępca Boga na ziemi“. *Swod zakonow* nakazuje mu posłuszeństwo religijne we wszystkim, a rzuca klątwę na każdego, ktoby się ośmielił buntować przeciw niemu. Otóż ta pretensya do władania duszami, to użycie religii za podnóżek ludzkiej samowoli musi buntować szlachetniejsze dusze. To właśnie było przyczyną — jak wykazał Włodzimierz Sołowiew — odstępstwa starowierców za Nikona; to do dziś dnia daje powód różnym odszczepieństwom i sektom, i to wywołuje tę nienawiść do caratu i do religii zarazem, która cechuje nihilistów. Dusza ludzka musi się czuć pokrzywdzoną takim wdzieraniem się władzy świeckiej aż do tego, co w niej najświętsze.

Dalej cały ustrój państwa autokratyczny, z caryzmu wynikający, jątrzyć musi dusze. Podczas gdy rządy wszystkich innych państw wielkich i małych są konstytucyjnymi, kiedy wszystkie kraje mają jakąś wolność prasy, wolność słowa, wolność stowarzyszeń i zebrań, wolność nauczania i kształcenia się, autonomię gmin, miast albo prowincyj całych, reprezentacyę krajową z wolnych wyborów, odpowiedzialność rządu, wreszcie wolność su-

mienia — w jednej tylko Rosyi to wszystko jest zabronionem i poczytuje się za zbrodnię stanu. Uchodziłoby to jeszcze mogło, gdyby Rosya zdołała — jak marzą niektórzy jej szowiniści — zupełnie się od świata odosobnić. Ale to jest prostem niepodobieństwem. Granice Rosyi, choć najeżone żandarmami i kozakami, są jednak otwarte dla wieści i pojęć z Zachodu. Rosya z konieczności rzeczy założyła uniwersytety, wyższe zakłady naukowe, gimnazya, nadała koncesye na fabryki, koleje, banki i przeróżne instytucye finansowo-przemysłowe, dopuściła obcokrajowców do posiadania ziemi, kopalni, fabryk; w dodatku wypuszczała corocznie za granicę do uniwersytetów i szkół setki młodzieży, którzy wolnemi instytucjami Zachodu olśnieni, u siebie nie podobnego lub wszystko wręcz przeciwne znalazłszy, spokojnymi widzami tego, co się w ich ojczyźnie dzieje, pozostać nie mogli; dozwalała, pomimo surowości cenzury, że tysiące dzieł liberalnych tendencyj z rąk do rąk sobie podawano i czytano pilnie, a dzienniki i powieści, umiejące pisać „między liniami“, opowiadały wymownie myśli i walki szermierzy wolności na Zachodzie. Dopuściwszy takiego zbliżenia do Europy, chce caryzm rządzić dalej po staremu na modłę Iwana Groźnego, usiłuje pochód zachodniej cywilizacyi nagle powstrzymać i wtłoczyć ją w Iwanowy kaftan. To już nie anachronizm tylko, ale błąd wielki, polityczny. I cóż dziwnego, że nietylko żywioły młode i palne, ale wielu poważnie myślących ludzi w Rosyi staje się milczącym sojusznikiem nihilizmu, który przynajmniej jakąś zmianę zapowiada. Wszak to rosyjskie sądy przysięgłych uwolniły nihilistkę Wierę Zazulicz, pomimo że ta do zamachu na życie policmajstra Trepowa się przyznała, od wszelkiej kary, a ludność Petersburga wyrwała ją z rąk żandarmów, którzy, pomimo uwalniającego werdyktu sądowego, ponownie ją aresztować mieli.

Wreszcie, jątrzy jeszcze caryzm raka nihilizmu sposobem represyi gwałtownym i bezwzględny. Caryzm innego sposobu działania niema, nie znosi on oporu, nie dysputuje, ale karze. Wszystkich niechętnych, niezadowolnionych z obecnego stanu rzeczy, wszystkich rozmaitych odcieni socyalistów, których tolerują inne państwa, nawet tak rządne, jak Niemcy, podciągnął

pod nazwę nihilizmu¹, przez co nadał mu niesłychaną siłę i znaczenie. Nihilizm stanął do walki z urzędową Rosyą; przeciw jej „białemu“ postrachowi postawił swój „czarny“ postrach, mordował jej urzędników, zamordował jednego jej naczelnika, na życie drugiego godził razporaz, latami całemi w śmiertelnej trzymał go trwodze i doprowadził do tego, że dziś jeszcze wśród tłumu policyi i całych regimentów straży przybocznej niezupełnie czuje się bezpiecznym.

Caryzm odpowiedział na to środkami, które narazie zrobiły straszną ciszę, ale które z natury swej zdolne są tylko pomnożyć liczbę malkontentów i zrozpaczonych — a więc nowych nihilistów. Zamiast nadać lepszy kierunek publicznemu wychowaniu, skrępowano jeszcze więcej uniwersytety i szkoły, dano im za przewodników eks-urzędników, eks-oficerów; cyfrę uczniów wprowadzono do minimum, rzucając tem samem tysiące młodzieży, chciwej nauki, w objęcia nihilizmu. Zamiast wziąć w opiekę uczciwą prasę, zwolnić cenzurę na dzieła religijno-moralnej treści, obostrzono ją jeszcze bardziej, a natomiast forytowano prasę ateistyczno-materyjalnej barwy. Niedosć tego; dla wyłowienia nihilistów użyto przewencyjnego aresztowania masami, bez sądu, bez wyroku miesiącami i latami całemi trzymano ich w więzie-

¹ Szeff policyi w Irkucku, kapitan Makowski, wypowiedział podobne zdanie: „Prawdziwych nihilistów, dzikich fanatyków, należy silną ręką zdusić, — ale są też polityczni wygnańcy, których mi żal szczerze. Młodzi np. ludzie, którzy z prawdziwymi nihilistami przypadkiem w korespondencji albo w przyjaźni zostawali, albo którzy z grzeczności listy lub druki swoim znajomym przechowywali, nie wiedząc wcale, jakiej one są treści. Niechże policya odkryje w nich rewolucyjną dążność, niech tłómaczy się jak chce usłużny przyjaciel swą niewiedomością, — nie to nie pomoże, pójdzie do więzienia, a potem na wygnanie. Taki sam los spotyka tych, którzy nihilistom pieniądze pożyczycy, nie wiedząc na co one użyte będą i nie myśląc nawet o żadnym spisku przeciw rządowi. A wreszcie jest tu pewna warstwa młodych, 18—20-letnich ludzi, pełnych ognia i natchnienia, którzy jedynie dobra swej ojczyzny szukali. Widzą oni braki dzisiejszego systemu rządowego, wierzą, że one dadzą się usunąć nie drogą rewolucyi, ale drogą powolnych reform. Tacy bardzo łatwo dadzą się wpłatać w tajne związki i rewolucyjne kółka, wpadną wnet w ręce policyi i dostają się na Sybir, chociaż w gruncie dobrymi są ludźmi, a cele ich najlepsze i czyste. Tych mi żal serdecznie“. (Kennan, *Siberien*, t. I., str. 263).

niu; jednych potem puszczano wolno lub oddawano pod nadzór policyjny, drugich, nawet uwolnionych wyrokiem sądu, karano nieraz drogą administracyjną więzieniem lub wysłaniem na Sybir. Rzecz jasna, że całe masy ludzi, których najniewinniej dosięgła ta brutalna represya, od tej chwili naprawdę poczęły być wrogo usposobione dla ustroju państwowego, a sympatyzować z nihilistami. Taki psychologiczny proces przebyli prawie wszyscy wybitniejsi nihilisci, przebyła Wiera Zazulicz i Perowska. Jest dzieło dwutomowe, na wiele przełożone języków, Anglika Jerzego Kennan'a, p. t.: „Syberya“. Opisane w niem są więzienia rosyjskie w Europie i w Syberyi, które sam autor, podróżując na kilka zawodów po Rosyi, zwiedzał i studyował wszystkie, oprócz Petropawłowskiej krepости; opowiedziane tam pochody etapem i życie wygnańcze politycznych przestępców w Tiumenie, Irkucku i w kopalniach Kara. Opisuje i opowiada to nie Polak, nie katolik, ale protestant, Anglik, jako reporter ilustrowanego czasopisma *Century Magazine*, który — jak sam w przedmowie wyznaje — rozpoczął swoje badania życzliwie usposobiony dla rządu rosyjskiego, a źle uprzedzony do rosyjskich rewolucjonistów; ale ledwo się zetknął z politycznymi przestępcami, a wśród nich ujrzał 17-letnie studentki, trwożliwe i zarumienione na widok obcego człowieka, wtenczas — jak sam na str. 98 wyznaje — „ogarnęło mnie po pierwszy raz uczucie pogardy dla tego rządu“. Odtąd studyował on więzienia i katorgi rosyjskie nie tylko dla zaspokojenia ciekawości Anglików i Amerykanów, ale i na to, aby pod sąd całego cywilizowanego świata poddać to „piekło niewypowiadzanej nędzy ludzkiej, kończącej się często pomieszaniami zmysłów albo samobójstwem, które pochłania tysiące ofiar, często nie winnych żadnej zbrodni, często najlepszych, którzy — według słów wysokiego rosyjskiego urzędnika — w innych warunkach zdolni byli ojezyźnie swojej nieocenione przynieść usługi“¹.

¹ Przedmowa do niemieckiego wydania „Syberyi“ Kennan'a. Berlin 1890.

Jeżeli taka metamorfoza dokonała się w duszy obojętnego widza tego „piekła“, cóż się dopiero dzieć musi w duszy tych, którzy męki tego „piekła“ ponoszą? P. Kennan uczuł pogardę — oni zionąć chyba muszą nienawiścią i zemstą.

Tak nam się przedstawiają przyczyny nihilizmu w Rosyi — kiedyindziej zastanowimy się nad jego historycznym rozwojem.

Ks. Stanisław Załęski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Nowele i poezye Maryi Konopnickiej.

Mamy właśnie pod ręką nowele, a raczej — mówiąc po staremu — szkice i obrazki p. Maryi Konopnickiej: Naszą szkapę, świeżo drukowaną w petersburskim *Przeglądzie literackim*, i osobny tomik p. t.: *Moi znajomi* (Warszawa 1890, str. 318).

Pisać ocenę noweli — tego karzełka piśmiennictwa — praca to niemiała i mało pożyteczna; podejmuję ją jednak nie tyle ze względu na głośnie imię powszechnie znanej poetki, jak raczej ze względu na tendencye i zasady, szerzone tak zdolnem piórem.

Naszej szkapie pod względem techniki, dowcipu i opisowego realizmu należy się wszelkie uznanie. Inaczej jednak wypaść musi ocena wewnętrznej wartości tego obrazka, który ze stanowiska psychologii przedstawia nieprawdopodobną anomalię, a ze stanowiska etyki przedmiot wprost niemoralny. Oto treść. Ubogi człowiek, utrzymujący rodzinę z pomocą jednookiej szkapy, którą wozi żwir i piasek wiślany, popada w nędzę gdy się robota koło żwiru skończyła. Trzech chłopaków: małego Piotrusia i dwóch wyrostków można wprawdzie byle czem zaspokoić, ale ciężko chora żona potrzebuje doktora, lekarstw i posilniejszej strawy. Stopniowo więc wszystkie najpotrzebniejsze sprzęty wynoszą „handelesy“, a wkońcu i owa szkapa, ulubienica chłopców, przechodzi na własność „kumotra“, który w dodatku obiecuje stroskanemu ojcu, na wypadek nieszczęścia, wywieść mu żonę zadarmo na cmentarz. Obietnicy tej dotrzymuje sumiennie. Szkapa raz jeszcze

wyświadcza ostatnią już przysługę swym dawnym właścicielom, a chłopcy wśród żalobnego pochodu obsypują ją najczulszemi pieśczołami, nie poprzestając tej zabawy nawet nad mogiłą matki. Na smutnem tle nędzy i nieszczęścia występują w tym obrazku charakterystyczne sylwetki działających osób wśród rzewnych i bolesnych lub naprzemian wstrętnych i komicznych epizodów.

Psychologiczną anomalią zwiemy tu owych dwóch wesółych wyrostków. Chłopcy ci, wychowani energiczną ręką najzacniejszego ojca, patrzą na przykłady jego poświęcenia się i miłości, widzą jego troski i cierpienia. Dojrzały są już aż nazbyt, bo słuchając np. wspomnień ojca i matki o przedślubnej ich miłości, trącają się znacząco łokciami. Umysłowo także są już rozwinięci, bo nawet staremu żydowi nie dają się wyprowadzić w pole. Uczucie litości również nie jest im obce, czego dowodem ich troskliwość o małego Piotrusia. Jako dzieci dobrych rodziców mieli też niezawodnie wszczepioną bojaźń bożą i cześć dla rzeczy świętych; a przecież p. K. zestawia w ich główkach jako równorzędne i jednakowo szanowane pojęcia: „chrzest, bierzmowanie, płaszcz granatowy i żelazko“ (*Przegl. lit.* nr. 39), dlatego, że te dwa ostatnie przedmioty — jak mówili ojciec i matka — są to „sprawunki raz na całe życie“. Dzieci takiego ojca powinny mieć dla swych rodziców szacunek choć trochę większy, niż dla „szkapy“; a jednak według p. K. tkwią w ich umyśle jako, co najwięcej, jednakowo szanowane istoty: ojciec, matka i szkapa (*Przegl. lit.* nr. 41). Owszem, szkapa należy u nich do istot, które są zawsze, których wyobrazić sobie nie mogą „ani początku ani końca“. Szkapa ta ma taką powagę, że więcej się boją, gdy im Piotruś grozi, że „powie szkapie“, niż gdy ich chce przed ojcem oskarżyć, a ta obawa szkapy jest w nich tak wielką, iż woleliby nawet, żeby ich ojciec „paskiem przemierzył“, niż gdy ich szkapa swojemi „ślepiami świdruje“. Jedno spojrzenie „szkapy“ sięga im do samego hunoru; a kiedy chora matka gniewa się na nieludzkich żydów, gdy kaszel targa jej piersi, śmieją się, wołając: „a to ci tyjatr!“ Śmierć też matki żadnego na nich nie robi wrażenia. Ludzie, odwiedzający jej ciało, złożone na katafalku, litują się nad sierocym losem chłopaków, a ci śmieją się w kułak i cichaczem pokazują im figę. Lecz za to rozpacz ich ogarnia, gdy ojciec sprzedaje szkapę; a gdy ta szkapa niespodzianie zajeżdża po trumnę matki i wiezie jej ciało na cmentarz, chłopcy nie posiadają się z radości i „biegną wesoło i ochoczo przy szkapie, ani na chwilę nie przerywając z nią pieśczoł i rozmów“ (*Przegl. lit.* nr. 43). Na cmentarzu mówią wprawdzie

na rozkaz ojca pacierz za matkę, ale z okiem, w szkapę utkwionem, tak że nawet grudki ziemi, spadające w mogilę, nie wzruszają ich ani na jedno oka mgnienie. Wracając wreszcie z cmentarza, urządzają tryumfalny pochód ze szkapą, przybraną ich rękami w zieleń i kwiaty. Oczywiście, że obrazek taki, w którym widzimy profanację najświętszych uczuć, przedstawioną w sposób niby najniewinniej komiczny, poprostu niemoralnym nazwać potrzeba.

Moi znajomi występują przed nami w trzynastu krótkich obrazkach, jako różnorodne typy oryginalnych postaci, a postacie te, odmalowane jaskrawo, graficznie, podług wszelkich zasad dzisiejszego realizmu, tak iż się zdaje, że to nie nowele lub szkice, ale panorama najwierniejszych fotografii. Język, strój, ruchy, wszystko to żywcem wzięte z natury. Mniej za to szczęśliwą jest i treść obrazków i charaktery głównych postaci.

Bezbarwne i czeze są: „Lalki moich dzieci“, „Moja cioteczka“, „Urbanowa“ i „Z cmentarzy“. Niema tu ani wybitnego charakteru ani dowcipu ani wdzięku ani jakichkolwiek wyższych, podnioslejszych uczuć, bezbarwność tylko i jałowość, okraszona jedynie chyba pięknoscią formy i gładkością stylu. Brudnym paszkwilem jest obrazek p. t.: „Martwa natura“, bo zohydza to, przed czym z uszanowaniem chylił czoła Turcy, protestanci i wolteryanie — zgromadzenie Sióstr Miłosierdzia. Zpod pióra p. Konopnickiej wychodzi szarytka, jako istota, wyzuta z wszelkich uczuć szlachetnych, nieludzka, cyniczna, drwiąca sobie z łez ludzkich, ze śmierci, z modlitwy!... Żeby podobną stworzyć postać, trzeba mieć doprawdy i wiele jadu w sercu i mało ładu w głowie.

P. K. czy nie umie, czy nie chce odmalować prawdziwie pięknego charakteru; wszystkie jaśniejsze nawet postacie albo stawia w cieniu, jak np. ks. Cydzika w „Winiarskim forcie“, albo — co najczęściej — robi z nich niesmaczną jakąś karykaturę, dodając do najszlachetniejszych uczuć, i to w najuroczystszych chwilach, potężną dozę śmieszności, głupoty lub zdrożnej namiętności. Piękną byłaby w „Martwej naturze“ postać ślepej matki, stojącej nad trumną syna, zmarłego w szpitalu, gdyby nie rażąca jej próżność. Miłą byłaby postać Kaputkiewicza w „Morzu“, gdyby zapal jego nie stawał się szaloną monomanią, a cześć dla Szekspira — bałwochwalstwem. Rzewnym i sympatyczniejszym byłby charakter „Ksawerego“ bez idyotyzmu, który go szpeci, i pięknem byłoby w tymże obrazku miłosierdzie proboszcza, bez tych sarkastycznych dodatków i wstrętnych a nieprawdziwych uwag autorki. Wzruszającą byłaby boleść młynarza w „Starym młynie“, gdyby nie to

mściwe, nieludzkie pastwienie się nad Niemcem, gdyby nie to gwałcenie świat, niezgodne z charakterem zagrodowego szlachcica. Nawet poeciwej staruszcze Banasiowej nie darowała p. K., nawet idealną Annę się w pobożności jej konieczności było potrzeba.

Możnaby mi zarzucić, że te postacie to nie ideały, ale wzorki z życia czerpane, więc ta mieszanina cnót i słabości, światła i plam nie powinna zadziwiać nikogo. Ale p. K. zespala takie cnoty i plamy, uczucia tak sprzeczne, jakie równocześnie w tem samem sercu w żaden sposób istnieć nie mogą. Tak obok prawdziwie głębokiej boleści nie ostoi się pycha i próżność, delikatność uczuć i poświęcenie obok grubego idyotyzmu, rozmysłna i wytrwała mściwość i jawna wzgarda przykazań bożych obok prawdziwej religijności. A właśnie taki amalgamat uczuć spostrzegamy w Moich znajomych, którzy też dlatego robią najczęściej wrażenie jakiejś przykrej parodii lub karykatury. Nie bez celu też zestawia p. K. takie sprzeczne barwy i dźwięki ze sobą: bo nie jest jej zamiarem podać piękny obraz natury, jaką Bóg stworzył, ale pokryć i oszpecić ten obraz warstwą kurzu i brudu.

Kończy wreszcie p. Konopnicka obrazki swoje opisem dwóch cmentarzy: chrześcijańskiego i muzułmańskiego, na których jednakiemu doznaje wrażenia, jednakowo odczuwa beznadziejną martwość, próżnię, gorycz i czczość tak wielką, jakby własne jej serce było już cmentarzem religii, ruiną wszelkiej wiary, ruiną, z której gruzów — na zakończenie obrazka — odzywa się tylko puszczyk bluźnierstwa słowami „Ojca zadżumionych“: „O Allach. Akbar Allach, jesteś wielki!“

Mistrzem, i to pierwszorzędnym, jest p. K. w poezji, a przede wszystkim w poezji lirycznej. Skarb cudowny złożył Bóg w tej duszy, lutnię czarodziejską dał jej w rękę, tylko że to serce pokrywa ów skarb rdzą żółci, a ta ręka dobywa ze strun owej lutni obok najpiękniejszych melodyj, tak wstrętne tony pesymizmu i tak potworne fałszy bluźnierstwa, jak gdyby Szopenhauer lub Proudhon przelali w nią wszystkie swe uczucia.

Czytając, jak p. K. mówi np. do ptaszków:

„Albo mi ptaszkowie swoje skrzydła dajcie,
Albo mi przed chatą nocką nie śpiewajcie“,

zdawałoby się, że ta dusza skrzydlata wznie się do wyżyn ideału prawdziwego piękna. Kiedy się słyszy, z jaką prostotą i wdziękiem przemawia do słońca:

„Nie miejże urazy do mnie słonko moje,
 Że ja w blaskach twoich zasmucona stoję;
 Nie miejże urazy słonko brylantowe,
 Że ja mam łzy w oczach i schyloną głowę“.

któżby przypuszczał, że serce, tak bogate uczuciem, umie być obojętnem na to, co miłości jest najgodniejsze, że te usta, przemawiające tak rzewnie, zdolne są jadem szyderstwa obryzgać wszystko co święte?!

P. K. jest samodzielną, oryginalną poetką, a przecież jest wielkie pokrewieństwo i uczuć i pióra pomiędzy nią a nieśmiertelnej pamięci ukraińskim piewcą naszym, Bohdanem Zaleskim. Piękny, choć nieco wymijający wierszyk poświęciła mu p. K. („Pamięci Bohdana Zaleskiego“), jakby odczuwając i pokrewieństwo z nim swoje i smutną zarazem antytezę: pokrewieństwo przez ten rzewny, śpiewny swój liryzm, antytezę przez zupełną sprzeczność i dążności i zasad. Dwa te serca, niby z tych samych wykowane uczuć, tą samą władającą siłą, bijące jednako przyspieszonym tętnem, a przecież tak przeciwnymi poszły drogami i tak odmienną ozwały się pieśnią. Oto, jako przykład, mała próbka tego kontrastu. Zaleski cześci papieży i Kościół („Upominanie“), wielbi „święte pustelniki i mnichy“ („Zgryzota i Łaska“), p. K. zaś pogardę tylko i nienawiść ma dla „bosych mnichów z zapalonemi oczyma“, a za to wielbi Husa, jako krzewiciela światła wobec ciemnoty Kościoła, jako ducha, „co zerwał kajdany“, bo przyszedł:

„Z krain wolności, które długą nocą
 Oddzielił od was kaptur i duch pychy“.

Przy tej całej apoteozie Husa, którą p. K. z lubością i z dzikim zgrzytem opiewa, pokazuje się, przy wielkiej nienawiści do Kościoła, nie mniejsza ignorancja historyi. Ale p. K. idzie dalej: pióro jej obrzuca żółcią całe dzieło chrześcijaństwa, stawiając wartość jego moralną narówni z wartością pogaństwa:

„Nie, to nie była grecka kolumnada,
 To był świat ludzki, chrześcijański, nowy,
 Tylko tam były całe tłumy ciemne,
 Życie bez jutra, wysiłki daremne,
 I pochylone od zwątpienia głowy,
 Tylko tam były twarze smutne, blade,
 Ręce bez pracy, bez bóstwa ołtarze,
 ... I tylko nędzarz ramiona mdlejące
 Łamał w milczeniu ponad czołem bladym“...

(*Fragmenty*).

Niech p. K. przeczyta sobie pierwszą lepszą historję, a dowie się, że „ręce bez pracy“ i „blade twarze nędzarzy“ mnożą się na świecie odtańd dopiero i tylko o tyle, odkąd i o ile świat ten odstępuje od ducha chrześcijaństwa, który w pierwszych wiekach, a często i w późniejszych, umiał dokazać cudów miłości bliźniego, cudów, jakich żadne inne hasła nigdy nie dokażą.

Niech p. K. uważnie i bezstronnie bada historję, a pozna, że gdyby nie to chrześcijaństwo, gdyby nie ten Kościół, gdyby nie ci „biskupi rzymscy“ i „te mnichy bose“, ona sama nie trzymałaby dziś wieszceży lutni w ręku, ale więzy ohydnej niewoli u jakich Hunnów lub Tatarów.

Jak historyi, tak i Pisma św. nie waha się p. K. przekręcać, może wychodząc z zasady Husa, który zaprzecza wprawdzie nieomylności Kościołowi, ale przyznaje ją jednostkom. Mojżesza, który przed zgonem wezbranem sercem błogosławi Bogu, wielbiąc Jego wyroki (Deuter. 33), przedstawia p. K. jakby jakiego Lucyfera, „wstrząsającego niebiosy“ i bluźnierczo wołającego do Boga:

„A więc to prawda! ja nie wysłuchany,
Jako niewolnik odepchnięty nogą?!
Bogdajbym nigdy w samotnej zadumie
Od losu mego nie żądał był znaku,
Nie widział Pana w gorejącym krzaku,
Ni głosu Jego słyszał w wichrów szumie!“
(Mojżesz).

Te i tym podobne błędy historyczne są wypływem wielkiego chaosu w pojęciach religijnych p. K. Nieznajomość najistotniejszych prawd wiary, to drugi jej błąd radykalny.

W poezjach p. K. można znaleźć wszystkie sprzeczności. Niektóre z jej wierszy chętnie powtórzyłby każdy niedowiarek, np.:

„... Ja idę w pomroce
Zwątpień, którą dziś trują się duchy“.

Jej *Credo* mógłby odmówić każdy ateusz, tak ono mgliste, tak pełne wiary we wszystko, oprócz wiary w Boga i Ewangelię. Panteista z zapalem powtarzałby za nią:

„Precz z maską pustych form! Żywe istnienie,
Wszechświat twarz Jego, a głos morza granie,
Rozszerzcie Boga!
On sam niech będzie wszystkim! trawką lichą,
Ziarenkiem piasku, cedrem na Libanie,
Rozszerzcie Boga!“

Przyklasnąłby jej sceptyk czy obojętny deista, czytając w „Najkrwawszem polu“:

„Jak wichry, które z dwóch krańców pustyni
Rwą się miotając swe piaszczyste zary,
Tak tutaj walczą w imię bóstw i wiary
Świątynia przeciw świątyni!
I nie wiem, czemu Bóg wielki w błękiecie
Nie zerwie z prawdy słonecznej zasłony,
Aby spoczęły raz już te miliony,
Co walczą na śmierć i życie!“

A jednak p. K. nie jest zupełnie niewierzącą. Miota wprawdzie przeciw niebu pociski szyderstwa i niewiary, wołając np.:

„Nie płaczcie smutni!
Ach! czy wy myślicie,
Że tam wysoko, w tym cichym błękiecie
Jęk wasz odbity od gwiazd złotych proga
Zakłóci spokojność Boga?“

wkońcu przecież ze łzami wyznaje swą wiarę, patrząc na błękit zasiany gwiazdami:

„Mnie łzy z źrenicy srebrnym były gradem,
Aż wreszcie głosem, co duszę przejmuję,
Rzekłem: On przecież jest tam! ja Go czuję!“
(*Fragmenty*).

Owszem, w „Dziecięciu Wieszczyk“ przytacza p. K. dowód przynajmniej uboczny na istnienie świata nadprzyrodzonego:

„... Jeżeli to co ciałem
Dotykam, prawdą jedyną na świecie,
Cóż więc jest przestrzeń, czas, wiedza, sumienie,
Duch, umiejętność... czy tylko złudzenie?“

Ale jakież straszny zamęt panuje w tej wierze, która zaprzecza Bogu wszechwiedzy, wszechmocy i wszechmiłości, tak, że każdy niemal wyraz tej wiary nowem jest bluźnierstwem:

„Ty nam Boże nie strój ziemi
W kwiatów puchy,
Póki łzami gorącemi
Placzą duchy,
Póki głos namiętny bije
W twe niebiosy:
Niechaj ziemia dżdżu nie pije,
Kwiaty — rosy.

Aż Ty Boże dojrzyś przecie
W swym lazurze,
Jakie kwitną dziś na ziemi
Krwawe róże.

(Modlitwy wiosenne).

Wierszom takim zapewne żartem daje p. K. nazwę „Modlitwy“. Niekiedy nawet zdaje się p. K., że Bóg, mieszkający kędyś na wysokim niebie, nie widzi ani nie słyszy tego, co się dzieje na ziemi:

„I nie wiem nawet, czy Ty sam, o Boże,
Gdybyś na chwilę porzucił błękity

.....

I gdybyś ujrzał, jak nam tu jest ciemno,

Chłodno i głodno na tej biednej ziemi,

Tobyś zapłakał sam łzami krwawemi,

Ty, któryś przecież jest — Bogiem“.

(Przed Bogiem).

Indziej uznaje znowu wszechwiedzę Boga, ale bluźnierczo Mu zarzuca okrucieństwo, jak gdyby ten Bóg był jakimś nielitościwym, krwiożerczym *Molochem*:

„Tyś Bóg, Tyś wielki!

Z błysków masz szatę a z gromów koronę,

A stopy Twoje na słońcu są wsparte...

Łzy ludzkie, cóż są? ach! rosy kropelki —

A przecież wszystkie masz je policzone...

Co? policzone! Co? i nie otarte?!...

.....

Zbrodniarz, skazaniec, nędzarz i sierota,

Śni, że się zbliża świt z róż i ze złota

I że do szczęścia go zbudzi...

A przecież jutro, Ty wiesz o tem, Panie!

Uderzy w niebo płacz i narzekanie,

Ockną się krzywdy ludzkości:

Czyżby nie lepiej było już na wieki

Położyć na te zamknięte powieki

Śmiertelną pieczęć nicości?!“...

(Noce letnie).

Też same wyrzuty, skargi i bluźnierstwa przeciwko Opatrzności podnosi autorka w swych Obrazkach. Oto na próbkę ustęp wyjęty z obrazka p. t.: „Bez dachu“. Wieczorem w zimowej porze kłęczy u drzwi kościelnych odepchnięty od ludzi sierota:

„W powietrzu szronów latały dyamenty,

Chciał wejść, lecz kościół był szczerlnie zamknięty

Razem z litością i Bogiem...”

Dziecię więc modli się, mówiąc „Ojcze nasz“.

„Jakto, o synu królewski?
Ojca twojego narody zwa Bogiem,
A ty wpatrzony w ten pałac niebieski
Konasz bez dachu za progiem?
Ojcze nasz! Boże! czy słyszysz to dziecię,
Co usta z nędzy zbielełe otwiera?
Ach! ono wierzy, żeś Ojcem mu przecie
I z wiarą taką umiera!...“

Chcąc już taki wypadek tragiczny opisać, czyżby nie było i prawdziwiej i oraz poetyczniej powiedzieć, że on tylko obojętności serc ludzkich dla biednego sieroty dowodzi, ale ze strony Boga najwyższego miłosierdzia domyślać się pozwala. Cóż szkodziło sierocie, że zastał drzwi kościoła zamknięte, gdy mu Bóg drzwi nieba otworzył — tam, gdzie „Bóg otrze wszelką łzę?“ Tylko wtedy byłby Bóg niemiłosiernym i niesprawiedliwym, gdyby nie istniało życie pozagrobowe ani pośmiertna nagroda lub kara. A p. K. nie odrzuca przecież tych prawd zasadniczych, które sam zdrowy rozum tak jasno wskazuje; jakiem więc prawem śmie p. K. bez rumieńca wstydu wyzywać swego Stwórcę i Odkupiciela:

„O! dajcie usta wszystkim krzywdom ziemi
I wszystkim nędzom i tęsknotom ducha
I niech się niebo drzwiami błękitnemi
Otworzy i niech Bóg słucha!

Czy Tobie, Boże, imię: grom i burza,
Że świat Twój w ogniach się nurza?
Czy Tobie, Boże, imię: błyskawica,
Że mu miecz nagi przyświeca?
Czy Tobie imię: śmierć i wytępienie,
Że krwi się leją strumienie?
Czy ziemia w chwili gniewu nawałnic
Iskrą Ci prysła z źrenicy?“

(Z dni smutku).

Podobne bluźnierstwo czytamy wprawdzie w „Dziadach“, ale Mickiewicz włożył je w usta szalonego i zaraz je potępił. — A po tem wszystkim p. K. ma odwagę wołać z udaną pokorą: „Ja błogosławię twoim prawom, Boże!“

„Ja się nie skarzę, Boże, ja nie płaczę,
Choć wiatr roznosi jękami głuchemi
Chmury leż pełne, westchnienia tulące
Po całej smutnej tej ziemi“.

Ile szczerości w tych słowach, pokazuje ostatnia ich zwrotka:

„Cóż światu pomoże,
Choćbym go skarg mych wstrzęsła huraganem,
Smutno mi tylko, żeś Ty, wielki Boże,
Całej tej nędzy jest Panem!...“
(Ja się nie skarzę).

Obdarłszy Boga z najistotniejszych Jego przymiotów, stroi p. K. samą siebie w te szaty, świętokradzką przywłaszczoną ręką:

„Gdybym była Bogiem, to każdemu
Dałabym spokój i szczęście i zdrowie...“

Czy doprawdy każdemu? Nie — Bóg „spuszcza rosę na dobrych i na złych“ — a p. K. śnać zapomniała o własnem swem zeznaniu, że gdyby była chmurą, to nad stolicami ziemi

„Płonęłaby jak burze
Ciskające błyskawice“.
(Przygrywka).

Nie przeszkadza to jednak p. K. chęć się większem od Boga współczuciem dla nędzy i niedoli ludzkiej. Przypuśćmy więc, żeby Bóg skłonił się do żądań p. K. i na pysznych bogaczów „ciskał błyskawice“, a biednych nędzarzów obsypywał złotem. Wszak wtedy zamieniłyby się tylko role, ale stosunek pozostałby ten sam, niedola nie znikłaby ze świata, tylko inne jednostki jęczałyby pod jej ciężarem. Przypuśćmy zatem, żeby Bóg każdemu bez wyjątku dał „spokój i szczęście i zdrowie“, w tym wypadku albo p. K. przypuszcza sankcję pośmiertną albo nie; jeżeli nie, gdzież byłaby sprawiedliwość boża, gdyby zbrodniarz i cnotliwy jednakowego zażywali szczęścia; jeżeli zaś poza grobem czeka nagroda lub kara, gdzie natenczas byłoby dla złych upomnienie do poprawy, dla sprawiedliwych sposobność do zasługi, dla wszystkich niezbędny środek koniecznego odrywania się od rzeczy doczesnych a tęsknoty do wiecznych? Owszem, wyrwać wtedy należałoby ze serc ludzkich uczucie litości i miłosierdzia, znieść dobroczynność, wykreślić nawet same nazwy tych uczuć i czynów ze słownika ludzkiego: bo gdzie niema lez i cierpienia jedno szczęście i radość, tam przecież współczucie, litość, dobroczynność istnieć już nie mogą. Zresztą, by jakiśkolwiek fakt lub teorię należyście można ocenić, zbadać ją wprzód potrzeba i poznać gruntownie. Jakiem więc prawem boże drogi i czyny potępiać może człowiek, którego skończony rozum nieskończoności ogarnąć nie zdoła? Jeżeli praw natury pojąć nie

możemy, to cóż dziwnego, że i prawo łaski jest nam tajemnicą? Wszak sama p. K. daje sobie odpowiedź w wierszu „Z ksiąg Hioba“:

„Kiedy zawarte było w brzegach morze,
Kędyś był?...
Gdy góry słały skalne swe podnóże,
Kędyś był?...
Bacz tedy, iżeś cień tylko i nicość,
A darmo szukam ciebie w onej porze,
Kędyś był...”

„I odpowiadając Pan Jobowi z wichru, rzekł: Któż to jest, który wikle wyroki moje słowy nieroztropnemi? Gdzieś był, gdym zakładał fundamenty ziemi?... Gdy mię chwaliły współ gwiazdy zaranne i śpiewali wszyscy synowie Boży? Iżali w niwecz obrócisz sąd mój i potępisz mię, abys ty się usprawiedliwił? Iżali kto się spiera z Bogiem, tak się łatwo uspokaja?” (Job, r. 38, 39, 40).

Toż niema spokoju w sercu p. K., jedno zamęt i jakaś gorączkowa żądza zbeczeszczenia wszystkiego co najświętsze, tak dalece, że doprawdy nie wiedzieć, czy to zapamiętały fanatyzm antyreligijny, czy żądza sławy Herostratowej, czy poprostu jakieś zbroczenie umysłowe? Bo przecież dla każdego człowieka o zdrowych zmysłach nieśkończenie większym jest dowodem miłości bożej ku ludziom krzyż na Golgocie, jedna kropla krwi Boga-Człowieka, niż jakikolwiek dar doczesny. A jednak p. K., która tysiąc skarg rzuciła już w niebo za to, że Bóg tak daleki, tak nielitościwy, gdy Go widzi tak bliskim, bo na Golgocie, i tak miłosiernym, bo kochającym „aż do śmierci krzyżowej“, nietylko, że serce jej, tak zresztą tkliwe, nie odczuwa wcale tej miłości, ale co gorsza, nie wzdryga się nawet wobec krzyża przed najohydniejszym bluźnierstwem. Krzyż dla p. K., to „krzyż czarny“, „nieruchomy, cichy, jako milczące wobec łez ołtarze“. A przecież ten krzyż Chrystusowy dla tylu wierzących jedynym jest kluczem do rozwiązania wszelkich wątpliwości, jedynym źródłem, z kąd tryska balsam na wszelkie rany.

„Kiedy chcąc zgłębić życia tajemnice,
Rozum zamilknie na twoje pytania,
A piekło zwątpień ciśnie błyskawice,
Jak ostry sztylet, co duszę rozrania,
Pośpiesz do krzyża, bo z krzyża jedynie
Jak promień łaski wiara w duszę spłynie“.
(Antoniewicz).

Lecz dla p. K. krzyż ten jest „czarnym, milczącym krzyżem!“ Biedne prawdziwie serce, do którego nawet krzyż nie przemawia, dla którego „milczą ołtarze“; biedne — bo i sobie jest katuszą i drugim, podając truciznę w złotem naczyniu poezyi, zamiast „objąć miłością w ramiona smutnych milionów“ (Fragm. III.), skazi ich serca zwątpieniem i rozpaczą.

Zresztą p. K. sama w części wyznaje podwójną czczość i swego serca i swojej pracy:

„Próżnio ty straszna! oddechem grobowym
Ziębisz mi duszę!

Komuż ja promyk i światło dam drżące
W drogę spóźnioną?

Komuż ja serce orzeźwię mdlejące,
Rozgrzeję łono?“

(*Ostatnie piosnki*, ser. III, 1).

Z lutnią swą złotostrunną, ze swem bogactwem uczuć i z tą iskrą geniuszu mogłaby p. K. niejedno mdlejące serce orzeźwić i zapełnić „straszna próżnię“ własnej swej duszy. Ale na to potrzeba najprzód wiary, opartej na poznaniu jej podstaw niewzruszonych, — wiary, jaką miał ów tak bliski autorce potęgą uczuć piewca ukraiński, a tak pięknie wyznający tę głęboką swą wiarę:

„I byłem młody i zestarzałem
I ze strzelistym zawsze zapalem
Słucham ostrzeżeń wiary mistrzyni —
Otóż próbuje Pan a nie karze,
W nieskończonościach Bóg wie co czyni.
I coś mi szepce wciąż w życiu całym,
Że zaczerpnijemy moc z prawdy zdroja,
Marność marność potęga świecka,
Toż jakam bracia z ufnością dziecka:
„Panie mój, święć się, święć wola twoja““.

Z takiej wiary zrodzi się i pokora względem Stwórcy i miłość dla Zbawiciela, — te cnoty tak niezbędne dla wieszca, który

„Im pokorniejszy, tem puchy ptasie
Bujniej i bielej rozwija w krasie,
Im więcej kocha, tem leci chyżej,
Im więcej wierzy, tem świeci wyżej“.

(*Zaduma i Nokturno*. B. Zaleski).

Słowem, z serca życzylibyśmy p. Maryi Konopnickiej tego, czego życzył i co radził Zaleski Deotymie:

„Patrzaj, w Dawidzie, w mistrzach polskiej pieśni,
Myśli co świecą, uczucia co grają,

Ze słońca łaski mężowie bolesni
 Nam wymodlili je długą pokorą...
 Dalej za nimi w ślady! Przez Bóg żywy,
 Poetko młoda, jeden promień łaski
 Stanie za wszystkie malowane dziwy
 I ziemi całej oklaski!..."

Lecz jeżeli p. K. zechce wciąż, jak mówi: „Błękity wstrząsać swym protestem“ (Fragm., ser. II.), — to cóż jej pomoże żalić się przed Bogiem, jako przed „Ojcem na niebie“:

„Co ma dziedzictwo jasności ogromne
 I mógłby dziecku, co płacze pocichu,
 Dać trochę słońca!..."

kiedy pyszne skargi zacierają w niej wszelkie podobieństwo do dziecka bożego:

„Wołasz do Boga: Ojcze! Ojciec wnet przychodzi,
 Aż zamiast dziecka, chłopca dużego znachodzi“.

(A. Mickiewicz).

Co gorsza, bluźnierczy pesymizm p. K. uczyni pisma jej, mimo niezwykłych ich zalet, plamą w poezji naszej, dotąd jeszcze czystej, a co najgorsza i co powtarzamy raz jeszcze, to, iż pieśń jej właśnie dlatego, że tak po mistrzowsku jest wykonaną, nie zbawiającą, ale naj-nielitościwiej zabójczą się stanie. Niech p. K. dobrze zastanowi się nad tem, co sama wyrzekła o posłannictwie poety, że:

„... fałsz tak wielkim, jak prawda być może,
 A tłumy wszystko co wielkie porusza
 I drzeć im każe... więc jeżeli twa dusza,
 Poeto, nie jest jak naczynie boże,
 W którym kosztowna perła jest zamknięta,
 Pieśń twa być może wielka a przeklęta!“

B. Jasińczyk.

Rudolf Falb. Przewroty we wszechświecie — w państwie gwiazd, w dziedzinie obłoków, w głębi ziemi. Przełożył W. P. (Z 96 drzeworytami w tekście). Warszawa 1890.

Książeczka ładnie wydana, napisana interesująco, w rodzaju odczytu, ciesząca się wielkiem powodzeniem między szerszą publicznością, jak każda książka, która coś przepowiada. Ale jaka jest jej wartość naukowa? Do dziśdnia świat naukowy krzywo na Falbą patrzy;

Falb go oskarża o zazdrość; kto ma słuszość, niedaleka przyszłość rozstrzygnie.

Pierwsza część tej książki, astronomiczna, jest istotnie niepotrzebna do całości i z punktu naukowego najslabsza. Wykłada autor po-bieżnie i nie bez błędów rozwój świata gwiazdzistego podług Laplace'a, przypisując ten pomysł niesłusznie Kantowi, i wdaje się w niesmaczne wycieczki o dogmacie stworzenia, o Koperniku, o Giordanie Bruno i t. d. Gdy się przytem wspomni, że autor jest apostatą od kapłań-stwa i katolicyzmu, to się to tłómaczy, ale tem przykrzejsze sprawia wrażenie. W drugiej i trzeciej części znajdujemy wykład właściwej teorii autora o przyczynach zaburzeń tak w atmosferze, jakoteż we wnętrzu ziemi. Wiadomo, że przyciąganie księżycza wywołuje na po-wierzchni morza pewne wzdęcie, w stronie odpowiadającej położeniu księżycza, i drugie podobne na przeciwległej półkuli. Z powodu obrotu ziemi wzdęcie to obiega naszą planetę i sprawia na wybrzeżach mórz znane zjawisko przypływu i odpływu. Podobne też, choć mniejsze wzdęcie wywołuje przyciąganie słońca. Jeżeli zaś — tak rozumuje Falb — przyciąganie tych ciał niebieskich działa w taki sposób na morze, to zarówno i jeszcze więcej działać powinno na powietrzną, ten nierównie lżejszy i ruchliwszy ocean, który ziemię otacza. Więc też wielkie prądy powietrza suchego i mokrego, krążące między równi-kiem a biegunami, powinny do pewnego stopnia tym wpływowi ulegać, a to sprawiać musi wielkie zmiany pogody. Ludzie od niepamiętnych czasów przypuszczali wpływ księżycza na pogodę, dzisiejsza nauka temu się sprzeciwiała, bo nie mogła skonstatować związku między sta-nami pogody a fazami księżycza; otóż Falb twierdzi, że nie fazy księ-życowe na pogodę wpływają, ale pewne zbiegi położeń księżycza i słońca względem ziemi, które wpływ ich na powietrzną zarówno jak na morze potęgują. Kiedy np. ziemia w swym eliptycznym obiegu naokoło słońca znajduje się w punkcie słońca najbliższym, t. j. 1 stycznia, to wpływ tegoż na morze i na powietrze jest daleko silniejszy; najslabszym zaś jest 1 lipca. Kiedy znów słońce i księżyc znajdują się po jednej stronie ziemi, mniej więcej w jednej linii, wówczas przyciągania ich potęgują się i fala pod ich wpływem powstaje daleko większa; to samo mniej więcej ma miejsce, kiedy księżyc jest na przeciwległej stronie od słońca. W innych położeniach działania tych dwóch czynników do pewnego stopnia się krzyżują, i objawy ich na morzu i w powietrzu muszą być mniejsze. Takich warunków, potęgujących wzdęcie na morzu i w powietrzu, wyszczególnia Falb sześć — i wnosi, że kiedy wszy-

stkie razem albo przynajmniej większa ich liczba się schodzi, wtedy wpływ ten musi być wyjątkowo mocny, a więc też większe przewroty w powietrzu objawiać się powinny. Takie chwile nazywa Falb „czasami krytycznymi“.

Ten sam pogląd rozciąga Falb i do wnętrza ziemi, gdzie — jego zdaniem — istnieje ognisty ocean substancyj roztopionych. Ten ocean ulega zarówno przyciąganiu księżyca i słońca, ma swoje przypływy i odpływy, a w czasach krytycznych prze z większą siłą na pewną stronę skorupy ziemi: zkąd, w tej okolicy trzęsienia, — a gdzie w skorupie ziemskiej są otwarte szczeliny, wybuchy wulkaniczne. Wulkanizmu więc nie tłómaczy Falb, jak wielu innych, przez zapadanie się wody do głębszych, gorących miejsc, ale przeciwnie, przez podchodzenie lawy do góry aż do pokładów, gdzie woda się znajduje, przez co przy wybuchach tworzy się para. — Taka jest główna myśl Falba; w szczegóły się nie wdajemy.

Jak z tego wszystkiego widać, teorya ta przedstawia się *a priori* racjonalnie. Pozwala ona też autorowi zapomocą obliczeń astronomicznych przepowiadać czasy krytyczne, w których większe burze powietrzne i morskie, oraz trzęsienia ziemi mają nastąpić — i to będzie zarazem probierzem jego poglądu. Jeżeli wolno niefachowemu wtrącić swoją uwagę, dodam, że jednej rzeczy się dziwię: dlaczego Falb, zamiast oczekiwać od przepowiedni potwierdzenia swego systemu, nie szuka tego stwierdzenia w przeszłości? Niechby zestawił zapiski meteorologów z kilkunastu lat przeszłych z zapiskami astronomów, i gdyby się pokazała kongruencya między czasami krytycznymi na niebie, a zjawiskami meteorologicznymi na ziemi — świat uczony byłby stanowczo przekonany.

Ks. M. M.

Kardynał Wiseman. Fabiola, powieść z czasów prześladowania chrześcijan. Streszczona przez M. A. M. Warszawa 1890.

Dzieło kardynała Wisemana, które rozpowszechniło w naszym wieku znajomość i miłość bohaterskich czasów chrześcijaństwa, jest zawsze jedną z najmiłszych powieści do czytania i z najlepszych do szerzenia. Przeszkadzać jedynie może jej rozpowszechnieniu większy rozmiar, a względnie większa cena, tudzież jej aparat archeologiczny, który, choć w sobie bardzo cenny, jednak dla szerszych kół nietyłe jest pociągający. Otóż zasłużona księgarnia katolicka dra Wł. Miłkowskiego w Krakowie wpadła na szczęśliwą myśl zaradzenia obu tym prze-

szkodom, wydając dzieło to w streszczeniu, — przez co nie osłabił się bynajmniej interes samej powieści, ponieważ takie tylko szczegóły opuszczono, które do wątku opowiadanych wypadków nie należały. Zmniejszała się zaś tym sposobem objętość książki do połowy, co i cenę zniżyło do 50 kop. zamiast 1 rubla. Może więc teraz „Fabiola“ znaleźć się w każdym, nawet niezamożnym domu, w czytelniach, a na nagrody dla starszej szkolnej młodzieży jest jakby stworzona.

Jako dezyderata wymienimy, że zdałby się nieco lepszy papier, nawet przy tej taniej cenie; a podrugie, podjąwszy już tę pracę skrócenia, dobrze było zarazem poprawić język dawnego tłómaczenia, który jest dalekim od doskonałości. Jedno i drugie da się zrobić w nowem wydaniu, na które ta praca zasługuje.

H. P.

Ustawodawstwo sejmu galicyjskiego 1887—1889. Napisał *dr. Stanisław Starzyński*, prof. uniw. lwow. Lwów 1890. Przedruk z *Przeglądu sądowego i administracyjnego*. Str. 166.

Nie pierwsza to rzecz, która wyszła z pióra autora z zakresu prawa politycznego. Jeszcze w r. 1884 wydał on pracę p. t.: „Posejmie“. W r. 1890 ogłosił rzecz „O pierwszej konstytucyi austriackiej“, a praca, której napis podaliśmy, jest poniekąd dalszym ciągiem rozprawy, wydanej w r. 1887 p. t.: „Sejm galicyjski r. 1885/86“.

W dziele, którego tytuł podaliśmy na czele, zdaje sprawę z działalności sejmu galicyjskiego w ostatnich latach od r. 1887—89; dzieli zaś swoje sprawozdanie na cztery części, w których omawia kwestye budżetu krajowego, szkolne, administracyjne i gminne.

W pierwszej sprawie sumaryusz wydatków, zestawiony przez autora, wykazuje smutną rzeczywistość, że podatek krajowy wzrasta w przerażający sposób (na r. 1890 podniósł się na 36 cnt. od 1 złr. opłacanych podatków rządowych).

Co do spraw szkolnych, żałować należy, że ustawa sejmowa o stosunkach prawnych nauczycieli szkół ludowych nie skróciła dla nich obowiązku lat służby, przynajmniej według propozycji komisji na lat 35; jeżeli bowiem profesorom szkół średnich i uniwersytetu wystarcza 30 lat służby do uzyskania pełnej emerytury, to nie należało żądać 40 lat służby od nauczycieli ludowych, którzy nietylko umysłowo, ale wprost i fizycznie z wyczerpaniem pracują.

Kiedy ustawa państwowa t. zw. „o katechetach“ (z 17 czerwca 1888 r. nr. 99 D. u. p.) przyszła do skutku, rząd przedłożył sejmowi wniosek o ustanowieniu osobnych katechetów dla szkół ludowych. Sejm

trzymając się wiernie litery ustawy państwowej. powziął uchwałą, sankcyonowaną jako ustawa z 1 grudnia 1889 nr. 71 D. u. k., mocą której osobny stały nauczyciel religii może być w szkole ustanowiony tylko wtedy, kiedy szkoła jest więcej jak trzyklasowa, zajęcia katechety wynoszą, co najmniej, 18 godzin tygodniowo, a liczba uczniów dotyczącego wyznania i obrządku przewyższa liczbę 80. Mianowany stale katecheta nie może już pełnić obowiązków duszpasterskich, a co do praw, obowiązków i poborów służbowych ma zostawać narówni z nauczycielami szkół ludowych. O ile nie będą mogli być zamianowanymi stale katecheci, o tyle obowiązek nauczycieli religii będzie spełniało duchowieństwo parafialne w trzech niższych klasach szkół ludowych bezpłatnie, a za udzielanie nauki religii w wyższych klasach za wynagrodzeniem 20 złr. rocznie od każdej godziny w tygodniu. Ustawa ta, zdaniem naszym, częściowo wprowadziła naprawiła dotychczasowe oplakane stosunki, ale ich nie usunęła; dość bowiem pomyśleć sobie fakt, bardzo często u nas się wydarzający, że w miasteczku jest szkoła ludowa trzyklasowa, dająca duchownemu, który sam jeden pracuje w parafii, 5 godzin zajęcia tygodniowo; przypuściwszy zaś, co się często zdarza, że do parafii należy tylko 5 wiosek i tyleż szkół dwuklasowych, z których każda daje 3 godziny zajęcia tygodniowo, to otrzymamy 5+15 czyli 20 godzin zajęcia tygodniowo, zajęcia tak żmudnego, bez żadnej nawet pretensyi do wynagrodzenia. Czy to jest słuszne — pytamy — a nawet czy logiczne wobec zasady, wypowiedzianej w ustawie państwowej z 1888, że wynagrodzenie za nauczanie religii należy do ogólnych wydatków szkolnych?

Dyskusya w sejmie o szkołach, jakkolwiek we wielu względach nie doprowadziła do pożądaných rezultatów, była wogóle bardzo ciekawą. Wyrazem np. powszechnie odczuwanej potrzeby był wniosek posła Jana Stadnickiego, by sejm wezwał rząd, żeby postarał się o rozszerzenie ram ustaw szkolnych państwowych w tym kierunku, iżby a) sejm mógł przeprowadzić różnicę między właściwą szkołą ludową, która wychowuje i wykształca tych, którzy już nie mają zamiaru ucześnieć do szkół średnich, a szkołą początkową, któraby przygotowywała do szkół średnich; b) żeby sejm mógł wywierać większy wpływ na uregulowanie sprawy wykształcenia nauczycieli ludowych (ten punkt uzupełnił jeszcze E. Czerkawski). Ale wnioski te, choć przez sejm przyjęte, pozostały nie z jego winy bez skutku.

Podnoszono dalej z naciskiem fakta, że ustawa państwowa o zasadach nauczania w szkołach ludowych z 14 maja 1869 r. ogranicza

zanadto sejmowe ustawodawstwo szkolne i że w tym kierunku powinna być zmieniona.

Słusznie też należy się uznanie posłowi Janowi Popielowi za to, że podniósł głos, chociaż niestety, głos wołającego na puszczy, iż przymus rodziców, by posyłali swe dzieci do dzisiejszych szkół ludowych, w których nie może być mowy o religijno-obyczajowym wychowaniu, i przymus dzieci, by uczęszczały do nich, nie jest wcale rzeczą liberalną. Tu jednak trzeba było dodać, że zwolennicy szkół wyznaniowych mekoniecznie są przeciwnikami przymusu szkolnego, byleby on istniał bez pogwałcenia tego, co jest dla wierzącego człowieka rzeczą najważniejszą t. j. jego wiary i byleby nie spychał na dalszy plan najważniejszego zadania szkoły ludowej t. j. wychowania obyczajowo-religijnego¹.

Tu zwracamy się do szanownego autora, który, jakkolwiek jest dość obiektywny w przedstawianiu działalności sejmu, na tem miejscu wychodzi z roli obiektywnej i twierdzi, że zarzuty Popiela byłyby uzasadnione wówczas, gdyby „w państwie z jednej strony istniała zupełna wolność wiary i sumienia, z drugiej zaś znajdowały się tylko szkoły, na wyznaniowej zasadzie urządzone, i miał miejsce przymus państwowy co do uczęszczania do nich... Zarzuty jednak — powiada on dalej — stają się bezprzedmiotowe wobec ustawodawstwa austriackiego. Cóż bowiem może prawodawstwo zrobić innego, jak proklamowawszy wolność wiary i sumienia i wprowadziwszy przymus szkolny, odjąć równocześnie szkołom charakter wyznaniowy, aby nikogo nie zmuszać do pogwałcenia zasad swej wiary i religijnych uczuć?” To są własne słowa autora. Otóż dziwna rzecz, że on nie chce zrozumieć, iż państwo wprowadzając przymus szkolny, powinno było zarazem postarać się o otwarcie dla każdego wyznania szkół wyznaniowych, inaczej bowiem żadną miarą nie uniknie zarzutu pogwałcenia sumień i uczuć religijnych swych obywateli. Przymuszać albowiem do pobierania wychowania w szkołach, o których sam wyznaje, że mają odjęty charakter wyznaniowy, jest pędzić działwę do instytucji, w której — co najmniej — indyferentyzm religijny będzie w nią wszczepiany: a to przecie, każdy przyzna, jest gwałtem, zadawanem sumieniu ludzi wierzących.

Stanowczo też musimy się sprzeciwić dalszemu wywodowi autora

¹ W jakich warunkach i granicach przypuszczamy słusność przymusu szkolnego, tośmy wypowiedzieli w artykule: „Co sądzić o wniosku ks. Lichtensteina?” *Przepl. Powsz.* 1888, tom XIX., str. 1.

(Przyp. Redakcji).

o rzekomych korzyściach, wypływających z usadowienia na jednej ławie szkolnej dzieci różnych wyznań; nie są to bowiem korzyści, jeżeli się może wyrobić z tego zobojętnienie dzieci dla ich religii. A już pozwoli szanowny autor, że nie jest miejscem dla wyrobienia się charakteru szkoła, w której nie jest wykluczone wyzbywanie się najważniejszych i najświętszych zasad; nam się bowiem zdaje, że kto odstępuje od szczytnych zasad, ten właśnie charakter traci.

Jeżeli chwalebna była gorliwość sejmu w rzeczonym okresie pod względem zajęcia się szkołami ludowymi, to nie można tego powiedzieć o zajmowaniu się szkołami średnimi. Autor przypomina ciekawy epizod ze sejmu w r. 1887. Poseł Romanowicz, przedstawivszy ogólne skargi na brak wybitnych indywidualizmów, brak wyższej idei i nawet zmateryalizowanie u młodzieży, wychodzącej ze szkół średnich, wniósł, by sejm wezwał rząd do przedstawienia projektu ustawy o reorganizacji szkół średnich. I cóż się stało? Oto nikt się nie znalazł, ktoby się podjął referatu w tej sprawie, a powodem tego było, by nie ponawiano sejmu o zajęcie stanowiska, przeciwnego rządowi, oraz ta okoliczność, że łatwiej będzie wyjednać dla naszego kraju odrębne odpowiednie rozporządzenia ministerjalne, aniżeli — jak się wyrażał sprawozdawca sejmowy — uzyskać ustawy wyjątkowe.

W sprawach administracyjnych zaznaczyła się działalność sejmu w uchwaleniu przymusowej asekuracji budynków kościelnych i plebańskich, które atoli rząd dopiero wtedy przedłożył do sankcyi, kiedy uzyskał zgodę sejmu na to, że we wszystkich beneficjach swego patronatu nie będzie zmuszany do ponoszenia kosztów asekuracji, i dziś obowiązuje ta uchwała jako ustawa z 15 listopada 1888 D. u. k. nr. 96. Zajmował się też sejm w r. 1887—89 kwestyą ogólnego przymusu asekuracyjnego i większość jego uznawała słuszność przymusu; różnica zdań istniała w tem, czy ma być pozostawiona swoboda w wyborze instytucyi asekuracyjnej, czy nie powinna być pozostawiona taka swoboda. Lecz usiłowania sejmu pozostały bez rezultatu, gdyż rząd w tym względzie zajął stanowisko wyczekujące; a kiedy go zainterpelowano w radzie państwa, odpowiedział, że zamierza od siebie wnieść projekt w tym kierunku, z czego zdaje się wypływać, że nie względ na ograniczenie swobody indywidualnej kierował jego zamiarami.

Wielu innemi sprawami zajmował się sejm w rzeczonym okresie czasu, ale nie był szczęśliwy w doprowadzeniu ich do skutku, jak np. bardzo praktyczne wnioski do ustawy lasowej nie doczekały się załatwienia, mimo że niedostateczność dzisiejszej ustawy daje się dotkliwie

uczynić gospodarstwu krajowemu. — Ustawa konkurencyjna czeka koniecznie, i to już oddawna, na zmodyfikowanie, tak w tym kierunku, żeby do konkutowania zostali zobowiązani i ci wierni, którzy choć nie mieszkają w parafii, ale mają tam posiadłości, jakoteż i w kierunku, żeby wszystkie osoby moralne, opłacające podatki, a nietylko te, które są wymienione w § 10 rzezonej ustawy, konkutowały; tudzież żeby w stolicach kraju o ludności ruchomej, gdzie jest kilka parafij tego samego obrządku i ztąd utrudniony rozkład należytości konkurencyjnej, gmina była obowiązana zastępować parafian w prestacyach konkurencyjnych.

Również sprawa organizacji służby sanitarnej w gminach nie została załatwiona, skutkiem różnicy w zapatrywaniach między sejmem a rządem w kilku punktach, przedewszystkiem zaś w tem, że mimo obowiązku, ciążącego na państwie, by zapobiegało chorobom epidemicznym, rząd nie chciał i nie chce do dzisiaj przyczynić się niczem do kosztów organizacji służby zdrowia; dopiero w obecnym sejmie, jak się zdaje, zostanie ta sprawa załatwioną bez pociągania rządu do ponoszenia części kosztów¹. Same wnioski, z dwóch rozmaitych punktów widzenia postawione, a zmierzające do poprawy ustawy drogowej (ks. Siczynskiego i p. Jędrzejowicza) wskazują na to, że dzisiejsza ustawa ma wady, wady niemałe, i szkoda wielka, że sejm nie przyłożył ręki do jej poprawy. — Piekąca też jest sprawa sposobu wybierania podatków w gminach wiejskich, gdzie zdarzają się wypadki, że nieraz podatkujący dwa- i trzykroć musi opłacać podatek; a i ta sprawa, mimo że była podniesiona w sejmie w r. 1887—88, nie została załatwiona. — Również bez rezultatu obradował sejm w r. 1887—88 nad reformą postępowania w sprawach spadkowych i opiekuńczych, nad sprawą ustnego postępowania w kwestyach spornych i nad zabezpieczeniem czci i wolności obywateli państwa w postępowaniu karnem; przyczem pięknie i po obywatelsku pojęte było wystąpienie przeciw zabójczemu systemowi biurokratycznemu w sądach, przeciw postępowaniu, które sprzyja pie-niactwu, przeciw przewlekaniu spraw w nieskończoność z narażaniem stron na ustawiczne opłaty stemplowe i t. p.

Natomiast uchwała sejmu w r. 1888, która stała się już ustawą (jako ustawa z 30 marca 1889 D. u. k. nr. 24), wprowadza w trzydziestu większych miastach Galicyi organizację władz miejskich, o któ-

¹ Ta ustawa sanitarna została przez sejm uchwaloną już po napisaniu tego sprawozdania.

rej jednak nie da się jeszcze nic powiedzieć z tego powodu, że dopiero po pewnym czasie ukażą się dobre albo złe jej skutki.

Każdy widzi, że uderzająca jest ilość spraw, których sejm nie doprowadził do skutku, chociaż się niemi zajmował. Przyczyną tego były po największej części owe, niemal stereotypowe, oświadczenia komisarzy rządowych, że ta lub owa ustawa nie może być przedłożoną do sankcyi. Cała praca musiała być częstokroć nanowo podejmowana i stosownie do życzeń rządu modyfikowana; to zabierało czas i spychało z jednej sesyi na drugą, z kadencyi na kadencję, sprawy nieraz bardzo ważne i nie cierpiące zwłoki. Inną rzeczą, bardzo utrudniającą pracę sejmową, jest szczupły zakres działania reprezentacyi krajowej: może ona uchwalić ustawy tylko w ramach ogólnych ustaw państwowych, które wydaje rada państwa, pomimo że dyplom październikowy, który jest zasadą obecnej konstytucyi austriackiej, daleko szerszą kompetencję przypisuje sejmom krajowym (zob. Art. II. i III. dyplomu D. u. p. nr. 226). Jakkolwiek atoli uszczuplany bywa zakres działania naszego sejmu, to jednak powinniśmy otaczać go czcią i miłością, jako instytucję, przypominającą nam naszą niegdyś formę bytu politycznego, jako jedyne — można powiedzieć — ciało reprezentacyjne na całym obszarze szerokiej niegdyś ojczyzny, które strzeże naszej autonomii. To też tu nasuwa nam się jedna uwaga. Z dwóch wprost sobie przeciwnych obozów i z motywów zasadniczo różniących się podniesiono głos, nietylę przeciw autonomii samej, ile raczej przeciw dwoistości władz u nas. Głos ten pochodził przed kilku laty od samych reprezentantów kraju i znalazł swój konkretny wyraz we wniosku, dążącym do połączenia władzy autonomicznej i władzy rządowej w jednym ręku. W dzisiejszym sejmie pojawiły się znowu petycje niektórych powiatów o zniesienie wydziałów powiatowych t. j. mniej więcej do tego samego zmierzające rezultatu. Jestto charakterystyczne i zastanowienia godne z tego powodu, że między motywami poruszono i tę okoliczność, że przyniosłoby to znaczną ulgę materyalną dla kraju. To właśnie jest wskazówką, że kraj już tych ciężarów, jakie dźwiga, ponosić dalej nie może, a ztąd wypływa prosty wniosek ten, że obecnie dążenie naszej reprezentacyi powinno się podwoić w tym kierunku, żebyśmy bądź to zyskali od rządu centralnego ulgi finansowe, bądź żeby rozszerzona została autonomia finansowa kraju.

Cośmy tu powiedzieli, są to myśli, jakie się nasuwają przy czytaniu rzeczzonego sprawozdania z działalności naszego sejmu. Wdzięczni jesteśmy autorowi za nie, albowiem napisane jest z wielką znajomością

rzeczy i z wytrawnym sądem, który wskazuje, że w pracach parlamentarnych on sam *magna pars fuit*, a daje krytyczny pogląd niemal na każdą kwestyę, w sejmie omawianą.

Ks. Tadeusz Gromnicki.

O stałych czynnikach w rozwoju duchowym człowieka. Napisał *dr. Witold Rubczyński*. Wydawn. Wydż. histor.-filoz. Akademii umiej. Kraków 1890.

Dziwna rzecz, jak socyologia oscyluje w naszym wieku! Rousseau z kontraktem społecznym doprowadził ją do ostatecznego apryoryzmu. Choć empiryzm opanował następnie inne pola, nauka społeczna trwała długo w oderwanej sferze metafizyki, nic nie pytając o to, co się na świecie dzieje. Potem nagle pozytywiści angielscy, a głównie Spencer, przeprowadzili ją jednym wachnięciem do ostateczności przeciwnej: oni już nic nie pytają, co rozum każe, co być powinno — ale tylko obserwują, spisują spostrzeżenia o dzikich ludziach, o zwierzętach; traktują socyologię jako część historii naturalnej. U tamtych społeczeństwo było dowolną kreacją rozumu ludzkiego — u tych jest ślepym wytworem natury, w którym inteligencya ludzka żadnego udziału niema.

Byłby już czas do zwrotu ku środkowi. I w istocie pierwsze symptomy takiego zwrotu spostrzegamy tu i owdzie, mianowicie w najnowszych próbach t. zw. etnopsychologii, gdzie badania historyczne i etnograficzne spotkać się muszą z danemi racjonalnej psychologii. Do tych dodatnich prób zaliczamy niniejszą pracę. Młody autor staje na gruncie historycznym, zgodnie z dzisiejszym kierunkiem; jednakowoż zwalcza Spencera i pokazuje, że jego rzekome prawo powszechniej ewolucyi jest tylko generalizacyą praw fizycznych, opartą na kilku bardzo powierzchownych analogiach. Właściwych pierwiastków duchowej ewolucyi człowieka trzeba szukać — jego zdaniem — w historii; w niej występują pewne stałe czynniki, które widocznie odróżniają człowieka od wiru zjawisk kosmicznych.

Tymi czynnikami dziejowego rozwoju są: sympatya bezinteresowna i — wrażliwość na formę; innemi słowy: miłość dobra i miłość piękna. Autor szkicuje sposób, jakim te czynniki w historii na siebie oddziałują, a w pierwszym rzędzie, jak wpływają na uformowanie mowy. Ztąd dwa typy mowy: semicka, oddająca nadewszystko uczucia — i grecka, czyli wogóle aryjska, wyrażająca formy i różnice rzeczy. Wielką misją cywilizacyjną chrześcijaństwa było, że te dwa światy sprzęgło, w harmonijną złożyło jedność i dało ludzkości pełny duchowy pokarm.

W nim dopiero, obok całkowitego rozwoju formy, występuje sympatya najczystsza i najpowszechniejsza.

W rezultacie wnosi p. R., że dziejowy rozwój ludzkości nie jest materialnej natury, gdyż zasadza się na wspomnianych czynnikach, formalnych, a nie materialnych. I to najlepiej dowodzi, że jest w człowieku pierwiastek niematerialny — czego psychologia, jak mniema autor, oparta na ogólnych faktach, w jednostce wykazać nie może.

Jestto piękny, oryginalny i wiele prawdy mieszczący w sobie pogląd; a tę pracę zaliczamy do lepszych nabytków naszej niebogatej literatury filozoficznej. Szkoda tylko, że pewna zawilgość stylu i przesadna ogólnikowość w wyrazach utrudnia śledzenie myśli autora. Co do treści zarzucilibyśmy pewną ekskluzywność: można istotnie i w historii wykazać niezaprzeczalne objawy ducha; ale swoją drogą to nie przeszkadza, że i w psychologii, badającej indywidualne objawy umysłowości, można z większą jeszcze jasnością i pewnością pierwiastek duchowy skonstatować — byle wyjść poza ramy Wundt'owskiego fenomenizmu. W każdym razie te braki należą do takich, z których się zwykle pisarz przez dalszą pracę wyłuszcza; a wewnętrzna wartość tego utworu pomyślnie wróży, świadcząc o szerszem wykształceniu i samodzielnem myśleniu autora.

Ks. M. M.

Chrystus Bogiem. Streszczenie z obszernego dzieła ks. *Em. Bougaud*, biskupa z Laval, p. t.: „Chrześcijaństwo i obecne czasy“. W wolnym przekładzie opracował Bronisław hr. Lasocki. W Krakowie 1890. Str. 97 i 22, w 8ce.

Dziółko to podaje dowody bóstwa Chrystusa Pana z nowej zupełnie strony i nie metodą szkolną.

W dziesięciu rozdziałach zawiera ono dziesięć niezaprzeczalnych znamion, tylko Bogu-Człowiekowi służyć mogących. I tak: zdumiewająca skuteczność i płodność Jego słowa. Powiedział np.: „błogosławieni ubodzy duchem“ — i tysiące dobrowolnych ubogich wyzuwa się z własności, a idzie za Nim; powiedział: „oddajcie co jest cesarskiego cesarzowi, a co jest bożego Bogu“ — i rozgraniczył temi słowy na wieki dwie najwyższe zwierchności: świecką i duchowną. A z jakim to umiarkowaniem używa swej mowy cudotwórczej! — nigdy na swą obronę, tak dalece, że nieprzyjaciele Jego byli zupełnie pewni, iż ich nie ukarze za najzuchwalsze nawet napaści, jakich sobie względem Niego pozwalali. W innym rozdziale ośmiela się autor, a z nim i tłumacz, zaj-

rzyć w sumienie tego Syna człowieczego, i wynosi ztamtąd wrażenie bezgrzeszności, dla człowieka niepojętej. Jakiż bowiem człowiek mógłby kiedykolwiek powiedzieć bez niesłychanej zarozumiałości: „Kto na mnie dowiedzie grzechu?“ albo: „Ja, co się Mu (t. j. temu, który mnie posłał, Ojcu) podoba, zawżdy czynię“. Dalej, ono wymaganie, całkiem naturalne, bezgranicznej miłości dla siebie: owszem i otrzymanie jej nietylko za życia, ale i po wszystkie czasy, nietylko od pospolitych ludzi, ale od wybrańców ludzkości, od geniuszów i Świętych, którzy właśnie przez to miłowanie takimi się stali, i t. p.

Takiego to rodzaju dowody i tak trafnie zestawione umiał szan. tłumacz zebrać i podać polskiemu czytelnikowi. Dowodzi to jego znajomości rzeczy i głębokiego poczucia religii.

Tyle o treści.

Co się zaś tyczy formy tej książki czyli języka, stylu i t. d., nie chcemy się tutaj wdawać w szczegóły. Zaznaczyć tylko musimy, że tłumaczenie p. Lasockiego wiele pod tym względem zostawia do życzenia.

H. P.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Z prasy prawosławno-rosyjskiej.

Dwa sprzeczne obrazy stanu dawnej dyecezyi chełmskiej. — Ślady katolicyzmu wśród ludności prawosławnej w ziemiach litewsko-ruskich. — Kampania przeciwko krzyżom i kaplicom na Wołyniu. — Tolerancya wyznaniowa *Warszawskiego Dziennika*. — Św. Synod przeciwko misyom protestanckim. — Podpułkownik artylerji w roli misyonarza Kościoła urzędowego. — Sumy asygnowane przez rząd na budowę nowych cerkwi w ziemiach polskich. — Kolonia rolnicza rosyjska pod Modlinem. — Metropolita kijowski Platon o stosunkach w Galicji wschodniej. — Charakterystyka Rusinów pióra rosyjskiego. — Chłop podolski po 25 latach swobody. — Słowiańskie Towarzystwo dobroczynności wobec opinij katolickich. — Prawosławie i starokatolicyzm. — Rozwój sekciarstwa w armii. — Hr. Tołstoj i Paszkow.

Korespondencye z tamtej strony kordonu do naszych dzienników politycznych dają zwykle zbyt jednostronny obraz położenia i stanu ludności polskiej. Wszystkie — o ile one ztamtąd istotnie pochodzą — odznaczają się nastrojem pesymistycznym, przedstawiając już i bez tego

smutną rzeczywistość w barwach jeszcze czarniejszych. To też prawdziwą staje się męczarnią czytanie korespondencji i artykułów, traktujących o sprawach zakordonowych ziem polskich. Czytelnicy o nerwach wrażliwszych nie są w stanie znieść takiej przygnębiającej moralnie lektury. Zdarzyło się nam słyszeć z ust bardzo poważnych następujące zdanie: Ujrawszy w naszych dziennikach rubrykę „Warszawa“ lub „Wilno“, staram się wyobrazić sobie, co może być najgorszego, i przechodzę do innych artykułów. Pod wrażeniem ciągłych skarg i lamentacyj zbiera nieraz chęć zawołać ze współczesnym poetą:

„Przestańmy własną pieścić się boleścią,
Przestańmy ciągłym lamentem się poić —
Kochać się w skargach jest rzeczą niewieścią,
Mężom przystoi w milczeniu się zbroić...“

Nie da się zaprzeczyć, że zachodzi wielka trudność przedstawienia stron dodatnich naszego życia zakordonowego. Niezręczność lub nieogłędność w ich podnoszeniu mogłaby jednostki, pewne stany lub nawet całe okolice wystawić na szykany i prześladowania. Sądzymy jednak, iż jest droga najwłaściwsza, umożliwiająca poznanie istotnego stanu ziem polskich w obrębie państwa rosyjskiego. Oto notujmy tylko starannie, co o nich mówią i piszą nasi najserdeczniejsi. Jedni z nich, spoglądając na postępy systemu rusyfikacyjnego, uderzają w fanfary na znak tryumfu; inni, widząc oporność naszej starej cywilizacji, potęgę tradycji a elastyczność usposobienia polskiego, uginającego się pod obuchem ciemnicy, lecz nie dającego się złamać całkowicie — wywodzą żale na bezsilność żywiołu rosyjskiego, a w przesadnych barwach malują siłę odporną naszego społeczeństwa. Komu zatem i kiedy wierzyć mamy? Oczywiście w zupełności nikomu, a prawdy winniśmy szukać w pośrodku — *media via tutissima*.

Mamy właśnie do zanotowania dwa takie sprzeczne poglądy na stan nieszczęsnej Chełmszczyzny i Podlasia, pochodzące z obozu nam wrogiego. Postępy prawosławia i rusyfikacji w owych stronach przedstawia *Dień* w sposób następujący. Trzeba tylko — czytamy w tym dzienniku — w jakąś uroczystość cerkiewną przybyć do Chełmu, tego niegdyś ogniska unii, gdzie obecnie stale przebywa władza Flawian, koadiutor archijereja chełmsko-warszawskiego, aby się naocznie przekonać o tryumfie prawosławia i kultury rosyjskiej. Dziesiątki tysięcy pobożnych zbierają się tutaj ze wszystkich stron dycezyi dla oddania czci cudownej Bogarodzicy. Całe wzgórze, na którym sobór wznosi się malowniczo, gęsto pokrywa się narodem. Posłuchajcie tylko, z jaką

uwagą słuchają chłopci żywego rosyjskiego słowa w kazaniach i z jaką czcią przyjmują rozdawane krzyżyki i ikony; posłuchajcie tych natchnionych opowiadań o wspaniałej uroczystości i nabożeństwach, które przenikają w głuche zakątki kraju, a zdziwicie się niepomąłu, w jak krótkim stosunkowo czasie wzrosło i wzmocniło się w narodzie poczucie rosyjskie, przez tyle wieków w nim tłumione i prawie już obumarłe. Popatrzcie na monaster w Leśnej, będący niegdyś rozsądnikiem „polonizmu i fanatyzmu katolickiego“ na Podlasiu, gdzie obecnie otwarto prawosławny klasztor żeński, a kościół przerobiono na piękną cerkiew prawosławną! Więcej niż 70 dzieci ze wsi okolicznych otrzymuje tam wychowanie rosyjskie; mniszki, przyjęte z początku przez ludność z niedowierzaniem, teraz zdobyły sobie powszechną sympatyę u okolicznych mieszkańców: do nich udają się po radę, po zwykłe środki lekarskie, zwracają się w swych kłopotach domowych. Uroczystości cerkiewne ściągają tam tysiące pobożnych, a „w ich liczbie niemało i katolików“. Prawda, — czytamy w dalszym ciągu — są jeszcze i teraz parafie bez parafian lub przynajmniej z pewną częścią „upartych“, ale takich parafij obecnie bardzo niewiele — można je łatwo policzyć — i to przeważnie w gubernii siedleckiej, gdzie naród był bardziej spolszczony i „sfanatyzowany“, jak w gubernii lubelskiej. Czas i gorliwa praca duchowieństwa odniosą bez wątpienia i tutaj zwycięstwo, a szkoła będzie istotną pomocą w tym względzie. Już i teraz setki szkół rosyjskich, cerkiewno-parafialnych i ministeryalnych, rozrzucono po wszystkich większych wsiach i miasteczkach, a pomimo tego widoczna, że ich mało, że niema gdzie pomieścić pragnących się uczyć. Słyszeliśmy nieraz, że nawet we wsiach, zamieszkałych przez „upartych“, szkoły przepełnione uczniami; dziatwa szkolna zaczyna bardzo pięknie odnawiać modlitwy rosyjskie, przysłuchuje się chętnie objaśnieniom liturgii prawosławnej i żegna się na sposób prawosławny. Przedtem, bywało, przybysz rosyjski czuł się tutaj całkowicie obcym; dokoła brzmiała mowa polska, a tylko kiedyniekiedy szara sukmana chłopska przypominała, że to ziemia rosyjska. Teraz zupełnie inaczej: język polski wychodzi już z użycia; w szkołach, sądzie, we wszystkich urzędach — wszędzie Rosyanie; w szpitalach miejsce mniszek polskich zajęły rosyjskie siostry miłosierdzia; na kolejach żelaznych zaprowadzono wszędzie język rosyjski, a nawet sami Polacy, pozostali w kraju, jako właściciele dóbr ziemskich, kupcy i rzemieślnicy, zaczynają mówić po rosyjsku. — Tyle korespondent *Dnia*.

Zupełnie inaczej przedstawia się ten sam zakątek ojczyzny na-

szej w korespondencyi do *Moskow. Wiedomosti*. „Przed trzydziestu, a może i mniej laty — pisze korespondent organu ultra-narodowego — po wsiach ruskich dzisiejszej gubernii siedleckiej włościanie zaczęli mówić po rusku, strój był u nich małoruski, uprząż i wogóle całe urządzenie domu było ruskie. W chwili obecnej, zwłaszcza od czasu przeprowadzenia warszawsko-tyraspolskiej, brzesko-małkińskiej i innych dróg żelaznych, znaczna ilość wsi ruskich mówi lub zaczyna mówić po polsku, a cały swój sposób życia południowo-ruski zmienia lub zmienia na polski. Rzecz to łatwa do pojęcia. Od czasu pomnożenia liczby miast powiatowych, a przekształcenia Siedlca na miasto gubernialne napłynęło i dotąd napływa mnóstwo rodzin urzędników polskich ze swym językiem, obyczajami, wymaganiami i sympatjami, których władze rosyjskie rekrutowały wyłącznie z Polaków, którzy, jako wykonawcy, weszli w bezpośredni stosunek z narodem, narówni z rządcami i służbą dworską magnatów, jakich bardzo wielu w gubernii siedleckiej. Do urzędników administracyjnych, finansowych, pocztowych i t. d. pochodzenia polskiego dodać jeszcze należy tysiące urzędników kolejowych, działających w tymże samym duchu na lud ruski. Cały ten legion urzędników polskich, przeniesionych lub raczej spuszczonej na gubernię przez władzę rosyjską, w ciągu niespełna ćwierć wieku zgiał lub złamał w narodzie to wszystko, z czem w kolei wieków nie mogli dać rady panowie i ich służba. Wszystko to władza centralna dobrze pojmuje, ale pomimo jej zupełnie uzasadnionych nalegań, władze lokalne nie tak rychło rozstają się z urzędnikiem polskim i zastępują go rosyjskim — do urzędnika Polaka już się one przyzwyczaiły przez ćwierć wieku, a rosyjskiego nie znają i nie mają doń serca“.

Przedstawiwszy w sposób powyższy rzekome niedbalstwo władz gubernialnych rosyjskich, dla większego kontrastu podnoszą *Moskow. Wiedomosti* usiłowania „propagandy łacińsko-polskiej“, która „nie drzemie“. Przypominają, że kongregacya rzymska wydała postanowienie, zakazujące uczniom katolikom uczęszczać na nabożeństwa prawosławne, a katolikom płci obojga wstępować w związki małżeńskie z niekatolikami („czytaj prawosławnymi“, dodaje ten szanowny organ), wyjednane u kurii rzymskiej przez jednego z biskupów katolickich „kraju naszego“. „Podwładni mu księża — cytuję ustęp ten w tłumaczeniu dosłownem — tak gorliwie zaczęli wykonywać życzenia swego przełożonego, iż na spowiedzi — jak w wielu miastach kraju tego zapewniają — wymagali od młodzieży przysięgi, jako do cerkwi uczęszczać nie będzie i w żadnych nabożeństwach współ ze swymi prawosławnymi kolegami

udziału brać nie będzie. Ostatnimi czasy pojawiła się w kraju naszym masa książek do nabożeństwa, żywotów Świętych Kościoła katolickiego i różnych książek i broszur treści religijnej lub historycznej, wydawanych w Krakowie. Jeruzalem polski (nie słyszeliśmy, aby ktokolwiek tym sposobem Kraków nazywał) nie zapomina zresztą i o nauczaniu Litwinów. W języku litewskim rozchodzi się również z Krakowa masa książek do nabożeństwa, opowiadań historycznych i t. p. Wszystko to rozchodzi się w narodzie w wielkiej liczbie w celu oddziaływania nań w duchu polskim. Niejednokrotnie zajmowało nas pytanie, z kąd się biorą pieniądze na wydatki, połączone z tą propagandą? Czyim kosztem drukują się miliony książek, rozchodzących się na Powiślu i w obu naszych krajach zachodnich?“

Wołyn. Epar. Wiedomosti (nr. 19, r. 1890) zamieszczają artykuł p. t.: „Ślady katolicyzmu i polskości w kraju zachodnim“, z którego wyjmujemy parę ciekawszych szczegółów. Władysław diecezji podolskiej Donat, mając na względzie okoliczność, iż jeden z parochów prawosławnych tejże diecezji znalazł pomiędzy swymi parafianami około 100 krzyżyków, medalików i obrazków katolickich, wydał rozporządzenie do duchowieństwa prawosławnego swej diecezji, aby się zaopatrywało w dostateczną ilość krzyżyków, medalików i ikon prawosławnych na sprzedaż. Rozumie się samo przez się, że parochowie pośpieszą zadość uczynić temu wezwaniu, które, oprócz moralnych korzyści kupującym, przyniesie materialne sprzedającym. — W dekanacie lepelskim (Lepel w gub. witebskiej) diecezji połockiej, błahoczynny (dziekan) Jakób Kopecki zrobił spostrzeżenie, że w niektóre dni świąteczne bywa niezwykle napływ narodu, większy, niż w inne, daleko ważniejsze uroczystości cerkiewne. Zaczął dochodzić przyczyn tego niezwykłego dlań objawu. Dopytywał się u ludzi starych i wkońcu przekonał się, że jestto zabytek z czasów unickich. Na uroczystości cerkiewne (festy), połączone z odpustami, lud wiejski niegdyś tłumnie uczęszczał, a pomimo zniesienia unii, o nich nie zapominał. Dzisiejsze pokolenie już nic o tem nie wie i pobudek nie bada, ale w dni te tłumnie jednak do cerkwi eks-unickich uczęszcza.

Korespondent *Moskow. Wiedomosti* kreśli nam obraz walki, prowadzonej na Wołyniu przeciwko krzyżom i kaplicom katolickim. Stawiać je zaczęto — według twierdzenia korespondenta — po r. 1863, na cześć i pamiątkę męczenników sprawy narodowej. Krzyżów tych i kaplic była jakoby taka mnogość przy drogach, iż „russki Wołyn“ zamienił się w Polskę. W Rosyi bowiem właściwej niema zwyczaju

stawiania ani krzyżów, ani kapliczek przydrożnych. Na tę okoliczność zwrócił uwagę generał-gubernator kijowski Bezak i wydał wkońcu siódmego dziesięciolecia rozporządzenie, aby wszystkie krzyże przenieść na cmentarze i nowych więcej nie stawiać; co się tyczy kaplic, to o pozwolenie budowania tychże nakazywał w każdym poszczególnym wypadku zwracać się do niego samego. Ale nie wszędzie jakoby ściśle wykonywano to rozporządzenie. Tylko „część krzyżów“ przeniesiono na cmentarze. Obecnie zaczęto znowu je stawiać, a Wołyń wskutek tego przybiera „charakter polsko-katolicki“. W dalszym ciągu korespondent *Mosk. Wied.* już bez ogródki denuncjuje, że w powiecie zasławskim postawiono dwa nowe krzyże na drodze z miasteczka Sudylkowa do m. Hrycewa; że w tymże powiecie stanął także krzyż koło wsi Łoszówki i t. d. Z okazji tych trzech krzyżów widzi korespondent organu ongi Katkowskiego „niebezpieczeństwo dla państwa“, „polszczenie się Wołynia, stawiającego pomniki buntownikom“.

Warszawskij Dniownik rozwodzi się nad tem bardzo obszernie, że dawniej katolicy oddawali cześć Matce Boskiej Poczajowskiej, zawieszali Jej obrazy po kościołach i domach prywatnych, odbywali pielgrzymki do Poczajowa, robili wota i ofiary. Przed pięćdziesięciu laty w każdym kościele warszawskim był obraz Matki Boskiej Poczajowskiej. Od czasu przemiany kościoła unickiego w Poczajowie na cerkiew prawosławną, nigdzie nie widać śladów czci tego obrazu u katolików, jakby obraz ów mógł coś utracić ze swych właściwości nadprzyrodzonych. Aby tem jaskrawiej uwydatnić rzekomą tolerancję prawosławnych, autor tego artykułu powiada, iż innym jest ich stosunek do obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, chociaż umieszczonej w kościele katolickim. Obrazowi temu Cerkiew prawosławna cześć oddaje d. 18 marca (6 s. v.). Odwiedzał Częstochowę i bił poklony przed obrazem Bogarodzicy car Piotr Wielki; Aleksander I. kazał z obrazu częstochowskiego zrobić kopję, ozdobić ją bogatą szatą i zawiesić w kazańskim soborze w Petersburgu, gdzie dotąd wisi jeszcze, a przed nią wiecznie lampa się pali; car Mikołaj asygnował znaczną sumę na restaurację klasztoru jasnogórskiego. Dla oddania czci Matce Boskiej Częstochowskiej przyjeżdżali tam umyślnie trzej archijereje warszawscy: Arseniusz (później metropolita kijowski), Joanicyusz i Leoneyusz. We wszystkich cerkwiach prawosławnych Warszawy znajdują się obrazy Matki Boskiej Częstochowskiej, a jedno z najokazalszych miejsc zajmuje obraz ten w cerkwi archikatedralnej. Wielu prawosławnych odbywa pielgrzymki do Częstochowy. Kończy się zaś artykuł następującym patetycznym

ustępem: „Być może, iż podobało się Panu Bogu, aby na granicy Prus, prześladowających obecnie żywioł słowiański, istniała świątynia, gdzieby wzmacniały się węzły braterstwa pomiędzy różnymi narodami słowiańskimi; aby u samej granicy pruskiej brzmiała w pewne dnie mowa słowiańska — mowa Wielkorosyan, Małorusinów, Białorusinów i Polaków. Jakby to pięknie było, żeby i pasterze Kościoła rzymsko-katolickiego, pomnąc na słowa króla Dawida, nie tylko nie wzbraniali pielgrzymek do Poczajowa, lecz przeciwnie, przedstawiali korzyści i zasługi z nich płynące. Niechby i na granicy Austrii, w Poczajowie, łączyły się wspólne modlitwy Wielkorosyan, Małorusinów, Białorusinów i Polaków. Niechby cześć poczajowskiej Bogarodzicy wzmacniała węzły braterskie!“ Cała ta rozrzucająca frazeologia o braterstwie plemieniem i wspólnej czci obu obrazów cudownych zmierza w istocie rzeczy do skłonienia biskupów obu obrządków katolickich, aby nie tylko nie stawiali przeszkód pielgrzymkom z Galicyi do Poczajowa, ale jeszcze zachęcali do nich, otwierając tem samem wrota dla propagandy schizmatyckiej w swych dyecezyach. Obietnica zaś odwiedzania Częstochowy przez prawosławnych, upozorowana czcią ich dla obrazu Bogarodzicy, mogłaby w sposób dla nas bolesny usprawiedliwić znane przysłowie: „Daj kurze grzędę“ i t. d. Najlepszem zaś stwierdzeniem pokrewieństwa plemiennego i ducha tolerancyi, tkwiącego jakoby w narodzie rosyjskim, byłaby zmiana postępowania względem Kościoła katolickiego...

Ale o tem narazie chyba mowy być nie może. Przeciwnie, nie-tolerancya rosyjska zatacza coraz to szersze kręgi, zwracając się nawet przeciwko wyznaniom, traktowanym dotąd daleko łaskawiej od katolików. Celem nawracania żydów na różne wyznania chrześcijańskie, pojawiali się dotąd w granicach Rosyi bardzo często misyonarze zagraniczni od rozmaitych sekt protestanckich (tylko katolicy względów tych nie doznawali). Niezwykłą gorliwością w tym kierunku odznaczali się członkowie towarzystwa misyonarskiego, założonego przez pastora Ribida. Było to solą w oku nadprokuratora św. Synodu. To też wyszło ztamtąd przedstawienie do ministerium spraw wewnętrznych, w którym zwrócono uwagę na propagandę wśród żydów obcych misyj z tem zarazem zastrzeżeniem, że „działalność misyonarska w Rosyi należy wyłącznie do praw panującej Cerkwi prawosławnej“ (*Wołyń. Ep. Wied.* nr. 22, r. 1890). Wskutek tego minister spraw wewnętrznych wydał okólnik do władz administracyjnych, w którym

nakazuje, aby o pojawieniu się misyonarzy zagranicznych natychmiast donosiły departamentowi policyi.

Pan minister finansów Wyszniegradzkij, jakkolwiek „oddany całą duszą“ sprawie uporządkowania budżetu rosyjskiego, nie skąpi zapomóg na utrzymanie szkół cerkiewno-parafialnych. Właśnie świeżo otworzył kredyty dla szkół cerkiewnych na następne trzechlecie. Na cały ten czas przeznaczył z funduszków państwowych po 228.285 rubli rocznie. Ale rzecz godna uwagi, że na dziewięć gubernij litewsko-ruskich przypada więcej, niż $\frac{3}{4}$ całej tej sumy, t. j. 178.000 rubli. Byłoby to niechybnie dowodem wielkiej pieczołowitości rządu o stan oświaty w ziemach ongi polskich, gdyby nie okoliczność, że szkoły te mają wyłącznie na celu propagandę lub wzmacnianie uczuć prawosławnych w miejscowościach o ludności pod względem wyznaniowym mieszanej. Z tych dziewięciu gubernij największe kwoty przeznaczono na wołyńską i kijowską, a najmniej na kowieńską, gdzie dotąd wśród zwartej masy ludności katolickiej schyzma nie może znaleźć dla swojej propagandy odpowiedniego gruntu. Również hojnym był minister finansów na budowę cerkwi prawosławnych: na ten cel przeznaczył na r. 1891 w guberniach litewsko-ruskich 250.000 rubli, a w Królestwie Polskiem 100.000 rubli. Kościołom i klasztorom katolickim dobra zabierano przy każdej sposobności, ale prawosławne monasterie na ziemi polskiej uposaża rząd obecnie dobrami t. zw. „skarbowemi“ (domena). Monaster żeński w Leśnej (gub. siedlecka) otrzymał w roku przeszłym uposażenie dobrami ziemskimi w powiecie brzesko-litewskim gubernii grodzieńskiej. Przyznano mu wieś Siwki, mającą 26.932 dziesięcin obszaru, i młyn w Dubowie, przynoszący — według sprawozdania ministerstwa dóbr państwa — 166 rubli rocznego dochodu (*Chołm. Warszaw. Ep. Wiestnik* nr. 14, r. 1890). Minister spraw wewnętrznych — jak donosi *Nowoje Wremia* — zezwolił warszawskiemu prawosławnemu „Bractwu św. Trójcy“ na utworzenie w pobliżu Modlina (Nowogroziewska) kolonii rolniczej dla sierót wyznania prawosławnego, pochodzących z małżeństw mieszanych, a żyjących w nędzy lub na łasce rodzin katolickich, zdala od wpływów Cerkwi prawosławnej i narodowości rosyjskiej. W kolonii tej znajdzie początkowo pomieszczenie 25 chłopców i tyleż dziewcząt. Z biegiem jednak czasu, w miarę środków Bractwa, istnieje zamiar rozszerzenia tej kolonii-ochronki, aby „uczynić zadosyć potrzebom ubogiej ludności prawosławnej w Kongresówce“.

Resztki katolików-unitów, trzymających się wiernie wiary swych ojców i pięknego obrządku słowiańskiego, nie mogą znaleźć spokoju

u rządu, mieniającego się orędownikiem Słowian. Nawet podpułkownik artylerji, Aleksy Pejker, zajmuje się wśród nich nawracaniem na prawosławie, za co od archijereja warszawsko-chełmskiego otrzymał „arcypasterską wdzięczność i błogosławieństwo“. Stan baterji musi tam być wymieniony, skoro pan podpułkownik miał dosyć czasu „na przyciąganie upartych parafian do cerkwi“ we wsi Łomazach i „na wydarcie dziewięciorga dzieci z łona upartych rodzin unickich“ (*Chołm. War. Ep. Wiestnik* nr. 14). Dotąd przy wszelkiego rodzaju „nawracaniach“ administracya odgrywała główną rolę, a wojsko tylko pomocniczą, jak to miało miejsce we wsiach podlaskich: Pratulinie i Drelowie; obecnie przedstawiciele wojskowości nie chcą pozostać wtyle w swej gorliwości misyonarskiej i zadowalniać się rolą... wykonawców. Wkrótce dowiemy się zapewne o misyonarzach zpośród urzędników sądowych, finansowych, pocztowych i t. d. — Bardzo często spotkać się można w prasie rosyjskiej z narzekaniami na bezużyteczność majoratów rosyjskich w Kongresówce. Obecnie mogą się pocieszyć: hr. Aleksander Kreuz, właściciel majoratu Kościelec, zbudował swym kosztem w Kole (gub. kaliska) cerkiew prawosławną dla 150 parafian!

Niejaki Piotr Kazackij umieścił w *Cerkownym Wiestniku* artykuł, powtórzony następnie przez liczne dzienniki i czasopisma rosyjskie, w którym wyszukuje wszelkich możebnych przyczyn: historycznych, politycznych, społecznych i psychologiczno-fizjologicznych, w celu wyjaśnienia, dlaczego „sztunda“ robi tak ogromne postępy wśród ludności czysto ruskiej. Interesować nas może tylko następujący ustęp z jego rozprawki: „Ciężkie okoliczności historyczne wywarły wpływ bardzo silny na naszego Małorusina i wycisnęły piętno na jego uczuciowej naturze. Będąc pod panowaniem polskim, a niekiedy i tureckim, on, Rusin, wiedziony uczuciem samozachowawczem, nauczył się być skrytym, dwulicowym, chytrym, oszukiwać i nikomu nie wierzyć. Niedarmo — robi p. Kazackij w nawiasie uwagę — często używa się przysłowia: „skryty i chytry, jak Małorusin“. Jednem słowem, pod wpływem nieprzyjaznych warunków dziejowych wytworzył się znany typ charakteru ruskiego. Wskutek istnienia prawa poddaństwa ze wszystkimi jego ujemnemi następstwami, a samowolności obywateli-Polaków, położenie Rusina nie tylko się nie polepszyło, ale bodaj, że się jeszcze pogorszyło; natura jego popsuła się: skrytość, dwulicowość i nieufność spotęgowały się w nim jeszcze bardziej“. Nie wiemy, czy za ten wizerunek moralny wdzięczni będą Rusini pisarzowi rosyjskiemu. To jednak z całą pewnością twierdzić możemy, że p. Kazackij, poszukując

najróżnorodniejszych przyczyn dla wyjaśnienia postępów sztundyizmu, zapomniał o najważniejszej, tkwiącej w samej istocie Kościoła urzędowego: w jego bezdusznosci i formalizmie, nie mogących zaspokoić pragnienia wiary w duszach czuć umiających lub tęsknych i zbolałych. Dokąd istniała unia na Rusi a z nią działał na lud ożywczy wpływ katolicyzmu, dotąd nikt tam nie słyszał o szerzeniu się racjonalizmu lub protestanckiego petyzmu. Od lat zaś pięćdziesięciu Kościół urzędowy poczynił w sercach wierzącego niegdyś ludu ogromne spustoszenia... Czegoś podobnego doczekamy się wkrótce i w eks-unickiej dycezyi chełmskiej. Co się tyczy zarzutów chytrości, skrytości i dwulicowości, czynionych Rusinom przez autora rosyjskiego, to na ich miejscu powtórzylibyśmy mu znane przysłowie: „kocioł garnkowi przysgania...”

Paroch M. Michniewicz, drukujący w szeregu luźnych artykułów *Podolskich Epar. Wiadomości* „Wspomnienia” swego życia, spędzonego od urodzenia na Podolu rosyjskiem, nakreślił w jednym z nich ciekawy obraz dzisiejszego usposobienia chłopu ruskiego. Przedstawivszy w barwach ponurych stan chłopu w czasach poddaństwa, powiada, iż „wszystko przeminęło, jakby sen jaki: nadszedł 19 luty 1861 roku, a wieśniak odetchnął swobodniej i duchowieństwo (oczywiście prawosławne) stało się samoistniejszym. Ale zupełną swobodę przyniósł dopiero rok 1863, wskutek wybuchu buntu polskiego. Wszelkie obowiązkowe stosunki chłopów do panów ustały; księża katolicy zaczęli popom kłaniać się, a panowie ścisnąć im ręce. Wytworzył się skutkiem tego stosunek naturalny pomiędzy pasterzami a ich owczarnią. Ekonomiczny byt włościan po roku 1863 znacznie był się poprawił. W ciągu lat kilku biedny chłop, mający niegdyś zaledwie parę owiec, przyszedł do posiadania pary koników i krówki na mleko dla dzieci. Nawet dochody cerkwi i duchowieństwa znacznie były się podniosły”. Przypatrzmy się teraz, jak duchowieństwo prawosławne wyzyskało ten „naturalny stosunek pomiędzy pasterzami i owczarnią”. „Gdy się stosunki polepszyły — pisze dalej sędziwy paroch podolski — spostrzegli chłopci, że i pieniądze są i na wolnym czasie nie zbywa, a nowe sądy łaskawe: za próżnowanie i pijaństwo nikogo nie karzą. Zaczęli więc oddawać się pijatyce, a dochody cerkwi poszły na rzecz administracyi akcyzowej. W naszym chłopie nie wytworzyły się ani stałe, samoistne przekonania, ani charakter moralny; szczególnie brakiem tym odznaczają się młodszy. Zejdzie się kilku chłopców przy czarce wódki i zapytują jeden drugiego: *szczo budem robyty?* Odpowiedź następuje: co najlżejszego.

A ponieważ niema nic złejszego, jak kraść konie, więc więzienia nappełniają się koniokradaami. Są recydywiści, którzy już po raz piąty siedzą w więzieniu za kradzież koni, a chociaż podpadają sądowi kar-nemu, nie robi to jednak na nich najmniejszego wrażenia“. Dalej stara się autor dowieść, że kryminał przedstawia dla chłopu ruskiego więcej przyjemności, jak dom własny: oprócz wygod, znajduje tam i wesołe towarzystwo. „To też — czytamy we „Wspomnieniach“ — w każdym więzieniu (powiatowem zapewne) bywa około 100 ludzi. Jestem przekonany, że dokąd nie przeznaczą po sto różg lub plag za każdego skradzionego konia, koniokradytwa, ta klęska samychże włościan, nie ustanie. Taką samą karą należy zagrozić tym, którzy będą przecho-wywać lub przeprowadzać dalej kradzione konie. Wówczas po wsiach nie będzie koniokradytwa, a liczba kryminalistów zmniejszy się do po-łowy. Żydzi w całej tej sprawie odgrywają również ważną rolę. Naj-bardziej demoralizującym włościan środkiem są jarmarki w dniu świę-teczne. Są mieszczanie, rzemieślnicy i włościanie, którzy dwa razy na rok pokazują się w cerkwi: raz dla odbycia spowie-dzi, a drugi raz w dzień Wielkiejnocy“. Autorowi doskonale za-pewne wiadomo, dlaczego od ćwierci wieku tak ogromnie wzrosło koniokradytwa w ziemiach dawniej polskich; ale względ na własne sta-nowisko i organ dyecezalny, dla którego pisze swe „Wspomnienia“, nie pozwalają mu na popełnienie niedyskrecyi, o której wiedzą zresztą wszystkie wróble na dachach.

Platon, zgrzybiały metropolita kijowski i halicki, na walnem zgromadzeniu słowiańskiego Towarzystwa dobroczynności, odbytem dnia 23 maja w Petersburgu, miał przemowę, w której dotknął przedewszy-śtkiem położenia Rusinów galicyjskich, a przy tej sposobności okazał wielką znajomość stosunków wyznaniowych i etnograficznych naszego kraju. „Wielką nam radość sprawia — rzekł między innemi — oka-zywanie im, biednym i nieszczęśliwym, uczuć miłosierdzia. Oni, nie-szczęśliwi, wyciągają ku nam ręce, zwracają oczy i serca nietylko dla-tego, iż są z nami jednego plemienia, lecz również i dlatego, że są nieszczęśliwi i potrzebują naszej pomocy. ~~N~~ad to miłość jest najwyższą cnotą. Oni cierpią za to, iż są „russkimi“, iż są prawosławnymi. Posłuszni sercu i wierni przykazaniu Apostoła o miłości, zróbmy ofiarę na korzyść braci naszych, módlmy się za nich i bądźmy pełni wiary, że nasza mała nawet pomoc będzie dla nich, biedaków, bardzo zna-czną. Błogosławie was tu wszystkich zgromadzonych i obecnych na podjęcie tej dobrej sprawy“ (*Wotyń. Ep. Wied.* nr. 16, r. 1890).

Za miarę tolerancyi w słowiańskim Towarzystwie dobroczynności, mającem reprezentować interesa wszystkich narodów tego plemienia, można uważać przyjęcie, jakiego doznały na temże zgromadzeniu tematy, nadesłane na konkurs imienia śś. Cyryla i Metodego. Do dnia 21 maja 1890 r. nadesłano trzy rozprawy z nazwiskami autorów w dołączonej kopercie. Odesłano je do przejrzenia i zdania sprawy prof. M. Łamańskiemu. Pierwsza z nich nie odpowiadała warunkom konkursu: druga, „napisana przez autora, posiadającego gruntowne wykształcenie i erudycję, polecała zespolenie Słowian z papieżem na czele“ i — mówiąc słowami sprawozdania z posiedzenia Towarzystwa — „li tylko na mocy tego uznano ją za nie czyniącą zadosyć wymaganiom“; trzecią, noszącą tytuł: „O powstaniu uniwersalnych języków w starożytnej i nowożytnej Europie“, uznano za odpowiadającą pod każdym względem warunkom konkursu. Autorem tej ostatniej rozprawy był profesor uniwersytetu warszawskiego, Antoni Gudziłowicz, któremu wśród oklasków zgromadzonej publiczności przyznano pierwszą nagrodę w kwocie 1500 rs. — Natomiast patriarcha Focyusz znajduje wśród członków tegoż Towarzystwa gorących wielbicieli. Na temże posiedzeniu J. Palmow, profesor petersburskiej akademii duchownej, miał odczyt o „patriarsze Focyuszu i jego stosunku do współczesnej Słowiańszczyzny“, w którym zwrócił uwagę na przypadającą w roku bieżącym tysiącletnią rocznicę zgonu († 6 lutego 891 r.) twórcy schyzmy greckiej. Autor pozbierał skrzętnie wszelkie ślady historyczne stosunków, zachodzących pomiędzy Słowianami a wspomnianym patriarchą konstantynopolańskim; braki zaś dowodów źródłowych uzupełniał własnymi domysłami i przypuszczeniami. I tak np. ze św. Cyrylem miała łączyć Focyusza ścisła przyjaźń już od ławy szkolnej; na tej podstawie domysła się prof. Palmow, że i ze św. Metodym łączyły go bliskie stosunki. Książę bułgarski Borys (od r. 852—888) miał Focyuszowi zawdzięczać swe nawrócenie się na wiarę chrześcijańską. Również i w nawróceniu Rusi brał udział Focyusz, a Kroaci mieli być przedmiotem jego szczególniejszej pieczy. Wobec takiej jednostronności i ciasnoty poglądów, jeżeli bądź to ze strony jakiegoś uczonego, bądź to na posiedzeniu któregoś z naukowych Towarzystw, odezwie się głos prawdy i sprawiedliwości, witany go z niekłamanem uznaniem, jako daleką zapowiedź wytrzeźwienia oszołomionego dziś społeczeństwa. Takie wrażenie wywarło na nas sprawozdanie o ostatniem posiedzeniu kijowskiego Towarzystwa historycznego, na którem p. Orest Lewicki miał odczyt o starożytności miasta Łucka na Wołyniu. Wyraził się w nim z wielkiem

uznaniem o poszanowaniu, jakie spostrzegł w kościołach katolickich dla zabytków artystycznych i pomników historycznych. Troskliwość o nie ze strony księży stawiał za wzór dla duchowieństwa prawosławnego, które o pamiątki wcale nie dba, ponieważ nimi i z łatwością ich się pozbywa.

Cerkiew prawosławna ciągle myśli o nowych zdobyczach lub nawracaniach, gdzie się tylko okażą symptomata rozdwojenia, niezgody, herezyi, obiecując sobie łatwiejszy i obfitszy połów w mętnej wodzie. Z niedawnego własnego doświadczenia wiemy, jak zrećcznie korzystał rząd rosyjski na Litwie i Białej Rusi wkońcu wieku przeszłego i na początku naszego z zatargów pomiędzy obu obrządkami Kościoła katolickiego, lub jak pochopnie rozdmuchiwał niezgodę pomiędzy Bazylianami a duchowieństwem świeckiem obrządku unickiego. W chwili obecnej przedmiotem szczególniejszej pieczołowitości dla zelotów prawosławia jest schyzma starokatolicka. Na zeszłorocznym „soborze“ starokatolików niemieckich, szwajcarskich i holenderskich, odbytym w Kolonii, byli obecni i dwaj teologowie rosyjscy: Janyszew i Malcew. Obaj uczestniczyli w tem zebraniu nie w charakterze członków soboru, lecz gości honorowych. Pomimo to przywieźli zebranym pozdrowienie i błogosławieństwo od metropolity kijowskiego, najstarszego hierarchy Cerkwi rosyjskiej, a od starokatolików doznawali bardzo uprzejmego przyjęcia. Sprawozdania pp. Janyszewa i Malcewa w czasopismach prawosławnych brzmią nader pochlebnie dla starokatolików, którym przypisują podjęcie wielkiego dzieła odrodzenia zachodniego chrześcijaństwa i wprowadzenie go na „drogę Chrystusową“, przez Rzym zagubioną. Najwięcej po tym „soborze starokatolickim“ obiecuje dziennik *Świat*, kroczący wiernie śladami niedawno zmarłego Katkowa. Winszuje on soborowi, iż na nim odrzucono dogmaty, wprowadzone jakoby przez papieży do nicejskiego wyznania wiary. „Ztąd — pisze *Świat* — już tylko krok jeden do bratniego zjednoczenia w Chrystusie prawosławnych ze starokatolikami. I krok ten nastąpi niechybnie, jeżeli tylko obrzędowa różnica, istniejąca pomiędzy nami i starokatolikami z jednej, a różnica plemienna i namiętności z drugiej strony nie powstrzymają wielkiego i zbawiennego dzieła“. Przedmiotowi temu p. A. Kariejew poświęcił nawet obszerną pracę („Zwrot starokatolików ku prawosławiu“. Moskwa 1890 r.). A. Kariejew należy obecnie w Rosyi do największych znawców położenia i stanu obu Kościołów: zachodniego i wschodniego. Ostatnimi zaś czasy zwrócił uwagę na starokatolicyzm, a z najwybitniejszymi jego przedstawicielami utrzymuje żywe stosunki. O jego przekonaniach religijnych sądzić mo-

zna po czasopismach, do których pisywał. Są to wszystko organa opinii publicznej, przyznające się do zasad „patriotyzmu zoologicznego“, jak go nazwał Włodz. Sołowiew. W ostatniej swej pracy zwraca p. A. Karijew uwagę na dążenia starokatolików do zjednoczenia się z Kościołem prawosławnym, czemu miał sposobność przysłuchania i przypatrzenia się, jako współuczestnik kongresów starokatolickich w Bonn, Kolonii, Freiburgu i Konstancji. Według tego autora, myśl fuzji obu schyzm: Focyuszowej i Döllingerowskiej zrobiła tak znaczne postępy, iż w katechizmie starokatolickim z r. 1889 usunięto wszystkie sporne punkta, dzielące dotąd katolików od schyzmatyków. Celem wywołania dyskusyi, mogącej przywieść do zgody, biskup starokatolicki, Herzog, przesłał ten katechizm kilku prawosławnym władynom.

Podczas gdy zeloci prawosławia zwracają chciwy wzrok na daleki Zachód i wyciągają dłonie ku starokatolicyzmowi, aby ująć go w bratnie objęcia, — sekciarstwo toczy niemilosiernie podwaliny Kościoła urzędowego z szybkością i zuchwałością godną podziwienia. Znajdujemy na to dowody w samych czasopismach klerykalno-prawosławnych. *Wiestnik Wojennaho Duchowieństwa* donosi, że wśród wojska szerzy się propaganda sekty Paszkowa, pomimo jego wydalenia z Petersburga w r. 1884. Paszków, Korf i inni adherenci tej sekty stanowią pewien rodzaj ikonoklastów w Cerkwi prawosławnej. Dnia 14 października roku przeszłego, na zgromadzeniu kapelanów wojskowych w Petersburgu, omawiano obszernie kwestyę szerzenia się sekciarstwa w armii. Protoprezbiter armii i floty, A. A. Żelobowskij, dostrzegł propagandę zasad Paszkowa w obozie pod Krasnem Siołem, a w chwili obecnej odczuwa ją w pułkach gwardyi. Zwolennicy tej sekty rozdają broszury urlopnikom, którzy zanoszą je w najdalsze zakątki Rosyi. Tem silniej propaguje się wśród cywilnej ludności stolicy. Protojerej Nikitin zawiadomił, iż za narwską rogatką w Petersburgu ludność wyznaje zasady Paszkowa. Protojerej Stawrowskij opowiadał, iż w dzielnicy wyborskiej istnieje ochronka, gdzie rodzice zostawiają na cały dzień swe dzieci i gdzie znajdują wyborne pomieszczenie i tani wikt, a ubożsi nie nawet za nie nie płacą. Przed obiadem odbywa się wspólna modlitwa, przed którą i po której nikt nie robi znaku krzyża św. W pokojach niema ani jednej ikony, a ściany ozdobiono sentencyami z Pisma św. Gdy jedna z kobiet zawiesiła na ścianie własną ikonę, nakazano ją zdjąć natychmiast. Do tej ochronki zaglądają niekiedy i żołnierze. Na prowincyi agitacja sekciarska przybiera jeszcze groźniejsze rozmiary. W powiecie surażskim — jak donoszą *Birżewyja Wiedomosti* — areszto-

wano misyonarza *razkoła*, ojca Arseniego. Znalezione u niego wiele listów arcybiskupów odszczepieńczych, używających go do misyj po całej Rosyi i za granicą. U niejakiegoś Szwecowa znaleziono do 40 książek niecenzurowanych, przeznaczonych do propagandy przeciwko Cerkwi prawosławnej. — W *Chersonskich Eparchial. Wiedomostiach* drukuje się dziennik arcybiskupa odeskiego Nikanora, zawierający mnóstwo ciekawych szczegółów o sektach rosyjskich z czasów ostatnich. „Duchowny Zdanowski — czytamy w tym dzienniku — zaczął bardzo gorliwie nauczać lud zasad wiary i odmawiać z narodem modlitwy. Nie podobało się to wcale parafianom. Gdy arcybiskup wychodził z cerkwi, lud zaczął wołać głośno: „Nie potrzeba nam takiego księdza, nie potrzeba, nie chcemy!“ Parafia ta — dodaje samże Nikanor — wywarła na nas bardzo przykre wrażenie. Wszystko ciemne nieuki, niepiśmienni nawet. A jak rozprawiają!? Prawdziwi adwokaci. A kłamią, jak najęci, byle tylko wpływ wyrzucić na tłumy. Wogóle daje się dostrzedz w narodzie rozdrażnienie, wywołane przez sztundystów“.

Dziennik *Jużnyj Kraj* uważa hr. Tolstoja, znanego dziś w całej Europie autora, za twórcę „nowej wiary“, i przeprowadza paralełę pomiędzy nim a Paszkowem w słowach następujących: „Przed laty dzieściu „nowa wiara“ Paszkowa cieszyła się również rozgłosną sławą, jak i „nowa wiara“ hr. Tolstoja. Obaj oni są przedstawicielami naszego arystokratycznego *razkoła*, istniejącego u nas nie od dnia wczorajszego, a będącego wynikiem bardzo skomplikowanych przyczyn. I p. Paszkow i hr. Tolstoj odpadli od prawosławia pod wpływem przygniatającego ich zachodnio-europejskiego racjonalizmu. Są zresztą pomiędzy nimi i różnice. Pan Paszkow, z wyjątkiem niektórych oryginalnych nowostek, propaguje to samo, co można słyszeć w każdym zborze luterańskim. Hr. Tolstoj, który jest krwią z krwi, a kością z kości racjonalizmu zachodnio-europejskiego, przyswoił sobie poglądy Feuerbacha i całej szkoły tübingenskiej, jak Bauera, Straussa i t. d. Lecz bądźco bądź niema pomiędzy nimi wielkiej różnicy. Można się zatem spodziewać, że epidemia, wywołana przez hr. Tolstoja, również rychło przeminie, jak epidemia Paszkowa“. Lecz pomimo tej nadziei, co tylko wygłoszonej, tenże dziennik nie wróży spokojnego rozwoju Cerkwi urzędowej w następującym końcowym ustępie: „Według wszelkiego prawdopodobieństwa, pojawiają się nowi nauczyciele i nowi prorocy, którzy ofiarują społeczeństwu nowe, lecz również mętne źródła żywej wody.“

A. Szarłowski.

L'Organisation des églises chrétiennes jusqu'au milieu du III. siècle.

Par le Révérend Père Charles de Smedt, président des Bollandistes.
Revue des questions historiques.

O. Karol de Smedt T. J., terazniejszy przełożony kolegium Bollandystów, miał na katolickim kongresie uczonych w Paryżu odczyt „O organizacyi kościołów chrześcijańskich aż do połowy III. wieku“. Wiadomo, jak są zawile i do rozwiązania trudne kwestye podobne, zwłaszcza gdy się zważy, że materyały dotyczące się apostolskich czasów, rzadko są dostateczne i nie zawsze dokładne i jasne dają nam objaśnienia. Pomimo licznych trudności, O. K. Smedt wywiązał się ze swego zadania znakomicie; jego odczyt, to uczona, pełna erudyeyi rozprawa, rzucająca na kwestyę powziętą tyle światła, ile go tylko rzucić było można w podobnych okolicznościach.

Niepodobna rozbierać szczegółowo tej cennej pracy. Zwracamy uwagę jedynie na kwestyę hierarchii kościelnej. Autor podzielił czas, który obejmuje jego praca, na trzy epoki: pierwsza odnosi się do epoki apostolskiej, t. j. od Wniebowstąpienia Chrystusa Pana aż do śmierci św. Jana Ewangelisty, czyli prawie do końca I. wieku; druga od śmierci św. Jana Ew. do prześladowania Decyusza, t. j. do połowy III. wieku; trzecia od połowy III. wieku aż do r. 313.

Traktując gruntownie każdą z trzech wymienionych epok, autor przytacza liczne teksty współczesne i wyprowadza z nich możliwe lub pewne wnioski.

Co do hierarchii kościelnej w apostolskim wieku, autor stawia sobie następujące pytanie: czy tytuły *πρεσβύτεροι* i *ἐπίσκοποι* były zupełnie jednoznacznyimi synonimami? — i po dokładnem zbadaniu licznych dokumentów przychodzi do przekonania, że w istocie dwa te tytuły przez dosyć długi czas były prawie jednoznacznyimi nazwami. Biskupów nazywano *πρεσβύτεροι* ze względu na ich wiek, księży zaś *ἐπίσκοποι* ze względu na funkcyę, jakie sprawowali. Mimo to jednak były pewne różnice, acz nieznaczne, między tymi dwoma tytułami; tytułu bowiem *πρεσβύτερος* używano dla oznaczenia godności, podczas gdy tytuł *ἐπίσκοπος* oznaczał sprawującego urząd kościelny. Jest jeszcze inna różnica — mówi dalej O. de Smedt — między temi nazwami: *πρεσβύτερος* było nazwą ogólniejszą, którą dawano wszystkim ozdobionym jakimkolwiek stopniem kościelnym, nie mającym jednak osobistej władzy i jurydykcyi; przeciwnie nazwą *ἐπίσκοπος* oznaczano tych, którzy mieli rzeczywistą jurydykcyę w sprawowaniu urzędu kościoła; Zresztą *ἐπίσκοποι* byli *πρεσβύτεροι* οἱ προϊστάμενοι τῆς ἐκκλησίας, lecz

mogli być także inni *πρεσβύτεροι* przy kościołach, którzy nie mieli tego odznaczenia.

Następnie stawia sobie autor drugie pytanie, które uzupełnia pierwsze, mianowicie: czy w wieku apostołskim rządziły kościołami stowarzyszenia presbiterów równych godnością, — czy też przeciwnie, każde takie stowarzyszenie zostawało pod jurysdykcją jednego presbitera, starszego godnością i wyższego władzą? Znany jest ten tekst św. Hieronima: *Idem est ergo presbyter qui est episcopus, et antequam diaboli instinctu studia in religione fierent et diceretur in populis: Ego sum Pauli, ego Apollo, ego autem Cephae, communi presbyterorum concilio ecclesiae gubernantur*. Lecz tekst ten — jak wiadomo — nie jest wyrazem tradycyi kościoła, na której głównie O. K. Smedt opiera swoje dowodzenia, lecz jedynie zwyczajnem wyjaśnieniem Pisma św. Now. Test., w którym często *πρεσβύτεροι* i *ἐπίσκοποι* zdają się być synonimami. Autor ucieka się do innych źródeł, mianowicie do tradycyi pierwotnych kościołów: Jerozolimy, Rzymu, Antyochii i t. d. i z historii tych kościołów, a także z pism pisarzy współczesnych, zwłaszcza św. Klemensa Rzymskiego, udowadnia, że kościoły pierwotnie zostawały pod zarządem stowarzyszeń kapłanów, poddanych duchownemu zwierzchnikowi, który się nazywał *ἀρχιερέυς*, a który przewyższał innych godnością i jurysdykcją; oprócz nazwy *ἀρχιερέυς* nosił także miano *ἐπίσκοπος* lub *πρεσβύτερος*. Możemy więc śmiało wnioskować z O. de Smedt, że różnica między godnością biskupa a kapłana jest z prawa bożego — chociaż dopiero po czasach apostołskich bliżej i bardziej stanowczo określona została.

W dalszej rozprawie autor udowadnia licznymi argumentami, jak od początku II. wieku biskupi widocznie wyróżniali się od zwyczajnych kapłanów władzą i jurysdykcją, choć zawsze jeszcze *promiscue* nazywano ich bądź *ἐπίσκοποι*, bądź *πρεσβύτεροι*; — oraz jak z postępem czasu władza monarchiczna ustalała się w hierarchii Kościoła katolickiego.

Ks. Adam Marczeński.

Orbis terrarum catholicus sive totius Ecclesiae catholicae et Occidentis et Orientis conspectus geographicus et statisticus. O. Werner S. J. Friburgi Brisgoviae 1890.

Autor, zaszczytnie znany z dawniejszych prac na polu geografii i statystyki historii kościelnej i misyj katolickich, w zeszłym roku wydał dzieło, którego tytuł wyżej podajemy. Dzieli się na 31 rozdzia-

łów, z których dwa pierwsze dają krótki, lecz jasny obraz katolickiej hierarchii i wzrostu katolickiej ludności od pierwszego wieku aż po dzień dzisiejszy. Z trzecim rozdziałem rozpoczyna się geograficzny i statystyczny opis poszczególnych krajów i dyecezyj. Nietylko znajdujemy tam stan obecny pojedynczych dyecezyj, lecz — co może być interesującym dla pracujących na polu historii, a wartość książki bardzo podnosi — podaje autor w krótkości historię dyecezyi lub prowincyi kościelnej, w której obok roku założenia każdego biskupstwa przedstawia pierwotny podział prowincyi lub dyecezyi, ich granice i zmiany, jakie zaszły w czasach późniejszych. Każdy rozdział kończy się tablicą sumaryczną tego, co się w nim zawiera. Tak np. obok nazwisk dyecezyj podaje autor liczbę biskupów, znajdujących się w tej dyecezyi, liczbę probostw lub stacyj misyjnych, ilu pracuje kapłanów świeckich, ilu zakonnych, ile znajduje się zakonnic i całej ludności katolickiej — często zestawia obok liczbę wyznawców innych pojęć religijnych. To też już na pierwszy rzut oka można mieć jasny obraz statystyczny ogólnego stanu Kościoła w pojedynczych krajach.

Historia rozwoju europejskich dyecezyj jest stosunkowo najobszerniej traktowaną i wiele znajdujemy bardzo interesujących szczegółów, przedtem zupełnie nieznanych lub mało znanych. Wyjątek pod tym względem stanowią polskie dyecezye, o których autor wspomina w krótkim rozdziale XIV p. t. „Rosya i Polska“. O historii naszych dyecezyj autor albo bardzo małą albo żadnej wzmianki nie czyni; statystyka niedokładna, w zbyt wielu miejscach zamiast cyfr, o których można było dowiedzieć się i podać przynajmniej w przybliżeniu — znajdujemy znaki zapytania. Z cytatów widać, że autor rozporządzał bardzo niewiele materyałami, a większa część jego źródeł jest bardzo wątpliwej wartości tak pod względem historii, jak i statystyki. Dziwi nas jednak, że lepszych nie znalazł; może nie szukał tam, gdzieby szukać należało, nie pytał tych, którzyby mogli dać dokładne informacje, i to bez wielkich zachodów.

Pomijając tę stronę słabą, nas dotyczącą, zresztą należy oddać słuszość autorowi, że w ogólności nie szczędził trudu w swej pracy; to też jego książka w geografii i statystyce kościelnej, jak na teraz pierwsze miejsce niezaprzeczenie zajmuje, bo lepszej nie mamy. W każdym razie jest lepszą od znanej książki *Kirchliche Geographie und Statistik* ks. Nehera, która, chociaż jeszcze przed 25 laty wydana, uchodziła dotychczas za dzieło w tej materii najdokładniejsze. A najpierw wyżej stoi od książki ks. Nehera co do sposobu ułożenia treści.

O. Werner szczęśliwie obmyślany system bez zmiany zachował od początku aż do końca swego dzieła, co bardzo ułatwia zorientowanie się w treści i w wyszukaniu szczegółów. Dodać nadto należy, że autor rozpoczął i ukończył całą swą pracę w Rzymie. Czerpał więc u samego źródła wszystkie materyały, z których wiele jeszcze nie drukowanych tylko w archiwach rzymskich można było znaleźć. Mógł pytać się i radzić osób najbardziej kompetentnych co do szczegółów, dotyczących się niektórych dyecezyj na Wschodzie, zwłaszcza że to było bardzo łatwem, skoro wielu biskupów wchodniego obrządku stale w Rzymie przebywa, inni często ze stron najdalszych przybywają do wiecznego miasta *ad limina Apostolorum*. Podczas długoletniego pobytu w Rzymie autor z każdej sposobności korzystał. Nie bez mozołu wypytywał przybyłych do Rzymu misyonarzy, szukał w archiwach, zbierał listy prywatne z rozmaitemi informacjami zanim wydał swą książkę. Niezawodnie wielką miał pomoc w opisie dyecezyj, leżących w obrębie misyj katolickich, z corocznego bardzo obszernego sprawozdania kongregacyi Propagandy, które wychodzi w druku p. t. *Missiones Catholicae descriptae cura S. Congr. Propaganda Fide*. Układ nawet całej książki O. Wenera bardzo się zbliża do powyższego sprawozdania Propagandy, a w treści co do krajów misyjnych prawie się w niczem nie różni; co nie ujmując wartości książki — owszem, dowodzi, na jak poważnych źródłach autor się opierał.

Ks. M. C.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Socjalna demokracja polska. — List pasterski administratorów archidiecezyi poznańskiej i gnieźnieńskiej. — Wiece katolickie w Moguncyi i Poznaniu. — Zapowiedź katolickiego kongresu w Portugalii. — Sąd rozjemczy Stolicy św. między Portugalią a państwem Kongo. — Projekt przywrócenia poselstwa Holandyi i W. Ks. Luksemburskiego przy Watykanie. — Stosunki Stolicy św. z Rzplitą Wenezuela. — Mowa tronowa króla włoskiego. — Projekt prawa odwoływania *exequatur* biskupom włoskim. — EnCYklika Ojca św. o zniesieniu niewolnictwa. — Holdy oddawane Windhorstowi.

SOCYALNA
DEMOKRACJA
POLSKA.

Podczas gdy ruch socjalistyczny na Zachodzie nurtuje od dłuższego czasu w społeczeństwie Anglii, Francyi i Niemiec, do niedawna okolice zamieszkałe przez ludność polską, wolne były od tej zarazy, nikt o niej nie myślał. Parę nazwisk polskich na zebraniach kilku lub kilkunastu tysięcy socjalistów zagranicą, nie mogło być objawem ruchu socjalistycznego między Polakami. Dopiero w ubiegłym roku hasło rzucone z Zachodu do strejku na dzień 1 maja r. z. poruszyło i u nas klasy robocze do udziału w ogólnym ruchu socjalistycznym. Posypało się też wiele broszurek i pisemek socjalistycznych po polsku, a teraz z dniem 3 stycznia zaczęła wychodzić w Berlinie *Gazeta robotnicza*. W pierwszym numerze tego tygodnika, którego egzemplarz mamy przed sobą, czytamy: „Robo-

tnicy, towarzysze! Z powodu uchwały wiecu partii socjalistycznej, odbytego w Halli, zakładamy niniejsze pismo dla obrony waszych interesów przeciw kapitalistom, szlachcie i duchowieństwu. Programem naszym, na podstawie którego działać będziemy, jest program socjalno-demokratycznych robotników niemieckich, którzy z wami mają wspólne interesa i cele“.

Ażeby skutecznie walczyć przeciw grożącemu niebezpieczeństwu, ochronić nasze społeczeństwo, a zarazem użyć odpowiednich środków zaradczych, konieczną jest rzeczą wiedzieć, z kąd zło wieje w nasze strony i co było przyczyną wzrostu polskich socjalistów. Już na ostatnim sejmiku socjalistycznym w Gocie w r. 1877, przed ogłoszeniem uchwał socjalistycznych, postawiono jako swe zadanie rozszerzanie agitacji pomiędzy polskimi robotnikami. Zwłaszcza Bebel myśl tę popierał; krótko przed tem objechał on Górny Szląsk, a zdając w Gocie sprawozdanie z tej podróży, chwalił „wysoki stopień inteligencji robotnika górnoszląskiego“, zaznaczając, że tamże jest wdzięczne pole dla agitacji socjalistycznej.

Zamierzona agitacja spełzła tymczasem na niczem, bo ustawa socjalistyczna dosyć przyniosła pracy niemieckim socjalistom, nie mogli więc zająć się swoimi polskimi sąsiadami. Razporaz jednak w czasach trwania ustawy antysocjalistycznej widziano skutki propagandy między ludnością polską: mieliśmy proces socjalistów w Poznaniu; ręczo krzatali się agitatorzy po Galicji, zwłaszcza we Lwowie. Na odbytym w Halli w jesieni r. z. sejmiku socjalno-demokratycznym poseł Bebel znowu tak się o potrzebie poruszenia polskiej propagandy wyraził: „Będziemy musieli także naszą agitację rozszerzyć przez założenie polskiego organu robotniczego... Wysłano nawet polskich księży w nadreńskie prowincye i do Westfalii, aby agitowali i przez polskie odezwy (!?) przyciągali lud do siebie. Przeciw temu koniecznie potrzeba założyć polski organ robotniczy i rozszerzać polskie odezwy“. Cały więc ruch socjalistyczny między Polakami wywołany został przez agitatorów niemieckich, co więcej, oni nietylko dali inicjatywę, ale i fundusze do założenia polskiej socjalistycznej gazety. „Od stycznia r. b. wychodzi w Berlinie —

pisze *Schlesische Volks-Zeitung* — nakładem socjalno-demokratycznego organu *Vorwärts* zapowiedziana *Gazeta robotnicza*. Ukazuje się ona obecnie raz na tydzień, reprezentując między polskimi robotnikami socjalno-demokratyczne stronnictwo niemieckie. Zdaje się, że to pismo jest nie tylko dla robotników nadreńskich przeznaczone, ale nadto ma ono agitować pomiędzy dość liczną ludnością polską w Berlinie, na Górnym Szląsku, w Wielkopolsce i w Prusach zachodnich, a wreszcie jest ono przeznaczone dla wiejskiej ludności polskiej“.

Tenże sam dziennik katolicki niemiecki podaje przyczynę, dla której tak łatwo Polacy dali się wciągnąć w ogólny prąd przewrotu. „Jeżeli się w Berlinie pojawili socjaliści Polacy i katolicy z domu, to można śmiało twierdzić, że towarzystwo, z jakim tam (w Berlinie) obcowali, zrobiło z nich socjalistów. Można się spodziewać, że ci ludzie pozostaną w Berlinie i że prawowierny lud polski nie poniesie przez nich szkody. Szkoda, jaka może wyniknąć dla tegoż wierzącego ludu, może wyjść dopiero z germanizacyi przez szkołę, jeżeli robota, wroga katolikom i wroga Polakom z czasów kulturkampfu, dalej prowadzoną będzie. Doczekamy się tu generacyi, — pisze tenże dziennik niemiecki — której trudno będzie nauczać i która w większej objętności dla Kościoła św. i księży wzrosła i wzrasta. Dzieci zaпытane, dlaczego rano do kościoła nie chodzą, odpowiedziały: Nam niewolno chodzić do kościoła. I cóż mają te dzieci w kościele czynić? Czytać ich nie uczą, aby modlitwy w polskiej książce do nabożeństwa zrozumiwały. O uczeniu dzieci polskich pieśni kościelnych niema mowy. Ksiądz nie jest nauczycielem religii! Jakiż szacunek ma i będzie miała ta generacya względem kościoła i księdza, skoro właśnie wtedy, gdy duchowieństwo może mieć największy wpływ na młodzież, ona jest od wszelkiego wpływu odsunięta? W innym znowu względzie nauczy się dziecko mowy niemieckiej tylko niedostatecznie, a polskiej tylko jako mowy potocznej. Jak takiej generacyi przyjść w pomoc przez gazety, aby ją przed socjalistami przestrziedz? Wtedy nie może ksiądz proboszcz nadciągającego nieprzyjaciela zwalczać poza kościołem, zwłaszcza gdy do parafii wsie odległe

należą, bez pomocy rozumnych i znających język ludu — jakimi powinni być nauczyciele. Tymczasem do polskich okolic przyśylają prawie samych niemieckich nauczycieli, których lud uważa za obcych przybyszów. Jeżeli tedy i nadal spodziewają się dobra państwa od germanizowania, to pewnie niedługo jeszcze potrzeba będzie na to czekać, jak socjaliści między lud polski się dostaną. Starsza generacya, która umie dobrze czytać po polsku, wymiera; jej dobre rozumienie sprawy i jej opór względem socyalistów nie jest wieczny. Jakież dopiero wpływ mogą wywierać socjaliści, gdy dadzą ludowi do zrozumienia, że go nie chcą niemczyć?" Bardzo więc słusznie mógł powiedzieć ks. prałat Stablewski w mowie parlamentarnej zeszłego roku, że rząd sam postępowaniem swoim przyczynia się do wzrostu socyalizmu pomiędzy Polakami.

OKÓLNIK
DO DUCHOWIEŃ-
STWA ARCHI-
DYECEZYI
POZNAŃSKIEJ
I GNIEŹNIEŃ-
SKIEJ.

Pomimo tego dwaj Administratorzy dyecezyi poznańskiej i gnieźnieńskiej, acz skrępowani w swej działalności, zaraz po ukazaniu się pierwszego numeru *Gazety robotniczej* odzywają się w okólniku do swego podwładnego duchowieństwa, upominając, „aby stali czujnie na straży powierzonych sobie owieczek, aby bądź z ambony, bądź prywatnie przed wspomnianem pismem i innemi podobnemi lud wierny przestrzegali i zarazem w sposób przystępny i wszystkim zrozumiały o zgubności tendencyj socyalistycznych go pouczali“. Jako środek antysocyalistyczny wskazują Administratorzy zakładanie stowarzyszeń bądź czeladzi, bądź robotników, jak niemniej stowarzyszeń św. Wincentego à Paulo lub męskich kółek różańcowych albo ożywienie istniejących przy kościołach bractw. Z tem większą radością notujemy ten głos władzy duchownej dyecezyj polskich, w kwestyi socyalnej wydany już w pięć dni po ukazaniu się gazety socyalistycznej, iż jest zarówno dowodem czujności pasterskiej w dyecezyach polskich, jak świadectwem przeciw opieszałości, zbyt często Polakom zarzucanej.

W Niemczech obecnie rusza się wszystko jak w ulu. Trzy ważniejsze stronnictwa stanęły ze sobą do boju: katolików, pro-

testantów i socyalistów; trzy też kwestye ważniejsze zajmują umysły wszystkich: zniesienie praw z r. 1872, wydanych przeciw zakonom, nowela szkolna, proponowana przez p. Gosslera, i socyalizm. Sypią się broszury jak z rogu obfitości, piszą artykuły po dziennikach najrozmaitszych stronnictw, zwołują wiece mniej lub więcej udane, na których to za, to przeciw wyżej wymienionym kwestyom mówcy poruszają umysły słuchaczy. Katolicy jak w czasach twardego kulturkampfu, tak i dzisiaj energicznie bronią praw swoich. Zaledwie ukazała się kwestya szkolna p. Gosslera, zaraz zebrali się biskupi wszystkich dyecezyj państwa niemieckiego do Kolonii na wspólną naradę, której owocem był protest, stwierdzony podpisami wszystkich obecnych biskupów, przeciw projektowi rządowemu i natychmiast wysłany do Berlina. Za biskupami wślad idzie Centrum, a na jego czele sędziwy Windhorst.

W imieniu Centrum żąda on w noweli szkolnej następujących ważniejszych poprawek: 1) ażeby nie było dozwołanem zmuszać dzieci do brania udziału w takiej nauce religii wbrew woli rodziców, jeżeli właściwy organ stowarzyszenia religijnego oświadczy, że wedle jego zdania nie jest zapewniona nauka religii, odpowiadająca zasadom stowarzyszenia religijnego; 2) żadnemu nauczycielowi niewolno udzielać innej nauki religii krom tej, do której sam należy; 3) udzielanie religii tylko takim można powierzać osobom, które kompetentny organ stowarzyszenia religijnego uznał za zdolne do tego; 4) plany naukowe do nauki religii i książki szkolne, służące wyłącznie do ćwiczenia religijnego, w porozumieniu z inspekcyjną władzą szkolną, z zastrzeżeniem, że inspekcyjnej władzy szkolnej wolno wystąpić przeciwko wykonaniu rozporządzenia tylko w razie naruszenia interesu państwa, i to podając przyczyny. Trzecia z poprawek przez komisję szkolną już odrzuconą została. Czy dalsze słuszne żądania katolików niemieckich uwzględnionymi zostaną, w tych dniach się rozstrzygnie, gdyż się toczą obecnie nad nimi debaty; w każdym razie słuszność ich stwierdzają rezolucye imponującego liczbą wiecu katolików hesskich w Moguncyi.

KATOLICKIE WIECE
W MÖGUNCYI
I POZNANIU!

W połowie grudnia zebrało się przeszło 12.000 katolików hesskich na wiec pod przewodnictwem księcia Isenburga. Trzy najbardziej dziś obchodzące kwestye były przedmiotem obrad: sprawa zakonów, kwestya socyalna i szkolna. Co do tej ostatniej wiec wypowiada zdanie nietylko we własnem, ale wszystkich katolików niemieckich imieniu, iż „wedle katolickiej nauki, która obowiązuje nasze sumienie, Kościół jest stróżem prawdy objawionej, nauczycielem wszystkich ludów. Dlatego Kościół i katolicy są uprawnieni do żądania zupełnej swobody nauczania we wszystkich oddziałach szkoły. W Hessyi zniesiono w wielu gminach szkołę wyznaniową, majątek szkolny oddano gminie do rozporządzenia; katolickie seminaryum nauczycielskie zamieniono w symultanne, a seminaryum ewangelickiemu pozostawiono jego wyznaniowy charakter. Także w szkołach średnich panuje system bezwyznaniowości, a wychowanie chrześcijańskie tem więcej wedle zapatrywań katolickich ustępuje, że wpływ nauczycieli religii nierzadko bywa usuwany przez spreczne wykłady reszty nauczycieli. W sprawie uniwersytetów tem głośniej katolicy muszą się odzywać z żałami, ponieważ w tychże szukać należy głównego ogniska nowoczesnej niewiary. Niemniej energicznie i jasno wskazano potrzebę zniesienia prawa przeciw zakonom. Pomijamy je jednak milczeniem, bo słusność żądań w tej mierze zbyt jest znaną naszym czytelnikom.

W kwestyi socyalnej wymownie wykazano, że liberalizm państwowy, pomijając zasady chrześcijańskie w ustawodawstwie i polityce, sam przyczynił się do wytworzenia socyalnej demokracji.

Te same kwestye podjęte zostały w dniu 21 stycznia na wiecu katolików w Poznaniu. Dzielnym jego uczestnikom ze wszystkich stanów w liczbie przeszło 2000 przewodniczył p. Kazimierz Chłapowski, a pierwszy głos zabrał p. Maksymilian Jackowski. Chociaż wiec ten jest faktem bardzo dla naszego społeczeństwa znaczącym, nie widzimy jednak potrzeby powtarzania zeń szczegółów, ogłoszonych już we wszystkich dziennikach. Na ostatnią tylko uchwałę zwracamy uwagę, która oby trafiła do prze-

konania naszych polityków galicyjskich. Wiece w Poznaniu orzeka: „Tylko szkoły wyznaniowe dają rękojmię, iż dziecko otrzyma wykształcenie i wychowanie w duchu wyznania, do którego należy“.

Podobne wiece odbyły się w Pleszewie, Toruniu, na Szląsku i w wielu innych miejscowościach państwa niemieckiego, gdzie tak już stały się one powszechnymi, że pomimo swego niezwykłego znaczenia, uchodzą za rzecz zupełnie naturalną. Są jednak zawsze pocieszającym objawem życia ducha katolickiego, którego kulturkampf nietylko nie zdołał zgniebić, lecz owszem, spotęgował.

ZAPOWIEDZ KATOLICKIEGO KONGRESU W PORTUGALII. W ogólnym zresztą ruchu katolickim z państw europejskich, w których się mogą odbywać podobne wiece i kongresy, trzymała się w rezerwie Portugalia. Dziś i ta się z uśpienia duchowego ocknęła i jawny dała dowód dawnych katolickich tradycji. Oto prymas Portugalii, arcybiskup z Bragi, świeżo wydał okólnik do duchowieństwa i wiernych całego narodu z zaproszeniem na kongres, który ma się odbyć w kwietniu b. r. w Bradze. Równocześnie ogłoszono w dziennikach katolickich Portugalii bardzo obszerny program pojedynczych sekcji, zamykający się w 38 punktach. Nie chcąc uprzedzać faktów, zaznaczamy tylko kilka ważniejszych kwestyj, których doniosłość niezaprzeczenie wielką jest dla całego portugalskiego narodu, a w każdym razie są dowodem, iż się tam zanosi na zupełne przeobrażenie społeczeństwa z gruntu dotychczasowego na podstawy zasad katolickich. Obok kwestyi niezawisłości papieskiej, która na pierwszym miejscu figuruje, mają być omawiane korzyści, wynikające dla narodów z rozjemczego trybunału Stolicy św. w międzynarodowych zatargach, wyłuszczonej nauka Kościoła odnośnie do stosunku, jaki między nim a rozmaitemi formami rządów zachodzą, a w szczególności mają być określone żądania Kościoła w Portugalii wobec dzisiejszych praw państwowych. Obowiązek katolików wobec nadużyć demoralizujących w teatrach, konieczność ustanowienia kar w kodeksach prawnych za występki przeciw religii i za propagandę

protestancką — to wszystko i wiele jeszcze więcej będzie przedmiotem obrad tylko jednej, pierwszej sekcji! W dwóch innych sekcjach zastanawiać się będą nad stanowiskiem Kościoła w szkołach, a przede wszystkim nad nauką religii w tychże, nad prasą, dziełami miłosierdzia i moralnością publiczną.

Jakie rząd zajmie stanowisko wobec tego kongresu, stanowczo twierdzić niepodobna, bo do niedawna wolnomularstwo stało tam u steru i jeszcze dzisiaj silny jest wpływ jego na społeczeństwo. Jednak z faktu, jaki zaszedł w dniach ostatnich, można się spodziewać, że Dom Carlos, król Portugalii, nie będzie przynajmniej nieprzychylnym zapowiedzianemu kongresowi w Bradze.

SĄD ROZJEM-
CZY MIĘDZY
PORTUGALIA
A PAŃSTWEM
KONGO.

Oto *Le Monde* i *Journal de Bruxelles* donoszą, że między rządem portugalskim a państwem Kongo powstało nieporozumienie co do określenia granic Muata-Yamvo.

Dom Carlos, król Portugalii, i Leopold II., król Belgii, do której — jak wiadomo — państwo Kongo należy, wybrali za pośrednika w rozstrzygnięciu sporu Stolicę św., zupełnie podobnie, jak to niedawno uczyniły Hiszpania i Niemcy, gdy chodziło o wyspy Karolińskie. W tej mierze obydwaj królowie napisali własnoręcznie listy do Leona XIII. z prośbą, ażeby zechciał wydać swój sąd, po czyjej stronie jest słuszność. Nie potrzebujemy podnosić doniosłości faktu, gdyż sam przez się jest wymownym. Zwracamy tylko uwagę naszych czytelników, że powtarzanie się, i to w tak krótkim czasie, rozjemstwa Stolicy św. najwybitniejszym jest dowodem, że nie jakiś zakulisowy interes wyzyskania Stolicy św. jest tego przyczyną, lecz coraz silniejsze przekonanie, utwierdzające się w sferach dyplomatycznych, że międzynarodowe zatargi dadzą się bez użycia broni pokojowo załatwić, jeżeli dobra wola po obu stronach państw interesowanych istnieje, i pragną się rządzić nie gwałtem, lecz sprawiedliwością. Jest też dowodem nietylko użyteczności, ale i potrzeby takiego bezstronnego trybunału rozjemczego, a bieg wypadków nie gdzieindziej każe go szukać, jak u Stolicy św.

POSELSTWO HO-
LANDYI I W. KS.
LUKSEMBUR-
SKIEGO PRZY
WATYKANIE.

Że węzeł wzajemnych stosunków coraz to silniej się zwiera między Stolicą św. a państwami, w których rządy przynajmniej wedle ustaw powinny być katolikami, temu się dziwić zresztą nie można, chociaż słusznie należy się cieszyć. Znaczącą jest jednak ta okoliczność, że rządy nawet protestanckie odczuwają potrzebę ściślejszych stosunków ze Stolicą św., chociaż zasada państwowa możeby temu była przeciwną, jak to widzieliśmy w pewnej mierze w Niemczech, a dzisiaj objawia się także w Holandyi. W holenderskiej izbie deputowanych na posiedzeniu w dniu 15 grudnia dep. Reekers wniósł projekt przywrócenia poselstwa niderlandzkiego przy Watykanie. Gdy opozycyi nie było, minister spraw zewnętrznych, Hartsen, odpowiedział, iż wniesie tę sprawę na posiedzeniu ministrów, nie okazując bynajmniej ze swej strony żadnej względem wniosku niechęci. Słusznie więc ztąd wnoszą katolicy holendersey, zwłaszcza znając dobre usposobienie królowej-rejentki, iż wakujące od roku 1871 poselstwo przy Watykanie, już w najbliższej przyszłości obsadzonem zostanie.

Tę samą nadzieję mają katolicy W. Ks. Luksemburskiego. P. Eyschen, nadzwyczajny poseł w księcia Adolfa, zanim w formie urzędowej zawiadomił Kwirynał o wstąpieniu swego księcia na tron luksemburski, poprzednio to samo, acz prywatnie, oświadczył kardynałowi sekretarzowi Stanu. P. Eyschen, odbywający tak zaszczytną misję dyplomatyczną w Rzymie, jest od dłuższego czasu ministrem spraw zewnętrznych w W. Ks. Luksemburskiem i nadal będzie kierował rządami pod w. księciem Adolfem. Książę, chociaż luteranin, dobrze jest usposobionym względem najwyższej Głowy Kościoła katolickiego, ztąd nadzieje katolików luksemburskich bynajmniej nie zdają się być płonnymi.

STOSUNKI
STOLICY ŚW.
Z RZPLITĄ
VENEZUELA.

Z drugiej półkuli ziemi wiadomości coraz to bardziej pocieszające nas dochodzą. W zeszłym miesiącu mówiliśmy o objawach życia ducha katolickiego w Rzplitej Ekwadoru i Costa-Rica, dziś znowu wypada nam zaznaczyć nowy fakt, niemniej pocieszający, tyjący się Rzplitej Venezueli. Wiadomo, że za prezydentury p. Blanco i za jego poradą posta-

nowiła Rzplita Venezuela w roku 1876 zupełnie oderwać się od Kościoła katolickiego i utworzyć samoistny kościół narodowy. Dziś to państwo przyszło do upamiętania i urzędownie upoważniło ks. Biskupa z Carinas, ażeby prosił drogą dyplomatyczną kongregacyę *de Propaganda Fide* o misyonarzy z jakiegokolwiek zakonu do apostołowania wśród dzikich ludów w rozległych miejscowościach Gujany. Za pośrednictwem p. Urdaneta, swego agenta dyplomatycznego przy Watykanie prosi rząd dzisiejszy o przysłanie narazie przynajmniej 50 misyonarzy, władających językiem hiszpańskim, zobowiązując się własnym kosztem budować kościoły, domy mieszkalne i schroniska, jakich nowa misya potrzebować będzie. Jakiż to kontrast do tego, co się dziś dzieje we Włoszech! Wszystkie państwa Europy i z drugiego końca świata starają się zbliżyć do ogniska katolicyzmu, jedne Włochy stoją nietylko oporem, lecz coraz niegodziwsze kuja prawa przeciwnie powadze Stolicy św. i zasadniczemu prawom Kościoła.

MOWA TRONOWA
 KRÓLA
 WŁOSKIEGO.

Z dzienników już wiadomo o nietaktownej co najmniej zaczepce praw Kościoła przez króla Humberta w mowie tronowej przy otwarciu parlamentu włoskiego. Nic takiego nie zaszło, coby mogło, chociażby pozornie, usprawiedliwiać odezwanie się króla. To też prasa włoska i zagraniczna, z wyjątkiem dwóch dzienników: włoskiego i niemieckiego, albo przemilczała tę okoliczność albo ostro krytykowała to wystąpienie w mowie tronowej. Pomijając więc bliższe szczegóły, wszystkim znane, zwracamy tylko uwagę, iż odezwanie się króla, że szanuje wiarę katolicką, jako wiarę, którą po swych przodkach odziedziczył: w chwili, gdy przemawiał do reprezentantów narodu, jako jego monarcha, było rzeczą zupełnie nową. Dotychczas wszyscy uważali wiarę katolicką, jako wiarę państwową, i za taką uważa ją pierwszy paragraf konstytucyi państwa. Jeżeli więc król Humbert w tych okolicznościach nazwał wiarę katolicką wiarą tylko swych ojców, w zasadzie nie powiedział prawdy, faktycznie jednak gorzką prawdę powiedział, bo wiara katolicka przestała dzisiaj być podstawą sfer rządzących.

Lecz chociażby tylko we własnem, nie narodu, przemawiał

imieniu, trudno dopatrzeć się prawdy w jego słowach, albowiem fakta świadczą przeciwko katolicyzmowi króla. Katolicki król w państwie katolickiem nie może przeciw religii swego państwa występować. Tymczasem nietylko, że w mowie tronowej oświadczył gotowość wystąpienia przeciw nietykalnym prawom Kościoła, lecz, co więcej, wysłał gratulacyjny telegram koncyliabulowi protestanckiemu, zebranemu w zeszłym miesiącu we Florencyi, którego cel był jedynie antykatolicki.

PROJEKT PRAWA
ODWOŁYWANIA
«EXEQUATUR».

Nie więc dziwnego, że pod takimi rządami mogą się wytworzyć coraz dziksze prawa przeciw Kościołowi. Urzędowe dzienniki donoszą, że p. Crispi, porozumiawszy się z ministrem kultu Zanardellim, niebawem przedłoży w parlamencie projekt prawa, na mocy którego rząd będzie mógł odwoływać biskupom dane już *exequatur*, a proboszczom swoje *placet*, ile razy okażą się rządowi niedogodnymi. Jeżeli taka jest wola rządu, aby to prawo przeszło, to przy dzisiejszym składzie parlamentu włoskiego, w którym znaczna większość deputowanych są kreatury rządowe, projekt prawie ma zapewnić za sobą większość głosów, i chyba by zaszło coś nadzwyczajnego, gdyby był odrzuconym. Ze wszystkich praw, ukutych w loży masonskiej, której p. Crispi jest egzekutorem, nie ulega wątpliwości, że powyższe prawo najdotkliwiej da się odczuć w sprawach Kościoła we Włoszech. Władza biskupów będzie skrępowana, ponieważ będą się obawiali, ażeby nie przyszło do egzekucyi prawa. Jeżeli mimo ostrożności, w sumieniu będą zobowiązani narazić się na odwołanie *exequatur*, nietylko utracą wszelkie dochody *mensae episcopalis*, ale nadto wszystkie ich rozporządzenia będą uważane za niebyłe wobec rządu. Wszelkie obsadzanie probostw w takich okolicznościach będzie uważane przez rząd za nielegalne, a tem samem rząd również proboszczom odmówi prawa używania beneficjów i na każdym kroku będą musieli nowi proboszcze stawiać w koniecznej z rządem opozycji. Na mocy tegoż prawa ma przysługiwać rządowi wycofanie swego *placet* nawet proboszczom, jeżeli okażą się rządowi niedogodnymi. Jeżeli egzekucya nastąpi, to tem samem przyczyni się

do zatargu z biskupem i da powód do odwołania *exequatur*. Pomijając grożące niebezpieczeństwo Kościołowi, iż mogą się znaleźć wśród tak licznych duchownych ludzie ze słabszym i bojaźliwszym charakterem, którzy z obawy przed zatargiem z rządem będą mu na każdym kroku powolnymi — pomijając tę okoliczność, nowe prawo przyczyni się do zaciętej walki, która bodaj czy nie dalej pójdzie, niż pruski kulturkampf. Nie wątpimy, że duchowieństwo włoskie będzie miało przed oczyma bohaterskie przykłady ks. kardynała Ledóchowskiego i tylu innych, którzy za Kościół cierpieli. A dzień, w którym się dowiemy, że kilku biskupów i kilkudziesięciu księży włoskich zostało uwięzionych, będziemy uważać za dzień, rozpoczynający zwycięstwo Kościoła.

ENCYKLIKA
OJCA ŚW. O NIE-
WOLNICTWIE.

Wśród coraz to ostrzejszego prześladowania Kościoła i jego najwyższej Głowy, tak iż cheiano już zakwestyonować, a przynajmniej zmienić prawa gwarancyjne Watykanu, które rząd włoski musiał dać przy zaborze Rzymu — Ojciec św. sam czując się w niewoli, nie przestaje mieć na myśli i w sercu niewoli tylu milionów naszej czarnej braci na afrykańskim kontynencie. To też idąc za przykładem dawniejszych papieży, podnosi po raz już wtóry głos w sprawie handlu niewolnikami w encyklice do wszystkich biskupów całego świata. Chwaląc w niej postanowienia międzynarodowego państwowego kongresu, w Brukseli odbytego przed rokiem, i prywatnego w Paryżu, o którym w jesieni czyniliśmy wzmiankę — wskazuje niedostateczność tych uchwał, jeżeli mają prawdziwą korzyść przynieść tamtejszej ludności. Niedosyć jest uwolnić ich z więzów ciała; potrzeba skruszyć kajdany, któremi ich dusze są skrepowane, potrzeba jak największej liczby misyonarzy, licznych stacyj misyjnych, kapłanów i kościołów. Odzywa się więc do ofiarności wiernych całego świata, a biskupom poleca w święto Trzech Króli co roku zbierać składki wyłącznie na misye afrykańskie z wyraźnem zastrzeżeniem, że nowa jałmużna nie powinna powstrzymywać dawnej hojności członków „Stowarzyszenia rozkrzewienia wiary“, których jałmużny corocznie są wysyłane do centralnego zarządu w Lyonie.

RODZ
ODDAWANE
WINDHORSTOWI.

W dniu 17 stycznia rozpoczął Windhorst ośmdziesiąty rok pełnego zasług życia, którego większą część spędził na arenie publicznej równie dzielnie jako szeregowiec lub jako przywódca Centrum w parlamencie niemieckim w „obronie Kościoła, prawa, prawdy i sprawiedliwości“. Począwszy od najwyższej Głowy Kościoła aż do najniższych stopni w hierarchii duchownej, od gminu, mieszczaństwa i szlachty aż do najwyższych dostojników państwowych, wszyscy oddają hołd należny zasłudze. I nawet, rzecz bezprzykładna, prezydent Lewetzw w imieniu *Reichstagu* składa powinszowania przewodnikowi Centrum. Jak kanclerz żelazny był uosobieniem zasady: „siła przed prawem“, tak Windhorst stał się przedstawicielem zasady: „prawo i sprawiedliwość nadewszystko“. Ta zasada wyniosła go ponad uprzedzenia narodowe i ponad politykę oportunistyczną, skupiła naokoło niego doborową falangę mężów politycznych, — i fakta pokazały, że prawo jest także siłą. Od nas, Polaków, przedewszystkiem należy się wdzięczność za dzielną obronę praw naszych; to też łączymy się bez zastrzeżenia z wszystkimi hołdami, jakie mu w jego kraju oddają.

Ks. Marcin Czerwiński.

Odczyty p. dra Ochrowicza

O tajemnicach kapłanów egipskich i t. d.

Na jarmarkach we Francyi, między różnemi budami, mieszczącemi menażerye, karuzele, olbrzymów i t. p. widowiska, znajduje się zwykle paradniejsza od innych budka, gdzie magik w fałdzistym kolorowym płaszczu, z czubatą czapką na głowie, pokazuje różne tajemnicze sztuki: przepowiada przyszłość z ręki albo z kart, sprzedaje cudowne leki, z patosem tłómaczy sposoby ich użycia. Jestto t. zw. *discur de bonne aventure*, a przed nim gromadzi się niechybnie największy tłum ciekawych. Przytaczam to wspomnienie z moich młodych lat dlatego, że już same ogłoszenia odczytów p. Ochrowicza — tajemnice kapłanów egipskich, sprowadzanie ogni z nieba, widziadła bogów w obłokach, tajemnice eleuzyjskie, wozy piorunowe i t. d. i t. d. — odrazu mi przypomniały afisze i anonsy owych magików francuskich.

A same odczyty, czy bardzo się różniły od ogłoszeń? Nicbyśmy o nich nie powiedzieli, gdyby nie to, że wszystkie gazety lwowskie i krakowskie, jakie nam wpadły w ręce, *unisono* chwaliły głęboką uczoność prelegenta. Można było pochwalić jego wymowę, pewność siebie, nieprzebraną mnogość i różnorodność kwestyj, jakie poruszył — ale podnosić uczoność tych odczytów, to już zawiele; i z tego powodu winniśmy naszym czytelnikom powiedzieć prawdę, choć w kilku słowach: bo gdyby się chciał każdy błąd podnieść i sprostować, na toby potrzeba 60 odczytów.

Prelegent obiera przedmiot zagadkowy i sensacyjny, o którym można niestworzone rzeczy prawić; chcąc zaś coś pouczającego powiedzieć, trzeba by najprzód bardzo mało mówić — bo bardzo mało się o tem wie; a przytem oprzeć się na danych naukowych. Jakież zaś są dane naukowe „o tajemnicach kapłanów egipskich”? Dziś, kiedy Egipt odsłonił swe tajniki dla uczonych, kiedy znakomici egiptologowie, jak Mariette, Maspero, Chabas, Lenormant, de Rougé, Birch, Wilkinson, Brugsch, Lepsius, Ebers — przeczytali takie mnóstwo pismników kamiennych i papyrusowych i całą tę zamarłą cywilizację z pod ziemi wydobyli — zdaje się, że niepodobna mówić o Egipcie, opierając się na czem innem, jak na pracach egiptologów i na odczytanych tekstach. Tymczasem prelegent o nich wspominał tylko ogólnikowo, ba, nawet z pogardą; żadnego nie dał dowodu, żeby je znał; przyznał żartobliwie, że gdy się zabrał do czytania Księgi umarłych, rozboleła go głowa i dał pokój; owszem, co chwila dawał dowody, że najmniejszego niema pojęcia o nowożytnej egiptologii: co mówił o Księdze umarłych w drugiej prelekcji, jest najlepszym tego dowodem¹. Wszystkie jego pojęcia o Egipcie ograniczają się na kilku historykach greckich i rzymskich, jak: Herodot, Strabo, Swetoniusz, którzy — jak się dziś wykazało — starego Egiptu wcale nie znali i baśnie ludu i stróżów świątyń brali za historję i religję Egiptu. Zresztą wiadomo, że Grecy nigdy nie umieli czytać hieroglifów, i że ich Egipcyanie trzymali daleko od swoich tajemnic.

Jakżeż teraz p. Ochorowicz spożytkowuje te szczupłe i niedokładne o Egipcie wiadomości? Bardzo łatwym, a zarazem bardzo imponującym sposobem: przyjmując za prawdę wszystkie cuda, jakie Grecy

¹ Księga umarłych jest poprostu obszernym rytuałem religijnym Egipcyan. Nie znaleziono „wielu takich ksiąg“ w grobach, jak sądzi prelegent, tylko pojedyncze zdania z tej księgi, jako teksty święte, wypisywano na sarkofagach mumij i na taśmach, któremi je owijano.

opowiadają o kapłanach egipskich, podstawia im tłumaczenia, z nowożytniej nauki dowolnie zaczerpnięte — nie zdając sobie wcale sprawy, że najprzód same fakta mogą być baśniami, przez dzisiejszą egiptologię wcale nie uznanymi, a podrugie, że to, co w tem było prawdy, mogło się dziać zupełnie innym sposobem, niż zapomocą środków, których dziś używamy. Z niezrównaną pewnością siebie i bez zakrzuszenia się powtarza co chwilę prelegent: „Nie ulega najmniejszej wątpliwości, wobec najnowszych odkryć nauki, że kapłani egipscy znali magnetyzm, elektryczność, soczewki palące, proch strzelniczy, że używali hypnotyzmu...” — i ani mu na myśl nie przychodzi, że trzebaby choć z jakimś prawdopodobieństwem unotywwać przypuszczenie, iż tymi a nie innymi sposoby wykonywali oni przypisywane im cuda. Pisze np. jakiś historyk, że kapłani egipscy sprowadzali ogień z nieba — oczywiście, wnosi p. Ochorowicz, działo się to zapomocą nowożytnych piorunochronów. Używali oni ciepła słonecznego do wzniecania ognia — nie ulega już żadnej wątpliwości, że znali soczewki; przyczem, jako dowód, występuje legenda o paleniu okrętów rzymskich przez Archimedesą, który — dodaje prelegent — uczył się w Aleksandryi. Na nieszczęście w Aleksandryi kwitła, nie staro-egipska, ale czysto grecka nauka, a nadomiar w palenie okrętów przez lustra Archimedesą nikt dziś nie wierzy. Kapłani egipscy okazywali cienie bogów w obłokach — więc oczywiście znali nasze latarnie magiczne! Ciekawym, który też optyk podjąłby się dzisiaj zbudować taką latarnię magiczną, któraby na obłokach obrazy pokazywała?... Niejedno takie tłumaczenie p. Ochorowicza podaje w wątpliwość jego wiadomości fizyczne i przyrodnicze. Czarodzieje z plemienia murzyńskiego Aissanas, których prelegent widział w Paryżu, pozwalali się kąsać przez węże jadowite — mówca widzi w tem zaraz dowód hypnotyzmu i innych sposobów znieczulanía, nie domyślając się tego, co przecież nie jest tajemnicą, że ci czarodzieje wyrrywają poprostu swoim węzom zęby rurkowate, które jad wydzielają; nie widzi on też żadnej potrzeby uzasadnienia swej niesłychanej hipotezy: że ci dziecy murzyni są dziedzicami tajemnic kapłanów egipskich.

Nadewszystko hypnotyzm grał w tych wykładach rolę tryumfalną. Wszystko, co się nie da inaczej tłumaczyć, kładzie się *en bloc* na karb hypnotyzmu, i to, co jest najnieprawdopodobniejszym w historii, staje się niewątpliwem, dzięki hypnotyzmowi. Kapłani egipscy leczą cudownie — oczywiście hypnotyzują chorych¹; panują nad królami — bo ich hy-

¹ Nie mając danych o tem, co się działo w świątyniach egipskich, prelegent bez wahania przenosi do nich tajemnice i praktyki świątyni gre-

pnutyżują. Hypnotyzm aż do żydów i do Greków się dostaje: król Jeroboam wyciągnął rękę na proroka bożego, ręka mu w tej chwili uschła — bo ją prorok zahypnotyzował, a potem, na prośbę króla, odhypnotyzował. Legendowy Eskulap — hypnotyzer, Szymon czarnoksiężnik — hypnotyzer; opętani — hypnotycey, a wyganiacze czartów aż do średnich wieków — hypnotyzerzy!... P. Ochrowicz dał do zrozumienia, że niecierpi niedowiarstwa względem hypnotyzmu: — ależ do prawdy, jeżeli chce, żebyśmy go wzięli na seryo, niechże inaczej traktuje swój przedmiot.

Taki był ogólny charakter tych wykładów. Lecz pośród tego było jeszcze wiele ciekawych wiadomości. I tak, powiedział nam prelegent, że kobieta w Egipcie, nietylko była równouprawnioną, ale wyłącznie dziedziczyła; co więcej, mąż jej przysięgał posłuszeństwo. Jestto ważne dla socyologii odkrycie, o którym egiptologowie nie zgola nie wiedzą; owszem, Lenormant przytacza znalezione na papirusach kontrakty małżeńskie, z których wynika, że istniał rozwód, i że mąż w razie odprawienia żony dawał jej jakieś wynagrodzenie — coby inne narzucało o położeniu kobiety pojęcie. Dowiedzieliśmy się dalej, że do nowicyatu uczelni egipskich uczęszczał nietylko Pitagoras, ale — Homer (*sic!*). Prelegent zapewne wskaże papirusy, w których to wyczytał, a to będzie rozstrzygający dowód przeciwko uporowi wszystkich filologów, że pocziwy Homer istniał. Dalej prelegent przypisał Egipcjom nadzwyczajną wiedzę astronomiczną i wprowadzenie w świat astrologii, w czem także sprostował najnowszą naukę, która to wszystko przypisuje Babilonii — a nie Egipcjom.

Daruję czytelnikom ciąg dalszy. Na jedno tylko zwrócić jeszcze muszę z naciskiem uwagę p. Ochrowicza: że rozprawiając w taki sposób o kapłanach egipskich, powinien był ostrożniej i z większem uszanowaniem wyminąć to, co my religijnie czcimy. Używać takich wyrazów, jak: „Trójca św.“, „Ojcowie św.“ i t. p. dla oznaczenia mitów i kapłanów pogańskich (i to jeszcze bez historycznej podstawy), jestto, co najmniej, rażącym dla naszych chrześcijańskich uszu. Mówić, że „kapłani egipscy nie uczyli ludu słowem, jak dzisiejsi, ale daleko skuteczniej, przykładem“ — jestto koncept wcale nie na swoim miejscu. Twierdzić ogólnie, że „opętanie jest stanem magnetycznym“ — jestto

ckich, dla tej niezmiernie ogólnikowej racyi, że oświata grecka wzięła początek z egipskiej; — wiemy przecież, że w każdej rzeczy mocno się wyróżniła, a najmniej podobieństwa miała w religii.

zawadzić, nie o średnie wieki, ale (czego autor może nie myślał) o Ewangelię i o osobę Chrystusa. Tak samo zaliczać proroka izraelskiego do hypnotyzerów. Nie sędzę, żeby p. Ochorowicz świadomie i tendencyjnie religię zaczepiał — ale mówiąc do publiczności polskiej, trzeba znać jej katechizm i umieć go uszanować.

Ztąd też publiczność, mimo zaciekawiającego przedmiotu i wielkiej reklamy, bardzo oziębły wzięła udział w tych odczytach — i to co raz mniejszy — tak, że przy trzeciej prelekcji sala świeciła pustkami. To chlubnie świadczy o naszej publice, że pod błyszczącym płaszczykiem uczoności spostrzegła brak treści, i mimo wymowy prelegenta, uczuła nutę nieswojską.

Ks. M. M.

Z podróży po Azji środkowej.

Znany podróżnik rosyjski a nasz współziomek, kapitan Grombaczewski, odbył zeszłego lata podróż wzdłuż pasma gór Hindukuh, po afganistańskim i chińskim Turkiestanie, a wkońcu po płaskowzgórzu tybetańskim. O wynikach swych badań i odkryć mówił w odczytce, mianym d. 24 listopada r. 1890, w sali kasyna wojskowego w Taszkencie, który ogłosił następnie drukiem w *Turkietańskich Wiedomościach*. Podajemy go tutaj w krótkim streszczeniu.

W wyprawie tej, wysłanej przez cesarsko-rosyjskie Towarzystwo geograficzne, a zaopatrzonej w środki materyalne przez następcę tronu, brało udział 13 osób. Wyprawa trwała ośmnaście miesięcy; w ciągu tego czasu przebyto i zdjęto 7200 wiorst, oznaczono 73 punktów astro-nomicznych i zebrano obfite kolekcye z dziedziny zoologii, botaniki i pomologii. Z królestwa zaś kopalnego członkowie wyprawy przyszedli do posiadania niezmiernie bogatych i różnorodnych okazów nefrytu — kamienia, poczytywanego przez Chińczyków za skuteczny w wielu chorobach środek leczniczy i mającego w ich przekonaniu znaczenie symboliczne; każdy Chińczyk, bez względu na stan i stopień zamożności, stara się przyjąć do posiadania choć kawałek nefrytu i nosić nieustannie przy sobie jakiś przedmiot, zrobiony z tego kamienia. Na tej przestrożeniu doznała wyprawa wszelkich trudów, nieodłącznych wogóle od podróży po miejscowościach mało znanych i górzystych; w posuwaniu się naprzód p. Grombaczewski i jego towarzysze doświadczali przytem licznych przeszkód i częstych opóźnień, będących następstwem różnorodnych wpływów politycznych, ze strony rządów: afganistańskiego,

chińskiego i hindostańskiego. Po odjeździe z Margelanu (Turkiestan rosyjski), kapitan Grombczewski zamierzał zbadać część obszaru Kafiristanu, położonego na południe od Badakshanu, a przede wszystkim poznać dokładniej okolice jeziora Shiwa w Badakshanie. W wykonaniu tego planu zaraz na wstępie zaszły przeszkody: Afganowie napadli na krainę Shugnan i dokonali tam okropnego spustoszenia; około dwóch tysięcy rodzin shugnańskich uciekało przed nimi ku wschodowi, lecz napotkawszy tam wojska chińskie, cofnęły się napowrót i padły ofiarą zemsty Afganów. Z tej liczby tylko 200 rodzinom, które skierowały się ku północy, w stronę miasta Oszy, udało się uniknąć całkowitego pogromu. Naturalnie, że przy takim stanie rzeczy, nie można było myśleć o podróży po Kafiristanie; p. Grombczewskiemu nie pozostawało nic innego, jak zająć się zbadaniem wyżyny Pamiru, a w swej podróży zwrócić się więcej ku wschodowi, w stronę płaskowyżu tybetańskiego. Prośby jego, wysłanej do komendanta angielskiego w Mastudź, aby pozwolił zbadać Kafiristan, rozumie się samo przez się, iż nie uwzględniono. Wskutek tego śmiały podróżnik postanowił dostać się do Polu (Turkiestan wschodni czyli chiński), gdzie skończył swe badania naukowe pułkownik Przewalski, znany badacz Azji środkowej, aby ztamtąd podjąć je nanowo.

W drodze do Polu, podczas przeprawy przez pewien grzbiet górski wysokości 15 tysięcy stóp, na przestrzeni całkowicie bezwodnej, ekspedycja utraciła bardzo wiele zwierząt jucznych i znajdowała się w nader krytycznem położeniu, bez możliwości i środków kontynuowania dalej swej podróży. Dopiero ruszono w dalszą drogę, gdy kapitanowi Grombczewskiemu udało się otrzymać pieniężne poparcie z Jarkandu, od jednego dobrze mu znanego kupca. Tymczasem z powodu silnych mrozów instrumenta się popsuły. Okoliczność ta zmusiła p. Grombczewskiego do opuszczenia na czas krótki towarzyszy podróży i udania się do miasta Nia (Turkiestan wschodni), gdzie bawiła na zimowych leżach ekspedycja pułkownika Piewcowa. Tam instrumenta poprawiono, zaopatrzone się we wszelkie potrzeby, a zarazem umówiono się z pułkownikiem Piewcowem co do zakresu terytoryalnego przyszłych badań i zdjęć topograficznych. Dalszy ciąg podróży w kierunku Polu natrafiał na liczne trudności ze strony rezydenta chińskiego w Kirii. Mając pod swymi rozkazami pułk jazdy, nakazał tenże poniszczyć t. zw. balkony w wąwozach górskich, a drogi zasypać odłamami skalnymi, aby dalszą podróż uczynić niemożliwą. Mimo to jednak podróżnicy, aczkolwiek z wielkim trudem, przedarli się do Polu, a ztamtąd na

plaskowyz tybetański. Ponieważ niepodobna było przebyć zimę na wysokości 18 tysięcy stóp nad p. m., przeto zmuszonym był kapitan Grombczewski ponownie zwrócić się do władz angielskich z prośbą o pozwolenie przezimowania w Kaszmirze, ale i tym razem otrzymał odmowną odpowiedź. Skutkiem tego musiał zwrócić się dalej na północ, koło angielskich fortyfikacyj w Szachidulla-Chodża, pomiędzy przednimi posterunkami chińskimi z jednej, a afgańskimi z drugiej strony. Według twierdzenia kierownika tej ostatniej ekspedycji rosyjskiej, rząd angielski ma nadzwyczaj baczne oko na postępowanie begów pogranicznych, a nie pomija żadnej sposobności, żadnej ich walki domowej, celem posunięcia swej linii fortyfikacyjnej i swych garnizonów dalej ku północy. W chwili obecnej są już w rękach Anglików dwa ważne punkta dla akcji odpornej: w Mastudź i Szachidulla-Chodża; nadto beg Kundzuta, panujący nad narodem wojowniczym i skłonny do rozbojów, przyjął protektorat rządu indyjskiego za 15 tysięcy rupii rocznego upominku. Ten nowy lennik angielski swymi nieustannymi napadami trzyma w szachu władze chińskie i afganistańskie; ważne znaczenie tego nowego nabytku, pozyskanie usług tej licznej rozbójniczej hordy, nie może ulegać najmniejszej wątpliwości. Z rozporządzenia wojskowych władz angielskich liczni podróżnicy badają z wielkim pośpiechem wyżynę Pamiru, stanowiącą pas neutralny pomiędzy posiadłościami angielskimi i rosyjskimi, na podstawie rozgraniczenia, dokonanego w latach 1872 i 1873. Jakiegoś kapitana angielskiego spotkał p. Grombczewski nawet w górach Alai, w południowo-wschodniej stronie Turkiestanu rosyjskiego. Tym sposobem, stawiając wszelkie możebne przeszkody badaczom rosyjskim, samiż Anglicy nie szczędzą wcale środków, aby zebrać jak najwięcej wiadomości o terytoriach, oddzielających posiadłości rosyjskie od angielskich.

A. Szarlowski.

Ogólne zebranie Towarzystwa św. Wincentego à Paulo

odbyło się w Krakowie dnia 8 grudnia 1890, t. j. w dzień święta Niepokalanego Poczęcia N. Maryi Panny, patronki głównej Towarzystwa. Przedmiotem posiedzenia było sprawozdanie z całorocznych czynności wszystkich konferencyj galicyjskich, złożone Radzie wyższej, mającej swą siedzibę w Krakowie. Oprócz członków Towarzystwa (między innymi przybyli także: JE. Paweł Popiel, b. prezes Towarzystwa, oraz ks. prałat Skrzyński, prezes konf. wielickiej) zebrali się wychowawcy

internatu a oraz kilka osób życzliwych instytucji, — co wymownie świadczy o zajęciu się mieszkańców Krakowa Towarzystwem, tak znanem w katolickim świecie.

Stosownie do przyjętego zwyczaju, posiedzenie rozpoczął ks. Pelczar, wice-prezes Rady wyższej, odczytaniem zwykłej modlitwy, poczem prezes hr. Ludwik Dębicki zagaił posiedzenie dłuższą przemową. Następnie sekretarz Maryan Bartynowski i podskarbi Stanisław Tomkowicz przedstawili stan ogólny Towarzystwa oraz jego kasy w r. 1889. Jak staranie się o powiększenie liczby członków jest rzeczą poszczególnych jednostek, tak do Rady wyższej należy staranie o pomnożenie liczby konferencyj, co właściwie jest zasadniczą miarą wzrostu Towarzystwa. W tym celu postanowiono udać się z prośbą do Najprzewielebniejszych Księża Biskupów, by Oni raczyli swemu klerowi parafialnemu zakomunikować treść ustaw Towarzystwa, obznajomić z jego celem i środkami do niego prowadzącymi, oraz zachęcić do zakładania konferencyj po parafiach. Żeby zaś pomiędzy istniejącymi konferencyjami utrzymać jedność i wzajemnie się zachęcać do coraz głębszego rozszerzenia działalności, uznano za stosowne, w stałych odstępach czasu umieszczać wiadomości o stanie i ruchu Towarzystwa w czasopismach katolickich i takowe przysyłać konferencyjom.

Konferencyj w Galicyi, agregowanych do Towarzystwa przez Radę główną w Paryżu, jest obecnie 19, t. j.: 4 w Krakowie i 1 na Podgórzu, 3 we Lwowie, po 1 w Tarnowie, N. Sączu, Krościenku, Korczynie, Iskrzyni, Przemyślu, Krasiczynie, Rawie Ruskiej, Wieliczce, Kałuszu, Stanisławowie; nadto istnieją jeszcze 2 konferencye we Lwowie, po 1 w Jaśle i Leżajsku, których agregacya niebawem nastąpi. Pod opieką Towarzystwa zostają dwa internaty dla ubogich uczniów Seminarium naucz. męsk. w Krakowie i Lwowie; w tem ostatniem mieście istnieją jeszcze dwa t. zw. dzieła: rozdawnictwo zupy rumfordzkiej i łączenie dzikich związków Sakramentem małżeństwa. Członków czynnych (nie licząc Korczyny i Stanisławowa, z kąd daty nie nadeszły) było 331 (mniej o 8 jak w roku poprzednim); rodzin odwiedzano w ich mieszkaniach i wspierano 837, t. j. więcej o 68; studentów i terminatorów (nie wliczając internatów) 71, t. j. więcej o 28; nakłoniono do Sakramentu małżeństwa dzikich związków małżeńskich 44, t. j. więcej o 12.

Stosownie do swego celu, Towarzystwo starało się zaradzić nie tylko nędzy materyalnej, ale i duchowej. I tak: we Lwowie nakłoniono człowieka, co dłuższy czas do Sakramentów śś. nie przystępował, do

zmienienia w tej mierze swego postępowania; gdzieindziej pewna chora luterka uczyniła wyznanie wiary za staraniem konferencji; konferencya krasiczyńska założyła u siebie i w dwóch sąsiednich wioskach biblioteczkę; w Krakowie uczyniono toż samo w konf. kleparskiej.

Stan finansowy przedstawia się, nie licząc obu internatów, oraz konferencji św. Jana Kantego w Krakowie, w Korczynie i Stanisławowie, w sposób następujący: dochód był 15.437 złr. 73¹/₂ ct., rozchód 12.668 złr. Z tego na Kraków i Podgórze przypada dochodu 3657 złr. 56 ct., rozchodu 3035 złr. 49 ct.; — na Lwów dochodu 5013 złr. 37¹/₂ ct., rozchodu 4872 złr. 48 ct.; — na prowincję dochodu 6766 złr. 80 ct., rozchodu 5760 złr. 3 ct.

Posiedzenie zakończył regers internatu krakowskiego, ks. prof. Józef Bielenin, przemówieniem na temat: „Bądźcie miłosiernymi, jako i Ojciec wasz niebieski miłosiernym jest“.

M. B.

Rękopisy Sarbiewskiego.

Dnia 2 kwietnia 1640 r. w warszawskim domu Jezuitów umarł Sarbiewski. Oprócz poezyj i mów, za życia jeszcze jego drukiem ogłoszonych, zostawił po sobie „sarmacki Horacy“ nader bogatą spuściznę w papierach i rękopisach, z których jedne pisane były dorywczo, dla osobistej potrzeby i wykształcenia, drugie, przeznaczone dla ogółu, wykończone były starannie, opracowane systematycznie, a podobno nawet do druku już gotowe.

W ciekawym żywocie Sarbiewskiego, napisanym — zdaje się w XVII. wieku — przez jakiegoś ks. S. Zaleskiego S. T. D.¹, czytamy, że sam król zajął się troskliwie tą literacką spuścizną swego kaznodziei. Ks. Wojciech Cieciszewski, zakonny towarzysz zmarłego, miał podobno z polecenia Władysława IV. zebrać starannie wszystkie pozostałe dzieła, papiery i notatki poety i złożył takowe w wileńskim archiwum prowincyi litewskiej, do której Sarbiewski należał. Napisy: *ex archivo provinciae — Vilna*, czytać można na niektórych rękopisach, które ocalały i istnieją jeszcze podziśdzien².

Miało być wiele cennych rzeczy w tych manuskryptach. Współcześni i najbliżsi współczesnym pisarze, mówiąc o rękopisach Sarbiew-

¹ W r. 1818 ogłosił ten żywot T. Narbutt w tłumaczeniu polskiem. Por. *Tygodnik Wileński*, tom VI., str. 73.

² Bibl. XX. Czart. w Krakowie: kodeks papier. opr. nr. 1878.

skiego, wymieniają: tom mów łacińskich, cztery tomy kazań mianych przed królem, traktaty obszerne treści filozoficznej i teologicznej, wiersze łacińskie różnych rozmiarów i treści, między którymi znajdowała się podobno i Lechiada, wreszcie gruntowne i świetne wykłady retoryczne z zakresu mitologii klasycznej i poetyki, którymi zachwycać miał Sarbiewski słuchaczy swoich we Wilnie, w Połocku i w Rzymie. Co więcej, wspomniany wyżej ks. Zaleski znał nawet — jeżeli na jego zdaniu polegać można — jakiś „zbiór uwag historycznych nad starożytnościami krajowemi“, które za jego czasów krążyć miały po rękę.

Że rękopisy Sarbiewskiego znano w kraju, że niektóre z nich istniały w licznych odpisach, że Jezuici polscy, pierwsi spadkobiercy zmarłego poety, znali i szanowali niedrukowane jego prace, że zaglądali do nich niejednokrotnie, że się wogóle chlubili i interesowali Sarbiewskim, — to nie ulega dziś wątpliwości. Bibliografom zakonu, Alegambemu i Sotwelowi, posyłano z Wilna szczegółowe informacje o dziełach i rękopisach Sarbiewskiego; Jezuici: Kruszewski, Naruszewicz i Bohomolec wydają sporą część manuskryptów poety; tenże Naruszewicz i Bohomolec wraz z Albertrandym i innym jezuitą, Puzyną, tłómaczą polskim wierszem poezye Sarbiewskiego, w czym im pomaga pijar Wiśniewski i kanonik Minasowicz; Langbeinowi w pisaniu dzieła o Sarbiewskim pomocnym jest Janocki, a obok niego litewscy Jezuici; w szkołach wreszcie jezuickich przechowują się tradycje Sarbiewskiego, — o czym świadczy choćby ta okoliczność, że w Słucku np. w r. 1717 wyciągów z dzieła Sarbiewskiego: *Dii gentium...* używano jako podręcznika do wykładów¹.

Więcej może jeszcze zajmowano się Sarbiewskim za granicą; powstała tam nawet myśl pomnikowego wydania pośmiertnych dzieł poety. Sprawą tą zajął się koloński kanonik regularny, ks. Jan Michał von der Ketten, który w początkach zeszłego stulecia odbył nawet osobną podróż do Polski i Litwy, aby na miejscu robić poszukiwania za rękopisami Sarbiewskiego². Jezuici, do których w pierwszym rzędzie się zwrócił, poparli czynnie jego starania, a ówczesny przełożony prowincyi litewskiej rozesławszy osobny okólnik³ do wszystkich domów na Litwie, zebrał dla kolońskiego wydawcy najważniejsze rękopisy poety. Tak więc „wielbiciel Sarbiewskiego“ odjechał z Polski z pełnemi rękoma i już

¹ Bibl. XX. Czart. w Krakowie: kodeks pap. opr. nr. 1248.

² *M. C. Sarbievii e Soc. Jesu carmina*. Parisiis, typis J. Barbou, 1759, — przedm. na str. IV.

³ *Horatius Sarmaticus...* Coloniae Agrippinae 1721, na str. 314.

w r. 1717 ogłosił obszerny program zamierzonego przez siebie wydania. Pierwszy tom miał obejmować: 9 ksiąg *de perfectione poeseos et maxime carminis epici*, 3 księgi *de caractere carminis lyrici*, 1 księgę *de acuto et arguto*, wreszcie 1 księgę *de virtutibus et vitiis carminis elegiaci*. Drugi tom miał w sobie mieścić obszerne dzieło treści mitologicznej, znane w bibliografiach pod tytułem: *Dii gentium...* Trzeci wreszcie wypełnić miały niedrukowane jeszcze wiersze Sarbiewskiego, jakoteż rzecz o figurach: *liber unus de figuris sententiarum, poetae non minus quam rhetori perutilis*¹.

Czy materyał rękopiśmienny, zebrany przez uczonego kanonika, zaginął, czy też gdzie jeszcze istnieje, nie umiemy powiedzieć. To jednak pewna, że wydanie jego w całej rozciągłości nie przyszło nigdy do skutku i że tylko poetyczna część jego zbiorów pojawiła się w druku, t. j. 8 niedrukowanych jeszcze ód i 28 epigramatów Sarbiewskiego. Wiersze te, ogłoszone poraz pierwszy w Kolonii nakładem Fromarta w r. 1721, przekonują nas, że zbiór poetyczny ks. von der Ketten nic innego chyba nie zawierał, jak tylko to, co w Polsce wydali z innych rękopisów: Kruszewski we Wilnie (1747), Naruszewicz również we Wilnie (1757) i Bohomolec w Warszawie (1769) — owszem, źródła, z których czerpali polscy wydawcy, były znacznie obfitsze i poprawniejsze, jak się o tem z treści i tekstu odpowiednich wydań każdy przekonać może².

Tak więc można przypuszczać, że zatrącenie manuskryptów, zebranych przez ks. von der Ketten — jeżeli się istotnie zatraciły — nie przyniosło ostatecznie żadnej szkody naszej literaturze odnośnie do poezji Sarbiewskiego. Szczęśliwym jednak trafem tak się zdarzyło, że i inne dzieła prozaiczne, które koloński kanonik objął wydawczym swoim programem, nie zaginęły dla nas całkowicie.

Nieraz już dochodziły nas niewyraźne posłuchy, że Biblioteka XX. Czartoryskich w Krakowie posiadać ma cenne jakieś rękopisy Sarbiewskiego. Zbadawszy rzecz na miejscu, przekonaliśmy się, że oprócz rozprawy o figurach zdań, — na której ślad nigdzieśmy dotąd nie natrafili — wszystkie inne dzieła prozaiczne, wymienione w programie ks. von der Ketten, znajdują się istotnie w tejże bibliotece. Przytem wpadło nam w ręce parę drugorzędnych źródeł do studyów nad Sarbiewskim, których jednak wartości nie chcemy dzisiaj przeceniać.

¹ De Backer: *Bibliothèque des écrivains de la Comp. de Jésus*. Lyon 1876, tom III., kol. 564.

² Dla przykładu dość porównać wiersz: *ad R. P. Petra-Sanctam S. J.* w wyd. paryskim str. 325, w Naruszewiczu str. 108.

Że na te rękopisy nie zwrócono dotąd ogólnej uwagi, to należy przypisać tej okoliczności, że Biblioteka XX. Czartoryskich nie posiada jeszcze uporządkowanych katalogów, tylko prosty spis rękopisów, ułożony naprędce bez podziału materyi, co niezmiernie utrudnia poszukiwania. Wobec tego uważamy za rzecz właściwą podać tutaj krótki wykaz tych rękopisów, któreśmy przeglądali i częściowo przestudyowali, i rzucić o nich ogólne przynajmniej uwagi.

1. Rkp. nr. 1878. *Dii gentium, seu theologia, philosophia tam naturalis quam ethica, politica, oeconomia, astronomia, ceteraeque artes et scientiae sub fabulis theologiae ethicae a veteribus occultatae, erutae vero opera R. P. Matthiae Casimiri Sarbiewski Soc. Jesu. Academicis Poloc. Anno MDCXXVII.*

Jestto książka in 4^o, o 508 stronicach, dobrze przechowana, w starej skórzanej oprawie, pisana jedną ręką, pismem wyrobionem i starannem, ale drobnem i skraccanem, a dlatego nie odrazu wszędzie czytelnem. Tytuły i nagłówki popodkreślane czerwonym atramentem, na marginesie różne dopiski, czasami figury i ilustracye, wykonane piórem gustownie i bardzo pracowicie. Tekst książki ciągnie się nieprzerwanie od str. 1 do str. 406. Dalszej części brakuje. Ostatnim jest rozdział XLI. o Herkulesie. U dołu 406 str. dopisał ktoś późniejszy dowcipną i złośliwą uwagę łacińską tej treści: „Kto resztę tych kart wyrwał, albo był taki mądry, że ich wcale nie potrzebował, albo tak głupi, że nie poznał nawet, jakiej są wartości“. Po tej uwadze ciągnie się przez kilka kartek: *Index locorum S. Scripturae in opere toto citatorum* aż do str. 421. Potem do końca już czyste kartki, zawierające trzy tylko, mało znaczące dopiski.

2. Rkp. nr. 1249. *Dii gentium... etc.*

Jestto drugi egzemplarz tego samego dzieła z takim samym jak poprzedni tytułem i z tą samą datą. Książka in 4^o, oprawna w skórę, obejmuje 336 stron — pisana zwięźlej, niż poprzednia, ale za to mniej starannie i czytelnie. Główną jej wartość stanowi to, że o 42 stronic większą jest od poprzedniego rękopisu. I tutaj jednak brakuje końca; rzecz się urywa na str. 326 i następują kartki (tego samego papieru) niezapisane. *Index locorum S. Scripturae* umieszczono tu na początku; tekst zaś samego dzieła zaczyna się dopiero na str. 23. Na marginesie widać różne poprawki i dopiski, przeważnie tej samej ręki, co kodyks cały.

3. Rkp. nr. 1248. *Dii gentium... a R. P. Sarbiewski olim professore rhetoricae Soc. Jesu Polociae explicati... nunc Stucci Collegio Tulliano Apollineo recepti anno 1717.*

Jestto cienki, oprawny zeszyt in 4^o, mieszczący na 57 stronicach krótki wyciąg z powyższego dzieła Sarbiewskiego: *Dii gentium...* a przeznaczony dla szkolnego użytku retorów w Słucku.

4. Rkp. nr. 1446. *Praecepta poetica.*

Książka in 4^o w starej, nadniszczonej już nieco oprawie pergaminowej, bez tytułowej kartki i bez początku. Ma ona 477 stron. Tekst dzieła rozpoczyna się od nagłówka: *liber II. de inventione et dispositione epica.* W środku w paru miejscach wolne kartki; zresztą cały kodeks wypełniony jedną ręką — tą samą, co kodeks 1878.

Treść bardzo interesująca, ta sama, jaką niegdyś podał w programie swoim ks. von der Ketten. Z początku 9 ksiąg, obszernie i oryginalnie opracowanych: *de carmine epico et de perfecta poesi*, z dodatkiem niewykończonym o tragedyi i komedyi, jakoteż z luźnymi urywkami o teatrze; dalej znowu uwagi o satyrze, o poezyi sielankowej i o różnych rodzajach drobnych wierszy, — ale to wszystko również niewykończone; potem następuje osobny, wykończony już traktat pod tytułem: *de acuto et arguto, liber unicus, sive Seneca et Martialis*, poprzedzony ciekawym wstępem do słuchaczy; następnie przez 140 stron ciągnie się najciekawsza może rzecz: *characteres lyrici, seu Horatius et Pindarus* z dołączonym słowniczkiem epitetów; wreszcie na końcu spotykamy jeszcze krótką rozprawkę o elegii p. t.: *de citharis et virtutibus carminis elegiaci, sive Ovidius.*

5. Rkp. nr. 1405. *Memorabilia.*

Jestto książeczka in 8^o w nowszej oprawie, obejmująca 460 stron drobnego pisma. Pisana jedną ręką, starannie i dość czytelnie, ma z początku parę kartek czystych; na jednej z nich (str. 10) czytać można następującą, bardzo już starą uwagę:

Notata Reverendi Patris Matthiae Sarbiewski Soc. Jesu, laureati poetae et eximii concionatoris, propria eiusdem manu conscripta.

Byłby to więc autograf Sarbiewskiego. Treść tej książeczki stanowią wyciągi z klasycznych przeważnie pisarzy, jakoto: z Liwiusza, Flóra, Salustjusza, Cezara, Tacyta, Pawła dyakona, Filona, Ksenofonta, Pliniusza i wielu innych; pod koniec wreszcie umieszczone są wyjątki z Annałów Sarnickiego i z kroniki Kadłubka.

W środku książki, po wyjątkach z Pliniusza, znajduje się jedna data w tych słowach: *AD. 1633. Mai 18. feria quarta post Pentecosten, hora quinta. Ad maiorem Dei O. M. gloriam, Augustissimae Virginis atque coelitus omnium honorem.*

6. Rkp. nr. 376. *Różne listy, wiersze i mowy z XVII. w.*

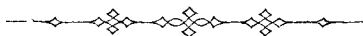
Kodeks ten foliowy, oprawny, zawiera na kilku miejscach korespondencję Stanisława z Sarbiewa Sarbiewskiego, Grabowieckiego starosty, w której znajduje się kilka listów zatytułowanych: „do Księdza Brata, kaznodzieje Króla JM. . . .“ i t. d.

Oto są rzeczy, któreśmy spotkali dotychczas. Rękopisów, dotyczących Sarbiewskiego, wartości drugorzędnej, znajdzie się w Bibliotece XX. Czartoryskich prawdopodobnie jeszcze więcej.

Dii gentium i *Praecepta poetica* największą mają wartość do studyów nad Sarbiewskim. W obydwu tych dziełach poznać można przede wszystkim wielkie wykształcenie poety, znajomość pisarzy współczesnych, a głębsze zrozumienie klasycznych, jakoteż łatwość, z jaką materiał przeczytany umiał wszechstronnie i umiejętnie spożytkować. *Praecepta poetica* rzuca zapewne wiele światła na estetyczne poglądy i artystyczne wyrobienie Sarbiewskiego. Jako szczegół, uwagi godny, zaznaczamy już tutaj, że często w swoich wykładach opiera się Sarbiewski na Scaligerze, a co ważniejsza, niejednokrotnie cytuje polskie przykłady z poezji Kochanowskiego, którego ceni wysoko.

Wkrótce podamy czytelnikom *Przeglądu* dokładniejsze sprawozdanie z treści i wartości przytoczonych tutaj rękopisów, przyczem starać się będziemy podnieść przede wszystkim te szczegóły, które więcej mogą uwydatnić talent Sarbiewskiego, jakoteż artystyczne i literackie jego poglądy.

Włodzimierz Piątkiewicz.



RZUT OKA NA WPŁYWY NOWOPLATOŃSKIE

W ŚREDNICH WIEKACH.

I.

Filozofia chrześcijańska przechyla się od Platona ku Arystotelesowi. — Doniosłość tego przejścia dla dziejów kultury. — Pośrednie stanowisko nowoplatonizmu. — Modyfikacje wprowadzone do idealizmu Platona. — Wywyższenie Bóstwa ponad umysł. — Pojęcia o Opatrzności i refleksyjnej naturze myślenia podają broń przeciw arabskim arystotelikom. — Konsekwencye etyki nowoplatonńskiej wyciągnięte w dwóch przeciwnych kierunkach wyrażają jej dualizm. — Boecyusz, wyznając samorząd jednostki przez rozum, przyświeca Dantemu.

Historia filozofii średniowiecznej ma do czynienia z materiałem o tyle odmiennym od nowszej, że idzie w niej dopiero o przyjęcie i zrozumienie systematów dawnych. Przyjęcie takie musiało wyprzedzić oryginalną twórczość jednostek, gdy jeszcze poczucie osobiste tych ostatnich nie było należycie wykształcone. A jednak powierzchowny byłby to sąd utrzymywać, iż filozofia średniowieczna przyjmowała systemy klasyczne całkiem biernie. Przyglądając się zbliska, zobaczymy, że czy arystotelizm, czy platonizm, czy wkońcu nowoplatonizm zabarwiały się w pojęciu Arabów, Żydów i chrześcijan w sposób zupełnie odrębny, charakterystyczny i właściwy nie tylko każdemu wiekowi i religii, ale krajom nawet.

Śledząc modyfikacje, jakie w ciągu wieków towarzyszyły pojmowaniu Arystotelesa czy Platona, musimy nieustannie dwie

rzeczy mieć na oku. Pierwszą są wewnętrzne siły, które podówczas przeważnie w postaci religijnych, moralnych i estetycznych pobudek były czynne i w tym lub owym kierunku usilność uwagi natężały; drugą materiał pomysłów, które przyływały generacyom owym ze sfery przeważającego w danym czasie systemu. Tak w XIII. i XIV. wieku, w czasie wszechwładzy Arystotelesa, kursuje przecież w życiu umysłowym i zabarwia je cała masa nie tylko platońskich i nowoplatonńskich pierwiastków, ale nawet stoickich. Moralistów bowiem tak popularnych, jak Cycero i Seneka, nawet w czasach najciemniejszej pomroki barbarzyństwa, czytać nie przestawano.

Losy filozofii Platona w świecie chrześcijańskim związały się silnie, zwłaszcza od czasów św. Augustyna, z dodatkami, wniesionymi w nią przez aleksandryjskich jej tłumaczy. Wiadomo, jak największy Ojciec Kościoła, bez zastrzeżeń i wyróżnień między Platonem a nowoplatonńczykami, ich wszystkich jako jedną szkołę otoczył aureolą największego uznania, jakie czysto ludzka myśl, nierozjaśniona objawieniem, od niego zyskać mogła. Augustynowi zawdzięczał najwięcej ateński myśliciel, jeżeli w czasach wyłącznej czci dla Arystotelesa pozostał on mało wprowadzie znaną, ale w drugim rzędzie cenioną wielkością. Lecz bronić tej wielkości, przeczuwanej głównie z uroku jej surowych moralnych zasad, umiano po największej części tylko nowoplatonńskimi teoryami. One występowały na pierwszy plan nie tylko z tego przytułku, który znajdowały w bardzo esencjonalnych naukach św. Augustyna, ale rozpowszechniały się też za pośrednictwem dwóch pisarzy może najpopularniejszych w średniowieczu: Boecyusza i Dyonizjusza (pseudo-) Areopagity. Doniosłość owych nowoplatonńskich domieszek do znanego średnim wiekom Platona wystąpić może na jaw dopiero po sprawdzeniu szczegółowem stanu rzeczy, co to były za domieszki, jaki przynosiły materiał i jaką formę metod odrębnych.

Tu wypada powtórzyć, i motywując szerzej, rozwinąć zaopatrywanie (wypowiedziane już dawniej¹) o epokowem w dziejach

¹ W rozprawie „O stałych czynnikach rozwoju duchowego człowieka“.

myśli chrześcijańskiej znaczeniu zwrotu od Platona ku Arystotelesowi. Nietylko dla filozofii, ale zarazem dla całej kultury, dla następującego rozkwitu sztuk, a wreszcie i nauk doświadczalnych wyjątkowe ma znaczenie owa chwila. Wprawdzie chrześcijaństwo nigdy nie wyznawało tak nieprzejednanego dualizmu ducha i materii, jak Platon. Od tej chwili jednak objawia się dążność ku pogodniejszemu ujęciu świata widzialnego, już nie zapomocą odosobnionych zastrzeżeń, jakich i u św. Augustyna nie brakło (np. że dobrą w sobie musi być każda rzecz, jako stworzenie boże), ale wyzwalając się stanowczo od systemu, który mu od kolebki dostarczał dla jego wierzeń, jeżeli nie dowodów, to uprzysiężeń i rozjaśnień rozumowych. Poczucie niezależności krzewiły w jednostkach teorie nominalistów, głosiły bowiem, że jednostka jest bardziej rzeczywistą, niż ogół. Z drugiej strony mistyczne kierunki uczucia nakazywały jednostce samodzielną pracę moralną nad sobą. Dzięki poczuciu temu, arystoteliczna forma, tkwiąca w materii i uszlachetniająca ją, mogła znaleźć przychylniejszy dla siebie grunt w umysłach, aniżeli platońska idea, od jednostek oderwana i obojętna dla nich, o ile są jednostkami. W epoce św. Augustyna ludzkość, dumna dziełami pogańskiej kultury, potrzebowała nawoływań do pokory. W miejsce wadliwej budowy społecznej wiara we wpływ wyższy, w ratunek z góry stała się jedyną kotwicą życia moralnego. Teraz zaś, gdy powstawały inne formacje społeczne, musiała budzić się otucha w siły indywidualne i wśród rozwijania ich krzepiło się przeświadczenie o wielkiej godności każdej ludzkiej osoby.

Ale całość arystotelizmu nadciągała do świata chrześcijańskiego z dwóch źródeł, które gorliwym wyznawcom wiary bardzo podejrzanym go czyniły. Przybywała z rąk arabskich komentatorów, którzy jej nadali cechę wybitnie naturalistyczną, kształcąc przedewszystkiem system fizyczny, lekceważąc zagadnienia moralne, a na niektórych punktach depcąc je tak, jak to zwykli praktykować panteizm. Grunt, sposobny na przyjęcie metafizyki i etyki Arystotelesa, był wprawdzie przygotowany w świecie zachodnim przez prace Abelarda, przez jego konceptualizm, daleki od panteistycznych i fatalistycznych skłonności Arabów; ale ten sy-

stem Abelarda na punkcie swej prawowierności wobec duchownych kół, pielęgnujących filozofię, nie najlepszymi mógł się wykazać tradycjami. Znanе są też obostrzane długo zakazy, szczególnie przeciw wykładom fizyki i metafizyki Arystotelesa. Wśród tych warunków, aby dostępniejszym duchowi chrześcijańskiemu mógł się stać Arystoteles, w opatrnościowy sposób nadawał się osobny kierunek myśli, nowoplatonizm Proklusa, który pojęciami Stagiryty napojony, tłumaczył je idealistycznie i także w etyce swej dalekim był od owego atomizmu, z jakim nominaliści wyrwali prawa i przeznaczenie jednostki ludzkiej z ramion wyższego zbiorowego pojęcia. Takim kierunkiem jest wogóle cały nowoplatonizm — do Arystotelesa zaś zbliżenie szczególne objawia w dwóch swych prawie współczesnych przedstawicielach z V. wieku, pogańskim Proklusie i chrześcijańskim Dionizyuszu t. zw. Areopagicie.

Idealizm nowoplatonczyków jest nie tylko etycznym, jak ich nominalnego mistrza, Platona, ale jest zarazem idealizmem w teorii poznania, do którego Platonowi bardzo jeszcze było daleko. Pierwsze tegoż idealizmu ślady, niedość wyraźne, raczej u Arystotelesa odnaleśćby się dały. Wszak bliżej się jest takiego krytycznego ujęcia rzeczy, gdy formę jako istotę rzeczy uznaje ktoś tylko w rzeczach i w umyśle, odrywającym formę od materii, niż gdy wyobraża sobie tę istotę jako rzeczywistą w sobie, niezależną od rzeczy ani czyjegokolwiek umysłu: bożego, czy ludzkiego. Takie zaś wyobrażenie zdaje się nieraz wypowiadać Platon. Nowoplatonizm, wzbogacony niewątpliwie doświadczeniem akademików i stoików, wywyższa świat duchowy jako trwalszy i aktualniejszy, ale nie k'woli znamieniu konieczności logicznej, zawartemu w rozumowaniach i umożliwiającemu stałość pojęć (motyw najżywiej przytomny Platonowi), lecz dlatego, że ten świat jest życiem naszego wnętrza, bezpośrednio nam danem i jako najbliższy najpewniejszym. Z tym krytyczno-idealnym dodatkiem przybywa Platon do świata chrześcijańskiego już w pismach św. Augustyna. Zabarwiona jest nim Boecyusza teoria o Opatrzności, tak żywo chrześcijan obchodząca. Makrobiusz i komentarze do Tymeusza również ją szerzą. Ale w zamkniętej

swej, odrębnej argumentacji teoryje nowoplatoniskie dostają się do Europy zachodniej dopiero z przekładami Proklusa, dokonywanymi prawie w tym samym czasie, co przekłady Arystotelesa, wprost z greckiego. Wtedy działanie ich kombinuje się z wpływem Areopagity, który już wprawdzie znany był z przekładu Skota Erygeny, ale dopiero od niedawna u mistyków z S. Victor znalazł nowe zrozumienie i pozyskał wagę dla nauki o Bogu, równie jak dla etyki taką, jakiej nie posiadał dawniej.

Aby uwydatnić, jak dalece pożądanymi dla chrześcijańskiego arystotelizmu były pewne pierwiastki, zaczerpnięte z teoryi poznania, etyki i psychologii tych trzech pisarzy: Proklusa, Dyonizjusza i Boecyusza i jak się wyrażnie, zwłaszcza w drugim największym chrześcijańskim perypatetyku, św. Tomaszu z Akwinu, wyrwały, przypomnijmy spuściznę pojęć, objętą przez Alberta i Tomasza po mistycyzmie Wiktorynów i zróbmy przegląd głównych punktów, na których zapaliła się walka z awerroistyczną i wogóle arabską interpretacją Arystotelesa.

W wywyższeniu istoty bożej i dotyczących jej tajemnic ponad siły poznania, niestrudzonym jest szczególnie Areopagita; ale i jego pogański nauczyciel, choć u niego rozum nie miał do walczenia z takimi zagadkami wiary, wznosi w duchu swych poprzedników Numeniusza i Plotina, dobro i jedno ponad umysł.

Nie powinniśmy się dać unieść poszczególnymi jaskrawymi wyrażeniami nowoplatonczyków, z którychby można wnioskować, że Boga uważali za jakąś potęgę ogołoconą z rozumu. Oni starali się o ile możliwości w swem pojęciu wznieść Boga ponad świat i dlatego niedostatecznymi i ułamkowymi są im wszystkie atrybuta doskonałości, zaczerpnięte z zalet w świecie się znajdujących. Ale właśnie tę niemożność objęcia natury bożej i zgłębiania jej tajemnic uczynili najwięksi chrześcijańscy perypatetycy jedną z podstaw poglądu swego na świat. Wykonali to nie tylko w antytezie do arabskich współadeptów Stagiryty, ale nawet, jeżeli nie polemizując, to śmiało tłumacząc św. Augustyna wszędzie, gdziekolwiek zdawało się, iż stoi w drodze takiemu zapatrywaniu. Kto czytał konfesye św. Augustyna, przypomni sobie niezliczone miejsca, gdzie się ich autor zwraca do Boga, jako do pierwszej

prawdy i do czystej światłości duchowej. Otóż św. Tomasz bardzo często tłumaczy te wyrażenia i dowodzi ze szczególną usilnością, że one wcale nie znaczą, jakobyśmy mieli wrodzone poznanie Boga — owszem, jakkolwiek On sam w sobie jest taką światłością i dawcą wszelkiego innego duchowego światła, my Go tylko częściowo poznać możemy. O istnieniu Boga upewnia się i do rozjaśnienia natury Jego zmierza nowoplatonizm na drodze od augustyniańskiego platonizmu odmiennej, i to odstępującej nie na mało znaczących punktach.

W jaskrawszym jeszcze kontraście stoi jego metoda dowodzenia i poznawania Bóstwa ze sposobem, jaki sobie obrał najkonsekwentniejszy i najsamoistniejszy arabski arystotelik, Awerroes. Augustynowi nie obcą jest droga wnioskowań o Istocie najdoskonalszej z faktu, iż widomy świat przedstawia szczyble istot, coraz samodzielniejszym i intensywniejszym obdarzonych życiem. Lecz jak w zapatrywaniu jego na człowieka przeważa pamięć o słabości i zależności ludzkiej jednostki od łaski bożej, tak nad (aposteryorycznem) niedość silnem i pewnem wnoszeniem z cech człowieczeństwa na cechy Bóstwa przeważa u niego owa (apryoryczna z góry) intuicja oświecającej prawdy, jako siły potężnie władającej człowiekiem i warunku niezbędnego dla jego myśli. Tą prawdą jest mu Bóg i nie trzeba mu innego na Jego istnienie dowodu. U Arabów jest przeciwnie dowodzenie Boga prawie wyłącznie fizykalne. Im wystarczy wskazać na to, że konieczny jest pierwszy motor — nie w czasie, skoro przyjmują wieczność ruchu, ale w porządku układu niebieskiego. Z mitycznych inteligencji, poruszających kręgi niebieskie, nie trudno jest im potem wywnioskować, że ponad tymi kręgami stać musi jakaś inteligencja najwyższa o naturze czysto aktualnej, wszechpotężna. W ten sposób ocalona jest duchowa natura pierwszego motora, ale zapomocą założeń, wykopujących przepaść między istnieniem i ciałami na ziemi a poza ziemią — założeń, które miał obalić nasz Kopernik. Ciągłość i regularność ruchów w owych sferach, dla nas zrozumiała z praw bezwładności, w oczach Arabów wydawała się niemożliwą bez czuwających nieustannie umysłów i to nad każdą sferą zosobna.

Zanotujmy nawiasowo, jak się charakterystycznie odwróciły stanowiska ówczesnej i dzisiejszej fizyki niebieskiej. Dla arabskich filozofów ruch wieczny był czemś przez się rozumiałem, gdy taką mechaniczną funkcją motorów duchom wyznaczyli. Dla nas rzeczą trudniejszą do wytłumaczenia niż regularność obrotów jest pierwsza siła rzutu, nadana materji, która musiała się skombinować z przyciąganiem, aby ruch kołowy mógł powstać. Ale jak owa mniemana ochrona duchowej natury pierwszego motora dokonała się zapomocą tak kruchych fizykalnych wyobrażeń, tak owa duchowość poruszających inteligencyj okaże się nam po bliższem rozpatrzeniu się w rzeczy ułamkową, jednostronną abstrakcją. Nie mamy prawa wyciągać obrazu natury czysto duchowej, jak tylko z naszego wnętrza, i jedynie na podstawie tego, co w nas jest wolnem od materji, przypuszczamy coś doskonalszego. Ogołoconą jest zaś owa duchowość u Arabów z natury moralnej, niema cech dobroci, jestto czysta wiedza, myślenie. W duchowej naturze naszej, którą jedynie zbliżka znamy, taka emancypacja funkcyj logicznych od wszelkich pobudek moralnych da się tylko wykonać *in abstracto*. To znaczy: nie w historycznym rozwoju myśli ludzkiej, ale przy ogólnem, do formalnej loiki należącem traktowaniu procesu myślenia, można brać myśl jako fakt niezależny od poruszeń uczucia i woli. Ale gdy staramy się oprzeć na podstawie bardziej konkretnej, musimy uznać, że rozwój umysłowej natury człowieka był i jest związany nierozdzielnie z drugą równie pierwotną stroną jego natury, moralno-społeczną. Stanowisko pozytywizmu, przeciwne wszelkiemu odróżnianiu rzeczy doskonalszych i mniej doskonałych, porównane z taką abstrakcyjną, odosobniającą pewne strony fenomenów metodą, jest już o wiele więcej uzasadnionem. „Jakiem prawem stawiacie, jako energię najwyższą i zdolną do oddzielnego bytu tę myśl, która u was, ludzi, mogła się wyrobić jedynie w społecznem pożyciu, a bez węzła sympatyj, bez obyczajowego ładu nie stałaby się była nigdy czemś trwalszem i ogólniejszem, jak zwierzęce kompleksa spostrzeżeń? Trzeba i tej sympatyj, tym normom obyczaju przyznać jakąś potęgę i pochodzenie wyższe, jeżeli je dla myśli windykujecie, i silniej

uzasadnić taką windykację albo odmówić wyższego źródła obojgu zarówno t. j. i poznaniu i moralności⁴. Dla Islamu przepaską na oczach była etyka, zawarta w jego religii, która myślicielom arabskim nie dała ani przeczuć, czem w rozwoju ludzkim jest wzajemna miłość jednostek i jaką wskutek tego wartość przybiera każda z nich. Bez tej zaś wartość i myślenie najwyższej inteligencyi w ludzkim świecie jest jedynie obmyślaniem biegu życia w ludzkim gatunku, a nie Opatrznością interesującą się losem każdego człowieka. A takie pojęcie o Opatrzności nadaje dopiero Bóstwu cechę moralną.

Nowoplatonizm wynosi, jak wiadomo, dobro ponad myśl, wierny w tem pewnemu kierunkowi czy stadyum w dziejach systemu Platona samego; i dlatego u nich musiała Opatrzność, najszerszą natchniona miłością, wznieść się do znaczenia momentu pierwszego w Bóstwie, przeważającego nad oderwanem w ogólnych pojęciach myśleniem. Wprawdzie owo wywyższenie dobra ponad myśl, pociąga za sobą u samego założyciela szkoły, Plotina pewien nastrój, pozornie dla pojęcia Opatrzności bożej nieprzychylny. „Dobroć i jedność nad umysłem“ brzmią dla słuchacza, niewtajemniczonego w cały charakter nowoplatonizmu, panteistycznie. Te wyrwane z całości twierdzenia zyskiwały mu w nowożytnym panteizmie zwolenników. Ale one są jedynie echem dotkniętego już wyżej mistycyzmu i granic w poznaniu Boga dobrowolnie sobie zakreslonych. Z dalszego toku będzie widocznem, jak odległym był nowoplatonizm od pojmwania Bóstwa naturalistycznie, to znaczy zapomocą podobieństw i obrazów, czerpanych gdzieindziej, jak we fenomenach świata duchowego. Wznosząc dobro i jedno ponad myśl, nie myślał Plotin, a o wiele mniej jeszcze Proklus, czynić tego dobra ślepą siłą, ale wyobrażał je sobie jako coś, co w pełniejszy i doskonalszy sposób zalety umysłowej natury w sobie zawiera, bez znanych z doświadczenia ludzkiego ułamków i jednostronności tejże. Tak przyznając miłosiernej Opatrzności bardzo poważne w ramach swych miejsce, po kilkakroć oddał nowoplatonizm przysługi chrześcijaństwu, zaiste wbrew intencji swych założycieli. Jak św. Augustynowi dopomógł otrząsnąć się z manicheizmu, jak Boecyu-

szowi, zachodzącemu słońcu klasycznej myśli, przyświecał w konsolacyi, w tem pięknem przejednaniu starożytnych myśli z poglądami chrześcijańskimi, tak w XIII. wieku przeciw arabskiemu fatalizmowi i naturalizmowi pod płaszczykiem perypatetycznym, dał pożądany wał ochronny, dopóki myśl i kultura chrześcijańska same w sobie pozytywnej mocy w odpowiednim kierunku nie wyrobiły. Świadectwem tych przysług są komentarze i tłumaczenia pewnych pism Proklusa („o Opatrzności“, „o złem“), równocześnie z pierwszym przekładem Arystotelesa wprost z greckiego dokonane.

Psychologia dawna zaprzęta się, jak wiadomo, głównie klasyfikacją procesów wewnętrznych; opisuje i przeciwstawia jedno drugiemu, poszczególne ich formy, podczas gdy o przyczynowość materyjalną, t. j. o mechanizm psychiczny, według którego praw wiążą się i komplikują najprostsze elementa, prawie wcale nie dba¹. We formie zaś owej procesów najsilniej uderzał ją od czasów Platona kontrast myślenia i spostrzegania. Charakterystycznym dla systematu każdego jest: co w jego oczach najradzykalniej funkcyę jedną od drugiej odróżnia. Platona realizm (t. j. przyznawanie rzeczywiście przedmiotowi pojęć i to bez zastrzeżeń), Arystotelesa zasługi około loiki formalnej, nowoplatonczyków krytyczne, wzbogacone pracą akademików i stoików stanowisko, doskonale się tu odzwierciedlają. U Platona różnica spostrzeżeń i myśli na tem spoczywa, że przedmiot, uchwycony w spostrzeżeniu, jest zupełnie czemś innem: zmiennym pozorem, podczas gdy przedmiotem myśli jedynie jest byt trwały. Arystoteles kładzie nacisk na czynność myślenia odrywającą od jednostek wspólne cechy t. j. na abstrakcyjną, ogólną naturę tegoż. Perypatetyzm arabski płynie niepowściągnięty do najdalszych granic w tym kierunku i miał umysłowi z czasem wszelkiej indywidualności odmówić. Jednostronnie mając na oku tylko ów punkt widzenia, dochodziło się

¹ Mamy tu na myśli przedewszystkiem mechanizm poruszeń uczuciowych. Ale i powstawanie wrażeń zmysłowych tłumaczono wtedy drogą zbyt prostą i łatwą, przez czyste przejęcie ze świata zewnętrznego.

istotnie wkońcu do nieprzejednanego przeciwieństwa między jednostkowym istnieniem a myślącą naturą. U nowoplatonczyków i tych, co od nich pełną ręką czerpali — jak św. Augustyn, a jeszcze więcej Areopagita — myślenie wręcz odwrotnie znamionuje się przez spotęgowaną indywidualność i zwrot ku sobie, a więc przez bardziej wewnątrz jednolitą i zaokrągloną, na zewnątrz bardziej czynną a mniej przyjmującą t. j. mniej bierną organizacją. Tym akcentem, położonym na naturę myślenia refleksyjną, na kierunek jego wgłąb ku sobie zatopiony, a nie zewnątrz w czemś obcem gubiący się — nowoplatonizm wyrobił w sobie warunki, aby w odpowiednim przełomowym momencie dla dziejów myśli być najdzielniejszym obrońcą jednostki duchowej, pożądanym i skutecznym sprzymierzeńcem tomizmu w jego walce z Arabami, co ducha rozumnego i nieśmiertelnego umieszczali poza bytem jednostkowym przynajmniej poza ludzkim. W jaki sposób umysł aktualny (*intellectus agens*), pojęty w zupełnem oddzieleniu i oddaleniu od jednostki, zdolnym jest oświecić t. j. przekształcić spostrzeżenia jednostki bez zawartego w jej własnej głębi czynnego zarodu t. j. własnego umysłu? Arabom to nie przedstawiało trudności, skoro procesy psychiczne wyobrażali sobie wiernie według analogii fizykalnego mechanizmu. W tajemniczem medium z jednego podmiotu myślącego w drugi przepływające i gwałtem się wciskające pojęcia nie były im psychologiczną zagadką. Fantazmata pod grubym, jednostronnie przyrodniczym wzrokiem z wewnętrznych stanów przekształciły się w istne jakieś rzeczy subtelne.

Nowoplatonizm w wieku Plotina wołał przed takim błędem ustrzedz się przez drugą skrajną ostateczność. Tam natura duchowa jest jednostce nie tylko czemś wrodzonym i bardziej własnym, niż wszystko inne, ale jedynie do niej naprawdę przynależnem. Konglomerat zaś materyalny, składający jej ciało, jest tylko słabem echem prawdziwego bytu, który natura duchowa posiada, i graniczy ze zwodniczą uludą. Ale kto tak odsuwa, jakby przedmiot pogardy, całą jedną stronę naszej egzystencji, towarzyszącą wszelkiemu wyrabianiu jakiejs wyższej treści w jednostce, w jaki sposób potrafi uczynić prawdopodobnem, że in-

indywidualność duchowa nie ginie ze śmiercią? Wszak na tę indywidualność składa się i konstytucja fizyczna. Jeżeli więc dla duszy jest obojętnem i przypadkowym, czy ona jest przyodziana w ten organizm czy ów, to także owe właściwości indywidualne charakteru, które zawdzięczamy naszemu organizmowi, nie powinnyby przetrwać zgonu i w miejsce konkretnej świadomości swego „ja“ nieśmiertelnem byłoby tylko jakieś ogólne bezbarwne „ja“ Fichtowskie.

Helenizm zresztą, zamknięty w kole swych myśli i swych konsekwencji, nie miał nigdy zapędu do podniesienia i wyzwolenia jednostki z duchowego jej otoczenia. Wielkim był zawsze tylko przez głębokie rozumienie i odczuwanie wartości takiego środowiska. Nowoplatonizm Plotina jest w tym duchu ostatniem konsekwentnem słowem greckiej myśli, choć niekoniecznie jej zenitem. Takiego wyrazu charakterystycznie greckiego dla etycznych potrzeb ducha nie znajdujemy już w dalszych stadiach nowoplatonizmu. Jamblich pogrąża się bez opamiętania w te mistyczne praktyki orientalne, przeciw którym jeszcze usiłował reagować Plotin. U Proklusa zaś w miejsce poetycznej spekulacji Plotina rozpanoszyła się sucha erudycja i lamigłówni oderwanej dyalektyki, która służyła za wzór Hegłowi. To, co jest najzdrowsze u niego: usiłowanie pogodzenia Arystotelesa z Platonem nie przekroczyło w rezultatach swych miary powierzchownych kompilacyj i nie może uchodzić za wyraz jakiegóż głębokiej potrzeby w ówczesnym świecie helleńskim. W naturze późniejszego nowoplatonizmu widnieje tem silniej pokrewieństwo duchowe z dążeniami średniowiecznego scholastyizmu.

To chwieianie się między kontrastami, które chciano przejednać i powiązać, można doskonale obserwować na przykładzie dwóch pisarzy, którzy snuli dalej wątek nowoplatonickich myśli, a obaj ogromnym w wiekach średnich cieszyli się wpływem: Dyonizyusz t. zw. Areopagita i Boecyusz. Wraz z nimi wkraczamy na pole zasad etycznych, które cechują szczególnie poglądy tych dwóch ludzi na powszechny porządek i ład świata. Niezmierznie pouczającymi są delikatniejsze nawet odcienie różnic w charakterze obu tych osobistości i ich pism. Zanotujmy na począ-

tek, że mamy przed sobą „ostatniego Rzymianina“ i jednego z ostatnich Helenów, który przy całym swoim stylu napuszystym i przesadnym, przejęty jest w rzeczach bardzo istotnych, jak to zobaczymy, duchem nawskróś greckim. Pomni na tę różnicę narodowości, skłaniamy się do tego, by jej przypisać charakterystyczne cechy obu pisarzy. Czy nie jest takim wiernem echem różnicy owej wygórowana ocena, jaką autor „Pociechy“ zaszczyca wystarczające sobie życie filozofa i dumny indywidualizm, który ztąd widnieje, a miał oddawna ognisko w rzymskim stoicyzmie, a po drugiej stronie poetyczny nastrój teologii Dyonizjusza, w którego oczach nadziemska egzystencja największą piękność czerpie ze wspólnego duchowego życia? Tam nikt nie działa ani żyje wyłącznie dla siebie. Jednak błędem byłoby ów indywidualizm Boecjusza chrzcić mianem specyficznie rzymskiego i stoickiego. Z uderzająco podobnem zjawiskiem spotykamy się na pierwszych kartach ennead Plotina. Boecyusz, pełną ręką czerpiący od nowoplatonczyków pojęcia o Opatrzności, o dobrem i złem, dał się i tu natchnąć ich krytycznemu idealizmowi, gdy w tak energiczny sposób ożywił tradycyjnie rzymską i stoicką myśl o wystarczającym sobie mędrca.

Wiemy, jak dla tego idealizmu znamieniem wyższości natury ludzkiego ducha był tegoż byt samodzielniejszy, niż duszy zwierzęcej, w siebie uwagę powracający i pracujący nad sobą. Rażą ucho chrześcijańskie, jako deklamacye pogańskiej dumy, tyłokrotne wezwania Plotina, by niczem nie dać się zmiękczyć, nie zabołec nawet nad nieszczęściem, hańbą i upadkiem swych najbliższych. Jednak w wieku smutnych warunków społecznych naturalną była taka reakcyja ducha przeświadczonego o swej wartości i sile. A nie danem mu było jeszcze wypielegnować przez wiarę poczucia własnych win i błędów, oraz zależności od prawdziwie i jedynie doskonałej, ogarniającej duchowej mocy. To ostatnie stanowisko jest zasadniczem znamieniem osobistości i pism św. Augustyna. Zasługa i godność stworzeń duchem obdarzonych odniesiona jest w tym systemie pojęć nie do samodzielnej ich energii, ale do łaski bożej prawie wyłącznie.

Boecjusza nastrój chrześcijański, da się wprowadzić stwier-

dzić w samej konsolacyi i przywrócono mu też w ostatnich czasach najmocniejszymi dowodami (Hildebrand) autorstwo pism teologicznych. Ale w układzie nawet tych ostatnich, nie wyjąwszy dziełka *De trinitate* — co już samym tytułem zdawałoby się wskazywać na wzór św. Augustyna — spotykamy się raczej z filozofem, delikatnym i baczny w definicyach, by takowe nie postawiły dogmatu w świetle absurdu rozumowego, niż z wyznawcą, któremu by słowa objawienia przyświecały i drogę na każdym kroku torowały. Boecyusz uprzedza scholastyków XIII. wieku. Próbuje rozmierzyć taki horyzont dla ducha swego, w którymby rozum mógł bezpiecznie i według własnych jedynie praw się obracać. Poza granicami jego, przed tajemnicą wiary schyla kornie i milcząc czoło, a rozprawia się tylko z tymi, którzyby mu wiarę tę wydrzeć chcieli, dowodząc, że jest niedorzeczną. Jako taki rzecznik autonomii rozumu, Boecyusz jest zarazem w etyce swej indywidualistą, dając jednostce za pocieszyciela i kierownika jej rozum. Byłe rozum od mętów namiętności, od pobudek utylitarnych, w ciasnem kole praktycznem umiał się oczyścić, ta autonomia jego nie będzie między ludźmi wykopywać przegród ani wzbijać jednostki w zarozumiałość i próżność — lecz uszlachetni i podniesie w wartości każdą z nich. To, co w życiu duszy taką królewską nad innymi elementami ma władzę, jest w poglądzie Boecyusza dziecięciem najwierniej uległem dla owego ogarniającego królewskiego rozumu, na którego rządach wszelki ład w świecie stoi. Na tym punkcie miarkuje się i rozszerza wspomniany etyczny indywidualizm.

Równocześnie praktyka filozoficzna, która u Rzymian zawsze, a u stoików z taką jaskrawością wypychała na drugi plan teorię, podporządkowuje się tej ostatniej, niezawodnie pod wpływem nowoplatonizmu, który i owej autonomii rozumowej dał był nowe soki żywotne. Naprzód praktyka ta królowania rozumu we własnem wnętrzu najcenniejszą staje się autorowi przez to, że daje mu przeczuć i ocenić rządy wyższego rozumu.

Ale najgłówniejsze jest to, że forma i układ całej „konsolacyi“ tkwi w szukaniu pociechy na porażki w życiu; — a to jakim sposobem? Nie jakąś radą lub nadzieją, iż się cośkolwiek

w praktyce osobistych zabiegów poprawić może, — ale czystem widzeniem pewniejszych i rozumniejszych rządów Opatrzności. Zatem samo poznane dobro czyli piękność¹ jest tu sprawczynią radości: podnoszącą z cierpień i na siłach ducha trzymającą potęgą.

Tę samą drogę pociechy, wzbogaconą jedynie zapasem historycznych doświadczeń i problematów do rozwiązywania ujrzymy w Dantem. Tam pokrewną myśl zawiera ów wykrzyk podziwu, połączony z trapiącym pytaniem:

Choć niebo wam swą wieczną piękność pokazuje,
Mimo to wzrok i serce ziemia przywiązuje.

Tu się wyraża przekonanie, że poznana piękność uczuć i czynów a nie sama ich pożyteczność jest pobudką prawdziwie moralną i skuteczną. Sędzią kompetentnym uznany tu nie rozsądek praktyczny z osobistymi celami, ale umysł, spragniony oglądania harmonii i ładu zarówno w ludzkich stosunkach, jak w przyrodzie.

Ogólnie przyznawano oddawna ogromny wpływ Boecyusza na powstanie dantejskiego poematu. Powyżej dotknięty charakter jego etyki, która też ogromnie i cały tomizm zabarwiła, czyni zrozumiałym szczególnie pewien dualizm zasadniczy dla Dantego, a nawet zgoła dla całego średniowiecza, dziś wielokrotnie krytykowany jako brak spójności w myślach. Indywiduum, co z taką siłą przeciw osobistym kolejom reaguje i szuka osłody na nie, ale wbrew tej wrażliwości indywidualizmu, nie w czemś jemu wyłącznie przynależnem, tylko w prawdach ogólnych i powszechnych wierzeniach — jest nawskróś dziecięciem ostatniego wielkiego systemu starożytnego w tem wszystkiem, co rozumowo uzasadniało ten sposób osiągania ulgi.

(Dok. nast.).

Dr. Witold Rubczyński.

¹ Patrz definicyę piękna, podaną przez Jungmanna w jego *Estetyce*. Innsbruck 1879.

„LASKA MARSZAŁKOWSKA“

SARBIEWSKIEGO.

STUDYUM KAZNODZIEJSKO-LITERACKIE.

W roku 1620 drugi z rzędu syn sławnego hetmana i wojewody Lwa, a od niedawna marszałek W. Ks. Litewskiego, Jan Stanisław Sapieha, wstępował w związki małżeńskie z córką „litewskiego Marsa“, Anną Chodkiewiczówną. Akademia wileńska i kierownicy jej Jezuici, chcąc okazać swą wdzięczność względem tych dwu potężnych, łączących z sobą się rodów, których wpływowi, poparciu, jakoteż hojnym ofiarom i fundacyom zawdzięczali w znacznej części wybitne swe stanowisko na Litwie, złożyli w ofierze młodej nowożeńczej parze łaciński panegiryk poetyczny pod tytułem: *Hymenodora*, którego autorem, w znacznej przynajmniej części, był ówczesny profesor poetyki, młody Sarbiewski ¹.

W pięknym — szkoda tylko że panegirycznie przyprawionym — wierszu wstępnym, którego swobodna miara wierszowa i dźwięczne tony przypominają późniejszego autora Sylwiludyów, śpiewał wówczas poeta:

¹ R. P. M. C. Sarbiewski poemata ex vetustis manuscriptis et caviis codicillis in unum collecta. Vilnae 1757 (wyd. Naruszewicza), str. 57.

Regalis solii qui gerit indicem
 Virgam, qui patriae fulget honoribus,
 Quem sedes sibi destinat curulis
 Ioannes sociat toro Sapieha,
 Littavici Martis Caroli natam:
 Ergo nutrix gloria mentis
 In orbitae tereti globo
 Toros alumni concine
 Perpete plectro
 Perpete sistro.

Pisząc te słowa, nie przeczuwał Sarbiewski, że po 15 latach w tem samem Wilnie wypadnie mu stanąć nad trumną zmarłego marszałka, i patrząc „na rozrzucone ułamki“ tej marszałkowskiej jego laski, którą śmierć skruszyła przedwcześnie, zawołać słowami proroka: *Quomodo confracta est virga fortis?*

Tak się jednak stało. W roku 1635 dobrze zasłużony koło ojczyzny a wślawiony dwukrotnem poselstwem na dwór austriacki Ferdynanda II., w 50 roku życia rozstał się ze światem Jan Stanisław Sapieha — a Sarbiewski, ówczesny profesor Akademii wileńskiej i dziekan teologiczno-filozoficznego wydziału, po długich wymówkach i ociąganiach się uległ nareszcie prośbom brata zmarłego, Kazimierza ¹, i przyjął na siebie mowę pogrzebową, którą też powiedział we Wilnie w kościele Klarysek św. Michała, gdy spuszczać już miano zwłoki marszałka do familijnej krypty Sapiehów.

Jeszcze w lipcu tego samego roku, na ponowne żądania rodziny ogłosił Sarbiewski w drukarni akademickiej we Wilnie to pogrzebowe kazanie, i dał mu tytuł, zredagowany w stylu panegirycznym XVII. stulecia. Tytuł ten w skróceniu brzmi jak następuje:

Laska marszałkowska, na pogrzebie JW. Pana Jana Stanisława Sapiehy, Marszałka W. X. Lit., Stolinńskiego, Błudzńskiego, Markowskiego Starosty, w Wilnie, w kościele Panien zakonnych św. Klary... wystawiona przez ks. Macieja Kazimierza Sarbiewskiego Soc. Iesu...

Współczesnych zachwyciła ta mowa. Nazywali ją „pomnikiem głęboko wykształconego umysłu“, a niewątpliwie świadek

¹ Przedmowa i dedykacja „Laski marszałkowskiej“.

tych czasów, jezuita Cieciszewski, zapewnia¹, że usłala ona drogę Sarbiewskiemu do tak świetnego i zaszczytnego stanowiska, jakim był urząd nadwornego królewskiego kaznodziei, opromieniony świeżym jeszcze blaskiem takich imion, jak wielki Birkowski i nieśmiertelny Skarga. Tenże sam Cieciszewski pragnąc, aby ta mowa stała się przystępną jak najszerszym kołom czytelników, tłumaczy ją niedługo potem na język łaciński i usilnie o to się stara, by w niczem nie zatrzeć wartości oryginału²; ktoś nawet ze współczesnych pierwsze ustępy tej mowy przerabia do kazania pogrzebowego, czy też do mowy żałobnej na śmierć króla Władysława IV³.

A i potem jeszcze echo tej „Laski marszałkowskiej“ żyje dość długo w naszej literaturze;—przynajmniej przez wiek cały napotykamy różne ślady, które twierdzenie to uzasadniają. I tak: Antoni Czerniewski w przedmowie do swych kazań chlubnie ją wspomina i niektóre jej myśli powtarza⁴; liczni kaznodzieje, nie mając dosyć na polskim i łacińskim wydaniu tejże mowy, przepisują sobie ją dla własnego użytku i przechowują w swoich notatkach⁵; w sto lat wreszcie po śmierci Sarbiewskiego przedrukowuje ją po raz wtóry uczony Jan Fryderyk Sapieha w swojej „Swadzie“, wydanej w r. 1745 w Lublinie, pod imieniem Jana Ostrowskiego Daneykowicza.

Kiedy epoka panegiryczna dobiegła swego kresu i ustąpiła miejsca nowym prądom literackim i artystycznym, giną wszelkie ślady większego zajęcia się tem, tak zachwalanem niegdyś Sarbiewskiego kazaniem. W naszych czasach, oprócz krótkich wzmianek po literaturach, jeden tylko Mecherzyński w cennem

¹ W przedmowie do tłumaczenia łacińskiego „Laski marszałkowskiej“, o którym niżej.

² *Scipio marschalcalis... a P. Alberto Cieciszewski latinitate donatus*. Vilnae 1645. — Rzadka ta książka znajduje się w Bibliotece Ossolińskich we Lwowie.

³ Rkp. Bibl. Ossol., nr. 400, na str. 321.

⁴ Czerniewski, „Strzały Jonaty“. Wilno 1728.

⁵ Do dziś dnia przechowało się jeszcze wiele takich odpisów z XVII. i początków XVIII. wieku; wspomnę tylko rkp. petersburski (Q. I. 107) i krakowski w Bibl. Jagiell. (2285, AA. VII. 60).

swem dziele o „Historyi wymowy w Polsce“ z konieczności rzeczy poświęcił parę stronic „Lasce marszałkowskiej“, zaznaczając, że autor jej, jako kaznodzieja, należy już stanowczo do epoki upadku i że posiada te główne cechy ujemne, które znamionują mowców pozygmuntowskich ¹.

Poco więc właściwie wydobywać z pyłu bibliotek to zapomniane już kazanie i analizować tę szczupłą — niezbyt zdaje się świetną — spuściznę kaznodziejską znakomitego zresztą poety? Godzi się zapytać, czy praca takowa ma wogóle jaki cel i jakikolwiek pożytek?

Sądźmy, że tak. Głębsze zaznajomienie się z Sarbiewskim-kaznodzieją może dorzucić parę nowych rysów do obrazu Sarbiewskiego-poety i lepiej uwydatnić z odmiennego nieco punktu widzenia tę ciekawą a niedosyć jeszcze u nas zbadaną postać poety, humanisty i zakonnika. Przytem zdaje nam się, że „Laska marszałkowska“ może rzucić choć trochę światła na rozwój panegiryzmu i makaronizmu w naszej literaturze. A jestto rzecz niezmiernie ciekawa poznać, jak ten nowy kierunek przyjmował się w umysłach, jak stopniowo i coraz głębiej wsiąkał w grunt współczesny, o ile głębsze talenta o silniejszym indywidualizmie poddawały się tym nowym prądom, o ile jeszcze oprzeć się im zdołały, jak wreszcie potężną i natarczywą musiała być ta fala, kiedy ugiął się pod nią ten Sarbiewski, którego wykwinność i artystyczną miarę tak słusznie podziwiamy w poezyi.

Dodać należy, że i z kaznodziejskich względów zasługuje „Laska marszałkowska“ na osobne studjum. Wśród jaskrawej gry kłócejących się z sobą kolorów, które stanowią typowe tło literatury kaznodziejskiej XVII. stulecia, występują w niej nieraz takie świetne obrazy, takie oryginalne pomysły krasomówcze, czasem nawet taka potęga i siła, iż szczerze żałować przychodzi, że to pogrzebowe kazanie jest jedynym, niestety, znanym nam polskim zabytkiem wymowy Sarbiewskiego.

Będzie naszym staraniem podnieść w niniejszej rozprawie dodatnie i ujemne strony wymowy Sarbiewskiego, a zarazem

¹ „Hist. wymowy w Polsce“, t. II.: Czasy Zygma. Kraków 1864, str. 434.

wytłumaczyć to niezrozumiałe dzisiaj zjawisko, jak mógł jeden człowiek, i to człowiek tej miary, co Sarbiewski, zjednoczyć w swej wymowie tak sprzeczne i różnorodne żywioły.

* *

Odczytując „Laskę marszałkowską“ dzisiaj, po 250 przeszło latach, i oceniając ją wedle naszych dzisiejszych wymagań i pojęć, dziwnego doznajemy wrażenia. Przedewszystkiem uderza nas nienaturalny jakiś amalgamat sprzecznych pierwiastków, które się ciągle z sobą płaczą, krzyżują, dążąc do jakiegoś chemicznego połączenia się i jednolitości — oczywiście napróżno. Stoją więc obok siebie i godzą się jak mogą największe wady i największe zalety: zapal i kaznodziejskie natchnienie obok nużącej erudyty i drobiazgowych wywodów; żywe obrazy i wysoki połot obok zdawkowego dowcipu i subtelnych fraszek; potężne zwroty wstrząsające prawie jak grom, obok frazesów nadętych i rozstrojonych akordów.

Jest przedewszystkiem w tej „Lasce marszałkowskiej“ ciągła i nieustająca alegorya. Żadnej najprostszej rzeczy, żadnego najchłodniejszego wyvodu nie chce, czy nie może Sarbiewski pojąć i podać inaczej, jak tylko w nieodstępnym futerale przenośni. Tkwi ten błąd w samym już pomyśle kazania i od początku aż do końca mowy śmiertelnie nuży czytelnika. Chwyciwszy się raz urzędowego godła zmarłego Sapiehy, laski jego marszałkowskiej, bawi się ustawicznie mówca jej obrazem; „przemienia ją — jak powiada dowcipnie Mecherzyński — raz na senatorską, raz znowu na deputacką, rozłamuje ją i kruszy, to znowu składa i zlepia maścią zbawienną“, raz nosi Sapieha tę laskę w rękę, raz znowu w ustach, podpira nią ojczyznę, to znowu zawile sądowe sprawy rozbija — i tak bez końca.

To też całe to kazanie jest nieskończonym szeregiem różnych kombinacyj na temat laski. Sarbiewski wyszukuje mozolnie w całym Piśmie św. wszystkie teksty, zawierające to słowo *virga*, i przytacza ich w ciągu mowy na różnych miejscach aż dwadzieścia i kilka. Jeżeli odnośny wiersz Pisma, któregooby

chciał użyć z efektem, nie wyraża pojęcia laski albo podpory słowem *virga*, ale innem pokrewnem, udaje się Sarbiewski — rzecz nie do uwierzenia — aż do greckich, chaldejskich i arabskich wariantów Wulgaty, porównuje teksty Pagnina i Watabla, i odnalazłszy tam kilkakrotnie upragniony wyraz, wstawia go zaraz z całym aparatem krytycznym do swojej mowy, bojąc się niejako, aby tej fantastycznej budowie, skleconej z lasek, nie zabrakło ani jednego subtelного wiązania.

Do jakiego stopnia dochodzi ta manja, poznać można z paru przykładów. Pogrzeb Sapiehy jest lamentem nad złamaniem laski; taki lament sam Bóg zaleca, gdy mówi: jęczcie, skoro upadną laski Egiptu. Sapieha był rzeczywiście taką laską czyli podporą ojczyzny. Co powiedziano niegdyś o marszałku francuskim, Scypionie: *non genere tantum, sed et ore et re Scipio*, to i o nim powiedzieć można, podpierał bowiem Rzplitą i Kościół Chrystusowy nietylko wysokiem urodzeniem, ale i mądrą wymową i odważną dzielnością.

Każda z tych trzech części kazania skupioną jest znowu w jakiejś lasce. Ród zacny, a starożytny jest wedle mowy winną latoroślą, która wypuszcza z siebie laski trwałe, nakształt bereli panujących. Jan Stanisław Sapieha od młodości o to się starał, by okazać się godnym swych ojców, i jako taki już w samym kwiecie wieku stał się podporą ojczyzny, wedle słów Piśma św. (*sec. LXX*): kwiat stał się laską trwałą.

Wymowa Sapiehy również podpierała ojczyznę. Nie dziwnego; przecież prorok wyraźnie laską ust ją zowie. A była ona laską nietylko dla swej siły i prawdy, ale także dla tej sztuki, która zawsze potrafi gorzką i twardą rzecz przyprawić i wyrazić „politycznie“, w czem podobną jest do laski Mojżesza, która się umie w subtelного przewierznąć węża.

A jak we wojnie wspierał ojczyznę zmarły marszałek? Nietylko swym kosztem regimenty formował i królowi posyłał, ale też żywił je własnym chlebem i stał się przez to dla ojczyzny tem, co prorok laską chleba nazywa.

A jak się on opiekował ubogimi? Zawsze miał oczy otwarte na ich potrzeby i stał się dla nich ową u Jeremiasza laską

czuwającą, a wedle innych: laską oczami nabita i chodzącą po świecie.

Jakżeż nie płakać, że śmierć tę laskę skruszyła?

Ale na płaczu nie przestają chrześcijanie; pozbierać nam trzeba wszystkie okruchy tej laski połamanej i spoić je razem maścią, którą ma Bóg w niebieskich swoich lekarniach, a potem postarać się o kogoś, co by się podjął z tą laską marszałkować zmarłemu na pokoje niebieskie.

Spodziewa się mowca, że dusza Sapiehy stoi już w bramach rajskich, za życia bowiem nie wspierał on się na tem, co Pismo nazywa *virgula fumi*, ale na Zbawicielu; przed śmiercią przyjął Chleb żywota, *virgam panis*, i gotów był na głos boży, mając, jak Izraelici, przepasane biodra i trzymając laskę w rękę.

Oto próbka tej strasznej a ciągłej alegoryi, która jest głównym błędem kazania. Nuży ona okropnie już w tem krótkim nawet streszczeniu; cóż dopiero mówić o samem kazaniu, gdzie każdy taki tekst o lasce rozszerzony jest na kilka, czasem na kilkadziesiąt wierszy, rozprowadzony drobiazgowo w osobnym obrazie, a w szczegółowych zastosowaniach wyzyskany do ostatnich granic możliwości.

Co gorsza, na samej owej lasce nie ograniczają się pomysły alegoryczne Sarbiewskiego; ma on ich więcej jeszcze i wprowadza je przy każdej sposobności. Opisując młodość swego bohatera i nazwawszy ją raz kwiatem, nie może się już oderwać od tej przenośni i wszystko, co tylko widzi dobrego w młodości Sapiehy, naciąga *par force* do kwiatu i jego warunków roślinnych. Nie mówi więc, że zmarły odbywał swe studia w Akademii wileńskiej, tylko że „na tem polu zdrowego pobożności i pocziwych nauk soku w siebie nabierał”; zamiast powiedzieć, że nie zepsuły go podróże po obcych krajach, ciągnie dalej po swojemu, że „wzrastał bezpiecznie na cudzoziemskich niwach”; zamiast najprostszego zaznaczenia faktu, że król wziął młodzieńca na swój dwór, dowiadujemy się, że „z cudzoziemskiego pola przesadzony był na pokoje Zygmunta III.⁴”; tam oczywiście „zalecił się skromności z apachem” i z kwiatu wreszcie stał się laską.

To słowo laska naprowadza mowcę na ślad porzuconej na chwilę poprzedniej alegoryi, która też zaraz bierze górę w kazaniu. — I tak razporaz.

Co to znaczy jedno prawidło szkolne, pojęte przesadnie i jednostronnie: *metaphora debet esse constans!*

Inną wybitną wadą wymowy Sarbiewskiego jest ciężki balast erudycyi. Jest w nim tej erudycyi przedewszystkiem zawiele; powtórę nie jest ona wyzyskana umiejętnie i przerobiona na materyał kaznodziejski, ale wszędzie występuje *in natura*, jako ciągły i nieprzerwany szereg cytat, w których przytacza się nie raz długie ustępy, i to prawie zawsze po łacinie, podaje się nazwiska autorów, a czasem i tytuły dzieł. Takich cytat, jeżeli wliczymy w nie i Pismo św. z wszystkimi wariantami tekstów, wyjaśnieniami biblistów i komentarzami rabinów, znajdziemy w „Lasce marszałkowskiej“ coś bezmała półtora sta. Obok Ojców Kościoła, stosunkowo dosyć skąpo reprezentowanych, widzimy tam całą plejadę klasycznych i nieklasycznych pisarzy, przesuających się przed oczyma, jakby jakieś szopkowe panorama. Horacy deklamuje tu swoje ody, Seneka wygłasza swoje sentencje, czasem nieśmiało ozwie się Owidyusz lub stary Homer; Liwiusz i Plutarch, posiłkowani przez Dyodora Sycylijskiego, malują dawnych mowców i bohaterów, Arystoteles i Plato rzucą niekiedy, jakby od niechcenia, jaki fragment swych tez; z nowszych ozwie się czasem Avicenna lub Aleksander de Halles, to znowu Gerson albo Scaliger, Tomacherus albo Jonstonus; nawet pocziwy Starowolski i Miechowita znaleźli się w dopiskach.

„Lwią część“ tego całego natuszystego przyboru zagarnął dla siebie — jak się łatwo domysleć można — bujny świat pogańskich bogów i półbogów, i różne reminiscencje Grecyi i Rzymu. Obok pieśni proroków słyszymy „lutnię Apolla“ i „harmonię Amfiona“; Brutus i Epaminondas figurują obok litewskich starostów i regimentarzy, a merkuryuszowski kaduceusz godzi się w najlepsze z tą laską Mojżesza, którą zresztą bardzo pięknie opisuje kaznodzieja, gdy mówi, że ta to jest laska, którą „hetman

ludu bożego mannę zwabił z nieba, a potem rozszepcił opokę i wodę wybił ze skały, aby pił lud“.

Niema już Sarbiewski tego zdrowego instynktu, który czuje, że wartość i nadprzyrodzone cechy słowa bożego zacierają się pod nadmiarem błyskotliwej erudycji. On wszystko, co zna, wszystko, co czytał i wynotował zkażdokolwiek, wciąga w ramy swego kazania. Poezya klasyczna i astronomia, historia powszechna i naturalna, filozofia i filologiczne studia biblijne, a obok tego jeszcze cały Olimp grecki i rzymski — wszystko to musi się wprzągnąć w fantastyczny rydwan jego wymowy.

Ta tłocząca masa erudycji najbardziej może niedźwiedzią przysługę wyświadczyła Sarbiewskiemu w samym zaraz wstępie kazania. Spotykamy tam wiele pięknych myśli, wiele trafnych zestawień; ale cóż? — cytaty zabiły wymowę, a wszelki zapal wygasł, kiedy mówca zamiast rozwinąć rzecz z namaszczeniem, obchodzi trumnę zmarłego dalekim i szerokim korowodem i tą gdzieś w nieskończoność ciągnącą się, czezą i bląhą figurą zapytania, potrącając przytem „o kochanego mecenasa“ i zaraz na samej pierwszej stronie wyprowadzając taki zastęp powag, jak: Seneka, Horacy, Gerson, Durancyusz i Sydonius Apollinaris. Wskutek tego rozrósł się ten wstęp do tak bajecznych rozmiarów, że w pierwszym wydaniu wileńskim zajmuje 16 stron in 4^o, co czyni trzecią nieomal część całego kazania.

Jeszcze gorzej przysłużyły się kaznodziei nauki przyrodnicze; zwłaszcza Werneryusz dziełem *de plantis indicis*, a Jonston przez swoje *Admiranda plantarum*. Gdybyśmy nie znali innych pisarzy współczesnych, nikt z nas nie byłby dziś w stanie pojąć, jak mógł Sarbiewski powtarzać na ślepo za naturalistami i lekarzami takie niestworzone rzeczy, jak to np., że na wyspie Cymbubon rosną drzewa lekarskie, których gałązki spadłszy na ziemię, jak gadziny się czołgają, albo że daleko w Indyach są takie kwiatki, co wyrastają w jakieś *columellas* albo słupki, a wschodzą tylko między gwoździami, biczami i innemi naczyniami Męki Pańskiej, że z gałązek tych roślin przedziwnych robią się jakieś maści cudowne, że te gałązki połamane, a potem powiązane sznurami, nakształt padalców się zrastają i t. d.

Nie zdołał też Sarbiewski otrząść się zupełnie z owych „subtelnych konceptów“, które w XVII. wieku istną były plagą naszej ambony. W konceptach Sarbiewskiego jest, co prawda, pewna miara, która mu nigdy nie dozwala posunąć się do tej trywialności i rubasznego prostactwa, które w innych mowcach owego czasu występują tak jaskrawo i dochodzą nieraz do ostatnich granic; — mimo to jednak nawet te mniej grube dowcipy i delikatniejsze subtelności, jakich używa nasz poeta, nie są na ambonie odpowiednie, a wykwintnemu Sarbiewskiemu wcale z nimi nie do twarzy.

Przyzna to każdy na tych kilku, bez wyboru schwyconych przykładach.

„Cóż za dziw, — mówi kaznodzieja — że kalepin boski i imiona rzeczy dalekie są od kalepinów i od słów naszych, kiedy już same koncepta i myśli boże są dalekie od myśli i konceptów naszych... A dalekież to koncepta boże od naszych? Liczę mil niemieckich wielkich: czterdzieści milionów, czterysta siedmdziesiąt tysięcy i jeden tysiąc dwieście czterdzieści i sześć mil“.

Przedstawiam sobie, że wśród słuchaczy Sarbiewskiego musiało powstać zaciekawienie olbrzymie; przyczem zapewne cisza wielka zapanowała dokoła.

A mowca, jakby się pieścił tem zaciekawieniem, nie odpowiada jeszcze, tylko z lekkim, trochę może tryumfującym uśmiechem rzuca sam sobie, jakby dla podrażnienia słuchaczy, krótkie, w dwóch słowach pytanie:

„Jakżeś zmierzał?!“

Tutaj z pewnością nastąpiła efektowna pauza, przez kilka przynajmniej sekund...

„Jakże on zmierzał, do licha!“ — łamali sobie głowy słuchacze.

„Zmierzałem podług komputu sławnych matematyków, którzy tak wiele mil liczą od najwyższego nieba aż do ziemi. A sam zaś Bóg świadczy: *sicut exaltantur caeli a terra, sic cogitationes meae a cogitationibus vestris*“.

Myślę, że ten subtelny *acumen* musiał słuchaczom Sarbiewskiego zaimponować okrutnie.

Niedościgłym też jest nasz mówca w drugim swoim po-myśle, gdzie wykazuje, jak rozumną i oględną powinna być wymowa na sejmach. Mówi on tak:

„Łaskę Merkuryusza, boga krasomowców i Jowiszowego marszałka, starożytność grecka obwinięła węzami i nazwała kaduceuszem; taż Eskulapowi kładła w ręce łaskę z wężem. Wiem, co ma łaska do węża w rzeczach lekarskich u Eskulapiusza, ale w rzeczach politykích u Merkuryusza co ma wąż do wymowy?“

Istotnie — pojąć trudno. Przechodzi więc mówca do komentarza.

„Najchytrzejszy na świecie orator zjawił się wąż. Ba! i sam Bóg Mojżesza wszystkiej swojej retoryki przez łaskę i węża uczy. Co to jest, — prawi — co trzymasz w ręce? Odpowiedział: łaska. I rzekł Pan: rzuć ją na ziemię. Rzucił i obróciła się w węża. Rzecz znowu: *apprehende caudam*, ujmij ogon jego. Wyciągnął i ujął, i obrócił się w łaskę“.

Cóż znaczą w wymowie — pyta się każdy — te dziwne metamorfozy łaski i węża?

Dowiadujemy się wreszcie, że łaska znaczy wymowę twardą i szorstką, kiedy senator wobec króla i innych dygnitarzy słowem szermuje, właśnie „jakoby kije z gęby wylatały“; wąż zaś oznaczać ma owe sztuki i sposoby retoryczne, owe czasami nawet trochę bałamutne fortele, którymi się „afekty słuchających ujmuję, od prywaty ztąd i zowąd ugina i koło rzeczy samej racjami zawija się i zakręca“.

„Wyraziłeś w senacie polskim i litewskim — woła z emfazą Sarbiewski — ten retoryki boskiej wzór, wielki marszałku i oratorze, Janie Sapieho! Jaką słów okrągłością, jaką mowy łagodnością, jakim afektów uglądzeniem, jakim od swego interesu ztąd i zowąd ustąpieniem, jaką przeciwnej strony ochroną, jakich potężnych przyczyn węzłami, zdanieś swoje do stałej i nienachylonej skuteczności prostował. Dopieroż *apprehendebas caudam*; racjami wszystko porobiwszy, rzecz się swoją umacniał“¹.

¹ W „Swadzie“ znajdujemy jedną mowę Jana Stanisława Sapiehy (I. Swada oratorska sejmowa, str. 263). Jestto przemówienie do króla Wła-

Takie są tedy najwybitniejsze błędy w wymowie Sarbiewskiego. Zebraliśmy je sumiennie, napiętnowali surowo, i nie oszczędzając wcale imienia utalentowanego poety, wszystkie panegiryczne i makaroniczne krańcowości jego wymowy nazwaliśmy po imieniu. Niejeden może z czytelników pod świeżem wrażeniem jaskrawych przykładów potępił go stanowczo i odsądził od wszelkiej wartości kaznodziejskiej.

Byłby to jednak sąd za ostry i za przedwczesny.

Pierwszą zasadą w ocenianiu ludzi innej epoki — a zwłaszcza epoki tak różnej od naszych czasów, jak wiek XVII. — jest ta, żeby nie mierzyć ich naszym łokciem, ale badać i sądzić w świetle stosunków współczesnych, które jedynym nieraz są kluczem do rozwiązania wielu zagadek, zwłaszcza w dziedzinie sztuki i literatury.

Nie zawsze można żądać od człowieka, żeby się wzbіл nad swój wiek, choćby tym człowiekiem był Sarbiewski. A zresztą, gdyby nawet zdołał kto siłą talentu wznieść się ponad współczesny smak i panujące prądy, to jeszcze nie zawsze będzie on w stanie zatrzeć na swoich dziełach wszystkie ślady epoki. Znajdą się tysiączne powody, które wbrew własnej jego woli i przekonaniom zmuszą go poprostu do ulegania zwyczajom; potępiając je w duchu, hołdować im będzie w praktyce. Zwyczaj jest tyranem.

Przypatrzmy się pokrótce Sarbiewskiemu na tle epoki.

Przedewszystkiem zauważyć trzeba, że życie poety i cała jego literacka działalność przypada właśnie na ten czas, kiedy nowe prądy i na ambonie i w literaturze przyjęły się już na dobre, a smak zepsuty ostatecznie wziął górę nad wykończonymi formami klasycyzmu. Autor „Laski marszałkowskiej“ wzrastał i wychowywał się w tej nowej atmosferze, tem powietrzem od młodości oddychał, na tych regułach i prawidłach się kształcił;

dysława IV. na sejmie 1635 r. Jak sumiennie gotował się Sarbiewski do swoich kazań, świadczy ta okoliczność, że znał to sejmowe przemówienie Sapiehy, a przynajmniej jego treść. Wyrażenie bowiem, którego użył Sapieha: „Więcej teraz na świecie *Placenses*, niż *Veronenses* mamy“, podaje Sarbiewski przy charakterystyce zmarłego marszałka.

profesorzy jego — dość wspomnieć ks. Jakóba Olszewskiego¹ — hołdowali już zepsutemu smakowi, hołdowali mu zresztą prawie wszyscy, w początkach bowiem XVII. wieku stał się on już tą potęgą, która daje patent popularności i wzięcia, a której się oprzeć niewolno pod grozą wsteczniectwa. Potęgę tę nazwalibyśmy dzisiaj modą i barwą czasu.

Tej „modzie czasu“ w pierwszych latach swojej twórczości literackiej samą siłą rzeczy dał się unieść i całkowicie opanować młody poeta. Wszystkie jego wiersze, pisane przed wyjazdem do Rzymu, czy to w Krozach, czy we Wilnie, są jedną falą rozbijających fluktów, która opływa z szumem wielkim fantastyczną krainę herbów, przyczem „Sława“, sterując po niebie żagło-lotniami pióry, trąbi na surmie imiona Sapiechów i Kisków, Apollo wznosić każe na cześć bohaterów piramidy i nieśmiertelności je poświęca, poezya na twardym dyamencie ryje imiona nowożeńców, a lato wraz z jesienią sprowadzają z zaklętych wysp złoty wiek Saturna do biednej Żmudzi. Te same czece motywa przemawiają jeszcze do duszy poety pod klasycznym niebem Italii. Na cześć Urbana VIII. składa on olbrzymi panegiryk fantastyczny, przeróbkę żmudzkiego złotego wieku, siostrzeńcowi papieża wznosi barokkowy portyk chwały o trzech ciężkich bramach, na łodzi natchnienia wypływa na ocean chwały nowego kardynała, wreszcie opiewa pszczoły Barberinich, podobnie jak opiewał na Litwie Chodkiewiczowskie gryfy.

To jednak nie miało trwać długo; na włoskiej ziemi, w tej ojczyźnie sztuki i natchnienia, wśród wiecznie młodych pomników wielkiej przeszłości, miał się ocucić duch przychodnia od Narwi dalekiej; poznał on prędko czechość i lichotę swych dawnych panegirycznych fantazyj, a „wskazała mu ją po raz pierwszy cisza grobów na drodze apijskiej“². Odkąd te groby stały się dla niego szkołą³, odtąd też myśl jego ku nowym zwróciła

¹ Rostowski, *Lit. Soc. Iesu hist. libri decem*. Parisiis 1877, księga VIII. str. 329.

² St. Windakiewicz, *Liryka Sarbiewskiego*, str. 7.

³ *Layricorum libri II*, ode 27.

się szlakom i po krótkim już czasie była zdolną wydobyć ze swej piersi potężne dźwięki na temat wojny ze Wschodem.

Odkąd Sarbiewski przed oczy książąt Europy stawiał obraz Hellady, która sromotnie gryźć musi wędzidła dzikiego pohańca; odkąd potrzasał z głuchym dźwiękiem owym łańcuchem, którym spętane leżały bezwładnie Cyklady¹; odkąd ludom cisnął w oczy ten wyrzut, jak żar piekący, że synowie wielkich ojców zaprzędali swe dusze frymarczej zgrai kramarzy², — odtąd w poezyi jego skrajny panegiryzm znika nazawsze, i chyba tylko raz albo drugi odezwie się jeszcze niewyraźnie i nieśmiało, tak jak się odzywa echo dawnych nawyknień, z którymi się żyło od młodu.

Ten przewrót dokonał się w Sarbiewskim najpóźniej około roku 1624. Jakżeż więc wytłumaczyć to ciekawe psychologiczne zjawisko, że poeta z tak wyrobionym smakiem artystycznym, jest w stanie po dziesięciu przeszło latach wnosić na ambonę tak wielki jeszcze zasób pomysłów jeźli nie wstrętnych, to co najmniej niestosownych i w wysokim stopniu niesmacznych.

Przedewszystkiem zwrócić wypada na to uwagę, że wielka zachodzi różnica między poetą a mowcą. Krasiński mógł pisać do przyjaciela z młodzieńczą indygnacją: „Co ty mi chcesz stosować poezję do ducha czasu? — ona się tyczy całego człowieka, a nie jednego łachmana czasu i przestrzeni!”³ I mógł to mówić poniekąd z słuszością. Artysta bowiem może się zamknąć wyłącznie w świecie sztuki, przystępnym dla nielicznych tylko wybrańców, i schwyciwszy raz swe ideały, nie oglądać się na przelotne gusta i opinie mas; jemu dosyć, że rozumieją i pojmują go ci, którzy świat jego bliższy stanowią, te duchy pokrewne, z których każdy woła do niego, jak mistrz starożytny do tracącego otuchę ucznia: *mihi cane et mosis*. W kaznodziejstwie jednak rzecz ma się inaczej; ono z natury rzeczy przeznaczone dla mas, i o tyle swego celu dopina, o ile porusza te masy i przekonuje, — dlatego też trafnie powiada

¹ *Lyric.*, lib. I., ode 6.

² *Lyric.*, lib. I., ode 8.

³ Listy, tom I. (do Gaszyńskiego). List 17, str. 45.

Cycero, że „ten tylko jest wielkim mówcą, kto za takiego w oczach ludu uchodzi“, i w przeciwstawieniu do owego *mihi cane et musis* stawia jako zasadę wymowy *mihi cane et populo mi Brute*¹. Mowca więc musi trafić w smak tego ludu, musi nieraz do niego się zniżyć — inaczej nie znajdzie oddźwięku, nie zyska potrzebnej sobie popularności i wymowa jego przejdzie bez śladu.

W XVII. wieku zepsuty smak słuchaczy w ciężkiem położeniu stawiał kaznodzieję. Chciwi byli ci słuchacze subtelnych konceptów, dowcipnych żartów i fraszek; one stanowiły jedyną prawie *great attraction* ówczesnej publiczności. Powiedział raz wspomniany co dopiero Cycero, że największą chwałą w wymowie jest „ozdobami rozszerzać i upiększać przedmiot“ — *amplificare rem ornando*². Zdanie to, pod wieloma względami trafnie charakteryzujące własną jego wymowę, ściśle jednak rzecz biorąc, jednostronne i niebezpieczne, stało się hasłem wszystkich produkcji XVII. wieku. Umysły ówczesne ogarnęła jedna wielka żądza amplifikacyi, istna manja figur, przenośni i wszelkiego rodzaju metafor, jakiś *Drang nach Aussen*, który nie dozwalał wglądać w głąb rzeczy, w treść i myśl, ale parł na zewnątrz całą twórczość ducha, siły umysłu trwonil i rozpraszał w pogoni za migotliwym aparatem formy, gotów podziwiać największą czczość i lichotę myśli, byleby tylko chodziła na wielkich szczudłach prozopopei.

Że ten kierunek wytworzył całe tomy śmieszności, do których się dziś zagląda chyba dla rozpedzenia splenu — to rzecz znana. Ale w XVII. wieku brano to wszystko na seryo; mówca, który nie szedł za prądem powszechnym, nudził słuchaczy, zaczynał uchodzić w opinii za przesadnego klasyka, za purystę-pedanta, i tracił pomału wziętość; sadzili się więc wszyscy ówczesni mówcy na masę cytat, która imponowała słuchaczom, na karkołomne pomysły alegoryczne, na dowciple krotochwile i niespodzianki, i na owe *admiranda plantarum*, któreśmy poznali

¹ *Brut.* 50, 187.

² *De orat.* III. 26, 104.

niedużo wyżej. Niema jednak żadnej wątpliwości, że głębsi i wybitniejsi nasi kaznodzieje czuli dobrze niewłaściwość tych oryginalnych pomysłów, które nieraz z pewną nawet ofiarą własnych przekonań i z pewną pobłażliwością dla wymagań słuchaczy wnosili na ambonę. Ciekawe są pod tym względem własne zeznania dwóch największych przedstawicieli polskiej ambony z XVII. stulecia, z których pierwszy poprzedził Sarbiewskiego, drugi bezpośrednio po nim nastąpił. Mam na myśli dominikanina Birkowskiego i jezuitę Młodzianowskiego. Birkowski, pomimo że wszystkie przytoczone dotychczas wady posiada już w wysokim stopniu i pierwszy na wielką skalę hołdować zaczyna zepsutemu smakowi, ma jednak kilka kazań, w których z wielką znajomością rzeczy i z nader wyrobionym smakiem poucza specyjalnie, jakie ma być słowo boże, jak ambona wolna być winna od erudycyi, od przesady i od niewłaściwych conceptów. „Wymowa kaznodziejska — woła on na uroczystość Ducha św. — inaksza ma być od wymowy świeckiej; niema się z krasomówstwem popisować, abo bryzy brać na się oratorskie; uczyć ma ludzie, nie piszczałkę jaką słodkobrzmiącą mieć przy ustach“ — a w kazaniu o św. Jacku powiada znowu, że „ten jest kaznodzieja kościelny, który porusza do łez, nie do śmiechu“ — gdzieindziej znowu trafną robi uwagę, że „w pokazywaniu nauki potrzeba, aby kaznodzieje byli pokorni“, — nieco niżej dodaje z właściwem sobie obozowem zacięciem, że „trąba kaznodziejska nie w sobie pieszczonemu mieć nie powinna, że ona chrapliwie i straszliwie brzmi, na trwogę raczej niż w taniec, że uszom melodyi wdzięcznej nie doda, bo nie umie gorgów ani kadencyj wyprawiać, ale mury Hierykuntskie wali, wojska rozbija, hufce łamie, a w ludzie cuda wielkie robi“.

A jednak mimo tych własnych przekonań, Birkowski tak dobrze jak i drudzy do śmiechu pobudzał — a jeżeli bryz oratorskich nie brał na siebie, to z pewnością swojego rodzaju gorgi i kadencye wyprawiał. Dowodów na to dostarczyć może każde nieomal jego kazanie; co więcej, jezuita Makowski podniósł to nawet w mowie żałobnej nad jego trumną: „Któż był — mówi on — w te uczone fraszki pogańskie i poetyckie nad Ojca Fabiana bo-

gatszy?“ Ale że sam widocznie tych konceptów w duszy nie pochwałał i Birkowskiego chciał usprawiedliwić, zaraz dodaje: „Na lekkie i płoche koncepta się nie sadził, ale od niewoli drugdy mu do tego przychodziło, że musiał czem świeckiem przysmaczyć“.

Tomasz Młodzianowski więcej może jeszcze czuje niewłaściwość tego napuszystego a jaskrawego przyboru, którym upstrzył swoje kazania. Posuwa on to poczucie aż do tego stopnia surowości, że na ambonie sam się oskarża o zbytne uleganie współczesnemu smakowi. „Gdyby mi przyszło umrzeć — powiada on — i sprawić się Panu Bogu z kazań czynionych, nie miałbym o to sumienia, że nie mówił prawdy; mówiłem! Ale miałbym o to sumienie, że ja podobno nazbyt przyprawiał, cukrował. Nie miałbym o to sumienia, że się nie silił na tłumaczenie Pisma świętego; siliłem się! Ale o tobym sumienie miał, że tego godnie i z powagą nie czynił“.

Myszę, że Sarbiewski tak samo się zapatrywał na rzeczy i że o przesadnych swoich pomysłach podobne chyba musiał mieć zdanie. W samej nawet „Łasce marszałkowskiej“ jest parę wyrażań, które nas o tem przekonują. Raz np. przedstawwszy w dłuższym obrazie, jak Jowisz i podrzędni mu bogowie wspierali państwo rzymskie, co dla senatorów miało być wzorem podpierania i ratowania ojczyzny, odzywa się z jakimś lekceważeniem o tym całym ustępie, mówiąc: „to pogańska subtelność“ — i przechodzi zaraz do nauki św. Pawła. Gdzieindziej znowu, kiedy z rzymskich poetów i z podań mitologicznych wykazał, że cześć dla religii i dla kościołów jest podstawą pomyślności państwa, czując jakąś niewłaściwość i niedostateczność takiej argumentacji, dodaje: „A jeżeli się panowie politycy obrażacie, że was muzyką pogańską głaszcę, słuchajcie Synezyusza, sławnego w Grecyi chrześcijańskiego liryka“... To mówił na ambonie; sądzę jednak, że w duszy musiał sobie domówić resztę, i że ulegając wymaganiom słuchaczy i tym niezdrowym prądom, które przemocą opanowały jego wymowę, nigdy w zasadzie nie pochwałał owych alegorycznych zabawek, ani też nie lubował się w tych dowcipnych konceptach. To nasze zapatrywanie wydać się musi

tem bardziej uzasadnionem, gdy zważymy, że Sarbiewski hołdując niektórym błędom swojego wieku, wzbija się przytem bardzo często w „Lasce marszałkowskiej“ do takiej wysokości, jaka przystępną jest głębszym tylko talentom i świadczy o nader wyrobionym smaku krasomówczym. Przytem dodać trzeba, że nie tylko zaletami swemi potwierdza to nasze przypuszczenie, ale też ustrzeżeniem się wielu skrajnych przesad panegiryzmu, którym jednak mniejsze talenta ulegały powszechnie.

Z kolei rzeczy na te dodatnie strony wymowy Sarbiewskiego chcielibyśmy zwrócić uwagę.

Przedewszystkiem jest w całej „Lasce marszałkowskiej“, a nawet w samych jej niewłaściwościach i wadach, jeden przymiot zasadniczo-dodatni, który chlubnie wyróżnia Sarbiewskiego od całej masy przeciętnych mówców panegirycznego okresu. Podczas kiedy ogół kaznodziei XVII. wieku niema zwyczajnie w swych mowach żadnego gruntu, żadnej realnej podstawy, ani też wykończonej, ukształtowanej całości, tylko sztuczny zlepek różnorodnych szczegółów, luźno skleconych z sobą, tak że kiedy zdmuchniemy tę wiotką tkanę figur, alegoryj, amplifikacyj i innych tym podobnych przydatków, nie już właściwie nie pozostanie — to Sarbiewski ma w swej „Lasce marszałkowskiej“ przedewszystkiem rzecz o wartości przedmiotowej, ma treść zdrową i gruntowną, ma strukturę organiczną, o regularnych kształtach i wymiarach — a dopiero na tej budowie, o własnych siłach stojącej, rozwiesza on jaskrawe swoje efekta i niesmaczne barokkowe ornamentacye.

Jeżeli ogół mówców makaronicznej epoki i ich kaznodziejskie produkcyje moglibyśmy porównać z jaskrawą a niegustowną wystawą sklepową, gdzie przeróżne drobiazgi piętrzą się piramidalnie, tak że jeden podtrzymuje drugi, a wszystkie podtrzymują się razem — to mowę Sarbiewskiego przyrównałby trzeba do poważnej budowy, w ogólnych zarysach pomyślanej prawidłowo, ale zeszpeconej w szczegółach i omalowanej bez smaku, gdzie jednak zpośród tysiąca nieszczęśliwie naczepianych gzymsików, figur i sztukateryj, przebijają poważne linie stylowe i artystyczna całość. Nie znamy żadnego innego kazania z tego okresu,

któreby równie łatwo, jak „Laska marszałkowska“, dało się poprawić. Odrzuciwszy alegoryczne osłony, wykreśliwszy kilkadziesiąt cytat i opuściwszy kilkanaście ustępów, otrzymalibyśmy mowę prawie wzorową, wszędzie gładką, często świetną, a nieraz nawet porywającą — i to bez zatarcia autorstwa Sarbiewskiego.

Wiele świadczy o zmyśle artystycznym i o kaznodziejskim smaku Sarbiewskiego sam układ zewnętrzny „Lasce marszałkowskiej“. Aż do jego czasów przeważał na polskiej ambonie układ homiletyczny, piękny bez kwestyi w swojej prostocie, na wzorach Ojców Kościoła oparty, wydoskonalony przez takich mowców, jak Wujek i Skarga — przytem jednak bardzo dowolny, niedość w karby ujmował swobodę kaznodziei, dając pole słabszym talentom do zbaczania od rzeczy i rozplywania się na wszystkie kwestye. Sarbiewski jest jednym z pierwszych, który wprowadza do kazań układ artystyczny. W jego „Lasce marszałkowskiej“ jest wstęp wyraźnie odgraniczony od tego, co w szkole *corpus orationis* nazywają — jest ściśle określenie materyi i rozkład jej symetryczny; kazanie ma trzy części, przeprowadzone z pewnem stopniowaniem, każdy szczegół obmyślony jest w tej budowie, każda cegielka leży wedle planu na wyznaczonem sobie miejscu; co więcej, jest tu nawet ekspozycja, umieszczona zaraz po wstępie, w której nasz mowca, podobnie jak Bourdaloue w swoich kazaniach, zanim przejdzie do szczegółów, określa wprzód teren pod całą mowę, a zarazem kładzie grunt i podstawę pod późniejsze wywody, to co nazywa Cycero: *quedam quasi sedes ac fundamentum constituendae fidei*.

Jeszcze namacalniej przekonuje nas o wysokiem wyrobieniu kaznodziejskiem Sarbiewskiego wielki talent obrazowania — jeden z najsilniejszych probierzy prawdziwej wymowy. W miarę jak mu się nasuwają ogólniejsze temata, wznosi się on coraz wyżej, zapala się, wpada nawet w pewien kaznodziejski liryzm.

Jak pyszną jest np. ta jego hipotypoza o ciągłym upadku i zmienności rzeczy ludzkich:

„Jeżeli kto prawdziwie — mówi on — świat ten wszystek na oczy nam wystawił, to Izydor Peluzyota w tych kilku słowach: *mundus est perpetua ruinarum ruina*. Nie mówię nic o tym

małuczkim świecie, którym się nazywają sami ludzie, którzy — jak mówi Job św. — w domach glinianych mieszkają i ziemny mają grunt. Któż nie widzi, że ten świat, byś go też nie wiem jak wspierał, na takim fundamencie ustawicznie się wali? Znikoma jest ludzka natura — woła Chryzostom — piękność jej kończy się szpetnością, siła niemocą, zaszczyty pogardą, zdrowie chorobą, sława niesławą, bogactwa nędzą¹. Nie mówię też nie o tym drugim, w którym mieszkamy, wielkim przyrodzonym świecie, który z czterech nieprzyjaznych żywiołów, jako z czterech przeciwnych i niestwornych ścian złożony i niebem zasklepiiony, ustawicznie się na nas wali gradami, piorunami, powodzią, nieurodzajami, chorobami! Mówię ku rzeczy mojej o świecie politycznym, który królestwy i carstwy, księstwa i prowincjami, powiatami i miastami stoi... Dajmy skrzydła myślom i oczom naszym...“

Mecherzyński, zgorszony owemi skrzydłami i całym, trochę w istocie za lirycznym początkiem tego ustępu, powiada z oburzeniem, że Sarbiewski w kaznodziejstwie chciał być poetą i podlatywał lirycznie raczej pogańskiego wieszczą, niż psalmisty pieniem.

Przedewszystkiem wzmianka o psalmiście, nie całkiem może na miejscu, gdyż właśnie Dawid odzywa się nieraz w podobnych słowach: „Kto mi da skrzydła, jako gołębiczy, a będę latał“²; „wstąpił na Cherubiny i latał, latał na skrzydłach wiatrowych“³; „jeżeli wezmę skrzydła moje rano, a będę mieszkał na końcu morza, i tam mię doprowadzi ręka Twoja“...⁴ i t. d. Zresztą i kaznodziejstwo ma swoją poezję, której granice wedle natury i subiektywnych zapatrywań mowcy rozciągają się nieraz daleko. Taki św. Jan Złotousty, książę wymowy chrześcijańskiej, przeplata swoje nauki i wykłady wspaniałymi poetycznymi ustępami, w których spotkasz się „z uskrzydłonym Pawłem, co świat cały obleciał, nauczając“⁵, i „z Betleemskiem

¹ Słowa te św. Chryzostoma podaje Sarbiewski po łacinie.

² Psalm LIV. 7.

³ Psalm XVII. 11.

⁴ Psalm CXXXVIII. 9.

⁵ Hom. de S. Paulo.

ponad szopką niebem, które miasto gwiazd, okryło się śpiewającymi Anioły¹; ujrzysz tam uszczknięty pączek róży i winne grono zerwane², posłyszysz ćwierkotanie polnych koników³, a nawet zobaczysz te trzody, pasące się na smugach górzystych łąd, i owe dymy, wznoszące się zponad ubogich strzech, które z okrętu witają znużeni majtkowie⁴, tak jak w Homerze witał Ulisses dymy rodzinnej swojej Itaki.

Ciekawszą rzeczą w tym całym poetycznym ustępie Sarbiewskiego, jest pewnego rodzaju powtórzenie, już dawniej wypowiedzianych myśli, w znanej odzie: *Humana linquo*⁵. Dość porównać parę wybitniejszych miejsc:

„Dajmy skrzydła — woła mowca — myślom i oczom naszym, wynieśmy je pod najwyższe obłoki, a ztamtąd jedynym wzrokiem na ten padół płaczu, na tę śmiertelności naszej scenę wejrzyć chciejmy“.

Humana linquo. Tollite praepetem
Nubesque, ventique!... Ut mihi devii
Montes resedere; ut volanti
Regna procul, populosque vastus
Subegit aer.

„Ustawicznie się wał państwa na państwa, prowincye na prowincye, miasta na miasta. Spojrzę na państwa? Alić na państwo asyryjskie wali się medskie, na medskie perskie, na perskie macedońskie, na macedońskie wali się państwo rzymskie. Spojrzę na części świata i rozliczne narody? Alić w Afryce na Kartaginie widzę przeniesioną Azyę; w Azyi z Aleksandrem W. widzę do Babilonu przeniesioną Europę; w Europie z Saracenami widzę do Włoch, Sycylii, Hiszpanii przeniesioną Afrykę. Spojrzę na miasta? Na Bizancyum widzę Carogród, na Memfim widzę Kair, na Kartaginie widzę Tunet, na starym Karrodonie widzę stojący Kraków, na samym starym Rzymie widzę nowy Rzym... Owo zgola nietylko Polska, ale wszystek świat, już

¹ Hom. 2. in Nat.

² Tamże.

³ Hom. 2. in Eutrop.

⁴ Hom. de Mart.

⁵ *Lyricorum*, lib. II., ode 5.

nie mówię nierządem, ale samymże niestatkkiem stoi. *Conturbatae sunt gentes et inclinata sunt regna*“.

Totasque, qua se cumque ferunt vagae
Despecto gentes
. hinc miserabili
Quassata terrarum tumultu
Stare pavent, titubantque regna,
Unaue tandem funditus obruunt
Cives ruina. Stat tacitus cinis
Cui serus inscribat viator:
Cum populo iacet hic et ipso
Cum rege regnum.

W dalszym ciągu podobieństwo występuje jeszcze wyraźniej:

„Nuż spojrzę — mówi Sarbiewski w kazaniu — na ziemię razem i na morze, na te dwa śmiertelności place. Tam w Indyach ludzie po złoto i perły w ziemię się i w morze spuszczaają i już je windują, już w okręty kładą, już do Europy wiozą; alie nawałności powstają, wiatry morze przedymają, okręty wywracają, a złoto znowu i perły z samymiż kopaczami na dół“.

. hic Mareoticae
Secura merces aequora navigant,
Portusque certatim frequentes
Centum operis, populisque fervent.

Ale wkrótce burza nastaje, zalewa miasta i porty, bałwan wezbrany wszystko roznosi, pochłania...

. . . . iam video procul
Mercesque differri et natantem
Oceano fluitare gazam.

„Owdzie na lądzie wojska uszykowane w swych szeregach stoją, — tu się potykają, a tam już pobite leżą“.

Hic paene tellus tota micantibus
Ardet sub armis; stant acies adhuc
Pendente fatorum sub ictu
Et dubio furor haesitavit
In bella passu. Parte alia recens
Iam mista Mavors agmina mutuam
Collisit in mortem et cadentum
Caede virum, cumulisque latos
Insternit agros.

„Tu jedne miasta zakładają, owdzie drugie poorane solą posypują i zasiewają... a insze niektóre tak się w swym popiele zapadły, że na równym polu szczerą nam tylko wątpliwość zostawiły, jeżeli były i gdzie“.

Hic ducta primis oppida moenibus
Minantur in caelum: hic veteres ruunt
Murique, turresque: hic supinas
Paene cinis sepelivit arces.

„Wszystkie dzieła i rzeczy ludzkie albo powstają, albo upadają, i między tymi dwiema kresy, ledwie się trzeci znajduje“.

Alterna rerum militat efficax
In damna mundus
. o lacrimabilis
Incerta fortunae; o fluentum
Principia, interitusque rerum!

Cały ten obraz, skreślony z prawdziwym talentem, nieraz nawet zwieźlejszy i więcej silny od poetycznego swego pierwotnego wzoru, przedstawia nam oratorski talent i smak Sarbiewskiego w bardzo dodatnim świetle.

Ale jeszcze dodatniej i silniej występują kaznodziejskie zalety naszego mowcy w drugim ustępie „Laski marszałkowskiej“, do którego właśnie przechodzimy.

Mając mówić o wysokiem urodzeniu Sapielhy, musiał oczywiście chwalić jego ród. Było to bardzo niebezpieczne pole dla kaznodziei, który żył w wieku XVII. i który — co ważniejsza — sam jeszcze przed kilkunastu laty pisał sążniste panegiryki o piramidach, o gryfach i o pszczołach herbowych. Mowcy współcześni najwięcej zgrzeszyli na polu retorycznej chwalby; ona to przemieniała ambony świątyń w katedry heraldycznych wywodów, — a gotowa na poczekaniu wielbić wszystko i wszystkich wedle szablonowego frazesu, wynosiła nieraz pod niebo i z bohaterami równała pospolitą mierność, a niejednokrotnie pokrywała nawet występki.

Na pochwałę Sarbiewskiego powiedzieć trzeba, że na tym punkcie całem niebem odstrzelił się od współczesnych. Zerwawszy raz w Rzymie z herbarzem i z całą jego frazeologią,

już więcej do niej nie wrócił, nawet w kazaniach. Chwalać ród Sapiehów, przytacza nie herby ich, ale czyny; nie szuka w ich sercu i żyłach krwi dawnych trojańskich albo latyńskich bohaterów, ale po krańcach Rzplitej zbiera ślady krwi ich własnej, w obronie ojczyzny przelanej. Maluje wprawdzie w kilku pięknych rysach ich drzewo genealogiczne, ale to czyni z godnością. W przedmowie do kazania, dedykując je Kazimierzowi Sapieże, bratu zmarłego, wiele się rozwodzi nad wielkością ojca jego Lwa i samegoż Kazimierza, a na końcu tej dedykacji „modły i powolne posługi całego swego zakonu pokornie oddaje i ofiaruje“; to jednak nikogo razić nie może, gdy się zważy, że ci ludzie istotnie wielkie położyli zasługi, że, pomijając już ich czyny patryotyczne i polityczną działalność, dla Kościoła w ogólności, a w szczególności dla zakonu Jezuitów, zrobili bardzo wiele. Współczesny pisarz powiada, że „pobożnością Sapieżańską i gorącą przeciwko Bogu miłością kraje Białej Rusi świeciły; że w każdym prawie kościele herby Sapieżańskie na aparatach, krzyżach, kielichach, monstrancyach gorące serce ku Bogu opowiadają“¹. Taki Lew Sapieha Jezuitom kolegium w Brześciu założył i dochodami opatrzył; pod kolegium orszańskie plac, na którym stał niegdyś zbór ewangelicki, zakupił i do założenia kolegium główny dał powód²: na Litwie 24 kościoły wystawił albo uposażył³; na cele religijne co rok więcej niż 70.000 jałmużny dawał⁴. A Kazimierz Sapieha, a sam zmarły Stanisław, również wielkie położyli względem Kościoła zasługi. Jan Stanisław w Słonimie kościół murowany wystawił, w Lachowiczach i w innych swoich majątkach wznosił szpitale dla ubogich, domy zakonne Bernardynów zaopatrywał, hojne jałmużny rozdawał, bursy ubogich wspierał⁵. Takich ludzi chwalić, to ani frazes, ani pochlebstwo.

¹ „Dwa lwi, klejnot Sapieżański. Kazanie na pogrzebie nieśmiertelnej pamięci JW. IMC Pana Leona Sapiehy... miane od X. Sebastjana Łayszczewskiego Soc. Jesu“. Lublin 1637 (słowa wydawcy we wstępie).

² Tamże; patrz w kazaniu, str. 29.

³ *Nomenclator familiarum et stemmatum*, opera P. Adalberti Wijuk Kojałowicz. 1658. Rkp. XX. Czart. (autogr.), nr. 1352, na str. 205.

⁴ „Dwa lwi“ (wydawca we wstępie).

⁵ Wylicza te zasługi Sarbiewski w „Lasce marsz.“.

Co zresztą rozumie Sarbiewski o butnej dumie rodowej i niewczesnem a pochlebnem podsycaniu tejże — sam to mówi wyraźnie :

„Są niektórzy przezacni słuchacze, którzy tylko wysokiem urodzeniem są scypionami, są podporami ojczyzny. Miałem pradiada wojewodę, dziada hetmana, ojca kanclerza, stryja biskupa. Chwała Bogu! Ale czyjemż to laskami, czyjemi buławami, czyjemi pastorałami ojczyznę wspierasz? I cudzymi i już spróchniałymi. Nie ja, ale św. Nazyanzenus z takim się domatorem tak rozprawuje: *Clara sum stirpe, ais. Quid ergo? Verminoso nimirum et putrido patris et avi sceptro niteris et ruina potius quam fulcro fulciris, solis alios sepulcheris vincis...* Taki zaiste, nietylko miłej ojczyzny, albo Kościoła Bożego, ale własnej nawet familii sławy wesprzeć nie potrafi, będzie się wspierał — jak mówi Pismo — na domu swoim, a nie ostoi się — będzie go wspierał, a nie powstanie“.

I długo jeszcze mówi mowca na ten temat; przytacza piękne zdanie św. Hieronima, który, wysławiając cnoty Fabioli, zastrzega się, że nie będzie wywodził jej rodowodu, jakby to może czynili inni — od owego Fabiusza, *qui nobis cunctando restituit rem*, wyśmiewa dumę tych, którzy „chępliwym a nieprzegadanyim językiem“ tylko urodzenie swoje wynoszą, Rebecę nawet, w trochę może niewłaściwej, ale dowcipnej dygresyi wytyka pewną chępliwosć w przeciwstawieniu do skromności Dawida. „Pospolita to, — mówi on — gdzie ręką i rzeczą nie możesz, językiem i chlubą nadstawiać. Spytana Rebeka tylko o ojca — i ojca i dziada i babkę wywodzi. Czyjaś ty córka? (Gen. 24). Jestem córka Batuela, syna Nachora, którego urodziła mu Melcha... A Dawid spytany zaś o całą familję, ojca tylko wspomina. Z którego rodu idziesz młodzieńcze? (I. Reg. 17). Synem Izai Betleemczyka ja jestem! — Co li za przyczyna, że Dawid zacnej familii zamilkł, a Rebeka i średniej nie przepomniała? Miał Dawid w ręku Goliatową głowę, jeszcze świeżą krwią pluszczącą, oczywisty zacności swej wizerunek. A Rebeka tylko wiadro z wodą, i to dla wielbłądów. Ów dzielnością swoją i siebie samego i fa-

miłą i ojczyznę dźwignął — owa dzielność, familii wywodzeniem wetować chciała“.

A jakżeż wreszcie wychwala Sarbiewski tych Sapiehów? Prześlicznie. W najwspanialszym może z całego kazania obrazie występuje przed oczy nasze wielka miłość ojczyzny i szereg bohaterskich czynów. Nikt nie pyta, czy to Sapiehowie, czy inni. Sam mówca zdaje się o tem zapominać; on czuje tylko, że mówi o tryumfach swego narodu, o zwycięstwach jego na wszystkich kresach granicznych; zapal unosi kaznodzieję, a szlachetna duma rozpiera piersi Polaka. Prócz Skargi i Birkowskiego nikt więcej podobnie świetnych obrazów wojennych nie wniósł na polską ambonę.

Zaczyna Sarbiewski spokojnie, trochę nawet panegirycznie, choć nie bez wdzięku i nie bez siły, od drzewa rodowego. Sapiehów; potem stopniowo rozpala się coraz więcej i rzuca tylko obrazy, albo raczej szkice obrazów potężne a żywe.

„Gdy spojrzę na linię JW. familii Sapieżyńskiej — spojrzę na jedno gałęziste i rozłożyste drzewo, które wszystko bujno w przeznacne ojczyzny i dobra pospolitego podpory... laski... pieczęcie... buławy... wysoce i szeroko wyrosło¹. I mówię do Ciebie, JW. Marszałku, co niegdyś Ezechiel prorok mówił do zamego w Izraelu potentata²: Matka twoja, przeznacna familia twoja, we krwi dawnych owych Sapiehów, przodków i bohaterów Litewskich zrodzona; gałęzie jej i owoce jej urosły i stały się laski mocne nakształt berł panujących; i wyniósł się wzrost jej między gałęziami, i obaczyła wysokość swoją w mnóstwie latorośli swoich.

„Tam widzę wierne miłej ojczyzny *fulcra*: Bogdana na Opakowie i Jelnej w Siewierskiej ziemi Sapiechę, wojewodę Smoleńskiego; widzę Iwana Sapiechę, wojewodę Podlaskiego; Bogdana drugiego Sapiechę, wojewodę Mińskiego; Andrzeja wprzód Połockiego, a potem Smoleńskiego wojewodę; widzę Pawła Sapiechę,

¹ Tu opuszczamy parę nieszczególnych zestawień: z dąbrową Jowisza w Dodonie, z drzewem, które we śnie widział Astyages... i t. d.

² Ezechiel, XIX. 10, 11.

kasztelana Kijowskiego, Iwana Sapiechę Siemionowicza, kanclerza W. X. Litewsk., Bogdana, Stefana, Krzysztofa, pisarzów W. X. Lit.; widzę starostów, pułkowników i regimentarzów“.

Po tym ogólnym i pobieżnym rzucie oka na tę galeryę świetnych obrazów, zatrzymuje się Sarbiewski przed niektórymi z nich i opisuje je szczegółowo. Ale tych bohaterów Sapieżyńskich otacza on zwolna postaciami hetmanów i królów rycerskich, okala ich hufcami dzielnego wojska, przedstawia ich w wirze walk, na tle bitew i tryumfów narodowych, i stopniowo ten hymn, rozpoczęty na cześć Sapiechów, przechodzi nieznacznie w hymn chwały narodu.

„Co powiem o tobie? — pyta się kaznodzieja, pięknym i śmiałym zwrotem — co powiem o tobie, Andrzeju Sapieho, wojewodo Nowogrodzki, któryś za panowania niezgaszonej sławy Stefana króla, a sprawowaniem Mikołaja Radziwiłła, hetmana Litewskiego, w Inflanciech pod Wendą, w szczupłym czterech tysięcy wojsku, dwadzieścia cztery tysiące Moskwy na placu położył; dwuchoś wojewodów moskiewskich poimał, z obozuś nieprzyjaciela wyzuł, działaś, chorągwie i inne dzielności i męstwa twego trofea pobrał i walecznemuś onemu królowi oddał...”

„Która będzie tak niewdzięczna potomności, któraby cię przepomniała, Janie Sapieho, starosto Uświatski? Tyś wiele razy na miejscu, niezamierzchłej po wszystkim świecie pamięci, hetmanów: Mikołaja Radziwiłła i Jana Karola Chodkiewicza, wojska sprawował; tyś pierwszy za czasów naszych moskiewskiem carstwem zatrzęsnał, tyś wiele zamków i miast, prowincyj i księstw moskiewskich pobrał, tyś odważnemi swemi chorągwiami Wołgę i Okę obegnał, tyś szerokie między temiż rzekami pola gęstym Moskwy trupem okrywał, a osobliwieś pod Trójcą, straszne tyrana Szujskiego o stu tysięcy wojsko poraził i ośmnaście tysięcy nieprzyjaciół na pobojuwisku zostawił, a strach i grom narodu naszego, aż za Persyą i Tatary Azyatyckie zasał!!“

Przedstawiam sobie, że Sarbiewski, kiedy mówił te słowa, wyglądać musiał jak Skarga, kiedy po zwycięstwie multańskim szczęściem i chwałą rozpromieniony, zwracając się do zwycięskiego hetmana Zamojskiego, mówił z rozrzewnieniem: „Któż

ci się wydziękuje, wodzu pierwszy i głowo wojska!¹ — albo kiedy po niebywałym tryumfie kirchholmskim wychwalał Boga Zastępów i kreślił ogrom zwycięstwa w świetnych obrazach.

Nie mogę się nawet oprzeć silnemu podejrzeniu, czy przypadkiem Sarbiewski, gdy pisał powyżej przytoczone ustępy, nie miał przed oczyma tych właśnie obrazów, których używał Skarga, mówiąc o zwycięstwie multańskim i kirchholmskim. Bo i nastrój cały podobny i niektóre szczegóły dosyć do siebie zbliżone. Przynajmniej ten „strach i grom narodu naszego aż za Persyę i Tatory Azyatyckie zasłany“, dziwnie przypomina Skargę, gdy mówi o Chodkiewiczu słowa Pisma: *horruerunt Persae constantiam eius et Medi audaciam eius*; — albo to drugie: „i Turcy i Tatarowie ciszej siedzieć i na cię się oglądając, męstwu się takiemu dziwować będą“.

Bądźcobądź świetnym jest Sarbiewski w tych obrazach. Czytając te ustępy, czuje się całą potęgę wymowy i przyznaje się słuszność Cycleronowi, który kiedyś powiedział: *tantam vim habet illa, quae recte a bono poeta dicta est flexanima, atque omnium regina rerum, oratio*¹. Bo pomijając już piękność języka i niezrównaną, malowniczą siłę wyrażań, jaki tam zapal dla rzeczy swoich, jak wielka miłość ojczyzny! Nie jestto owa miłość zdawkowa i konwencyonalna, jaką niektórzy zarzucają Sarbiewskiemu na podstawie paru listów biskupa Łubieńskiego; jestto miłość żywa i gorąca, która cały swój kraj, całą jego przeszłość i chwałę nosi zawsze w sercu. Czuje się, że to ten sam Sarbiewski, który w Rzymie, zewsząd otoczony sławą, tęsknił jednak za tą polską ziemią i zazdrościł młodemu Weiherowi, że wracać może do niej:

Ibis belligeræ regna Poloniae
Et gratæ repetes limina patriæ,
Quæ te voce diu, quæ prece flagitat
Passis obvia brachiis²;

czuje się, że to ten sam Sarbiewski, który w swych pieśniach przed całą Europą wyśpiewał wszystkie wielkie tryumfy swego narodu; który po zwycięstwie Koniecpolskiego wołał z dumą:

¹ *De orat.* II. XLIV. 187.

² *Lyric.* libri I. ode 9.

...Cornua fregimus Lunae!¹

a po wygranej chocimskiej, przerażony ogromem pohaniej kłęski, odezwał się ze zdumieniem:

Pro! quantis Polone

Moldavici tegis arva campi

Thracum ruinis!²

który wreszcie nie mając dosyć na odniesionych już zwycięstwach, przepowiadał jeszcze większe tryumfy w przyszłości, i kajdany kazał gotować dla Turka, śpiewając z tryumfem:

Io triumphe! Sarmata Bosphoro

Et belluosae frena Propontidi

Iniecit!³

Całe kazanie Sarbiewskiego pełne jest swojskich reminiscencyj. Zwyczaje narodowe, rycerskie wychowanie szlachty, sądy nasze i trybunały, pobożność dawnych królów i wieków — wszystko to rozrzucone tu i owdzie w tej mowie, jak pól rodzinnych kwiaty, a czytelnik ciągle odnosi to wrażenie: jesteś u siebie. Sam zaraz wstęp kazania i pierwsze jego słowa w swojskich kolorach malują znikomość rzeczy ludzkich.

„Częstom się dziwował — mówi Sarbiewski — czemu na pogrzebach Najjaśn. Królów polskich, gdy już ciała ich do grobów ojczystych wnosić mają, marszałkowie i wielcy i nadworni podług starodawnej w ojczyźnie naszej ceremonii, łaski swe marszałkowskie w kościele łamają?...⁴ Mogą być różne tej staropolskiej ceremonii podobieństwa i uważania; ale własna przyczyna ta jest: Wszystkie wielowładztwa i rządy świata tego są rzeczy kruche i słabe; niemasz takiej władzy, niemasz takiego berła, na któremby się bezpiecznie wesprzeć i śmiertelnego upadku uchronić mógł, by i najpotężniejszy majestat“.

Myśl tę ogólną popiera zaraz mowca pięknym, domowym przykładem, zaczerpniętym z Miechowity:

„Uznawał to w sobie nieśmiertelnej sławy król Polski i wielkie książe Litewskie, Władysław Jagiello, który na każdej

¹ *Lyric.* libri IV. ode 6.

² *Lyric.* libri IV. ode 4.

³ *Lyric.* libri IV. ode 29.

⁴ Tutaj następuje t. zw. nagromadzenie pytań, które opuszczamy.

mszy, w podnoszeniu najświętszej Ofiary, niski pokłon królów Królowi oddając..., żdźbło jakie, jeźli się natrafiło, abo co podobnego, brał i łamał abo kruszył, przed najwyższym majestatem... berło swoje królewskie za „żdźbło suche“ z Jobem, królem huskim uznawając“.

Przykład bardzo pięknie użyty, a dla nas miły.

Kiedy mówimy o miłości ojczyzny, nie zawadzi dodać jeszcze kilku charakterystycznych szczegółów. Polska nigdy nie nazywa się inaczej w kazaniu Sarbiewskiego, jak tylko: o j c z y z n a złota, albo o j c z y z n a miła; a główny nieprzyjaciół tej ojczyzny, Moskwa, przedstawiona jest w dedykacyi tego kazania tak, jak tylko przez Polaka przedstawioną być mogła. Chwali on Kazimierza Sapiechę, że poselstwo do Michała Fedorowicza godnie odprawił, że cześć narodu swego piastując, bucznej a prawie barbarzyńskiej moskiewskiej wystawności wprzód iść nie dopuścił, że twarde i trudne tamtego narodu obyczaje ludzkością i układnością miękcył, że ich niedościgłe, a w śliskich umowach utajone fortele przeglądał. A jak świetnie się wyraża, kiedy mówiąc o ciągłej przemianie rzeczy i losów ludzkich, niestalszymi je nad samą Moskwę nazywa. A z jakim on ukrytem zadowoleniem wspomina, że najwyższy tamtego narodu majestat w oczach posłów Rzplitej, uklęknął i pokój zaprzysiągł; jak wreszcie niezrównanego używa wyrażenia, które my tylko zrozumieć możemy, gdy mówi, że Sapieha uznał za rzecz godziwą dotknąć się ręki tyra: *fas dextram tetigisse tyranni*.

Wiele jeszcze innych rysów tego rodzaju spotykamy w „Lascie marszałkowskiej“. Świadczą one wymownie, że Sarbiewski jest mowcą nawskroś swojskim, wyrosłym na gruncie rodzimym i pełnym rodzimych pierwiastków.

(Dok. nast.).

Włodzimierz Piątkiewicz.

PODRÓŻ DO PUSZCZ PÓŁNOCY I NA STEPY KIPCZAKU.

(UŁAMKI ZE WSPOMNIEŃ WYGNAŃCA Z R. 1861—1862).

„... Ziemia wygnania jest jakoby najdroższą własność naszego narodu: zarobek jego żywota, pole prac jego ducha, miejsce święte, w którym próbowane były wiara i ufność w Boga”.

Ed. Hel...

I.

.
. . . Rzadko jesień tak bywa stale a długo pogodną, jak nią była na Bugu, Styru i Horynia porzeczach w pamiętnym roku 1861. Dnie owej jesieni stały się chwilą ważną w pasmie rozwoju prądów budzącego się ducha narodowego, które wówczas coraz to szerzej od Wisły płynęły, wzdłuż całego rosyjskiego zaboru; płynęły ku wschodowi, ku najdalszym krańcom dawnej Polski. Prądy te, płynąc w kierunkach jednakich z drogami, któremi niegdyś szły cywilizacyjne wpływy Polski, wywoływały następstwa dziwne: budził się duch narodu; masy, uśpione od wielu dziesiątków lat, niespodzianie dawały znaki świadomości, iż jeszcze iskra życia tli w ich piersi...

Jakieś niepojęte, przedtem nieznane dreszcze wstrząsały organizmem społecznym na wielkich obszarach.

Ludzie niedość, iż z wieloletniego, letargicznego snu budzili się, ale lepszymi się budzili niż zasnęli. Nowa, o nieznanem

mianie siła wstąpiła w jednostki i tłumy: zdawało się, iż ogień nieziemski wstąpił do serc i sumień ludzi, iż ogień ów przetopił te sumienia i serca na kruszec cenny, od którego wszelkie naleciałości obce odpadły, ogień nieziemski podniesionego uczucia narodowego strawił je — pozostały w swej pierwotnej, nieskazitelnej czystości.

Obcy wędrowiec, zwiedzający w owym pamiętnym roku Królestwo Kongresowe, Litwę i inne prowincye zaboru rosyjskiego, zdumiałby się, widząc, iż żaloba okryła całe społeczeństwo, iż czarna szata powiewa na wielkich obszarach, jakby mówiąc, że uczucie jedno i toż samo jednoczy ziemie te, od wielu lat rozjednane, iż wszyscy w tem jednym uczuciu miłości ojczyzny, we wspólnym bólu nad jej cierpieniami łączą się w jedno koło rodzinne.

Tak marzył obcy przybysz... Ktoś, znający miejscowe stosunki, ludzi, ich sprawy, pobudki tych spraw, znalazłby bez wątpienia jeszcze coś więcej, znalazłby i inne zjawiska, — zjawiska bardzo ciekawe, wytworzone na tle wypadków i chwil ówczesnych. Chwile, zaiste, nader niezwykajnie zarysowywały się, podnosząc ku wyżynom jednostki i tłumy. Prawie rzecz można, iż w powietrzu czułeś powiewy jakieś niezwykle, umoralniające, uszlachetniające ludzi: wiara w przyszłość lepszą, nadzieja rychłego ziszczenia pragnień ogólnych, napępiała i przepełniała serca, wytwarzając nastrój ogólny radośny i niemniej uroczysty. O bliskich rozczerowaniach, o bolesnych zawodach, stojących tuż obok, niejako za ścianą, nie myślano nawet wcale, przynajmniej wśród ogółu: przeczuwały je może jednostki, lecz nie tłumy.

Jeżeli niekiedy dolatywał do uszu ludzi, wierzących w bliską jutrzenkę wyzwolenia, huk gromu zbliżających się niebezpieczeństw, jeżeli nawet tu lub owdzie niebezpieczeństwa spadały na głowy nieprzygotowanych, umiano stawieć czoło niebezpieczeństwom, umiano je znosić z godnością, męstwem, spokojem. Było to jednym ze znamion wybitnych ówczesnej chwili. Lecz nawet i w chwilach największej trwogi, najgroźniejszego niebezpieczeństwa, nie przestawano wierzyć, że spadają one z chmury

przelotnej, że wicher, co ją nasunął, wnet ją spędzi z widnokregu, za którym wciąż gościć będzie słońce statecznej pogody.

* *

Wiosna szczególnie i lato owego roku, o którym mówimy, patrzyły na dziwne, przedtem w takiej liczbie niespotykane zjawiska: powaśnieni od wielu lat — podawali sobie dłonie; sięjący zły przykład — cofali się ze stromych ścieżek; starzy grzesznicy, źle czyniący w zakresie spraw społecznych — przestawali grzeszyć; a gdy nie mogli zmienić swego postępowania, szkodliwego dla społeczeństwa, bo mocy charakteru w nich brakło, a wiara wygasła — oddawali się rozpaczy...

Wiemy o jednym przykładzie na Ukrainie, że taki zatwardziały grzesznik w zakresie stosunków społecznych, wobec budzącej się opinii publicznej, karcącej a przynajmniej piętnującej podobne zdrożności — snąc w chwili rozpaczy — życie sobie odebrał. Spotykano i inne podobnego rodzaju przykłady. Rehabilitacye własnego postępowania wcale nie zaliczały się w owym roku do zjawisk rzadkich, owszem, stały wciąż na porządku dziennym.

Prądy, budzące żywsze uczucie narodowe, umoralniały jednostki i masy: widzieliśmy obojętnych w wierze, którzy się nawracali, i po wielu latach szukali drogi do kościoła; urzędnicy Polacy wycofywali się ze swych stanowisk, gdy takowe stawały w sprzeczności z ich obowiązkami względem kraju; budziło się w nich sumienie, jak w wielu innych grupach społecznych.

Nawet uczniowie w niektórych szkołach lepiej uczyć się zaczęli; garnęli się pilnie, z zapałem, do polskiej książki, do nauki mówiącej o przeszłości własnego narodu, i sami tę wiedzę zdobywali, gdyż w zaborze rosyjskim całym, szczególnie na Zabużu, szkoła usuwała od nich wszystko, co swojskiem mienić się mogło. Zapał do nauki wśród szkolnej młodzieży rósł w owych czasach pod wpływem moralnych wstrząśnień tamtoczesnych; duch podniosły, umoralniający, powiósł ponad społeczeństwem, a więc nie opuścił i serc młodocianych, — owszem, odbijał się w onych sercach najwybitniej, i owe młode pokolenia zaczęły

dokładniej spełniać swe obowiązki. Rosyanie nawet, nauczyciele szkół, robili tego rodzaju spostrzeżenia w szkołach na Wołyniu — i smucili się tem; gniewało to ich i niezmiernie drażniło.

Duch głębszego uczucia religijnego, spływający wraz z pieśnią patryotyczno-religijną ku duszom dziecięcym, budził się wśród szkolnej młodzieży, a zarazem podnosił na wyżyny ich młodociane serca, umoralniał je. Obawiano się tego w sferach szkolnej, a więc rosyjskiej zwierzchności: rosyjska zwierzchność szkół, dążąca zwykle do zdemoralizowania młodzieży, do ztracenia w ich piersi uczuć podnioslejszych, na których podstawie kiełkować i rozwijać się mogły uczucia patryotyczne, z przerażeniem patrzała, iż jej destrukcyjne zabiegi w proch się rozsypują. Strwożona przeto takim duchowem, niespodzianem przeobrażeniem młodocianych pokoleń ujarzmionego narodu, zaczęła myśleć o reakcyi i posyłała wciąż sprawozdania o duchu buntowniczym, który zakradł się do serc młodzieży. Denuncyacye biegły nieustannie jedna za drugą do Kijowa, gdzie rezyduje główny zwierzchnik, tak zwany „kurator“ szkół Wołynia, Podola i Ukrainy.

Tak się działo w gimnazjum w Równiu, na Wołyniu.

O niem mówię, bo na tę szkołę patrzałem wówczas zbliżka.

Głównym objawem owych „buntowniczych usposobień“ rówieńskiej szkolnej młodzieży był jej udział w ogólnej żałobie narodu i odmawianie w klasie modlitw przed i po lekcyi „kłęzcząc“. To zwłaszcza klęczenie podczas modlitwy mocno władzom nie podobało się. Kapelan, a zarazem katecheta gimnazyalny, ks. Józef Twarowski, wprędce potem był wysłany bez sądu na wygnanie do najsmutniejszych okolic północnej Europy, do Powieńca, na dzikie wybrzeża jeziora Onegi, gdzie, po kilkunastu latach niewoli, wśród wielkich prywacyj, życie zakończył.

Biedny ten człowiek przed owymi miesiącami wstrząśnień moralnych uważany był przez władze rosyjskie pod względem politycznym i religijnym, jako osoba bez zarzutu; władze widziały w nim indywiduum bierne i lubiły go nawet; rok 1861 przekształcił go stanowczo... Niższe organa policyjne, postawione na straży usposobień, myśli i czynów społeczeństwa, nie

mogły wyjść z podziwu z powodu zaszłej w nim zmiany. Nie rozumiano, iż natchnienia Ducha bożego spłynęły do jego duszy; władze chciały w tem przeobrażeniu widzieć jedynie czyjąś prowokację.

Budzenie się ducha narodowego, który na skrzydłach wiary unosił młodsze i starsze pokolenia, przejawiało się na szerokich obszarach rosyjskiego zaboru; inne dzielnice ziem polskich obce były temu samorzutnemu ruchowi, nie znały go, i tem samem ani wówczas, ani później ocenić go należycie nie umiały i nie mogły.

— „Istna to moralna rewolucya“ — mawiali o całym owym ruchu Rosyanie; i mówiąc to, słuszość mieli zupełną. Z owym moralnym przewrotem walczyć było trudno; władza rosyjska wzdychała do ruchu zbrojnego, któryby mógł być bronią poskromiony i krwią swą zalał wszystkie zdobycze owej „moralnej rewolucyi“. Z kolei i to nadeszło. Lecz w dniach, o których mówimy, w jesieni 1861 r., jeżeli nie gdzieindziej, to w każdym razie na Zabużu, wśród cichych dworów Wołynia, nikt nie myślał o ruchu zbrojnym.

W zachodnich okolicach Wołynia, gdzie mieszkalem, wszystkie przejawy owego moralnego przewrotu w dniach rozpoczynających październik 1861 r., dobiegały kulminacyjnego punktu rozwoju: tłumny a wspaniały obchód na polach Horodła odbił się echem wśród szerokich przestworzy Wołynia. Wstrząśnienie to było wielkie, lecz — ostatnie. W powietrzu już wisiała represya, która stłumić miała wszystkie objawy ówczesnego ruchu. Rozkaz dano — i na całej linii władz wykonawczych rozpoczęły się prześladowania.

Każda prowincya powinna była dostarczyć pewnej liczby ofiar, które porywano z domów najniespodzianie i, nie mówiąc o powodach wygnania, deportowano. Rzucenie tego rodzaju postrachu uważano za środek wyborny, tem skuteczniejszy, iż na całym Zabużu od lat przeszło dwudziestu nie widziano owych tajemnych wywożeń bez sądu i jawnie stawianego zarzutu, a ówczesne rządy cieszyły się jeszcze reputacją sprawiedliwych i łagodnych. Rozpocząć się mające wywożenia stały się przeto nie-

spodzianką, acz bardzo bolesną, niemniej jednak niespodzianką. Tym razem wysyłania nie były liczne; chciano poprzestać na niewielkiej liczbie przeznaczonych na wygnanie; dowolnie brani i wywiezieni ku granicom Azji, przeważnie byli bez innego zarzutu, oprócz podejrzeń.

Może to byli ludzie, gorąco miłujący ziemię rodzinną, może entuzyaści, ale nie inicjatorowie owej — jak Rosyanie nazywali — „moralnej rewolucyi“. Deportacya, która wówczas spadła na kilka domów ziemian wołyńskich, stała się ostrzeżeniem niejako, iż władze czuwają, iż nastąpił zupełny, a stanowczy zwrot w sposobie dotychczasowego postępowania władz.

Po tłumnym „obchodzie horodelskim“, gdzie widziano mieszkańców różnych dzielnic, z wybrzeży ujęć wiślanych i znad górnego Niemna, w którym wzięły udział, lub na który dążyły liczne rodziny ziemian wołyńskich — wstrzymane tylko po części na przeprawie przez Bug, w miasteczku Uściługu — spadły najniespodzianie wyżej rzeczzone deportacye.

Wywożenia, chociaż bezpośrednio po dniu Horodła miały miejsce, nie zostawały wszakże w ścisłym związku z owym obchodem prastarej unii; zarządzono je w zasadzie nieco wcześniej, bo już około 18 sierpnia (now. st.) odbyła się w Petersburgu rada ministeryalna, na której postanowiono zapomocą represyi stanowczo zgnieść kiełkujący w Polsce ruch narodowy.

W drugiej połowie października plan wchodził w wykonanie zarówno na Wołyniu, jak i w Królestwie — w różnych może nieco formach, ale dążył ku jednemu celowi. — Litwę wtedy nieco oszczędzono, zapewne dzięki ludzkości ówczesnego jej wielkorządcy, Nazimowa, który należał do generacyi lepszej swego narodu, później zaginionej. I wołyńskie deportacye wcale licznemi mienić się nie mogły. Działano na ślepo, biorąc pierwszych z brzegu, nie zdając sobie dostatecznie sprawy, czy rzeczywiście winnych dotyka ten ostracyzm. Wielkorządca kijowski, rządzący trzema prowincjami: Wołyniem, Podolem i Ukrainą — książe Hilaryon Wasilczykow, podobnie jak i wołyński gubernator ówczesny, książe Drucki-Sokoliński, smoleńszczanin, niegdyś marszałek szlachty smoleńskiej — wcale to nie byli ludzie uspo-

sobień srogich; nienawiść plemienna, później tak potężny czynnik w postępowaniu władz rosyjskich, nie przyświecała w ich czynnościach: wszystko, co trąciło pewnego rodzaju ostracyzmem, wypływało nie z ich osobistych usposobień, lecz jedynie z systemu, którego oni byli narzędziem i powolnymi sługami.

* *

Mieszkałem wówczas na krańcach zachodnich Wołynia, tam gdzie on z dawnym Belżkiem graniczy, o kilka kilometrów od galicyjskiego kordonu. Do tego cichego zakątka niewiele dobiegało wieści z szerszego świata; dzięki jednak przemycanemu *Czasowi*, немало wiadomości z innych dzielnic Polski otrzymywaliśmy. Na nieszczęście jednak spora doza wiadomości, które ówczesny *Czas* zawierał, kłamliwymi były; szczególnie umieszczane tam wówczas korespondencye z Warszawy, grzeszyły przesadą i fałszem, świadomie szerzonym — i w ten sposób dolewały oliwy do ognia, prowokowały niejako, zbliżały ruch zbrojny, a przynajmniej szerzyły większe wzburzenie umysłów, dodając otuchy zapomocą wielu rzeczywistych, ale też wielu i urojonych faktów. O prawdziwości jednak tego, co pisała gazeta, nikt wtedy nie wątpił.

W tym cichym zakątku, gdzie mieszkałem, w owych dniach październikowych pogodnej jesieni, zapominaliśmy, iż tak, jak było, nie mogło być długo; zapominaliśmy, że chwile podniosłe znikną, niby sen, a rzeczywistość rychło zmrozi kwiat nadziei młodociany, a włąty.

Nadeszły dnię zniknięcia czaru nader prędko.

Podobnie jak się działo na lewych poręczach Bugu, w Królestwie, wzniesiliśmy u siebie na wsi krzyż przydrożny, na pamiątkę owych chwil podniosłych, któreśmy wtedy przebywali, w intencji, że stanie się on widomą ofiarą błagalną. Bo, że za wiele żałować, o niejedno prosić należało i długo błagać, by mgły poziome zniknęły, a ukazała się jutrzeńka odrodzenia, o tem nie zapominaliśmy... Krzyż nie został poświęcony, wyczekiwaliśmy chwili stosownej, aby do proboszcza katolickiego można się było udać z prośbą o benedykcyę. Benedykcyę jedynie z tej

dłoni byłyaby właściwą; bo nie mówiąc już o nas, i dla tej rzeszy wieśniaczej, chociaż urzędownie prawosławnej, nawróconej bowiem niegdyś z unii grozą ukazów — jedynie benedykcyja katolickiego kapłana posiadała wartość; do kapłana nowej wiary nie mieli oni ufności.

Lud garnał się pod olbrzymie ramiona krzyża, który z dużych, nieodartych z kory sosnowych balów wzniesiony, stał na wzgórzu przy gościńcu; korona cierniowa, upleciona z tarniny, zawisała u jego szczytu. Garnał się lud do stóp krzyża i intencję zrozumiał, i jeszcze wtedy modlić się nie zapominał, bo tradycye unii, chociaż zamglone, żyły tam jeszcze. Nie odczytywał wszakże wieśniak, bo czytać nie umiał, nie odczytywał modlitwy błagalnej, którą dla niego brat mój (Aleksander D... † w r. 1868 w Krakowie) ułożył¹, tłumacząc na język ludowy hymn: „Boże, coś Polskę“, gdzie każda strofa kończyła się prośbą o jedność i zgodę wśród mieszkańców jednej ziemi: *Prosym Tia Boże i Twojoho Syna — Nech wsi znów budem jak jidna rodyna.*

Rozbratu szczepowego tam nie znano i dziś go tam nie spotykają. Słowa powyższej modlitwy tyczyły się przeto wyłącznie zjednoczenia ziem, poszarpanych na szmaty; o fermentie politycznym, wytwarzanym na wzgórzu św. Jura we Lwowie, nikt tam wówczas nie słyszał; dowiadywano się o nim potrosze z nadchodzących z Warszawy gazet, ze sprawozdań dziennikarskich z sejmu galicyjskiego, który wtedy właśnie rozpoczął był erę konstytucyjną naszej podkarpackiej dzielnicy, i ze świeżo wówczas wyszłej zpod prasy powieści J. Zacharyasiewicza p. t. „Św. Jur“. Lud i wielu, bardzo wielu ze szlachty w okolicy, ba, i w całym kraju nie czytali ani sprawozdań sejmowych, czyniących smutne wrażenie, ani powieści Zacharyasiewicza — wcale przeto nie domyślali się istnienia poza kordonem galicyjskim aspiracyj sztucznie wzniecanych. Jeżeli lud tamtych okolic, zachodniego Wołynia, myślą sięgał kiedy szerzej i na chwilę zdołał zbudować ideały, przekraczające ubożuchne płoty swej chaty,

¹ Patrz o nim „Rocznik Tow. histor. w Paryżu“ za r. 1868 i „Rachunki z r. 1868“.

nie różniły się one wcale od ideałów zacniejszych ludzi z gniazd szlacheckich.

„Czasy polskie“ — jak je lud nazywał — to, wedle pojęcia tłumów, czasy lepszej przeszłości: wśród ludu spotykano gorętsze nawet niekiedy uczucia miłości dla Polski, której pamięć była jakby synonimem czegoś dawnego, a lepszego.

Niejednemu z doktrynerów wyda się to dziwnem, tak jednak było: nie spiknęły się jeszcze wtedy siły różne, złe i najgorsze, by w szatańskim sojuszu pracować nad przekształceniem bryły ludowej, wedle modły swych dążeń, celów, często bardzo dalekich od nauki Chrystusa o miłości bliźniego.

W kilka dni po wzniesieniu krzyża — zdaje się nazajutrz — dowiedzieliśmy się, że krzyż, podobny jak u nas, wzniesić zamierzono u naszego, o parę mil mieszkającego sąsiada, Aleksandra Bereżeckiego, we wsi Chocimiu. Sąsiad zapraszał nas na inaugurację pamiątkowego krzyża; ale drobna jakaś sprawa, powołująca nas obu z bratem do okolic, o kilka mil odległych, a w dwóch przeciwnych kierunkach leżących, nie pozwoliła z zaproszenia korzystać. Wyjechaliśmy w istocie na dni kilka, mając zamiar powrócić na 22 października. Brat mój wyjechał do poleskich okolic włodzimierskiego powiatu, ja podążyłem do rówieńskiego. Rozjechaliśmy się spokojni, nic nie rokowało zmian. Ciszę naszej wioski uważaliśmy za ciszę szerszych horyzontów. Złudzenie!... Wypadki groźne w Warszawie, właśnie wówczas zaszły, — profanacya kościołów i ich zamknięcie, stan obleżenia — jeszcze nam znanymi nie były; ani dzienniki ani prywatne o tem wieści nie nadbiegały, dróg zaś żelaznych wcale nie posiadaliśmy... *Czas* przemycany, również spóźniony przychodził; posłańcy zpoza kordonu niekiedy gazetę gubili, nie przeto nie wiedzieliśmy, że nastąpiła zmiana w taktyce postępowania władz, iż dnie prób twardych zaczynają się, przynajmniej dla tych dzielnic, co leżą na wschód od Królestwa.

Załatwiwszy w rówieńskim me interesa, chciałem wracać do domu; właśnie byłem w mieście Równem, gdzie miałem zamiar dobrać zabawic. Dałem stosowne polecenia memu woźnicy

w zajeździe, że jutro dopiero wyjedziemy, aby odpowiednio do tego zarządził wypoczynek i karmienie koni.

Dość apatyczny mój woźnica, wieśniak wołyński, chłopak o niewiele ode mnie młodszy, który od lat paru, czy nieco więcej, był u mnie, a podczas gdy odbywałem studia uniwersyteckie w Kijowie, on również w chwilach wolnych od służby oddawał się studiom w szkółce ludowej, ale nie czynił wielkich postępów i z książką pospolicie nie chciał mieć do czynienia; niekiedy, chociaż bardzo rzadko, pełnił funkcję woźnicy. Tym razem również w takim charakterze występował; projekt zabawienia doby w Równem nie podobał mu się, chciał w rzeczonej kwestyi zrobić interpelację, zaczął więc rozmowę od czegoś, niemającego związku z obchodzącym go przedmiotem.

— Coś tu niedobrego — zaczął flegmatycznie.

— Cóż, straszy? — pytałem żartobliwie, wiedząc, iż chłopak, chociaż otrząskany ze światem, chętnie w duchy, upiory wierzy.

— No tak... straszy... już cię straszy... i to tego licha ani zażegnać ani od niego uciec...

— Zkądże ci znowu upiory w głowie?

— Ba, to gorzej od upiorów, które tylko w nocy pokazują się... Od tego, co tu słyhać, ani woda święcona ani żaden urok nie pomoże — ciągnął chłopak powoli, oglądając się.

— Cóż tu słyhać?

— Co słyhać?... Co słyhać? — powtarzał flegmatycznie, wciąż oglądając się. — Mówił mi sługa hotelowy, że żandarmi lecieli tedy szosą wczoraj i przedwczoraj; jakichś panów powieźli... Było trzech żandarmów i trzech panów. Pędzili jak opętani; wszyscy żydzi z domów powylatywali, by na nich patrzeć, jak to lichy pędziło bez opamiętania. Pewnie nic innego, jak nieczysta siła ich gnała, bo gdzieżby człowiek, chociaż i pocztylion, tak nieludzko gnał konie...

Gwarzenie chłopaka trwało jeszcze chwilę, ale już na nie nie zważałem.

Jakieś przeczucia złowieszcze w myśli mej powstały. Wyszedłem z zajazdu, lecz wszystkie interesa, jakie miałem w mia-

steczku, w jednej chwili zniknęły, a natomiast wystąpiła myśl jedna, górująca nad innemi, górująca nad wszystkim... Nie było to przecucie; pewność zupełna w umyśle mym rozgościła się: pewny byłem, nie zdając sobie wcale sprawy dlaczego, pewny byłem, iż, zanim doba lub dwie upłyną, porwą mnie i powiozą gdzieś daleko, na północ... Nie umiałem sobie sprawy zdać z pewności tej, która wydawała mi się najzupełniejszą rzeczywistością... Słońce pogodnej, cieplej jesieni w całym blasku świeciło; było to południe, a przed mym wzrokiem przesuwaly się zamiecie, huragany śnieżne, białe przestworza, których końca oko dojrzyć nie zdołało. Mijała godzina, dwie — widziadła nie znikaly; pewność szybkiego przeniesienia się do krajów srogiej zimy nie przestawała mnie trapić. Widziadła, sen na jawie, wziąłem za rzeczywistość i stosownie do tej rzeczywistości, tłoczącej się gwałtownie do mej wyobraźni, zacząłem się urządzać. Usnuły się wnet projekta dla chwil najbliższych.

Uważałem za rzecz słuszną natychmiast wracać do domu, a korzystając z pobytu w miasteczku, postanowiłem zaopatrzyć się w zimowe ubranie, któreby odpowiadało tej srogiej zimie, jaką okiem mej duszy widziałem. Znaczny wydatek, zrobiony jedynie na zasadzie przeczuć, wskazywał całą moc wiary w te przecucia, które mnie wówczas opanowały.

— Jedziemy za godzinę, za dwie... jedziemy wnet, — mówiłem do mego młodziutkiego woźnicy, śpiesznie kończąc kupowanie zimowych ubrań — jedziemy na całą noc i koni żałować nie potrzeba. Musimy co prędzej stanąć w domu...

Podczas gdy robiono przygotowania do odjazdu, kupowałem futra, berlacze, słowem, ekwipowałem się śpiesznie do krainy lodów.

W tym pośpiechu moim ekwipowania się było coś gorączkowego, ale też zarazem i dziwnego, zważywszy, że tu przecucie jakieś dziwne, niewytłumaczone, główną grało rolę.

W parę godzin potem, ku wieczorowi, opuszczałem miasteczko, z nikim się nie widząc, nikogo osobiście nie pożegnawszy, lubo miałem tam znajomych i życzliwych. Myślałem tylko biegłem: to pod dach zacnego lekarza, Henryka Boguckiego, ucznia niegdyś

Akademii wileńskiej, człowieka przedwcześnie złamanego, z którym mnie, pomimo wielkiej lat różnicy, łączyła szczerą sympatya, — to do gmachu gimnazyalnego, gdzie moje krótkotrwałe, kilkomiesięczne zaledwie wykłady, wywołały nawet miłość pocziwej szkolnej młodzieży, — to na tak zwaną „Górkę“, do zamiejskiej siedziby ks. Kazimierzowstwa Lub..., gdzie spotykałem zawsze gościnność, — to znowu stawał mi w myśli miłośnik zbiorów archiwalnych i wyborny znawca przeszłości Wołynia, Teofil Stypułkowski, zajęty wówczas opracowywaniem drobnych artykułów o Wołyniu, do zaczynającej wtedy właśnie wychodzić „Encyklopedyi Powszechnej“, Samuela Orgelbranda¹. Tych, innych, wszystkich, żegnałem w mej myśli, żegnałem nazawsze...

W chwili gdy moja bryczka, o wcześniej zapadającym zmroku, mijala ostatnią chatę miasteczka, odezwał się dzwonek cmentarnej kaplicy, wzywający na „Anioł Pański“. Miasto, acz powiatowe, nie miało innego kościoła nad kaplicę mogilną, ubożuchną, poza obejściem miasteczka leżącą². Wsłuchując się w głos dzwonka cmentarnego, słyszałem w jego dźwięku głos pożegnania ziemi rodzinnej; coraz wyraziściej stawało przed okiem mego ducha głębokie przeświadczenie, iż zawisł nad mą głową pewnego rodzaju przełom w życiu, przełom stanowczy... Wyparty zpod strzechy rodzinnej, miałem odtąd pójść tułaczem na lata, na życie całe...

* *

Wśród nocy dość ciemnej, pędziłem szybko ku domowi. Nigdzie nie nocowałem, odbywałem tylko krótkie popasy. Woznica mój nie był wtajemniczony w przeczucia tak jaskrawo zarysowujące się w mej myśli, iż poczyniłem nawet sprawunki stosowne do podróży dalekiej, do kraju śniegów, niemniej jednak

¹ Teofil Stypułkowski w kilka lat później zmarł w pustyniach zachodniej Syberyi. Wypadki 1863 r. wyrzuciły go z kraju. — Pozostałe po nim cenne materyały historyczne, dotyczące się dziejów Wołynia, umiejętnie użytkowywał, w pewnej przynajmniej części, dziś również już zmarły Tadeusz Jerzy Stecki.

² I teraz (1890 r.) ten oplakany stan rzeczy co do kościoła w Równem nie zmienił się.

i w jego umyśle powstawały jakieś przewidywania rzeczy niezwykłych, czy też obawy, bo ze szczególną troskliwością wpatrywał się we mnie i podczas długiej, nocnej jazdy, wszczynał rozmowy nacechowane niezmierną tęsknicą. Przypuszczam, iż myśl, że się ze mną rozstanie, nurtowała w jego umyśle. Nie wiem, czy z obaw swych sprawę zdawał sobie dokładnie, czy zastanawiał się nad przyczyną smutku, co trawił go wówczas, ale w tonie i sposobie mówienia, widoczną była bezbrzeżna tęsknota. Rozmowy, które rozpoczynał, rozbrzmiewały smutno. Nie zważałem prawie na chłopaka, na jego smutkiem nacechowane zapytania i jakieś reminiscencye, które mnie z pewną tęskną zadumą do ucha wkładał, czego pospolicie nie zwykł był czynić; bądźco bądź niezwykle zachowanie się mego młodziutkiego woźnicy świadczyło, iż również w jego umyśle powstały i górowały smutne jakieś przeczucia, czy też obawy groźne.

Jechaliśmy noc całą i dzień cały prawie bez dłuższego wytchnienia. Małe popasy pokrzepiały nieco nasze konie, lecz nie nasze siły: ku wieczorowi czuliśmy się znużeni. Trzyście mil, całą dobę, bez odpoczynku prawie i bez chwilowego nawet snu, siedząc na bryczce, wzdychałem do wytchnienia i dachu. Młode siły nie wyczerpywały się, ale wzruszenie wywołało znużenie, a przynajmniej je powiększało.

Ku wieczorowi ujrzelśmy zdaleka, historycznych wspomnień pełne, pola Beresteczka. Konie znać poznały okolice o mie-dzę położone od domu, bo przyspieszyły kroku, zapominając nawet o wielkiem zmęczeniu. O zmroku wjechaliśmy do Beresteczka; woźnica mój chciał przebiec miasteczko, nie zatrzymując się ani na chwilę — wstrzymałem go wszakże. To samo przeczucie, które na dobę przedtem kazało mi robić przygotowania do drogi długiej, zimowej, kierowało i teraz memi krokami; byłem mu niewolniczo posłuszny, jak nigdy przedtem, jak nigdy później. Pewny najzupełniej, że coś nadzwyczajnego w domu zaszło, nie omieszkalem już w miasteczku zasięgnąć języka o tem, co się u nas dzieje. Zaraz więc u wjazdu do mieściny, kazałem woźnicy skręcić w bok o kilkadziesiąt kroków, do mieszkania doktora Aleksandra Wermińskiego. Lekarz ten, człowiek wysokiej

zaczności, — niegdyś uczeń Akademii medycznej w Wilnie, później, w ciągu lat dwunastu, od 1839 r., żołnierz-wygnaniec na Kaukazie, wreszcie po powrocie do kraju praktyk powszechnie ceniony, przyjaciel domu naszego — prawdopodobnie wiedział, co u nas zaszło w ubiegłych dniach kilku; do niego więc zajechałem, dla powzięcia języka ¹. Lekarza nie zastałem, ale ktoś z jego domowników zaraz zwrócił moją uwagę, iż prawdopodobnie wisi jakaś burza nad naszą siedzibą.

— Całe miasteczko — mówił mi ktoś — zajęte od kilku dni faktem u nas niezwykłym. Naczelnik powiatu bawił tu ze trzy doby, i konie pocztowe z sobą przywiezione trzymał, i codzień do państwa, na wieś, urzędnika na zwiady posyłał. Wszyscy sądzą, iż coś zająć może złego u państwa...

Nie czekałem końca opowiadania. W jednej chwili byłem już na wózku, i śpiesznie pędziłem ku domowi.

Przeczuca złowieszcze, prędzej niż sądziłem, ziszczać się zaczęły. Dla mnie było to już nie domniemanem zjawiskiem w sferze przeczuć, ale faktem dotykalmym, iż mają porwać mnie lub mego brata, lub nas obu, i wywieść na wygnanie... O powód nie pytałem nawet siebie; wiedziałem, iż dowolność wciąż panowała w kraju od lat wielu, a więc i tym razem możemy się stać jej pastwą. Głuche wieści, jakie dobiegały do mnie w Równem — jak wspominałem przed chwilą — świadczyły, iż system dowolności, nieco zmodyfikowany po zgonie cesarza Mikołaja I., wznawiano znowu. Obraz wygnania na lata, na życie całe, stawał przede mną.

Szybko przebiegł mój wózek przestrzeń kilku kilometrów, oddzielającą miasteczko od naszej wioski. Droga biegła o małe ćwierć mili od granicy austriackiej. Księżyc wypłynął na wyżyny horyzontu, oświecając pola i lasy; noc, chociaż poprzedzała dzień dość późnej jesieni, piękną, cichą, ciepłą tak była, jak w lipcu. Śpiesząc ku domowi, wiedziałem napewno, że jadę w ręce

¹ Dr. Aleks. Wermiński, mąż cnót niemałych i podniosłego patriotyzmu, który w r. 1863 emigrował, zmarł w Serbii około r. 1876. — Wszędzie, gdzie przebywał, jednał sobie serca, bo sam był człowiekiem potężnego serca, wysokiej moralności i uczuć szczerze religijnych.

tych, co pojmać mnie mają. Kilkakrotnie nasuwała mi się myśl, bardzo zresztą naturalna, iż należy się ocalać; bliskość granicy mogła zachęcać do jej przekroczenia, nie myślałem wszakże o tem na seryo. Ucieczka wydawała mi się czemś dziwnem, niewłaściwem, omal występnem. Po raz pierwszy wówczas, o ile pamiętam, powstało w mym umyśle przekonanie, iż wśród niebezpieczeństw jedyne stanowisko: nie podawać stopy wstecz ani na chwilę, nie cofać się przed grozą, bodaj ostatecznej zagłady...

Później, znacznie później, miały się skupiać nad mą głową niebezpieczeństwa stokroć groźniejsze — lecz trzymałem się raz przyjętej zasady: nie cofać się wobec potężnej dłoni przeznaczenia. Zdaje się, noc owa, o której obecnie mówię, była chwilą wytworzenia się u mnie rzeczzonej zasady...

Na granicy gruntów siedziby naszej, kończą się pola dość rozwarłe, które towarzyszyły mi od miasteczka, a zaczyna się las; jego niedługie pasmo przecięte jarami, wąwozami, tworzy wjazd do wioski. Najmniejsza to i najwęższa z odnóg lasu naszej ówczesnej siedziby. Jeden zwrot w lewo z szerokiego gościńca, a już byłbym na drożynie, która przebiegając coraz to szersze leśne przestrzenie, doprowadziłyby mogła do galicyjskiej granicy, odległej od punktu, gdzie się znajdowałem, zaledwie o godzinę jazdy. W chwili, gdy przemknęła mi przelotnie myśl ocalania się, byłem na owej między pól naszych, na wspomnianym zawrocie pod lasem. Woźnica, jak gdyby odpowiadał na myśl moją, dojechawszy do lasu, do zawrotu, gdzie na między naszych obszarów, jako spuścizna czasów dawnych, czasów unii, stała maluczka kapliczka ze statua św. Onufrego — wstrzymał konie...

Chcąc się uchylić od wiszących nad mą głową niebezpieczeństw, dość było wjechać z szerszego gościńca na leśną ścieżkę, która w ciągu godziny, półtorej, mogłaby doprowadzić do galicyjskiej granicy. Tego wszakże uczynić nie chciałem. Chwila nader stanowczą się stała. Potrzeba było rozstrzygnąć bez wahania się i nieodwołalnie, którą drogę obieram: wygnania, bądź tułactwa. Głos wewnętrzny ku pierwszej skłaniał — za nim po-

szedłem. Zdawało mi się, iż to droga obowiązku, a przede wszystkim pragnąłem w życiu mem iść tą właśnie ścieżką.

Wysiadłem z wózka i ukląkłszy u stóp drewnianego posągu, szukałem w modlitwie natchnienia, co czynić?...

Po chwili wstałem spokojny; modlitwa dodała mi mocy. Nie poczuwałem się do żadnej winy; niebezpieczeństwa, które otoczyć mnie miały, uważałem jako jeden z ciosów, tłumnie spadających na mój naród; całe społeczeństwo je dźwigało, dlategoż jednostka miała się uchylać? — byłem posłuszny woli Opatrzności.

Cicha, ciepła, prawie letnia noc, nie przypominała wcale jesieni, chociaż poprzedzała ona już dzień jesienny, dzień 11 października (st. stylu). Cisza na krawędzi lasu, gdzie wszystko było uspione, zachęcała, usposabiała do rozmyślań, marzeń; czas nie był po temu. Nagliłem woźnicę, by się nie ociągał. Wsiadliśmy obaj szybko do wózka, a konie, radośnie parskając, jakby poznały, że dom blisko, śpiesznie przebiegły las, poza którym rozsiadła się nasza siedziba.

Las napelniała cisza niezwykła; niekiedy tylko dolatywały zdala odgłosy drewnianych dzwonek zabłąkanego bydła i szerece rozlegało się echo turkotu naszego wózka, biegnącego po przepaścistych wąwozach, którymi wiła się droga. Minęliśmy w lesie, na maluczkiej polanie, krzyż i połączone z nim pewne wspomnienie rodzinne, minęliśmy jeszcze parę wąwozów i obwiała nas prądy zimne, wilgotne; — byliśmy we wsi, rozrzuconej na pagórkach, u stóp których leżały szerokie stawiska. Zimne, wilgotne mgły ulatywały nad stawiskami, ciągnącemi się na znacznej przestrzeni. We wsi panowała głucha cisza, podobnie jak w lesie; żaden głos się nie ozwał, nawet pies nie zaszczekał, nigdzie w oknach chat światła, nigdzie śladu, by czuwano, chociaż pora nie była zbyt późnioną.

Jeszcze chwila, a wózek stanął przed gankiem naszego domu. Ognie od frontu zgaszone zdawały się świadczyć, iż nie czuwano. W rzeczywistości wszakże inaczej się działo — czuwano i mnie z niepokojem wyglądano. Policya u nas wprowadzie nie pokazywała się, lecz różni jej agenci zdala krążyli po wiosce.

zaglądali do karczmy, wszędzie tajemniczo dopytywano o coś. śledzono zdala, oględnie. Podobno włościan dopytywano się pilnie o krzyż pamiątkowy, z berwion sosnowych, z kory nieodartych, sklecony, który — przed kilku dniami wzniesiony — górował nad wioską. Temi wiadomościami alarmującemi powitano mnie na domowym progu.

Po upływie godziny brat mój również wrócił z podróży; powtórzono mu wieści złowróżbne, które mnie witały. Udał się na spoczynek bardzo późno i sen trwał niedługo.

* * *

Nazajutrz (11 października star. st. 1861 r.), zaledwie późny wschód jesiennego słońca uderzył swym blaskiem w okna izby, gdzieśmy spali, stanął przed naszymi łózkami urzędnik policyi, wzywając krótkimi słowy, abyśmy wstawali. Wezwanie, acz lakoniczne, zrozumiałem się stało.

— Wstawać proszę!... pojedziemy... mam rozkaz... konie czekają — mówił przybyły.

Nie pytaliśmy, z czyjego rozkazu, dokąd, z jakiego powodu nas zabierano. Pytania i protesty, żądania, by wylegitymowano się z pobudek uwięzienia, uważaliśmy za rzecz zbyteczną. Wstawaliśmy śpiesznie i zaczęliśmy się krzątać około wybijoru. Nie była to rzecz łatwa.

Urzędnik na tyle względny okazał, iż pozwolił nam kilka godzin użyć na przygotowania do podróży, z której po policie albo wcale się nie wraca, albo po latach wielu.

Przeczcucia niespodziane, powstałe przed paru dniami w mym umyśle, ziszczały się...

Dla mnie ten wybór był łatwym, przynajmniej łatwiejszym: zaledwie pierwsze dwudziestolecie życia mego upłynęło — byłem sam; brat zostawiał rodzinę, malutkie dzieci, interesa dość zawikłane.

Parę, czy nieco więcej godzin, jakich nam udzielono na przygotowania do podróży, przemknęły, niby jedna chwila. Krzątaliśmy się, czyniąc śpieszne przygotowania, ale byliśmy już więźniami. U drzwi naszych stał na ganku drab zbrojny i zdala

tem samem wskazywał, iż to jest dom klęski i żałoby. Każdy przechodzień już ten dom powinien omijać, by go to samo, co nas, nie spotkało.

Gdy żegnaliśmy rodzinę i domowników, a urzędnik policyjny, wciąż w pierwszej izbie domu siedzący, coś o pośpiechu mówić zaczął, dodając, iż prawdopodobnie wywiozą nas dalej, niż do głębokiej Rosyi, bo ku środkowej Syberyi, do Tomska — wleciały, jak huragan, na dziedziniec konie rączy, zaprzężone do małego powoziku. Był to nasz sąsiad z dalszego nieco sąsiedztwa, pan S., człowiek w sile wieku, posiadający liczne stosunki, dostatni majątek, wiele wolnego czasu. Gwałtownie, niby burza, wpadł jego powozik na dziedziniec, obiegł trawnik i miał się właśnie zatrzymać przed gankiem, gdzie bardzo wąska przestrzeń oddzielała ganek od trawnika, otoczonego żywopłotem, krzewami. W chwili, kiedy wyborny woźnica osadzał na miejscu dzielne a spocone konie, właściciel powoziku powstał, by śpiesznie wyskoczyć. Objął on jednym rzutem oka cały stan rzeczy: drab w błękitnej kurcie, z długim pałaszem, konie pocztowe z pacholkiem policyjnym, czerwony kołnierz urzędnika, wyglądający z okna, tworzyły dla bystrego spostrzegacza dostateczny komentarz naszej ówczesnej sytuacji.

— Zawracaj! — huknął do woźnicy właściciel powoziku. I w jednej chwili konie, gwałtownie osadzone na miejscu, równie gwałtownie ruszyły, dęba stając i chrapiąc. Woźnica dokonał w swym rodzaju arcydzieła furmańskiej sztuki.

Jeszcze jedna minuta, jedno mgnienie oka, a konie i powozik równie szybko wyleciały z dziedzińca, jak wpadły; galopem minęły bramę i tylko kurzu obłoki pozostały po niespodzianym gościu.

Ta ogłędność, to cofanie się dalszych, a nawet bliższych, nie spotykały się wyjątkowo; powszechny to objaw w krajach i czasach, gdzie dowolność góruje.

.....

Słońce już sięgało zenitu swego biegu na horyzoncie, gdy brykę pocztową, pod strażą wspomnianego urzędnika policyjnego i draba o długiej szabli, opuszczaliśmy naszą siedzibę.

Pierwszą stacją długiej podróży, której ostateczny kierunek nie był znany ani nam, ani naszym ówczesnym strażnikom, miało być odległe o pięćdziesiąt kilometrów miasto Dubno, stolica powiatu. Tam stawić nas należało przed oblicze naczelnika powiatu, a ten o dalszych losach orzec coś miał. Późnym wieczorem przybyliśmy do Dubna; zawieziono nas do mieszkania naczelnika powiatu; dygnitarz ten, Rosyanin, przyjął nas w sposób dość gburowaty, jakby dla zaakcentowania, iż już jesteśmy więźniami. Odtąd mieliśmy być stawiani wielokroć, na wielkich obszarach Rosyi, przed oblicza różnych maluczkich dygnitarzy, każdy z nich szorstkim był z natury, czy też starał się takim być; szorstkość ich wszakże w stosunku do przebieganych przez nas przestrzeni, zmniejszała się.

Bardzo spóźnioną godziną ulokowano nas w jakimś zajęździe, zkąd nazajutrz wyruszyliśmy w dalszą drogę, do miasta gubernialnego, Żytomierza. Nim jednak władza wykończyła pewnego rodzaju przygotowania do naszej podróży, składające się z różnych papierów urzędowych i karty pocztowej (tak zwanej *podorożni*), której wydanie w godzinach biurowych jedynie mogło być dokonaniem, upłynął cały poranek.

Żydzi, którzy w owych czasach mieli zwyczaj roznosić po zajazdach towary i zaglądając do drzwi, wychwalać je, recytując całą ich nomenklaturę, tym razem nie omieszkali toż samo uczynić; uchylali drzwi, wyliczając różne drobiazgi swego przenośnego handlu, ale rozglądając się dokładniej po izbie, i widząc draba z pałaszem pilnującego nas, szybko zmieniali monotonne tempo wołania i zwyczajną nomenklaturę: „igły, nici, ołówki, papier“ — na głośniejsze okrzyki: „futra, kozuchy, buty futrzane“. W okrzyku tym niespodzianym, brzmiała wcale nieukryta ironia. Przekupnie, zapewne ci sami, co z wiosną owego roku sprzedawali liczne patryotyczne emblemata, jako wyraz chwili tamtoczesnej, ku jesieni, gdy ukazały się widoczne znamiona represyi, gotowi byli dostarczać futer dla jadących na Syberyę; co również cechę chwili stanowiło.

Gdy już gotów był wóz, wiozący nas w dalszą podróż, i straż, którą miano zmienić w Żytomierzu, prosiliśmy o pozwolenie wej-

ścia do pobliskiego kościoła. Pozwolono. Nie chcieliśmy opuszczać ziemi rodzinnej, bez kapłańskiego błogosławieństwa. Wyszedł starzec-zakonnik i dał nam błogosławieństwo na dnie tułactwa, u stopni wielkiego ołtarza. Kościół w chwilach tych porannych dnia powszedniego, był prawie pusty, u drzwi tylko brzęczały pałasze i ostrogi strażników... Podczas modlitw i benedykcji kapłana, klęcząc u stopni przybytku, powtarzaliśmy w myśli stary hymn do Matki Boskiej, który tylekroć brzmiał w ustach konfederatów barskich, na Sybir pędzonych:

Maryo, Matko, bądź uwielbiona!

W każdej stronie

My w Twej obronie...

Po chwili na wielkim czterokonnym wozie, cisnąć się na nim ze strażą zbrojną i niezbrojną, bo urzędnik policyjny, który nas wywiózł z domu, wiózł i dalej — ruszyliśmy w podróż daleką, której kres ostateczny nikomu z jadących znany nie był. Coś o tem miano stanowić w Żytomierzu. Nie obcą też nam była i myśl, że nas uwolnią, że za dni kilka powrót do domu nastąpi; do żadnej bowiem winy nie poczuwaliśmy się.

Dubno ówczesne jeszcze było własnością prywatną, jeszcze żywiły obce stanowiły w niem rzadkość niemałą, ale — jak wszystkie prawie miasteczka powiatowe wołyńskie — przeważnie roilo się żydowską ludnością, inteligencya zaś miejska głównie się składała z urzędników, Rosyan. To, co było polskiem, nielicznie bardzo prezentowało się w szeregach oświećszych warstw ludności. Wobec takiego stanu rzeczy mieściny powiatowe były na Wołyniu oazami obcego pierwiastku i gniazdami demoralizacyi wszelkiego rodzaju. Dubno w latach nieco wcześniejszych od czasów, o których mówimy, urastało swą polskością ponad inne miasta wołyńskie; pewna liczba rodzin ziemiańskich, tam mieszkających, zjazdy doroczne bliższych i dalszych ziemian, zwane „kontraktami“, ożywiony handel wreszcie, ściągający chwilowo znaczną liczbę obywateli z dalszych nawet niekiedy okolic — to czynniki, które znacznie przyczyniały się do zachowania w mieście cech dawnych. Od 1831 r. stopniowo miasto upadało, jak wszystko, co było w tym nieszczęśliwym kraju. Ruina ma-

teryalna, rozszerzając się na wielkich obszarach, coraz bardziej postać kraju zmieniała; upadek dobrobytu wywoływał coraz widoczniejsze znikanie wyższego poziomu moralności; przejścia i osiedlania się obcych na obszarach ziemi naszej były niby technieniem zniszczenia, niosącym zupełną zagładę wszystkiemu, co legło na drodze tych zabójczych powiewów.

Ślady materyalnej ruiny spotykaliśmy na każdym kroku. Liczne bardzo zajazdy, mało uczęszczane, stały pustkowiem. W rynku, dość obszernym, główny gmach, gdzie odbywały się od r. 1773, od czasu wcielenia Lwowa do Austrii, przeniesione do Dubna z tego ostatniego miasta kontrakty — także świecił już wtedy zaniedbaniem, omal nie nędzą; nazywano ów gmach „globem“; był on świadkiem świetnych zebrań, balów, redut, jakimi brzmiało niegdyś Dubno — teraz słuszniej należała się mu nazwa ruiny, ku której szybkim krokiem zbliżał się.

Szybko pędził nasz wóz, przeładowany strażą, na nim usadowioną, raczej przyczepioną, — odstraszaający przechodniów... Tego rodzaju pociąg wywołuje zawsze obawy i myśli smutne. Żydzi na odgłos wielkiego dzwonka, przywiązanego do dyszla, chronili się za węgły domów; z trwogą mieszczanin ubogi, przedmieść mieszkaniec, reprezentujący żywioł najzupełniej polski, potomek to bowiem, w miasteczkach zachodniej części Wołynia, wielkopolskiej, a po części mazowieckiej kolonizacyi — ustępował z drogi, zcichą się żegnając, jakby przed nadlatującą siłą nieczystą...

Przesunął się przed okiem naszym zamek dubieński, z fosami, murami, basztami, z wyniosłą bramą, z fortyfikacyami przypominającemi dość znaczną swą obronnością, że był wielokroć puklerzem Wołynia za dni najazdów tatarskich. Mury jeszcze krzepko się trzymały, dodając dużo cechy charakterystycznej do obrazu tego kraju, o starej cywilizacyi, o zasługach wielkich wobec reszty świata, dla którego on był bez zaprzeczenia tarczą w ciągu wieków. Groble i mosty, rzucone na szerokich rozlewach wód, które otaczały zamek, dodawały mu obronności, a tworzyły się ze zbiegu dwóch rzek, Ikwy i Styru. Poza temi wodami, Surmicze, — niegdyś zapewne mała osada, złożona

z grajków zamkowych, grających na „surmach“, dziś obszerne przedmieście; — przelecieliśmy przez nie już cwałem; i ta podróż cwałem, pędem szalonym, na nic i na nikogo nie oglądająca się, trwała aż do Żytomierza. Dźwięk przeraźliwy dzwonka, wraz z dzikim krzykiem pocztylionów, torowały drogę, a karta pocztowa (*podorożna*), w której dozorca pocztowy na każdej stacyi czytał, iż, gwoli spraw rządowych, taki to urzędnik i straż jadą z wiadomemi osobami, dodawały pośpiechu, usuwały wszelkie przeszkody.

Dzień, noc, i znowu dzień upłynął w tej jeździe szybkiej, hałaśliwej, gorączkowej, dziwnie niewygodnej... Popołudniu drugiego dnia podróży, stanęliśmy u rogatek Żytomierza.

(C. d. n.).

Maryan Dubiecki.



MONASTER BAZYLIAŃSKI W LADACH

NA BIAŁEJ RUSI.

Pierwsza po Bogu święta monarchini.
Obrałaś miejsce w Ładzieńskiej pustyni.
(Ze starej kantyczki).

Lady, inaczej Lada, miejscowość nie umieszczona w „Starożytniej Polsce“, znajduje się teraz w gubernii mińskiej, w powiecie ihumeńskim, o pięć mil od Mińska i prawie tyleż od Ihumenia. Lady należały niegdyś do Zawiszów, później do Ogińskich, a przy końcu XVIII. w. dostały się Moniuszkom; od nich wreszcie przeszły do Jelskich¹, w ręku których dotąd pozostają. W urzędowym statystycznym sprawozdaniu czytamy, że w Ladach jest teraz (1886) 13 domów, 70 mieszkańców i cerkiew panującego wyznania z monasterem. Jestto więc nieznaczną, nędzną miejscina. Ale nie tak bywało dawniej, gdy się tu znajdował klasztor Bazylianów, szkoły utrzymujący — o czem chcemy słów kilka powiedzieć.

Fundatorem pierwotnym monasteru w Ladach był Ignacy Anicet Kieżgajłło Zawisza, herbu Łabędź odmienny, naówczas miecznik W. Ks. Litewskiego (mianowany 17 kwietnia 1730 r.), pan na Baksztach, Zawiszynie, Berdyczowie i Smiłowiczach; urodzony 16 kwietnia 1696 r. w Kurklach, umarł sterilis 16 sier-

¹ Klotylda Moniuszkówna zaślubiła Ludwika Jelskiego, ministra skarbu, zmarłego w r. 1843, a potem jego brata Michała.

pnia 1738 r.; był synem wojewody mińskiego, znanego dobrze Krzysztofa Stanisława i Teresy Róży Tyszkiewiczówny, krajczanki w. lit.¹ Jako fundatora nazywa go wizyta kościelna z r. 1797, w której czytamy, że dziedzic Smiłowicz miał w tem hrabstwie „miejsce“ pod nazwą Leda, gdzie się już znajdowała cerkiew z obrazem Matki Boskiej, słynącym licznymi cudami; dla pomnożenia więc chwały bożej postanowił miecznik w. lit. przy tej cerkwi założyć klasztor dla Bazylianów, aby ci za dusze jego, matki i potomków się modlili, a na utrzymanie zakonników reguły św. Bazylego powziął zamiar zapisać dwie wioski z hrabstwa smiłowickiego, Słobódkę² i Hrywę³, 15 chat natenczas mające, i łącznie z osobnym folwarkiem, oddzieliwszy to od Smiłowiczyzny, klasztorowi nadać. Fundusz ten razem z matką swoją, Teresą z Tyszkiewiczów Zawiszyną, wojewodziną mińską, dożywotniczką hrabstwa smiłowickiego, w r. 1732 w trybunale głównym litewskim przyznał i uprawnili, dodawszy jeszcze do tego, sposobem zapisu, 4000 zł. pol.

Ale skutek zamieszek w kraju i bezkrólewia, które wkrótce potem nastąpiło, zapis ten nie wszedł w życie zaraz, lecz dopiero w lat kilka, mianowicie w r. 1738. Niebawem też Ignacy Zawisza umarł, a był już podówczas marszałkiem nadwornym litewskim⁴. Pozostała wdowa Marcybella, z domu księżniczka Ogińska⁵, wojewodzianka wileńska, córka księcia Kazimierza Dominika i Eleonory Wojnianki, marszałkównej pińskiej, do wyżej wzmiankowanych wiosek, folwarku i 4000 zł. pol., zapisała jeszcze od siebie monasterowi w Ładach 2000 zł. pol., ubezpieczając tę sumę na wsi, Żurawicze⁶ zwanej, z obowiązkiem ro-

¹ Cfr. „Złota Księga“, XII, p. 321.

² Słobódka, wieś poduchowna niedaleko od Ład, w pow. ihumeńskim, prawie bezleśna, licząca teraz osad 6.

³ Hrywa al. Grzywa, wieś poleska w pow. ihumeńskim, 15 osad obecnie mająca.

⁴ Dnia 1 stycznia 1734 po Michale Kazimierzu Radziwille otrzymał mniejszą łaskę litewską.

⁵ Była damą krzyża gwiazdzystego, osobistą przyjaciółką carowej Anny. Fundowała także w Smiłowiczach klasztor Misyonarzy. Umarła 1763.

⁶ Żurawicze, obecnie miasteczko w gub. mohylowskiej, w pow. bychowskim; domów 62, mieszkańców 551, kościół parafialny i cerkiew.

cznej wypłaty procentów. W taki sposób powiatał w Ładach monaster, którego pierwszy inwentarz spisany był w 1742 roku ¹. Pani Zawiszyna nie zapomniała i później o Ładach: w r. 1760 zapisała jeszcze 8000 zł. pol.; w tymże roku Jerzy Ilicz, cześnik wołkowyski, dał na wieczne obligacye 10.000 zł. pol.; w r. 1780 Antoni Benecki, instygator litewski, także na wieczne obligacye zapisał klasztorowi 17.000 zł. pol. ².

Monaster w Ładach nie grał wprawdzie wybitnej roli i niczem nie wślawił się szczególnem, dlatego nie znajdujemy o nim wzmianki ani w „Starożytnej Polsce“, ani w dziełach rosyjskich o Bazylianach; jednakże ważne oddawał zakonowi usługi — wykształcał młodzież zakonną. Za czasów Rzeczypospolitej było tu dla zakonników studyum teologii moralnej, i wtedy bywało około dwudziestu mnichów w tym klasztorze; na utrzymanie uczącej się tu młodzieży, klasztor pobierał procenta od 50.000 zł. pol. przeznaczonych na ten cel. Potem studia te przeniesione zostały do monasteru wolniańskiego ³.

Po zniknięciu politycznem Rzeczypospolitej, klasztor w Ładach wystąpił na szerszą widownię. Mianowicie, gdy przy końcu roku 1795 rząd rosyjski skasował dawne bazyliańskie urządzenia ⁴, t. j. jenerałów zakonu i prowincyałów, wzamian za to ustanowił 3 lutego 1796 w Połocku generalny konsystorz, z bardzo rozległą władzą; do pomocy zaś utworzono trzy duchowne zarządy dla białoruskich, litewskich i koronnych monasterów, *prawleniami* zwane; wtedy to w Ładach dla byłych litewskich klasztorów także urządzono *prawlenie*, a przełożony tego klasztoru, O. Tadeusz Lebedziński, został mianowany prezydentem tego zarządu, *cum voce decisiva*. Tenże O. Lebedziński był razem wizytatorem powierzonych sobie klasztorów, i miał do pomocy dwóch asesorów: O. Joachima Obucha, superyora klasztoru rakowskiego,

¹ Wizyta z r. 1804.

² Tamże.

³ Wiadomo np., że O. Merkury Hołownia od r. 1787 do 1793 uczył się w Ładach teologii, a w r. 1827 był superyorem w jednym z klasztorów prow. litewskiej. Zapewne był to krewny ks. biskupa Adryana Hołowni.

⁴ Później w części to zmieniono.

i O. Ignacego Szymkiewicza, superyora klaszt. świerżańskiego, a nadto sekretarza swego w Ladach, wikarego O. Filipa Dobrowolskiego, przeniesionego z Berezwecza do Lad z tego właśnie powodu.

O. Sylwester Antonowicz, który przez cztery lata wizytował klasztory, taką dał o O. T. Lebedzińskim arcybiskupowi połockiemu, Herakliuszowi Lisowskiemu, atestacyą: „Na prezydenta w *prawleniu* najzdatniejszym być może Imć Tadeusz Lebedziński, mąż JW. Arcypasterzowi dobrze znajomy i nieczyjzego zalecenia nie potrzebujący. Ma być mu do rządu i stałego mieszkania naznaczony klasztor Ladzieński, którego był przełożonym lat 8 i zna z gruntu nie tylko tego, lecz i drugih w Mińskiej gubernii będących klasztorów, interesa: w potrzebie więc najrzeczniej i najskuteczniej onym zaradzić może. Zna on wszystkie niemal osoby zakonne w pomienionej gubernii mieszkające, i co do ogólnych osobami rządów jest koniecznie potrzebnym“¹.

Ksiądz Lebedziński, jak się można przekonać z różnych jego czynności, w tychże aktach wyszczególnionych, bardzo był czynny na swoim stanowisku; dalsze zaś jego losy i tej nowej instytucji nie są nam znane, a w Pamiętnikach Siemaszki niema o nim wzmianki: zapewne umarł przed katastrofą 1839, bo w 1797 roku liczył już lat 65.

Z wizyty z r. 1797 dowiadujemy się, że cerkiew w Ladach była pod wezwaniem Zwiastowania N. Maryi Panny, wymurowana w r. 1792, ze składek obywateli i jałmużny, gontami pokryta, w której były trzy ołtarze, ozdobnie „na optykę“ malowane; tuż obok niej była druga, stara, drewniana (zapewne pierwotna) cerkiew, w której nabożeństwo się nie odprawiało. Klasztor z drzewa brusowego zbudowany, także już stary; było w nim w 1798 r. ośm cel dla zakonników: komor na różne schowania cztery; obok klasztoru stała oficyna, w której po jednej stronie dwie cele dla zakonników, a po drugiej jedna cela z dwiema komorami; około oficyny był refektarz, osobno zbudowany, z kuchnią, piekarnią,

¹ Cfr. o tem wszystkim *Akty izdaw. wil. arch. kom.*, tom XVI. p. 565 et sqq.

spizarnią, także już stary, „dracicami“ kryty; na dziedzińcu klasztornym była jeszcze stajnia na pięć koni, wozownia z drzewa okrągłego i śpichrz z drzewa ciosanego.

Folwark klasztorny, Izabelin zwany, o pół wiorsty od monasteru odległy, i dwie wioski, wyżej wymienione, a w roku 1797 już 30 chat mające, o pół mili od Lad, ze wszystkimi zabudowaniami gospodarskimi i browarem, miały grunta nie mierzone, ale mniej więcej liczono ogółem 50 włók ziemi (dworskiej i włościańskiej) i dochodu przynosiła ta posiadłość 2300 zł. pol., a oprócz tego miał klasztor dochody z dwóch karczem 1000 zł., coś z jurydyki klasztornej w Ladach i procenta od sum funduszowych i innych.

Stan funduszów klasztornych dokładniej jest opisany w wizycie z roku 1804; suma funduszowa, oraz legacyjne: t. j. od Zawiszów 6000 zł., potem znowu od Marcybelli Zawiszyny 8000, od Ilicza 10.000 zł., od Beneckiego 17.000 — razem 41.000 zł. pol. — były w rękach bezpiecznych. I tak za obligami: u marszałka powiatu mińskiego Wańkowicza 1000 rs.; u Makarewicza, obywatela miasta Mińska, z ewikcyą na kamienicy w Mińsku, 1000 rs.; u Stankiewicza, obywatela mińskiego, 1000 rs.; u Tarańkiewicza, obywatela miasta Mińska, z ewikcyą na kamienicy w Mińsku, 3000 zł. pol.; u Szemesza, byłego asesora w Mińsku, 150 rs. — Oprócz tego miał klasztor jeszcze inne sumy, których miało być — jak to czytamy w innym tej wizyty ustępie — 55.000 zł. pol.; sumy te były porzpożyczane: u Gicewicza, krajczego wileńskiego, było 1111 rs.; u Worońca, łowczego mińskiego, 1400 rs.; u Putkamera 6000 zł. pol., w magistracie miasta Mińska 5000 zł. pol.; u Korbuta 10.000 zł. pol.; na kahale wileńskim 4000 zł. pol., jakoteż na procencie u różnych obywateli (nie wyrażono jakich) mniejsze lub większe sumy, wynoszące prawie półczwarta tysiąca zł. pol. W tym roku (1804) w dwóch wioskach było już 108 dusz męskich i dochodów z procentami 1470 rs.

Rozchody zaś wyszczególniono takie: na księży 145 rs.; na kościół 100 rs.; na sługi 120 rs.; na kuchnię i trunki 245 rs.; lekarstwa i lekarz 45 rs.; służba folwarczna i rzemieślnicy 140 rs.;

opłata rządowi 140 rs.; za materyały na budowę nowego klasztoru 475 rs. Mszy obligowanych miał klasztor w Ladach 520: 416 czytanych, 104 śpiewanych. Komunikujących się parafian 424, dzieci 35.

Sądząc ze spisu ważniejszych sprzętów cerkiewnych srebrnych, wyzłacanych i niewyzłacanych, z wyliczenia aparatów i ksiąg kościelnych (wizyta 1804 r.), można wnioskować, że cerkiew w Ladach dobrze w tym względzie była wyposażoną. Tak np. czytamy, że była tam wspaniała „monstrancya marcepanowa w promienie kłosami i winogronami przeplatana“, księga ewangelij w srebro oprawna, kielichów srebrnych 13, pateny także do rozdawania komunii i łyżeczki srebrne wyzłacane, t. z. „melchizedek“ srebrny na łacińską hostyę, szata M. Boskiej srebrna i wiele innych rzeczy; aparaty gredytorowe, lamowane z herbami fundatorów, wykwintne ornaty łacińskie, baldachimów 2, płaszczanica malowana na płótnie, adamaszkiem obłożona, przytem odpowiednia ilość naczyń z cyny i miedzi, dzwonków przy zakrystyi 2, ołtarzowych 10, moździerzy do strzelania 3; dostateczna ilość ksiąg liturgicznych wschodniego Kościoła, obok tego dwa mszały łacińskie, nabożeństwo na Boże Ciało oddzielnie w dwóch egzemplarzach i t. p. W wizycie z tego roku powiedziano, że wkrótce będą sprowadzone do cerkwi organy z Wilna, które mają kosztować 4000 zł. pol., a na fundamenta nowego klasztoru murowanego natenczas było już więcej niż 100.000 cegieł wypalonych, zgórą 20 beczek wapna i 130 brusów.

W 1797 r. mieszkali w Ladach następujący Bazylianie:

- 1) O. Tadeusz Lebedziński, prezydent *prawlenia*, wizytator klasztorów, przełożony miejscowy, mający lat 65, z których 40 w zakonie przepędził;
- 2) O. Filip Dobrowolski, sekretarz tegoż *prawlenia*, wikary, lat 40, w zakonie 22;
- 3) O. Józefat Marsz, kaznodzieja i nauczyciel szkółki parafialnej, lat 41, w zakonie 22;
- 4) O. Teoklist Wilkowski, spowiednik, lat 62, w zakonie 40;
- 5) O. Seweryn Tchorzewski, emeryt, lat 75, w zakonie 45;
- 6) O. Jakób Azarski, paroch i eklezyarcha, lat 38, w zakonie 15;
- 7) O. Maksymilian Eysmont, prokurator klasztoru, lat 37, w zakonie 15;
- 8) O. Tymoteusz Bulwyza, choralista, lat 47, w zako-

nie 18; 9) O. Alimpiusz Stepowicz, „trapezny“, lat 40, w zakonie 14; 10) O. Leon Terlecki, lat 65, w zakonie 37; należał do tego klasztoru, lecz mieszkał w Mińsku, gdzie był spowiednikiem Bazylianek.

W roku 1804 było już zakonników mniej: 1) O. Gabryel Kulczycki, przełożony, mający lat 51, kapłaństwa 23, w obowiązku 2; 2) O. Symeon Wojniłowicz, wikary, lat 60, kapłaństwa 25, w obowiązku 2; 3) O. Pachomi Pańkowski, spowiednik, lat 72, kapłaństwa 43, w obowiązku 2; 4) O. Alimpiusz Pawłowski, paroch, nauczyciel szkółki, lat 46, kapłaństwa 22, w obowiązku 2; 5) O. Jakób Łosiński, wiceparoch, lat 63, kapłaństwa 33, w obowiązku 3; 6) Laik Eustachiusz Rudnicki lat 81, w obowiązku 2.

W Pamiętnikach Siemaszki nie znajdujemy wzmianki o żadnym z tych Ojców Bazylianów, mieszkających w 1797 r. i 1804 w Ładach. W r. 1807 przełożonym w Ładach jeszcze był O. Gabryel Kulczycki¹.

Pierwotnie Bazylianie tutejsi szkół dla świeckiej młodzieży nie utrzymywali i tylko z chęci służenia publiczności, bez żadnego za to wynagrodzenia, uczyli dzieci ubogiej szlachty czytać, pisać, katechizmu i arytmetyki, żywiąc ich nawet darmo; zwykle ojciec paroch odbywał te lekcye z dziećmi. W 1797 r. — jak to znajdujemy w wizycie z tego roku — było na nauce sześciu chłopców: Kazimierz Szczuka mający lat 10, Antoni Łanowski w takimże wieku, Joachim Sobolewski 14 lat i Felicyan Sobolewski 11 lat, Jan Niedźwiecki 6 lat i Kajetan Bilinowicz 15 lat. W 1804 r. było już dwunastu chłopców na nauce.

Oprócz tego utrzymywali Bazylianie swoim kosztem szpital dla chorych, niedołącznych ubogich, w którym w 1797 r. było dziesięć osób, a 1804 cztery osoby.

W kilka lat potem monaster w Ładach nabiera szczególniejszego znaczenia, ponieważ tam od roku 1809 zaprowadzono szkoły publiczne dla świeckiej młodzieży, o których możemy kilka załączyć szczegółów.

¹ Kalendarzyk polityczny Wileński.

Otwarcie tych szkół miało nastąpić dnia 15 marca 1809 r.¹; w pierwszym roku szkolnym 1809—10 było tu uczniów 38² i trzech nauczycieli Bazylianów. tyłuż zapewne klas: O. Numery Hryckiewicz, O. Bazyli Rusiecki i O. Marceli Zajkowski, — przełożonym zaś był O. Herakliusz Bemm³.

W r. 1812 — jak się pokazuje także z „Kalendarzyka Wileńskiego“ — przełożonym i nauczycielem geografii i arytmetyki był O. Bazyli Rusiecki; nauczycielem fizyki i matematyki O. Numery Hryckiewicz; wymowy, prawa i języka francuskiego O. Grzegorz Lisowski; nauczycielem klasy II. O. Stefan Sobolewski; kapelanem i nauczycielem języka rosyjskiego O. Fabian Snarski. Sądząc z tego, szkoła w Ładach w 1812 r. miała już znacznie większy zakres nauk szkolnych.

O dwóch z wyliczonych tu Bazylianów, znajdujemy już wspomnienie w Pamiętnikach Siemaszki: O. Stefan Sobolewski pod rokiem 1841 wymieniony z kilku innymi razem, mieszkającymi w Torokaniach, którzy nie chcieli przyjąć panującego w Rosyi wyznania; O. Bazyli Rusiecki, także w 1841 r. już był przyjął to wyznanie i otrzymał rs. 90⁴.

Tego O. Stefana Sobolewskiego takie *curriculum vitae*: ur. około 1768 r. na Litwie, był szlachcicem, do zakonu wstąpił w r. 1802, a w następnym śluby wykonał; retoryki uczył się w Byteniu 1803—1804, filozofii w Żyrowicach 1804—1805, tamże teologii 1806—1807; był nauczycielem niższych klas w Borunach w r. 1805—1806; uczył teologii w świerzańskim seminarjum 1807—1809; w Ładach był nauczycielem w niższych klasach 1809—1812; kaznodzieją w Berezwechu 1812—1816; wikarym w Łohojsku dwa lata, a 1818 r. mianowany superyorem monasteru w Kassucie, gdzie jeszcze był w 1827 r.⁵ W Pamiętnikach Siemaszki (III. p. 147, 192, 193) jest wzmianka, że w roku

¹ Jest o tem wzmianka w wizycie Rudominy z r. 1816.

² Wiadomość o tem z papierów kuratora ks. Czartoryskiego w Muzeum Czartoryskich w Krakowie.

³ Kalendarzyk polityczny Wileński.

⁴ Pamiętniki Siemaszki. III., p. 552, 557.

⁵ „Formul. Spiski“, super. Bazyl. litewsk. prowinc. z r. 1827.

1835 O. Stefan był jeszcze w kassuckim monasterze, ale już nie jako przełożony, i ztamtąd go internowano za nieposłuszeństwo Siemaszce naprzód do Borun, a potem do Torokań.

Ks. Rusiecki zaś był nauczycielem i przełożonym szkół w Ladach od 1809—1813, a od roku 1813—1824 był tamże superyorem. O. Hryckiewicz uczył matematyki i fizyki w Ladach 1809—1814.

O szkołach w Ladach można się więcej dowiedzieć z wizyty Jana Gwalberta Rudominy, którą w krótkim streszczeniu podajemy.

Rudomina wizytował Lasy od 12—15 października 1816 r.

Dom szkolny był osobny, składający się z czterech sal wygodnych; nauczyciele-księża mieszcili się w klasztorze drewnianym, bo murowany nie był ukończony dla braku funduszków; uczniowie mieszkali w prywatnych domach, do klasztoru należących, dość przyzwoicie utrzymanych; biblioteka i gabinety pozostawiały wiele do życzenia, a sprowadzanie naukowych książek było połączone z trudnościami. Nabożeństwo odbywało się, jak w innych szkołach wileńskiego wydziału; jeden z zakonników pełnił zwykle obowiązki kapelana, a wszystkim uczniom, na dwie części podzielonym, w dnie świąteczne i niedzielne naukę religii wykładano. Uczniów w klasie I. było 68; w II. 20; w III. pierwszoletnich 23, drugoletnich 16; w IV. pierwszoletnich 4, drugoletnich 7; ogółem 138 — wszyscy katolicy, z wyjątkiem trzech grecko-rosyjskiego wyznania.

Do zgromadzenia szkolnego należeli:

O. Władysław Połkotycki, dozorca szkolny, nauczyciel literatury, prawa i języka francuskiego; doskonalił się w uniwersytecie wileńskim i w zakonie. „Ten duchowny, — powiada Rudomina — który już od lat kilkunastu pełni obowiązki nauczyciela, dopiero przed kilku tygodniami przybył do szkoły, rozpoczął jednakże powinności zwierzchnika w sposób, który czyni nadzieję, iż pod jego dozorem szkoła podniesie się do wyższej doskonałości i użyteczności“.

O. Wiktor Bosiacki, nauczyciel fizyki i matematyki, uczył się także w zakonie i wileńskim uniwersytecie. O tym dostojnym

mężu tak powiada wizytator: „Znakomity gruntowną znajomością i szczególną do przedmiotów matematycznych zdolnością, wyklada podług dobrej metody i z tą wprawą, jaka mu jedna zaletę należyście usposobionego nauczyciela“.

O. Tomasz Kozłowski, nauczyciel gramatyki polsko-łacińskiej, kształcił się również w zakonie i wileńskim uniwersytecie. „Nauka, dobre usposobienie i słodycz charakteru zdobią tego młodego zakonnika“ — tak się o nim odzywa Rudomina.

O. Innocenty Wołczecki, nauczyciel arytmetyki, geografii i języka rosyjskiego. Uczył się tylko w zakonie.

O. Tadeusz Pławski uczył religii i był kaznodzieją, kształcił się w zakonie i wileńskim uniwersytecie; posiadał mierne zdolności.

Postępami w naukach uczniów wogóle wizytator był zadowolniony, tylko „z języków zagranicznych mało odniesiono korzyści“.

Dozorców domowych ze średnią płacą 10 rs. było jedenastu, a średnia opłata za stół i stancję od ucznia wynosiła do 40 rs. rocznie (a więc znacznie więcej, niż w wielu innych szkołach). W r. 1815 czterech uczniów ukończyło szkoły, otrzymawszy patenta.

Maciej Moniuszko, starosta plutyki, zapisał dnia 17 maja 1810 r. 200 zł. czerwonych, ulokowawszy je u marszałka ihumeńskiego, Leona Osztorpa, z ewikcyą na folwarku Helenbergu i wsi Charewiczach tegoż marszałka — z tem dodatkiem, aby 6% od tej sumy był używany na utrzymanie dwóch ubogich uczniów przy szkole ładzińskiej. Ale później się okazało, że suma ta nie była dostateczną, aby utrzymać zupełnie dwóch uczniów.

Naówczas trzy tylko były parafialne szkółki, zależne od szkół ładzińskich: serafińska, ihumeńska i smiłowieka.

W klasie I. w Ładach uczono: arytmetyki, geografii, gramatyki polsko-łacińskiej i nauki moralności; w kl. II. tychże nauk ciąg dalszy; w klasach zaś wyższych przechodzono: wyższy kurs gramatyki polsko-łacińskiej, nauki moralnej, ogrodnictwo, geografję fizyczną, fizykę, zoologię, geometryę, solidometryę, algebrę, logikę, naukę prawa przyrodzonego, politycznego.

narodów i ekonomii politycznej, historię starożytną i nowożytną, wymowę, tudzież uczono po rosyjsku i francusku.

Z tego programu widać, że zakres nauk w powiatowej szkole w Ladach prawie zupełnie był taki, jak w gimnazyach, po ukończeniu więc tej szkoły można było wstąpić do uniwersytetu. Wreszcie przed reformą szkół w 1825—26 r. wszystkie prawie t. zw. powiatowe szkoły w ten sposób były urządzone i także miały prawa.

Celujący uczniowie, wymienieni w wizycie: klasa I.: Michał Byczkowski, Feliks Sobolewski, Jan Bielinowicz, Jan Uscinowicz; kl. II.: Ignacy Cybertowski, Sylwester Obodowicz, Adam Obodowicz, Floryan Mackiewicz; kl. III. z pierwszoletnich: Romuald Kotłubaj, Bazyli Bielinowicz, Wincenty Orzeszkowicz — z drugoletnich: Floryan Tomaszewski, Teodor Klimentowicz, Piotr Szuszkiewicz; kl. IV. z pierwszoletnich: Ksawery Szyszko, Paweł Bielinowicz, Józefat Klimentowicz — z drugoletnich: Felicjan Suszczyński, Ignacy Karabanowicz i Augustyn Bielinowicz.

Tyle z wizyty Rudominy.

Zkądinąd wiadomo, że się uczył w Ladach Aleksander Zdanowicz, Moniuszkowie Dominik i Kazimierz, i wielu innych, następnie zacnych i pożytecznych obywateli.

Z wyżej wymienionymi nauczycielami w wizycie Rudominy możemy się bliżej zapoznać, a nawet niektórzy bardzo na to zasługują z powodu swoich cnót heroicznych, które w późniejszym okazali życiu w walce z okrutnym losem. Wiadomości o nich czerpiemy z tej, już wzmiankowanej listy służbowej superyorów bazyliańskich prowincyi litewskiej w r. 1827 i z Pamiętników Siemaszki.

O. Władysław Połkotycki urodził się około 1776 r. na Litwie, był szlachcicem; do zakonu wstąpił 1791 r., śluby wykonał w rok później, a w 1799 r. został kapłanem. Początkowe nauki pobierał w Byteniu 1792—1793, retoryki uczył się w Antopolu 1793—1795, filozofii i teologii w wileńskim uniwersytecie 1795—1801; następnie od 1801—1818 był nauczycielem w Torokaniach, Żyrowicach, Berezwechu, Ladach i Borunach. Od 1818 do 1824 roku był rektorem seminaryum świerżańskiego, a następnie

powołany na zastępującego miejsce superyora monasteru w Helianowie. Dalsze jego losy nie są nam znane; w Pamiętnikach Siemaszki niema o nim wzmianki.

O. Wiktor Bosiacki urodził się około 1785 r. na Litwie, szlacheckiego pochodzenia¹; do zakonu wstąpił w 1802 r., śluby wykonał w roku następnym, wyświęcony na kapłana w 1811 r.; najprzód uczył się w torokańskim monasterze 1803—1805, retoryki w Byteniu 1805—1807, matematyki i logiki w Żyrowicach 1807—1808, w wileńskim uniwersytecie 1808—1810, filozofii i teologii w Borunach i Ławrysowie 1812—1814. W Borunach od 1810—1812 r. uczył matematyki, a w Ladach był od 1814—1822 r., z których cztery ostatnie lata przełożonym szkół, a potem rok na takimże stanowisku w Borunach; od 1824—1826 był profesorem matematyki i fizyki w Wilnie, gdzie uczył młodzież zakonną reguły św. Bazylego, a w ostatnim roku obrany został sekretarzem prowincyi. Spełniał także różne inne urzędy w zakonie. Siemaszko nieraz mówi w swoich Pamiętnikach o O. Wiktorze; dowiadujemy się z tego, że 1834 r. był superyorem w Wilnie i miał — jak się zdaje — łaskę u Siemaszki, ale to w każdym razie trwało niedługo; w r. 1838 wysłano go z byteńskiego monasteru, gdzie go już niełaska spotkała, do Torokań, bo „nie umiał jak się należy mszy odprawiać“! A 1839 r. zawyrokował Siemaszko, że potrzeba O. Wiktora w głąb Rosyi zasłać, bo mu w Litwie przeszkadzał. Internowali go w Putywlu, w „Sofroniejwoj pustyni“, z kąd wywieziony został do innych monasterów rosyjskich — ale wszystko to „nawrócić“ go nie mogło. Ostatnie chwile swego męczeńskiego żywota — jak się zdaje — przepędził w Nieżynie, gdzie i umarł przed 1844 r., pielęgnowany przez zacną rodzinę pp. Łopuszewskich, którym się udało wydobyć go z monasteru panującego wyznania².

Tomasz Kozłowski był w Ladach od 1809—1827 r., później wysłany został jako wikary do Żyrowic; ztamtąd był prze-

¹ Const. z r. 1674 wspominają o tym rodzie w Brześcieńskim.

² Z relacyi przedostatniego bazylianina litewsk., O. Jonasza Sołtanowskiego, zmarłego w Nieżynie w grudniu 1889 r.

noszony do różnych klasztorów i w Lubarze 1840 r. przyjął panujące wyznanie, a 1841 r. otrzymał 60 rs.

O. Wołczyckiego dalsze losy nie są znane.

Tadeusz Pławski w Ladach był od r. 1822, później w monasterze ceperskim, wolniańskim; uczył się w Żyrowicach, jak odprawiać nabożeństwo z mszałów, w Moskwie drukowanych, a 1837 r. przyjął wyznanie grecko-rosyjskie.

W r. 1819 w październiku zjechał na wizytę generalną do Lad Twardowski, znany następnie rektor uniwersytetu wileńskiego; otóż i z jego wizyty czerpiemy niektóre wiadomości o szkołach w Ladach. Dowiadujemy się, że pierwszym wizytatorem w Ladach był ks. Szpyrkowski w r. 1810, a przed Twardowskim wizytował szkoły w r. 1818 w kwietniu Ceyss, znany i zasłużony dyrektor gimnazjum mińskiego przez długie bardzo lata, który zanotował w swojej wizycie, że uczniów natenczas, t. j. 1818 r., było ogółem 159, lecz w roku następnym Twardowski znalazł zapisanych już tylko 143; personal zaś nauczycielski był taki:

Ks. Bazyli Rusiecki, przełożony klasztoru ladzińskiego;

Ks. Wiktor Bosiacki, dozorca szkolny, oraz nauczyciel fizyki, matematyki i języka francuskiego;

Ks. Teodor Zwirydowski uczył wymowy¹;

Ks. Tomasz Kozłowski był nauczycielem prawa i historii;

Ks. Augustyn Siedlecki, nauczyciel gramatyki polsko-łacińskiej w dwóch niższych klasach i języka rosyjskiego;

Ks. Izydor Alchimowicz² wykładał arytmetykę, geografję, naukę moralną i religię w dwóch niższych klasach;

¹ O tym O. Zwirydowskim, nieznanym nam zkadinał, o którym i Sie-maszko nie wspomina w swoich Pamiętnikach, Twardowski powiada tak: „O: T. Zwirydowski uczył się w Borunach, później trzy lata w wileńskim uniwersytecie, gdzie otrzymał stopień kandydata filozofii, poczem był nauczycielem matematyki w Brześciu Litewskim, a od lat dwóch w Ladach, w których uczył najprzód historii i wymowy, a teraz tylko wymowy, którą wykładał podług Chrzanowskiego, Golińskiego i Piramowicza. Do historii polskiej używał podręcznika Wagi“.

² O Alchimowiczu w wizycie Twardowskiego czytamy, że był najprzód nauczycielem arytmetyki, geografii i nauki moralnej, a w tym roku (1819) oprócz tego nauki chrześcijańskiej w klasach niższych. Nauki odby-

Ks. Tadeusz Pławski, kapelan szkoły i nauczyciel religii w innych klasach.

Biblioteka klasztorna składała się natenczas z 477 tomów, a mianowicie: 62 księgi teologicznej treści, 60 kaznodziejskiej, 82 literackiej, 35 fizyczno-matematycznej, 74 historycznej, 10 prawnej, 22 historii naturalnej, 39 ascetycznej, 5 medycznej i 88 różnej treści. Biblioteka zaś szkolna była bardzo nieliczna, utworzona — jak mówi wizytator — przeważnie z gorliwej ofiarności teraźniejszego superyora; mieściła ona w sobie kilkadziesiąt tomów treści duchownej, i niewiele dzieł pomocniczych i elementarnych do wykładu nauk szkolnych.

Gabinet fizyczny bardzo był ubogi, a ogrodu botanicznego nie było wcale; ale za to wizytator zadowolony był z karności szkolnej (kar cielesnych nie wymierzano nawet) i z postępów w naukach; robi tylko uwagę, że „w przedmiotach historii i wymowy, uczniowie przyzwyczajeni są do uczenia się na pamięć, a zatem mniej na rzecz, niż na słowa dają baczość“. Rysunki topograficzne i pomiary geometryczne odbywały się „w dość miernym sposobie“.

Dozorcy szkolnemu, O. Bosiackiemu, oddaje Twardowski słuszość i chwali jego gorliwość jako nauczyciela i jako przełożonego szkoły. Pomagało mu 12 dozorców domowych, pomiędzy którymi odznaczał się szczególnie Franciszek Adamowicz. Byli to uczniowie z klas wyższych, doglądający młodzież młodszą, która mieszkała w jedenastu domach drewnianych, blisko szkoły stojących, a formujących plac kwadratowy, na którym odbywały się zabawy uczniów. Mieszkania uczniowskie, od 30 do 60 rs. rocznie opłacane, odznaczały się czystością i porządkiem.

Na funduszu Moniuszki, starosty płutelskiego ¹, był natenczas Sobolewski.

wał w Wilnie, gdzie trzy lata uczęszczał na lekcye uniwersyteckie, słuchając przez dwa lata nauki fakultetu moralnego, a przez rok fizycznego; po ukończeniu tych studyów otrzymał stopień rzeczywistego studenta. W Ładach niedawno rozpoczął zawód nauczycielski. Robił wiele nadziei swoją łagodnością i dobrą ochotą.

¹ Moniuszkę w tej wizycie nazwano starostą „płutelskim“, a w wizycie Rudominy „płutyskim“.

Otwarcie szkoły odbywało się publicznie 1 września, a zamknięcie w dzień św. Piotra, 29 czerwca, po publicznym egzaminie; jedna i druga uroczystość przy udziale okolicznego obywatelstwa. Egzaminowano uczniów w Ladach w ciągu roku trzy razy: przed Bożem Narodzeniem, przed Wielkanocą i przed publicznym egzaminem. Rekreacje i dalsze spacery uczniów, pod okiem nauczycieli, częściej się odbywały w Ladach, niż w innych szkołach — jak to notuje wizytator; przyczem wspomina, że uczniowie wzięli udział w misyi w Smiłowiczach¹, o małą milkę odległych od Lad, dokąd z dozorcą szkoły i nauczycielami się udawszy, a po spowiedzi i wysłuchaniu misyi, przenocowawszy w Smiłowiczach w uprzednio przygotowanych mieszkaniach, nazajutrz w porządku powrócili do Lad z przełożonym i nauczycielami.

O dalszych losach szkół w Ladach, niestety, mało mamy do zanotowania. Z „Kalendarzyka Wileńskiego“ dowiadujemy się, że zgromadzenie szkolne w 1822 r. składało się: z O. Wiktora Bosiackiego, dozorczy szkoły, oraz nauczyciela matematyki i fizyki, a także języka francuskiego; Tomasza Kozłowskiego który uczył historii i prawa; O. Innocentego Wolczeckiego, nauczyciela literatury; O. Augustyna Siedleckiego, wykładającego gramatykę polsko-łacińską; ks. Izydora Alchimowicza, nauczyciela arytmetyki i geografii, i kapelana Tadeusza Pławskiego. O ks. Izydorze Alchimowiczu nie mamy żadnych bliższych wiadomości, oprócz wizyty Twardowskiego; o O. Aug. Siedleckim zaś wiadomo, że się urodził około 1782 r. na Litwie, pochodzenia był szlacheckiego, do zakonu wstąpił 1797 r. i po odbyciu nauk był nauczycielem w Brześciu, Borunach, Ladach, Berezwezu: od roku 1826 był on superyorem w łyskowskim monaste-

¹ Smiłowicze, miasteczko i dobra w gubernii mińskiej, w powiecie ihumeńskim, gdzie Marcybella z Ogińskich Zawiszyna fundowała w r. 1767 Misyonarzy, którzy bardzo gorliwie, z wielkiem nabożeństwem odbywali misye; utrzymywali także konwikt dla ubogiej młodzieży z zapisu Putkamerowej, uczynionego 1814 r. Teraz tego wszystkiego niema, a po r. 1870 zabrano kościół na świątynię panującego w Rosyi wyznania, Smiłowicze zaś przyłączono do innej parafii. W Smiłowiczach mieszkają Tatarzy — szczęśliwsi, bo mają swój meczet.

rze¹. W 1822 r., kiedy O. Siedlecki w Ladach przebywał, liczono tam uczniów 139, z których trzech ukończyło szkoły².

Następnie w 1825 r.³ taki był skład nauczycieli w Ladach: nauczycielem religii i dozorcą szkolnym był znany nam Tomasz Kozłowski; nauczycielem matematyki i fizyki ks. Mikołaj Siadkowski; ks. Gabryel Zdanowicz uczył gramatyki polsko-łacińskiej, a ks. Izidor Alechimowicz arytmetyki i geografii. Z tych znany nam jest bliżej Mikołaj Siadkowski, o którym w Pamiętnikach Siemaszki czytamy, że był nauczycielem w Kobryniu i Supraślu, a w 1837 r. oświadczył chęć przyjęcia panującego wyznania.

Sądząc ze zmniejszonej liczby nauczycieli w Ladach, można twierdzić, że tutejsze szkoły stały się powiatowemi we właściwym tego słowa znaczeniu, po ukończeniu których nie można już było wstąpić do uniwersytetu, jak wprzód.

W 1827 r. przełożonym klasztoru ladzieńskiego był O. Melcy Sierżpatowski, mający natenczas lat 50, szlachcic, rodem z Białostockiego. Uczył się w byteńskim monasterze 1796—1798, retoryki w antopolskim 1798—1800, filozofii i teologii w Żyrowicach 1800—1806. Do zakonu wstąpił 1795, śluby wykonał w roku następnym, a święcenie kapłańskie otrzymał 1802. Od roku 1806—1818 był w Brześciu kaznodzieją, następnie w Iłkuście superyorem 1818—1824, a potem w Ladach. Dalsze jego losy nieznane.

W 1828 r. takich zastajemy w Ladach zakonników: Dozorca szkoły i nauczyciel religii, ks. Bazyli Dobrowolski, kandydat filozofii; historyi, geografii i języka rosyjskiego ks. Lucyan Zieniewicz, rzeczywisty student uniwersytetu; języka polskiego, łacińskiego i francuskiego ks. Symplicyan Frankowski, kandydat filozofii; niemieckiego ks. Michał Sienkowski; fizyki ks. Chryzostom Massalski, rzeczywisty student; matematyki ks. Sebastian Dobierzewski, rzeczywisty student. Wszyscy ci nauczyciele, z wyjątkiem Frankowskiego, nie są nam bliżej znani.

¹ 31 lipca 1840 r. Siemaszko (Pam. III., p. 532) prosił Bibikowa, aby posłał tegoż samego urzędnika, który tak skutecznie w Lubarze działał i wielu „nawrócił“, do tryckiego monasteru, gdzie pomiędzy innymi upartymi był O. Siedlecki. Jak się ta misya udała, nie wspomina więcej Siemaszko.

² Muz. Czart.

³ Kalend. polit. Wileński.

W tymże samym roku 1828, postanowiono skasować szkoły w Ładach i utworzyć nowy zakład wychowawczy: powiatową szkołę dla kształcenia się tam unickiego duchowieństwa: ale ten zamiar nie zaraz został wykonany, bo jeszcze z r. 1830 mamy wiadomość o popisie w tej szkole, podaną przez *Kuryera Litewskiego*, w tych słowach: „W dniu 28 czerwca b. r. odbył się popis uczniów szkoły tutejszej; akt ten uroczysty zaszczylicili licznie zgromadzeni obywatele. Z klasy IV. otrzymał list pochwalny Aleksander Aleksandrowicz; pochwałę Rusiecki Władysław. Z kl. III. medal srebrny przyznany jednomyślnie Nikodemowi Żylińskiemu; księgi z napisem za pilność, postęp w naukach i dobre obyczaje otrzymali: Ludwik Iwaszkiewicz, Ignacy Nowicki, Remigiusz Szkulcecki; listy pochwalne: Ildefons Chórewicz, Adolf Jodziejewicz, Wincenty Nowicki, Edward Rogowski; pochwałę: Antoni Laudański, Onufry Massalski, Aleksander Weryha. Z kl. II., księgi: Ignacy Mirkulewicz, Hilary Mozejko, Wincenty Maliszewski; listy pochwalne: Franciszek Maliszewski, Waleryan Szelepin, Teofil Zaliwako; pochwałę: Cezar Ofenberg, Feliks Szedziński. Z kl. I., księgi: Michał Puzyrewski, Jan Rodziejewicz, Ignacy Szafallowicz; listy pochwalne: Ignacy Iwaszkiewicz, Andrzej Rogowski; pochwałę: Antoni Denisewicz, Józef Zdanowicz. — Dozorca szkoły, kandydat filozofii, ks. Bazyli Dobrowolski⁴.

W *Sborniku postanowienij po Ministerstwu narodnago proswieszczenia*¹ czytamy, że zamiast znajdujących się w Ładach szkół dla świeckiej młodzieży, cesarz kazał urządzić tam powiatową szkołę dla unickiego duchowieństwa i do funduszu monasteru w Ładach przyłączyć uposażenie skasowanego monasteru brazino-sideckiego, dodawszy do tego 4800 rs., kapitał monasteru łohojskiego. Z tego wnioskować można, że szkoły, przynajmniej *de iure*, jeszcze tam istniały natenczas. Siemaszko zaś w jesieni tegoż roku referował do kolegium², że zwiedzał monaster w Ładach, że zamierzonych szkół dla duchownych jeszcze nie otworzono (ale o szkołach tamże świeckich nie wspomina

¹ Tom II., część I., p. 774, pod rokiem 1834 dnia 27 maja.

² Pam. Siem. III., p. 95, 96.

ani słówka), ani nawet niema przygotowań do tego, że fundusze tymczasowe są takie, iż zaledwo 10 uczniów na koszcie skarbu można tam utrzymać; powiada także, że 14 zakonników zastał w Ładach mieszkających, z których 6 kazał przenieść do innych monasterów, a Frankowskiemu polecił zająć się urządzeniem powiatowej dla duchowieństwa szkoły, która też w krótkim czasie powstała. W innem miejscu Pamiętników jest wzmianka ¹, że szkoły takowej w Ładach nie można otworzyć, jak zamierzono, 1 września (1834), dla braku już czasu i radzi odłożyć to do roku następnego, co też zapewne przyszło do skutku i wykonania.

W drugiej połowie czerwca 1837 r. Siemaszko znowu był w Ładach i wizytował tam szkołę, której dozorcą był Frankowski, ale rej prowadził Tebluczyński, nie mający, jak się zdaje, jeszcze święceń kapłańskich, faworyt Siemaszki. Jego to działalności przypisywał Siemaszko, że podczas mszy carskie wrota w Ładach były zamykane podług zwyczaju wschodniego, czego dotąd nie widział nigdzie na Litwie; ale był zgorszony, że niektórzy uczniowie podczas mszy modlili się z książek, i to, jak się jeszcze pokazało, polskich, a wieczorem zastał ich mówiących pacierze po polsku. Naturalnie, zabronił im jednego i drugiego, ale wogóle zadowolony był z monasteru i szkoły.

Przy tej sposobności wymienieni następujący nauczyciele: katecheta Korotkiewicz (*po katechizisu, słab*), dozorca, uczył języka greckiego (*nie chudo*); Moczarski uczył geografii i łacińskiego języka (*nie chudo*); Bendarski arytmetyki (*choroszo*), i wyżej wzmiankowany Tebluczyński (*otliczno*) ².

Wasył Łużyński także zwiedzał Łady i tak się wyraża ³:

„Z Mińska pojechałem prosto do Ład (1837 r.), aby tam złapać w swoje sieci niektórych mnichów. Przełożony tego monasteru, Zwiaho, dawniej już był złowiony, ale o tem w tamtych stronach nie wiedzieli. Rzuciłem zręcznie sieć moją na podstawie Pisma św. i podania ustnego na nauczycieli duchownej szkoły i za łaską bożą tak się to udało, że dozorca szkoły, bazylianin Frankowski i Dowgiałło, także zakonnik, dobrowolnie dali na

¹ Pam. Siem. III., p. 71.

² II., p. 49—50.

³ Zapiski. Kazań 1885, p. 140.

piśmie zgodzenie się przyjąć wyznanie wschodnio-katolickiego Kościoła. Obydwa oni ludzie wykształceni, pokończyli uniwersytet w Wilnie ze stopniem kandydatów filozofii.

„Chociaż superyor Zwiaho, człowiek takiego rodzaju, na którego można się zupełnie spuścić, sumienny i znający dobrze sprawę klasztorne, a więc pożyteczny, ale ponieważ słabego zdrowia, więc potrzebował mieć pomocnika, i w tym charakterze mianowałem dozorcę szkoły, Frankowskiego, wikarym tego monasteru, zostawiając go przytem na obowiązku dozorey i nauczyciela tej szkoły“.

Następnie powiada Łużyński, że na drugi dzień celebrował w Ladach i podczas Liturgii poświęcił przełożonego monasteru, Zwiaho, na ihumena; mnichów Frankowskiego i Dowgiałę odznaczył włożeniem na nich „nabiodrników“. — Tyle Łużyński.

W monasterze w Ladach internowany był przez jakiś czas około 1844 r. przedostatni zakonnik reguły św. Bazylego, litewskiej prowincyi, O. Jonasz Sołtanowski, któremu pozwolono ostatecznie przyjąć obrządek łaciński (właściwie powrócić do niego) za czasów Aleksandra II., i który przeniósł się do wieczności dnia 11 (23) grudnia 1889 r. w Nieżynie, gdzie też pochowany został przez miejscowego kurata, ks. Kolendę.

Ostatni bazylianin dawnej prowincyi litewskiej, O. Cyryl Letowtt, żyje dotychczas. Od roku 1826 do 1831 przebywał on w Ladach, gdzie sprawował urząd kaznodziei. W r. 1831, gdy monaster lądzieński zamieniano na prawosławny, O. Cyryl, jako „oporny“, dostał się do więzienia. Przez lat przeszło czterdzieści kuszony do odstępstwa, przerzucany z miejsca na miejsce, dręczony i zamykany we wielu schyzmatyckich monasterach, bohaterską swoją stałością znużył wreszcie prześladowców. Wypuszczony na wolność przed kilku laty, wtedy właśnie, gdy w Galicyi rozpoczęło się dzieło reformy bazyliańskiego zakonu, pośpieszył ochotnie zgrzybiały starzec do grona nowych swych braci i mieszka obecnie w monasterze św. Onufrego we Lwowie.

Wołyniak.

PRZYCZYNEK

DO HISTORYI KOŚCIOŁA PANNY MARYI

W KRAKOWIE.

Dziet. ś. p. ks. Sdzisława Bartkiewicza.

(Dokończenie).

II.

Rządcy Maryackiego kościoła.

.....
.....
Kto od początku zarządzał nowym kościołem i przynależną doń parafią, niema o tem wzmianki w dawnych dokumentach. Zdaje się jednak rzeczą bardzo naturalną a nawet niewątpliwą, że duchowieństwo świeckie przeniosło się z kościoła św. Trójcy i objęło zarząd nowej świątyni i parafii. Pierwszy, którego ślad daje się odszukać w dawnych aktach, jest Piotr, kanonik krakowski, kapelan Maryackiego kościoła; po kilkudziesięciu latach pojawia się znowu w r. 1294 Reinhold, „kanonik krakowski, proboszcz czyli rządcą kościoła N. Panny Maryi“¹; dalej Franciszek, o którym powiada dokument Władysława Łokietka, że był „mi-

¹ „Reinholdus Canonicus Cracoviensis, Plebanus sive Rector Ecclesiae S. Mariae Virginis de Civitate Cracoviensi“. (Z aktu, na mocy którego tenże Reinhold pozwala Ditmarowi de Kethser na założenie sołtysowstwa we wsi Bronowice. — Archiw. kośc. P. M.).

strzem, kanclerzem biskupa krakowskiego, kanonikiem krakowskim i rządcą kościoła N. Panny Maryi w Krakowie“¹. Dopiero od XV. wieku można myśleć o ciągłej seryi idących po sobie zwierzchników Maryackiego kościoła, z XIII. bowiem i XIV. wieku zaledwo parę imion da się odgrzebać.

Przez kogo i kiedy godność i nazwa archiprezbitera została udzieloną zwierzchnikowi kościoła N. P. Maryi — zgoła nie wiadomo. Byli to fawor biskupów, jako następców fundatora, czy też Stolicy św., czy też wreszcie było to darem panujących wówczas książąt, z którego to powodu następni królowie rościli sobie prawo do prezenty i o to się z biskupami krakowskimi spierali — dziś dociec trudno. To tylko pewna, że nie z nadaniem pontyfikałów godność ta udzieloną została, skoro w bulli Bonifacego IX. powiedziano jest: *Nicolao Penasconi Archipresbytero*². I w istocie o wiele wcześniej, bo już w pierwszej połowie XIV. wieku spotykamy archiprezbiterów, zajmujących naczelne miejsce przy kościele N. Panny Maryi. I tak w dokumencie z r. 1330 figuruje jakiś Jan, niewiadomego nazwiska, jako archiprezbiter kościoła N. Panny Maryi³.

W kilkadziesiąt lat później nowe zaszczyty i przywileje z łaski Stolicy św. podnoszą godność i znaczenie archiprezbiterów. Bullą z dnia 12 października 1402 r. zasiadający wówczas na Stolicy apostolskiej Bonifacy IX., nadaje Mikołajowi Pieniążkowi, archiprezbiterowi: 1) prawo używania pontyfikałów czasu mszy św. i nieszpórów; 2) udzielania biskupiego błogosławieństwa po skończeniu nabożeństw uroczystych; 3) występowania w stroju pontyfikalnym w czasie procesyj, odbywających się tak w mieście, jak i poza murami jego⁴.

¹ „Magistro Francisco Cancellario et Canonico Ecclesie Cracoviensis ac Rectore Ecclesie Sancte Marie in Cracovia“. („Kodeks dypl. Małop.“ 1178—1386. Wydanie Akad. Um. w Krakowie 1876, str. 186).

² Z oryginału bulli, znajdującego się w archiwum kościoła N. Panny Maryi, której odpis dosłowny w „Kodeksie dyplomatycznym katedry krakowskiej“. Wydanie Akad. Um. w Krakowie 1874, część II., str. 272.

³ „Kodeks dypl. katedry krak.“, cz. II., str. 4.

⁴ Z oryginału bulli Bonifacego IX.

Ale znać musiały być jakieś zatargi o to, czy z biskupem, poza którego plecami wystarano się o ten przywilej, czy też może z kapitułą krakowską; widocznie bowiem kwestyonowano, a może nawet odmawiano archiprezbiterom potrzebnej w takich razach sankcyi, skoro po dwakroć tegoż samego wieku uciekają się oni do Stolicy św. o potwierdzenie nadanego im przywileju. I tak w r. 1483 na prośbę Jana Kreydlera, „kapelana wiezystego przy kościele N. Panny Maryi“, zatwierdza Sykstus IV. bullę swego poprzednika, a we dwa lata później toż samo czyni Innocenty VIII. na prośbę ks. Jerzego Szworza (Szworzurga), archiprezbitera, i Jana Kreydlera z Lublina, i bullą z dnia 16 stycznia 1485 r. w całości zatwierdza nadany przywilej przez Bonifacego IX. i Sykstusa IV.; a nadto, by koniec położyć wszelkim przeciwnym zabiegom i usiłowaniom, i aby utrzymać użyczony przez Stolicę św. przywilej w całej mocy i rozciągłości, ustanawia papież opatów z Mogiły i Koprzywnicy i prepozyta kościoła św. Floryana w Krakowie, egzekutorami swego dekretu. W sto lat później spotykamy się po raz pierwszy z potwierdzeniem tegoż przywileju przez Ordynaryat krakowski; udzielił go Piotr Myszkowski na prośbę Jakóba Górskiego, archiprezbitera i kanonika krakowskiego, dnia 16 stycznia 1584 r.¹ Odtąd spokojnie mogli używać swego przywileju archiprezbiterzy.

Jak z aktów starodawnych widać, archiprezbiter był najwyższym zwierzchnikiem kościoła i parafii N. Panny Maryi, ale przy boku swoim miał drugiego, który był istotnym rządcą kościoła i parafii. Niemal wszyscy archiprezbiterowie byli kanonikami krakowskimi, niektórzy nawet z nich bywali członkami kilku kapituł, inni znów — jak Adam z Bętkowa, a później Adalbert Niniński — byli wikaryuszami jeneralnymi biskupów krakowskich; czasu więc, a może i chęci nie mieli do zajmowania się wszystkimi sprawami kościoła i parafii, a ztąd dodanych mieli do boku swego zastępców. Widać to w sporze z zakonni-

¹ *Varia Privilegia et Decreta Ecclesiae Bmae V. Mariae.* (Rękopis z pierwszej połowy XVII. wieku, przechowany w archiwum kościoła N. Panny Maryi: odpis odnośnego dekretu, karta 17, 18).

kami od św. Marka, wytoczonym o administracyę Sakramentów parafianom kościoła N. Panny Maryi, którego to sporu ślad dochował się w dokumencie z 22 maja 1830 r. Przed sędziami, delegowanymi przez Ordynaryat krakowski, staje, jako jedna strona, Jan, archiprezbiter, a równocześnie z nim Jakób, *procurator honorabilis viri, domini Andree prepositi Ecclesie s. Marie Cracoviensis*¹. Był więc, jak z tego aktu wypływa, obok archiprezbitera, i prepozyt kościoła N. Panny Maryi, który niepoślednie musiał zajmować przy kościele stanowisko, skoro w imieniu całego duchowieństwa Maryackiego razem z archiprezbiterem, jako jeden z rządzących, przed sądem staje. Inaczej sobie jego obecność wytłumaczyć trudno, skoro po drugiej stronie staje sam tylko przeor Peczoldus w imieniu całego konwentu, a jeżeli komu, to raczej zakonnikowi wypadało stanąć z socyuszem, wedle zwyczaju powszechnego w klasztorach.

W późniejszych czasach nazwy się zmieniają, ale rzecz pozostaje ta sama: archiprezbiter zwie się także prepozytem, a obok niego występuje rektor kościoła. Widać to z listu Władysława Jagiełły, który udaje się do Stolicy św. z prośbą, by raczyła złączyć obie te godności w jedno, gdyż — jak powiada — „pomiędzy rektorem kościoła a prepozytem prepozytury, świeżo z dochodów kościoła ufundowanej i wzniesionej, powstają częste waśnie, zatargi i niezgody co do praw, ozdoby i innych czynności kościelnych“². Ponieważ kościół N. Panny nigdy nie był kolegiatą, nie mogły przy nim istnieć godności i nazwy różne, kolegiatom tylko lub kapitułom właściwe; słowo więc *prepositus* nie może kogo innego oznaczać, jak tylko archiprezbitera, zwłaszcza że w dalszym tekście listu nazwany jest on *caput*; a choć tenże list o nim powiada, że to *caput* jest *inutile*, to łatwo zrozumieć ze względu, że archiprezbiter miał *honor sine onere*, gdyż kto inny za niego sprawował rządy kościoła i parafii.

Zresztą jeszcze lepiej to wyjaśnia prośba rajców krako-

¹ „Kodeks dyplomatyczny katedry krakowskiej“, cz. II., str. 4. — *Varia Privilegia et Decreta Ecclesiae Bmae V. Mariae*, str. 30.

² „Najstarsze księgi i rachunki miasta Krakowa“. Wydanie Akad. Um. w Krakowie 1878, część II., str. 186.

wskich: *A. 1399 Sabb. infra Octavas S. Martini supplicant Consules sancte Sedis, ut praeposituram S. Marie Virg., uniat plebanatui ejusdem Ecclesie noviter fundatae*¹. Z tego widać, że nazwa *Rector Ecclesie* była identyczną z nazwą *plebanus*, czyli że rzadca kościoła był zarazem istotnym zawiadowcą albo proboszczem parafii. Potwierdza się to z późniejszego dokumentu: w akcie bowiem erekcyjnym kaplicy św. Barbary z r. 1394, na cmentarzu kościoła P. Maryi, Piotr Wysz Radoliński, biskup krakowski, tytułuje Piotra Neprona *Rector Ecclesie sancte Marie*², a zarazem w tym samym czasie zwie się on w dokumentach miejskich *plebanus Ecclesie s. Marie*³. Ale czy to było beneficjum, na które potrzebną była instytucja biskupia, i kto na nie w takim razie dawał prezentę — śladu nigdzie niema w dokumentach.

Wkońcu widać zabiegi mieszczan, a może poparcie królewskie dopięły swego: po Pawle Nepronie nie słychać już o rektorach; nastąpiło zdaje się zjednoczenie prepozytury czyli archiprezbiteriatu z probostwem. Pojawia się za to w XV. wieku „kapelan“ albo „kapelan wieczysty“, który ostatecznie ten sam urząd sprawuje, co przedtem *Rector Ecclesie*. Pokazuje się to najlepiej z aktu kardynała Zbigniewa Oleśnickiego z r. 1442, w którym tenże nakazuje odbywanie procesyi z Najśw. Sakramentem po kościele lub cmentarzu kościoła N. Panny Maryi w trzy oznaczone dni, z kaplicy Szworzów: a to stosownie do dekretu Feliksa papieża, na prośbę Jerzego Szworza, mieszczanina krakowskiego, fundatora kaplicy Najśw. Sakramentu. Oto jak zaczyna swój list: *Universis et singulis Christi fidelibus, ad quos presentes littere nostre pervenerint et signanter Venerabili Domino Archipresbytero et Rectori Ecclesie parochialis sancte Marie in Cracovia aut vicisgerenti*: kończąc zaś list, dodaje: *Quare vobis Dominis Archipresbytero sive Rectori et capellano Ecclesie sancte Marie prenar-*

¹ „Kraków i jego okolice“, opisał historycznie Ambroży Grabowski: wydanie III. W Krakowie 1836, str. 122.

² „Kodeks dyplomatyczny katedry krakowskiej“, część II., str. 186. *Varia Privilegia et Decreta*, karta 34, 35.

³ „Najstarsze księgi i rach. m. Krakowa“, część II., str. 180.

*rate*¹. Kapelan więc, a *vicesgerens*, to jedno i to samo; jestto substytut archiprezbitera i proboszcza, druga osoba wśród duchowieństwa Maryackiego, mająca powagę, którą mu w braku tytułu nadawał urząd i płynąca zeń juryzdykcyja. Ztąd też w bulli Innocentego VIII., potwierdzającej nadanie pontyfikaliów, obok archiprezbitera, Jerzego Szworza, figuruje jako petent Jan Kreydler, *Capellanus perpetuus eiusdem Ecclesie*².

Po śmierci Jana Kreydlera, następcą jego w urzędzie zostaje Mikołaj Szczekowski, ale ze skromniejszym jeszcze tytułem, bo bez dodatku *perpetuus*. Jak długo snuł się ten poczet kapelanów, niewiadomo, ale znać nie podobало się, a może i niewygodnie dla archiprezbiterów było mieć przy boku takich *alter ego*, nieraz może nie po ich myśli albo i wbrew ich woli rządzących w kościele i parafii, skoro po jakimś czasie już głucho o kapelanach. Wszelako i tym razem, choć ginie tytuł, rzecz jednak utrzymuje się pod inną formą, bo jednakowe stosunki ciągle jej wymagają: archiprezbiter, jako właściciel kilku beneficjów, a przysiężnym praełat wysokiego stopnia, nie zajmuje się bynajmniej parafią. A nie chcąc mieć przy swoim boku, wyrastających im nieraz może ponad głowę, zarządców parafii, archiprezbiterzy, kierując się zasadą: *divide et impera*, oddają cały zarząd parafii *collegio vicariorum*, którzy odtąd prowadzą księgi parafialne i sprawują duszpasterstwo, jak to widać z ordynacyi biskupa Jakóba Zadzika, w którego imieniu ks. Łukomski, archidyakon katedry krakowskiej, wizytuje kanonicznie kościół N. Panny Maryi dnia 4 sierpnia 1636 r. Tamże pod nagłówkiem *Pro Vicariis* nr. 1 czytamy: *Quandocunque Vicarii ad Sacramenta administranda vocati fuerint, sine mora et dilatione... eant, nec se toties rogari et admoneri permittant, alioquin rei negligentiae suae et omissionis in re adeo gravi, et coram Divina Majestate existant et officiose puniantur*; a pod n-rem 5: *Metricas tum eorum qui baptisantur, tum qui Matrimonium*

¹ Z kopii współczesnej, przechowanej w archiwum kościoła Najśw. Panny Maryi.

² Z oryginału bulli w archiwum kościoła N. P. M.

*contrahunt exacte et fideliter describant, et praemissa Banna annotent juxta formulam in Rituali traditam*¹.

Daleko jaśniej określa to stanowisko wikarych ks. Mikołaj Oborski, biskup laodycejski, sufragana, a w owym czasie z powodu opróżnienia stolicy biskupiej, *Generalis Administrator*. Dając pozwolenie ks. Mikołajowi Słowikowskiemu, świeżo archiprezbiterem nominowanemu, na zatrzymanie kanonii krakowskiej i dziekanatu kolegiaty WW. ŚŚ. w Sandomierzu, poleca mu nadzór nad duchowieństwem Maryackiem: *Nam in eadem Ecclesia B. V. M. in circulo Cracoviensi multa Collegia Sacerdotum reperiuntur: videlicet Vicariorum, qui curam animarum pro Archipresbytero exercent*². Mimo więc rzeczywistego objęcia zarządu parafii, nigdy archiprezbiterowie nie prowadzili ksiąg parafialnych i nie zajmowali się kancelaryą parafialną. Ten tradycją starodawną przekazany zwyczaj do dziś dnia się utrzymuje, gdyż akta parafialne, jak dawniej, tak i obecnie przechowuje i prowadzi czterech wikarych, przy kościele N. P. Maryi zostających.

.
.

SZEREG RZĄDCÓW KOŚCIOŁA P. MARYI³.

- Piotr, kapelan kościoła Najśw. Panny Maryi w Krakowie i kanonik kościoła
1248 główn. w temże mieście (Kodeks dypl. Małopolski, str. 36).
Reinhold, kan. krak., pleban czyli rektor kośc. N. P. M. (z oryg. dokum.
1294 w arch. kośc. P. M.).
Franciszek, mistrz, kan. krak., kanclerz i rektor kośc. N. P. M. (Kodeks
1308 dypl. Małop., str. 168).

¹ *Visitatio Ecclesiae Beatae Mariae Virginis in Circulo Cracoviensi parochialis, quarta die Augusti 1636, per Adm. R. D. Andream Łukomski, Archidiacon. Cracoviensem.*

² Z oryginału, przechowanego w kościele N. P. M. Akt sam z dnia 13 stycznia 1680 r.

³ Spis niniejszy tak podajemy, jakżeśmy go znaleźli w papierach ks. Bartkiewicza. Autor nie zdołał go wykończyć i przygotować do druku. nie też dziwnego, że tu i owdzie trafia się różne braki.

- Nankier Jumirann**, kan. krak., dziekan kap., rektor (Theiner, Mon. Pol. 1319 tom I., str. 153), późniejszy biskup krakowski i wrocławski, opróżnione zaś przezeń beneficyum Maryackie każe papież obsadzić Gerwardowi, biskupowi kujawskiemu.
- Jan Grot**, kan. krak., pleban (Theiner, M. P., t. I., str. 233), późniejszy 1326 biskup krakowski.
- Jan**, archiprezbiter (Kod. dypl. kat. krak., cz. II., str. 4, Varia Privilegia 1330 et decreta, str. 30).
- Bertrand**, prepozyt, notaryusz papieski (Theiner. M. P., t. I., str. 648). 1366
- Mikołaj z Kurnika**, kan. krak., prepozyt, archiprezbiter, doktor dekretów. 1367-75 kanclerz królewski (Theiner, str. 648, 731; Kod. dypl. kat. krak. 35; Łętowski III. 219); późniejszy biskup poznański: prezentę otrzymał od papieża Urbana V. przez dziek. kapituły krak. (Theiner, str. 648).
- Teodoryk z Damerowa**, prepozyt, kan. kamieniecki, bakałarz Uniw. Jag. 1375 sekretarz cesarza Karola IV. (Theiner, t. I., str. 731); prezentę na kościół N. P. M. otrzymał od Grzegorza XI.; później biskup dorpcki.
- Kielcz z Książnic**, prepozyt, kan. krak., kanclerz król. (Kodeks dypl. kat. 1390-1400 krak., część II., str. 160; Antiquissimi libri judiciales terrae Crac., str. 819; Helzel A., Starodawne prawa pol. pomniki, str. 101; Łętowski III. 126).
- Mikołaj Pieniążek**, archipr., kan. krak. (Bulla Bonif. IX. w oryg.; Kodeks 1401-13 dypl. kat. krak. str. 272, 274, 319; Theiner, t. I., str. 777); od r. 1413 prepozyt kap. krak., otrzymał przywilej pontyfikaliów od Bonif. IX.
- Adam z Bętkowa**, archipr., oficyał i wik. gener., kan. krak., dr. dekret. 1413-50 (Kodeks dypl. kat. krak. str. 275, 387, 389; Łętowski II. 23); zmienił się na beneficyum z następcą, za dozwoleńiem Rafała ze Skawiny, kan. krak., wikar. gener.
- Jerzy Swarcz** (Szworczejurga), dziekan sandomierski, kan. kielecki (Bulla 1450 Innoc. VIII.; Akt instytucyi na archipr. w oryg.); otrzymał potwierdzenie używania pontyfikaliów od Sykstusa IV. 1483 r. i od Innoc. VIII. 1485; prezentę od Kazim. Jagiellończyka.
- Jan Heideke** (Haydick), archipr. (Varia Priv. et Decret., str. 43; Acta Epp. 1500-11 Crac., t. V., str. 179; Acta Visitationis Eccl. B. V. M. Eppi. Crac. Radziwiłł); prezentę otrzymał od króla Olbrachta: dawny pisarz miejski przez lat 34.
- Mikołaj Lwowek**, archipr. (Acta Epp. Crac., t. V.). 1511-14
- Mikołaj Waltek**, dr. dekret. (Varia Priv., str. 21, 50—56). 1514-60
- Tomasz Pszonka**, dr. teologii, kanonik wrocławski, sandomierski, pułto- 1560-63 wski, kanonik krakowski (Varia Priv., str. 33; Łętowski III. str. 535; Litterae Hosii, t. II. a.).

- Wojciech Niniński, kan. krak., wikaryusz gener. (Wielewicki, t. I., str. 33: 1564-83 Łętowski III. 370).
- Jakób Górski, kan. krak. i płocki, archidyak. gnieźn., dr. U. J. (Łętowski 1583-85 III. 1; Varia Priv., str. 17, 18).
- Hieronim Powodowski, arch. kaliski, kan. krak., gnieźn., poznański (Łętowski 1585-1613 toowski III. 422).
- Hieronim Alantsche (Wielewicki, t. III., str. 126). 1613-14
- Krzysztof Trzeciński. 1614-40
- Just Słowikowski, dr. teol., kan. krak., płocki, proboszcz niepołomicki, archidyakon zawichostski (Łętowski III. 60). 1640-54
- Mikołaj Słowikowski, dr. U. J., kan. krak. (Łętowski III. 61). 1654-78
- Jerzy Januszowicz, dr. U. J., kan. krak., dziekan sandomierski (Łętowski 1678-1700 III. 264).
- Dominik Lochman, dr. U. J., kan. krak., dziekan sandecki, opat hebdowski (Łętowski III. 264). 1700-22
- Jacek Łopacki, dr. teol., filoz. i med., kan. krak., dziekan kol. sandomierskiej, proboszcz w Popracie (Łętowski III. 296). 1723-61
- Leonard Kiełczewski, kan. krak. i kujawski (Łętowski III. 27). 1761-95
- Karol Lochman, kan. krak., wiślicki, scholastyk kalmierski (Łętowski 1795-1803 III. 264).
- Jan Franciszek Hoffman, kan. krak., scholastyk (Łętowski III. 69). 1803-09
- Wincenty Łancucki, dr. teol., kan. schol. krak., rektor U. J., dziekan kolegi. opatowskiej, kan. żytomierski, kawal. ord. św. Stanisława (Łętowski III. 267). 1811-41
- Ludwik Ferdynand Hasselquist. 1841-46
- Franciszek Ksaw. Stachowski, dr. teol. i fil., kan. krak., dziekan miejski, prof. U. J. (Łętowski IV. 76). † 1850
- Jan Kalisiewicz, dr. teol., kan. hon. kielecki, dziekan miasta, sędzia pokoju, asesor konsyst. krak. † 1855
- Jan Kogutowicz, proboszcz na Piasku, prof. religii w gimn. św. Anny. † 1873

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Rzym i Europa przed rozpoczęciem trzeciego okresu Soboru Trydenckiego. Napisał *Bronisław Dembiński*. Część pierwsza. Kraków. Nakładem Akademii Umiejętności. 1890, w 8ce wielkiej, str. 264.

Tandem aliquando! Mamy przecież znowu książkę polską, o powszechnej sprawie traktującą; — a jakże dawno w bibliografii naszej nie spotkaliśmy się z dziełem historycznem, obejmującym nie Polskę tylko wyłącznie! Pojmujemy dobrze, że sił naukowych u nas do zbytku niema, że te, jakie są, polskim przeważnie sprawom winny się poświęcać — ale trudno zaprzeczyć, że tymczasem historia powszechna dziwnym u nas leży odłogiem. Zdawałoby się mogło, że chcemy pięknem płacić za nadobne, że skoro historia bieżąca, powszechna, mało się troszczy o Polskę, to i my nie mamy dbać o resztę świata. Ostatnimi czasy, śmiemy tuszyć, pomyślny nastaje zwrot w historyjografii naszej. Zaczynamy oceniać losy nasze na tle ogólnoludzkich i ogólnoeuropejskich stosunków, a z tej porównawczej oceny niejedno już trafne zrodziło się spostrzeżenie, niejeden nowy i jasny padł promyk światła. Prawie równocześnie ukazały się dwa dzieła, świadczące dobitnie o żywszych studiach historii powszechnej u nas: p. K. Waliszewski wydał sporą książkę p. t.: „Polska i Europa w drugiej połowie XVIII. wieku“, — p. Bronisław Dembiński rzecz p. t.: „Rzym i Europa przed rozpoczęciem trzeciego okresu Soboru Trydenckiego“.

Zdajmy dziś pokrótce sprawę z tego ostatniego dzieła.

Dr. Br. Dembiński nie od dzisiaj poświęcił się studjom nad soborem trydenckim. Przed siedmiu laty wydał we Wrocławiu dysertację p. t.:

Die Beschickung des Tridentinums durch Polen und die Frage vom Nationalconcil, — a od tej pory widocznie nie ustawał w pracy, rozszerzając stosunek jednego państwa do obrazu ogólnego, dającego wyobrażenie, czem była Europa katolicka XVI. wieku, czem był ten sobór w Trydencie, ostatnia naonczas kotwica skolatanej reformacją nawy kościelnej. Przedmiot był ponętny i ważny, zadanie arcytrudne, aby wskrzesić dla siebie i drugich idee i ludzi tego sławnego wieku, którego nierozwikłane sprzeczności wcieliły się i uosobiły w Leonie X. i Lutrze, w Michale Aniele i Leonardzie da Vinci, w Henryku VIII. i Stefanie Batorym.

Moment to uroczysty — owo zwołanie trzeciego okresu Tridentinum w r. 1560: ostatnia to próba utrzymania jednej owczarni pod jednym pasterzem... Dla ludzi ówczesnych musiała to być chwila gorączkowego niepokoju tak w obozie katolickim, jak i protestanckim. Po surowym i zaciętym Pawle IV. zasiada na Stolicy apostolskiej silnych zasad, a gładkich sposobów Pius IV., papież jedyny na ówczesne stosunki. Jak rozległą znajomość serca ludzkiego i słabości ludzkich musiał mieć Pius IV., aby się stosować inaczej do cesarza, inaczej do Filipa II., inaczej wreszcie do Francyi — stosować mówię, ale nie ustępować! Jak nieprzebrana była różnaitość potrzeb każdego kraju katolickiego, jak różne stosunki polityczne i różna opinia o potrzebie i ważności soboru! P. Dembiński z niemałym talentem umiał zachować jasność i trzeźwy sąd wobec prawdziwej powodzi ówczesnych relacyj, instrukcyj, depesz, aktów i t. d. Olbrzymi materiał historyczny (w znacznej części rękopiśmienny i znacznym nakładem pracy zdobyty) uporządkował autor w ten sposób, że Rzym wzięwszy za naturalne ognisko wszelkich negocyacyj, wyświetlił kolejno stosunki dyplomatyczne i polityczny interes poszczególnych krajów katolickich: cesarstwa, Francyi, Hiszpanii i Polski. Zgóry powiedzmy, że najjaśniej i najlepiej rysuje się w książce p. D. stosunek Hiszpanii i Filipa II. do Rzymu. W zachowaniu się cesarza Ferdynanda wobec kuryi rzymskiej wykazuje autor niefortunną chwiejność: „polityka cesarska chciała dwom panom służyć: i papieżowi i tym, którzy papieża zwali antychrystem. Było to szamotanie się w błędnym kole...” Z drugiej strony Francya z kardynałem Lotaryńskim na czele widocznie działa pod wpływem, a kto wie, czy nie w tajemnem porozumieniu z cesarzem. Przeczy temu autor (str. 116) w jednym, szczególnym wypadku, przyznaje jednak, że „później dwa dwory starały się utrzymać między sobą jak najbliższe stosunki“. Otóż ta zgodność w obstrukcyjnem działaniu Niemiec i Francyi wbrew żą-

daniom papieskim jest punktem dość niejasnym. Nie uwzględnił — zdaniem naszym — autor jednego momentu: presyi hugenockiej i protestanckiej, która w obu krajach była bez wątpienia silną i wpływową. Bodaj że tutaj należy szukać przyczyny ciągłych retardacyj ze strony Niemiec w zwołaniu soboru i zarzutów co do niestosowności miejsca soboru: Trydentu. Hugenocką też presyą tłumaczyłyby się ciągle projekty francuskie co do zwołania soboru narodowego. Charakterystyczną pod tym względem jest obawa Piusa IV.: „Cóżby zyskał kardynał Lotaryński, gdyby został patriarchą lub papieżem we Francyi!?” (str. 127). Owo tajemne działanie protestantów w Niemczech, a Hugonotów we Francyi, jest z naszej strony tylko domysłem, nie dającym się dla braku źródeł stwierdzić lub odrzucić. Nie czyniąc też bynajmniej zarzutu autorowi, że trudnej zagadki wyświecić nie mógł, zwracamy tylko uwagę na tę dość ciemną stronę jego dzieła. Być może, że w dalszym toku pracy uda mu się znaleźć klucz do tajemnicy wspólnego działania cesarstwa i Francyi.

Polska wobec soboru z natury rzeczy zachowywała się nieobojętniej od Niemiec i Francyi. Słusznie zaznaczył p. D., że już Frycz, protestant, ważność soboru dla Polski uznał i do wzięcia czynnego udziału w soborze Polskę zachęcał. Należało tylko dokładniej nieco podać tytuł odezwy Modrzewskiego; sama *Oratio* nic jeszcze nie mówi. Charakterystyka Zygmunta Augusta, wogóle trafna, określa króla tego jako polityka przedewszystkiem; zwie go autor „człowiekiem przejścia” (?), twierdząc, że nie był już takim katolikiem, jak Zygmunt Stary, ani jeszcze takim, jak Zygmunt III. Oceniając ogólną działalność tego króla, zbliża się autor w sądzie swym do świetnej charakterystyki Zygmunta Augusta, skreślonej przez Szujskiego, w odrodzeniu i reformacyi. Orzechowskiego *Chimæra*, objaw tak ważny w dziejach naszych religijnych, zasługiwała na dokładniejsze nieco uwzględnienie (str. 207). Wogóle rozdział o Polsce, jakkolwiek wyraźnie jej stanowisko wobec Trydentu określa, wydał nam się zbyt streszczonym i jakby dla specjalnych tylko badaczy tej epoki pisany.

Zakończenie pracy przedstawia interesujący moment, w którym znicięrlpliwiony Pius IV., widząc jałowość wszelkich układów z dworami katolickimi, przecina decyzją swoją węzeł gordyjski sprzecznych interesów politycznych Francyi, Niemiec i Hiszpanii. Raz jeszcze echo wszelkich trudności w zwołaniu soboru trydenckiego odbija się w zredagowaniu bulli: *Ad Ecclesiae regimen*, przyczem bystrość i przenikliwy sąd Laineza, uwydatniły się doskonale. Opracowanie bulli kończy nie-

jako pierwszy akt potężnego w dziejach ludzkości dramatu, — i na tym to momencie zamyka autor pierwszą część swej pięknej pracy. Końcowe zestawienie tej walki, rozgrywającej się między owoczesną racją stanu a katolickim charakterem zachodniego społeczeństwa, jest w swej jedności doskonałe i silne zostawia wrażenie.

Zewnętrznie przedstawia się nowy format rozpraw historycznych Akademii Umiejętności bardzo okazale. Korekta tylko, zwłaszcza pod koniec tomu, pozostawia nieco do życzenia.

Zauważyliśmy następujące błędy drukarskie: str. 131 „poniół“ (zamiast „poniósł“), „czonków“ (zam. „członków“); str. 139 „kierując“; str. 140 niejednostajna pisownia: „Conklawe“; str. 146 „piewszym“, „zewnetrznemi“; str. 177 „Hiszpany“ (zam. „Hiszpanii“); str. 186 „Niemczach“; str. 197 *cavet* (zam. *caret*); str. 206 „Polce“ (zam. „Pol-sce“); str. 222 „niezodowolenie“; str. 242 *aber* (zam. *über*); str. 255 *Consistoriala* (zam. *Consistorialia*).

W „Dodatkach“ znajdujemy zajmujący ekskurs o wartości dyplomatycznych depesz jako źródeł historycznych, ocenę dzieła A. Ruble'a: *Le Traité de Cateau-Cambrésis*, wreszcie krytykę dwóch historyków soboru trydenckiego: Sarpi'ego i Pallavicini'ego.

Oczekujemy, jak można najprędzej, dalszego ciągu pracy p. Dembińskiego. Nie wątpimy, że te same zalety: spokój, bezstronność i trzeźwość sądu historycznego towarzyszyć będą nadal autorowi.

al.

Wydawnictwa Akademii Umiejętności w Krakowie:

„Biblioteka Pisarzy polskich“.

1. Rozmowa Polaka z Litwinem. 1564. Wydał dr. Józef Korzeniowski. Str. VIII i 91. Kraków. Z drukarni Uniw. Jag. 1890.
2. Proteus abo Odmieniec. Satyra z r. 1564. Wydał dr. Władysław Wisłocki. Str. X i 41. Kraków. Z drukarni „Czasu“. 1890.
3. Jana Mrowińskiego Płoczywłosa: Stadło małżeńskie. 1561. Wydał dr. Zygmunt Celichowski. Str. VI i 36. Kraków. Z drukarni Uniw. Jag. 1890.
4. Krzysztofa Pussmana: Historya barzo cudna o stworzeniu nieba i ziemi. 1551. Wydał dr. Zygmunt Celichowski. Str. 34. Kraków. Z drukarni „Czasu“. 1890.
5. Jana Seklucyana: Oeconomia albo Gospodarstwo. 1564. Wydał dr. Zygmunt Celichowski. Str. VI i 78. Kraków. Z drukarni Uniw. Jag. 1890.

Jak to miło i zdrowo rozczytywać się w pisarzach XVI. wieku! Prawdziwie odradza się człowiek w polskości nietylko pod względem języka — gdyż *purius in ipso fonte bibuntur aquae* — ale także pod wzglę-

dem tego sposobu myślenia i czucia, które tworzyły siłę i zdrowie narodu naszego. Przeto wielką przysługę oddaje krajowi Akademia, wydając tę popularną *Bibliotkę Pisarzy*. Wymaga to oczywiście pewnego wyboru, gdyż nie wszystko, co w owej epoce wyrosło, posiada wspomniane zalety. Tym razem, okrom jednego dziełka, — jak niżej powiemy — wybór był bardzo szczęśliwy.

1. Najpiękniejszym z tych pięciu dziełek i prawdziwą perłą jest „Rozmowa Polaka z Litwinem“. Autor, widocznie Litwin, dotknięty niesmaczną napaścią Orzechowskiego w *Quincunx*ie na charakter i obyczaje litewskie, daje mu wyborną odprawę. Jednak książka niema wcale nuty namiętnej. Jestto poważne i, powiem nawet, głębokie przedstawienie ustroju duchowego obu narodów w chwili, kiedy się mają ściślej zjednoczyć. Dobre i słabe strony obu są głęboko podpatrzone i wprawnie oddane. Nad wszystkim góruje boleść nad szkodami, jakie wyrządzają obu krajom, ich sile i wartości moralnej „nowinki religijne“. Autor pokazuje nie tylko wielki rozum, ale i wielkie wykształcenie: religię i Pismo św. zna jak teolog, Senekę, Cyserona, zwłaszcza Arystotelesa, jak filozof z zawodu. Jest tam nawet, jak na dzisiejszy smak, trochę zawiele erudycy i cytaty. Ale nie podług dzisiejszego smaku mierzyć go należy. Forma dialogu bardzo dobrze przeprowadzona, bez zawikłań i długości; czyta się z ciągłym zajęciem i przyjemnością. I przeto niezupełnie się zgadzamy z szan. wydawcą, jakoby ta książka pisana była „językiem ciężkim i niewprawnym“.

Co do kwestyi, kto jest autorem „Rozmowy“, słusznie szan. wydawca odrzuca niemożliwą hipotezę, przypisującą autorstwo Wolanowi, i idzie za zdaniem Brücknera, że najprawdopodobniej autorem jest sławny ówczesny prawnik, a gorliwy katolik, Augustyn Rotundus, wójt wileński. Choć zdarzają się pewne sposoby polemizowania „przeciwko kacerstwom“, których używają naprzemian katolicy i nowinkarze, jednak w „Rozmowie“ jest tak widoczne charakterystyczne i głębokie znanie katolicyzmu, a tak bezwzględne potępienie reformacji, że nie do pojęcia jest, jak to można było Wolanowi, namiętnemu heretykowi, przypisać.

Ztąd też zrozumieć nie możemy, czemu szan. recenzent, uznawszy powyższy argument, jednak przypisuje Wolanowi wiersz, położony po pierwszej rozmowie: „Do Polaków i do Litwy“. Jedyłą racją za tem są podpisane inicjały A. W. — a przeciwko temu jest dowód kategoryczny, że wiersz streszcza i pochwała „Rozmowę“ nawskróś katolicką.

Czyż nie mógł mieć wójt wileński jakiego przyjaciela, któryby mu to *encomium* napisał, a którego imię i nazwisko mogło się zaczynać od A. W.? Czy jego własne nazwisko, zlatynizowane na *Rotundus*, nie mogło we właściwym brzmieniu zaczynać się od W.? — a w takim razie byłyby to jego własne inicjały.

Objaśnienia historyczne, umieszczone na końcu dziełka — bardzo cenne. W słowniczku spostrzegłem brak wyrazu *wierdunk* (pewna wartość pieniężna, jak grzywna lub tyńf).

2. „Odmieniec“ jest sobie pocziwą rymowaną satyrą. Myśli ma jędrne, akcyę bardzo szybką, jak w poezyi ludowej. Rymy do myśli, a myśl czasem do rymów naciągana. Dodajmy do tego wiele słów i aluzyj, dziś niezrozumiałych, a przyznamy, że niezbyt to poczytna, jak na obecne czasy, książeczka; do celu jednak, na jaki została wydana, t. j. na przejęcie się staropolską myślą i słowem, wybornie służy. Najlepsze ustępy, to wyznanie wiary „Odmieńca“ (od w. 567) i nauki ojcowskie, dane synowi książęcemu za czasów złotego wieku (od w. 865 do końca). Dobre też są niektóre chłosty ówczesnych obyczajów, jak:

Na krzyciny bierzesz z sobą oszczepy i miecze:

Nie bój się, bo dzieciątko tobie nie uciecze.

A na stypę żalosią jedziesz w mocnej zbroi;

Tam się nigdy nie bijesz, gdzie cemu przystoi.

Przeto są między wami nieskończone gniewy:

Rozprószy was gniew boży jako lekkie plewy!

Opracowanie bibliograficzne i filologiczne przez szan. wydawcę, dra Wisłockiego, wyczerpujące i gruntowne. Jednak na objaśnienie „koncerra“ i „liczmanów“ nie mam wcale ochoty się zgodzić. Pierwszy oczywiście znaczy u autora miecz długi a prosty, do różna podobny, na którym niecnotliwy rycerz piecze barana; drugie użyte są w znaczeniu i dziś znanem, t. j. krążków metalowych, ułatwiających liczenie pieniędzy, zwłaszcza przy grze w karty. Także między pierwotne błędy drukarskie, które wydawca podaje i poprawia (str. IX.), dwa słowa, zdaniem naszym, niewinnie są policzone, mianowicie: „przebrany“ i „zadrość“¹.

¹ Lud „przebrany“ (*populus lectus*); zaś lud „przybrany“ (*populus adoptionis*) nazywano w owych czasach „sposobiony“, jak to kilka wierszy wyżej u tegoż autora czytamy; „zadrość“ zam. zazdrość i dziś jeszcze lud mówi w niektórych okolicach.

O 3. i 5. książeczce razem powiemy, bo treścią są podobne. „Oeconomia“ Seklucyana napisana jest dawniej, niż „Stadło“, i była, zdaje się, pobudką do niego. Chciał widocznie Mrowiński z katolickiego stanowiska napisać rzecz o małżeństwie, tak jak „Oeconomia“ napisana jest z heretyckiego. I trzeba przyznać, że mu się to powiodło daleko lepiej, niż Seklucyanowi. Rzecz napisana jest z godnością i, jak na owe czasy, bardzo przyzwoicie, t. j. skromnie, czego o „Oeconomii“ powiedzieć nie można. W trzech pierwszych rozdziałach podaje Mrowiński przyczyny, „dlaczego stadło małżeńskie od Pana Boga jest rozkazane i postanowione“; w czwartym i ostatnim mówi, że „Dwój stan ludzi wyjęty od małżeństwa, to jest: jedni, którzy dla młodego przyrodzenia po temu nie są — drudzy, którzy z natchnienia Ducha świętego, a z daru bożego czystość cielesną zachować umyślili, a umyśliwszy, onę zachować mogą“; — dalej: „Którzykolwiek tedy jeno ludzie z obudwu tych stanów nie są, niechaj pewnie wiedzą, iż powinni i są obowiązani małżeński stan przyjąć, którym jeźli wzgardzą, opuszczą, albo go zaniechają, jeźli nie będą pokutować, niegodni są królestwa bożego“.

Styl równy, peryodyczny, jednak nie nudny, lecz spokojny, bo z pogodnej duszy płynący. Dlatego też niema tu żadnych wycieczek przeciw heretykom, co właśnie bardzo razi u Seklucyana względem katolików. I dziś z prawdziwym pożytkiem moralnym osoby, zabierające się do stanu małżeńskiego, tę książeczkę przeczytać mogą.

Nie można tego ostatniego powiedzieć o „Oeconomii“. Stawia ona rzekomo małżeństwo, jako stan absolutnie najdoskonalszy, a ztąd żyjącym w celibacie „popom i przegolonym mnichom“ swawolnie wymyśla. Jednak sprzeciwia się sam sobie, kiedy wspomniawszy św. Pawła, mówi, że „ci, którzy mają od Boga szczególny dar panieństwa, niechaj w niem żyją“. To znów „puszcza jad“ na katolików, jakoby nie Chrystusowi, ale swym dobrym uczynkom zbawienie swoje przypisywali — a przykłady uczynków do naśladowania bierze ze św. Elżbiety i królowej Jadwigi, przecież katoliczek.

Wogóle „Oeconomia“ małej jest wartości; styl nierówny, zawiłany, język znacznie gorszy, niż w innych czterech książeczkach, jak się to pokazuje choćby z latynizmu w używaniu zaimka dzierżawczego „swój“ i zwrotnego „siebie“, „sobie“ i t. d.

Z tych wszystkich względów co do treści i co do formy sądzimy, że „Oeconomia“ nie „kwalifikowała się“ — jak to mówią — do *Biblioteki Pisarzy polskich*. Jeżeli szło o zachowanie tego zabytku, można ją było między innymi starymi pomnikami wydrukować, ale nie w wyda-

wnictwie, przeznaczonem dla szerszej publiczności i wymagającym doboru cenniejszych rzeczy.

W opracowaniu szan. wydawca nie zauważył zapewne, iż Seklucyan w tytule swej przedmowy do czytelnika nazywa siebie sługą słowa bożego, inaczej nie byłby się uciekał do bardzo mało prawdopodobnych hipotez co do liter SS., umieszczonych pod zatytułowaniem dedykacji; one znaczą wyraźnie: sługa słowa.

4. „Historia bardzo cudna“, jestto tłumaczenie kilku pierwszych rozdziałów Księgi Rodzaju, dopełnione podaniami rabinów i ksiąg apokryficznych, o pokucie i śmierci pierwszych rodziców. Są więc te podania zbyt stare, aby mogły być utworem „fantazyi średniowiecznej“, jak sądzi szan. wydawca. Łatwo zresztą zrozumieć, że niespecjaliście w egzegezie i patrystyce nie mogło być wiadomem tak starożytne pochodzenie tych „cudnych historyj“.

Zresztą cała ta historia z powodu swej prostoty bardzo przyjemnie się czyta. „Jewa“ jest niekiedy mile naiwna, okazuje szlachetne serce, biorąc na siebie całą winę i chcąc raczej sama umrzeć, aby tylko „Jadam“ żył. Tak się np. do niego odzywa, gdy nie mają co jeść: „Panie mój, mniemam, iż głodem pomrzemy; Boże daj, bym ja pierwszej umarła, azaliby cię Pan Bóg znowu wwiódł do raju, abowiem dla mnie się Pan Bóg na ciebie rozgniewał. Zabij mię tedy sam“...

Co do opracowania językowego, nie zgodziłbym się na zarzut germanizmów, jaki się dostał autorowi od szan. wydawcy¹. O słowniczkach dra Celichowskiego wogóle można powiedzieć, że zawierają niektóre wyrazy, niepotrzebujące tłumaczenia, i odwrotnie²; — nie ujmuje to jednak zasługi sumiennej i żmudnej wydawniczej pracy.

Ks. H. Pydykowski.

¹ Wyrażenie „tłumaczyć na polskie“, zam. „na polski język“, jak chce szan. wydawca, słyszeć można u dzieci, które ani słowa po niemiecku nie umieją; słowo „winszować“ jest oczywiście wzięte z niemieckiego, ale też właściwym germanizmem nazwać go nie można.

² Np. „Publikana“ każdy zna z Ewangelii, ale wcale nie jako „publikowanego, potępionego“. „Jurnego“ w słowniczku niema. „Sunamitym“ jest poprostu źle uformowanym accusativem od *sunamitis*, a wcale nie jakimś mniemanym przymiotnikiem polskim. Autor do takiego sądu o sobie nie daje prawa.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Rankes Weltgeschichte. Eine kritische Studie. Von *Emil Michael S. J.*
Paderborn 1890. Str. 51, w 8ce.

Autor broszury niniejszej, doktor teologii i filozofii, docent prywatny historii kościelnej przy uniwersytecie w Innsbrucku, postawił sobie jako zadanie, zbadać ostatnie dzieło największego historyka niemieckiego, dziewięciotomową Historię powszechną, z dwóch punktów widzenia: jakich zasad trzymał się Ranke przy pisaniu historii? — powtóre: jakie zajął stanowisko wobec chrześcijaństwa i Kościoła?

Co do pierwszego punktu, Ranke był stanowczym przeciwnikiem wszelkiego aprioryzmu i wszelkiej historyzofii niedojrzałej, usiłującej dowolnie cały szereg zjawisk dziejowych wtłoczyć w jeden system wątpliwej wartości. „Wnioski ogólne — mniema Ranke — można wysnuwać tylko z szeregu faktów pewnych, ściśle zbadanych. Odstąpić od tej zasady w badaniach nad dziejami ludzkości historykowi niewolno, jeżeli chce zasługiwać na miano krytycznego i ściśle naukowego badacza“¹. „Historia powszechna — twierdzi na innem miejscu² — jest historią nieprzerwanych zapasów o najwyższe dobra ludzkości. Boski jest zawsze ideał, jaki przyświeca ludzkości. Wszystkie usiłowania ludzkie zmierzają ustawicznie do tego, co boskie“³. „Twory geniuszu w sztuce, poezyi, na polu naukowem i politycznem, stoją w bezpośrednim stosunku do Bóstwa“⁴. „Jednakże historyk ma tylko po ludzku rozumiać stronę wypadków podnosić; zadaniem jego jest objaśniać wypadki z ludzkich pobudek“⁵. — Jeżeli to, co boskie, jest przedmiotem najszlachetniejszych chęci i dążeń ludzkich, jakże tedy można wszystkie wypadki dziejowe wyłącznie tylko z czysto ludzkich pobudek tłumaczyć? — czyż takie tłumaczenie nie mija się z prawdą dziejową?

To też stanowisko Rankego wobec chrześcijaństwa jest niejasne i sprzeczne. „Chociaż uważam siebie — mówi on — za dobrego (?) chrześcijanina-ewangelika, muszę się jednakże zastrzedz przeciwko mniemaniu, jakoby mówiąc o wystąpieniu Jezusa Chrystusa, mógł się rozwodzić o tajemnicę religijnej, która niepojęta sama w sobie, nie jest przystępną dla dziejopisarza. Tak jak nie mogę się zajmować Bogiem Ojcem, tak też i o Bogu Synu nie umiem powiedzieć. Pojęcia zawinienia, zadosyćuczynienia i zbawienia należą do teologii i religii, łą-

¹ Tom IX. wstęp, i tom I. 1. wstęp. — ² T. VIII., str. 5. — ³ I. 1. 3.

⁴ IX. 2. 10. — ⁵ I. 1. 38.

czącej duszę z Bóstwem. Historykowi zależy na tem, aby uwydatnić ową wielką kombinację wypadków powszechnodziejowych, wśród których chrześcijaństwo się pojawiło i które wpływ jego umożliwiły“¹.

Ranke nie chce poruszać tajemnicy religijnej², a jednak na stronie następnej powiada: „Przez chrześcijaństwo weszła ludzkość w bezpośredni związek z Bóstwem. Najwyższa Istota boska, Stwórca wszechświata, unosiła się dotychczas zbyt wysoko ponad światem niedościgłą, poza obrębem wszystkich pojęć; w Chrystusie objawia się ludziom przychylna, sama ludzka, nie tylko co do swej moralnej, lecz także intelektualnej istoty ściśle z ludźmi złączona“³. „Jestto cudów cud, iż się Bóstwo z człowieczeństwem bezpośrednio złączyło“⁴. — Słowa te zdają się potwierdzać wyznanie wiary naszego historyka, że jest chrześcijaninem-ewangelikiem — stają się jednak pustym frazesem, jeżeli się zważy, że objawienie dla Rankego wcale nie istnieje. „Żydowska i chrześcijańska religia powstała ze sporu różnych religijnych zapatrywań pogańskich“⁵. Wprawdzie mówiąc o chrześcijaństwie na innem miejscu, twierdzi R., iż jest nagle boskim zjawiskiem, dodaje jednak: „jak wogóle wszystkie wielkie płody geniuszu noszą na sobie piętno bezpośredniego objawienia. Po Platonie nie może się Platon pojawić“⁶.

Nie potrzebuje komentarzy w tym względzie następujący ustęp: „Żydzi mieli ideę jednego Boga, prawdopodobnie pra-ideę z zarania ludzkości, jednakże Bóg ich był więcej bogiem narodowym. Wtedy pojawił się Chrystus i głosił na podstawie żydowskiej wiary powszechnego Boga, bez uwzględnienia wszelkich narodowych interesów i bogów narodowych“⁷.

Wobec tego nie ulega kwestyi, iż Chrystus dla Rankego był geniuszem tylko — chrześcijaństwo płodem geniuszu. Dlatego nie dziwi nas twierdzenie takie, jak: „Chrystus był uczniem Jana, od którego tylko o jeden krok poszedł dalej“⁸.

Ranke jest nawskróś racjonalistą i „na swych księgach ostrzy swój rozum“, by tajemnice objawienia rozumowo przedstawić. Czy jednak w rozwoju dziejowym da się wszystko rozumowo wytłumaczyć, czy raczej racjonalizm, zwalczający dogmat, nie jest również dogmatyzmem, tylko bez podstaw, ślepym? Chcąc chrześcijaństwa znaczenie historycznie przedstawić, trzeba być chrześcijaninem wierzącym: inaczej

¹ III. 1. 161. — ² III. 1. 170. — ³ Porówn. także tom V. 2. 166.

⁴ VIII. 72. — ⁵ I. 1. 4; III. 1. 151/2; IV. 2. 21; VI. 1. 1. — ⁶ IX. 2. 11, 29; porówn. V. 1. 324. — ⁷ IX. 2. 15. — ⁸ III. 1. 163/4.

się go nigdy nie zrozumie; inaczej znajdzie się najważniejsze zdanie z ust Chrystusa pochodzące, wraz z rządowym historykiem — jak słusznie zwą Rankego¹ — w słowach: „Oddajcie cesarzowi, co jest cesarskiego, a Bogu, co jest boskiego“²; inaczej z nim słowa Zbawcy: „Będzie jedna owczarnia i jeden pasterz“, nazwiemy kosmopolityczną hipotezą, której historycznie dowieść nie można³.

Ranke wyklucza Opatrzność z dziejów, albowiem jej wpływ zniósłby wolność człowieka i zrobiłby z niego ślepe narzędzie⁴. Usuwa celowość z historii, gdyż w takim razie ostatnia generacja byłaby uprzywilejowaną, poprzednia zaś tylko piastunką następnej, co się sprzeciwia sprawiedliwości bożej⁵.

Również i cuda wyklucza z historii pruski profesor. Wprawdzie cuda Chrystusa Pana milczeniem pomija, wprawdzie czytamy w trzecim tomie (1. 175): „Szawel zerwał z ideą, iż prawdziwa religia wiąże się ze świątynią jerozolimską, zerwał z nią przez nagły polot ducha, który cudowne zjawiska albo wywołał albo potwierdził“ — mimo to jednak okazuje się nieubłagany radykałem, gdziekolwiek u historyków kościelnych z pierwszych wieków z cudem się spotka. „Nad właściwym cudem, t. j. bezpośredniem oddziaływaniem Boga na sprawy ludzkie, można przejść do porządku dziennego; fakta przytem podane, nie wpływające z owej wiary w cuda, uwzględnić należy“⁶. Dlatego w podanem u Euzebiusza ukazaniu się krzyża Konstantynowi Wielkiemu widzi tylko optyczną iluzję rzymskiego cesarza. „W chwili wzruszenia uważa cesarz niemożliwe za prawdę. Podobne zjawisko miał Brutus pod Filipi i Julian Apostata przed ostatnią klęską“⁷.

Mniejsza jednak o historyków kościelnych: i z Pismem św., jako źródłem, w ten sam radykalny sposób postępuje Ranke. Omawiając biblijną tradycję o Abrahamie, oświadcza: „Nie mam odwagi wszystkiego tego uznać za historję, gdyż przez to zawiele cudownego i niewiarygodnego przyznałoby się“⁸. To też porównywa ofiarę Izaka z opowieścią o Ifigenii w Aulis; a Pismo św., mianowicie Stary Testament, stawia narówni z mitami greckimi⁹.

Wobec tego niedziw, że Kościół katolicki nie doznał sprawiedliwego sądu od protestanta i racjonalisty. „Kościół wykształcił się i rozpowszechnił na fundamencie założonym przez Apostołów w sposób

¹ Lorenz, *Die Geschichtswissenschaft in Hauptrichtungen u. Aufgaben kritisch erörtert*, str. 47.

² III. 1. 162. — ³ IX. 2. 8. — ⁴ IX. 2. 2. — ⁵ IX. 2. 4. — ⁶ IV. 2. 252.

⁷ IV. 2. 256—259. — ⁸ I. 1. 31. — ⁹ I. 47, 82, 118, 160.

niewiadomy, gdyż z dziejami apostolskimi wszelka wieść wiarygodna się urywa“¹. „W Tertullianie, wielkim nauczycielu północno-afrykańskiego Kościoła, widać pierwszą manifestację ekskluzywnego ducha Kościoła łacińskiego, który się wkrótce potem około Rzymu zaczął grupować“². Dlaczego w Rzymie — nie dowiadujemy się od Rankego; o prymacie Piotra historyk protestancki nie chce nie wiedzieć. Wprawdzie już św. Fabian (umęczony 250 r.) nazwany papieżem³, „początki jednak prymatu papieskiego przypadają na wiek IV., a przyczyną jego są zamieszki aryańskie. Wszystko bowiem zawisło od tego, czy powaga biskupa rzymskiego w kwestyach spornych także się odnosi do Wschodu. Stolica rzymska, oświadczając się za Atanazym, połączyła pretensję do zwierzchnictwa kościelnego nad obiema połowami państwa rzymskiego z przyjęciem uchwał soboru nicejskiego“. „Zwolennicy tego soboru zwali się katolikami“⁴. „Katolicyzm jednak rzymskiego Kościoła dopiero powstał z ruin Hipony“⁵, zatem na początku wieku V. „Pojęcie katolicyzmu, obejmujące grecki i rzymski świat, wprowadzono przez ugodę cesarstwa w Konstantynopolu z rzymską stolicą. Uchwały soboru chalcedońskiego są niejako dokumentem obojawnego porozumienia się; można je uważać jako zapis, zrobiony przez ród Teodozjusza na rzecz państwa i Kościoła“⁶. Jednym słowem: „uważać papieństwo za boską instytucję, jestto pomysł hierarchii kościelnej, do której historyk nie może się przychylić“⁷. Wierzący katolik zatem — wedle Rankego — nie jest zdolny do badań historycznych. Odróżnia zatem nasz dziejopisarz następujące fazy w rozwoju Kościoła: Chrześcijaństwo, Kościół patryarchalny⁸, Kościół łaciński, Kościół łacińsko-rzymski, katolicyzm, Kościół katolicki, biskupstwo rzymskie, prymat okcydentalny, który dzięki usiłowaniom Mikołaja I., przedzierzgnął się w prymat katolicki⁹.

„Jestem daleki od tego — powtarza na innem miejscu¹⁰ Ranke — aby papieństwo uważać za boską instytucję w szczególności tego słowa znaczeniu; dlatego mnie na indeksie umieszczono, że tego nie czynię. Mimo to uważam pontyfikat za jedną z najwspanialszych i najwięcej podziwienia godnych instytucyj, które się kiedykolwiek pojawiły. Błędne jest mniemanie, jakoby papieństwo było wyłącznie instytucją religijną; było ono zarazem księstwem zwierzchniczym nad całym Zachodem

¹ III. 1. 320. — ² III. 1. 396. — ³ III. 1. 418, przyp. 1. — ⁴ IV. 1. 45 i 50. — ⁵ IV. 1. 315. — ⁶ IV. 1. 324/5; V. 2. 166/7. — ⁷ V. 1. 295.

⁸ III. 1. 321. — ⁹ IV. 1. 324; VI. 1. 173. — ¹⁰ VIII. 410.

dem¹, najwięcej wyrobioną teokracją, jaka kiedykolwiek na ziemi istniała, właśnie dlatego tak silną, iż była w swym czasie przedstawicielką cywilizacyjnych dążeń świata, zmierzającego ku wyżynom oświaty i wiedzy“. „Byli to starcy, ci papieże, od potrzeb codziennego życia odosobnieni, przejęci ideą boskości swej instytucji, a przytem pełni rozumu i znajomości świata“². „Papieże szli ręką w rękę z postępem cywilizacji, mimo to nie tolerowali najmniejszego zboczenia od dogmatu“³.

Mimo tych i tym podobnych zeznań ze strony Rankego na korzyść Kościoła, świadczących o jego obiektywności, ogółem biorąc, wieje z dzieł jego duch antykatolicki. W niejednym ustępie przebija jaskrawo protestanckie stanowisko autora i wrogie usposobienie niemieckiego narodowca do rzymskiej wszechwładzy. Mówiąc o domaganiu się stolicy rzymskiej, aby wypędzonego przez heretyków Atanazego na stolicę patriarszą w Aleksandryi przywrócono, zapytuje się Ranke: „Jakie prawo miał Zachód mieszania się do uchwał synodów Wschodu!“⁴ „Jakiem prawem — woła na innem miejscu — odbiera Grzegorz VII. jednemu (t. j. Henrykowi IV.) państwo, a drugiemu (Rudolfowi) je przyznaje? Nigdy jeszcze nie rzucono klątwy na cesarza, nigdy duchowna władza nie odważyła się monarchy z tronu złożyć. Gwałt ten samowolny datuje się od tej właśnie chwili“⁵. Podobne jednak postępowanie cesarza wobec papieża wcale Rankego nie razi. „W tym sporze — powiada berliński historyk — nie trzeba upatrywać nieszczęścia. Nie chcemy oskarżać papieża, iż do takiego znaczenia przyszedł, niemniej nie możemy pochwalić cesarza, który się jemu chciał poddać“⁶. „Papieżstwo wydobyło się na wierzch z toni spraw europejskich i opanowało je zupełnie w wieku XIII.“⁷. „Biorąc impuls z idei duchownych, doszło ono do takiej potęgi i władzy, iż zagrażało nie tylko odrębności narodowej, ale wewnętrznemu rozwojowi samej religii“⁸. „To połączenie religii i władzy świeckiej, kapłaństwa i rycerstwa, poezji i sztuki, tworzyło świetną ale uciążliwą całość, rozczłonkowaną jak gotycka katedra, na której czele stał arcykapłan i wszystkiem rządził“⁹. „W samym środku papieskiej wszechwładzy stoi Innocenty IV. Po śmierci Fryderyka II. był on przedstawicielem chrześcijaństwa zachodniego, był papieżem bez cesarza, z pretensją

¹ Karol Wielki wzamian nazwany jest patriarchą kontynentu (V. 2. 243).

² VIII. 480. — ³ IX. 2. 134. — ⁴ IV. 1. 45. — ⁵ VII. 298. — ⁶ IX. 2. 83.

⁷ IX. 2. 112. — ⁸ VII. str. 4. — ⁹ IX. 2. 113.

być jednym i drugim“¹. „Z arogancją nie do uwierzenia oznajmuje niemieckim książętom, iż Henryk (Raspe) gotów jest przyjąć koronę i rozkazuje im niejako elekcję: jednomyślnie, niezwłocznie, ku odpuszczeniu grzechów“².

Racyonalizm Rankego nietylko objawia się niechęcią, źle zamaskowaną, do Rzymu, ale wogóle do osobistości, stojących po stronie papieży, — objawia się widoczną sympatją do przeciwników Kościoła, przez co jego historia niejednokrotnie stoi w sprzeczności z prawdą dziejową. „Aryusza i jego zwolenników, pragnących pogodzić myśl zasadniczą ze zwykłymi doktrynami (t. j. racyonalizm z dogmatem), nie można zgóry potępić“³. Wiara Atanazego była „konsekwentniejsza i głębsza“, miała po swej stronie „najinteligentniejszych doktorów Kościoła“. „W jego pismach podziwia się głębokość pomysłu, ścisłość dowodów — potężna postać w historii dogmatu, zrodzony na przewodnika frakcyi nie bez zaciekłości. O ustępstwach nie było u niego mowy“⁴. „Aryusz, odznaczający się bystrością i wielką stanowczością⁵, głosił naukę więcej od tamtej do zwykłych ludzkich pojęć zbliżoną. Współistność Syna z Ojcem nie była przecież dosłownie w Piśmie św. wyrażona; miała nawet dla czcicieli jednego Boga coś odpychającego“⁶.

Julian Apostata jest wcale pochlebnie przez Rankego scharakteryzowany: „Jest on dogmatykiem wierzącego w bogów helenizmu“⁷. „Podjął się wznowionej wierze w bogów nadać formę, jaka odpowiadała praktycznym ideom chrześcijaństwa“⁸. Możliwy wedle tego mniemać, że cesarz uczynił to z potrzeby religijnej. „Nestoryusz w przesładowaniu Aryanów tak daleko się posunął, iż dwór cesarski musiał jego gorliwość powściągać. Przez swe światobliwe stronienie od świata i popularną wymowę pozyskał sobie lud cały“⁹. „Uczonego i nauce oddającego się Focysza nie można uważać za podstępnego wichryciela z poziomych pobudek. Jest on swego czasu jednym z najznakomitszych zjawisk pomiędzy doktorami Kościoła. Sprawa, jakiej się podjął, była jedną z najdonioślejszych, jakie kiedykolwiek miały miejsce: dotyczyła ona antagonizmu między Carogrodem a Rzymem“¹⁰. „Jego napaści na Mikołaja I. i Kościół łaciński spelzły na niczem, ale ro-

¹ VIII. 497. — ² VIII. 540. — ³ IV. 136. — ⁴ IV. 1. 40/41.

⁵ U Atanazego zowie Ranke ten sam przymiot dumną nieugiętością (IV. 1. 41).

⁶ III. 1. 538 i IV. 1. 38. — ⁷ IV. 1. 85. — ⁸ IV. 1. 124. — ⁹ IV. 1. 316.

¹⁰ VI. 1. 192.

szczeniu papieża, że jest uniwersalnym patriarchą, oparł się z wielkim skutkiem“¹.

Jak dowolną czasami jest krytyka Rankego, świadczy następujący przykład: Wedle świadectwa św. Bonifacego, znanego nam z listu jego do papieża Zacharyasza², byli dwaj kacerze, Aldebert i Klemens, niemoralnymi, wykołejonymi marzycielami; Aldebert zdołał swem kuglarstwem pozyskać wielu zwolenników wśród ludu prostego. Wznosił na wolnem polu krzyże i kapliczki, które we własnem imieniu poświęcał, rozdzielał swe włosy i paznogie jako świętości i rozpowszechniał list, o którym twierdził, że Chrystus go z nieba zesłał. Z tej charakterystyki Aldeberta, jaką znachodzimy u Bonifacego i w aktach rzymskiego synodu z r. 745³, bierze historyk nasz to, co tego awanturnika robi przeciwnikiem Kościoła, innemi słowy, co go jako dobrego protestanta poleca. Resztę opuszcza mistrz krótką uwagą: „z pominięciem cudów, które mu już wówczas legendarnie przypisywano, a które noszą cechę niezwyklej awanturniczości, pozostaje zdrowe religijne jądro, na którym się te wieści opierają. Aldebert jest bez kwestyi najciekawszą osobistością ówczesnej Germanii... Odrzuca on pielgrzymki, cześć Świętych, spowiedź i t. d... Jego nauka nie jest bynajmniej płytka i bez prawdy wewnętrznej. Kościoły poświęcać na cześć Apostołów i Męczenników uważał za niestosowne“. Następne jednak zdanie tegoż samego źródła opuszcza Ranke. Brzmi ono: *In proprio nominis honore dedicavit oratoria*. (Na własną cześć i w imię swoje poświęcał domy modlitwy). „Zdrowem jądrem nauki Aldeberta było zdanie, iż Bóg bezpośrednio ze stworzeniami się łączy przez swego Syna, Jezusa Chrystusa“⁴, bez jakiegokolwiek pośrednictwa hierarchii. Tak samo broni Ranke nisko upadłego heretyka, Klemensa. „Widywano niekiedy kapłanów chrześcijańskich, biorących udział w pogańskich objatach. O celibacie, jakiego Kościół rzymski daleko surowiej przestrzegał, niż grecki, ani słyszeć nie chcą ci misjonarze. Jednemu z nich, Klemensowi, robiono zarzut, iż się zwie biskupem, jakkolwiek żyje w drugim małżeństwie“. Zrywali oni wogóle wszelkie związki z Rzymem. „Głoszono przytem daleko idące zdania, o których jednakże nie możemy sobie pojęcia wyrobić, znając je tylko z ust przeciwników“⁵. Ze słów więc św. Bonifacego wybiera Ranke to, co mu się podoba, resztę pomija

¹ VI. 1. 322. — ² *Natalis Al. Saec.* 8, cap. 2 a 2. Migne Pat. Lat. 89, 751 ff. — ³ Hefele, *Konziliengeschichte*, III. 2. 533 ff. — ⁴ V. 1. 321.

⁵ V. 1. 320.

milczeniem. Mniemanie osobiste historyka występuje w tym wypadku, jako historia sama.

Bonifacego charakterystyka skreślona jest u Rankego bardzo chłodno i mdło: „Był człowiekiem uzdolnionym; jako założyciel Kościoła niemieckiego czynił tylko to, co z urzędu do niego należało, czego się w swym klasztorze nauczył i w czem widział sumę całej religii. Bonifacy pracował wśród ciągłej wewnętrznej walki ducha, zewnątrz walka, wątpliwości wewnątrz“¹. „Zginał w samym środku swego zawodu. Jest przeznaczeniem uzdolnionych ludzi, iż swymi najgłębszymi pomysłami starają się na świat oddziaływać. Dostają się przez to w wir walk, jakie ich otaczają. Udać im się wywrzeć wielki skutek, jednakże przez to stają się sami niepotrzebnymi. Bonifacy, podejmując misję bez zasobów, jakie miał poprzednio, zginał niezadowolony i zniechęcony swem położeniem zewnętrznym, lecz chętny w swym zawodzie, na duchu niezachwiany, odważny i mężny“². Nekrolog Apostoła byłby z pewnością wypadł inaczej, gdyby tenże był Kościół narodowy wytworzył, unikając połączenia z Rzymem.

Ciekawą jest rola, jaką przypisuje Ranke Książętom Apostołów w sporze o cześć obrazów. „Cesarz Leon chciał odeprzeć zarzut bałwochwalstwa, jaki podnoszono przeciw chrześcijaństwu. Co do pojęcia o jedności Bóstwa, zbliżył się do islamu. Przedstawiano mu przykłady dawniejszych cesarzy. Odparł, że tem samem popadli oni w bałwochwalstwo. Trzeba przyznać, iż szereg tych myśli jest wspaniały — był on imperyalistyczno-filozoficzny, obrachowany zarówno na posłuszeństwo wewnątrz kraju, jak na opór na zewnątrz“... „W Rzymie jednakże już dla tego samego nie można było wyrzec się czci obrazów, albowiem tutaj obrazy Apostołów Piotra i Pawła, już wcześniej w swych typowych formach wprowadzone, były niezbędne do reprezentowania kościelnej wyższości Rzymu“³.

Jako dobry protestant, jest Ranke również wrogiem czci relikwii i Świątych, „gdyż w rzeczy samej tkwią w niej pozostałości z dawnego pogaństwa“⁴.

Błędne są również poglądy mistrza na rzymsko-niemieckie cesarstwo. Pojęcie chrześcijańskiego cesarstwa jest mu oczywiście nieznane.

¹ T. V. 1. 323. Odnoszą się te słowa do listu św. Pawła do Koryntyan II, 7, 5: *Nullam requiem habuit caro nostra, sed omnem tribulationem passus sumus* — mówi św. Paweł — *foris pugnae, intus timores*.

² V. 2. 45/6. — ³ V. 1. 307. — ⁴ VIII. 7.

Najwyższy obrońca Kościoła jest u niego nieledwie pogańskim imperatorem; dlatego ustawicznie podnosi jego najwyższą prawodawczą władzę, jego samodzielną jurysdykcję¹. „Papież Leon III. bynajmniej nie założył cesarstwa zachodniego; uznał je tylko, chroniąc się pod jego opiekę i dając mu nazwę“². „Przedewszystkiem dlatego przekazano władzę imperatorską na Karola, aby nieprzyjaciele i oskarżyciele papieża nie pozostali bez kary“³. „Jednakże nie trzeba dosłownie brać wyrażenia: cesarską godność przekazano Karolowi. Był on już władcą i panem Zachodu w najszerszym tego słowa znaczeniu i w posiadaniu największej władzy świeckiej, której przez połączenie z duchowną nie chciał się zrzec bynajmniej, lecz ją właśnie rozszerzyć“⁴. „Cesarska godność była faktycznie więcej przywłaszczonym dodatkiem do władzy królewskiej“⁵.

Wpływ władzy świeckiej na duchowną najwięcej się uwidocznił, wedle Rankego, przy wyborze papieża. Z Grzegorzem VII. zmienia się postać rzeczy. „Przekazanie wyboru papieża wyłącznie władzy duchownej, było jego dziełem“⁶. „Grzegorz VII. walkę przeciw władzy świeckiej podniósł do systemu“⁷. „Najdonioślejszy pomysł, powstały w Kluuniaku, zmierzał ku temu, aby cesarzom wydrzeć prawo inwestytury, i aby w ten sposób korporacja duchowna stała się wyłączną przedstawicielką jedności Kościoła. Było to przedsięwzięcie prawie rewolucyjnej doniosłości“⁸. „Grzegorz łączy się z buntownikami w Niemczech!“ „Egzystencja władzy świeckiej została przez niego we własnych podstawach zagrożoną. Był to zamach tem groźniejszy, o ile nim kierował jeden z największych hierarchów na świecie. Największych, mówię, nie dla głębokości jego pomysłów. Jego idee są te same, jakimi przeziął w klasztornej celi, jednakże przejął się nimi do głębi duszy“⁹. „Pojęcie hierarchiczne jest jego życiem wewnętrznym; czuł się bezwarunkowo mistycznym węzłem doń przywiązanym. Jego działalność wszędzie wnika, jest bardzo ludzka, skojarzona z duchownymi ideałami“¹⁰. Wcale łagodnie natomiast obchodzi się Ranke z despotycznym i rozwiązłym Henrykiem IV. Przyznaje wprawdzie jego nadużycia, ale w sposób tak łagodny, że się nie czuje wcale moralnego oburzenia, jakiem historia chłostać winna zbrodnie i gwałty¹¹. „Jednostronnym monarchi-

¹ V. 2. 183, 187; VI. 1. 20, 29, 92, 163. — ² V. 2. 190. — ³ V. 2. 187.

⁴ VII. 4. — ⁵ V. 2. 188. — ⁶ VII. 253. — ⁷ VII. 252. — ⁸ VII. 250.

⁹ VII. 299/300. — ¹⁰ VII. 312.

¹¹ J. Scherr powiada słusznie: *L. v. Ranke hob als geschichteschreibender Stilkünstler die deutsche Historik auf die Stufe marmorner Glätte, in welcher man freilich den sittlichen Impuls häufig genug vermisst.*

cznym rządem“, to „swawolnem i jednostronnem użyciem władzy królewskiej“ nazywa despotyzm Henryka. Wiarołomstwo jego zwie się „samodzielnością w działaniu“, a co do jego rozwiążności wspomina o „pogłoskach nieprzystojnych“¹. Natomiast podnosi Ranke jego zasługi około państwa. „Bez niego byłoby się państwo stało igraszką w rękach władzy duchownej“². „Jego całe postępowanie było ustawiczną obroną swoich ze wszech stron zaczepionych praw“³. Zapewne obroną zaczepionych praw było żądanie szalonego władcy, „by Grzegorz na Rudolfa bez sądu klątwę rzucił, inaczej nowego papieża obierze, któryby złożył Grzegorza ze Stolicy apostolskiej“⁴.

Niejednokrotnie powoduje się Ranke sympatją lub antypatją w szkicowaniu postaci dziejowych. Bez względu na wartość rzeczywistą jakiejś osobistości, kreśli kilkoma rysami karykaturę lub bohatera. Fulko z Neuilly np., ów wielki kaznodzieja czwartej wyprawy krzyżowej, był — wedle niego — „mężem, dosiadającym konia, noszącym porządny kapelusz, nie gardzącym bynajmniej dobrą uczcią, przytem czyniącym cuda i posiadającym porywającą wymowę“⁵. Nogaret, znany ze swego łotrowstwa, jest u Rankego „małym, niepozornym człowieczyną, ale jednym z największych prawników, jacy kiedykolwiek istnieli“⁶. — „Hus był, wedle powszechnego zdania, pobożnym, w przeważnej części (!) artykułów wiary dobrym katolikiem. Takiego męża skazać na stos tylko (!) dlatego, ponieważ ogólne zepsucie duchowieństwa usilnie zwalczał, było niegodziwością. W ten sposób władza hierarchii, uzbrojona prawem skazywania na stos, ciążyła, jak zmora, nad całym światem ucywilizowanym“⁷. — „W samo serce papiestwa ugodziło wystąpienie Lutra. W nim łączyły się najznakomitsze przymioty: upór chłopca turyngskiego, głębokość germańskiego mistyka, zdolność wielkiego profesora, niezrównana moc charakteru i mądrość, jaka może w Niemczech drugi raz się nie pojawiła. Dotychczas nie wystąpił jeszcze uczony, któryby pojęcie władzy tak ściśle był określił, bez wszelkiej przymieszki duchownej, jak Luter“. Cała władza kościelna — jak wiadomo — przeszła, wedle nauki Lutra, na władzę świecką. Zapewne owa osławiona zasada: *cuius regio, eius religio*, wypływająca z doktryny reformatora protestanckiego, jest ową chwaloną ścisłością pojęcia. „Lutra usposobienie było z natury do reformowania skłonne“.

¹ VII. 276, 295, 345. — ² VII. 288, 295. — ³ VII. 341. — ⁴ VII. 296.

⁵ VIII. 281. — ⁶ VIII. 617. — ⁷ IX. 1. 186 f.

Reformować zaś znaczy u Rankego: „usuwać wiele urządzeń dawniej istniejących“¹.

„Kwestya, czy rzymska hierarchia ma w Niemczech swój wpływ zachować — kilka drobnostek dogmatycznych, sprowadziły na Niemcy spustoszenie ich wysoko posuniętej kultury“². Dogmatyczne drobnostki zatem wywołały wojnę trzydziestoletnią? Że ona była walką protestanckich buntowników, połączonych z Francją, przeciw dynastyi habsburskiej — tego pisarz protestancki nie przyzna.

„Luter zaczepił jeden punkt nauki Kościoła, niecałkiem rozstrzygnięty, który jednakże zajmował umysły wiek cały, t. j. naukę o usprawiedliwieniu. Ze strony katolickiej mniemano, że sprawę tę winien załatwić sobór. Tak przyszedł więc trydencki sobór do skutku, który kwestye, poruszone przez protestantyzm, rozstrzygnął w tym duchu, iż system katolickiego Kościoła znowu pogodzone z Pismem św.³ Późniejszy katolicyzm uległ znacznie wpływowi protestanckiego dogmatu, występując wprawdzie przeciw niemu, postępując jednakże w ten sam sposób, co protestantyzm“. Jezuici, to „mnisze zgromadzenie, powstałe w przeciwieństwie do protestantyzmu ku obronie papieństwa, posługiwali się w celu rozszerzania swych zasad tymi samymi środkami, co protestanci, t. j. kazaniem i szkołą“⁴.

Ranke mniema, iż protestantyzm, powstały w Szwajcaryi i Niemczech, zdaje się mniej być przystępny dla narodów południowych, wogóle mniej ucywilizowanych⁵. Przeciwnie zdanie głosił swego czasu Döllinger; czy słusznie, niech rozstrzygnie rzecz sama. „Im więcej — powiada monachijski uczony⁶ — barbarzyński i ciemny był jakiś naród, tem łatwiej ulegał protestanckiej nauce. Jak łatwo sprotestantyzowali ludy swe królowie Szwecyi i Danii, jak szybko przyjmuje Szkocya kalwinizm, jaka siła odporna natomiast objawia się w Anglii! Wykształceńsi Flamandczykowie pozostali katolikami, podczas gdy mniej ucywilizowani Holendrzy na kalwinizm przeszli; wśród nieokrzesanego ludu południowej Francyi znalazł kalwinizm więcej zwolenników, niż w prowincjach północnych, na wyższym stopniu kultury stojących. Dlatego we Włoszech reformacya nie znalazła gruntu. Było tam wprawdzie wielu przeciwników katolickiej nauki, lecz ci nie zadowalniaли się bynajmniej nauką Lutra lub Kalwina, będąc częścią antytrynitaryuszami lub nie-

¹ IX. 2. 137 ff. — ² IX. 2. 153 ff. — ³ „Mit den hlg. Urkunden“.

⁴ IX. 2. 147 f. — ⁵ IX. 2. 145. — ⁶ Hortig-Döllinger, *Handbuch der christlichen Kirchengeschichte*. II. 2. 669 f.

przyjaciółmi wszelkiej nauki pozytywnej. Jeżeli zaś protestantyzmowi sprzyjać się zdawali lub za granicą na protestantyzm przechodzili, czynili to dlatego, ponieważ tenże więcej im swobody przyznawał, niż katolicyzm“.

Ranke sam osądził swe wywody historyczno-kościelne, mówiąc o doktrynach wspomnianego Klemensa i jemu podobnych misjonarzy, iż dlatego sprawy z nich sobie zdać nie możemy, ponieważ je tylko z ust przeciwników znamy. Czy Ranke jest przyjacielem Kościoła? — Wszystkie przykłady, wyżej zacytowane, przeciw temu świadczą. Czy zatem można wedle samego Rankego dać temu wiarę, co przeciwnik Kościoła w swem dziele o Kościele i chrześcijaństwie wogóle pisze? Uległ on temu samemu prawu, jakie w tomie III. (2. 280) przytacza: „Pojmowanie historyczne zależy zawsze od tych okoliczności, wśród których autor żyje i pisze“. „Niejednokrotnie okres poprzedzający (w naszym wypadku byłby to iluminantyzm XVIII. wieku) budzi geniusz dziejopisarski i wyciska piętno na jego dziełach“. Ranke — jak wiemy — był nadwornym historyografem króla pruskiego; duch więc pruski, protestancki, niejednokrotnie przemawia z dzieł jego, pod innymi względami świetnych i genialnych.

Tyle o treści krytyki O. Michaela, osławionej dziś wśród protestanckiego świata.

Podnosząc jej wartość, to jednak zaznaczyć musimy, że w niektórych szczegółach recenzent poszedł może zadaleko, wynajdując w dziele Rankego echa nieprzyjazne katolicyzmowi tam, gdzie ich nie ma.

Do takich miejsc zaliczamy sąd Rankego o Karolu W., w którym trudno upatrywać chęć uwłaczania sławie tego nawskróś katolickiego monarchy (str. 41)¹.

Czasami też wysnuwa recenzent z wyrwanych ustępów wnioski, których prawdopodobnie nie miał na myśli Ranke, a które łagodniej, nieraz nawet nieco odmiennie wyglądają w całości tekstu.

Tu zaliczamy sąd Rankego o św. Atanazym², który w recenzji ks. Michaela brzmi odmiennie, nawet oburzająco (str. 33); jakoteż drugi sąd o Grzegorzu IX., który Ranke wyraził o wiele umiarkowaniej³, niżli to podaje ks. Michael (str. 43).

Nie możemy się też zgodzić na zdanie recenzenta, jakoby Ranke należał do zasadniczo najszkodliwszych dziejopisarzy naszych czasów

¹ Por. Ranke V. 2. — ² IV. 142. — ³ VII. 250.

(str. 24): *zu den prinzipiell destruktivsten Geschichtsschreibern*. Kto zna Schlosserów, Welterów — nie mówiąc już o innych dawniejszych i nowszych elukubracjach historyków protestanckich — ten z pewnością uzna w Historii powszechnej Rankego protestancki wprowadzie i racjonalistyczny pogląd na dzieje świata, pozbawiony jednak tej zaciekłości fanatycznej, jaka cechuje większą część dzieł przeciwników Kościoła.

„Chociaż katolik nie zawsze może się zgodzić z poglądami Rankego, to jednak sprawiedliwość wyznać nakazuje, że jest on bodaj pierwszym niemieckim historykiem w bieżącym stuleciu“¹.

Zasluga O. Michaela polega na tem, iż ostrzegł katolickiego czytelnika, gdzie się poglądy Rankego rozchodzą z poglądami katolickiego świata naukowego.

Dr. K. K.

Grundlinien der Patrologie. Von P. Bernh. Schmid O. S. B. Dritte, vermehrte Auflage. Herder. Freiburg 1890. Str. 180.

Już dawniej omawiano i polecano niniejszą książeczkę w *Prze-głędzie*². Nie ulega wątpliwości, że na podręcznikach patrologii nie zbywa; Moehler jednak i Permander nie wykończyli swych prac; Alzog przedstawia nam tylko historię literatury pierwotnego chrześcijaństwa; Fessler zaś zanadto jest obszerny na podręcznik szkolny, prócz tego dzieło jego zupełnie już wyczerpane. Wymieniliśmy tu tylko niemieckich autorów nie dlatego, żeby na innych zbywało, ale dlatego, że w obecnych czasach są najlepszymi.

Książeczka, o której mówimy, podaje nam tylko niezbędne wiadomości, dotyczące patrologii, i to w krótkim streszczeniu. System, jaki obrał sobie autor, jest tego rodzaju, iż mimowoli ucznia zachęca do samodzielnej pracy, nauczycielowi zaś pozostawia wszelką swobodę w wykładach. Autor przedewszystkiem trzyma się Fesslera i Alzoga. Należy się mu szczególna pochwała za to, że w książeczkę swoją wcielił historię literatury pierwszych chrześcijan; w ten bowiem sposób zaznajamia nas z dawnymi pisarzami, którzy, choć nie należą do grona Ojców Kościoła, jednak znaczny wpływ wywierali na rozwój kościelnego nauczycielstwa. W nowem tem wydaniu spotykamy wzmiankę o poetach: Juwenkusie, Prudencjuszu, Seduliuszu i Wenantym Fortunacie. Charakterystykę pisarzy kościelnych i ich dzieł zaczerpnął autor

¹ Ks. Aug. Arndt, *Prze-gl.* *Powsz.* XXVIII, str. 273.

² 1886. XI, str. 294.

z najlepszych źródeł; spis chronologiczny pisarzy kościelnych wraz z wyliczeniem najlepszych wydań, jeszcze więcej zalecają pracę autora; druk czytelny, — słowem, streszczając sąd o niniejszej pracy, trzeba powiedzieć, że jest ona wzorem książki szkolnej; szkoda tylko, że autor nie wydał jej w języku łacińskim. Co się nas dotyczy, to wyrażamy życzenie, by praca ta w jak najkrótszym czasie przełożoną została na język polski.

Ks. Augustyn Arndt.

Z pism czasowych.

Časopis Musea Království Českého 1890. — Osvěta 1889/90.

Do najpoważniejszych organów współczesnego czeskiego piśmiennictwa należą: *Časopis Musea Království Českého* i *Osvěta*. Pierwsze z tych wydawnictw, wychodzące pod kierunkiem czeskiej „Macierzy“, jest, jak to już sam tytuł wskazuje, organem Muzeum Królestwa Czeskiego w Pradze. Treść jego stanowią głównie artykuły historyczne i literackie. Te ostatnie rozpadają się na dwa działy, t. j. na rozprawy o rozmaitych dawnych zabytkach piśmiennictwa czeskiego, oraz na oceny najnowszych utworów słowiańskich.

Program *Osvěty* jest znacznie rozleglejszym; obejmuje bowiem oprócz monografij literackich i historycznych, także podróże, krytyki artystyczne, powieści, poezye, a nawet rozprawy z dziedziny prawodawstwa, pedagogii, psychologii i nauk przyrodniczych.

Sposób redagowania obu tych wydawnictw jest nader odmienny; artykuły umieszczane w organie Muzeum, są ściśle naukowe i nieco suche — *Osvěta* przeciwnie, stara się o podawanie swoim czytelnikom pokarmu umysłowego w jak najprzystępniejszej i najponętniejszej formie. Zresztą oba te czasopisma zostają w pewnym związku ze sobą; niektóre zawarte w nich artykuły nawzajem się uzupełniają; *Časopis* nawet powołuje się częstokroć na *Osvětu* i odsyła do niej swoich czytelników po rozmaite szczegóły.

Pragnąc zaznajomić czytelników z treścią obu tych wydawnictw, zaczynamy od scharakteryzowania artykułów, umieszczonych w *Časopisie* z r. 1890. Rozpoczyna go doroczne sprawozdanie ze stanu

Muzeum jakoteż „Macierzy czeskiej“ (*Matice česká*), ściśle z niem złączonej. Pod kierunkiem Muzeum i materyalną jego opieką znajdują się dwie komisye naukowe: przyrodznawcza i archeologiczna, poświęcające się odpowiednim badaniom wyłącznie w granicach ziemi czeskiej; pierwsza z nich, założona przed dwudziestu pięciu laty, dokonała rozmaitych badań przyrodniczych we wszystkich niemal zakątkach Czech.

Dział historyczny pierwszego zeszytu *Časopisu* zawiera dalszy ciąg szkiców z dziejów wielkiej rewolucyi francuskiej, napisanych przez dra Gabler'a, p. t.: *Uterky roku 1789*; zresztą poświęcony jest wyłącznie dziejom czeskiego narodu. Znajdujemy tam między innymi dwie monografie, dotyczące czasów cesarza Karola IV. W jednej z nich, p. t.: *Český hospic v Římě*, p. Franciszek Maresz kreśli dzieje przytuliska, założonego w wiecznem mieście w r. 1378 przez Karola IV., który pragnął w ten sposób dostarczyć schronienia dla czeskich pątników, przybywających do Stolicy św. Zakład powierzony był opiece bogatej czeskiej rodziny Rožmberków i zostawał pod kierunkiem duchownych, wybieranych ku temu przez współczesnych papieży, oraz przez członków tejże rodziny. Trwało to aż do r. 1580, w którym Stanisław, biskup ołomuniecki, wraz z kilkoma magnatami czeskimi, prosił Ojca św. Grzegorza XIII., aby dochody z domu w Rzymie, niegdyś na przytulisko przeznaczonego, przekazał kolegium OO. Jezuitów w Pradze, które kształcąc gorliwych i wzorowych czeskich kapłanów, przyczyniło się najbardziej do powrotu tego państwa na łono Kościoła katolickiego. Po roku 1795 zapomoga ta przestała być wypłacaną kolegium pragskiemu; w roku zaś 1872 papież Pius IX. zamienił przytulisko w Rzymie na kolegium, w którem się odtąd wychowują alumnii z diecezyi pragskiej i ołomunieckiej. Autor, kończąc artykuł, twierdzi, że jak zwaliska starego pogańskiego Rzymu służyły nieraz do budowy nowego, chrześcijańskiego już miasta, tak i dom przeznaczony niegdyś na schronienie dla czeskich pielgrzymów, zmienił swe posłannictwo w duchu miłości chrześcijańskiej, aby się stać zakładem, przynoszącym jeszcze większą, bo duchową korzyść narodowi czeskiemu.

Najokazalej pod względem ilości artykułów przedstawia się dział literacki w ostatnim zeszycie *Časopisu*. Oprócz rozpraw, dotyczących rozmaitych zabytków piśmiennictwa czeskiego z XIV., XV. i XVI. w., składają się nań: listy Jungmanna do jednego z przyjaciół; wyczerpująca charakterystyka działalności literackiej Antoniego Marka, skreślona przez Jana Jakubca, pełna tego uwielbienia, z jakim Czesi wyrażają się o tym pisarzu i o jego mistrzu Józefie Jungmannie, przy-

pisując im wskrzeszenie narodowej literatury; przyczynek do życiorysów dawnych czeskich pisarzy, złożony z luźnych notatek o rozmaitych autorach, napisany nader pobieżnie i niesystematycznie; a wreszcie przegląd literacki, uwzględniający jedynie piśmiennictwo słowiańskie, w którym między innymi mieści się ocena „Dziejów Słowiańszczyzny północno-zachodniej do połowy XIII. wieku“ Bogusławskiego, wyszła zpod pióra prawdziwego przyjaciela Polaków, Edwarda Jelinka.

Pokrewna *Časopisovi* pod względem kierunku i wartości, chociaż — jak to wyżej powiedzieliśmy — o daleko rozleglejszym programie, jest *Oscěta*, redagowana przez Wacława Vlčka, jednego z wybitniejszych czeskich powieściopisarzy, a której roczniki z dwu lat ostatnich mamy przed sobą. Z artykułów poważniejszej treści znajdujemy tam najprzód krótki szkic pochodzenia akademii, stopniowego ich rozpowszechniania się w rozmaitych państwach i obecnego ich stanu. Autorem tej pracy, skreślonej z powodu założenia Akademii czeskiej w Pradze, jest Konstanty Ireczek, członek-protektor pragskiego Muzeum. Akademii Umiejętności w Krakowie poświęca zaledwie kilka słów, stawiając ją narówni z węgierską i chorwacką, którym dość znaczne przyznaje zasługi. Scharakteryzowawszy nader zwięźle działalność wszystkich podobnych ognisk nauki, dziś istniejących, p. Ireczek wyraża swe zdanie o dodatnich i ujemnych stronach akademii w ogólności, twierdząc, że chociaż przez prace swych członków, przez zbiory i wydawnictwa, oraz przez ciągłą wymianę myśli i pojęć z uczonymi całego świata przyczyniają się niemało do postępu ogólnoludzkiej wiedzy — jednak z powodu wadliwej organizacyi nie przynoszą tyle pożytku, ileby go mogły przynieść w odmiennych warunkach. Wadliwość tę upatruje autor głównie w tem, że akademie wybierają na swych członków najczęściej ludzi w wieku podeszłym, nie mogących już z należytą gorliwością i zapalem poświęcać się poważnej pracy; że w wyborze tym przeważa częstokroć nie wyższość umysłowa kandydata, ale umiejętność pozyskania względów stronnictw i klik, tworzących się zawsze w łonie podobnych stowarzyszeń; wreszcie, że wydawnictwa ich rozchodzą się jedynie w szczupłym gronie członków, pozostając dla reszty społeczeństwa niedostępnymi. Przyznaje też zupełną słuszość zdaniu, wygłoszonemu przed laty dwudziestu przez A. Boué, że wobec coraz silniejszej żądzy wiedzy, jaka ogarnia szersze koła ludzkości, podobne ogniska oświaty nie będą się mogły utrzymać w następnym stuleciu bez radykalnych reform w wewnętrznym swym ustroju, któreby im nadały więcej ruchu i życia.

Ponieważ charakterystykę artykułów, umieszczonych w *Osvěcie*, zaczęliśmy od prac, dotyczących instytucyj naukowych, do tej więc kategorii zaliczyć musimy rozprawę Fanty „O zbiorach przemysłowo-historycznych w Muzeum Czeskiem“ (*Sbírky kulturně historické v Českém Museu*), w której autor radzi zakładać we wszystkich większych miastach pomniejsze muzea przemysłowe, któreby zostawały w ścisłym związku z muzeum głównem w kraju. Do tego również działu należą uwagi nieznanego autora „O czeskiej młodzieży w niemieckich szkołach“ (*O české mládeži v německých školách*). Autor wymownie zaznacza ujemny wpływ, jaki wywiera na młodzież wykładanie rozmaitych przedmiotów w obcym dla niej języku. Dalej spotykamy nader zajmujący szkic Zygmunta Wintera o „Szkołach miejskich w Czechach w XV. i XVI. stuleciu“ (*Učení na školách městských v 15. a 16. století*). Opisawszy metodę wykładów, oraz zakres wykładanych wówczas nauk w miejskich szkołach czeskich, autor zaznacza, że głównym środkiem wychowawczym, przyjętym przez ówczesnych pedagogów, były rozmaite kary, któremi szczególnie protestanci i husyci posługiwali się z upodobaniem w swoich zakładach naukowych; twierdzi, że wybitną w tej mierze różnicę przedstawiały szkoły katolickie, a głównie kolegium OO. Jezuitów w Pradze; rodzicielskiej ich opiece w wychowaniu przypisuje autor, że toż kolegium najbardziej ze wszystkich naukowych zakładów było uczęszczanem: w r. 1583 liczyło 400 uczniów, w pięć lat później 500, a w r. 1593 aż 700 uczniów, czem żaden ówczesny zakład naukowy w Czechach pochlubić się nie mógł.

Nader zajmującymi i gruntownie opracowanymi artykułami wypełniony jest dział historyczny *Osvěty*. Znajdujemy w nim obszerną monografię Tużymskiego o „Serbii pod rządami Milana Obrenowicza IV.“ (*Srbsko za Milana Obrenoviča IV.*), w której autor ocenia dość surowo działalność tego władcy i w jaskrawych barwach maluje oplakany z wielu względów stan Serbii za jego panowania; twierdzenie swoje opiera na urzędowych dokumentach i trafnie wybranych źródłach. Cenną również jest praca „Hittowie“ (*Hittite*) dra Pražka, jednego z członków świeżo założonej czeskiej Akademii Umiejętności, w której autor treściwie opowiada dzieje narodu, który na 1700 lat przed Chr. mieszkał na pograniczu Assyrii i Palestyny.

Do pomniejszych prac historycznych należą: *Bismarck a Hohenzollerské císařství*, bezstronna i wyczerpująca ocena działalności żelaznego kanclerza przez Józefa Prochazkę; „Sejmy Karłowickie i Serbskie województwo“ (*Sněmy Karlovické a Srbská Vojvodina*), jaskrawy obraz

stosunków Węgrów z Serbami, zostającymi pod rządem austriackim; „Z dni wrześniowych r. 1848“ (*Ze dnů říjnových roku 1848*), szkice z ówczesnych zaburzeń w monarchii austriackiej, skreślone przez naczelnego świadka A. Helferta, w których autor opiera się na urzędowych dokumentach; wreszcie „Czeskie miasto za królów Jagiellonów“ (*České město za králů Jagellovců*) przez J. Wawra. Ostatni ten artykuł opisuje Berunię (Pilzno) za panowania króla Ludwika, syna Władysława, a wnuka Kazimierza Jagiellończyka, pod względem handlu, przemysłu i zamożności, a przytaczając wiele ciekawych szczegółów, dotyczących się ówczesnych instytucyj i cechów rzemieślniczych, podaje nam rzut oka na stan miast czeskich na początku XVI. stulecia.

Najbogatszym w *Osvěcie* jest dział podróży, do którego zaliczyć należy opisy rozmaitych miejscowości, kreślone na miejscu przez tamtejszych mieszkańców. Znajdujemy tam bardzo ciekawy i obszerny artykuł p. t.: „Podróże Stanleya i badania Afryki“ (*Stanleyovy cesty a výzkumy africké*) przez Fr. Kahlika.

Niemniej interesującym jest artykuł Jerzego Gutha „Od północnego przylądka“ (*Od Severního mysa*), i Konstantego Ireczka „Rzeczpospolita San-Marino“ (*Republika San-Marinská*), które przypominają nieco wytwornością stylu, a niekiedy pełnym humoru dowcipem „Listy z Ameryki“ Sienkiewicza. Bardziej naukowo i poważnie traktowaną jest rozprawa Ottokara Feistmantla „O górach Himalajskich“ (*O pohorí Himalají*); są tam cenne szczegóły, dotyczące pokładów geologicznych, górskich olbrzymów, fauny i flory himalajskiej, a wreszcie sumienny wykaz badaczy, którzy się tym przedmiotem poprzednio zajmowali. Zasługuje też na wzmiankę między innymi artykuł Emanuela Faita „Z Mitrowic do Saloniki“ (*Z Mitrorice na Soluň*), a to dlatego, że podaje wiele ciekawych wiadomości o stosunkach wyznaniowych w Macedonii. Autor opisuje między innymi swe odwiedziny w Skoplii u katolickiego arcybiskupa; z jego ust dowiaduje się, że książę Kościoła zmuszonym jest żyć prawie w nędzy; cały jego dochód wynosi 800 zlr., jakie mu Austria rocznie wypłaca. Państwo to nie możełożyć więcej na arcybiskupstwo w Skoplii, ponieważ podtrzymuje własnymi funduszami chrześcijanizm w Albanii i w Starej Serbii, a nadto wiele łoży na tamtejsze szkoły. Wszystko, co dotąd w Skoplii dla wiary św. działaniem zostało, jest dziełem niezmordowanego i pełnego poświęcenia księdza arcybiskupa; jeżeli zaś owoce jego pracy są jeszcze bardzo skromne, to uwzględnić należy mnóstwo przeszkód i trudności, jakie musi przełamywać. Główną z nich jest propaganda grecka, na którą fanaryoci nie

szczędzą kosztów. Pragnąc pozyskać dla siebie całą Tessalię, wydali w tym celu w przeciągu lat pięćdziesięciu przeszło 500 milionów fr.

Bardzo zajmującą jest wycieczka do Chilendarskiego monasteru (*Z pouti na horu Athonsku*), opisana przez nieznanego podróżnika, ukrywającego się pod pseudonimem Sawy Chilandarca. Monaster na górze Atońskiej pochodzi z VII. wieku po Chr. Tworzy go mnóstwo pustelni, rozsianych po całym półwyspie, z których każda jest otoczona winnicą, ogrodami lub uprawnemi polami. Pustelnie takie, jeżeli posiadają kaplice, zowią się *kelijami* czyli celami, w przeciwnym razie *kolibami*. Osada, złożona z kilkunastu lub kilkudziesięciu pustelni i mająca cerkiewkę czyli *kiryakon*, nazywa się *skitem*. Oprócz skitów na półwyspie Atońskim jest kilka monasterów, posiadających także podobne pustelnie, z których czerpią znaczne dochody; każdy bowiem pustelnik musi opłacać swemu monasterowi pewną kwotę, która niekiedy przewyższa nawet jego zarobek z pola i winnicy. Wszystkie te skity i monastera zostają pod kierunkiem głównego chilendarskiego monasteru czyli *Laury*, której przełożony nosi tytuł *protaty*.

Pustelnicy czyli kelioci rekrutują się głównie z Rosyan i Greków. Keliot rosyjski wie dzieć życie dość odmienne od życia swego greckiego towarzysza. Pustelnie rosyjskie różnią się też znacznie od greckich i odznaczają się nawet pewnym komfortem, którego w keliach greckich daremnieby szukać. Co się tyczy przepisów, obowiązujących mieszkańców Chilandaru, i codziennych ich zajęć, to musieli czyli t. zw. skinnicy trudnią się krawiectwem, rzeźbieniem statuetek, malowaniem cerkiewnych ikonów podług starożytnych greckich wzorów; pustelnicy zaś czyli kelioci uprawiać muszą pola i winnice, hodować pszczoły, topić воск i inne tym podobne wykonywać prace. Każdy keliot ma u siebie nowicyusza czyli posłusznika, który po jego zgonie odziedzicza chatę, a niekiedy spore kwoty pieniężne, aby je przekazać później swemu następcy. Taki tryb życia właściwy jest pustelnikom greckim; Rosyanie bowiem, zamiast pracować w polu lub ogrodzie, wolą pisać petycje, błagające o datki, lub wyjeżdżać na czas pewien do Rosyi dla zbierania jałmużn.

Bardzo starannem i zajmującym traktowaniem przedmiotu odznaczają się krytyki artystyczne pani Renaty Tyrszowej, — o nich jednak powiemy osobno na końcu zeszytu.

Z krytyk literackich, umieszczanych w każdym zeszycie *Osvěty*, wymienić musimy obszerną ocenę najnowszej rosyjskiej poezyi i beletrystyki, napisaną przez Jaromira Hrubego. W artykule tym przebieja

się spora doza uwielbienia, jakie w ostatnich czasach zaczęło się objawiać w Czechach względem rosyjskiej literatury, która się tam staje coraz bardziej modną. — Z piśmiennictwa czeskiego znajdujemy charakterystykę najświeższych utworów dramatycznych, podaną przez Franciszka Zakreja p. t.: „Czeska sztuka dramatyczna“ (*Česká činohra*), oraz parę rozpraw ściśle naukowych o rękopisie krółodworskim i zelenohorskim, przesłanych do *Osvěty* przez oddział literacki pragskiego Muzeum. Oceną najnowszych utworów poetyckich i beletrystycznych czeskiej literatury trudni się stale w *Osvěcie* p. Wykukal, jeden z wybitniejszych krytyków literackich. O piśmiennictwie polskiem w obu rocznikach *Osvěty* nie znaleźliśmy wzmianki. — Zresztą do tego działu artykułów dodać jeszcze można monografię dra Murka p. t.: „Cywilizacya szwedzka i król Oskar II.“ (*Vzdělanost' švédská a král Oskar II.*). Jestto bardzo zajmujący rzut oka na oświatę i literaturę szwedzką, oraz na zasługi, jakie w tej mierze położył obecny tamtejszy monarcha; największą wartość nadają temu artykułowi ciekawe szczegóły z dziejów cywilizacyi Skandynawskiego półwyspu, umieszczone na początku tej nader gruntownej pracy, a zaczerpnięte z dzieł szwedzkich i niemieckich uczonych.

Głównymi przedstawicielami poezyi czeskiej, ogłaszającymi swe utwory w *Osvěcie*, są: Jarosław Vrchlicki i Eliza Krasnohorska. Pierwszy obdarza to czasopismo wielu pięknymi wierszami, z których najwznioślejszy pod względem treści nosi tytuł: „Zjawisko u wrót rajn“ (*Zjevení u rájské brány*). Autor maluje okropną rozpacz Adama i Ewy, którzy, stęsknieni za utraconym rajem, idą do jego wrót, aby wyblagać u stojącego na straży Archaniola pozwolenie powrotu do przybytku szczęścia i rozkoszy. Archanioł odpowiada, że musi być posłusznym rozkazowi Boga; na zapytanie Adama, kiedy się skończą jego cierpienia, ukazuje mu śmierć w postaci kościotrupa, jako jedyny możliwy koniec zesłanej nań kary. — Eliza Krasnohorska ze swej strony obdarzyła *Osvětę* pełnym zapału wierszem: „Stań się światło!“ (*Budiž světlo!*), w którym głosi, iż jednym z największych czynników ludzkiego szczęścia jest światło tak w materyalnym, jak duchowem tego słowa znaczeniu. — Inny wiersz tejże autorki: „Grzech Keplera“ (*Keplerov hřích*), odznacza się niezwykłym wdziękiem formy obok treści poważnej i głębszego znaczenia. Jako przedmiot wybrała walkę, odgrywającą się w duszy uczonego. Jego dobroczyńca, hr. Waldstein, żąda, by mu przepowiedział przyszłość. Kepler nie chce zostać z jednej strony szarlatanem, głoszącym to, czego wiedza ludzka osiągnąć nie może, z drugiej zaś

niema odwagi ściągnąć odmowną odpowiedzią nędzę i nieszczęście na swoją rodzinę. Niestety, ten ostatni wzgląd odnosi zwycięstwo: Kepler goni za Waldsteinem i zgadza się ułożyć dlań horoskop, czując zaś, że przez to stał się niegodnym posiadania tajemnic przyrody, jakie mu Stwórca objawił, pada zemdlony na ziemię. — Gorącą nutą miłości ojczyzny tętni wiersz Krasnohorskiej p. t.: „Czemu mię pytacie?“ (*Snad se ptat'*?), w którym autorka określa powołanie poety, mówiąc, iż powinien być wyrazem wszystkich uczuć, ideałów, cierpień i radości swego narodu. Znana to i niejednokrotnie powtarzana zasada, ale w nową, nader wdzięczną przyobleczone formę i głęboko — jak widać — odczuta przez tę, co ją z niekłamanym wygłasza zapalem.

Do najudatniejszych utworów innych czeskich poetów zaliczyć musimy dwie elegie, Hejduka i Raisa, napisane na śmierć przedwcześnie zgasłego poety, Józefa Jakubca, którego ostatnią pracę, bardzo ładną powieść poetyczną p. t.: „Muzykant“, zaczerpniętą z życia średnich warstw społeczeństwa, znajdujemy także w *Osvěcie*.

Najwybitniejszym utworem beletrystycznym jest „Setnik Halaburd“, powieść redaktora *Osvěty*, Wacława Vlčka. Bohaterem jest człowiek zniesławiony zamłodu w oczach ukochanej kobiety, który stara się następnie życiem, pełnem szlachetnych czynów, zmyć ciążącą na sobie plamę, a wreszcie ocala życie tej, która nim kiedyś wzgardziła. „Setnik Halaburd“ treścią wysoce moralną przypomina nieco powieści angielskie; zajmujące i pełne wdzięku opowiadanie niemałą jest tego utworu zaletą. Tenże autor w „Czarnem jeziorze“ (*Černé jezero*) maluje z wielką prawdą i sporym zasobem dowcipu sfery arystokratyczne i mieszczańskie, oraz ich wzajemny do siebie stosunek. Oprócz tego znajdujemy w tem czasopiśmie udatną powiastkę Alojzego Iráska, znakomitego powieściopisarza czeskiego i jednego z członków Akademii Umiejętności w Pradze; powiastka jego nosi tytuł: „Piotr Kminek“, i jest wyjętą z życia wojaków, powracających po wielu latach tułactwa do rodzinnego ogniska.

Spotykamy jeszcze w *Osvěcie* różne artykuły z dziedziny filozofii, nauk przyrodniczych i archeologii, nawet rozprawy o muzyce i tańcach, co świadczy wymownie, jak starannie obznajamnia redakcyja czytelników swoich z wszechstronnym ruchem umysłowym w każdej gałęzi wiedzy.

Mając przed oczyma treść tak *Časopisu Musea Království českého*, jak i *Osvěty*, przyznają czytelnicy, że oba wydawnictwa wywiązują się ze swego zadania wybornie. *Časopis* opracowuje gruntownie i źródłowo wszystko to, co się dotyczy czeskiej historii i literatury od czasów naj-

dawniejszych aż do dzisiejszej epoki, dostarczając swym czytelnikom doskonałego materiału do poważnych nad nimi studyów; — *Osvěta* ze swej strony popularyzuje najrozmaitsze gałęzie wiedzy, porusza niektóre kwestye, najbardziej na czasie będące, jak np. kwestyę wychowania, a zarazem obudza w swych czytelnikach poczucie piękna w literaturze i sztuce. Najprzyjemniej zaś uderza, że tak *Osvěta*, jak i *Časopis*, odznaczają się głębokiem przywiązaniem do wiary św. i katolickiego Kościoła. Dzięki też swemu religijno-naukowemu kierunkowi, oba te wydawnictwa, świadcząc o ożywionym ruchu umysłowym w Czechach, tworzą wraz z *Athenacum* i *Zlatą Prahu* szereg najpożyteczniejszych i najstarszej redagowanych organów prasy czeskiej.

Tytus Sopotzko.

O czasopismach w Bułgarii.

Zajęci całkiem polityką wielkiego świata i ruchem naukowym Zachodu, nie zwracamy prawie uwagi na mrówczą pracę młodych, niedawno rozbudzonych społeczeństw, których zabiegi i wysiłki mogą być wprawdzie prymitywne i młodzieńcze, ale pomimo to są wielce ciekawe i interesujące, a o ile się odnoszą do rozlicznych szczepów słowiańskich, są nam bliższe i żywiej nas zajmować powinny.

W Bułgarii, jak na dzisiejsze jej stosunki, panuje ruch literacki bardzo już ożywiony — zwłaszcza na polu piśmiennictwa peryodycznego. Za chwilę rozbudzenia się tego ruchu należy uważać r. 1857, w którym w Carogrodzie utworzyło się literackie Towarzystwo pod nazwą „Bułgarskiej Czytelni“, które założyło osobny swój organ, znany początkowo pod nazwą: *Bułgarski Knižnicy*. Silniejszy jednak prąd intelektualny wśród bułgarskiego narodu swobodniej zaczął się rozwijać dopiero od chwili odzyskania niepodległości; wówczas bowiem utworzyło się ministerjum oświaty, które zaczęło wydawać nader cenny *Sbornik za narodni umotworenija, nauka i knižnina*. Towarzystwo literackie przeniosło się wtedy do Sofii i zamieniło swe *Knižnicy* na *Periodicesko Spisanie*; prócz tego zaczęły stopniowo pojawiać się rozmaite polityczne dzienniki i pisma peryodyczne.

Charakterystyczną cechą dzisiejszego ruchu dziennikarskiego w Bułgarii stanowi to, iż zamiast się skupiać w stolicy państwa — jak to najczęściej się dzieje — rozstrzelil się on po różnych punktach kraju, jak Filipopolu, Tyrnowie, Warnie i t. d., gdzie oprócz dzienników politycznych, wychodzą też rozmaite naukowe lub popularne czasopisma.

Wśród dzienników, pierwszorzędne stanowisko zajmuje *Swoboda*, wychodząca w Sofii trzy razy w tygodniu. Gazeta ta cieszy się wielką poczytnością; do współpracowników jej należą najwybitniejsze dziennikarskie siły. Oprócz sprawozdań, rozporządzeń rządowych i wiadomości politycznych, zamieszcza ona niekiedy nader ciekawe artykuły w swym fejtynie, jak np. wyciągi z ksiąg tureckich, znajdujących się w bibliotece Pazwantogłowackiej, a dotyczących cara Szyszmana.

Najgorętszą miłością ojczyzny, żądzą jej sławy i szczęścia, tehną dwa bułgarskie tygodniki: *Rodolubec* („Miłośnik ojczyzny“) i *B'lgarija ne spi*. redagowane przez dwóch wybitnych patryotów, Jowczewa i Stoicowa.

Oprócz tych pism wychodzą w Sofii następujące gazety: *Narodni Prawa*, wydawane od lat dwóch przez Jerzego Rajewa, *Makedonija*, popierająca pretensye Bułgarów do tego kraju i opisująca stosunki bułgarskiej ludności, tam zamieszkałej. W fejtynie tego pisma mieści się jedna z najpiękniejszych powieści bułgarskich, skreślona przez Moskowa i malująca jaskrawemi barwami czasy tureckiej niewoli. Nosi ona tytuł: *Bezzaszczytნი-tie žrtwi* („Bezbronne ofiary“). Nadto wychodzą w Sofii trzy jeszcze pisma: *Sofijski Obszczynski Wiestnik*, *Sofija. Wardar* (dawniej *Struma*), gazeta polityczno-handlowa i pisemko satyryczno-polityczne p. t.: *Dwie i dwie pet* („Dwa a dwa pięć“).

Z gazet, wychodzących na prowincyi, zasługują przedewszystkiem na uwagę: *Warnenski Obszczynski Wiestnik* („Warneński społeczny Gonic“), który umieszcza nader ciekawe monografie, dotyczące historycznej przeszłości tego tak pamiętnego w dziejach Polski grodu. Z monografij tych najciekawszą i najbardziej wyczerpująco opracowaną jest *Istoriczeski pametnicy w Warna*, w której znajdują się rozmaite napisy tureckie, znalezione na bramach Warny, wymienające sułtana Mahmuda II., oraz poetę Ajni.

Nader starannie redagowanym jest także *Prawdolub*, wydawany przez Pinczewa w Lowczy, w którego zeszytach znajdujemy wcale gruntownie opracowane życiorysy Buckle'a Szekspira, barona Korffa, Stefana Stambułowa i Zacharyasza Stojanowa, a nadto ciekawy opis pamiętek historycznych w Tyrnowie.

Do szeregu gazet prowincjonalnych zaliczyć trzeba: *Russeńskiego Kuryera* i *Stowianina*, wychodzących w Russie, oraz *Rodopi* i *Płowdiw*, wydawane w Filipopolu. Treść tej ostatniej gazety stanowią głównie przekłady z obcych pisarzy, a przedewszystkiem Maupassanta i Kapuana. Wreszcie wymienić tu wypada kilka pisemek mniejszych rozmiarów, liczących mniej niż inne czytelników, jak np.: *Swobodno Słowo*,

wydawane w Nikopolu przez Petrowa; *Rosicę*, wychodzącą w Sewlije-wie, *Narodną Siłę* w Plewnie i *Szumenski Okružen Wiestnik*.

Z wyjątkiem *Swobody*, wychodzącej trzy razy w tygodniu, wszystkie te pisma polityczne są tygodnikami lub dwutygodnikami.

Na czele wydawnictw poważnych, odzwierciedlających współczesny stan oświaty w Bułgarii, stoi wymieniony już powyżej *Sbornik za narodni umotworenija, nauka i knižnina*, wydawany raz do roku przez ministerium oświaty. Jak obszernym jest zakres tego rocznika, poznać można choćby z tytułów prac, zawartych w przedostatnim tomie. Przytaczamy ważniejsze: „Znaczenie i zadanie naszej etnografii“ przez Szyszmanowa; „Przegląd numizmatyki bułgarskiej“ przez Ilijewa; „Materiał do studyów nad narzeczem rodopskim“ przez Konstantinowa; „Rzut oka na różnorodne warianty pieśni braci Miładinowiczów“ przez Karanowa; „Flora południowej Bułgarii (Tracyi)“ przez Georgiewa; „Spostrzeżenia meteorologiczne w Sofii“ przez Boczewarowa; „Kronika naukowa“ przez Wacowa i dra Rajkowa; „Pod jarzmem“, powieść przez Wazowa i t. d.

Pokrewnem *Sbornikowi* pod względem treści jest *Periodiczesko Spisanie*, wydawane — jakśmy to już wyżej powiedzieli — przez bułgarskie Towarzystwo literackie. Umieszcza ono w swych łamach starannie opracowane monografie historyczne, etnograficzne, lingwistyczne, archeologiczne, przyrodnicze, podróże, krytyki i oceny literackie, pieśni i podania ludowe, niekiedy zaś dla urozmaicenia, nowelki lub poezye. Jeżeli za zasługę tego pisma poczytać należy jego kierunek wysoce pa-tryotyczny, zamiłowanie w badaniu i kreśleniu rzeczy swojskich, to z drugiej strony osłabia jego powagę i razi w niem niemile sekciarska zawziętość i to zjadliwe szyderstwo, z jakim się wyraża o wszystkim, co katolickie.

W Tyrnowie wychodzi od trzech lat *Nauczno Spisanie*. W wydanych przed rokiem zeszytach tego miesięcznika mieszczą się: „Historia bułgarska“, skreślona przez Ireczka, a przełożona przez redaktora, Zacharyasza Bojadżijewa; „Antropologia fizyczna czyli Anatomia, fizjologia i higiena“, ułożona podług Gerasimowa, Wolfsona i innych; wreszcie praca Emila de Lavelaye p. t.: „Półwysep Bałkański, Bułgaria, Rumelia i Turcja“ i t. d.

Pośrednie stanowisko między czasopismami ściśle naukowymi i popularnymi zajmuje *Napred*, tygodnik wychodzący od lat czterech w Filipopolu, pod redakcją Kurdżijewa. Treść jego stanowią rozprawy filozoficzne, społeczne, przyrodnicze, oraz monografie historyczne i lite-

rackie. Między innymi widzimy tam ciekawy szkic z rewolucyi francuskiej nieznanego autora, „Przeistoczenie ustroju w ekonomicznym organizmie“ (przekład z Proudhona), i rubrykę „Z nauki i życia“, wypełnianą stale przekładami z Kamila Flammariona. W dziale literatury pięknej, reprezentowanym wyłącznie przez utwory poetyckie, mieści się przekład „Ody do młodości“ i „Na Nowy Rok“ Mickiewicza, oraz „Legendy“ perskiego poety Hafiza.

Dość okazałe przedstawia się szereg pism peryodycznych, zapelnianych utworami lżejszej treści lub popularnemi naukowemi pracami. Należą do nich następujące:

Wenec, miesięcznik istniejący od lat czterech w Widyniu, traktujący w sposób popularny rozmaite kwestye społeczne, ekonomiczne i naukowe.

Iskra, miesięcznik naukowo-literacki, wydawany przez Jordanowa w Szumli. Treść jej stanowią artykuły, dotyczące starożytności bułgarskich, rozmaitych narzeczy spokrewnionych z bułgarskim językiem, zwyczajów, podań i pieśni ludowych wraz z tekstem, oraz przekłady cudzoziemskich powieściopisarzy i poetów. Do tych ostatnich najwięcej dostarcza materyłu literatura francuska i rosyjska (Wiktor Hugo, Guy de Maupassant, Turgeniew, Tolstoj i t. d.).

Zarja, miesięcznik powstały w Sofii w roku 1889, którego dążnością, podobnie jak warszawskiego *Życia*, jest zaznajomienie czytelników z najcenniejszymi utworami piśmiennictwa europejskiego. Zawiera on między innymi przekłady z Bajrona, Goethego, Boccaccia i t. p.

Dennica, miesięcznik poświęcony głównie krytykom literackim, podróżom i beletryście. Z artykułów, umieszczonych w ostatnich zeszytach, zasługują na uwagę następujące: „Listy z Rzymu“, przez Weliczkowa; *Złotna-ta planina*, powieść Jana Wazowa, jednego z utalentowanych bułgarskich pisarzy; oraz „Jamiol“ i „Bartek zwycięzca“ Sienkiewicza, przełożone przez Ch. Kesiakowa.

Nadto w Sofii wychodzi pisemko popularno-naukowe *Duma* i beletrystyczne *Zimni noszczi*, w Tyrnowie zaś *Trud*, wydawany od lat dwóch przez braci Dżamdżyjewych.

Wymienić tu jeszcze musimy kilka najnowszych wydawnictw, powstałych w główniejszych miastach Bułgaryi. Na czele ich stoi *Biblioteka sw. Kliment*, stanowiąca rodzaj Macierzy bułgarskiej, poświęcona poezyi i beletryście, a wydawana przez stowarzyszenie tegoż imienia. To ostatnie postawiło sobie za zadanie „szerzyć w społeczeństwie bułgarskiem zamiłowanie do piśmiennictwa, oraz zaszczepiać w niem este-

tyczne poczucie". — Do pism lżejszej treści należą także: *Knizici za proczit*, wydawane w tym samym kierunku w Salonice; *Biblioteka za dietca*, przeznaczona dla dzieci i młodzieży, a wychodząca w Filipopolu; wreszcie *Narodna Biblioteka*, założona w Jampolu przez Iwanowa i Palamidowa, która współzawodniczyła z miesięcznikiem, wydawanym w Sofii pod tym samym tytułem przez Atanasowa, — po wyjściu jednak jedenastu zeszytów, obejmujących życiorysy: Joanny d'Arc, Molièra, Wiktora Hugo, Waszyngtona, Lermontowa i Garibaldiiego, *Biblioteka* jampolska została zwiniętą dla braku prenumeratorów.

Temuż samemu losowi uległ przed rokiem *Medicinski pregled*, po dwóch latach istnienia, i *La Mond-Lingristo*, organ zwolenników języka dra Esperanto, wydawany po bułgarsku i we wszechświatowym języku Esperanto, który po wyjściu jednego zeszytu zakończył krótką swą egzystencję.

Zaznajomiwszy czytelników z peryodyczną prasą bułgarską, przechodzimy do czasopism specjalnych, których w Bułgarii wychodzi obecnie ośm.

Kwestyom pedagogicznym poświęca się przedewszystkiem *Literaturno-nauczno spisanie*, organ Stowarzyszenia nauczycielskiego w Kazanlyku, wydawane w Filipopolu przez dra Krestewa. W tym samym zakresie wychodzi w Widyniu dwutygodnik p. t.: *Wiestnik na uczytelsko-to družestvo*, redagowany przez Popowa.

Organem przemysłowców jest *Promiszlennost'*, wydawana w Swieszczewie przez stowarzyszenie tegoż imienia, a poświęcona naukom technicznym i ekonomicznym; organem zaś wojskowych jest *Wojenen Żurnał*, zajmujący się wyłącznie sztuką wojenną i rozmaitemi jej ulepszeniami.

Rozmaitemi gałęziami umiejętności prawnych zajmują się *Juridycziesko spisanie*, i *Prewodna sudebna biblioteka*; do tego rodzaju czasopism zaliczyć jeszcze można miesięcznik wydawany przez Beczwarowa p. t.: *Domaszen uczytel*, który zakreśliwszy sobie nader obszerny program, obejmujący poezję, archeologię, geografję, literaturę, poświęca najwięcej miejsca artykułom treści prawniczej.

Pokrewnym tym pismom pod względem kierunku jest *Souremenik*, wydawany w Razgradzie przez Swiraczewa, jednego z wybitniejszych ekonomistów bułgarskich. Treść tego dwutygodnika stanowią zagadnienia społeczne i ekonomiczne, najbardziej będące na czasie.

Stenografowie bułgarscy mają także swój organ: *Stenograficzieski*

Wiestnik, wychodzący w Sofii, a poświęcony wyłącznie wynalazkom i ulepszeniom, dokonywanym w tej gałęzi umiejętności.

Wreszcie wymienić tu musimy miesięcznik, wydawany w Szumli p. t.: *Narodna Muzika*, obdarzający swoich prenumeratorów najnowszymi utworami muzycznymi i wokalnymi.

Duchowieństwo prawosławne w Bułgarii wydaje tygodnik: *Selanin*, którego celem jest — jak się wyraża — „przyjazne ostrzeżenie rodaków przed protestancką propagandą, oraz zabezpieczenie ich przed jej wpływami“. Że pismo to niechętnie usposobionem jest dla katolicyzmu, łatwo zrozumieć. Charakterystyczną pod tym względem jest rozprawa, umieszczona w feletonie przez archimandrytę Zenobiusza Petrowa p. t.: „O nauce rzymsko-katolickiego Kościoła i jego odstępstwie (*sic!*) od prawosławia“.

Wspomnieć tu jeszcze wypada o dwóch wydawnictwach bułgarskich amerykańskiego ewangelickiego Towarzystwa. Jednem z nich jest: *Domaszen Prijatel*; wychodzi w Samokowie, mając za program szumne słowa: „nauka, przemysł, dom, szkoła i wiara“. Polemika religijna ma tam oczywiście szerokie pole do popisu. Drugiem czasopismem protestanckiem, wydawanem „dla pożytku duchowego“ Bułgarów, jest *Zornica*, istniejąca już od lat czterestu w Konstantynopolu, a redagowana przez Tomsona. Pismo to, nie zadawalniając się oświecaniem dorosłych i pragnąc zyskać jak najwięcej zwolenników dla swojej sekty wśród młodego pokolenia, posiada także dodatek, przeznaczony dla dzieci i młodzieży. Niezwykle przystępna cena, wynosząca zaledwie siedm lew (7 franków), przyczynia się niemało do rozpowszechniania tego organu protestanckiej propagandy.

Z przytoczonych powyżej czasopism, których ilość dochodzi do poważnej cyfry pięćdziesięciu i które po większej części w ostatnich powstały latach, wnioskować możemy, iż oświeczone warstwy bułgarskiego społeczeństwa chwytają chciwie wszelki umysłowy pokarm. Nie ulega wątpliwości, iż większa część tych pism peryodycznych pozostawia wiele do życzenia; nie posiadając bowiem wystarczającej ilości rodzimego materiału, zapożyczają się one ciągle u obcych, nie zawsze trafny robiąc w tem wybór. Zgubne prądy moralne i zgubne doktryny Zachodu płyną do Bułgarii swobodnie i szerokim korytem. Przypuścić jednak należy, iż młode jeszcze i nierozwinięte bułgarskie społeczeństwo pracuje wiele i gorliwie nad sobą, dając przez to rękojmię, że po wielu usiłowaniach wejdzie na właściwą drogę, wiodącą do prawdziwej cywilizacji. Pożądanem jest tylko, żeby prasa katolicka wystąpiła w Buł-

garyi jawnie i energicznie do walki z propagandą protestancką, oraz z modnemi liberalnemi ideami, przenikającemi do Bułgarii zapomocą postępowych organów, przeciwstawiając zdrowe i jasne poglądy błędnym teoryom, szerzonym i zaszczipianym starannie, zwłaszcza przez czasopisma ewangelickich stowarzyszeń.

Pism, redagowanych w duchu ściśle katolickim, Bułgaria dotąd prawie nie posiada. Wymienić tylko możemy sprawozdania, wydawane corocznie przez OO. Zmartwychwstańców w Adrianopolu, i dotyczące utrzymywanego przez nich naukowego zakładu (*B'lgaro-katoliczesko uczebno zawedenie na Otcī-tje ot Obszczestwo-to Wskresenie-to na G. N. Iisusa Christa*). Nadto OO. Zmartwychwstańcy wydają w języku bułgarskim rozmaite książeczki treści religijnej.

Tytus Sopodźko.



SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

List biskupów austriackich w sprawie wyborów. — Gorszenie się *Nowej Reformy*. — Zapowiedź nowego kulturkampfu w Niemczech. — Objawy przewrotu społecznego we Włoszech. — Katolicy wobec Republiki francuskiej. — Trzechsetletnia rocznica śmierci św. Alojzego.

LIST BISKUPÓW
AUSTRIACKICH
W SPRAWIE
WYBORÓW.

O polityce austriackiej rzadko piszemy w *Przeglądzie*, zostawiając to prasie codziennej. Wobec świeżych jednak wypadków tać nie możemy, że jest obawa, aby się nie spotęgował wpływ lewicy ze szkodą Kościoła i krajów katolickich. Za to pociesza nas w tej chwili bardzo doniosły fakt zbiorowego i śmiałego wystąpienia biskupów austriackich w sprawie wyborów do Rady państwa.

Kościół uchyla się chętnie od polityki, o ile ona jest czystą polityką, t. j. o ile wyłącznie w sferze interesów doczesnych się obraca; ale taka polityka jest dzisiaj niemal abstrakcyjną. Dziś parlamenta prawie wszystkich państw o niczem innem nie rozprawiają, jak o kwestiach najżywiej obchodzących Kościół i interesa duchowne ludów. Szkolnictwo, jurydykcyja kościelna i t. p. kwestye są na porządku dziennym. Wobec tego Kościół, a raczej zwierzchnicy i synowie Kościoła, jako katolicy, nie mają prawa zostawać na uboczu. W Austrii w tej chwili właśnie wiele takich żywotnych spraw wchodzi w politykę i dlatego Episkopat daje

wielki przykład nam i całemu światu, zabierając głos w sprawie wyborów, stawiając katolikom przed oczy zasady, których trzymać się mają, i obowiązki, jakie pełnić powinni.

Oświadczają biskupi, „że pod niejednym względem ustawodawstwo państwowe przybrało kierunek, przeciwny prawom katolickiego Kościoła“. Najsilniejszy nacisk kładą w swym liście na potrzebę domagania się szkół wyznaniowych. „Religia św. nie jest podstawą i kierowniczą regułą naszej teraźniejszej szkoły ludowej, lecz jest jednym z wielu przedmiotów nauki... Inne przedmioty naukowe są zupełnie zpod wpływu religii wyzwolone, a częstokroć tak bywają wykładane, że przeciw religii i katolickiemu wychowaniu wrogo występują. Nadzór nad szkolnictwem i wpływ Kościołowi odjęty; nie bez przeszkód i trudności może on w wielu krajach wykonywać ten nadzór nad nauką religii i ćwiczeniami religijnymi; — na wykształcenie i nadawanie posad nauczycielom, na ich działalność i postępowanie niema Kościół żadnego wpływu; nie możemy przeto dać wam zupełnej rękojmi, że dzieci wasze w szkołach naszych po katolicku będą wychowywane, i że pod tym względem wobec Boga i sumienia spokojnymi być możecie“.

Braki te dopiero wtedy mogą być usunięte, jeżeli reprezentanci narodu upominać się będą o to u rządu. Ztąd obowiązkiem jest każdego wybierać na posłów tylko takich mężów, którzy Kościół szczerze kochają i zadanie jego dobrze rozumieją.

GORSZENIE SIĘ
«NOWEJ RE-
FORMY».

Potężny głos wszystkich biskupów austriackich silnem echem rozbrzmiał z ambon wszystkich kościołów parafialnych. To też dzienniki z przeciwnego katolikom obozu uznały za stosowne nie wprost wystąpić z otwartą przybłąką do walki, ale tylko podjazdowo osłabić wrażenie, jakie list mógł wyrzucić na naszym katolickim społeczeństwie — więc poddały go krytyce — sofistycznej.

Naturalnie nasza *Nowa Reforma* musiała zająć prym w tej kategorii piśmideł; więc gorszy się, iż biskupi demoralizują lud swym listem, i „w interesie oświaty i umoralnienia ludu“ radzi Episkopatowi opuścić w tym liście zdanie, że „nie może ręczyć

za religijne wychowanie w szkole ani uspokoić wiernych pod tym względem, czy posyłając dzieci do szkoły, wykonują obowiązki swoje wobec Boga i sumienia“.

Cóż za fatalne położenie proboszczów, — powiada *Nowa Reforma* — którzy dzieci ściągają do tej szkoły, a teraz z ambon przeczytać mają tejsze szkoły naganę! Zresztą — dodaje — religii uczą księży, jeżeli więc pod tym względem swemu zadaniu zadość nie uczynią, to ich вина.

Jużeśmy nieraz w *Przeglądzie* na podobne zarzuty odpowiadali *Nowej Reformie*, że nie rozumie wcale, o co chodzi katolikom w kwestyi szkolnej. Widać, że *N. Reforma* ma krótką pamięć. Otóż szkoły ludowe w całej Austrii są w zasadzie legalnie bezwyznaniowe. U nas tę zasadę w praktyce łagodzą miejscowe okoliczności i dobra wola wielu ludzi, szkolnictwem się trudniących, i dlatego u nas faktycznie szkoła ludowa jest pod względem religijnym niezła i duszpasterz może do niej dzieci prowadzić. Ale ta zasada jest sama w sobie zła, idei katolicyzmu przeciwna, w wielu dzielnicach Austrii faktycznie już najzgubniejsze skutki sprowadza i u nas przy zmianie władz także skutki sprowadzić może, więc wszyscy katolicy, nie wyjąwszy Polaków, powinni tę zasadę potępiać, ustawę szkolną, na niej opartą, starać się poprawić i obstawać za katolicką zasadą, że szkoła ludowa powinna być wyznaniową.

ZAPOWIEDZ
NO-
WEGO KULTUR-
KAMPFU
W NIEMCZECH.

Ta sama kwestya szkół wyznaniowych i rewindykacya w niej praw Kościoła podjęta została — jakieśmy to już dawniej na tem miejscu mówili — w parlamencie niemieckim. Jak przewidywaliśmy, poprawki, zrobione przez Windhorsta do noweli szkolnej p. Gosslera, odrzuconemi zostały. Przywódca centrum uzasadniał swoje wnioski i zwracał uwagę na to, że jego wymagania są nadzwyczaj skromne, ponieważ ograniczają się wyłącznie do nauki religii. Dało to sposobność ministrowi kultu do oświadczenia, jakie stanowisko rząd zajmuje wobec nauki religii. Rząd nie może przyjąć wniosku Windhorsta, ponieważ tenże opiera się na zasadzie, że udzielanie nauki religii w szkole ludowej jest rzeczą stowarzyszeń reli-

gijnych; rząd królewski przeczy temu stanowczo; stoi on na tem stanowisku, że wyłącznie państwo ma prawo do udzielania całej nauki, a więc także i nauki religii w szkole ludowej. Ci duchowni, którym rząd pozwala udzielać nauki religii w szkole ludowej, są tylko organami, działającymi z polecenia władzy państwowej.

Przeciwko takim wywodom p. ministra wystąpił stary szermierz na polu szkolnictwa, deputowany Rintel. Udowodnił, że jestto niewątpliwym dogmatem dla Kościoła katolickiego, iż Kościół, względnie jego organa, a w najwyższej instancji papież sam, mają kościelny urząd nauczycielski, i to wyłącznie, tak że nikt bez tego upoważnienia nie może udzielać nauki religii. Państwo do tej nauki upoważniać nie może, mianowicie państwo pod względem religijnym obojętne. Bez tego dogmatu nie byłoby można utrzymać jedności i czystości nauki, która przecież jest główną podwaliną rzymsko-katolickiego Kościoła. Temu dogmatowi sprzeciwia się dyametralnie zasada, postawiona przez ministra kultu. Powiedziano wprawdzie swego czasu, kiedy uchwalono pierwsze ustawy majowe, że państwo nie może tej zasady opuścić chociażby wbrew dogmatom, ale trudno przyjąć, żeby dzisiaj, gdzie zachowawcze siły winny się nawzajem wspomagać, aby złamać szeregi nieprzyjaciół porządku państwowego, społecznego i chrześcijaństwa — żeby w takiej chwili mogło państwo mieć zamiar wykonać praktycznie taką zasadę i w ten sposób godzić w podwaliny rzymsko-katolickiego Kościoła.

Przy głosowaniu nad odnośnym wnioskiem Windhorsta większość oświadczyła się przeciwko niemu. W komisji więc skreślono w ten sposób w zasadzie prawo stowarzyszeń religijnych do samodzielnego udzielania nauki religii i rozwinięto sztandar omnipotencji państwowej i na tem polu.

Nowy kulturkampf może się stać daleko niebezpieczniejszym, aniżeli ten, który w r. 1872 zainaugurowała ustawa o inspekcji szkolnej. W każdym razie katolicy nie dadzą się ulagodzić ustawą o funduszach obocznych, która najprawdopodobniej przejdzie większością głosów, i nie zabraknie im cierpliwości ni odwagi, by swoich świętych praw mężnie bronić. Zresztą w tych zwa-

szeza ostatnich miesiącach aż nadto mieliśmy dowodów, że wpływowe i wysokie urzędy niekoniecznie towarzyszą ludziom aż do śmierci. W Niemczech sprawdza się to na porządku dziennym, obecnie i we Włoszech to samo się dzieje, co u ich sprzymierzeńca z północy.

OBJAWY PRZE-
WROTU SPOŁE-
CZNEGO
WE WŁOSZACH.

Podobnie jak Bismarek w Niemczech, tak jego przyjaciel, p. Crispi, we Włoszech utracił kredyt kompletnie. Jeden i drugi stanął w opozycji do swego rządu.

W innych warunkach stosunek rządu do Kościoła mógłby się w takich okolicznościach poprawić, a we Włoszech przynajmniej stać się mniej wrogiem. Tymczasem skład ministerstwa margr. Rudiniego nie daje pod tym względem żadnej nadziei. Przewrót społeczny we Włoszech musi dojść do ostatecznych granic, zanim era szczęśliwsza zawita do biednego narodu. Zdaje się, że ta chwila szybkim krokiem się zbliża, a jej dowodem ostatni projekt rządowy, ogłoszony w półurzędowym dzienniku *Fanfulla* w dniu 22 stycznia b. r. Z niego dowiadujemy się, że rząd włoski przedstawi senatowi do zatwierdzenia nowy zaiste i nieznany dotąd projekt prawa do zakładania przytułków dla tego rodzaju waryatów, którzy się dopuścili zbrodni (*manicomi criminali*). Z pozoru zdaje się to rzeczą bardzo niewinną, tymczasem projekt ów jest owocem szkoły, a raczej zadośćuczynieniem wymaganiom pewnej szkoły antropologii kryminalnej, która, jak wiadomo, przed kilkunastu laty utworzyła się we Włoszech i dąży do zupełnej zmiany pojęć cywilizacji chrześcijańskiej odnośnie do zbrodni i kary. Założyciele i koryfeusze tej szkoły: Terri, Colajanni, Gerofalo, a przede wszystkim Lambroso, profesor uniwersytetu turyńskiego, przez swoje dzieło *l'uomo delinquente* — stali się apostołami nowej doktryny. Według nich, zbrodnia nie jest niczem innem, jak objawem obłądu. Nie powinna więc być uważana jako owoc moralnego zepsucia, lecz jako konieczne następstwo upośledzenia fizycznego. Złodziej albo morderca, według nich, nie jest winnym zbrodni, gdyż ona jest skutkiem choroby, nabytej lub odziedziczonej. Można się spodziewać, że prawo to łatwo przejdzie przez senat, w którym niema katolików — ludzi

kierujących się zasadami chrześcijańskiej moralności; a gdy raz tego rodzaju „szpitale“ staną kosztem państwa, nie ulega wątpliwości, że się wkrótce zapełnią. Coraz większe zdziczenie obyczajów wskutek prześladowania Kościoła i nowych teoryj, głoszonych z katedr w uniwersytetach zarówno, jak w ateistycznych szkołach ludowych, mnożyć będzie coraz więcej liczbę zbrodniarzy, którzy jedni zasługują u dzisiejszego rządu włoskiego na szczególniejsze względy.

KATOLICY WOBEC
REPUBLIKI
FRANCUSKIEJ.

Odpowiedź Kardynała sekretarza stanu na zapytania biskupów francuskich co do stanowiska, jakie zajął kardynał Lavigerie względem Republiki francuskiej — o czem w swoim czasie na tem miejscu wspominaliśmy — jak było do przewidzenia, nie uspokoiła jeszcze opinii publicznej we Francyi. W porozumieniu się wzajemnem katolików wielką jest przeszkodą bezustanne występowanie dzisiejszych deputowanych i ministrów przeciw Kościołowi i jego instytucjom. Nie więc dziwnego, że obok wielkiej partyi katolickiej, która poszła za hasłem kardynała Lavigerie, utworzyła się druga po stronie znakomitego biskupa Freppa, która uważa zwrot ku republice za niekorzystny dla Kościoła katolickiego. Dziennikarska polemika, odezwy stronnictw, poselstwa pojedynczych partyj do Watykanu, ażeby przyciągnąć na swoją stronę Stolicę św. — są na porządku dziennym. Jeżeli więc kiedy, to dzisiaj wśród tak silnego kotłowania należy być bardzo ostrożnym w przyjmowaniu dziennikarskich wiadomości, dotyczących się stanowiska katolików we Francyi. Przestrzegamy dlatego naszych czytelników, iż nie brak nawet w najpoważniejszych ządinach dziennikach takich korespondencyj i artykułów sensacyjnych, a napisanych z tendencją, które mogą niejednego zaniepokoić o los katolicyzmu we Francyi. Tak źle nie jest — i chociażby jakaś niedobra ręka zgóry wprowadzała ferment między katolików, aby do porozumienia nie przyszło, — katolicy dzisiejszej Francyi wiele jeszcze posiadają siły duchowej; nie brak im roztropności, aby się zoryentować w trudnem położeniu i złączyć w silną partję katolicką, która ostatecznie zwyciężyć musi.

300-LECIE RO-
CZNICA ŚMIERCI
ŚW. ALOJZEGO.

Wśród smutnych wiadomości, jakie wypada nam prawie co miesiąc podawać z Włoch, z podwójną radością zapisujemy każdy szczegół, objawiający tamże życie katolickie. Do takich należy ruch obecny między młodzieżą włoską przy zbliżającej się trzechsetletniej rocznicy śmierci św. Alojzego Gonzagi. Już w zeszłym roku przewodniczący koła katolickiej młodzieży włoskiej, którego centrum jest w Rzymie, wydał odezwę do młodzieży całego świata, zapraszając na wspólną pielgrzymkę do grobu św. Patrona młodzieży, znajdującego się w kościele św. Ignacego w Rzymie. Pielgrzymka ma się odbyć we wrześniu b. r. Myśl, szczęśliwie podjęta, znalazła poparcie w najwyższych sferach hierarchii kościelnej. Tak we Włoszech jak i w innych państwach katolickich, ruch ten jeszcze się bardziej ożywił, gdy Ojciec św. Leon XIII. wydał *Breve* w dniu 1 stycznia b. r. do wszystkich wiernych całego świata, zachęcając do udziału w uroczystościach, jakie w trzechsetletnią rocznicę śmierci Świętego odbywać się będą po całym katolickim świecie. Idąc za przykładem swoich poprzedników, dzisiejszy Namiestnik Chrystusa wskazuje znowu wzór dla młodzieży, z którego przykład brać mogą wszyscy: tak ci, co żyją wśród rodzinnego ogniska, jak ci, co uczęszczają do szkół publicznych, lub Bogu poświęcony wiodą żywot w murach klasztornych.

Z listów, jakieśmy otrzymali z południowej Austrii, dowiadujemy się, że ku czci św. Patrona młodzieży czynią się wielkie przygotowania między młodzieżą. Szczególnie w zakładach naukowych ruch jest wielki w tym względzie, a młodzież nie tylko pragnie brać udział w uroczystościach miejscowych, lecz nadto sporządza albumy z podpisami, w dowód oddania się opiece Świętego, które mają być na Jego grobie złożone i wybiera deputacje, które wiaść mają udział we wspólnej pielgrzymce katolickiej młodzieży do Rzymu. Polacy, jak słusznie spodziewać się należy, w ogólnych hołdach, oddawanych świętemu Patronowi, nie pozostaną na uboczu. To też z radością dowiadujemy się, że w sferach, do których to należy, dano już inicjatywę do urządzenia pewnych uroczystości przed dniem 21 czerwca.

Ks. Marcin Czermiński.

Irlandya w r. 1891.

LIST I.¹

Powtarza się u nas, w kraju, co było prawdą o Irlandyi przed równouprawnieniem katolików, przed kasatą anglikanizmu na Wyspie Świętych, wreszcie przed nie tak dawną a gruntowną reformą stosunków agrarnych. Mówi się u nas — jak gdyby nie wiedziano o datach lat 1829, 1867 i 1882 — mówi się stereotypowo o „brutalnej Anglii“, o „gwałtach rządu“, spełnianych na patryotach i t. p.

Narody uciskane odczuwają całkiem naturalnie krzywdę i ucisk, dolegające innym ludom. Irlandya, więcej może niż którykolwiek kraj inny, miała w nas najgorętszych przyjaciół zawsze, współczujących niedolę jej najgłębiej. Jest w tej sympatii wielka doza nieznajomości dziejów irlandzkich — jest mnóstwo fałszywych wyobrażeń o całej przeszłości przed-Kromwellowskiej; lecz jest zarazem wiadomość wystar-

¹ Raz ostatni pisałem na tem miejscu o kwestyi irlandzkiej przed czterema laty, w trzy miesiące po złożeniu przez p. Gladstone'a projektu samorządu, na stole izby gmin. Był to, niestety, również ostatni raz, kiedy o Irlandyi pisać mogłem, zgodnie z Parnellem i jego kolegami. W sierpniu 1886 r. opowiedział mi ówczesny wice-prezes, a dzisiejszy prezes koła irlandzkiego to, co do ucha najszerszej publiczności doszło dopiero po skandalicznych rozprawach procesowych — w końcu ubiegłego roku. Zagadka wyboru kapitana O'Shea do parlamentu, jako reprezentanta miasta Galway, była mi rozwiązana: o ile to było godziwem i możebnem, wyjaśniłem w piśmiech polskich i w paryskim *Soleil*: gdy przed rokiem rozbiegły się pogłoski o prawdopodobnym procesie rozwodowym — a równocześnie i p. Parnell i najwybitniejsi jego koledzy, zapowiadali hałaśliwie pogrom haniebnym kapitaną i tryumf zwycięzcy *Times'a* — pozwoliłem sobie wyrazić stanowcze zdanie w dziennikach warszawskich, że niekoronowany monarcha będzie zmuszony: albo *se soumettre* małżeńskim węzłom z rozwódką, albo *se demettre* z zajmowanego stanowiska publicznego. — Atoli charakter osobisty p. Parnella nie wpłynął wcale na rozwój naturalny mych zapatrywań, na kwestyę irlandzką po roku 1886. Na zmianę sądu wpłynął cały kompleks spostrzeżeń — tak tu uczynionych, w Anglii, między stronnictwami brytańskimi, jak powziętych z pewnej znajomości Irlandyi i Irlandczyków, oraz z przyczyn rozmaitych, podścielających agitacyjną taktykę parnellistów. Niektóre pisma polskie zaszczyliły mnie z tego powodu gorzkimi wymówkami; a za przeszłoroczną bytność mej w Księżstwie i Galicyi o sprawach irlandzkich mówić nie śmiałem i nie mogłem, nie będąc w stanie przebieć potoczną rozmową utartych i głęboko w umysły wrażonych pojęć o Irlandyi dzisiejszej i o dzisiejszych w niej rządach angielskich.

czająca dwóch naczelných pewników: 1) że barbarzyńskie prześladowanie religii i narodowości irlandzkich Celtów przez Anglią od XVII. do XIX. wieku, wytworzyło dzisiejszy amalgam złego; 2) że przez lat niemal 300, przewodnią myślą kolonistów było umorzyć głodem i wyprzeć z kraju nieurodzajnego ostatni ślad tuziemców. Społeczność, na której takie spełniono gwałty i zbrodnie, a która mimo to żyje — zachowawszy całą i czystą odrębność rasową; społeczność, która utraciwszy nawet język narodowy, nie tylko nie utraciła ani żdźbła ze swego przywiązania do ojczyzny, jej pamiątek i przeszłości — lecz z każdym rokiem odżywia się coraz wyraźniej i potężniej krwią swej celtyckiej duszy, sięga po coraz ważniejsze zdobycze dla swej przyszłości — społeczność taka zasługiwać musi i zasługuje na podziw i sympatyę wszystkich zdrowych społeczeństw.

Z tem głębszą żałością, z tem serdeczniejszym bólem spostrzegamy od lat kilku w Irlandyi pewne objawy głębokiego przewrotu — przewrotu zasadniczych pojęć moralności w każdej dziedzinie narodowego życia. Agitacya ostatnich lat dziesięciu, spotęgowana zachętą spekulujących polityków angielskich, dawno już przebrała miarę moralnej równowagi — przeszła już nierównie dalej, aniżeli pozwala troska o duchowe zdrowie narodu — dalej, aniżeli zgodzić się może nawet wolno-myślny, lecz rozumny mąż stanu.

Lord Palmerston pierwszy był powiedział, że: „Irlandya jest piłką między stronnictwami brytańskimi w angielskim parlamencie“. Zdanie to smutnie prawdziwe. Irlandyę wyzyskuje dziś całe eklektyczne stronnictwo liberalne: gladstoniści, w celu odzyskania steru rządu; non-konformiści, czyli organizacye antyanglikańskie, w celu obalenia państwowego Kościoła; związki zarobkowe, w celu reorganizacyi gospodarki roboczej, w myśl pracy ośmiogodzinnej; t. zw. „nihilisci parlamentarni“ ze swym szefem, H. Labouchère, w celu rozbicia dzisiejszego ustroju wyborczego, zniesienia izby lordów i zaprowadzenia konfederacyi hrabstw, na wzór amerykański; wreszcie, socyalno-demokracy, w celu przyspieszenia millennium swych utopij, nakształt programów Bellamy'ego i „Rozpraw Fabiana“. Irlandyę wyzyskuje, a wyzyskuje niegodziwie, upojona dotychczasowem szczęściem, pewna liczba posłów irlandzkich, nazwana „pewną sekcją“ w pamiętnym manifestie Parnella. Irlandyę wyzyskuje przekupna i w najwyższym stopniu niemoralna polityka *yankieizmu* w Ameryce, kupująca wyborcze głosy wygnańców Erynu złotem... które znów służy (zobaczmy w jakiej mierze) „pewnej sekcji“ posłów irlandzkich. Irlandyę wyzyskują nakoniec wszystkie mię-

dzynarodowe zawiści ku Anglii, zarówno Rosya, piórem i ustami pani Nowikow, gen. Popowa i ks. Mieszczerskiego, jak Francya reporteryą bulwarową, *sus à la perfide Angleterre!*

Gdyby dziś wielkie kwestye sporne między narodami przypadały pod rozejm najwyższej powagi moralnej w łonie ludzkości, gdyby się dziś urzeczywistniła myśl, mająca nawet w protestanckiej Anglii bardzo wielu adeptów, oddania Stolicy apostolskiej głosu i sądu w sprawach, rozcinanych dotąd mieczem, gdyby między Anglią i Irlandyą pośredniczyć miał papież, — to mniemam, że trzy następujące punkta stanowiłyby materyał do rozstrzygnięcia:

Jakie są dzisiaj potrzeby Irlandyi, z uwzględnieniem jej odrębności narodowej i jej słusznych dążeń?

Co stanowi maximum ustępstw, jakie Anglia może i powinna dać Irlandyi, bez narażenia na szwank swego własnego organizmu polityczno-ekonomicznego?

W jakiej porze miałaby Anglia oddać, a Irlandya przyjąć ostateczne ustępstwa?

I. Dzisiejsze potrzeby Irlandyi są po największej części krajowe; narodowe albo zostały już zaspokojone, albo będą w oczywistym porządku rzeczy. Lord Beaconsfield mawiał, że najpilniejszą potrzebą Zielonej Wyspy jest: życzliwszy klimat, i w hrabstwach zachodnich urodzajniejsza ziemia. W sarkazmie tym tkwi dużo prawdy: kraj, w którym ludność wszystka rwie się do „świętej ziemi“, w którym niema przemysłu rękodzielniczego — kraj taki potrzebowałby zupełnie odmiennych warunków klimatycznych i geologicznych, dla wyżywienia swych mieszkańców. Prowincya Ulster, zamieszkała przeważnie przez ludność rasy brytańskiej, ma ziemię daleko mniej urodzajną, aniżeli Leinster i Munster; Donegal nadmorski również jest upośledzony pod tym względem, jak przyatlantyckie okolice Connaught'u. A jednakże Ulster, jedna piąta część wyspy, jest conajmniej pięć razy bogatszym krajem od reszty Irlandyi, bo ludność tamtejsza, dziesiątkowana głodem na roli przez całe sto lat, od Jakóba I. do Jerzego I., porzuciła lemiesz i wzięła się do przędzy, młota i piły. Najsłynniejsze płótno irlandzkie wychodzi jedynie z Ulsteru; w Belfast i nad morzem rozkładają się najprzedniejsze lejarnie i warsztaty irlandzkie, a tamtejsze budowle okrętów marynarki handlowej i wojennej, współzawodniczą szczególnie z brytańskimi.

Irlandya potrzebuje nadewszystko odwrócenia ludu od ziemi, która

go wyżywić nie zdoła, choćby beczynszowo, a zwrócenia jego energii i pomysłowości do wyższego przemysłu. Przydałoby się Irlandyi niezmiernie kilka portów na Zachodzie; urządzenie ich dałoby chleb na kilka lat wygłodniałym tysiącom rodzin; otwarcie ich pozwoliłoby żaglowcom amerykańskim, wiozącym zboże i bydło, skrócić drogę o 30 godzin (zamiast przybijać w Liwerpolu i w Hull) — a to samo już przyczyniłoby się do budowy kolei żelaznych wewnątrz kraju i wzdłuż wybrzeży, budowy tak gwałtownie potrzebnej dziś nawet dla irlandzkich handlarzy bydłem i nabiądem.

Potrzuje Irlandya rozwinięcia swego przemysłu górniczego, gdyż posiada niewątpliwie obfite pokłady kamiennego węgla, ciągnące się głębokimi warstwami od zachodniej Anglii daleko w głąb kraju. Obecność pokładów została już sprawdzoną w hrabstwach: Wicklow, Wexford, półn. Tipperary i Kilkenny. Tu znówu, na ubogą ludność wyspy czeka chleb niemal gotowy; ogólny zaś przemysł krajowy może znaleźć w kopalniach węgla tę pomyślność, jaką w tak wysokim stopniu zawdzięcza Anglia nieurodzajnej Walii i „czarnej krainie“ Yorkshire i Lancaster. Są nadto w Irlandyi od wieków zaniedbane pokłady cyny w hrabstwach Cork, Waterford, Limerick i Queen's, jest żelazo w Wicklow i w Meath. Osobny możnaby napisać rozdział o górnictwym przemyśle irlandzkim, zaniechanym z tych samych wspomnianych powodów, z jakich lud zaniedbał nawet rybołówstwo — przemysł patryarchalny i narzucający się w oczy, gdziekolwiek rzeki przecinają i morze otacza nieżyznliwą glebę. Ratuje się połowem ryb ludność nadbrzeżna Bretanii i Normandyi, tak samo ratują się mieszkańcy wysp Orkney i Shetland; tenże połów stanowi podwalinę bytu Islandczyków.

Gdyby te tylko zasoby Irlandyi chciano wyzyskać, zamiast wyzyskiwać tradycyjną chciwość ziemi irlandzkiego Celta — jużby mowy być nie mogło o głodowych pomorach i o nędzy, tak demonstracyjnie rozgłaszanych przez pewnych ludzi, którzy biedę chroniczną i całkiem naturalną utrzymać dziś wolą i rozszerzyć, aniżeli jej racjonalnie zaradzać! Lecz faktem jest, że przemysłowcy Ulsteru w tak pracowitych obwodach, jak Belfast, Antrim, Londonderry, Downpatrick, Armagh i Coleraine, robotników sprowadzać muszą z W. Brytanii, z Belgii, Danii, Niemiec i nawet z Włoch, nie będąc w stanie przywabić krajowców, onieśmielonych akcją intymidacyjną swych własnych organizacyj „narodowych“.

Poza potrzebami materyalnemi, mało dziś pozostaje do zaspokojenia potrzeb moralnych. Oświata jest dziś nieporównanie przystępniej-

szą i szerzej zakresloną w Irlandyi, aniżeli w całej reszcie brytańskiego imperyum. Czytelnika zadziwi to twierdzenie. Zmuszony więc jestem powiedzieć, że systemat edukacyjny w Irlandyi jest mi doskonale znany z osobistej pracy na tem polu od roku 1879 do 1885. Ludność tamtejsza otrzymała już w roku 1872 — na co wyczekuje Anglia, Walia i Szkocya — t. zw. *Intermediate Education Act*, system edukacyjny, z którego korzystać mogą i z którego korzystają z zapalem wszystkie warstwy — zasilany olbrzymiami funduszami, które się nagromadziły skutkiem zniesienia urzędowych dyecezyj protestanckich. Edukacya ta jest bezwyznaniową wprawdzie, ze względu na różnowyznaniowych mieszkańców; lecz nie wyklucza, owszem wspomaga prywatne wyznaniowe szkoły, czego dowodem, że instytucye katolickie, poczynawszy od szkół parafialnych i zakładów Braci Nauki Chrześcijańskiej (*Christian Brothers*), aż do seminaryów mniejszych i kolegiów OO. Jezuitów (w Tullamore i w Dublinie), uczniów swych posyłają do egzaminu przed komisye edukacyjne tejże ustawy, osiągają dla nich stypendya, a dla siebie pieniężną tanytemę od rezultatów corocznych. Rząd angielski zasila dziś centralne seminaryum duchowne w Maynooth dostatnią subwencją; opiekuje się zabytkami celto-gaelickiej przeszłości i... (o mości Gosslerze!) dał sam inicjatywę w założeniu Towarzystwa dla zachowania starożytnego języka Irlandyi (*Society for the Preservation of the Irish Language*) — tego języka, którym nie włada ani jeden z dzisiejszych posłów irlandzkich!

Lecz wobec tak przemożnej i poważnej instytucyi, jaką jest starożytna, a protestancka wszechnica Św. Trójcy w Dublinie — Irlandya ma prawo i obowiązek domagania się wszechnicy katolickiej. Jeżeli bowiem angielscy katolicy wzdragają się posyłać synów do Cambridge i Oksfordu, gdzie przecież religijny prąd jest tylko sąsiedzkim względem prądu katolickiego — to katolicka hierarchia irlandzka spełnia niezaprzeczenie święty obowiązek, wstrzymując młodzież od progów, poza którymi wrze najgwałtowniej oranżyzm protestancki z całą zacięłością sekciarską i antynarodową! Brak uniwersytetu katolickiego, zastępowany bardzo biednie w tej chwili przez skromną instytucyę arcybiskupią w Dublinie, jest najwალniejszą przyczyną braku prawdziwej inteligencji narodowej ¹.

¹ Posłowie Leamy, Sexton, Redmond, Harrington, W. O'Brien — by wymienić najgłośniejszych — otrzymali co najwyżej elementarną edukację w szkołkach Braci Chrześcijańskich; wielu posłów dzisiejszych znałem w Ir-

Przystępuję nakoniec do potrzeb administracyjnych, w duchu odrębności rasowej. Na tę odrębność kładę nacisk, bo czynią to posłowie i uczynił p. Gladstone w słynnym projekcie samorządu, 8 kwietnia 1886 r.

Przedewszystkiem: Czy jest potrzeba zerwania unii parlamentarnej między Irlandią i Anglią? Odpowiadam: jest niezaprzeczenie — z trzech głównych powodów: 1) Parlament westminsterski, gdyby nawet był przejęty specyjalną życzliwością dla Irlandczyków i gotowością do wszelkich z tego względu ofiar, jeszczeby sprawami ich nie mógł się zajmować należycie, bo literalnie niema na to czasu. Izba angielsko-cesarska, pracując ośm miesięcy w roku, ma zaledwie czas do załatwienia kolosalnych budżetów i palących kwestyj kolonialnych; zaniedbuje ona, jako ciało reprezentacyjne, sprawy zagraniczne, zaniedbuje, li tylko z niemożności fizycznej, konieczne reformy szkockie i angielskie. Mogłaby je podjąć, gdyby nie bezustanna wojna debatów irlandzkich — ale, współ z interesami brytańskimi, ani jej myśleć o jakimkolwiek zarządzaniu organicznemi kwestyami Irlandyi. Gdyby Irlandya była spokojną — jeszczeby parlament nie wydolał kontroli nad jej administracją: cóż więc mówić o chaosie dzisiejszym? 2) Posłowie angielscy i szkoccy, z wyjątkiem zaledwie kilkunastu, nietylko, że nie mają najmniejszego pojęcia o „siostrzanej wyspie“, o jej ludzie i tamtejszych warunkach bytu — ale o gruntowne informacye nie dbają nawet. By czytelnik nie posądził mnie o przesadę, uzasadniam swoje twierdzenie. „My Anglicy — powiedział sir W. Harcourt — lepiej znamy Maorczyków w Polinezyi, aniżeli Irlandczyków na sąsiedniej wyspie“. I w istocie, z wyjątkiem naczelników i organizatorów stronnictw, frakcyj i sekcyj parlamentarnych, posiadających znajomość Irlandyi dziennikarską, książkową, lub przybraną z konieczności — reszta ich kolegów poprostu nie dba o Irlandyę, tak samo, jak nie dba o wewnętrzną politykę krajów europejskich. Mało kto na lądzie stałym ma należyte pojęcie o spleniczej obojętności Anglików na wszystko, co nie dotyczy ich samych, w najciaśniejszym obrębie ich własnej działalności. Doktryna *self-help'u* i *self-efficiency* zastosowuje się tu na każdym kroku,

landyi, gdy za szczyt ambicyi szkolnej uważali — znajomość księgi *de bello Gallico*. Jeden z nich brał u mnie prywatne lekcye historyi literatury łacińskiej, mając wtedy lat 48! Innego uczyłem pięciu deklinacyj w 1880 r.; zanim mu czas pozwolił ukończyć składnię, p. Parnell nominował go (1882) postem z Kildare.

w sposób niemal barbarzyński¹. Oprócz tego baczyć jeszcze wypada na osobisty charakter i przymioty posłów, wybieranych z niesłychaną oględnością na najbliższe interesa miast i hrabstw poszczególnych. Taki „szlachetny członek“ izby zwycięsko wychodzi z urny wyborczej dlatego jedynie, że obeznany jest najlepiej z potrzebami swego okręgu i całkowicie ma się im poświęcić. Wyborcy zadowolniają się absolutnie, jeżeli reprezentant w sprawach innych pójdzie kupą, za szefem swego stronnictwa. Nie mając pojęcia o grubych nawet szczegółach położenia w Irlandyi, panowie ci są ślepymi narzędziami swych przewodców w izbie; rzadko przemawiają o kwestyi irlandzkiej, głosują z rozkazu: dziś za autonomią, jutro za koercycją. 3) Potrzebę ustanowienia narodowego ciała prawodawczego w Dublinie, dyktuje wreszcie charakter ogromnej większości narodu. Z wyjątkiem nieznacznym, Irlandczycy nienawidzą Anglii zaciekle, nie ufają jej. Dość jest, by prawo wyszło z Anglii — a choćby nie wiem jak korzystne, będzie wyśmiane i wymijane w Irlandyi. Mielśmy tego dowody przy każdej reformie agrarnej od r. 1882; mamy je i dziś, gdy prasa narodowa wyszydza środki zaradcze p. Balfour'a przeciwko grozie głodowej.

II. Na stałym lądzie wkorzeniła się opinia, jakoby angielski rząd dzisiejszy, torysowski, prześladując ruch narodowy w Irlandyi, rzucał jej drobne ustępstwa. Tymczasem sędzę, iż Torysi nie są ani lepsi od Whigów, ani więcej od nich ograniczeni. Bez wątpienia, wolałby lord Salisbury rządzić celtycką wyspą, jak nią rządził p. Gladstone od 1880 r. aż na cztery miesiące przed swem „nawróceniem się“ do homerule'u; wolałby więc zaostrzyć ustawy wyjątkowe, zdać całą odpowiedzialność biurokracyi zamku dublińskiego — mieć swobodne, ile możliwości, ręce w izbie gmin. Ale lord Salisbury, gdyby się i nie rachował z „prądami wieku“, z „Nemezą dziejową“ i z „zagadnieniami przyszłości“ — liczyć się musi ze stanem rzeczy w parlamencie, jaki przedstawiłem w punkcie pierwszym ostatniego ustępu, liczyć się musi z siłą opozycyi, wyzyskującej potęgę ciała irlandzkiego. Torysi (by streścić ich program irlandzki) gotowi są oddać Irlandyi wszystko, by raz ją sobie z karku stracić — wszystko, prócz jedności Zjednoczonego Królestwa.

¹ W sferach średnich i niższych, choć zamożnych lub zasobnych, dzieci zamężne czy żonate mogą umierać z głodu, a rodzice nie przyjdą im w pomoc, kochając je równocześnie i współczując z niemi. *Self-help* jest fetyszem, w którego zapatrzeniu Anglicy, świata nie widzą. Jak się dzieje w sferach wyższych, wiadomo z codziennej kroniki majoratów.

Tymczasowo, rząd pp. Salisbury'ego i Balfour'a robi co może, by z ludu rolniczego, ginącego o tyle nędzą, ile przymusowem lenistwem, zrobić lud przemysłowy. Wiadomo, że rząd otrzymał od izby pożyczkę na budowę portu handlowego w Galway, ostatniego listopada; że p. Balfour, minister spraw irlandzkich, oszczędzszy pieszko nadbrzeżne okolice hrabstw Galway, Sligo i Donegalu, wszedł w układy z kompaniami centralnych kolei żelaznych i skłonił je do rozpoczęcia budowy kolei nadbrzeżnych, poręczając nieodzowne ulgi podatkowe i ułatwienia; że tenże minister radził się każdego plebana katolickiego w wymienionych obwodach chronicznie na głód wystawionych, co do udzielenia zapomogi na kupno łodzi rybackich i sieci, na sprowadzenie nowego nasienia kartoflanego ze Szkocyi, na budowę chat dla kolejowych robotników; że, наконец, wice-król lord Zetland, wspólnie z p. Balfour'em, ogłosił dnia 4 stycznia b. r. manifest, zapraszający do składek na rzecz tych nieszczęśliwych w Irlandyi, którzy albo roboty nie otrzymają, lub do niej są niezdolni. Czy akcyja taka harmonizuje z epitetem „brutalności“ torysowskiego rządu w Irlandyi?

Mam bardzo wiele do powiedzenia o... „patryotycznej akcyi“ posłów irlandzkich względem tych właśnie starań rządowych o rozwinięcie przemysłu i danie chleba głodnej ludności. Wszakże sam p. Parnell, odkrywwszy w swych dobrach pokłady węgla i cyny, nie śmiał dotąd rozpocząć eksploatacyi wobec „planu kampanii“ i t. p. programów! Wiemy już, że liga narodowa położyła absolutne *вето* wychodźtwa biednych robotników do warsztatów i fabryk Ulsteru — a jak liga karcić umie nieposłusznych, świadczą pożogi i mordy „księżycowych“ i „chłopców“, spełniających „plan kampanii“ — dzieło Davitt'a, Dillon'a i O'Brien'a.

O edukacyi już mówiłem. Oby Galicya, oby Księstwo Poznańskie i Królestwo doczekać się mogły tak rozsądnego systemu oświaty, przystępnego najbiedniejszym chłopkom, jaki pod kierownictwem Braci Chrześcijańskich i religijnych kongregacyj, oddaje Irlandyi prześwieczne owoce. Ciasne ramy tego artykułu zaledwie pozwalają mi wspomnieć, że uczeń irlandzki, katolik zarówno jak protestant, wykształcony pod tym systemem, może współubiegać się z synami angielskich lordów o wszelkie posady rządowe — w Europie i za morzami — gdyż od lat 20 wszystkie urzędy w służbie cywilnej rozdawane są konkursowo najlepszym uczniom. Jezuiści w Tullamore doczekali się już całego pokolenia takich *respectable servants of the Crown*, wyszłych z ich zakładu po zdaniu egzaminów według wymienionego powyżej *Intermediate Education Act*. Do-

dają, że i panienki korzystają z tego systemu szkół, a niejedna, otrzymawszy stypendyum trzyletnie, mogła wyższym poświęcić się studyum. Tego Anglia niema dotąd — bo samej tylko Irlandyi kasata anglikanizmu dostarczyła nadzwyczajnych funduszków. Rząd zgodziłby się bezwzględnie i na wyposażenie katolickiego uniwersytetu w Irlandyi, gdyby... w opinii jego chwila była odpowiednią. Pomówimy o tem niebawem.

Nakoniec, rząd gotów jest nadać Irlandyi tę samą autonomię hrabstw w sprawach lokalnych, jaką posiada Anglia od 13 dopiero miesięcy, jakiej nie obrobiono jeszcze dla Szkocyi. Odnosny projekt ministeryalny został nawet wygotowany, jak zapowiedział p. Balfour w końcu zeszłej sesyi. Że zaś wszystkie reformy nie zsypują się odrazu na Irlandyę, wino to ludzkiej natury, obdarzonej jedną tylko głową i dziesięciu palcami; wino także posłów irlandzkich, wołających o „kawalek księżycy“ w formie rewokacyi unii, a wyszydzających pomniejszych reformy i ustępstwa. Tę kwestyę rewokacyi unii, czyli ustanowienie narodowego parlamentu w Irlandyi, wiąże z ostatnim punktem, któryby rozpatrzyć miała neutralna a najwyższa powaga rozjemcza.

III. W jakiej porze miałyby Anglia oddać, a Irlandya przyjąć ostateczne ustępstwa?

Ostatecznem ustępstwem będzie — ufajmy Bogu — oddanie Irlandczykom odpowiedzialności za rządy w kraju własnym, czyli utworzenie narodowego parlamentu. Utworzenie, mówię, a nie przywrócenie — jak koniecznie chcą ludzie, nieobeznani z historią irlandzkiego parlamentu w zeszłym wieku. Parlament bowiem Grattana był izbą protestancką, w której zasiadała nieznaczną liczbą narodowców, wobec ogromnej większości „lojalnych“ ciemniejszych i oszczerców ludu.

Rozumiemy, że parlament narodowy irlandzki będzie czemś więcej, aniżeli ciałem delegacyjnem do izb westminsterskich; że powinien być takim, jakim go chciał mieć p. Gladstone (8 kwietnia 1886), przedwcześnie — i jeszcze szersze powinien mieć atrybucye. Z absolutną władzą administracyjną, z kontrolą podatkową, z najwyższą powagą sądowiczą, parlament ten byłby tak samo niezależnym od Londynu, jak jest nią paryska izba deputowanych — z wyjątkiem następujących gwarancyj: 1) że Irlandya stanowić będzie i nadal część integralną Zjednoczonego Królestwa; 2) że przeto, jako taka, ponosić będzie wspólnie z Anglią i Szkocyą przypadające na nią ciężary budżetowe, oraz solidarność polityczną i ekonomiczną.

Tej myśli był słynny bil p. Gladstone'a; ponieważ jednak okazał się przedczesnym, więc sędziwy mąż stanu dodał paragrafy

ochronne, wartości rzekomo tymczasowej — i z tego właśnie powodu plan cały rozbił się w szczęty. Mojem przekonaniem, p. Gladstone bynajmniej nie przyspieszył załatwienia kwestyi irlandzkiej, lecz je owszem rzucił w nierównie dalszą ciemnię przyszłości. Jemu także i jego nieposkromionej żądzy władzy *à tout prix* przypisać należy w wysokiej mierze dzisiejszy smutny stan irlandzkiego koła poselskiego. Fakta, jakie przytoczę dla uzasadnienia tak śmiałych twierdzeń, przypomną się łatwo czytelnikowi.

Przedewszystkiem nie bądźmy tak naiwni, żeby uwielbiać starego lisa parlamentaryzmu za jego błyskawiczne nawrócenie się do parnellizmu. Mąż stanu, który przez lat 56 swej publicznej karyery, głosił krucyatę przeciw O'Connellowi, Buttowi i wkońcu Parnellowi; który za ostatnich swych rządów, jeszcze cztery miesiące przed owym kwietniem, więził tysiące patryotów irlandzkich, oświadczając w izbie, iż parnelliści „gonią przez rozbój do rozćwiartowania państwa“; który kolegów p. Parnella nazwał publicznie, z ławy ministeryalnej: *a set of dissolute ruffians* (bandą rozpasanych zbójów); pierwszy minister, który w jesieni 1885 r. naśmiewał się z umizgań Torysów do Parnella, oświadczając radość, iż „smażyć się będą w parnellistowskim sosie“, — Gladstone z taką przeszłością nie nawrócił się z pewnością, lecz wyrzucił koziołka, by odzyskać władzę, którą tracił, gwoli swej nieszczęśliwej polityki zagranicznej i gwoli tajnych układów Parnella z Torysami. Wiedział p. Gladstone, że Parnella inaczej sobie nie zjedna, po pięcioletniej koercycyi, jak stawieniem autonomii na swym programie. Torysi obiecywali autonomię hrabstw — p. Gladstone musiał obiecać więcej. Gdy się już oswoił z uśmiechającym się mu ponownie urokiem władzy, kusić go poczęła nagle wiekopomna sława „regeneratora Irlandyi“.

Nikt lepiej od p. Gladstone'a nie był przeświadczoneym o niepodobieństwie autonomii kompletnej w obecnych warunkach Irlandyi. Ułożył więc projekt zasadniczy, obciążony zastrzeżeniami. Izba dublińska nie miała posiadać jurysdykcyi w sprawach agrarnych, ani nominacyi sędziów, ani kontroli nad policją, ani wyłącznego prawa dysponowania dochodami kraju. Irlandya nie miała być reprezentowaną w izbie angielskiej. W tem ostatniem zastrzeżeniu podejrzywałem zawsze gotowość p. Gladstone'a do zrobienia koercycyjnego użytku z policji i sędziów w Irlandyi, na przypadek, gdyby Dublin zechciał pozbyć się landlordów i podatkowych ciężarów. Któżby wtedy walczył

przeciw koercycyi w Westminsterze? Z pewnością nie Anglicy ani Szkoci, zajęci swemi sprawami!

Cóż dziwnego, że p. Parnell zgodził się na ten projekt? że Davitt, Dillon, O'Brien wnieśli okrzyki uwielbienia na cześć „wielkiego starca”? Czyż mieli odrzucić tyle? A więc... nastąpiła unia „rozpa-sanych zbójów“ ze „stronnictwem moralności“. Unię tę wzmocniła porażka p. Gladstone'a w wyborach i powrót Torysów do władzy. Potem, Gladstone z Parnellem ręka w rękę, sypali rozżarzone węgle na głowę koercycjonisty Balfour'a, który więził jednostki zamiast setek, który pieszo obchodził biedne osady kraju, dotąd jeszcze niezaszczyconego wizytą Jowisza z Hawarden.

Naiwni sądzili, że obcesowa harmonia publiczna między „niekoronowanym monarchą Irlandyi“ a „wielkim starcem“ miała podwaliny wzajemnej ufności i szacunku. Tymczasem serdeczny stosunek, rozgłaszany po świecie przez lat cztery, nie miał nigdy najmniejszej podstawy. Parnell oznajmił przed końcem ostatniego roku, że 1) w prywatnych konferencyach z Gladstonem nie doszedł nigdy do progu zgody; 2) że *the grand old man* był stanowczo i zawsze *the grand old coercionist*; 3) że *the grand old morality* usiłował zjednać go sobie teką dla Irlandyi; że 4) gdy i to go zawiodło, wszedł cichaczem w konszachty z „pewną sekcyą“ koła irlandzkiego.

Plan autonomii, jak był przedwczesnym i niemożliwym w 1886 r., tak jest nim i dzisiaj. Na wymienione zastrzeżenia nie zgodzi się Irlandya nigdy — to rzecz każdemu jasna. Na autonomię bez zastrzeżeń nie zgodzi się Anglia przenigdy, tak długo, dopóki: 1) reprezentanci narodu uczyć go będą bezwarunkowej pogardy dla rządu angielskiego; 2) podżegać go przeciwko prawu własności ziemskiej i wmawiać w niego, że landlordyzm — to robactwo do wytępienia; że płacenie czynszu zależeć powinno od decyzji instytucyi, nawzór „planu kampanii“; że kto osiada na gruncie opróżnionym przez wydalonego farmera, ten jest zdrajcą ojczyzny; że takich zdrajców odstąpić trzeba w kościele, na targu i przy łożu śmierci; że władze nie mają prawa przyciągania ludu roboczego do kolei i portów, póki są parki lordów i niedrenowane obszary myśliwskie; że załoga wojskowa w kraju jest armią pasożytów, wpędzoną dla zgłodzenia biednych obwodów — że, gdyby nie fregata angielska w zatokach, Irlandczycy amerykańskiego Clanna-Gael („domu gusła“) dawnoby zawinęli do brzegów w pancernikach Stanów Zjednoczonych...

Czy może Anglia dać autonomię Irlandyi w takich warunkach,

bez narażenia na oczywiste niebezpieczeństwo własnego gospodarstwa politycznego, ekonomicznego i społecznego? I w czyjeż ręce powierzyłyby straż nad tą ekonomią? — w ręce nauczycieli doktryn powyższych. W najlepszym razie, pytam się, jakież cud zdoła odrazu zmienić ludność zdemoralizowaną owemi naukami i uczynić ją uległą dla władzy, choćby swojskiej? Przecież i po autonomii będzie istniał landlordyzm; a jeżeli wyjdą z kraju obecni posiadacze, to ziemia przejdzie, choćby parcelami, w czyjeś ręce; i wtedy, jakże będzie z czynszami i z podatkami, z regulacją płacy dla dzisiejszych „księżycowców“? Zasady te, mówią parnelliści, szerzone przed 1886 r., gdy bil gładstoński dalekim był od marzeń agitatorów, „służyły do utrzymywania narodu w odpowiedniej fermentacji“. Ja sądzę, że fermentacja ta zaszła za głęboko, skwasiała moralne drożdże ludu i niestety — nie tylko ludu.

Po upadku bilu i z nadejściem rządu lorda Salisbury'ego, pozwolono smutnym doktrynom fermentować dalej. Jakie są z tego skutki, to zostawiam do przyszłego mego listu.

Edmund Naganowski.

Z podróży po Brazylii.

Zapiski, dotyczące kolonizacji tego kraju ¹.

I.

Powróciwszy przed kilkoma miesiącami z Brazylii po dłuższym tamże pobycie, uważam sobie za obowiązek, przy zastraszającym wzroście wychodźstwa ludu naszego do tego kraju, wykazać o ile możności niniejszemi, na miejscu zebranemi notatkami, jaki los czeka tam naszych i w jakie dostają się stosunki.

Rząd brazylijski, po zniesieniu niewoli, stara się usilnie o napływ roboczej ludności na miejsce murzynów, którzy z natury już nie-

¹ Dziś, kiedy emigracja ludności polskiej do Brazylii zajmuje słuszenie opinii kraju, radzi jesteśmy umieścić w *Przeglądzie* te zapiski autora, który świeżo z Brazylii powraca, i który, będąc tam członkiem ambasady niemieckiej, w urzędowej misji objeżdżał i badał kraj. W obecnych zapisach nie opis podróży, ale stan ekonomiczny tego kraju skreślił.

(Przyp. Redakcyi).

zbyt pohopni do pracy, po usamowolnieniu porzucili zupełnie wszelkie zatrudnienie, nie będąc potrzebą do tego zmuszeni, albowiem żyzna, tropiczna ziemia wydaje bez muzu dostatecznie, by ich skromne wymagania zaspokoić. Nowe rządy republikańskie podwoiły jeszcze zabiegi ku sprowadzeniu potrzebnych rąk do pracy, rozsyłają coraz więcej agentów i zawierają z nimi coraz korzystniejsze kontrakty, płacąc im od głowy 3 do 5 milreisów (6—10 marek), bez różnicy płci i wieku.

Jakich owi agenci używają sposobów, żeby ludzi do opuszczenia kraju zniewolić, i jak ich w te zamorskie kraje przewożą, dostatecznie jest już znanem, tak że nie potrzebuję tu więcej o tem pisać.

Biedni wychodźcy, dojechawszy po długiej i uciążliwej przeprawie do tego kraju obiecane, mniemają, że to już koniec wszystkich ich cierpień; lecz srodze się mylą, bo czeka ich jeszcze przez długie lata ciężka niedola. Pierwsze miejsce przytułku znajdują oni w t. zw. *baracon* t. j. w domu dla wychodźców, przy każdym porcie wzniesionym, gdzie ich żywią i gdzie mają prawo przez trzy dni pozostawać. Ponieważ jednak wysyłka ztąd na miejsce ostatecznego przeznaczenia często więcej potrzebuje czasu, a coraz to nowi wychodźcy przybywają, przeto niekiedy staje się napływ do tego zakładu tak wielkim, że nie wszyscy znajdują pomieszczenie. Nieszczęśliwi są ci, dla których miejsca zabraknie; zostają bowiem na łasce Opatrzności, pod gołym niebem, wystawieni na pastwę głodu i żółtej febry.

Z domu emigracyjnego rozchożą się przybyli w trojakim kierunku: pewna część zdaje się na komisję państwową, ustanowioną dla prowadzenia kolonizacji, *Inspectoria geral das terras e colonisaçao*, żeby dostać się na obszary, pod jej zwierzchnictwem zostające; wielu przyjmuje pracę na „fazendach“ czyli wielkich posiadłościach ziemskich, na których głównie kawę sadzą; inni znowu udają się jako osadnicy do południowej części Brazylii. Są i tacy, którzy bez pośrednictwa agentów, zachęceni przez znajomych i krewnych, wprost udają się na miejsce przeznaczenia, zakupują tam kawał ziemi za wyniesione z kraju pieniądze, i tworzą w ten sposób przyrost istniejących już kolonij, odrazu wchodząc w mniej więcej uporządkowane stosunki: liczba tych jest atoli bardzo niewielka.

Polacy przybijają po największej części do portu Santos, leżącego w prowincyi St. Paulo, zkąd najczęściej ludzi idzie na fazendy do prowincyj St. Paulo i Rio de Janeiro. Po uwolnieniu murzynów bardzo podupadły te prowincye dla braku sił roboczych; właściciele chcąc przyciągnąć do siebie wychodźców, często nieuczciwych nawet używają spo-

sobów, jak np.: obiecują wysokie stanowiska z dużą płacą w fabrykach nieistniejących, — wiedzą bowiem, że skoro wychodźcy przybędą raz na miejsce, to z potrzeby i ziemię uprawiać będą.

Człowiek pracuje na fazendzie albo za dzienną płacę mniej więcej czterech marek dla dorosłego mężczyzny, a połowę tej sumy dla kobiety i dzieci, bez wyżywienia — albo też pisze się na kontrakt w Brazylii używany, polegający na podziale przy końcu roku dochodów z ziemi w gotówce, pomiędzy chlebodawcą a robotnikiem.

Na pierwszy rzut oka zdają się te warunki dla pracującego korzystnymi; przedstawiają się jednakowo w innem świetle, gdy się zważy, że właściciel ziemski posiada pewne sposoby, aby ściągnąć napowrót z swego robotnika wypłacone mu pieniądze: dzieje się to mianowicie zapomocą karczmy, tak zwanej „venda”. Wychodźca na fazendę znajduje się w okolicy całkiem sobie nieznanej i jest zupełnie od reszty zamieszkałego świata dziewiczymi lasami i pasmami gór odcięty; dlatego też zmuszony on jest kupować wszystko, co mu do wyżywienia jest niezbędnem, za pośrednictwem swego pana, w jego karczmie. Ponieważ zaś nowoprzybyły niema pieniędzy, bierze więc wszystko na kredyt, za niesłychanie wysokie ceny, które sprzedający, nie mając konkurencji, ustanawia podług swego upodobania. W ten sposób robotnik, zależąc zupełnie od samowoli fazendera, zadłuża się coraz więcej, i musi podług praw brazylijskich tak długo dla wierzyciela pracować, dopóki długu nie umorzy. Dodać jeszcze należy, że ów robotnik nawet nad tą częścią dochodu z plantacji, która mu w moc zawartego kontraktu przypada, nie może prowadzić kontroli, ponieważ sam tylko fazender płody sprzedaje.

Po długim czasie i wielu zabiegach jest dopiero w stanie wychodźca, poznawszy swoje nieszczęśliwe położenie, wydobyć się z niego, zwłaszcza, że droga sądowa w celu ukrócenia wyzyskiwań fazendera jest mu niedostępną, gdyż niesumienni brazylijscy adwokaci po większej części urządzają rodzaj licytacji przy każdej sprawie. Zaskarżony oczekuje, jakiego obrońcę wybierze sobie oskarżający, udaje się potem do tego samego; wygrywa ten, który najlepiej zapłacił, tak że naturalnie robotnik przeciw swemu chlebodawcy nigdy słuszności uzyskać nie może.

Bez porównania lepszy los czeka osadników w południowej części Brazylii, w prowincjach St. Catharina i Rio Grande do Sul. Drogę w te strony otworzyły wychodźcom towarzystwa niemieckie kolonizacyjne, które tam rozległe zakupiły obszary, płacąc za hektar 20 marek; dziś po parcelacyi żądają za taką samą przestrzeń 40—50 marek.

Towarzystwa te są bardzo troskliwe o los kolonistów, na ich ziemiach osiadłych, i starają się ile możności o niezbędne komunikacje, które są głównym warunkiem rozwoju kolonij; mają jednak do walczenia pod tym względem z wielkimi trudnościami, bo wiele rzeczy stoi na przeszkodzie szybszemu rozwojowi tych prowincyj. Już sam ten kraj, mając jednostajne wybrzeże bez zatok, odosobnionym jest bardzo od reszty świata, szczególnie, że jedyny port Rio Grande przy ujściu *lagoi dos pato* (jeziora kaczek), do którego większe mogą wjeżdżać okręty, ma bardzo trudny przystęp, przed jego bowiem wejściem usadowiła się ruchoma ława piasku. Okręty, które chcą wpłynąć do portu albo na pełne morze się dostać, muszą niekiedy długo czekać, bo nie mogą wyruszyć na wzburzone morze, co się tu często zdarza przy wiejących *pamperach*, wiatrach południowo-zachodnich. Ta strata czasu, przewidzieć się nie dająca, szkodzi handlowi, którego wzrost bardzoby się przyczynił do polepszenia komunikacji w głąb kraju.

Wprawdzie przerzynają tę prowincję koleje, lecz mają tylko mają wartość dla osadników, gdyż każda osada zajmuje kilkumilową przestrzeń, na której tu i owdzie pojedynczy osadnik zdala od innych się umieszczał, w miarę jak znalazł odpowiedni kawałek ziemi pod uprawę. Cały zaś obszar kolonii jest bezdrożnym dziewiczym lasem, pełnym pnących się roślin, które łącząc się, tworzą rodzaj sieci, tak iż chcąc dojść do stacyi, trzeba pomiędzy górami przedzierać się przez gąszcza, nakładając drogi. Jeżeli nawet kolej samą kolonię przerzyna, zostaje ona jeszcze bez korzyści dla dalej mieszkających osadników, gdyż nie mogą do niej swoich produktów w większej ilości odstawiać. Transport wodny, już nie mówiąc o dowozie, jest z wielkimi trudnościami połączony, gdyż tamtejsze rzeczki jedynie dla małych łódek są spławne.

Strony te mają klimat zimniejszy i zdrowszy od innych prowincyj, lecz jest on mniej przyjazny dla wegetacyi; większa jednakże część płodów, w reszcie Brazylii rosnących, udaje się tu także: jak ryż, manjoka, kukurydza, a przedewszystkiem czarna fasola (*fagao*). Uprawa ziemi pod te płody jest dla kolonistów bardzo żmudną, ponieważ w tym górzystym kraju zmuszeni są ziemię szpadlem obrabiać, a ryż sztucznie nawodnianych pól wymaga, tak że pojedynczy osadnik tylko mały kawał roli może obsiać; tem bardziej, że aż do żniwa czuwać musi, żeby zielska przy bujnej tropicznej wegetacyi rośliny nie zadusiły. Dla tej przyczyny nie można przy stosunkowo rzadkiej ludności produkować owych płodów w większej masie; co znowu sprawia, że rządowi brazylijskiemu nie opłaca się budować kolei i innych dróg, dopóki kraj znacznie więcej

się nie zaludni. Z drugiej strony zaludnianie takich okolic postępuje nader wolno dla utrudnionego do nich przystępu, i mieszkający tam koloniści nie dorabiają się majątków. Wspomniane płody zbyt są tanie, żeby ich wywóz mógł się w tych trudnych warunkach, po większej części zapomocą jucznych mułów, opłacać. W ostatnich czasach czarna fasola dużo tamtejszym kolonistom przynosiła, bo miała wielki pokup z powodu głodu, jaki powstał w północnych prowincjach wskutek nadzwyczajnej suszy, lecz w normalnych czasach i ten artykuł nie daje odpowiedniego zysku.

Hodowla bydła jest w niektórych częściach tych prowincyj bardzo rozwinięta, ale mało się opłaca dla braku odbytu; chciano ztąd mięso — jak to czynią z Australii — w zamrożonym stanie do Europy wywozić, ale pokazało się, że mięso z bydła, hodowanych w ciepłych okolicach, zamało jest jędrnem, by mogło w tym stanie wytrzymać transport.

Z obrazu wyżej wymienionych stosunków widzimy, że główną przyczyną zbyt powolnego rozwoju prowincyj Rio Grand do Sul i St. Catharina jest brak komunikacji, jakoteż i to, że nie rosną tam płody w handlu dość drogie, któreby w małych ilościach produkowane, opłacały się i mogły pokryć koszt drogiego transportu. Jedynym takim produktem, jakby stworzonym dla warunków brazylijskiego kolonisty, byłaby kawa. Produkcya jej nie jest połączona z trudnościami, a wywóz, w stosunku do innych płodów, daleko jest tańszy. Ilość kawy, jaką zabierze karawana mułów, przedstawia wartość nierównie większą od podobnego transportu ryżu i innych produktów. W śpichrzu zachowana, nie traci kawa ani na wadze ani na cenie, lecz owszem, im starsza jest, tem droższa. Żeby mieć duże korzyści, nie potrzebuje jej osadnik w wielkiej masie hodować; sam sobie pozostawiony łatwo podola pracy, gdyż kawa mniejszy zajmuje obszar, który łatwiej okopać i wypełnić, niż wielką przestrzeń pod inne płody, jeżeliby z nich chciał równy zysk ciągnąć. Nadto w obecnym właśnie czasie, gdy skutkiem zniesienia niewoli upadli wielcy posiadacze kawowych fazend, nadeszła najstosowniejsza pora dla osadników, bo znikła konkurencya, a ceny znacznie się podniosły. Na nieszczęście klimat tych dwóch prowincyj jest już za zimny i kawa się w nich nie udaje.

(Dok. nast.).

Witold Skórzewski.

Czeska krytyka o sztuce polskiej.

Znana i ceniona autorka w zakresie krytyki artystycznej, p. Renata Tyraszowa, umieściła w peryodycznem piśmie *Osvěta* ciekawy artykuł o współczesnem malarstwie polskiem: *Součké malířství polské*. Sądźmy, że nasza publiczność chętnie się dowie o jego treści.

Otóż poświęciwszy parę dość pochlebnych uwag dawniejszym polskim malarzom: Stattlerowi, Lesserowi, Rodakowskiemu, Suchodolskiemu i Hadziewiczowi — przechodzi autorka do współczesnych artystów. Twierdzi, iż zajmują oni pośrednie stanowisko między idealizmem a realizmem w sztuce, nie zniżając się jednak nigdy do wstrętnego naturalizmu. Z powodu braku idealnego pierwiastka — zdaniem autorki — malarstwo religijne nie znalazło dobrych adeptów w gronie polskich malarzy, którzy daleko lepiej umieją się wywiązać z tematów historycznych lub rodzajowych. Obrazy religijnej treści, wyszłe zpod pędzla polskich artystów, kształcących się w Rzymie, przypominają nieco manierę teraźniejszych Włochów, chylących się ku realizmowi. „Zdjęcie z krzyża“, odmalowane przez p. Unierzyckiego, zalicza p. Tyraszowa do najlepszych polskich religijnych obrazów. O p. Krukowskiem mówi, iż niedość dokładnie naśladuje Rafaela, chociaż się o to widocznie stara. P. Kotarbińskiego obwinia o to, iż jego obraz: „Męczeństwo św. Kaliksta“, zdobiący galeryę ks. biskupa Strossmayera, traktowanym jest jak obraz rodzajowy. Uczniom zaś Matejki, kuszącym się o tworzenie religijnych obrazów, t. j. pp. Styce, Mańkowskiemu i Lisiewiczowi, zarzuca pewną jaskrawość kolorytu, wcale nieodpowiednią temu rodzajowi malarstwa.

Przechodzi potem do malarstwa historycznego; wypowiedziałszy kilka słów uznania dla obrazów Gersona, zatrzymuje się nieco dłużej nad Matejką. Twierdzi, iż największą jego zasługą jest spopularyzowanie pędzlem dziejów ojczystych i rozbudzenie ruchu artystycznego w Krakowie.

Z obrazów jego podnosi najbardziej „Stefana Batorego“, mówiąc, iż posiada on wszystkie zalety, cechujące prace tego artysty, t. j. głębokie zrozumienie epoki dziejowej, oraz trafną i wyrazistą charakterystykę postaci; — niema zaś wad, jakie w późniejszych obrazach coraz bardziej się uwydatniają, a któremi są: brak powietrznej perspektywy i niezharmonizowanie kolorytu.

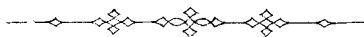
O p. Siemiradzkim mówi, że chociaż pojął on starożytność rzymską lepiej, niż ktokolwiek inny i odtworzył ją ze ścisłością archeologa a wdziękiem artysty, jednak podobnie jak inni uczniowie petersburskiej szkoły, np. pp. Wiesiołowski i Bakałowicz, nie może się pozbyć konwencyonalizmu w kolorystyce, rysunku i ugrupowaniu.

Następnie zachwyca się p. Tyrszowa obrazami Brandta, a szczególnie jego kozackimi typami. Pochlebnie wyraża się o Juliuszu Kosaku, rokując także piękną artystyczną przyszłość jego synowi. Poświęciwszy wreszcie parę uwag każdemu niemal z pozostałych naszych artystów, autorka określa stanowisko, jakie zajęła w swym artykule względem sztuki polskiej, i uprzedzając zarzut, jaki mógłby ją spotkać za niedość wyraźne zaznaczenie ujemnych stron malarstwa w Polsce — t. j. jednostronności jego rozwoju, braku idealnego polotu i szablonowości w produkcjach niektórych artystów — twierdzi, że każdy Słowianin powinien wytykać niekorzystne cechy ojczystej tylko sztuki; na sztukę zaś u pobratymców zapatrywać się pobłażliwie, oraz popierać ją i zachęcać swoim uznaniem, surowej bowiem krytyki już cudzoziemcy nie skąpią Słowianom.

Kończy te uwagi pięknymi słowami, że nie z ostrych nagan i nieprzychylniej krytyki, ale ze wzajemnej sympatii i pobłażania może i powinno się wyrodzić wzajemne porozumienie i łączność pomiędzy Słowianami.

Ta życzliwość niewątpliwie ujmuje za serce, ale nie bardzo jest uciechą dla naszych malarzy.

T. S.



SPIS RZECZY.

Artykuły o rzeczach współczesnych.

	Stronice.
XVI. WALNY ZJAZD TOWARZYSTWA GÖRRESSOWEGO w Augsburgu, we wrześniu 1890 r. Przez <i>dra Pawła Popiela</i>	161
GENEZA NIHILIZMU w ROSYI. Przez <i>ks. Stanisława Załęskiego T. J.</i>	226

Artykuły naukowe i literackie.

WOLNA WOLA. Przez <i>ks. Maryana Morawskiego T. J.</i> .	1, 209
PRZYCZYNEK DO HISTORII KOŚCIOŁA P. MARYI w KRAKOWIE. I. II. Przez <i>ś. p. ks. Zdzisława Bartkiewicza T. J.</i>	16, 398
ZAKŁAD ŻYRARDOWSKI. Przez <i>Paulinę Korwin Piotrowską</i>	32
W ÓWIERĆ WIEKU PO UWŁASZCZENIU CHŁOPÓW w KRÓLESTWIE POLSKIM (dok.). Przez <i>C. Z.</i>	42, 197
JUAN MIZERYA. (Z hiszpańskiego). Część druga (dok.).	53, 171
RZUT OKA NA WPŁYWY NOWOPLATOŃSKIE w ŚREDNICH WIEKACH. I. Przez <i>dra Witolda Rubczyńskiego</i> . .	313
„LASKA MARSZAŁKOWSKA“ SARBIEWSKIEGO. Studium kaznodziejsko-literackie. Przez <i>Włodzimierza Piątkiewicza T. J.</i>	327

PODRÓŻ DO PUZZYCH PÓŁNOCY I NA STEPY KIPCZAKU. (Ułamki ze wspomnień wygnańca z r. 1861—62). I. Przez <i>Maryana Dubieckiego</i>	357
MONASTER BAZYLIANŚKI W ŁADACH, NA BIAŁEJ RUSI. Przez <i>Wołyniaka</i>	379

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa krajowego:

ARCHEOLOGIA CHRZEŚCJAŃSKA WOBEC HISTORII KOŚCIOŁA I DOGMATU. Przez ks. dra <i>Józefa Bilczewskiego</i> . (Ks. <i>Eustachy Skrochowski</i>)	93
PAMIĘTNIK TOWARZYSTWA LITERACKIEGO IMIENIA A. MICKIEWICZA, pod redakcją <i>Romana Piłata</i> . Rocznik trzeci	98
ŻYWIOT CHRYSTUSA PANA. Przez Wielebnego <i>Ludwika z Grenady</i> . Tłumaczenie Stanisława Górskiego	105
PAMIĄTKA PIELGRZYMKI KRAKOWSKIEJ, ODPRAWIONEJ DO KĘT. Kazanie o najwyższym celu nauk i szkodach, jakie wyrządza nauka bezbożna; powiedziane przez ks. <i>Władysława Chotkowskiego</i>	106
JAK PISAĆ PO POLSKU CZYLI STYLISTYKA JĘZYKA POLSKIEGO. Napisał <i>Władysław Korotyński</i>	108
NOWELE I POEZYJE <i>Maryi Konopnickiej</i> . (B. <i>Jasieńczyk</i>)	245
PRZEWROTY WE WSZECHŚWIECIE. <i>Rudolf Falb</i> . Przełożył W. P.	257
FABIOLA, powieść z czasów prześladowania chrześcijan. <i>Kardynał Wiseman</i> . Streszczona przez M. A. M.	259
USTAWODAWSTWO SEJMU GALICYJSKIEGO 1887—1889. Napisał dr. <i>Stanisław Starzyński</i> . (Ks. <i>Tadeusz Gromnicki</i>)	260
O STAŁYCH CZYNNIKACH W ROZWOJU DUCHOWYM CZŁOWIEKA. Napisał dr. <i>Witold Rubczyński</i>	266
CHRYSTUS BOGIEM. Streszczenie z obszernego dzieła ks. <i>Em. Bougaud</i> , p. t.: „Chrześcijanizm i obecne czasy“. W wolnym przekładzie opracował Bronisław hr. Lasocki	267
RZYM I EUROPA PRZED ROZPOCZĘCIEM TRZECIEGO OKRESU SOBÓRU TRYDENCKIEGO. Napisał <i>Bronisław Dembiński</i> . Część pierwsza	407
WYDAWNICTWA AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE: „BIBLIOTEKA PISARZÓW POLSKICH“. (Ks. <i>H. Pydyńkowski T. J.</i>)	410

Z piśmiennictwa zagranicznego:

HISTOIRE DES PERSÉCUTIONS. Par <i>Paul Allard</i>	114
MADAME DE SAINTE BEUVE ET LES URSULINES DE PARIS. Par <i>H. Leymont</i>	121
LES SOLDATS FRANÇAIS DANS LES PRISONS DE L'ALLEMAGNE. Par l'abbé <i>Guers</i>	127

L'ORGANISATION DES ÉGLISES CHRETIENNES JUSQU'AU MILIEU DU III. SIÈCLE. Par le Révérend Père Charles de Smedt. (Ks. Adam Marczewski)	283
ORBIS TERRARUM CATHOLICUS sive totius Ecclesiae catholicae et Occidentis et Orientis conspectus geographicus et statisticus. O. Werner S. J.	284
RANKES WELGESCHICHTE. EINE KRITISCHE STUDIE. Von Emil Michael S. J.	415
GRUNDLINIEN DER PATROLOGIE. Von P. Bernh. Schmid O. S. B. (Ks. Augustyn Arndt T. J.)	427

Z pism czasowych:

DOM IN SVET, ILUSTROVAN LIST ZABAVI IN POUKU. Urejuje in izdaje dr. France Lampe	134
DAS APOSTOLAT DER CHRISTLICHEN TOCHTER, ST. ANGELA BLATT. (L'Apostolat de la jeune fille chretienne). Mit der Gratis-Beilage ECHO AUS AFRIKA. (II. Jahrgang)	135
Z PRASY PRAWOSŁAWNO-ROSYJSKIEJ. (A. Szarłowski)	268
ČASOPIS MUSEA KRÁLOVSTVI ČESKÉHO 1890. — OSVĚTA 1889/90. (Tytus Sopodźko)	428
O CZASOPISMACH W BUŁGARYI. (Tytus Sopodźko)	436
Rozmaitości: TRZYMIESIĘCZNE LATA ZA ABRAHAMA	136

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

STYCZEŃ.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Hasło rzucone przez kard. Lavigerie. — Związek ludowy dla katolickich Niemiec. — Nowela do reformy szkół ludowych. — Nauka religii w Rzplitej Costarica. — Zapowiedź akcyi katolickiej we Włoszech. — Stosunki między Rzplitą Ekwadoru a Stolicą św. — Myśl o soborze na Wschodzie. — Głos Rusi katolickiej w sejmie. Przez ks. Marcina Czerwińskiego T. J.	138
LIST Z WIEDNIA: Przywódca socyalistów chrześcijańskich. Przez Józefa Glinkiewicza	149
„TOWARZYSTWO OPIEKI ZDROWIA“ i jego wydawnictwa	154
PRZYZYNEK DO ARCHEOLOGII BIAŁORUSKIEJ. Przez Tytusa Sopodźkę	156

LUTY.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Socyalna demokracja polska. — List pasterski administratorów archidiecezyi poznańskiej i gnieźnieńskiej. — Wiece katolickie w Moguncyi i Poznaniu. — Zapowiedź katolickiego kongresu w Portugalii. — Sąd rozjemczy Stolicy św. między Portugalją a państwem

Kongo. — Projekt przywrócenia poselstwa Holandyi i W. Ks. Luksemburskiego przy Watykanie. — Stosunki Stolicy św. z Rzplitą Wenezuela. — Mowa tronowa króla włoskiego. — Projekt prawa odwoływania <i>exequatur</i> biskupom włoskim. — Encyklika Ojca św. o zniesieniu niewolnictwa. — Hołdy oddawane Windhorstowi. Przez <i>ks. Marcina Czerwińskiego T. J.</i>	287
ODCZYTY P. DRA OCHOROWICZA O tajemnicach kapłanów egipskich i t. d.	299
Z PODRÓŻY PO AZYI ŚRODKOWEJ. Przez <i>A. Szarłowskiego</i> . . .	303
OGÓLNE ZEBRANIE Towarzystwa św. Wincentego à Paulo . .	305
RĘKOPISY SARBIEWSKIEGO. Przez <i>Włodzimierza Piątkiewicza T. J.</i>	307

MARZEC.

SPRAWY KOŚCIOŁA: List biskupów austriackich w sprawie wyborów. — Gorszenie się <i>Nowej Reformy</i> . — Zapowiedź nowego kulturkampfu w Niemczech. — Objawy przewrotu społecznego we Włoszech. — Katolicy wobec Republiki francuskiej. — Trzechsetletnia rocznica śmierci św. Alojzego. Przez <i>ks. Marcina Czerwińskiego T. J.</i>	443
IRLANDYA W R. 1891. List I. Przez <i>Edmunda Naganowskiego</i> . .	450
Z PODRÓŻY PO BRAZYLII. Zapiski, dotyczące kolonizacyi tego kraju. I. Przez <i>Witolda hr. Skórzewskiego</i>	461
CZESKA KRYTYKA O SZTUCE POLSKIEJ	466

